

Wszystko
dla pań

ELIZABETH ADLER



SZMARAGD
Z KORONY CARÓW



*Szmaragd
z korony carów*

Prolog

Bangkok

Dziewczyna, która wysiadła z klimatyzowanej taksówki przed hotelem „Oriental”, była wysoka, miała długie, opalone na brąz nogi, błyszczące, spływające na ramiona czarne włosy i twarz będącą wytworną mieszanką Wschodu i Zachodu. Mimo obezwładniającego upału i wilgoci wyglądała świeżo w lekkiej płóciennej sukience i kapeluszu z szerokim rondem.

Minęła rozpylającą kropelki wody fontannę i koncertujący w holu kwartet, po czym ruszyła w stronę pasażu handlowego na tyłach hotelu.

— Moja siostra zostawiła tu paczkę — oświadczyła sprzedawczyni w antykwariacie. — Miałam ją odebrać.

Wzięła torbę z napisem „Jedwabie Jima Thompsona”, wróciła pasażem na piękny, tonący w orchideach taras z widokiem na rzekę Chao Phraya i zamówiła herbatę. Postawiła torbę na ziemi i zaczęła pić małymi łyчками, obserwując ruch na wodzie. Pół godziny później zeszła z tarasu schodami prowadzącymi nad rzekę i pojechała taksówką wodną w kierunku centrum.

Wysiadła przy jednej z głównych ulic i poszła szybko przed siebie, oddalając się od rzeki. Zamachała na kolejną taksówkę i kazała się zawieźć do hotelu „Dusit Thanai”.

W damskiej toalecie przebrała się w zwykłą bawełnianą koszulkę i dżinsy, starannie złożyła sukienkę i schowała ją do torby. Zebrała włosy w koński ogon i pociągnęła usta jaśniejszą szminką. Wychodząc z hotelu tylnymi drzwiami, ukryła oczy za dużymi okularami przeciwsłonecznymi i wzięła następną taksówkę na Patpong Road.

Kierowca posłał jej w lusterku przebiegły uśmiezek. Znał wszystkie tajemnice Patpong, zakazanej dzielnicy czerwonych latarni, podejrzanych barów, klubów, salonów masażu i sex shopów, myślał więc, że wie, czym trudni się jego pasażerka. Ona jednak zignorowała próby

nawiązania rozmowy, dała mu niewielki napiwek i odważnie zanurzyła się w labirynt zaśmieconych alejek. Stanąwszy przed wąskim szarym budynkiem, wciśniętym pomiędzy sto innych przy bocznej uliczce, przeczytała nazwisko na małej poplamionej wizytówce przypiętej pinezką do framugi. Minęła gabinet lekarski chorób wenerycznych i znalazła się na drugim piętrze. Nacisnęła dzwonek domofonu. Poczekwała na odpowiedź, po czym cichym głosem podała swoje nazwisko. Drzwi się otworzyły, weszła do środka i starannie je za sobą zamknęła.

Znalazła się w wąskim, ciemnym korytarzu, gdzie unosił się słaby zapach moczu i chemikaliów. Bez wahania podeszła do następnych drzwi i otworzyła je.

Mała lampa z silną żarówką oświetlała blat sfatygowanego biurka, pozostawiając w cieniu siedzącego za nim mężczyznę. Dziewczyna dostrzegła jednak, jaki był ogromny — groteskowa karykatura ludzkiego ciała. Kiedy uniósł głowę znad stosu błyszczących kamieni, światło padło mu na twarz.

— Wejdz i usiądź — powiedział.

Usiadła naprzeciwko z grymasem obrzydzenia. Twarz mężczyzny przypominała świński ryj. Małeńkie oczka ginące w fałdach tłuszczu wyglądały jak szare kamyczki. Odezwał się twardo, z gardłowym akcentem:

— Tracisz tylko czas.

Wyjęła z torby czarne pudełeczko, ukryte w zwojach jasnego tajlandzkiego jedwabiu.

— Nie sądzę, panie Abyss — odparła patrząc, jak szybko otwiera pudełko i wciąga powietrze na widok jego zawartości.

Rzucił jej badawcze spojrzenie i przysunął bliżej lampę. Z lupą jubilerską w prawym oku obracał klejnot w grubych owłosionych palcach, niczym pajak przymierzający się do pięknego motyla. Po kilku minutach wyjął lupę z oka i położył kamień na kawałku czarnego aksamitu. Rozparł się w koślawym skórzanym fotelu, splatając ręce na wielkim brzuchu. W milczeniu spojrzał w jej niebieskie, lekko skośne oczy.

W końcu rzekł:

— Na świecie jest tylko jeden taki okaz. Zaginał ponad siedemdziesiąt lat temu. Czy mogę spytać, jakim sposobem weszłaś w jego posiadanie?

Wzruszyła ramionami.

— Nie może pan. Powiem tylko, że nie działałam sama. Moi współnicy czekają na pana decyzję.

Ponownie zapadła cisza; mężczyzna obrzucił spojrzeniem najpierw dziewczynę, a potem leżący między nimi ogromny szmaragd.

— Wspaniale oszlifowany kamień — rzekł wreszcie. — Nic potrafiłbym ulepszyć dzieła pierwszego szlifierza. A więc? Czego właściwie ode mnie chcecie?

Pochyliła się do przodu, dotknęła klejnotu długim czerwonym paznokciem i powiedziała:

— Chcę, żeby przeciął go pan na pół. Dwa szmaragdy zamiast jednego.

Wydało się jej, że dostrzegła w szarych oczach coś w rodzaju emocji: zaskoczyła go, trafiła w jakiś czuły punkt.

— Przeciąć taki kamień? Zwariowałaś? — Sięgnął do szuflady, wyjął butelkę whisky oraz małą brudną szklankę. Uniósł pytająco butelkę, ale dziewczyna potrząsnęła głową, więc nalał tylko sobie i wychylił do dna. Szybko napełnił szklankę powtórnie, a kiedy ją osuszał, dziewczyna dostrzegła, że drży mu ręka. Właśnie to drzenie było przyczyną, dla której Abyss, mistrz sztuki szlifierskiej, zajmował obecnie mały pokój przy podrzędnej uliczce w Bangkoku zamiast wielkiego biura w Paryżu, które kiedyś do niego należało. Szlifierz o niepewnym ręku nie był nic wart. A jednak nikt inny nie mógł zrobić tego, o co prosiła.

— Znam ten szmaragd — powiedział, obracając ponownie kamień w pulchnych palcach. — Nie widziano go w Europie od czasu, gdy osiemdziesiąt lat temu u Cartiera w Paryżu przerabiano wielką tiarę. Dziewięćdziesięciokaratowy kamień czystej wody... jedyny w swoim rodzaju.

— Właśnie. Jest jedyny, i dlatego łatwo go rozpoznać. Chcemy, żeby pan zrobił z niego dwa szmaragdy, których identyfikacja byłaby niemożliwa. I tak warte będą miliony.

Przez szare kamyczki oczu Abyssa przeleciał błysk pożądania. W świetle lampy obracał szmaragd to w jedną, to w drugą stronę, oglądając go uważnie przez lupę.

Przyglądała mu się w napięciu; znalazła się tu, ponieważ ten szlifierz wciąż był najlepszy na świecie. Tylko on mógł wykonać tę robotę.

— Dobrze zapłacimy — powiedziała cicho. — Siedem procent. Spojrzeli sobie w oczy.

— Nie mogę niczego obiecać — odparł. — Wiesz, że szmaragdy są najbardziej kruche ze wszystkich kamieni. Jedno puknięcie i ten cenny klejnot zmieni się w okruchy do tanich pierścionków. Poza tym cały wart jest dużo więcej niż dwie połówki.

Wygładziła swoje i tak gładkie włosy, chusteczką otarła krople potu zbierające się na czole i szyi. Pomieszczenie nie było klimatyzowane i upał w połączeniu z kwaśnym zaduchem pokoju zaczął się jej dawać we znaki.

Zapytała twardo:

— Na kiedy pan to zrobi?

Jego oczy zniknęły w fałdach tłuszczu, kiedy się do niej uśmiechnął.

— Piętnaście procent — zaproponował spokojnie.

Z gardła wydobył mu się chichot, który przeszedł w kaszel pod wpływem jej spojrzenia.

— Dziesięć — rzuciła i wstając odkleiła koszulkę od mokrych łopatek. Popatrzyła na drżącą dłoń trzymającą szmaragd. — Zresztą nie wiem — dodała z powątpiewaniem — może jednak Amsterdam będzie lepszy...

— Dziesięć — zgodził się pospiesznie.

— Ma pan miesiąc — oświadczyła podnosząc torbę.

Wyglądał na zaskoczonego.

— Miesiąc? Niemożliwe. Muszę obejrzeć ten kamień, poznać go, przeanalizować każde załamanie... To może potrwać rok...

— Miesiąc i dziesięć procent. Taka jest umowa. Zgadza się pan czy nie?

Bębniła niecierpliwie czerwonymi paznokciami w biurko. Po chwili jego oczy jeszcze raz zniknęły w tłustych fałdach pozbawionego radości uśmiechu.

— Powiedzmy, że potraktuję to jako wyzwanie — odpowiedział.

Skinęła głową, po czym odwróciła się z ręką na kłamec,

— Jesteśmy bardzo hojni, panie Abyss. Mamy tego więcej. Będzie pan bardzo bogatym człowiekiem... o ile nie stanie się pan zbyt chciwy. — Pogardliwie powiodła pięknymi oczyma w kształcie migdałów po jego spoconej twarzy. — Moi wspólnicy będą wiedzieli, co zrobić w takim przypadku.

Zostawiając wiszącą w powietrzu groźbę, cicho zamknęła za sobą drzwi. Przemknęła przez wilgotny korytarz, zbiegła po schodach i zniknęła jak cień w kłębiącym się tłumie. Nocne życie Bangkoku zaczynało się właśnie rozkręcać na dobre.

Część pierwsza

Rozdział 1

Moskwa

Siwe włosy mężczyzny urzędującego w wielkim biurze na Kremlu świadczyły nie tylko o jego podeszłym wieku, ale także o wysokiej pozycji, jaką zajmował w Politbiurze. Limuzyna marszałka Siergieja Sołowskiego od wielu lat jeździła po ulicach Moskwy środkowym pasem, zarezerwowanym dla elity, nie licząc oczywiście długiego pobytu na Syberii w czasie panowania Stalina i dwóch lat wygnania na prowincję, kiedy opętany żądzą Bułganin zabiegał o względy jego żony, młodej i ładnej tancerki, która odrzuciła owe awanse. Sołowski wolał Syberię — prowincja była ponura i przypominała mu dzieciństwo, o którym chciał zapomnieć.

Na jego biurku leżał katalog aukcji kamieni szlachetnych mającej się odbyć w salonie Christie w Genewie. Obok niego znalazł kartkę od swego brata i wroga, majora-generała Borysa Sołowskiego, szefa KGB. Zwracał on uwagę Siergieja na pozycję ze strony piętnastej — duży, nie oprawiony szmaragd czystej wody. Marszałek ponownie przeczytał notatkę.

Kamień waży trochę mniej niż połowa szmaragdu Iwanowów, ale nie ma wątpliwości, że to ten sam klejnot. Nie ma na świecie drugiego takiego okazu. Uważamy, że został przecięty i sprzedawany jest teraz w częściach. Zapewne druga połowa nie pokaże się przez długi czas. W zeszłym roku pojawił się na rynku cenny brylant, sądzimy więc, że w końcu rozpoczęto wyprzedaż majątku Iwanowów.

Jeszcze raz rzucił okiem na katalog, sprawdzając pochodzenie szmaragdu. Nie podano żadnego nazwiska. Właścicielkę klejnotu określono jedynie jako „Dameę”. Usiadł wygodniej i zastanowił się. Wiedział, o co chodzi bratu. W grę wchodziło coś znacznie cenniejszego

niż szmaragdy i miliardy Iwanowów zgromadzone w szwajcarskich bankach.

KGB chciało odnaleźć osobę sprzedającą klejnoty i przywieźć ją do Rosji, zanim skontaktuje się z nią ktokolwiek inny. Borys Sołowski miał też w tym własny interes.

Marszałek zmęczonym ruchem przeczesał siwe włosy. Historia Iwanowów na zawsze wryła się w jego pamięć. W końcu dopadła go przeszłość i teraz właśnie on miał wprawić koła maszynierii w ruch.

Nacisnął guzik interkomu i polecił sekretarce wezwać swojego syna, dyplomatę Valentina Sołowskiego.

Waszyngton

Na tajne zebranie w Białym Domu przybyło sześciu mężczyzn: sam prezydent, sekretarz stanu, sekretarz obrony, przedstawiciel Agencji do spraw Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia, szef CIA i przedstawiciel Rady Bezpieczeństwa. Przed nimi na owalnym stole leżały egzemplarze katalogu Christie. Wszyscy słuchali uważnie Cala Warrendera. Błyskotliwego, choć z wyglądu gburowaty mężczyzna miał zaledwie trzydzieści osiem lat a zajmował już wysokie stanowisko w Radzie Bezpieczeństwa. Warrender działał na niepewnym gruncie pomiędzy Departamentem Stanu a Białym Domem, ale cieszył się dobrą opinią obu stron. Uważano go za człowieka, który zrobi w Waszyngtonie karierę.

Opowiadał właśnie, jak w roli potencjalnego kupca odwiedził salon Christie. Towarzyszył mu ekspert od Cartiera. Obejrzał klejnot i nie miał wątpliwości, że widzi część skarbu Iwanowów.

— Szmaragdy są bardzo delikatne — powiedział Cal. — Próba przecięcia takiego kamienia wiązała się z wielkim ryzykiem. Mogli zostać z milionem okruchów bezwartościowego zielonego szkła. Zrobił to mistrz i wiemy, że na świecie jest tylko trzech szlifierzy wystarczająco dobrych — i wystarczająco dyskretnych — by można było powierzyć im takie zadanie. Jeden w Amsterdamie, jeden w Izraelu i jeden w Bangkoku. Myślę, że jeśli dotrzecie do szlifierza, znajdziecie też tajemniczego sprzedawcę, czyli „Damę”.

Wręczył prezydentowi reprodukcję wyblakłej, żółtej fotografii, zrobionej w Petersburgu w 1909 roku, i wskazując na brylantową tiarę wyjaśnił, że przystrojona w nią smutna kobieta to piękna księżna Annuszka Iwanow w dniu swojego ślubu.

— Nie ulega kwestii — powiedział prezydent — że bez względu na

to, kim jest nieznajoma sprzedająca klejnot, od niej zależy rozwiązanie problemu, z którym zmagamy się od ponad siedemdziesięciu lat. Jeśli Rosjanie znajdą ją pierwsi, będziemy przegrani. Panowie, wyścig już się rozpoczął. Choćby kosztowało to was nie wiem ile, znajdźcie mi tę „Dame”.

Dusseldorf

Wysoki, szczupły blondyn chodził tam i z powrotem po luksusowym biurze firmy Arnhaltdt, której międzynarodowe interesy obejmowały handel żelazem, stalą i bronią, a także górnictwo i budownictwo. Arnhaltdtowie zaopatrywali wszystkie armie od czasów Napoleona i ze wszystkich wojen, niezależnie od tego kto wygrał, wychodzili jeszcze bogatsi i potężniejsi.

Ferdie Arnhaltdt zatrzymał się i wyjrzał przez okno wspianego biura, nie widział jednak poruszających się trzydzieści pięter niżej pojazdów. Myślnami był przy leżącym na biurku katalogu otwartym na stronie piętnastej. Wiedział, że posiadacz szmaragdu zagraża bezpieczeństwu i stabilności imperium Arnhaltdtów. Wiedział też, że gdyby znalazł „Dame”, jego przedsiębiorstwo stałoby się najbogatsze i najpotężniejsze na świecie. Wszystko — albo nic. Musi ją odszukać, zanim dobiórą się do niej inni zainteresowani.

Genewa

Genie Reese z ponurą miną zbiegła po schodach hotelu „Richemond”. Miała dwadzieścia osiem lat, blond włosy i, jak to ze śmiechem powtarzała matka, była niemal piękna. „Gdyby tylko twój nos był odrobinę mniejszy, a włosy o trzy tony jaśniejsze, nadawałabyś się na gwiazdę filmową” — przekomarzała się z córką. W swoje najlepsze dni matka śmiała się i była ożywiona; najczęściej jednak w ogóle się nie odzywała. Zmarła kilka lat temu. Genie myślała, że może teraz mama byłaby z niej zadowolona.

Kiedy dorosła, rysy jej twarzy nabrały odpowiednich proporcji: ładny nos nie wydawał się już za duży w stosunku do delikatnej buzi, a dzięki czarodziejom w salonach fryzjerskich włosy nabrały wymaganego, o trzy tony jaśniejszego odcienia. Była wysoka i miała piękne

nogi. Nie została jednak gwiazdą filmową ze snów matki, tylko reporterką amerykańskiej sieci telewizyjnej, i zazwyczaj zajmowała się politycznym bigosem w Waszyngtonie.

Czekając, aż jej ekipa ukończy przygotowania, z gniewem rozmyślała o tym, że wysłano ją do Genewy w tak błahej sprawie. Chciała zrobić sprawozdanie z przemówienia, które prezydent miał wygłosić do nafciarzy w Teksasie, zebrała już materiały, przygotowała się... i wtedy szef powiedział, że ma dla niej coś innego: aukcję klejnotów. Klejnoty to jej działka, ponieważ jest kobietą. Do Teksasu wysła więc jej rywala, Micka Longwortha, a ona pojedzie do Genewy. Po raz pierwszy niemal straciła panowanie nad sobą i z trudem powstrzymała łzy gniewu.

— Kogo to obchodzi, jaką biżuterię sprzedają i kupują bogate baby? — zapytała z wściekłością.

— W tym cały problem — odpowiedział z irytującym uśmiechem, który sprawiał, że miała ochotę go kopnąć. — Chodzą słuchy, że interesuje się tym Waszyngton i Rosja. — A potem uprzedził jej następne pytanie mówiąc, że nie wie dlaczego, i że ona ma jechać i się dowiedzieć.

Tak więc od trzech dni tkwiła w Genewie na aukcji kamieni szlachetnych w hotelu „Richemond” Jej ekipa sfilmowała przybywających klientów: pełnych rezerwy, studiujących katalogi panów w garniturach oraz ich eleganckie towarzyszkę w kostiumach od Chanel, wciąż zerkające w duże lustro w hotelu i wymieniające złośliwe plotki.

Było już po wszystkim; robili teraz ujęcie przed hotelem. Świeży wiaterek znad jeziora zwichrzył jasne włosy Genie; potrząsnęła niecierpliwie głową, mrużąc niebieskie oczy w świetle reflektorów.

— Ku zaskoczeniu wszystkich, szmaragd określany w katalogach jako własność „Damy” — zaczęła — został wycofany z aukcji dosłownie w ostatniej chwili. Niektórzy twierdzą, że miał być sprzedany za co najmniej siedem milionów, ale prywatnie zaoferowano sumę o tyle większą, że osoba sprzedająca zdecydowała się przyjąć tę propozycję. Podobno ponad dziewięć milionów dolarów. Dlaczego tak dużo? Według ekspertów ten kamień jest jedyny w swoim rodzaju. Po mieście krąży plotka, że stanowi on połowę szmaragdu Iwanowów, widzianego po raz ostatni w tiarze księżnej Annuszki, żony jednego z najbogatszych książąt carskiej Rosji... Takich rodzin książęcych było w Rosji ponad dwieście i wszystkie były naprawdę bogate, a książę Michał, czyli Misza Iwanow, był podobno bogatszy od samego cara. W Petersburgu opowiadano, jak to z powodu wydatków na utrzymanie licznych posiadłości, pałaców, zastępów służby i pieczeniaryż zdarzało

się, że carowi brakowało rubla czy dwóch. Ale nie Mis/y Iwanowowi, choć miał żonę, która lekką ręką wydawała pieniądze. Annuszka Iwanow była jak sroczka: musiała mieć wszystko, co błyszczało. W swoim czasie była najlepszą klientką Cartiera.

Historia szmaragdu jest następująca. Poprzedni ksiązę Iwanow w czasie podróży po Indiach dostał go od pewnego maharadży. Ofiarował szczerozłotą zastawę gospodarzowi, z którym negocjował zakup terenów zawierających podobno cenne minerały i rudy. Wtedy maharadża, nie chcąc okazać się gorszy od swojego gościa, zerwał ogromny szmaragd z inkrustowanego nakrycia głowy swojego ulubionego... słońa! — Zaśmiała się. — Maharadża kochał chyba tego słońa bardziej niż wszystkie żony, ale o księciu Iwanowie dobrze świadczy fakt, że poznał się na wartości podarunku: chodziło nie tyle o klejnot, co o szacunek, jakim cieszył się słoń. Najwyraźniej ksiązę był zręcznym dyplomatą i zdolnym człowiekiem interesów. Dołożył do kufrów Iwanowów wiele milionów. Zgromadził tak dużo, że nawet jedno czy dwa pokolenia hazardzistów i utracjuszy nie dałyby rady wszystkiego roztrwonić.

Później szmaragd został wysłany do Paryża i osadzony przez Cartiera w księżęcej tiarze, pośrodku rozchodzących się promieniście brylantów. Tiara była tak ciężka, że księżna, która musiała ją wkładać w czasie oficjalnych przyjęć, cierpiała na ból głowy.

Kiedy nadeszła rewolucja, wystawny tryb życia Iwanowów stał się przyczyną tragicznej śmierci rodziny. Ksiązę podobno spłonął w swojej wiejskiej posiadłości. Księżna uciekła wraz z teściową i dwójką dzieci, sześciolatnim Aleksiejem i trzyletnią Ksenią, wszyscy jednak przepadli w lesie w mroźną noc — zostali zamordowani, a ich ciała pozostawiono wilkom. Zniknęły słynne klejnoty księżnej, wśród nich także wielka tiara i szmaragd maharadży.

Czy prawdziwe są pogłoski, że kamieniem interesują się rządy kilku krajów? A jeśli tak, to dlaczego? Wiemy tylko, że kamień kupiono poza aukcją, ale czy kupiła go Rosja? A może Stany Zjednoczone? Nieznana osoba sprzedająca, przedstawiona w katalogu jako „Dama” i chroniona dyskrecją banków szwajcarskich, jest jedynym człowiekiem mogącym rozwiązać zagadkę majątku Iwanowów — majątku, który, jak wieść niesie, zamknięty jest bezpiecznie w sejfach bankowych i procentuje. Mówi się o wielu miliardach dolarów. Ale ten, kto zna odpowiedź, zachowuje ją dla siebie. „Dama”, bogatsza dziś o ponad dziewięć milionów dolarów, jest równie nieuchwytna jak duch księżnej Annuszki Iwanow, która niech spoczywa w spokoju.

Zmęczona Genie opuściła mikrofon.

— To wszystko, chłopcy — powiedziała swojej ekipie. — Zmontuję to po powrocie, a teraz stawiam wszystkim drinka. Jestem wypompowana, dość mam tych wszystkich klejnotów i plotek. Wolałabym być gdziekolwiek indziej, byle nie tu i nie teraz.

Maryland

Starsza pani uwięziona w dużym fotelu pod oknem wyciągnęła szczupłą, poznaczoną niebieskimi żyłami dłoń w stronę stolika. Nacisnęła guzik pilota wyłączający telewizor i usiadła wygodniej.

— A więc stało się — pomyślała. Wszystkie lata ukrywania się, walki o to, by dotrzymać słowa — w jednej chwili obrócone wniwecz. Ostrzegąca, ale tym razem jej ostrzeżenia puszczono mimo uszu. Wiedziała, że zrobiono to dlatego, by mogła żyć w luksusowych warunkach. Sprzedaż szmaragdu Iwanowów była aktem miłości, tyle że już niepotrzebnym.

Zakasłała, wciągając powietrze w chore płuca. Pomyślała o dziewczynie, która występowała przed chwilą w telewizji i mówiła o Iwanowach tak bezosobowo, jakby byli pionkami w rozgrywce szachowej. A przecież prawda wyglądała inaczej. Ona to wiedziała, ponieważ tam była. Wiedziała też, czego poza miliardami dolarów i klejnotami chcą dwa wielkie państwa. Chodziło o tajemnicę znaną tylko jej, Missie O'Bryan, oraz rosyjskiej Cygance, która wiele lat temu przepowiedziała, że spocznie na niej wielka odpowiedzialność. Odpowiedzialność za los wielu narodów.

Otworzyła szufladę stojącej obok małej szafki i wyjęła fotografię w bogato zdobionej srebrnej ramce. Na górze znajdował się herb Iwanowów: wilczy łeb i pięć brylantowych piór otoczonych rubinami, na szafirowym tle. Maleńkimi złotymi literkami wypisano motto rodu: „W służbie prawdy i honoru”. Przyjrzała się z bliska wyblakłemu zdjęciu księcia Michała Aleksandrowicza Iwanowa, którego przodkowie służyli na carskim dworze od czasów Piotra Wielkiego, i przypomniała sobie, jak po raz pierwszy zobaczyła go w ogromnym holu pałacowym w Petersburgu. Zatrzymała się wtedy na progu, onieśmielona przepychem wnętrza i jej wzrok pobiegł ku wysokiemu, przystojnemu blondynowi, który stał na szczycie marmurowych schodów z ręką na obroży dużego, bursztynowożółtego psa. Przez całe życie zastanawiała się, czy czas rzeczywiście stanął w chwili, gdy spojrzeli sobie w oczy.

Z westchnieniem odłożyła fotografię do szuflady. Nigdy nie mogła jej trzymać na wierzchu. Ponad siedemdziesiąt lat wizerunek Miszy spoczywał w ukryciu wraz z innymi sekretami.

Oczywiście wtedy była jeszcze panną Verity Byron, ale ksiązę zawsze nazywał ją Missie, z tą szczególną czułością w melodyjnym głosie, od której przechodziły ją dreszcze. Kochała go wtedy i kochała teraz — bardziej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę. Już niedługo, jeśli niebo jest rzeczywistością, tak jak w to wierzyła, znowu się spotkają, młodzi i piękni, a ich miłość będzie trwała wiecznie. Tylko że wtedy będzie musiała mu wytłumaczyć, co się stało. Powie mu, że starała się dotrzymać słowa.

Ale przed śmiercią czeka ją jeszcze opowiedzenie prawdziwej historii ostatniej osobie, która ją kocha. Osobie, która sprzedała kamień i nieświadomie wywołała międzynarodowy kryzys.

Westchnęła na myśl o nocy, podczas której skończyło się jej stare życie, a zaczęło nowe. Zapisało się to w jej pamięci tak wyraźnie, że nawet czas nie zatarł wspomnienia owej grozy i wielkiego poczucia winy, przez które nieraz chciała umrzeć.

Gdyby zamknęła teraz oczy, zobaczyłaby znów tę samą straszną scenę, co do najdrobniejszego szczegółu, tak jak widziała ją co noc przez całe swoje długie życie.

Rozdział 2

Rosja, 1917

Missie nie pamiętała drugiej tak ciemnej nocy. Stare, drewniane sanie mknęły bezszelestnie przez brzozowy zagajnik po niewidocznej drodze do lasu. Kiedy po pewnym czasie wzrok przyzwyczał się do ciemności, zaczęła odróżniać kontury oszronionych drzew i sople lodu tworzące się na futrze, którym osłaniała usta, żeby nie wdychać mroźnego powietrza. Potem brzozy przeszły w drzewa iglaste; znajdowali się już w głębi lasu, gdzie nie było widać nic, wszędzie panowała czern.

Olbrzymi chart Wiktor był ulubieńcem księcia Miszy. Miał wielki łeb i grube, skołtunione futro, jak przystało na prawdziwego rosyjskiego psa hodowanego nie tylko dla gonienia lisów, ale i do polowania na wilki. Wiktor rzadko rozstawał się ze swoim panem, teraz jednak biegł przed zaprzęgiem, prowadząc psy przez las po oblodzonej drodze, którą widział tylko on.

Nikt się nie odzywał. Słysząc było jedynie zgrzyt metalowych płóz tnących lód i wyteżone sapanie psów.

Missie myślała o wczorajszym przyjęciu wyprawionym z okazji jej osiemnastych urodzin. W Wariszni, pięknej posiadłości wiejskiej Iwanów, królował smutek i strach. Wiedziała, o czym myśli książę, pomimo dziarskiego uśmiechu, że będzie to ostatnie przyjęcie w tym wspaniałym domu. A może nawet ich ostatnie chwile razem.

Większość służby zniknęła; zostali tylko kucharz i pokojówka księżnej Annuszki. Byli Francuzami i uważali, że są ponad „chłopski bunt”. Ale wczoraj oni także na polecenie księcia wsiedli w pociąg do Tallina, gdzie czekał na nich statek do Europy. Missie nie zgodziła się na wyjazd. Odkąd zmarł jej ojciec, nie miała już domu w Anglii, a poza tym była beznadziejnie zakochana w Miszy Iwanowie. Teraz zaś uciekała przed śmiercią, uciekała przed bolszewickimi rewolucjonistami, biorącymi szturmem cały kraj, mordującymi i łupiącymi bez litości.

Głowa Kseni opadła na ramię i Missie dziękowała Bogu, że mała śpi. We śnie nie będzie się bała. Ale było jej trochę niewygodnie, bo dziecko wciskało jej w żebra wielką tiarę.

Księżna Annuszka uparła się, że nie zostawi swojej biżuterii. W pięknej sypialni zapanował chaos. Wspaniałe suknie z Paryża leżały bezładnie na łóżku, puszyste futra poniewierały się na podłodze. Wszystkie szufladki z wyłożonego szarym zamsem sejfów na biżuterię były wyjęte i Niania, stara rosyjska piastunka, w pośpiechu wszywała rubinowe pierścionki, broszki z szafirami, diamentowe naszyjniki i sznurki pereł w mankiety i staniki. Nawet pod lamówką małego fartuszka Kseni znalazły się brylanty. Annuszka sama rozgięła końce tiary i dopasowała ją starannie do szczupłej talii Missie. Kiedy przerabiano tiarę u Cartiera w Paryżu, Misza nie posłuchał rady jubilera i nalegał, żeby ramę zrobić nie z platyny, lecz ze złota. Teraz miękkość wybranego metalu okazała się bardzo przydatna.

Księżna tasiemką związała końce tiary na plecach Missie.

— Pas ze złota! — wykrzyknęła ze śmiechem. Jej piękne oczy błyszcząły jak klejnoty, jasne włosy spływały w nieładzie na ramiona; Missie wiedziała jednak, że Annuszka Iwanow balansuje zawieszona między euforią a rozpaczą. Spojrzała na nią w ciemności, zastanawiając się, gdzie przebywa teraz myślami.

Annuszka siedziała spokojnie, jej sześćioletni synek Aleksiej wiercił się opatulony miękkim sobolowym futrem, w które ubrała go mimo zaleceń Miszy, by ze względów bezpieczeństwa przebrali się za wieśniaków i służące.

— Nonsens, Misza — odpowiedziała mu wtedy, przypinając do ramienia bukietek fiołków hodowanych specjalnie dla niej w ogromnych oranżeriach Wariszni. Podniosła dumnie głowę i spojrzała na niego z półśmiechem. — W końcu — dodała — kto śmiałyby skrzywdzić żonę największego księcia Rosji?

Obejmując małą Ksenię, Missie modliła się, by księżna miała rację.

Matka Miszy, księżna wdowa Sofia, westchnęła, gdy drewniane sanie podskoczyły na bryle lodu. Missie spojrzała na nią z niepokojem, ale przez padający śnieg ledwo widziała jej twarz.

Sofia miała siedemdziesiąt pięć lat, nikt jednak nie myślał o niej jak o staruszce. Jej czarne włosy poprzetykane były siwizną, lecz zachowała zgrabną figurę, skórę wciąż miała gładką, a przepastne czarne oczy, odziedziczone po cygańskiej prababce, nie straciły blasku. Błagała syna, by pozwolił jej zostać w Wariszni, do której przyjechała po raz pierwszy jako panna młoda pięćdziesiąt pięć lat temu, albo

w Petersburgu, gdzie w wielkiej katedrze Świętego Piotra i Pawła pochowany był jej ukochany mąż.

— Misza, jestem za stara, żeby teraz wyjeżdżać — mówiła, po raz pierwszy przyznając się do swojego wieku. — Pozwól mi zostać, chcę być z tobą bez względu na to, co nam pisane.

Nie zgodził się; powiedział, że on sam zostaje tylko po to, by nie dopuścić do zniszczenia Wariszni. Wmawiał jej, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa i że za kilka tygodni dołączy do nich na Krymie. Oboje wiedzieli, że kłamię, księżna zastosowała się jednak do życzenia syna.

Śnieg gęstniał, zmieniał nieprzeniknioną ciemność w wirującą biel, ale Wiktor gnał do przodu machając długim, puszystym ogonem.

— Jedziemy już chyba ponad pół godziny — odezwała się w końcu Sofia. — Stacja musi być niedaleko.

W tym samym momencie noc rozdarł huk wystrzałów i psy z zaprzęgu gwałtownie skoczyły do przodu, wyjąc z bólu. Ciężkie sanie ześlizgnęły się z oblodzonej drogi. Missie dostrzegła otwarte psie pyski z wywalonymi językami, sekundę później sanie uderzyły w drzewo, a ona wpadła w pryzmę śniegu, przygniatając sobą Ksenię.

Poczuła w ustach gorzki smak dławiącego strachu, kiedy czekała na następną serię strzałów. Ale nie rozległ się żaden dźwięk. Drżąc podniosła nieznacznie głowę i rozejrzała się. Annuszka leżała kilkanaście metrów dalej, mimo gęstej śnieżycy widać było krew zlepiającą jej włosy i płamiącą biały dywan pod głową. Ani śladu Aleksieja i Sofii.

Z lasu dobiegły ochryple głosy kłócących się ludzi i skrzywienie śniegu pod butami, zajaśniały trzymane nad głowami płonące pochodnie.

Po plecach Missie przebiegł dreszcz przerażenia. Zobaczyła nie żołnierzy, lecz sześciu brodatych wieśniaków w zgrzebnych, brudnych ubraniach i grubych filcowych butach. W rękach trzymali butelki i strzelby, niektórzy mieli na głowach drogie futrzane papachy. Najwyraźniej wybrali się na szaber i spili ukradzioną wódką, której ostry odór był silniejszy nawet od żywicznego zapachu sosnowego lasu. Zamknęła oczy, kiedy ruszyli w jej stronę, zasłoniła twarz i modliła się, by nie zauważyli jej drżenia.

— Chłopka — powiedział jeden z nich, pogardliwie unosząc połę znoszonej jesionki Missie. — Poznać po smrodzie.

Pozostali roześmiali się ochryple.

— Nie żyje, daję głowę — powiedział drugi. — Cała we krwi... no ale żeby nie było wątpliwości...

Żebra Missie przeszył ból, kiedy mężczyzna ją kopnął, ale krzyk ze strachu uwiązał jej w gardle.

Poszli dalej, ich kroki chrzęściły na zamrożonym śniegu. Z pochodniami w górze otoczyli Annuszkę. Jej blond włosy wysypały się spod czarnej sobolowej czapki, w kształtnych uszach i na szyi lśniły wielkie perły. Nagle otworzyła oczy i objęła przeciągłym spojrzeniem otaczających ją mężczyzn, ich prostackie twarze i nędzne ubrania.

— Poznają was — usłyszała Missie jej słaby głos. — Jesteście robotnikami leśnymi z majątku Iwanowów. Ty, Mikojan, przychodziłeś do Wariszni z dziećmi na pikniki wielkanocne... a ty, Rubakow, i twój brat...

— Dosyć! — krzyknął mężczyzna nazwany Mikojanem. — Nie będzie więcej pikników wielkanocnych u Iwanowów. Majątek należy teraz do nas, do ludu, do rewolucjonistów. — Chwyć! jedwabiste włosy poobijanymi paluchami. — A z kobietami takimi jak ty będą się zabawiać nasi bohaterowie!

Missie dostrzegła grymas bólu na twarzy Annuszki, gdy Mikojan podniósł jej głowę i przyciągnął do swojej brodatej gęby.

— Ale najpierw sami sprawdzimy, czym książę sobie dogadzał przez te wszystkie lata, co, towarzysze?

Zaśmiali się, podając mu następną butelkę. Puścił głowę Annuszki, stanął nad nią w rozkroku i wychylił wódkę do dna. Potem charknął i splunął flegmą. Annuszka jęknęła, odwracając zakrwawioną głowę. Mikojan cisnął za siebie czapkę księżnej i zaczął powoli mocować bagnet na strzelbie.

Cienki, piskliwy krzyk przeszył noc. Zza drzew wybiegł Aleksiej.

— Nie... nie... nie... — krzyczał. — To księżna, *maman*, zostawcie ją, idźcie sobie...

Odwrócili się i wycelowali w małą postać potykającą się w biegu. Gorące łzy parzyły policzki Missie, ale nie śmiała się ruszyć, nie mogła zatkać uszu, by nie słyszeć ich okrutnego rechotu, kiedy złapali Aleksieja za kołnierz i podnieśli w górę jak wyrwijącego się szczeniaka, a on błagał ich, żeby zostawili jego matkę w spokoju.

— Aaa, oto i sam mały książę wołający za mamusią!

Mikojan przycisnął czubek bagnetu do piersi chłopca. Ciemnoszare oczy Aleksieja zrobiły się czarne ze strachu.

— Zostawcie mojego syna w spokoju — powiedziała Annuszka słabym głosem, siłąc się na możliwie władczy ton. — Albo przysięgam na Boga, że mój mąż każe was wychłostać. A potem zawiśnecie na najwyższym drzewie w Wariszni... Wszyscy...

Mikojan wybuchnął gromkim śmiechem.

— Patrz, księżę — zawołał, popychając Aleksieja w stronę matki. — Nauczysz się teraz czegoś, czego nigdy byś się nie dowiedział w domu, w swoich wspaniałych pałacach! Lekcja p r a w d z i e g o życia. Lekcja życia ludzi z tysiącletnim gniewem w sercach!

Aleksiej zadrzał, gdy Mikojan skoczył do Annuszki i jednym ruchem bagnetu przeciął jej piękną wełnianą suknię od góry do dołu.

Chłop zamilkł, wpatrzony w księżnę. Nigdy nie widział takiej kobiety — gładka, złocista skóra, cieniutki jedwab i koronki.

Annuszka zamknęła oczy, kiedy przeciągnął ręką po jej ciele i zacisnął dłoń na piersi. Nagle ryknął z wściekłością:

— Co my tu mamy!

Rozerwał jedwabny stanik i ukryte pierścionki i broszki rozsypały się po śniegu. Na moment zapadła cisza, po czym wszyscy z okrzykami radości rzucili się na błyszczący łup.

— Skarby, skarby... — wyśpiewywali, wpychając zdobycz do kieszeni i pociągając duże łyki wódki.

Ze śmiechem zdarli z Annuszki resztę ubrań, zerwali jej perły z szyi i uszu, odpruli podszewkę sobolowej czapki i wyciągnęli garść klejnotów. Gdy skończyli, księżna leżała naga na resztkach puszystego futra, drżąca z zimna, strachu i bólu.

— Daj chłopca bliżej — rozkazał Mikojan. Otoczyli Annuszkę z pożądaniem płonącym w oczach. Aleksiej stał cicho ze spuszczoną głową, przytrzymywany przez napastników, po jego twarzyczce spływały łzy. Mikojan zaczął rozpinąć spodnie. Missie zamknęła piekące oczy, nie mogła jednak nie słyszeć szyderczego rechotu, zwierzęcych pochrząkiwań, rozpaczliwych krzyków Annuszki i żałosnego wołania chłopca: „*Maman*, och, *maman*, *maman*... Wiedziała, że jeśli przeżyje tę noc, będzie ją pamiętać do końca życia.

Mężczyzn było sześciu, ale zanim przyszła kolej na ostatniego, Annuszka zamilkła, a potem wybuchnęła dzikim, szalonym śmiechem.

Missie знаła ten śmiech, słyszała go już wielokrotnie. Tym razem jednak ucieszyła się, zrozumiała bowiem, że księżna uciekła do własnego świata, do którego nikt nie miał dostępu i gdzie nikt nie mógł jej skrzywdzić.

— Przestań, ty suko! — wrzasnął leżący na niej mężczyzna, wpatrując się w nią zaskoczony, ale ona nadal się śmiała.

Mikojan uniósł strzelbę i wycelował między piwne oczy.

— Mówię ci, przestań — warknął. Lecz Annuszka go nie słyszała, tak samo jak nie usłyszała wystrzału. Kula rozłupała jej czoło i zmieniła twarz w krwawą miazgę.

Zrobiło się cicho, mężczyźni popatrzyli najpierw na Annuszkę, potem na Mikojana, ściskającego dymiącą broń. Człowiek, który trzymał Aleksieja, rozluźnił uchwyt, ale chłopiec nie uciekł. Stał nieruchomo, wpatrując się w odrętwieniu w to, co zostało z pięknej twarzy jego matki.

— No? — Mikojan wrzucił ramionami. — Który teraz? Jest jeszcze ciepła, a twarz do tego nie jest potrzebna.

Następny chłop rzucił się na Annuszkę, śmiejąc się grubiańsko.

Missie zaczęła modlić się za duszę księżnej i błagać o ratunek dla małego chłopca, choć zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby umarł.

Chłopi pili śmiejąc się głośno, więc nie słyszeli nadjeżdżających koni, usłyszała je natomiast Missie i z nadzieją skierowała wzrok w stronę lasu. Może to Misza jechał, by ją uratować?

Kapitan Rewolucyjnej Armii Ludowej miał około trzydziestki, był starannie ogolony i ubrany w porządny niebieskoszary płaszcz oraz futrzaną papachę. Towarzyszący mu dwaj młodzi mężczyźni mieli na sobie kozackie mundury i dosiadali pierwszorzędnych, zaprawionych w boju koni, najwyraźniej zdobytych na jakimś rozbitym regimencie kawalerii carskiej.

— Boże mój! — szepnął oficer, zapominając na chwilę, że już w Boga nie wierzy i że ma być lojalny tylko wobec nowej władzy i Lenina. Wyciągnął pistolet i cichym głosem rozkazał swoim ludziom zejść z koni, z bronią gotową do strzału. Nagle zobaczył Aleksieja.

— Czekajcie — powstrzymał ich szeptem. — Nie strzelać, tam jest dziecko.

Mikojan i pozostali wieśniacy leżeli rozwaleni na śniegu, wznosili sprośne okrzyki, śmiali się pijacko i patrzyli, jak następny chłop włazi na Annuszkę.

Kapitan z całej siły kopnął leżące najbliżej nieruchawe ciało.

— Wstawać! — ryknął. — Ręce na kark!

Zaskoczeni mężczyźni podnosili się z trudem. Następnym kopniakiem kapitan zrzucił chłopca, który leżał na Annuszcze, a dwaj porucznicy podnieśli karabiny i wycelowali.

Jakby wyzwolony z zaklęcia, Aleksiej krzyknął i podbiegł do Missie. Rzucił się na ziemię obok niej i chwycił w dłonie jej lodowate ręce.

— Missie, Missie — błagał — pomóż mi, proszę cię, pomóż mi, Missie, tak się boję...

Missie mocniej zacisnęła oczy. Bardzo pragnęła wziąć Aleksieja

w ramiona, przytulić go i pocieszyć, rozumiała jednak, że nowi przybysze są także wrogami. Innego rodzaju, ale wrogami. Mieli już Aleksieja, a gdyby się ruszyła, dostaliby także Ksenię. Wiedziała aż za dobrze, jaki los spotkałby oboje, zebrała więc siły i powiedziała sobie, że nie może chłopcu pomóc, nie wolno jej. Musi uratować przynajmniej Ksenię. Łzy Aleksieja parzyły jej ręce, ale modliła się w duszy, by wytrzymać i nie zareagować.

— Pijane śmierdzie! Powinniście zostać w chlewie razem ze świniami! — wrzasnął kapitan. — Ustawić ich w szeregu! — rzucił swoim ludziom.

Kolbami karabinów ustawili chłopów w nierównym rzędzie.

— Przyprawdźcie dzieciaka — rozkazał.

Kiedy postawili przed nim Aleksieja, twarz chłopca miała kolor popiołu, piękne oczy były pełne przerażenia. Kapitan obejrzał go od stóp do głów.

— Znałem twójego ojca — powiedział w końcu. — Gdybym mógł, oszczędziłbym ci przeżyć dzisiejszej nocy. Ale co się stało, to się nie odstanie i musisz to przyjąć jak mężczyzna. A teraz zobaczysz, jak Armia Ludowa pomści twoją matkę. — Spojrzał obojętnie na wystraszonych chłopów i wydał rozkaz: — Ognia!

Aleksiej zakrył rękami uszy, żeby nie słyszeć straszliwych krzyków i przekleństw, ale nie zamknął oczu. Patrzył, jak ciała wieśniaków widać się i podskakują, aż do ostatniego drgnienia. Potem podniósł głowę i w milczeniu spojrzał kapitanowi w oczy.

— Chodź — powiedział tamten wyciągając rękę. — Musimy jechać. — Aleksiej jednak podbiegł do matki, ukląkł, pięknym sobolowym płaszczem osłonił zakrwawione nagie ciało, ujął złodowacielką dłoń i okrył ją pocałunkami. Potem rzucił się na ziemię i zanurzył głowę w miękkim futrze, wdychając znajomy zapach fiołków. Obok Annuszki leżał pierścień z rubinem. Chłopiec instynktownie zacisnął na nim dłoń.

Z oddali doleciał ich odgłos potężnego wybuchu i niebo nad wysokimi świerkami zajaśniało pomarańczowym blaskiem.

— Kapitanie Sołowski, wysadzili Warisnię! — krzyknął młody porucznik.

— Głupcy! — zawołał gniewnie kapitan. — Tej hołoty nie można upilnować. Trzeba ich krótko trzymać, jeśli kiedykolwiek mamy osiągnąć nasz cel.

Aleksiej patrzył w milczeniu na płonące niebo. Jego twarz nie wyrażała już żadnych uczuć. Wsunął rękę do kieszeni i wypuścił pierścionek.

— Chodź — powtórzył Sołowski. — Musisz o tym zapomnieć. — Napotkał wzrok Aleksieja. — Masz przed sobą nowe życie — dodał bardziej stanowczo. — Kto wie, może i ty przyczynisz się do wielkości nowej Rosji. — Zaśmiał się. — Tak, może ty też staniesz się rewolucjonistą.

Aleksiej posłusznie poszedł za nim do koni. Kapitan posadził go w siodle przed sobą.

— Zostawcie ciała wilkom — rzucił do swoich ludzi.

Ruszyli w las.

Rozdział 3

Grigorij Konstantinowicz Sołowski przez całą drogę do Dworska trzymał chłopca przed sobą. Powoli jadąc w zamieci na południe, zrobili trzydzieści kilometrów. Wybrali zdradliwą, niemal niewidoczną ścieżkę, biegnącą wzdłuż torów kolejowych. Wszystko wokół zasypane było śniegiem i tylko semafor oraz dym z chatki dróżnika świadczyły o maleńkiej stacji należącej *do* rodziny Iwanowów. Sołowski cały czas powtarzał sobie, że jest głupcem.

Był oficerem niedawno utworzonej Armii Czerwonej. Surowe wychowanie zrobiło z niego twardego człowieka, w którego życiu nie było miejsca na sentymenty. Życie ludzkie, jego czy dziecka, nie miało znaczenia. Liczyła się tylko bolszewicka sprawa, lud rosyjski. Mimo to bezradna, przerażona buzia chłopca poruszyła w nim jakąś strunę. Z takim samym przerażeniem i bezradnością patrzył, jak jego trzej mali synowie umierali na tyfus w czasie epidemii cztery lata temu. Teraz miał już tylko jednego potomka i po prostu nie mógł zostawić następnego chłopca na śmierć.

Wiedział, że podejmuje ryzyko. Gdyby sprawa wyszła na jaw, pewnie by podano w wątpliwość jego oddanie rewolucji, ale nie sądził, by do tego doszło. Dowodził żołnierzami, którzy mieli za sobą koszmar wojny z Niemcami i wiedział, że tacy ludzie mówią mało i nie zadają pytań. Szansę przetrwania mieli tylko ci, którzy swoje przerażające wspomnienia zamknęli na zawsze w najdalszych zakamarkach umysłu. Ci, którzy pamiętali, tracili rozum.

Chłopiec będzie musiał zapomnieć, kim był, wymazać z pamięci swoje dotychczasowe krótkie życie. Stanie się osieroconym dzieckiem rewolucji i adoptowanym synem Grigorija i Natalii Sołowskich.

Sołowski pochodził z Syberii, gdzie ludzie byli silni i wytrzymali. Musieli tacy być, żeby przeżyć. Teraz jego dom znajdował się w małym

miasteczku Połock na Białorusi, w rodzinnej krainie jego żony. Życie było tam łżejsze, bardziej zielone. Ale podczas rzadkich okazji, kiedy odpoczywał z przyjaciółmi przy biesiadnym stole i licznych szklaneczkach wódki, zawsze przypominał im o swoim rodowodzie. Gdy mocny alkohol zaczynał uderzać mu do głowy, wstawał z trudem i powtarzał stare powiedzenie:

— Na Syberii minus czterdzieści stopni to żaden mróz. — Przerywał, rozglądał się po słuchaczach skupiając na sobie ich uwagę. — Sto kilometrów to żadna odległość, pół litra wódki to żadna ilość. — Podnosił szklanke, żeby mu ją napełniono, i dodawał z uśmiechem: — A czterdziestolatka to żadna kobieta. — Potem wśród śmiechu i okrzyków uznania jednym haustem wychylał wódkę.

Przypomniał sobie teraz to powiedzenie, przedzierając się na koniu przez zasy. Padający śnieg natychmiast zamarzał, zwierzę ślizgało się i potykało rżąc cicho i rozglądając się ze strachem. Sołowski spojrział na swoich ludzi: trudno było ich rozpoznać pod warstwą szronu. Wzruszył ramionami. W młodości przeszedł gorsze zawieruchy.

Ciaśniej owinał połą płaszcz nieruchomego chłopca, niepewny, czy dziecko jeszcze żyje. Kiedy tak jechali powoli przez lodowatą noc, rozmyślał o własnym dzieciństwie i o dziwnych kolejach życia, które sprawiły, że właśnie teraz on, wieśniak z dziada pradziada, trzymał w rękach los jednego z największych ksiąząt Rosji.

Grigorij urodził się pod koniec poprzedniego wieku jako piętnaste dziecko chłopca, którego rodzina żyła w tej samej wiosce od niepamiętnych czasów. Poprzez kolejne małżeństwa Sołowscy byli spokrewnieni ze wszystkimi mieszkańcami wsi i ojciec Grigorija również poślubił swoją kuzynkę. Spłodził szesnaścioro dzieci, z których pięcioro przeżyło, ale jego żona nie doczekała wnuków. Wyszła za mąż mając lat szesnaście, zmarła, kiedy miała trzydzieści pięć, i wyglądała jak staruszka.

Rodzina mieszkała w chacie, którą ojciec Grigorija zbudował dla swej oblubienicy ze spławianych rzeką pni z wyrębów w dalekich, ciągnących się w nieskończoność lasach północy. Najbliższe miasto, Nowosybirsk, składało się z kilkunastu drewnianych chałup na brzegu Obu, a jedynym powodem jego istnienia była niedawno wybudowana kolej transsyberyjska, która w tym miejscu przecinała rzekę.

Jedno z pierwszych wspomnień Grigorija dotyczyło dnia, w którym ojciec zabrał go na stację, żeby pokazać mu drobnego, szczupłego mężczyznę z brodą. Mężczyzna popatrzył na ponury krajobraz i kilku obserwujących go wieśniaków, po czym zatrzymał wzrok na chłopcu. Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Twarz mężczyzny rozjaśnił smutny uśmiech.

— Synu, jesteś przyszłością Rosji. Nigdy o tym nie zapominaj — powiedział.

Gdy pociąg odjechał, ojciec wyjaśnił chłopcu, że mężczyzną tym był Władimir Iljicz Lenin, w drodze na zesłanie. Po wielu latach, będąc już studentem, Grigorij przeczytał, co Lenin napisał o Syberii: *Dzikiie pustkowia, bez wsi i bez miast...*

Obie starsze siostry Grigorija wyszły za mąż za flisaków i wyprowadziły się na północ. Więcej ich nie zobaczył. Jego bracia pożenili się z kuzynkami i osiedlili w rozwijającym się Nowosybirsku. Obaj pracowali na kolei i ośmioletni Grigorij widział, że wcale nie powodziło im się lepiej niż ojcu.

Chociaż Grigorij nie miał okazji zakosztować innego życia, coś mu mówiło, że szara chłopska codzienność to nie wszystko. Czasami stawał przy wielkim moście kolejowym łączącym brzegi Obu i zastanawiał się, kto go zbudował i gdzie się tego nauczył. Patrzył na nieliczne pociągi z Moskwy sunące powoli na drugą stronę rzeki i machał, dopóki nie zniknęły mu z oczu, zostawiając go rozmyślającego o pasażerach, których twarze dostrzegł przelotnie. Ci ludzie pochodzili z innego świata, jeździli pociągami wyruszającymi z wielkich miast. Grigorij nie wiedział nawet, jak wygląda takie miasto. W nocy wsłuchiwał się w daleki gwizd lokomotywy rozbrzmiewający żałobnie na syberyjskiej równinie, a kiedy w końcu zasypiał, słyszał go również w snach.

Zgodnie z tradycją, w wieku sześciu lat zaczął pasać krowy razem z innymi wiejskimi chłopcami. Kiedy skończył osiem, awansował i zajął się końmi. Po ukończeniu szesnastu miał być przyjęty do grona starszych, czyli uznany za dorosłego. Dziewczętom przypadał w udziale inny los. Spełniały w domu różne posługi, przynosiły wodę z rzeki, zbierały chrust i pomagały matkom w gospodarstwie. W wiosce Grigorija nigdy nie było szkoły, ale w Nowosybirsku wybudowano jedną dla dzieci pracowników administracyjnych zatrudnionych na kolei.

W pewien zimowy poranek chłopiec wyruszył w dwudziestokilometrową drogę do miasteczka i stanął w drzwiach małego drewnianego domku, w którym mieściła się szkoła. *Kłassnaja dama* popatrzyła na niego ze zdumieniem. Niewysoki jak na swój wiek, miał krępe ciało i silne nogi. Ubrany był w tradycyjną koszulę ze stójką i pumpiaste spodnie, na wierzchu miał coś, co udawało płaszcz, a na nogach filcowe buty przywiązane do łydek brzozowymi wtkami. Poranny mróz oszronił mu gęste brwi. Spojrzał na nauczycielkę ciemnymi oczyma i powiedział, że chce się uczyć.

— Czego chcesz się uczyć, synku? — zapytała z uśmiechem.

W ciepłe bijącym od pieca roztopił się szron z jego brwi i pokrył mu twarz kropelkami wody, ale Grigorij nawet tego nie zauważył.

— Wszystkiego — odparł po prostu.

Nauczycielka westchnęła z satysfakcją. Rok pracy z gromadką opornych uczniów, którzy zimą woleli jeździć na sankach i rzucać śnieżkami, a w cieplejsze dni lata moczyć się w rzece, zniechęcił ją do wykonywanego zawodu. Nareszcie jednak znalazł się ktoś, kto naprawdę chciał się uczyć.

Przygotowano dla Grigorija miejsce w maleńkim domku nauczycielki, gdzie w zimie spał na wąskiej drewnianej półce nad piecem, a w lecie na werandce. *Klassnaja dama* uczyła go czytać i pisać, a kiedy opanował już te dwie umiejętności, przeszła do geografii i historii, otwierając przed nim świat. Matematyką i innymi przedmiotami ścisłymi gimnastykowała mu umysł. W zamian za to przynosił jej wodę i drwa, nie zważając na szyderstwa innych dzieci, że wykonuje „dziewczyńskie” prace. Od czasu do czasu jego ojciec zostawiał na progu zawiniątka ze świeżymi jajkami i masłem.

Kiedy miał prawie trzynaście lat, *klassnaja dama* uznała, że nauczyła go wszystkiego, czego mogła, lecz jemu było mało. Złożyli więc podanie o przyjęcie do szkoły w Moskwie, po czym nauczycielka osobiście odwiozła swego pupilka do miasta. Najpierw jednak zabrała go do miejscowego krawca, przedsiębiorczego Żyda, który założył własny zakład, kiedy Nowosybirsk zaczął się powoli rozwijać. Kazała uszyć chłopcu pierwsze przyzwoite spodnie i płaszcz. Zarumieniony z dumy Grigorij przysiągł, że kiedyś spłaci dług.

Czując się niepewnie w nowym, miejskim ubraniu, wsiadł do pociągu, który przejeżdżał obok jego życia przez tyle lat. Nauczycielka odstawiła go do szkoły, ucałowała serdecznie na pożegnanie wśród ciekawskich spojrzeń kolegów i pojechała z wizytą do swojej rodziny w Petersburgu. Grigorij został sam, przerażony nowym miejscem.

Zmienił strój na niebieskoszary mundurek, przerażenie ukrył pod maską agresywności. Zawsze jednak czerwienił się ze złości, kiedy słyszał, jak dziewczęta, ubrane w brązowe sukienki i czarne fartuszki, zasłaniają dłońmi usta i chichoczą na widok nowego — „dzikusia z zapadłej dziury”.

Miesiąc później jego ukochana *klassnaja dama* zginęła w katastrofie kolejowej pod Moskwą i Grigorij także zapragnął umrzeć. Była jedynym ogniwem łączącym przeszłość z jego nowym życiem; kiedy został sam, nie umiał sobie poradzić ani z jednym, ani z drugim. Z pomocą przyszła mu ogromna wrodzona ambicja i głód wiedzy.

Przetrwał szkołę trzymając się z dala od innych, nie zwracając uwagi na zaczepki eleganckich dzieci z miasta. Zostawiły go w końcu w spokoju. W wieku osiemnastu lat, nadal samotny, uzyskał stypendium i wstąpił na politechnikę w Petersburgu. Studiowali tam głównie młodzi ludzie z rodzin szlacheckich, wojskowych lub inteligenckich, niewielu było synów robotników, a jeszcze mniej chłopów. Grigorij nie zadawał się z żadnym z nich, ale gryzła go ponura zazdrość, kiedy patrzył, jak beztrzesko traktowali studia i wydawali w jedną noc więcej pieniędzy na alkohol i cygańskie dziewczęta, niż on kiedykolwiek miał w kieszeni. Właśnie wtedy uświadomił sobie, że on i inni jemu podobni — a było ich coraz więcej — tworzą nową klasę, i zrozumiał, że kiedyś staną się siłą, z którą trzeba będzie się liczyć.

Młody Grigorij stał się gorliwym wyznawcą nowej ideologii. Z zapałem wczytywał się w dzieła Marksa i Engelsa, Trockiego i Lenina. To on był człowiekiem, do którego tamci przemawiali: chłopem, który dzięki ciężkiej pracy i wykształceniu wspiał się wyżej. To jego rozum i umiejętności będą potrzebne Socjaldemokratycznej Partii Pracy, kiedy nadejdzie czas rewolucji. Wstąpił do Partii i wkrótce zaczęto mu powierzać drobne obowiązki administracyjne; pracowitością i poświęceniem zdobył uznanie przywódców okręgu.

Kiedy ukończył politechnikę z tytułem inżyniera, dostał pracę w spółce kolejowej w Moskwie. Wreszcie umiał budować mosty, o których śnił jako chłopiec. Ale tamten sen zmieniał się powoli w marzenie o nowej Rosji należącej do ludu, w której zniknęłyby wszystkie różnice społeczne.

Coraz aktywniej działał w Partii, objeżdżał kolejne okręgi, werbował członków, zachęcał lokalne komitety robotnicze, czyli „rady”, do walki o swoje prawa. Przywódca bolszewików, Lenin, mężczyzna widziany na ponurej stacji na Syberii dwadzieścia lat wcześniej, stał się jego bożyszczem.

Podczas jednej z takich podróży poznał Natalię. Miała szesnaście lat — tyle samo, ile jego matka w dniu ślubu — i chłodna, białą skórę, różowe policzki oraz jasne włosy typowe dla białoruskich dziewcząt. Natalia stała się jego drugą obsesją. Nieważne, że była niewykształcona. Zakochał się bez pamięci w jej pulchnej, młecznej urodzie. Wystarczyło mu, że mógł dotknąć gładkiej skóry, pocałować czerwone usta niewinne jak jego własne, przeczesać palcami grube żółte włosy. Jej rodzina wiedziała, że jest świetną partią dla Natalii i w ciągu miesiąca wzięli ślub.

Grigorij zabrał młodą małżonkę do ponurego pokoju, który był jego „domem” w Moskwie. Wiejska dziewczyna robiła, co mogła, by przystosować się do życia w wielkim mieście. Trzymała w pogotowiu staroświecki samowar, by móc podawać herbatę „przyjaciołom” męża przychodzącym na zebrania, ale oni woleli wódkę. Nie miała pojęcia, co znaczą ich rozmowy o „anarchii”.

Grigorij dużo podróżował i często zostawała sama. Widział, że jest nieszczęśliwa, więc po kilku miesiącach, kiedy nosiła już w łonie ich pierwsze dziecko, zabrał ją z powrotem do rodziny na Białorusi i przyjeżdżał, jak tylko mógł najczęściej. W niedługim czasie przyszli na świat po kolei czterej synowie. Grigorij był szczęśliwy, w miarę upływu lat wzrastał też jego prestiż w Partii. Wtedy doszło do tragedii: epidemia tyfusu pochłonęła tysiące ofiar, w tym trzech jego synów. Ocalał tylko najmłodszy, Borys.

W 1914 roku Rosja przystąpiła do wojny z Niemcami i Grigorija powołano do wojska. Ze względu na wykształcenie i umiejętności jeździeckie mianowano go podoficerem kawalerii. Ponieważ Rosja ponosiła wielkie straty, błyskawicznie awansował na kapitana. Gniewało/ go bezsensowne marnowanie życia, jakie widział co dzień na froncie. Wąskie, błotniste drogi w całej Rosji zapchane były wozami z zaopatrzeniem, które nigdy nie docierało na miejsce, a jego ludzi wycinał w pień wróg. Zmarznięci, głodni żołnierze ginęli od kul lub umierali na dyzenterię, on zaś nie mógł nic na to poradzić.

Rewolucję, do której się tak długo przygotowywał, rozpoczęły w lutym 1917 roku zamieszki w Petersburgu, wywołane brakiem chleba i węgla. Po powrocie z frontu Grigorij pomagał formować nowe Żołnierskie Rady Robotnicze. Wkrótce cara Mikołaja zmuszono do abdykacji. Jednak wraz z upływem kolejnych miesięcy okazało się, że nowy rząd nie jest w stanie poradzić sobie z niedoborem żywności. Wrócił Lenin i pod jego przywództwem rozpoczęła się Rewolucja Październikowa.

Grigorij został przedstawiony swojemu bohaterowi. Lenin był dokładnie taki, jakim go zapamiętał, błydy, brodaty, drobny, o bystrym spojrzeniu, które zdawało się przenikać człowieka na wskroś. Zrozumiał wtedy, że w razie potrzeby odda za niego życie, był bowiem przekonany, iż tylko Lenin może uratować Rosję.

Spojrzał na skulonego pod płaszczem chłopca. Teraz udowodni sam sobie, że można zrobić rewolucjonistę nawet z arystokraty.

„Miasto” Dworsk składało się z kilku drewnianych domów rozstawionych wzdłuż torów kolejowych. Grigorij zakwaterował się nad piekarnią, bo chociaż piekarz miał bardzo skąpy przydział mąki na chleb, było tam przynajmniej ciepło i zawsze znalazła się miska gorącej kartoflanki z kawałkiem gorzkiego razowca oraz jedna lub dwie szklaneczki bimbru do popicia. Ludzie Sołowskiego mieli spać w piekarni na podłodze. Kazał im się ogrzać i posilić, a sam pojechał na stację. Osobowy do Petersburga powinien przyjechać o siódmej wieczorem, ale siódma minęła, a pociągu ani śladu. Naczelnik stacji nie miał żadnej łączności ze światem, nikt więc nie wiedział, kiedy się spodziewać pociągu — mogła to być kwestia godzin, dni, nawet tygodni.

Przykazawszy naczelnikowi, żeby go niezwłocznie zawiadomił w razie otrzymania jakichś wiadomości, Grigorij wrócił do piekarni i wniósł Aleksieja na górę do pokoju, gdzie położył go na małym żelaznym łóżku, na którym sam miał spać. Twarz chłopca była kredowobiała, ręce zimne jak lód, ale oczy miał szeroko otwarte, zastygłe z przerażenia.

Grigorij usiadł obok niego na łóżku i odezwał się cicho po angielsku. Był to pierwszy język dzieci z dobrych domów, on nauczył się go na politechnice.

— A więc, młody człowieku... — zaczął — młody człowieku, bowiem po ostatniej nocy trudno nazywać cię chłopcem. Teraz musimy patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość. — Podniósł głos: — Chcę, żebyś zapomniał o tym, co widziałeś. Twój ojciec i matka nie żyją. Nie jesteś już synem Miszy Iwanowa. Jesteś teraz moim synem i nazywasz się Siergiej... Siergiej Sołowski. Rozumiesz?

Aleksiej skinął głową, wpatrując się w Grigorija wielkimi szarymi oczami swego ojca.

Nie tylko oczy chłopca przypominały księcia Miszę Iwanowa, którego Sołowski często widywał w Dumie, i kapitan bał się, że ktoś mógłby rozpoznać małego. Znow zaczął się zastanawiać, czy postępuje słusznie, ale powiedział sobie, że za późno już na odwrót, po prostu będzie musiał ukryć chłopca na jakiś czas. Podniecał go ten eksperyment. Miał zamiar odwrócić naturalny porządek rzeczy. Sam był szarym człowiekiem, który dzięki wykształceniu stał się członkiem nowej elity. A teraz spróbuje zmienić w szarego człowieka to młode książętko — i zobaczy, co z tego wyjdzie.

Kazał chłopcu iść spać i zmuchnął świecę. Owinął się płaszczem, wyciągnął na podłodze obok łóżka i natychmiast zasnął.

Rozdział 4

Genewa

Cal Warrender wpatrywał się w kieliszek szampana. Luksusowy bar w hotelu „Beau Rivage” był dyskretnie oświetlony, a za oknami płatki śniegu wirowały na wietrze, by w końcu osiąść na miękkich białych zaspach. Z powodu niespodziewanej burzy zamknięto lotnisko w Genewie, tak więc Cal miał w perspektywie samotną kolację z przykrą świadomością, że nie udało mu się zdobyć szmaragdu Iwanowów. Pokonał go jakiś sprytniejszy rywal.

Kilka metrów od niego, przy barze, siedział Valentin Sołowski i w milczeniu popijał wódkę z dwoma innymi Rosjanami. Wyglądali równie smętnie jak Cal, który pomyślał, że Valentin też pewnie nie kupił klejnotu i tak samo zgubił ślad prowadzący do „Damy”. Ale jeśli nie Rosjanie, to kto kupił szmaragd Iwanowów?

Wiedział, że Valentin jest tu z tych samych powodów co on: żeby odnaleźć „Damę”. I obaj wiedzieli, że nie chodzi o pieniądze, tylko o kopalnie.

Kiedy księżę Iwanow przed wielu laty spotkał maharadżę, kupił od niego ziemię w Radżastanie. Wkrótce odkrył, że tereny te zawierają cenne pokłady wolframu, pierwiastka używanego do utwardzania stali, i zdał sobie sprawę z ich wartości dla dopiero co zmechanizowanego świata. Jednak po rewolucji Rosjanie przejęli kopalnie, twierdząc, że mają dokumenty podpisane przez księcia Miszę Iwanowa, przekazujące je nowej Republice Rad. Ogłosili, że tak czy inaczej wszystko należy teraz do państwa, więc i kopalnie również. Zakwestionowano wówczas autentyczność owych papierów, lecz ponieważ żaden członek rodziny Iwanowów nie upomniał się o swoją własność, nic w tej sprawie nie zrobiono. Chociaż kopalnie były cenne, nigdy nie wydawały się reszcie świata aż tak ważne. Niedawno jednak odkryto, że oprócz wolframu zawierają olbrzymie ilości

pewnych pierwiastków niezbędnych dla nowoczesnego przemysłu — zwłaszcza zbrojeniowego — i teraz cały świat gotów był walczyć o prawo do eksploatacji kopalń.

Cal wiedział, że Rosjanom rozpaczliwie potrzebny jest podpis jakiegoś Iwanowa na akcie własności jako niepodważalny dowód słuszności ich roszczeń. Jeśli znajdą „Damę” pierwsi, zdobędą go i ponownie staną się potęgą wzbudzającą największy strach.

Pociągnął łyk szampana — który miał go rozweselić, może też wprowadzić Rosjan w błąd, by myśleli, że świętuje zakup szmaragdu — i zadumał się nad wydarzeniami ostatnich kilku tygodni. Dostał wolną rękę w prowadzeniu własnego dochodzenia oraz poszukiwań tajemniczej właścicielki klejnotu Iwanowów. Nie zwracał się do żadnych szyszek z CIA, nie wymagał pomocy od FBI... chciał tę sprawę zatrzymać dla siebie. Rozumiał jej znaczenie i wiedział, że może wynieść go na samą górę drabiny politycznej. Poza tym był już na tropie.

— To proste — powiedział beztrzesko na zebraniu. — Muszę tylko znaleźć tych najlepszych szlifierzy. Będą znali właściciela.

Zaczął się jak zabawa. Najpierw pojechali do Amsterdamu, gdzie rozmawiał z Peterem van Stalte, seniorem wśród szlifierzy. Van Stalte powiedział, że w tym mieście szmaragdu nie widziano, lecz on i tak nie wzięłyby tej roboty.

— Zbyt ryzykowne — stwierdził marszcząc brwi i szarpiąc szpiczastą bródkę. — Najpewniejsza ręka w Amsterdamie nie gwarantowałaby sukcesu.

W Jerozolimie Izraelczycy powiedzieli mu, że również nie widzieli szmaragdu i nigdy nie podjęliby się jego przecięcia. Twierdzili, że jest tylko jeden człowiek, który mógłby spróbować i może by mu się udało. Gerome Abyss. Ale Abyss dawno temu zniknął z Paryża i jubilerskiego świątka po serii afer z brylantami. Podnosząc zwinietą dłoń do ust, rozmówca Warrendera dodał:

— Szkocka whisky, oto co wykończyło Gerome Abyssa. Podobno wyjechał do Hongkongu czy do Singapuru. A może do Bangkoku?

Cal dowiedział się od Interpolu, że ostatni raz widziano Abyssa w Bangkoku, jednym z głównych ośrodków szlifowania kamieni na Dalekim Wschodzie, lecz dalsze poszukiwania utknęły na nędznej uliczce w dzielnicy Patpong. Znalazł się przed obłazającymi z farby drzwiami, do których przypięto pinezką poplamioną wizytówkę. Nikt nie odpowiedział na dzwonek, ale ktoś z gabinetu lekarskiego na pierwszym piętrze poinformował go, że nie widziano tu Abyssa od tygodni. Przez dwa dni chodził od baru do baru po cuchnących

uliczkach w sąsiedztwie, żeby znaleźć właściciela budynku, a kiedy już mu się udało, pożałował, że w ogóle zaczął.

Spotkali się w biurze na tyłach oświetlonego neonami „salonu masażu” z barem. Z ogromnych głośników płynęła dyskotekowa muzyka, na małej scenie letargicznie przesuwali się półnagie dziewczęta, obrzucane łakomymi spojrzeniami klientów. Kiedy Cal zapytał o właściciela sąsiedniej kamienicy, z mroku wyłonili się nagle dwaj muskularni strażnicy, złapali go bez słowa za ręce i pociągnęli szybko przez korytarz za barem, obok „masażystek” porozwalanych przed pokojami z lichymi zasłonkami zamiast drzwi. Dziewczyny paliły papierosy i plotkowały w oczekiwaniu na chwilę, kiedy będą mogły się wykazać swoimi umiejętnościami. Jedna zaczęła Cala, gładząc prowokacyjnie swe nagie wdzięki.

— Niech mnie pan wypróbuje, będzie panu dobrze — zaproponowała chichocząc, kiedy dwaj goryle wypychali go do pomieszczenia na tyłach budynku.

Mocne perfumy dziewczyn nie zdołały przyćmić mdlącego zapachu potu, moczu i silnego środka dezynfekującego. Cal odetchnął z ulgą w biurze, gdzie powietrze było jedynie stęchłe, i spojrzał na małego człowieczka siedzącego za ogromnym biurkiem. Miał przed sobą Laotańczyka w nieokreślonym wieku, o gładkiej, żółtawej skórze i oczach tak wąskich, że nie można było zobaczyć ich koloru ani odgadnąć wyrazu. Był malutki, w drobnych dłoniach trzymał sznurek bursztynowych koralików, którymi bawił się bez przerwy, a olbrzymie, rzeźbione krzesło z drewna tekowego sprawiało, że wydawał się jeszcze mniejszy. Dwaj inni goryle stali po bokach krzesła. Cal poczuł nagle suchość w ustach. Zdawał sobie sprawę z istnienia podziemia kryminalnego w Bangkoku, nie spodziewał się jednak, że się z nim zetknie. Ci ludzie nie żartowali i można było mieć pewność, że zajmują się innymi sprawami, niż Cal. Byli dostawcami narkotyków, alfonsami, lichwiarzami...

— Mam sprawę do pana — powiedział grzecznie. — Szukam szlifierza nazwiskiem Abyss.

Laotańczyk przyglądał mu się w milczeniu przez minutę, po czym zapytał wysokim, piskliwym głosem:

— Dlaczego?

— Dlaczego...? — powtórzył Cal niepewnie.

— Dlaczego szukasz Abyssy? Jest ci winien pieniądze?

— Nie, nie. Abyss nic mi nie jest winien. Mam... mam dla niego pracę.

— Pokaż mi kamień, który ma przeciąć.

— Kamień? — Cal czuł, jak na karku zbiera mu się pot, i zadawał sobie pytanie, jakim cudem się w to wpackował. — Zostawiłem go w Amsterdamie. Niezwykły egzemplarz. Powiedziano mi, że tylko Abyss da mu radę.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Cal patrzył na Laotańczyka i wyrzucał sobie, że tak idiotycznie wpadł.

— Kłamiesz — powiedział w końcu tamten cienkim głosem. — Abyss to pijak. Jego szlifierska kariera skończyła się wiele lat temu. Ostatnio na szlifowaniu małych kamyków dla tanich sklepów zarabiał tylko tyle, by mu starczyło na picie. Za mało, żeby uregulować swoje długi. Pan Gerome Abyss zniknął dwa miesiące temu, nie uiszczając opłaty za pewne usługi. Było to... karygodne zaniedbanie. — Jego uśmiech był równie wąski i bez wyrazu jak jego oczy: — Mój poborca pozwolił Abyssowi wykręcić się od płacenia, a to jest wbrew moim zasadom. Rzecz jasna z poborcą już załatwiłem sprawę. A pan Abyss... no cóż, jest mi winien w sumie tysiąc dolarów. Oczywiście nie jest to dużo... jednak nikt, nikt nigdy nie wywinie się od płacenia należności mojej organizacji. Ale skoro Abyss jest twoim przyjacielem, co byś powiedział na zapłacenie jego długów? Nazwijmy to grzywną, dobrze? A w zamian powiem ci, co wiem.

Cal spojrział na mężczyznę ze zdziwieniem. Czyżby zamierzali zabić Abyssa za tysiąc dolarów? A może już to zrobili? Po tych draniach wszystkiego można się spodziewać...

— Tysiąc dolarów? — zapytał, sięgając do kieszeni po portfel.

Zbir stojący obok złapał go za rękę. Poczul gładką, zimną stal noża na szyi.

— Powiedzmy... z procentem: tysiąc pięćset — zasugerował Lao-tańczyk z uśmiechem.

Cal skinął głową i Lao-tańczyk nieznacznym gestem małej dłoni kazał go puścić.

Odetchnąwszy z ulgą, że nie skończy jako kolejne bezimienne ciało wyłowione z głębin rzeki Chao Phraya, Cal odezwał się nerwowo:

— Bierzecie czeki, chłopcy? Tylko żartowałem — dodał pospiesznie, widząc, że Lao-tańczyk gniewnie mruży oczy i zaciska cienkie usta.

— Półtora tysiąca, tak? — wyjął z portfela piętnaście studolarych banknotów i położył je na stole. — Czy teraz powie mi pan, gdzie jest Abyss?

Laotańczyk machnął ręką na jednego z goryli, żeby schował pieniądze, i powiedział:

— Poszliśmy śladem Abyssa z Kuala Lumpur do Singapuru, a potem do Dżakarty, gdzie, jak dowiedziałem się od moich infor-

matorów, starał się dostać na statek do Stambułu. Na tym zakończyłem poszukiwania. A skoro dług został spłacony, nie muszę ich kontynuować. Do widzenia, panie Warrender.

Kiedy goryle chwycili Cala za ramiona i pociągnęli z powrotem przez korytarz, zaczął się zastanawiać, skąd Laotańczyk znał jego nazwisko. Cóż, prawdopodobnie dowiedział się, że rozpytywał o Abysa i uznał, że należy go sprawdzić. Tacy ludzie nie pomijali niczego.

Szybko minęli masażystki wyglądające w milczeniu zza zasłonek i znaleźli się w barze z niebiesko-czerwonym neonem i głośną muzyką. Ktoś pchnięciem w plecy pomógł Calowi wylądować na ulicy.

Najbliższym samolotem poleciał do Stambułu, starożytnego miasta zwanego dawniej Konstantynopolem, a jeszcze wcześniej Bizancjum. Padał deszcz, przepiękne domy i minarety tonęły w zawieszonych nisko szarych chmurach. Nawet Bosfor był przynębiająco bury.

Wokół przystani zgromadziły się nędzne radzieckie frachtowce i rdzewiejące kutry tureckie, które już dawno powinny iść na złom. Łąd i morze zlewały się w upiornej, siwej mgle. Gęsty, drobny deszcz przemoczył Cala na wylot, kiedy szedł wzdłuż doków i szukał pewnego urzędnika imigracyjnego. Według Interpolu człowiek ten mógłby mu pomóc, oczywiście za opłatą. Gdy w końcu do niego dotarł, kolejne dwa ponure dni spędził na przekopywaniu się przez papiery, zanim znalazł to, czego szukał.

Porównał zdjęcie mężczyzny widniejące w dokumentach imigracyjnych z fotografią dostarczoną przez Interpol. Nie było wątpliwości, że to ta sama okrągła twarz z fałdami tłuszczu, błyszcząca od potu w gorącym świetle lamp fotograficznych, z małymi oczkami i mięsistymi ustami. Przerzedzone włosy przefarbowane zostały na dziwny czerwony kolor, nowym elementem okazały się wąsy, ale nazwisko potwierdziło tożsamość mężczyzny. Gerome Abyss nie był zbyt pomysłowy, nazwał się po prostu „panem Gerome”. Georges Gerome, francuski producent odzieży z Nimes. Celem jego wizyty w Stambule miało być nawiązanie kontaktów z wytwórcami tureckiej bawełny, którą mógłby sprzedać w Europie. Przy nazwisku figurował adres małego hotelu w centrum.

Cal spisał wszystkie informacje, wsadził do kieszeni zdjęcie Abysa, położył na stole dodatkowe pięćdziesiąt dolarów dla urzędnika i ruszył do hotelu.

Parę słów zamienionych z recepcjonistą i kolejne pięć dych załatwiły mu zgodę na przejrzenie listy gości z ostatnich dwóch miesięcy, ale

żaden pan Gerome się tu nie zameldował. Kilka dyskretnych pytań i Cal upewnił się, że nikt podobny do Abyssa nie przestąpił progu hotelu. Znalazł się w punkcie wyjścia.

Na tyłach ocienionych drzewami bulwarów nowego Stambułu znajdował się labirynt wąskich, średniowiecznych alejek, pełen walących się drewnianych domów i tajemniczych, ciemnych podwórzy. W tym mieście łatwo było zniknąć z powierzchni ziemi. Jedno nie ulegało wątpliwości: Abyss nie będzie już pracował. Zapłacono mu hojnie za przecięcie szmaragdu Iwanowów, więc najprawdopodobniej wydawał teraz wszystko na dobrą szkocką i zapijał się na śmierć. Tak czy owak, Cal zabrnął w ślepą uliczkę.

A teraz tkwił bez szmaragdu w zasypanej śniegiem Genewie i nadal nie miał pojęcia, kto jest — ani kto był — właścicielem klejnotu. Obrzucił zamyślnym spojrzeniem Valentina Sołowskiego, który wciąż pił przy barze z dwoma Rosjanami. Valentin zdecydowanie się różnił od swoich towarzyszy. Nie dlatego, że był znacznie wyższy; z jego postawy i zachowania przebijało coś z dawnej Rosji. Pewność siebie połączona z dobrym wychowaniem, stwierdził Cal. Rosyjski dyplomata obejrzał się nagle i odwzajemnił jego spojrzenie. Bez uśmiechu skinął Amerykaninowi głową, po czym odwrócił się do baru i zamówił następną kolejkę wódki. Znali się tylko z widzenia, choć Cal uważał, że chyba wie o Sołowskim więcej, niż Sołowski o nim.

Valentin Sołowski od wczesnej młodości był przygotowywany do objęcia wysokiego stanowiska i już w wieku trzydziestu sześciu lat wyrobił sobie pozycję w służbie zagranicznej. Pracował jako *attache* prasowy ambasady radzieckiej w Paryżu, *attache* wojskowy w Londynie, a ostatnio *attache* kulturalny w Waszyngtonie. Paryż, Londyn, Waszyngton — tylko najlepsze placówki dla syna członka Politbiura, marszałka Siergieja Sołowskiego, i bratanka szefa KGB, straszego Borysa Sołowskiego, dumął Cal kończąc swego szampana. Nepotyzm kwitnie nawet w ludowym Kraju Rad.

Valentin popatrzył w stronę drzwi. Cal również skierował tam wzrok. Przy wejściu do baru stała Genie Reese. Wyglądała pięknie, ale humor miała kiepski, nie uśmiechała się.

Cal kilkakrotnie spotkał Genie na konferencjach prasowych w Białym Domu i na waszyngtońskich przyjęciach. Wiedział, że była świetną reporterką. Bystra, zawsze dobrze przygotowana, nie manipulowała materiałami, była uczciwa i szczerza. Poza tym należała do najatrakcyjniejszych przedstawicielek waszyngtońskiej prasy. Zauważył, że ten szczegół nie umknął również Sołowskiemu.

Zawołał ją, kiedy przechodziła obok, kierując się do stolika przy zaśnierzonym oknie.

— Chyba nie chcesz pić w samotności, Genie? — Wskazał butelkę szampana stojącą w kubełku na stoliku. — Może się przyłączysz?

Zawahała się, w błękitnych oczach mignęło niezdecydowanie, po czym odparła:

— Dzięki, ale chcę przez chwilę być sama. Muszę pomyśleć.

— A kto nie musi — mruknął Cal, opadając z powrotem na krzesło. Patrzył, jak siada przy pustym stoliku, odgarnia do tyłu jasne włosy i prosi kelnera o sok pomarańczowy z lodem. Tak „bez prądu”? — pomyślał zdziwiony. Dzień pracy już się zakończył i większość dziennikarzy osuszała butelki, jakby jutro miało zabraknąć alkoholu. Genie Reese musiała mieć do przemyślenia naprawdę poważne sprawy.

Westchnął i napełnił sobie kolejny kieliszek. Szkoda, że odmówiła mu swego towarzystwa. Zauważył, że Sołowski odwrócił się do baru i uważnie słucha tego, co mówi jeden z jego rodaków. Zerknął na zegarek. Ósma trzydzieści, chyba za wcześnie na kolację. A niech tam, ma to gdzieś, jest głodny. Pozdrowił Genie i Sołowskiego skinieniem głowy, po czym ruszył w kierunku restauracji.

Rozdział 5

Genie patrzyła na odchodzącego od baru Cala. Jest w dobrej formie, pomyślała, żadnego brzuszka od zbyt obfitych służbowych obiadków i przyjęć u waszyngtońskich polityków.

Wiedziała, że na waszyngtońskim rynku matrymonialnym Cal Warrender uważany jest za świetną partię. W odpowiednim wieku, z nikim nie związany, heteroseksualista. Wysoki, przystojny, o spokojnych brązowych oczach, kręconych czarnych włosach i dobrze umięśnionym ciele. Mówiono, że pnie się w górę. Czegóż więcej może chcieć kobieta? Ale Genie czuła przez skórę, że Cal na pierwszym miejscu stawia pracę. Tak jak ona kochał to, co robił.

Zerknęła na towarzystwo przy barze. Rozpoznała korespondenta hiszpańskiego czasopisma „Hola”, kilka bardzo szykownych Francuzek, które zauważyła na aukcji, i parę innych znanych z widzenia osób, które jej nie interesowały, ponieważ były tylko bogate. Nie oszukujmy się, powiedziała sobie z westchnieniem, jesteś stworzeniem politycznym, i to tak samo ambitnym jak Cal Warrender.

Zmrużyła oczy na widok wysokiego blondyna przy barze. Valentin Sołowski. Co on tu robi? Nie widziała go na aukcji, ale po cóż innego przyjeżdżałby do Genewy? Żadna komisja ONZ teraz nie obradowała, a gdyby miało się odbyć jakieś spotkanie wymagające jego obecności, na pewno by o nim wiedziała. Poza tym w Waszyngtonie działo się wystarczająco dużo, by radziecki *attache* kulturalny miał co robić. Na przykład dzisiaj w Centrum Kennedy’ego występował Balet Kirowa. Sam prezydent miał być obecny, a po spektaklu ambasada radziecka wydawała przyjęcie, na które zaproszono cały korpus dyplomatyczny. Było to jedno z głównych waszyngtońskich wydarzeń kulturalnych. Skoro Sołowski był w Genewie, a nie w Stanach, musiał mieć ważny powód. Cal Warrender także!

Odstawiła szklanekę drżącą ręką, aż zagrzechotały kostki lodu. Mój Boże, pomyślała, więc te pogłoski są prawdziwe. Rosja i Ameryka rzeczywiście walczą o szmaragd Iwanowów, chcą go mieć za każdą cenę. Ale dla czego? I dlaczego pozwolili, żeby ktoś ich ubiegł? Czy w bankach szwajcarskich rzeczywiście są miliony? Czego oni naprawdę chcą? Te prawdy jest w opowieściach, że wszystkim chodzi o coś zupełnie innego? Genie wstała, wygładzając czarną sukienkę. Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Kiedy ruszyła przez hol w kierunku restauracji, czuła na sobie uważne spojrzenie ciemnych oczu Sołowskiego.

Podeszła do stolika Cala i obdarzyła go przyjacielskim uśmiechem.

— Pozwolisz, że skorzystam z tamtego zaproszenia i przysiędę się do ciebie? Trochę mi smutno samej w obcym kraju... rozumiesz?

— Jasne. — Zerwał się na równe nogi, kiedy *maitre d'hôtel* przesuwał stół, żeby mogła się wślizgnąć na ławę naprzeciwko niego.

Kelner napełnił kieliszek Genie szampanem. Podniosła go w górę, jakby wznosząc toast.

— Świątujesz? — zapytała niewinnie.

Cal uśmiechnął się.

— Teraz tak, bo ty tu jesteś.

Oparła łokcie na stole i pochyliła się w jego stronę.

— Och, przyznaj się, Cal... — szepnęła. — To ty kupiłeś szmaragd, prawda?

Złożył ręce na piersi w udawanym przerażeniu.

— Ja miałbym zrobić coś takiego? Nie byłoby mnie stać na taki zakup. Jestem tylko biednym chłopcem z New Jersey.

Popatrzyła na niego uważnie.

— Kupiłeś go w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych. Te wszystkie pogłoski są prawdziwe.

Wzruszył ramionami.

— Masz przed sobą nie tego faceta i słyszałaś nie te pogłoski.

— Och, później o tym pogadamy — stwierdziła, nerwowym gestem odgarniając włosy z twarzy. — Miałam ciężki dzień i umieram z głodu. — Popatrzyła na kartę i westchnęła. — Nie jestem już w stanie podjąć żadnej decyzji. Ale chyba mam ochotę na proste jedzenie — coś takiego, jak żeberka z frytkami u Monty'ego.

Kelner zrobił urażoną minę i Cal się roześmiał.

— Pozwól, że zamówię za ciebie. — Szybko wydał kelnerowi dyspozycje i z powrotem odwrócił się do niej. Ich spojrzenia się spotkały. Ładne oczy, oceniła w duchu, jak u rudego setera. Nie, to niesprawiedliwe porównanie. Kolor miały ten sam, ale patrzyły

znacznie bardziej bystro. I z pewnością mogły spoglądać twardo, jeśli tego chciał. Nagle przeszedł ją dreszcz. Coś w Calu Warrenderze ostrzegało ją, że byłby z niego niebezpieczny przeciwnik.

— Myślę, że jedzenie poprawi ci humor — powiedział lekko. — Ale obiecuję, że zabiorę cię do Monty'ego, jak tylko wrócimy do Waszyngtonu.

— Monty jest w Los Angeles. W dzieciństwie było to moje ulubione miejsce. — Westchnęła. — Szkoda, że nasze upodobania zmieniają się, kiedy dorastamy... od żeberek z frytkami do ostryg i truflii, od koktajli mlecznych do szampana.

— No nie wiem, to chyba nie taka zła zamiana...

Zaśmiali się oboje i Cal poklepał ją po dłoni.

— Zdradzę ci sekret. Wyglądasz na bardziej zmartwioną niż ja, a to mnie nie udało się kupić szmaragdu.

— Żartujesz! — zawołała. — Więc kto go kupił?

Wzruszył ramionami, ruchem głowy wskazując drzwi.

— Może nasz przyjaciel Sołowski? — zasugerowała.

— Czyli to prawda — szepnęła patrząc, jak Rosjanin podchodzi do stolika naprzeciwko, dobrze widocznego, ale znajdującego się zbyt daleko, by mogli coś usłyszeć. Sołowski uklonił się im, zanim usiadł.

— Nie wiem, co jest prawdą, lecz powiem ci coś jeszcze dziwniejszego — rzekł Cal. — Valentin jest sam.

Genie uniosła pytająco brwi, więc wyjaśnił.

— Ważni Rosjanie nigdy nie są sami, zawsze ktoś się przy nich kręci i pilnuje, żeby nie ujawnili jakiejś tajemnicy albo nie przeszli na stronę Zachodu. A za tym „ogonem” jest jeszcze inny — pilnujący, czy tamten z kolei nie zdradził. To naprawdę bardzo dziwne, że człowiek tak wysoko postawiony jak Sołowski jest bez towarzystwa. Ciekawe, jak się pozbył tamtych dwóch facetów z baru.

— Pewnie powiedział im, że zamówi sobie kanapki do pokoju, a potem ukradkiem wymknął się tu na ucztę — stwierdziła Genie z uśmiechem. — Założę się, że nie mógł już na nich patrzeć.

Cal roześmiał się, widząc, jak Genie przełyka ostrygę i zamyka oczy z rozkoszy.

— Nie wiem jak Valentin — powiedziała — ale ja jestem teraz szczęśliwa. — Zerknęła na Rosjanina. — Zdawało mi się, że w barze miał raczej kiepski humor. Rosjanie jednak zawsze są smutni, prawda? To dla nich typowe.

Popatrzyła jeszcze raz na Sołowskiego, kiedy czytał menu. Miał fascynującą romantyczną twarz, regularne rysy, przepaściste szare oczy i gęste ciemnoblonde włosy. I te namiętne usta... Nagle Rosjanin

podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie. Poczwała, że się rumieni, jakby mógł odczytać jej myśli.

— Wiesz co — zwróciła się szybko do Cala. — On wygląda jak gwiazdor. Powinien występować z Gretą Garbo w „Ninoczce”. Jeśli go zrobią prezydentem Rosji, *glasnost'* będzie kwitła. Przynajmniej wśród amerykańskich kobiet.

Kelner dolał im szampana i Cal zapytał:

— Więc jesteś dziewczyną z Kalifornii? Taką, o jakich śpiewali „Beach Boys”?

Wzruszyła ramionami.

— W Kalifornii jest mnóstwo wysokich, opalonych, atrakcyjnych blondynek. Dlatego wyjechałam — dodała ze śmiechem. — Za duża konkurencja. Tak, urodziłam się i wychowałam w Los Angeles. Nie, nie byłam w zespole kibicującym drużynie piłkarskiej. Tak, dobrze gram w tenisa. I nie, nie chcę wracać.

Cal wgrzył się w orzechowy chleb.

— Masz tam rodzinę?

— Moi rodzice byli rozwiedzeni. Ojca nie znałam. Mama zmarła kilka lat temu. — Ponownie wzruszyła ramionami. — Nie mam po co wracać. Można powiedzieć, że tam jest mój dom, gdzie wieszam kapelusz... w tej chwili w Waszyngtonie.

Jej twarz zasnuła się smutkiem, gdy mówiła o matce. Cal pomyślał, że musiała być śliczną dziewczynką, wymarzoną córeczką mamusi: jasnowłosą, niebieskooką, uroczą i mądrą.

— Nie szykujesz się na Nowy Jork? — zapytał. — Dziennik o szóstej, główna prowadząca, najważniejsze wywiady, Barbara Walters...?

Roześmiała się.

— Tak jak i ty żyję polityką. Wpadłam po uszy w Biały Dom, misje dyplomatyczne i materiały z samej góry... seks i skandale wśród tych najwyżej postawionych. Dla mnie Waszyngton jest tak samo wspaniały i podniecający jak Paryż. Poza tym mam miły domek w Georgetown, zaraz obok domu jednej z najelegantszych dam Waszyngtonu. Oczywiście ona ma osiem sypialni i kamerdynera, który chodzi na spacer z jej małym pudelkiem, a ja mam tylko jedną sypialnię i wielkiego psa, no i płacę za jego wyprowadzanie. Ale za to mogę wykorzystywać moją sąsiadkę. Obserwuję przyjeżdżających do niej gości i widzę, kto z kim wychodzi. Nie jestem głupia — dodała ze złośliwym uśmiechem. — Zawsze pierwsza wiem o szykujących się skandalach. Zazwyczaj zaczynają się pod moimi oknami.

— Twoja rodzina była zamożna? — spytał próbując łososia.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Przynajmniej nie zawsze. Mama pracowała od czasu do czasu. Była aktorką. Czasami miałyśmy kupę forsy, czasami nic.

Przerwali na chwilę jedzenie i z widelcami w dłoniach przyjrzeni się sobie, oboje zadowoleni z tego, co widzą.

— A ty? — zaciekała się. — Jakie jest twoje życie?

— Urodziłem się w Nowym Jorku, a potem rodzice sprzedali dom firmie budującej parkingi i dostali wystarczająco dużo, by się przenieść do Fort Lee w New Jersey. Byłem bystrym dzieciakiem, ciężko pracowałem i dostałem się do Bronx High — jednej z najlepszych szkół na wschodnim wybrzeżu. Potem Harvard, nauki polityczne, i Szkoła Rządowa imienia Kennedy'ego. Resztę pewnie znasz.

Skinęła głową.

— W porządku. A teraz prosimy o prawdziwego Cala Warrendera. Spojrzał na nią zdziwionymi oczami.

— Rozumiesz, usłyszałam tylko twój skrócony życiorys... Ale kim naprawdę jesteś? Gdzie mieszkasz? Co robisz, kiedy nie siedzisz w Białym Domu? Co lubisz? Czego nienawidzisz? Co dla ciebie jest najważniejsze, poza polityką? — Odczekała chwilę i dodała: — Czy jest w twoim życiu jakaś wyjątkowa kobieta?

Cal patrzył na nią w milczeniu.

— Och, daj spokój — mruknęła. — Pomyśl sobie, że jesteśmy bohaterami powieści Somerseta Maughama o dwójgu obcych ludzi uwięzionych gdzieś tam przez burzę. Jediną rzeczą, jaka może im umilić czas, są opowieści o życiu...

Uśmiechnął się i Genie odetchnęła z ulgą. Nie chciała, żeby wzięła ją za wścibską dziennikarkę szukającą materiału.

— Żadnej wyjątkowej kobiety — odparł. — Nie mam na to czasu. Co nie znaczy, że powiedziałbym nie, gdyby taka się znalazła.

Jego śmiech był zaraźliwy, więc Genie też się zaśmiała.

— To się nazywa „zjesz ciastko i nadal je mieć”. Wiem, bo jestem taka sama, po prostu zbyt zajęta.

— Słyszałem, że jesteś uczciwa — powiedział podnosząc kieliszek. — Za wyjątkowych ludzi, których nie spotykamy.

— Co cię pcha do działania, Cal? — zapytała popijając szampana. — Skąd się biorą politycy? Rodzą się już tacy, jak artyści i muzycy, czy trzeba się tego dopiero nauczyć?

Przyglądał się jej przez chwilę i stwierdził, że podoba mu się coraz bardziej. Powiedział:

— Teraz rozumiem, dlaczego jesteś dobrą reporterką. Umiesz

zadawać odpowiednie pytania, żeby rozkręcić rozmówcę, i robisz to w taki sposób, że nie można odmówić odpowiedzi. Nie twierdzę, że mam talent, ale chyba zawsze wiedziałem, że właśnie tym chcę się zajmować. Pochodzę z rodziny, gdzie wciąż dyskutowano o polityce przy kolacji, a często też przy śniadaniu i obiedzie. Miałem siedem lat, kiedy rodzice zabrali mnie na wycieczkę do Waszyngtonu. Chcieli, żebym zobaczył stolicę i poczuł „oddech władzy”, jak powiedział tata. Pamiętam, jak oszołomiły mnie szerokie aleje i dostojne budynki z kolumnami. Wciąż przechodzi mi dreszcz na wspomnienie chłopca z Bronxu chodzącego po Białym Domu z mamą i tatą i odczuwającego pierwsze drgnienia politycznych ambicji. Wiedziałem, że chcę być częścią tego świata. Pragnąłem znaleźć się w Białym Domu, tam, gdzie podejmowano decyzje choćby na najniższym szczeblu. Byłem gotów zostać gońcem — kimkolwiek, byle tylko przejść przez te drzwi. Pewnie milion innych chłopców też chciało — dodał ze śmiechem. — Tylko że ja coś zrobiłem w tej sprawie. I wciąż uważam politykę za najbardziej podniecające zajęcie świata. To dużo lepsze od sprzedawania durnych akcji czy robienia filmów.

— Zazdroszczę ci zdecydowania — powiedziała Genie z podziwem. — Wszyscy mówią, że osiągniesz szczyt.

Wzruszył ramionami.

— Może. Ale w tym jest zbyt dużo intryg, jak dla mnie.

— Mówi się, że należysz do rzadkiej rasy. Uczciwy polityk... — rzuciła zaczepnie.

— Mam nadzieję — odparł poważnie. — A co pcha do działania ciebie, Genie Reese?

Zastanowiła się przez chwilę i powiedziała:

— Nie jestem pewna. Może chcę się wykazać przed mamą, chociaż już jej nie ma. Miała takie ciężkie życie, jakoś nigdy się jej nie udawało... Chyba chcę coś osiągnąć ze względu na nas obie.

Spojrzał na nią współczująco i pomyślał, że to bardzo smutny powód do robienia kariery.

— Pokuta za grzechy matki? — zapytał.

Uśmiechnęła się smętnie.

— Nie, skądże, nic aż tak poważnego.

Popatrzyli na siebie w ciszy, po czym Genie zapytała:

— A ty? Co się kryje za twoją słynną ambicją?

— Sł y n n ą ambicją?

Roześmiała się na widok jego zdziwienia.

— Wszyscy wiedzą, że jesteś bez reszty oddany pracy — „urodzony polityk, materiał na przyszłego prezydenta”. Panie Warrender, chyba

czyta pan. co o panu pisze prasa? — Przeczesała palcami długie włosy i dodała ze śmiechem: — Powiedz, gdzie mieszkasz? Albo nie... sama zgadnę. Watergate.

— Skąd wiesz?

— Proste. Polityk-kawaler potrzebuje mieszkania, w którym ktoś o niego zadba, blisko biur rządowych oraz Białego Domu. Watergate spełnia te warunki — pokojówki, pralnia, restauracje, gdzie można zjeść samotny posiłek, eleganckie sklepy, w których można szybko kupić nową koszulę i krawat...

— I mam niedaleko do ciebie — dorzucił wesoło. — Może zaprosisz mnie kiedyś na domowy obiad. To jedyna rzecz, jakiej brak kawalerowi w Waszyngtonie. Wszystkie przyjęcia obsługiwane są przez restauracje.

— Pewnie jesteś przekonany, że nie umiem gotować — powiedziała z przekąsem. — Więc dowiedz się, że babcia mnie nauczyła.

— A sama była dobrą kucharką?

— Doskonałą. Choć muszę przyznać, że takich pyszności nie robiła. — Genie spróbowała lekkiego musu czekoladowego. — Nigdy nie jadam deserów. Najlepszy dowód na to, co śnieżyca robi z ludźmi. Pozbawia ich samokontroli.

— Wyglądasz, jakbyś się żywiła księżycową poświatą i szampanem — rzekł patrząc na nią z podziwem.

Zaśmiała się.

— Dokładnie tak chcę wyglądać.

— Myślę, że twoje wdzięki zrobiły wrażenie także na naszym rosyjskim przyjacielu — zauważył Cal półgłosem. — Nie odrywa od ciebie oczu.

Genie zarumieniła się, wyciągnęła rękę po kieliszek, lecz przewróciła go. Gdy kelner pospiesznie wycierał rozlany szampan, Cal stwierdził ze zdziwieniem:

— Nie sądziłem, że Valentin tak mocno na ciebie podziała.

— Przepraszam... chyba jestem zmęczona. — Ponownie nerwowo przeczesała włosy. — Chodźmy do holu na kawę. Zdaje się, że ktoś tam gra na fortepianie.

Sołowski podniósł się, kiedy Genie wstawała z ławy. Napotkał jej wzrok i ukłonił się z uśmiechem. Gdy wychodziła odrobinę za szybko z restauracji, znów czuła na sobie jego spojrzenie.

Na dworze wciąż szalała zamieć, ale w hotelu „Beau Rivage” panował spokój. Luksusowy hol był przestronny, łagodnie oświetlony, w oknach wisały jedwabne zasłony i wszędzie unosił się zapach

kwiatów. W ogromnym kominku płonął ogień, a grający na fortepianie młodzieniec bez trudu przechodził od Cole'a Portera do Debussy'ego.

Genie spoglądała na Cala siedzącego obok niej na kanapie w różowe paski. Musiała się od niego dowiedzieć, co się dzieje, ale jak? Jedynym wyjściem było przemówić do niego w języku, jaki rozumiał. Pochyliła się do przodu i dotknęła jego dłoni.

— Cal — powiedziała z wahaniem — znalazłam się na rozstajach, jeżeli chodzi o moje życie i o moją karierę. — Wzrokiem dał jej do zrozumienia, że słucha, więc pospiesznie mówiła dalej: — Przysłano mnie tu, chociaż wcale tego nie chciałam. Zamierzałam robić sprawozdanie z wizyty prezydenta w Houston, ale szef kazał mi jechać na aukcję biżuterii, ponieważ jestem kobietą.

Warrender upił mały łyk brandy.

— Nie można zaprzeczyć, że jesteś kobietą... — zauważył z uśmiechem. — A kobiety często rozmawiają ze sobą o biżuterii.

— Wobec tego powinnam wykorzystać fakt, że jestem kobietą, na wszystkie możliwe sposoby. Zgadza się?

Skinął głową.

— Chyba dla kariery wolno wykorzystywać wszystkie swoje atuty.

— Potrzebuję jednak twojej pomocy — stwierdziła. — Wiem, że jestem o krok od świetnego reportażu, ale nikt mi nic nie mówi. Gdybym miała wyłączność na sprawę Iwanowów, stałabym się dziennikarką znaną na cały kraj. Myślę, że możemy sobie nawzajem pomóc. Odpowiesz mi na parę pytań, a ja podzielę się z tobą tym, czego sama zdołałam się dowiedzieć. Na pewno cię to zainteresuje.

— Na przykład co? — spytał, starannie mieszając kawę.

— Na przykład kto kupił szmaragd — odparła cicho.

W brązowych psich oczach Cala pojawił się twardy błysk.

— Ty wiesz?

— To było po aukcji — powiedziała szybko. — Postawiłam moim chłopakom drinka w hotelu „Richemond”. Szłam do toalety, kiedy zauważyłam, że drzwi do sali licytacyjnej są uchylone, więc oczywiście zajrzałam do środka. Nikogo nie było, ale na podium leżała czerwona księga, do której licytator wpisywał wszystkie transakcje. Pomyślałam, że być może wpisał też, kto kupił szmaragd — w końcu wycofano go ze sprzedaży tuż przed rozpoczęciem aukcji. Nie zastanawiałam się wtedy nad moralną stroną tej sytuacji — przyznała, patrząc na niego z miną winowajcy. — Ta księga po prostu kusiła mnie tak, jak jabłko musiało kusić Ewę. Mówię ci, serce biło mi strasznie mocno i byłam pewna, że ktoś je usłyszy i wyładuje w szwajcarskim więzieniu. Tak czy owak, podkrađłam się na palcach do podium, zerknęłam... I było

zapisane, na pierwszej stronie: „Pozycja piętnasta, duży szmaragd czystej wody, czterdzieści karatów, własność »Damy« — sprzedany za 9 milionów 26 tysięcy dolarów”.

— Licytator postąpił bardzo nierozważnie — stwierdził Cal spokojnie.

Wzruszyła ramionami.

— Tym lepiej dla mnie.

Cal w milczeniu wpatrywał się w nie tkniętą kawę. Serce w niej zamarło. O Boże, nie uwierzył jej... wszystko zepsuła...

— Zastanawiam się, co jeszcze dostanę w zamian za moje informacje — odezwał się w końcu.

Genie ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Nie pierwszy raz otrzymywała podobną propozycję, ale nie spodziewała się tego po człowieku takim jak Cal.

— Nie zrozum mnie źle. — Uśmiechnął się. — Chodzi mi o to, jaki możemy mieć z siebie pożytek w sprawach zawodowych.

— Zrobię wszystko — zapewniła go bez tchu. — Wszystko, żeby ci pomóc...

Cal uświadomił sobie, że los podaje mu na talerzu wspaniałą okazję. Musiał się dowiedzieć, co zwojowali Rosjanie, a skoro Sołowski interesował się Genie, czemu nie wykorzystać jej niebieskich oczu? Nie będzie to pierwszy przypadek wyciągania informacji z mężczyzny przy pomocy kobiety.

— W porządku, Genie — zdecydował wreszcie. — Powiesz mi, kto kupił szmaragd, a ja obiecuję ci za to bombowy materiał.

— Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci ufać? — zapytała ostrożnie.

Podniósł rękę.

— Słowo skauta — odparł z uśmiechem.

— Szmaragd został kupiony przez niejakiego Markheima, pośrednika z Dusseldorfu.

— Czy w rejestrze podano, kogo reprezentował?

Potrząsnęła głową.

— Był tylko Markheim.

Cal się zachmurzył. Nie tego nazwiska się spodziewał. Zawsze jednak był to jakiś ślad i miał nadzieję, że wie teraz więcej niż Rosjanie.

Po chwili milczenia odezwał się:

— Dobra, Reese. Odłóż teraz notes i nie włączaj magnetofonu, ponieważ to, co powiem, jest tylko do twojej wiadomości, dopóki Biały Dom nie da ci zgody na publikację tych informacji. — Popatrzyła na niego zdziwiona, więc dodał: — W grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe. Usłyszysz to tylko dlatego, że potrzebna mi twoja pomoc.

— Oczywiście. Proś, o co chcesz — zgodziła się z zapalem.

— Po rewolucji — zaczął — Rosja została bez grosza. Wielkie mocarstwa nie popierały nowego reżimu i odmawiały mu pomocy finansowej. Młody Związek Radziecki nie miał funduszy na rozwój rolnictwa i ludzie umierali z głodu. Nie było też pieniędzy na przemysł, więc brakowało towarów. Rewolucjoniści skonfiskowali wszystkie konta bankowe i majątki arystokratów, których dopiero co zlikwidowali, po czym zaczęli sprzedawać bezcenne dziedzictwo Rosji — obrazy, klejnoty, antyki — za ułamek ich prawdziwej wartości, byle szybciej uzyskać za nie pieniądze. Wiedzieli o miliardach Iwanowów złożonych w bankach szwajcarskich i starali się jak mogli, żeby się do nich dostać, ale oczywiście bez dokumentu z podpisem Iwanowa, który by ich do tego upoważnił, nie mogli nic zdziałać. Nie ma podpisu Iwanowa — nie ma miliardów.

Przerwał na chwilę dla nabrania oddechu.

— Tajna bolszewicka policja, znana jako CzeKa, była przekonana, że kilku członków rodziny Iwanowów zdołało się uratować. Znalaziono tylko ciało księżnej Annuszki, naoczni świadkowie potwierdzili śmierć księcia Miszy. Przeczesano całą Rosję w poszukiwaniu reszty rodziny, to znaczy matki księcia, jego sześciolatniego syna Aleksieja i nieco młodszej córki Kseni. Potem szukano w Europie, w Stanach, nawet w Ameryce Południowej. I choć nigdy ich nie odnaleziono, tajna policja — teraz już KGB — nie zaprzestała poszukiwań. Rodzina Iwanowów stanowiła plamę na honorze sowieckiej Rosji. Reprezentowała to wszystko, czego Sowieci nienawidzili. Na dodatek nie mogli zgarnąć książęcych pieniędzy. Uważają, że osoba sprzedająca szmaragd — a wszyscy są pewni, że to szmaragd Iwanowów — musi być członkiem tej rodziny. Zamierzają znaleźć ową tajemniczą „Damę” i zmusić ją do podpisania dokumentów. Wtedy w końcu zdobędą pieniądze leżące w bankach.

Genie powiedziała w zadumie:

— A więc to prawda... Te miliardy dolarów istnieją.

— Tak. Ale „Dama” nigdy nie próbowała ich odzyskać. Pewnie za bardzo się bała. Wierzyła w dawne groźby, że zginie, jeśli Rosjanie ją znajdą. Prawdopodobnie myślała, że przecięty szmaragd nie zostanie zauważony. Może sądziła, że wszyscy już zapomnieli o klejnotach i że Rosji chodzi tylko o pieniądze w Szwajcarii. Nie da się jednak zmienić kamieni z taką historią, nawet przecinając je na pół...

Genie rzuciła Calowi przenikliwe spojrzenie.

— Jest coś jeszcze, prawda? — powiedziała.

Popatrzył na nią niewinnymi oczyma setera.

— Coś jeszcze...?

— Chciałabym wiedzieć — odparła, machając niecierpliwie ręką — czego jeszcze chcą Rosjanie. I o co chodzi Ameryce?

Potrząsnęła głową.

— Nie mogę ci tego powiedzieć. Przynajmniej nie teraz. Potem, jak już będzie po wszystkim, obiecuję ci wyłączność. Najpierw jednak musimy się dowiedzieć od Markheima, kto kupił szmaragd i kto go sprzedał. Musimy znaleźć „Damę”, zanim zrobią to Rosjanie.

Odwróciła wzrok, wpatrując się w zamyśleniu w płonący ogień. Cal obserwował ją przez parę minut, po czym rzekł:

— Genie, tu nie chodzi tylko o mnie. Robisz to dla kraju. Chcę, żebyś dowiedziała się od Valentina Sołowskiego, czy to on kupił szmaragd przez tego pośrednika. A jeśli nie on, to kto...

Przetraszyła się.

— Dlaczego ja...? Zdawało mi się, że trzeba przejść specjalne przeszkolenie, by zostać szpiegiem.

— Nie będziesz szpiegiem, Genie — powiedział łagodnie. — Zadasz tylko Sołowskiemu kilka niewinnych pytań. Nic ci nie grozi. Wystarczy, że rozmawiając z nim będziesz dobrą reporterką, tak jak w rozmowie ze mną. Przecież wydobyłaś ze mnie informacje, o które ci chodziło, prawda?

Ruchem głowy wskazał Sołowskiego siedzącego przy oknie i wpatrującego się w śnieżną noc.

— Zostawię cię, żebyś to sobie przemyślała. Spotkamy się w moim pokoju na śniadaniu jutro rano i powiesz mi, jak ci poszło. Dziewiąta pasuje?

Kiwnęła głową, ale w oczach wciąż miała strach i Cal to zauważył.

— Naprawdę nie masz się czego bać — zapewnił ją. — Szukają pani Iwanow, nie ciebie. — Ujął jej szczupłą dłoń i całując ją lekko w palce dodał ze śmiechem: — Nie jesteś Matą Hari, tylko świetną dziennikarką z sensacyjnym materiałem w ręku. Wyłącz nie twoim. Pamiętasz?

Ruszył niedbałym krokiem do drzwi. Jakby przyciągnięta przez niewidzialny magnes, Genie odwróciła głowę i spojrzała na mężczyznę przy oknie. Napotkała jego wzrok i podjęła decyzję.

Rozdział 6

Valcetin Sołowski długo jeszcze siedział samotnie przy stoliku w opustoszałej restauracji. Ostatni kelner stał przy drzwiach z białą płócienną ściereczką na złożonych rękach i czekał cierpliwie, aż dostoyny gość skończy butelkę chateau margaux.

Sołowski obrócił się na krzesło i zapatrzył na szalejącą za oknem śnieżycę. Jako Rosjanin przyzwyczajony był do takiego widoku, nie sądził jednak, że zobaczy go dzisiaj, a już z pewnością nie był przygotowany na to, że lotnisko zostanie zamknięte. Pociągnął następny łyk wina, delektując się jego delikatnym cierpkim smakiem, lecz myślami przebywał wraz z ojcem — w oddalonej o tysiące kilometrów Moskwie.

Dzień, który odmienił jego życie, zaczął się jak każdy inny. Valentin obudził się rano w małym, lecz eleganckim mieszkanku w kamienicy przy Prospekcie Kutuzowa. Był to stary budynek o wysokich pokojach i rzeźbionych marmurowych kominkach, które jakoś wyszły cało z rewolucji. Kilka lat temu podzielono go na mieszkania dla wysoko postawionych członków partii. Dzięki pobytom na zagranicznych placówkach, trzy pokoje Valentina umeblowane były rosyjskimi antykami przywiezionymi z powrotem do kraju z Londynu i Paryża, a w kuchni znajdowały się najnowsze urządzenia sprowadzone z Nowego Jorku. Tylko maszynka do kawy robiła wrażenie używanej. Na zajmujących całą ścianę półkach stały książki z różnych dziedzin i w różnych językach, ponieważ Valentin oprócz ojczystego rosyjskiego znał także francuski, angielski, niemiecki i włoski.

Nie miał jednak, co było dziwne jak na tak oddanego sprawie członka Partii, pompatycznych obrazów przedstawiających radziecką rewolucję, propagandowych plakatów z chłopami stojącymi dumnie

obok traktorów czy z robotnikami przy lśniących, nowoczesnych maszynach. Na ścianie wisiał tylko portret Lenina.

Poza tym na stole w małym saloniku stały cztery fotografie w ramkach. Jedna z nich przedstawiała dziadka Valentina. Grigorija Sołowskiego, w wieku sześćdziesięciu lat, ciemnowłosego i ogorzałego, stojącego pewnie na krótkich chłopskich nogach i obejmującego żonę. Żółtawy kolor jej włosów wcześniej zmienił się w siwiznę, ale niebieskie oczy pozostały niewinne i błyszczące jak u młodej dziewczyny. Zmarli dziesięć lat temu w odstępnie kilku tygodni, on na raka mózgu, ona z rozpaczy po nim.

Obok stał oficjalny portret stryja, Borysa Sołowskiego. Surowy wzrok, twarz bez uśmiechu, głowa łyśa jak piłka bilardowa, pełne goryczy linie biegnące od nosa do ust i wiecznie zmarszczone brwi nad ciemnymi oczyma. Borys nigdy się nie ożenił, choć w Moskwie szeptano o jego romansach, z których żaden nie był normalny. Stryj miał opinię sadysty nie tylko w miłości, ale i w pracy — w KGB, którą kierował od siedmiu lat.

Na największym zdjęciu widniał ojciec Valentina. Siergiej Sołowski, i matka Irina, w dniu ślubu. Oboje uśmiechali się radośnie. Była to ulubiona fotografia Valentina — nigdy nie widział ojca równie szczęśliwego. Matka wyglądała tak młodo, że mogłaby być córką Siergieja. Nie można było nie zauważyć blasku miłości na jej słodkiej twarzy. Tworzyli piękną parę: Siergiej, wysoki, jasnowłosy, o silnie zarysowanej szczęce i jastrzębim spojrzeniu — i drobniutka Irina, szczupła tancerka z ciemnymi włosami zebranych z tyłu głowy. Valentin nie pamiętał, żeby matka kiedykolwiek zrobiła jakiś niezręczny ruch, czy to płynąc lekko po scenie teatru „Bolszoi”, czy to pracując w ogródku ich wiejskiej dachy w Żukowej. Ostatnie zdjęcie ukazywało ją samą w mieniącym się stroju Aurory ze „Śpiącej Królowej”. Wyglądała w nim jak prawdziwa księżniczka.

Mieszkanie przy Prospekcie Kutuzowa było domem Valentina od ponad dziesięciu lat, z wyjątkiem okresów, kiedy przebywał na placówkach za granicą. Miał nadzieję, że opuści je tylko po to, by zająć najwyższe stanowisko. Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Jak wszyscy chłopcy w Rosji, Valentin wstąpił do organizacji pionierów, a później, kiedy miał czternaście lat, do Komsomołu — Komunistycznego Związku Młodzieży. Na religię i Boga nie było w jego życiu miejsca; dzieci uczono, że jedyną wartością nadrzędną jest partia komunistyczna. Valentin pamiętał, jak jego koledzy ze szkoły dokuczali dwóm chłopcom, których rodzice wciąż chodzili do kościoła.

Zmienili ich życie w pasmo udręk, a potem obie rodziny zostały nagle „przeniesione” z Moskwy do odległych miasteczek na północy. Wiedział też, że ktoś, kto nie wstąpił do Komsomołu, nie ma co marzyć o studiach. Oczywiście w jego przypadku — był przecież synem dostojnika partyjnego — nigdy nie było co do tego wątpliwości. Automatycznie zapisywano go do wszystkich organizacji, które przygotowywały wyróżniających się chłopców do objęcia stanowisk politycznych.

Studiował na uniwersytecie moskiewskim politykę międzynarodową i prawo, następnie przeszedł roczne przeszkolenie w okrytym złą sławą obozie Specnazu w Riazaniu. Motto jednostki brzmiało: „Bądź gotowy oddać życie dla socjalistycznej ojczyzny”, i jego drużyna żyła zgodnie z tym hasłem, ucząc się wykonywania wszystkich rozkazów oficerów bez najmniejszego wahania. Szybko stawali się ekspertami od morderstw, zamachów i terroryzmu. W każdym z ciasnych baraków upchniętych było stu młodych mężczyzn, których dzień wypełniony był ciężką pracą. Wszędzie chodzili piechotą: na zaprawę po pobudce, sześciogodzinne szkolenie na poligonie, potem na obiad i dalsze ćwiczenia. Później maszerowali na kolację i apel, by wreszcie wrócić do kwater i iść spać. W każdą niedzielę kilku z nich dostawało przepustki do pobliskiego miasta, ale do domu mogli jechać tylko w przypadku śmierci członka rodziny. Zarabiali tylko tyle, że starczało im na artykuły toaletowe i papierosy. Alkohol w jakiegokolwiek postaci był zabroniony.

Valentin nigdy nie rozumiał, dlaczego młodzi mężczyźni wstępowali do ciężkiej służby w Specnazie. Lubił ciężką pracę fizyczną, ale nienawidził przemocy i dyscypliny obowiązującej podczas pobytu w obozie. Jeszcze gorszy był dla niego okres sześciu miesięcy czynnej służby na granicy Afganistanu, który nastąpił po szkoleniu. Rozumiał jednak, że musi swoje odpracować.

Już jako młody chłopak miał jasno określony cel. Przez całe życie otoczony był ludźmi władzy — dziadek, ojciec, stryj, ich przyjaciele. Tak samo jak ojca, poza polityką interesowała go tylko muzyka. Kiedy był mały, ojciec często zabierał go do teatru, żeby zobaczyć, jak tańczy matka, do opery lub do filharmonii. Siedzieli obok siebie w fotelach obitych wytartym czerwonym aksamitem, zasłuchani, bliźsi sobie bardziej niż kiedykolwiek. Później szli na kolację do ulubionej restauracji Siergieja. Prowadziła ją stara rodzina cygańska. Ku zdumieniu Valentina ojciec znał wszystkie ich pieśni i czasem śpiewał przy akompaniamencie cygańskich gitar i bałałajek.

Mimo że wszystko szło tak dobrze, Sołowski martwił się o syna.

Kiedy Valentinowi zaproponowano pierwsze ważne stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych, ostrzegł go przed niebezpieczeństwem podporządkowania się tylko jednej ambicji.

— Nie wyrzucaj z życia miłości — powiedziała, kiedy spacerowali w ogrodzie po obiedzie wydanym dla uczczenia nowej posady Valentina. — To jedno z ostatnich ludzkich uczuć dostępnych Rosjanom, i najcenniejsze ze wszystkich.

— Oczywiście, ojciec — odparł zdziwiony Valentin.

Ale już wtedy wiedział, że chce zostać radzieckim przywódcą — to było dla niego najważniejsze. Miał przed sobą drogę z wyznaczonym każdym kolejnym krokiem prowadzącym do osiągnięcia tego celu i przysiągł sobie, że nic go nie powstrzyma. Chciał zjednoczyć niespokojne republiki Związku Radzieckiego tak, jak nigdy nie były zjednoczone od czasów Lenina i rewolucji. A potem zamierzał uczynić ze swego kraju pierwszą potęgę świata.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Dostawał awans po awansie, załatwiał sobie kolejne wyjazdy zagraniczne, by z bliska poznać mocne i słabe strony innych krajów, cały czas się uczył i gromadził wiedzę.

Trzy miesiące temu zaskoczył go telefon od ojca, który kazał mu natychmiast wracać z Waszyngtonu. Dopiero w Moskwie dowiedział się, o co chodzi: podobno wystawiono na sprzedaż klejnoty Iwanowów. Rosja chciała znaleźć osobę sprzedającą szmaragd. Zajmował się tym stryj Borys, który zażądał, by zadanie wykonał bratanek.

— Dlaczego ja? — zaprotestował Valentin, chodząc ze złością w tę i z powrotem po czerwonym dywanie w biurze ojca na Kremlu. — Dlaczego stryj nie zleci tego komuś z KGB?

Ojciec spojrzał na niego z ukosa.

— To sprawa niezwykle delikatna. Ameryka wie, do czego potrzebna nam osoba sprzedająca klejnot. Masz być naszym przedstawicielem. Jako dyplomata możesz podróżować po całym świecie nie zwracając na siebie uwagi, możesz też iść na aukcję i kupić kamień... a za twoimi plecami KGB będzie szukało tajemniczej „Damy”. Jutro omówisz wszystko z Borysem — zakończył, podnosząc rękę w geście nie dopuszczającym sprzeciwu. — Jadę teraz do telewizji, do studia w Ostankino. Będą tam nagrywać koncert laureatów konkursu młodzieżowych orkiestr. Może wybierzesz się ze mną?

Valentin wiedział, że nie należy zaczynać rozmowy w drodze do studia, którą przebyli w czarnej, kulo odpornej limuzynie prowadzonej przez umundurowanego szofera. Skoro ojciec nic więcej nie mówił, musiał mieć powody, a poza tym w samochodach nawet najważniej-

szych dostojników zainstalowany był podsłuch. Na Kremlu nie używano zbyt często słowa „zaufanie”. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Siergiej Sołowski zwolnił szofera i kazał mu przyjechać za dwie godziny.

Po zakończeniu koncertu zaproponował synowi spacer. Przeszli na drugą stronę ulicy do parku Dzierżyńskiego, w milczeniu minęli ogród botaniczny i ruszyli przepiękną aleją stuletnich dębów w stronę lasu.

— Trudno ci będzie pogodzić się z tym, co teraz usłyszysz — odezwał się w końcu Siergiej. — Myślałem, że zabiorę moją tajemnicę do grobu, tak jak to zrobił twój dziadek, ale sądzę, że powinieneś ją poznać.

Valentin spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Wiem, że nieraz zastanawiałeś się, dlaczego stryj Borys i ja jesteśmy tak do siebie niepodobni — mówił powoli ojciec. — Teraz mogę ci to wyjaśnić. Zostałem adoptowany przez Grigorija Sołowskiego, kiedy miałem sześć lat.

— Adoptowany? — wykrzyknął Valentin, stając jak wryty i wpatrując się w ojca. — Nieważne — dodał pospiesznie. — Nie obchodzi mnie, kim byłeś. Jesteś synem Grigorija Sołowskiego i moim ojcem.

— Ale obchodzi twój stryj — odparł Siergiej zimno. — Zawsze wiedział, że jestem inny. Kiedy miałem sześć lat, mówiłem już po francusku i po angielsku, a on znał tylko lokalny rosyjski dialekt. Byłem inteligentniejszy, szybko się nauczyłem i miałem dobre stopnie, lepiej też jeździłem konno. Borys był zazdrosny — a ja się go potwornie bałem. Był okrutny i mściwy. Dziś nazwano by go psychopatą. — Odwrócił się do Valentina. — Chcę, żebyś zrozumiał, że Borys jest nie tylko moim, ale i twoim wrogiem. — Wzruszył ramionami. — Dla niego czarne jest czarne, a białe jest białe, nie uznaje szarości. Jeśli ktoś mu przeszkadza, zabija.

Przez chwilę spacerowali w ciszy. Potem Siergiej powiedział:

— Najbardziej denerwowało Borysa, że Grigorij nigdy nie wyjawiał rodzinie, kim byłem. Po prostu przedstawił mnie jako „dziecko rewolucji”. Ale Borys zawsze podejrzewał, że pochodzę z arystokratycznej rodziny, i starał się odkryć moje prawdziwe nazwisko. Zamierzał mnie zniszczyć. — Westchnął ciężko. — Całe życie poruszałem się na cienkiej linii pomiędzy dwoma tożsamościami. Czy miałem być lojalny wobec tych, którzy mnie przygarnęli, czy też wobec ludzi, wśród których się urodziłem? I zawsze był przy mnie Borys gotów mnie dopaść. Dlatego postanowiłem żyć samotnie. Wiedziałem, że nie mogę założyć rodziny, ponieważ w dniu ujawnienia mojej tożsamości zostałbym aresztowany i zabity. Ale potem spotkałem

twoją matkę i zakochałem się. Samolubnie powiedziałem sobie wtedy, że jeśli Borys nie dowiedział się niczego do tej pory, to nigdy mu się to nie uda. Był bardzo podekscytowany, kiedy przyszedł na ślub. Całował pannę młodą, śmiał się, żartował. Nigdy nie widziałem go aż tak szczęśliwego. Kiedy wyjeżdżaliśmy w podróż poślubną, wręczył mi kopertę. „Mała niespodzianka, Sergiej”, powiedział z tym samym złośliwym błyskiem w oku, który zapamiętałem z dzieciństwa. A potem dodał: „Może powinienem powiedzieć: Aleksiej” Nigdy nie zapomnę jego śmiechu, kiedy odjeżdżał. Śmiech szaleńca, którym naprawdę jest... — głos Sergieja zadrżał. — W kopercie znajdowało się zdjęcie mojego prawdziwego ojca.

Sołowski zamilkł i kiedy szli dalej przez park, Valentin zastanawiał się, dlaczego fotografia jego prawdziwego dziadka była aż tak ważna.

— Oczywiście zrozumiałem, że Borys zna prawdę — odezwał się w końcu marszałek. — Przez cały miodowy miesiąc czekałem na jego następny ruch. Czekałem całe dni, całe tygodnie, potem całe miesiące. Czułem się jak skazaniec na szafocie, lada moment spodziewający się uderzenia topora. Aż wreszcie uświadomiłem sobie, że Borys wie-
d z i a ł, ale nie miał żadnego dowodu. Sam fakt, że byłem podobny do człowieka ze zdjęcia — ty też jesteś do niego podobny, Valentin — nie wystarczał, by przekonać władze, iż jeden z ich ludzi nie jest tym, za kogo się podaje. Mógł to być zwykły zbieg okoliczności, a oskarżając mnie Borys ryzykował swoją karierę. Nadal więc szuka dowodu i cały czas nosi w portfelu duplikat tej fotografii.

— Przecież teraz już nie ma znaczenia, kim był twój ojciec — stwierdził Valentin z nadzieją.

— Ma — odparł cicho Sergiej, wyjmując z wewnętrznej kieszeni pierścień, który zawsze nosił przy sobie. Był to duży rubin w kunsztownej złotej oprawie. Wręczył go Valentinowi i powiedział:

— Tylko tyle zostało z naszego dziedzictwa. Moja prawdziwa rodzina należała do najbogatszych w Rosji carskiej. I najważniejszych. Dlatego też znalazła się zaraz za carem na czekistowskiej liście śmierci. Twoim dziadkiem był książę Misza Iwanow. Te wszystkie miliardy i kopalnie to własność naszej rodziny. A teraz masz znaleźć swoją kuzynkę... swoją krewniaczkę... i przywieźć ją do Rosji. Do Borysa, na pewną śmierć.

Później Sergiej opowiedział synowi, co zdarzyło się pewnej ciemnej nocy w lesie, wiele lat temu. I wtedy cały świat Valentina legł w gruzach.

Sołowski wyszczył ostatnią kroplę wina i wcisnąwszy hojny napiwek cierpliwemu kelnerowi, powoli wyszedł z restauracji.

Kiedy znalazł się w holu, usiadł przy oknie. Obok kominka siedział Cal Warrender i mówił coś z uśmiechem do Genie Reese, reporterki amerykańskiej telewizji. Valentin pozazdrościł mu spokoju ducha — i dziewczyny. Była amerykańską pięknnością, o jakiej zawsze marzyli cudzoziemcy tacy jak on. Długonoga, pełna wdzięku, delikatna.

Popijał kawę i zastanawiał się, o czym tych dwoje rozmawia, że tak są sobą zajęci. Ale przez cały czas gdzieś w głowie dźwięczały mu słowa ojca: „Masz znaleźć swoją kuzynkę — swoją krewniaczkę — i przywieźć ją do Rosji... na pewną śmierć”. Domyślał się, że Borys chciał dostać „Damę” także po to, by potwierdzić prawdę o Sergieju i móc go zniszczyć.

Już na początku swojej kariery zdał sobie sprawę, że nie zdobędzie władzy bez poświęceń osobistych: osoba publiczna w każdej chwili mogła zostać wezwana do rozliczenia się ze swego postępowania — oczekiwano, że będzie świecić przykładem wszystkim podwładnym. Długo rozmyślał nad tym, co ma teraz zrobić. Po pierwsze, miał obowiązek wobec ojczyzny. Stawką był stosunek sił na świecie. Gdyby przywiózł „Damę” do Rosji, jego kraj wreszcie dostałby pieniądze, które mu się słusznie należały, i w końcu zyskałby niekwestionowane prawo własności do kopalń, ważniejszych od pieniędzy. Był tylko jeden sposób na uratowanie życia ojcu i sobie oraz na przysłużenie się Związkowi Radzieckiemu... i na osiągnięcie tego wszystkiego, do czego przez całe życie dążył. Musi znaleźć „Damę” przed Amerykanami. A potem ją zabić, zanim wpadnie w ręce Borysa. Z goryczą pomyślał, że wreszcie przyda mu się szkolenie w Riazaniu. Będzie jednak litościwszym katem niż jego stryj, którego ulubioną zabawą były tortury doprowadzające ofiarę do śmierci.

Wyścig już się zaczął, pomyślał ponuro. Nieważne jak i z czyją pomocą, ale musi znaleźć „Damę” pierwszy.

Odwrocił się od okna i napotkał wzrok Genie Reese. Cal Warrender wyszedł, siedziała sama. Valentin wziął swoją brandy i podszedł do niej.

— Panno Reese — powiedział wskazując okno. — Widzę, że jesteśmy oboje ofiarami burzy. Czy ulituje się pani nad moją samotnością i napije ze mną?

Biorąc głęboki oddech, spojrzała mu prosto w oczy.

— Z największą przyjemnością, panie Sołowski — odparła.

Rozdział 7

Maryland

„Fairlawns” zasługiwało na swą nazwę*: gładkie połączenie zielonej murawy prowadziły do srebrzystego jeziora i Missie mogła obserwować z okna kaczki budujące gniazda przy brzegu. Niespodziewany przymrozek nie zdołał zniszczyć wczesnych kwiatów wiśniowych, a wierzby zwieszające gałęzie nad wodą zasnuła już mgiełka wiosennej zieleni.

— Piękny mamy dzień — powiedziała z wesołym uśmiechem siostra Sara Milgrim, zabierając się do czesania podopiecznej. — Może pójdziemy później na spacer? Popatrzymy sobie na gniazda kaczek.

— To nie są zwykłe kaczki, tylko krzyżówki — odparła Missie. — Można je poznać po zielonych łebkach. I mówiłam ci już tysiąc razy, Saro, żebyś nie zwracała się do mnie jak do dziecka albo sklerotycznej staruszki. Mój mózg jest nadal sprawny. — Skrzywiła się. — Z wyjątkiem chwil, kiedy mnie ciagniesz za włosy.

Siostra Milgrim uśmiechnęła się. Missie obudziła się dziś w wyraźnie bojowym nastroju. Nigdy nie można jej było oszukać: zawsze wiedziała, kiedy radosny uśmiech pielęgniarki miał ukryć fakt, że pokłóciła się ze swoim chłopakiem, albo że przez dwa tygodnie miała nocne dyżury i jest okropnie zmęczona.

— Ma pani takie piękne włosy, Missie — zauważyła, przesuwając z upodobaniem szczotkę po długich, jedwabistych pasmach. — Siwizna tylko podkreśla kolor pani oczu. Wyglądają jak fiołki.

— Fiołki...? — powtórzyła Missie marząco. — Och, nie, to Annuszka nosiła fiołki. Kiedy zamykam oczy, jeszcze czuję ich zapach...

— Założę się, że jej włosy nie były tak ładne jak pani. W młodości

* *Fairlawns* — piękne trawniki (przyp. tłum.).

musiała pani być niczego sobie. Na pewno wszyscy chłopcy się za panią uganiali.

— Chłopcy nie — powiedziała Missie. — Mężczyźni... było ich czterech. — Westchnęła. — A nie poślubiłam tylko tego, którego naprawdę kochałam. Człowieka, który był moją pierwszą miłością.

— Mówią, że pierwsza miłość jest najgorętsza i najtrwalsza — rzekła siostra Milgrim, przyglądając się ciekawie Missie w lustrze. — Żałuje więc pani, że za niego nie wyszła?

Missie zamknęła oczy i odparła:

— On umarł. Tak dawno temu, że nie ma to już znaczenia.

Siostra Milgrim zerknęła na nią upinając jej włosy w kok. Missie wciąż miała zamknięte oczy i wbrew temu, co przed chwilą powiedziała, widać było, że to jednak ma znaczenie.

— Przepraszam, Missie — powiedziała szybko pielęgniarka. — Wie pani co, pójdę i zrobię filiżankę herbaty earl grey, tak jak pani lubi, dobrze? Zaraz wracam.

Missie usłyszała trzask zamykanych drzwi i po raz kolejny została sama ze swymi myślami. Co ją napadło, żeby mówić o Annuszcze? Czyżby w końcu zaczynała tracić rozum? Musi być ostrożniejsza, zwłaszcza po dzisiejszym programie w telewizji. Siostra mogła zapamiętać imię Annuszeki i zacząć się czegoś domyślać. Bała się też o Annę. Dlaczego nie dzwoni? Westchnęła ciężko. Kiedy to wszystko się zaczęło, nie zdawała sobie sprawy, że tak się potoczy. Gdyby zawiadowca Jewentlow nie znalazł ich wtedy w lesie, nie siedziałyby tu dzisiaj, a skarby Iwanowów po prostu by zniknęły, tak jak tyle innych rzeczy.

Rosja

Obudziła się i odkryła, że tonie pod ogromną, ciepłą pierzyną. Ubrana była w czystą różową koszulę nocną z flaneli. Czuła gorące mrowienie w stopach i dłoniach, do których wraz z krwią wracało życie. Od drewnianych ścian odbijał się blask płomieni, gdzieś obok rozbrzmiewały przyciszone głosy. Rozejrzała się wokół oszołomiona. Sofia siedziała przy stole na środku pokoju, jak zawsze wyprostowana, i popijała ze szklanki gorącą herbatę. Wiktor suszył się przed rozgrzanym piecem, jego gęste futro śmierdziało jak mokra owcza wełna, a mała Ksenia szczebiotała wesoło po angielsku do pięciorga

drobnych, bladych dzieci, wpatrujących się w nią jak w ósmy cud świata. Missie uświadomiła sobie, że musi być w chacie zawiadowcy, i nagle wróciły wszystkie wspomnienia. Zaczęła się trząść, po jej policzkach popłynęły łzy.

— Proszę nie wstawać — odezwała się cicho pani Jewentlow. — Na razie jesteście bezpieczne. Mój mąż natknął się na was w lesie i przyniósł do domu. Zaraz zrobię herbaty, a później, kiedy poczuje się pani lepiej, zje pani trochę mojej pysznej zupy. — Jej piwne oczy były pełne współczucia i Missie zrozumiała, że żona zawiadowcy wie, co się stało.

Piła herbatę skupiając się na każdym słodkim, gorącym łyku, który spływał do żołądka, ale nie był w stanie roztopić jej wciąż zamrożonego serca. Pamiętała, że leżała na śniegu i chciała umrzeć, kiedy tamten oficer odjechał z Aleksiejem. Sołowski, Sołowski, powtarzała w udręce, to nazwisko zostało jej w głowie jak wypalone piętno. A potem jej ręce i nogi robiły się coraz cięższe, zaczęła zapadać w śmiertelny letarg. Zamiast krwi miała w żyłach lodowatą wodę, stopniowo ogarniała ją coraz większa senność. Usłyszała lekkie kroki pierwszego wilka, poczuła odór jego oddechu, gdy wachał jej włosy, i zrozumiała, że nie będzie mogła umrzeć spokojnie na śniegu: zostanie pożarta przez wilki.

Kiedy zwierzę dreptało niepewnie dokoła i trącało ją łapą, przypomniała sobie słowa Miszy, że wilki żywią się tylko trupami i rzadko atakują żywych ludzi. Usłyszała jednak, że zbliżają się następne, że całe stado biegnie ku niej przez las. Nagle rozległ się przeraźliwy skowyt i warkot. Podniosła głowę i zobaczyła, jak Wiktor rozrywa jednemu wilkowi gardło, a potem rozgania watahę uczującą już przy ciele Anuszki. Po chwili wrócił do niej skamląc cicho. Jego brązowe oczy spoglądały na nią błagalnie, z rozerwanego ucha kapała krew.

Pragnienie przetrwania ogarnęło ją jak fala życiodajnego ciepła; miała zaledwie osiemnaście lat i mimo koszmaru tego, co się wokół działo, bardzo chciała żyć. Poza tym ciążyła na niej odpowiedzialność. Musi uratować córkę Miszy. Spróbowała usiąść, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a serce biło tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Niespodziewanie zapadła w ciemność i obudziła się dopiero w domu Jewentlowów w Iwanowsku.

Sofia przysiadła na skraju łóżka Missie, wzięła ją za rękę i powiedziała:

— Dzięki Bogu, że nic ci nie jest, kochanie. Gdyby nie ty, Ksenia zginęłaby wraz z innymi. Moją jedyną pociechą po tej

straszliwej nocy jest świadomość, że Misza nie żyje i nie dowie się, jak umarli jego żona i syn.

Missie poczuła, że znów ogarnia ją ciemność. Wyrwano jej serce. Popatrzyła z rozpaczą na Sofię, która smutno pokiwała głową.

— Jestem pewna, że Misza nie żyje — szepnęła księżna. — Czuję to tutaj. — Uderzyła się zaciśniętą dłońią w pierś. — Ale dlaczego...? Mój syn był dobrym człowiekiem i dobrym panem, jak jego ojciec i dziadek. Opiekował się swoimi ludźmi z prawdziwą ruską czułością. Walczył o ich prawa w Dumie. Więc dlaczego, Missie? Dlaczego zabili takiego dobrego człowieka? Kto się o nich zatroszczy tak jak Misza? — Z jej ciemnych oczu wyzierało cierpienie. — I jak mogli zrobić coś takiego Annuszcze?

Odwróciła się i popatrzyła na płonący w piecu ogień.

— Jewentlow nie mógł znaleźć ciała Aleksieja — rzekła w końcu. — Powiedział, że wilki musiały już je zjeść.

— Ale przecież... — zaczęła Missie, zaraz jednak ugryzła się w język. Nie chciała jeszcze bardziej ranić Sofii prawdą o Aleksieju.

Odwróciła głowę do ściany i jakoś udało jej się zasnąć. Kiedy się obudziła, okiennice nadal były zamknięte. Pani Jewentlow wyrabiała na stole ciemne ciasto z razowej mąki, Sofia leżała z Ksenią na sienniku przy piecu, a obok nich spał pies. Missie domyśliła się, że pozostali członkowie rodziny Jewentlowów śpią w drugiej izbie.

Pani Jewentlow kiwnęła Missie głową i uśmiechnęła się.

— No, wreszcie się pani obudziła — odezwała się cicho. — Teraz dostanie pani zupeł. Tak trzeba — dodała, ruchem ręki powstrzymując protest Missie. — Musi pani mieć siły i sprawny umysł, jeśli macie przeżyć.

Siedząc na twardym drewnianym krześle przy sosnowym stole, białym od wieloletniego szorowania, Missie wysłuchiwała planu Jewentlowów.

Zawiadowca powiedział, że przyjazdu pociągu nie da się przewidzieć. Pewne było tylko to, że wszystkie się spóźniają. Na stacjach skończył się węgiel i w parowozach używano teraz drewna, które paliło się bardzo szybko, toteż pociągi często stawały w szczerym polu z braku paliwa. Jewentlow musiał czekać na sygnał, że pociąg wyjechał z dużej stacji na północ od Iwanowska, po czym czekał dalej, aż pociąg się pojawi.

— Jak długo to potrwa? — zapytała Missie.

Pani Jewentlow wzruszyła ramionami. Nikt nie wie. Podróż zabierająca normalnie cztery dni mogła teraz trwać cztery tygodnie

albo więcej. Powiedziała Missie, że muszą się przebrać, bo żołnierze na pewno będą wypatrywać zdrajców takich jak one.

Missie gapiła się w miskę zupy dumając, jak to się stało, że ona, córka wybitnego profesora z Oksfordu, jest uważana za zdrajczynię w kraju, który nawet nie jest jej ojczyzną.

Wszystko zaczęło się tak przyjemnie niewiele ponad rok temu. Wraz z ojcem wybrała się na jedną z jego wypraw dookoła świata, tym razem żeby obejrzeć ostatnie odkrycia archeologiczne w Turcji.

Profesor Marcus Octavius Byron już po pięćdziesiątce ożenił się ze śliczną, młodą, długonogą Alice Lee James i bardzo się zdziwił, gdy po trzech latach urodziła mu dziewczynkę. Mała otrzymała imię Verity, ale zawsze wołano na nią Missie. Alice Lee zmarła z powodu pozornie niegroźnej infekcji, która przeszła w zapalenie płuc. Missie miała wtedy osiem lat i od tego czasu ojciec z córką bardzo się do siebie zbliżyli. Nie mieli innych krewnych. Ona była jego jedyną rodziną, a on ją ubóstwiał. Wszędzie jeździli razem. Nim skończyła czternaście lat, odwiedziła wykopaliska w Grecji i w Indiach, pomagała też odkopywać starożytne grobowce w Egipcie. Ale jej domem zawsze była wysoka, odrapana kamienica przy pełnej drzew ulicy zaraz obok Trinity College w Oksfordzie.

Ojciec zawsze jej mówił, że jest ładna, myślała jednak, że nie jest bezstronny, ponieważ była podobna do matki. Odziedziczyła po niej fiołkowoniebieskie oczy o głębokim spojrzeniu, kremowobiałą cerę i gładkie, ciemnobrązowe włosy, ale zawsze uważała się za niemodnie chudą. Miała wystające kości policzkowe, nos, choć prosty, zanadto sterczał, a usta wydawały się zbyt szerokie. Do tego długie nogi sprawiały, że była wyższa od większości znajomych chłopców.

Zupa stała nietknięta na stole. Missie zamknęła oczy, przywołując znajomy, krzepiący obraz postaci ojca. Był wysoki i chudy, przygarbiony od wieloletniego ślęczenia nad drobnym drukiem historycznych książek. Miał siwą brodę, wyblakłe niebieskie oczy i nosił tweedową marynarkę, wytartą ze starości, pachnącą dobrymi cygarami i starym porto.

Z trudem powstrzymała łzy przypominając sobie, jak pukała do drzwi gabinetu i nasłuchiwała, czy usłyszy jego zwykłe mruknięcie: *intra*. Uśmiechał się wtedy do niej, odkładał książkę i poświęcał jej całą uwagę, ale czasem zastawała go nieobecnego duchem, bez reszty zatopionego w przeszłości. Patrzył wówczas na nią z ogromnym

zdumieniem i mogłaby przysiąc, iż zupełnie nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia.

Nie zapomniał jednak o jej nauce. Zapowiedział córce, że otrzyma wykształcenie równie wszechstronne jak każdy chłopak, i wysłał ją do cieszącej się wielką renomą szkoły w Oksfordzie, gdzie była jedyną dziewczyną. Przyjęto ją tylko ze względu na wybitne osiągnięcia naukowe ojca, ale Missie, przyzwyczajona do męskiego towarzystwa, bez trudu przystosowała się do nowego otoczenia, jakby rzeczywiście była „chłopaczyskiem”. Kiedy pewnego dnia wróciła do domu i oznajmiła, że zamierza grać w rugby, profesor doszedł do wniosku, że musi jednak wysłać córkę do szkoły dla panienek. Ale zadowolony był, że męska szkoła dała jej „hart ducha”.

Missie westchnęła, otworzyła oczy i ze zdziwieniem popatrzyła na maleńki ciemny pokój i piekącą chleb Rosjankę. Nagle dzieciństwo i Oksford stały się tak odległe...

Profesor planował w lecie wyjazd do Turcji, gdzie zamierzał pozostać przez cały rok. Na północ od Efezu prowadzono ważne wykopaliska, w trakcie których dokonano niezwykle ciekawych odkryć. Mimo protestów Missie, że w lecie będzie tam straszny upał i mało wody, że zjedzą ich moskity, a racje żywnościowe będą bardzo skąpe z powodu odległości od miasta, ojciec zachowywał się jak dziecko, któremu obiecano nową zabawkę — i koniecznie musiał ją dostać t e r a z .

W końcu poszedł jednak na kompromis. Pojadą do Turcji na maj i czerwiec, unikając najgorszego upału, i wrócą tam jesienią. A podczas letniej przerwy wyskoczą do Petersburga, dokąd zapraszał ich książę Misza Iwanow. Kiedy książę studiował w Oksfordzie historię starożytności, profesor był jego mentorem i przyjacielem. Korespondowali ze sobą od tamtego czasu.

W Turcji podekscytowany profesor, nie zwracając uwagi na moskity, przez całe noce robił notatki przy świetle migocącej lampy naftowej. Po trzech tygodniach zapadł na malarię. Wykopaliska prowadzone były na odludziu, od najbliższej wioski dzieliło ich sto kilometrów, a w ekipie nie mieli doktora. Chinina i różne specyfiki przywiezione przez Missie niewiele pomagały, i w krótkim czasie gorączka spowodowała odwodnienie organizmu profesora. Missie pielęgnowała go przez tydzień, po czym, całkiem niespodziewanie, profesor stanął na nogi. Powiedział jej, że chce wrócić do pracy, ale Missie widziała w jego oczach zmęczenie. Nagle zaczął wyglądać jak starzec.

Jakże żałowała potem, że nie uparła się, by wrócili do Anglii. Postanowili jechać wcześniej do Rosji, żeby ojciec mógł wrócić do zdrowia we wspaniałej willi Iwanowów na Krymie,

Willa okazała się przestronnym i chłodnym marmurowym pałacem ze wszystkimi wygodami, włącznie z tuzinem służących, którzy spełniali każde życzenie Missie. Ponieważ jednak profesor zaraz po przyjeździe ponownie zachorował, Missie niewiele uwagi poświęcała otoczeniu. Mimo doskonałej opieki lekarskiej Marcus Octavius Byron po dwóch dniach zmarł. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Uważaj na siebie, Missie. Czekają cię wielkie zmiany”. Potem lekko uściśnął jej dłoń i odszedł. Missie nie miała żadnych krewnych. Została sama.

Pochowano go następnego dnia na starannie utrzymanym cmentarzu prawosławnym, położonym na wzgórzu nad błękitnym morzem. Misza Iwanow nie zdążył przebyć odległości dzielącej Krym od Petersburga, by oddać ostatnią posługę swojemu zmarłemu przyjacielowi, ale kiedy Missie weszła za trumną do chłodnej, białej cerkwi, zobaczyła tłum przyjaciół księcia, którzy spędzali tu wakacje w swoich willach.

Pocieszając ją wrócili razem do domu Iwanowów, gdzie zasiedli do stołu. Pili niezliczone filiżanki herbaty, wodząc za nią zmartwionymi oczyma. „Dlaczego ona nie płacze?” — szeptali do siebie niespokojnie, nawykli do spontanicznego okazywania uczuć, jak to Rosjanie. „Jest taka młoda... ma zaledwie szesnaście lat... Misza mówił, że została sama jak palec...”

Łzy przyszły dopiero następnego dnia, kiedy została sama w luksusowym wagonie prywatnego pociągu Iwanowów, wiozącego ją do Petersburga. Miała tam zamieszkać z księciem i jego rodziną. Gdy wreszcie dotarła na miejsce i zobaczyła Miszę, jej życie się zmieniło, tak jak przepowiadał ojciec.

Rezydencje Iwanowów pełne były rozmaitych krewnych, wiekowych ciotek i owdowiałych kuzynek, żyjących beztrudnie wśród furkotu szedełek i stukotu drutów, pikantnych ploteczek, delikatnego zapachu mięty i wody kolońskiej. Nowy rezydent stanowił tylko kolejny dowód ogromnej gościnności książęcej rodziny. Poza tym Verity Byron była w szczególnej sytuacji: serca wszystkich Iwanowów zwracały się ku samotnej, pogrążonej w smutku dziewczynie, i młoda Angielka, nie mając własnej rodziny, szybko stała się jedną z nich. No i oczywiście zakochała się beznadziejnie w Miszy Iwanowie.

Spoglądając w przeszłość Missie pomyślała, że czas płynął wtedy

za szybko, i całym sercem zapragnęła cofnąć wskazówki zegara. Gdyby nie pojechali do Turcji, ojciec nadal by żył... gdyby nie zakochała się w Miszy Iwanowie i wróciła do Oksfordu... gdyby rewolucja nie wybuchła, wszystko zostałoby po staremu i nie musiałaby uciekać, obarczona odpowiedzialnością za starszą panią i małe dziecko.

Dopiero po dwóch dniach pociąg przebił się przez zaspy do Dworska i przez cały ten czas Aleksiej nie powiedział ani słowa. Wielkimi, przestraszonymi oczyma wodził za Grigorijem Sołowskim, który chodził w tę i z powrotem po piekarni i wściekał się na bałagan panujący na kolei. Tylko w obecności Grigorija Aleksiej jadł cienką zupę i ciepły razowy chleb prosto z pieca. Kiedy Sołowski wkładał płaszcz i podchodził do drzwi, Aleksiej w milczeniu szedł za nim krok w krok, jak pies wierny nowemu panu.

Stara lokomotywa, w której spalano całe góry drewna, pluła dymem i iskrami w zamglone niebo. Małą stację wypełnił nagle tłum pchających się, wrzeszczących i walczących o miejsce w i tak zatłoczonym pociągu ludzi. Wagon zarezerwowany dla Grigorija i jego oddziału był kiedyś luksusową prywatną salonką wysoko postawionego urzędnika linii kolejowej. Wprawdzie nie działało ani światło, ani ogrzewanie, ale wyściełane fotele nadal były miękkie, a dwaj młodzi oficerowie przynieśli bańkę pełną zupy, kilka bochenków chleba i świece. W porównaniu z pozostałymi pasażerami, upchniętymi na drewnianych ławkach, podłodze i w korytarzach, a nawet na wiszących pod sufitem półkach, Sołowski i jego żołnierze podróżowali w komfortowych warunkach.

Pociąg zatrzymywał się co chwila, Grigorij wyskakiwał wtedy z wagonu i gniewnie dyskutował z maszynistą. Ale lokomotywa była tak stara, a paliwa tak mało, że w żaden sposób nie mogli jechać szybciej.

Żołnierze w podartych mundurach kontrolowali pociąg, domagając się od wszystkich dokumentów i pozwoleń na podróż. Co jakiś czas wołano Sołowskiego, jako najstarszego rangą oficera w pociągu, by rozpatrzył kolejny przypadek naruszenia przepisów. Chociaż kapitan był twardym człowiekiem, całkowicie oddanym nowej władzy, wciąż czuł się jakoś związany z wieśniakami. Wiedział, że w większości chcieli po prostu dołączyć do swoich rodzin, i traktował ich z wyrozumiałością. Ale sprawa młodej Angielki była inna.

Dziewczyna stała w korytarzu przytrzymywana przez dwóch brudnych, rozczochranych żołnierzy, i Grigorij natychmiast zauważył

dwie rzeczy: była bardzo piękna i bardzo zła. W jej fiołkowych oczach błyszczała pogarda dla prześladowców.

— Proszę im powiedzieć, że muszą mnie natychmiast puścić — rzuciła po rosyjsku. — Nie mają prawa traktować w ten sposób angielskiej obywatelki!

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć i poznawszy go, zachłysnęła się powietrzem. Omal nie wykrzyknęła pytania, które dręczyło ją dniem i nocą: „Gdzie jest Aleksiej?” Opanowała się jednak i przygryzając wargi spuściła wzrok na buty Sołowskiego. Podczas długiego czekania na pociąg w chacie Jewentlowów ona i Sofia podjęły decyzję. Całą ich przeszłość należało wymazać z pamięci, pogrzebać wraz z umarłymi. Jeśli mają przeżyć, muszą patrzeć w przyszłość. A Missie desperacko pragnęła przeżyć.

Na rozkaz Grigorija żołnierze ją puścili. Rozmasowała siniaki, unikając jego wzroku i zastanawiając się nerwowo, czy ją poznał. W ustach czuła suchość, ręce splotła z tyłu, żeby nie widział, jak drżą. Sołowski nadal wpatrywał się w nią w milczeniu. Od napięcia i zmęczenia bolała ją głowa. Już ponad dwanaście godzin jechały nie ogrzewanym pociągiem, i chociaż miały na sobie grube jesionki i ludowe chusty wiązane pod brodą, dzięki którym wyglądały jak zwykłe chłóпки, tylko ciepło ciał innych ludzi ratowało je przed zamarznieniem. Pani Jewentlow przygotowała im małe zapasy, ale nie śmiały jeść w ciągu dnia z obawy przed głodnymi wieśniakami, z których wielu było pijanych. Posiłały się tylko pod osłoną nocy. Nie wiedziały, jak długo potrwa podróż, musiały więc racjonować swój chleb i pierożki z warzywami. W pociągu nie było światła, toteż bały się spać, żeby w ciemnościach nie utracić życia.

Powiedziały sobie, że wytrzymają wszystko... w końcu przecież dojadą do Petersburga i przesiadą się na pociąg do Jałty. Na Krymie ludzie wciąż byli wierni Białej Armii, tam będą bezpieczne. Nie miały żadnych papierów, żadnego bagażu, wierzyły jednak, że jakoś im się uda. Ale teraz Missie miała być przesłuchiwana przez Sołowskiego i życie ich trzech zależało od tego, co powie. Patrząc na niego dziewczyna zrozumiała, że jej historyjka nie może mieć słabych punktów, bo ten człowiek słyszał już wszystko.

Sołowski przyglądał się jej w milczeniu. Wydało mu się, że zobaczył w jej oczach strach. Wzruszył ramionami. Miała prawo się bać, skoro wpadła w łapy tych dwóch typów. Ale co ona tu robi, młoda cudzoziemka sama w pociągu, i to w takich niebezpiecznych czasach?

— Kim pani jest? — zapytał w końcu. — Gdzie są pani dokumenty?

Missie wzięła głęboki oddech i odparła:

— Jestem wdową po Morrisie O'Bryan, inżynierze z amerykańskiej firmy Westinghouse w Petersburgu. Mój mąż zginął trzy tygodnie temu, kiedy bomba zniszczyła część fabryki. Wraz z teściową i córką próbowałyśmy dotrzeć do domu przez Finlandię, ale nie było już pociągów. Czekałyśmy ponad tydzień. Uznałam, że najlepiej wrócić do Petersburga i zobaczyć, co będzie dalej...

Sołowski w milczeniu wysłuchiwał jej opowieści, patrząc na nią groźnie. Ale młoda Angielka tylko uniosła dumnie głowę i powiedziała wyniośle:

— Niech pan powie swoim ludziom, żeby pozwolili nam w spokoju jechać dalej.

Sołowski warknął na żołnierzy, którzy szybko się oddalili i po chwili wrócili, prowadząc Sofię i Ksenię. Obok nich szedł Wiktor, pokazując kły. Wszyscy czekali w napięciu na dalszy rozwój wypadków.

Grigorij przyjrzał się im uważnie. Starsza pani ubrana była biednie, ale emanowała z niej jakaś duma. Wbrew samemu sobie Grigorij poczuł głęboko zakorzoną chłopską potrzebę zdjęcia czapki. Wpychając ręce do kieszeni odwrócił się do dziewczynki. Wiedział, że dzieci zawsze mówią prawdę.

— Jak się nazywasz, malutka? — zapytał po angielsku.

— Alice Lee O'Bryan — wtrąciła Missie pospiesznie. Jej matka miała na imię Alice Lee. Wstrzymała oddech, patrząc na Ksenię. Ich życie zależało teraz od słów dziecka, które nie miało jeszcze trzech lat.

Dłonie miała śliszkie od potu i nie ośmieliła się spojrzeć na Sofię, kiedy Sołowski spytał ponownie:

— Jak się nazywasz, malutka?

Ksenia popatrzyła na niego nie widzącym, sennym spojrzeniem, dobrze znanym Missie. Nagle jej twarzyczka rozjaśniła się, a w oczach błysnęło rozbawienie. Owijając wokół pulchnego paluszka lok koloru lnu, uśmiechnęła się z ufnością do Sołowskiego.

— Azaylee — powiedziała. — Nazywam się Azaylee O'Bryan!

Instynkt mówił Sołowskiemu, że coś jest nie tak. Wpatrywał się surowo w dziewczynkę, ale ona nadal uśmiechała się do niego, owijając włosy wokół palca. Wiedział, że powinien powtórzyć pytanie, nie chciał jednak wyjść na głupiego chłopa przed tymi cudzoziemkami.

— Sprawdźliście ich bagaż? — zapytał żołnierz.

— Nasz bagaż został skradziony — powiedziała szybko Missie. — Razem ze wszystkimi dokumentami. Mamy tylko to, w co jesteśmy ubrane.

— Przepraszam za zachowanie moich rodaków — oświadczył

Sołowski oficjalnym tonem. — Z przyjemnością wydám paniom dokumenty zapewniające im bezpieczną podróż bez dalszych indagacji.

Wysłał jednego z żołnierzy po formularze i dodał:

— Dam paniom dobrą radę. Krym jest ostatnim otwartym portem w Rosji. Nie zostawajcie w Petersburgu. Jedźcie prosto na stację kurską i wsiądźcie w pierwszy pociąg na południe, bo inaczej będzie za późno.

Missie nie wierzyła własnym oczom, kiedy Sołowski wypisał im przepustkę i przystawił na niej urzędową pieczęć.

— Życzę bezpiecznej podróży, *madame* — powiedział, składając zamaszty podpis.

Napotkała jego wzrok biorąc od niego dokument i szepnęła „dziękuję”. Potem szybkim krokiem ruszyła wzdłuż korytarza, popychając przed sobą Sofię i Ksenię, i przez cały czas czując na sobie badawcze spojrzenie Sołowskiego.

Rozdział 8

Paryż

Leyla Kazan rozkoszowała się wolnym dniem na Wyspie Świętego Ludwika, gdzie obecnie mieszkała. Dzień był szary i zimny, zanościło się na śnieg, ale Leyla miała przyjemną świadomość, że może wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem, zamiast przebywać w dusznych, zatłoczonych salonach mody albo gorącym, pełnym papierosowego dymu atelier, w którym spędzała większość czasu. Ubrana była w krótki kożuszek, dżinsy i botki, nie miała makijażu, włosy związała w koński ogon i zupełnie nie wyglądała na elegancką modelkę paryskich magazynów mody. Wyróżniały ją jednak niezwykle, bardzo niebieskie oczy w kształcie migdałów.

Kiedy miała siedemnaście lat, została odkryta przez pewnego agenta szukającego w Stambule talentów. Zatrudnił najlepszego fotografa w mieście, który uparł się, by sfotografować zwykłą, nie umalowaną uczennicę w dżinsach i bawełnianej koszulce — tak, jak stała. Ukazał w całej krasie jej delikatną, „wschodnio-zachodnią” urodę i zanim się obejrzała, „Vogue” zamówił serię zdjęć. Zamiast więc jechać na studia na Sorbonę, podpisała umowy zapełniające jej kalendarz na najbliższe dwanaście miesięcy. Oczywiście musiała zamieszkać w Europie, lecz od samego początku nalegała, by co rok mieć dwa miesiące urlopu. Choć dobrze się jej żyło w paryskim mieszkanku, serce ciągnęło ją do domu, do rodziny, do Stambułu.

Zdecydowała się zamieszkać na Wyspie Świętego Ludwika, która wygląda jak maleńka, otoczona fosą wioska w samym środku Paryża: ma dokładnie osiemset metrów długości, osiem uliczek i wszyscy się tam znają. Chociaż Leyla była sławna, nikt nie zawracał jej głowy. Dla sąsiadów i pozostałych *insulaires*, czyli wyspiarzy, była po prostu Leylą.

Kiedy szła wzdłuż Quai de Bethune, odbijające się od Sekwany światło zabarwiało fasady siedemnastowiecznych kamienic na szaroniebiesko; na

niebie krążyły mewy, pod zgrabnym łukiem Pont-Marie przesuwała się barka, ale Leyla nie dostrzegała otaczającego ją piękna. Każdego innego dnia nie oparłaby się pewnie pokusie zjedzenia poziomkowych lodów, dziś jednak przeszła obok cukierni Bertillona obojętnie, kupiła jogurt w sklepie Lecomte'a i oddała bieliznę do pralni madame Parraud na Rue la Regrettier, rzuciwszy tylko szybkie *bonjour*. Sprzedawca w warzywniaku, *monsieur* Turpin, potrząsnął z rezygnacją głową na widok jej poważnej miny: *mademoiselle* Leyla najwyraźniej ma na głowie ważniejsze sprawy niż miłe spędzenie dnia.

Leyla szła szybkim krokiem i rozmyślała o oglądanym wczoraj wieczorem dzienniku telewizyjnym. Podano, że w hotelu „Richemond” odbyło się coś w rodzaju międzynarodowego zlotu różnych ważnych osobistości, którym towarzyszyli dziennikarze z całego świata. Z przerażeniem wysłuchiwała historii klejnotu, plotek o tajemniczej „Damie” i spekulacji dotyczących nieznanego kupca. Pokazano migawki przedstawiające młodego radzieckiego dyplomatę i jakiegoś Amerykanina z Departamentu Stanu, wychodzących pośpiesznie z sali aukcyjnej. „Jeszcze żaden klejnot w historii nie spowodował takiego zamieszania” — stwierdził francuski reporter, i Leyli zrobiło się słabo.

— Kto by przypuszczał? — szepnęła sama do siebie. — Kto by pomyślał, że do tego dojdzie?

Rzecz jasna ona i Anna znały powody, dla których należało zachować tajemnicę, ale się nimi zbytnio nie przejmowały. Taka stara historia, minęło już tyle czasu, upłynęło tyle wody w rzekach, wszystko się tak bardzo zmieniło... Cóż mogło im grozić? Kiedy bez kłopotów i bez rozgłosu udało im się sprzedać brylant, pogratulowały sobie sprytu. Ale tym razem postąpiły lekkomyślnie. Okazało się, że szmaragd Iwanowów można rozpoznać nawet po przecięciu.

Leyla wbiegła po schodach do domu, w którym znajdowało się jej mieszkanie, oglądając się nerwowo za siebie weszła do maleńkiej windy i nacisnęła guzik najwyższego piętra. Słyszała dzwoniący telefon, ale umilkł, zanim dobiegła. Ze złością tupnęła nogą. W automatycznej sekretarce migało czerwone światełko. Włączyła odtwarzanie i znajomy głos powiedział:

„Leyla, mówi Anna. Mamy poważne kłopoty. Nie wiem dokładnie, co się stało, ale nagle cały świat chce dostać nasz szmaragd. Muszę z tobą porozmawiać. Spotkajmy się jutro rano o wpół do jedenastej obok wejścia do Luwru, tego z piramidą. Leyla, co myśmy zrobiły? Pewnie jesteś zajęta, lecisz może do Mediolanu czy gdzieś tam, ale musimy pogadać. Proszę cię, przyjdź...”

Maszyna wyłączyła się, jednak dziewczęcy głos nadal dźwięczał w powietrzu. Leyla z rozpaczą opadła na krzesło.

— Och, Tariq Pasza — szepnęła. Po jej policzkach spływały łzy. — To wszystko twoja wina, pradziadku. To twoje gadanie o lojalności Kazanów wobec Iwanowów, przypominanie wszystkim dzieciom i wnukom o przysiędze... Zobacz, w co mnie wplątałeś.

Miała dziwne uczucie, że w jakiś sposób Tariq wie, o czym myśli, i przypomina jej, dla czego ich rodzina powinna być lojalna wobec Iwanowów, chociaż minęło już tyle lat.

Rosja, 1917

Sofia chodziła po małym pokoju, który od ponad miesiąca był jej więzieniem, i zastanawiała się, co zrobić, dokąd jechać.

Długa podróż pociągiem na południe była koszmarem, o którym wolała zapomnieć. Na początku myślała, że kiedy już dotrą do Jałty, wszystko się ułoży: pójdą prosto do willi Iwanowów, przyjaciele zorganizują im wyjazd do Konstantynopola, a stamtąd do Europy. Teraz jednak wiedziała już, że Iwanowowie nie mogą tak po prostu jechać do Paryża albo do Deauville i prosić przyjaciół o pomoc. Misza ostrzegał ją, że czekaści będą tropić wszystkich członków rodziny jak dzikie zwierzęta, i jeśli kogoś złapią, poddadzą go torturom, by zdradził miejsce ukrycia resztek majątku. A wtedy wszystkich Iwanowów czeka śmierć.

Dotarły do Jałty w nocy i z przyjemnością wciągnęły w płuca orzeźwiający morskie powietrze. Na Krymie wciąż czuło się aromat lata, świeży i czysty jak zapach wolnego kraju. Uśmiechały się do siebie idąc za tłumem w kierunku wyjścia, Azaylee nawet trochę podskakiwała.

— Proszę pani, proszę pani!

Sofia odwróciła się gwałtownie na dźwięk znajomego głosu. Należał do zwiadowcy, który miał prawie tyle samo lat co ona i który znał ją od czasu, kiedy wyszła za męża. Ale do tej pory zwracał się do niej „wasza książęca mość”.

— Psze pani — szeptał pospiesznie, a jego siwa broda drżała nerwowo. — Przepraszam, że witam panią z takim brakiem szacunku, ale tutaj nawet ściany mają uszy. Wszystko się zmieniło, psze pani, wszędzie szpiedzy i niebezpieczeństwo. Pani willa... — urwał i potrząsnął smutno głową. — Zarekwirowali ją i pełno tam teraz czekistów,

którzy udają, że są zupełnie kim innym. Jeśli panią zobaczą, zaarrestują was. Och, psze pani... — kiwał głową w przygnębieniu. — Dokąd pani teraz pójdzie?

Tylko jedno miejsce przychodziło Sofii do głowy. Ponieważ niebezpiecznie było brać taksówkę, przez dwie godziny pięły się mozolnie małymi uliczkami na wzgórze do domku, który Sofia piętnaście lat temu dała swojemu stangretowi odchodzącemu na emeryturę.

Zapukała do drzwi i z niepokojem czekała na odpowiedź. Nigdy nie wątpiła w oddanie starego służącego, który spędził w domu Iwanowów pięćdziesiąt lat, wiedziała jednak, że strach może okazać się silniejszy od poczucia lojalności. Jej wątpliwości zmieniły się w ulgę, kiedy gospodarze otworzyli drzwi i natychmiast zaprosili je do środka.

Sofia rozumiała jednak, że nie mogą przebywać w tym domu zbyt długo. Stary stangret, chociaż wierny, bał się bardzo — widziała lęk w jego oczach za każdym razem, kiedy przynosił im jedzenie i ostatnie wiadomości o działaniach wojennych na Krymie. Nie dalej jak dziś rano powiedział jej, że marynarka wojenna również się zbuntowała i przeszła na stronę bolszewików. Czas uciekał szybko, a wraz z jego upływem malały szanse bezpiecznego wyjazdu.

Księżna wyrzała przez okno na zielone wzgórze za szerokim niebieskim łukiem zatoki. Willę Iwanowów zasłaniały drzewa, ale Sofia pamiętała wszystko tak wyraźnie, jakby to widziała: białe, wsparte na kolumnach portyki i zielone kopuły, zadbane ogrody i marmurowe tarasy ozdobione donicami pełnymi kolorowo kwitnących kwiatów, fontanny i baseny, rozległe parki zamieszkałe przez najpiękniejsze gatunki ptaków i zwierząt. I wszystko tak niedaleko, na pobliskich wzgórzach, choć równie dobrze mogło się znajdować tysiące mil stąd. Sofia zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że znów jest w willi, szczęśliwa, otoczona rodziną. Słyszała beztroski śmiech mieszający się ze śpiewem ptaków i łagodnym pomrukiem morza; czuła letni zapach kwiatów pomarańczy, róż i oleandrów, jesienny aromat mięty i dzikiego tymianku... Z westchnieniem otworzyła oczy i wróciła do rzeczywistości. Nigdy już nie przekroczy progu tego domu.

Nagle od cichej zatoki odbił się trzask strzałów karabinowych i księżna niespokojnie spojrzała w okno. Nie wychodziła z domku, ale Missie i Azaylee od czasu do czasu ośmielały się wypuszczać na przechadzki, grając role owdowiałej pani O'Bryan i jej córeczki. Strzały dochodziły ze wzgórz w okolicy starej cerkwi, dokąd Missie zabrała małą na spacer. Sofia z przerażeniem ukryła twarz w dłoniach.

„Och, nie — zaczęła się modlić. — Nie moja maleńka wnuczka, nie Missie. Proszę, oszczędź je, Boże, są takie młode. Błagam, weź mnie zamiast nich”. — Opadła na kolana i po raz pierwszy od wyjazdu z Wariszni zapłakała.

Zniknęła już miękka dojrzałość długiej krymskiej jesieni, ale powietrze pierwszych dni grudnia było nadal balsamiczne. Missie siedziała na starej marmurowej płycie nagrobkowej, żuła żdźbło trawy i spoglądała na Azaylee buszującą po uroczym małym cmentarzu, brykającą razem z Wiktorem w ciepłym słońcu jak młody żreback.

Miała nadzieję, że jeśli nawet wciąż snują się tu jakieś duchy, to widok radosnego dziecka i szczęśliwego psa sprawi im przyjemność. Na tym cmentarzyku pochowano jej ojca, ale Missie czuła, że jego dusza przebywa gdzie indziej. W myślach zawsze widziała go w domu w Anglii, jak siedzi przy biurku, pracuje, czeka na nią...

W dole leżała Jałta — ułożone w półksiężyc białe budynki nad postrzępionym brzegiem granatowego morza. Piaszczyste drogi pięły się po stromych zielonych wzgórzach do wspaniałych willi arystokracji, gdzieś wśród rozłożystych pinii i akacji stały smukłe drzewa cyprysowe, rysujące się jak ciemne wykrzykniki na tle bładniebieskiego nieba.

Znienacka ciszę dnia rozerwał grzechot strzałów. Wiktor przestał biegać i zadrżał. Missie złapała Azaylee i przycisnęła ją do ziemi za wielkim nagrobkiem z różowego marmuru. Znowu rozległa się palba i tym razem Missie usłyszała również jakiś głos wydający rozkazy wśród drzew na szczycie wzgórza, oddalonych zaledwie o kilkaset metrów od miejsca, gdzie się ukrywały.

Kolejne strzały padły z drugiej strony, i nagle Missie zobaczyła trzech Tatarów w tradycyjnych futrzanych czapach, koszulkach z szerokimi rękawami i baranich kubrakach. Mieli karabin maszynowy. Bolszewików nie było widać, musieli się kryć za drzewami.

Zrozumiała, że jeśli walczący zaczną schodzić ze wzgórza, ona i dziecko dostaną się w krzyżowy ogień. Muszą uciekać.

— Azaylee — szepnęła. — Będziemy się bawić.

Dziewczynka spojrzała na nią z ufnością, ale Missie była przerażona. Żołnierze będą strzelać do wszystkiego, co się rusza. A jeśli Azaylee upadnie? Popatrzyła w górę. Tatar dowodzący grupą przy karabinie zauważył ją i gniewnie dawał jej znaki, żeby została tam, gdzie jest. Opadła więc za nagrobek, przytrzymując dziecko między sobą a zimnym różowym marmurem, i szepczą do Wiktora, żeby się nie ruszał.

— Czy to nowa zabawa, Missie? — zapytała Azaylee, kiedy terkot karabinu maszynowego ponownie odbił się echem od wzgórz i niebieskiej zatoki.

Missie nie odpowiedziała, patrzyła na dowódcę tatarskiego oddziału. Zlokalizował miejsce, gdzie skryli się bolszewicy, bez pośpiechu skierował tam swój karabin i zaczął strzelać.

Przycisnęła głowę Azaylee do piersi, ale sama nie mogła oderwać wzroku od rozgrywającej się przed nią sceny. Widziała, jak zza drzew wybiegają bolszewicy, z rękoma uniesionymi do góry. Tatarzy nie okazali litości. Ich kule zamieniły ciała wrogów w krwawe ochłapy mięsa, które potoczyły się w dół zbocza.

Oficer tatarski wysłał jednego z podwładnych na zwiad do lasu, żeby upewnić się, czy nie został tam jeszcze jakiś bolszewik, po czym ruszył w stronę Missie. Był wysoki i barczysty, oprócz karabinu miał przy boku wielki stary miecz w kunsztownej skórzanej pochwie.

Missie zadrżała, zastanawiając się, czy to już koniec, kiedy Tatar pełnymi gniewu niebieskimi oczyma zlustrował najpierw ją, potem dziecko. Ku jej zdziwieniu Wiktor przestał warczeć. Zamachał ogonem i położył się, spokojnie kładąc pysk na łapach.

— Nie wiecie, że spacerować po wzgórzach są teraz niebezpieczne? — krzyknął Tatar po rosyjsku. — Mogłyście zginąć!

— Pan też — odcięła się Missie z goryczą.

Uśmiechnął się, pokazując idealnie równe, olśniewająco białe zęby.

— To moja praca. I nie potrzebuję żadnych wchodzących mi w paradę cudzoziemców. — Pochylił głowę i popatrzył na Azaylee. — Ksenia...? — zawołał z niedowierzaniem.

Dziewczynka popatrzyła na niego nieufnie.

— Nie pamiętasz mnie? — zapytał. — Zawsze rozśmieszałem tym ciebie i twojego brata... — Przykucnął obok niej, podkreślił wąsy i zrobił zabawną minę.

— Tariq! — roześmiała się Azaylee i zarzuciła mu ręce na szyję. — To Tariq!

Tatar spojrział na Missie i wyjaśnił z uśmiechem:

— Nazywam się Tariq Kazan. Mój ojciec był naczelnym ogrodnikiem w willi Iwanowów. Bawiłem się z Miszą, kiedy byliśmy dziećmi, i jego rodzina przyjeżdżała tu na wakacje. Oczywiście dawno go nie widziałem. Armia wysłała mnie nad Bałtyk, a potem, kiedy zaczęły się kłopoty, ściągnęli mnie z powrotem do Sewastopola. Teraz stać nas już tylko na potyczki na wzgórzach. — W bystrych niebieskich oczach widać było zmęczenie, ale ponownie błysnął zębami w uśmiechu. — Jeszcze nas nie pokonali — dodał. — Ten miecz jest w mojej

rodzinie od czasów Dżyngis-chana, zabito nim w imię wolności wielu ludzi. My, Tatarzy, będziemy walczyć do samego końca. I zwyciężymy!

Missie odetchnęła z ulgą. Wreszcie jakiś przyjaciel, może będzie mógł im pomóc. Opowiedziała mu, co je spotkało.

Po twarzy Tatara popłynęły łzy, nie podniósł jednak ręki, żeby je otrzeć.

— Książę był moim przyjacielem — powiedział cicho. — Chętnie zginąłbym zamiast niego.

— Proszę nam pomóc — błagała Missie. — Musimy się dostać do Konstantynopola, ale to niebezpieczne. Nie mamy żadnych papierów, księżna Sofia może zostać rozpoznana. Rewolucjoniści zajęli banki, zanim udało się nam podjąć jakieś pieniądze, i teraz nie mamy nic, żyjemy dzięki dobroci dwojga starych służących. — Umilkła czekając na odpowiedź.

Spojrzał jej w oczy.

— Proszę mi zaufać — rzekł spokojnie. — Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Tariq Kazan był Tatarem z krwi i kości. Jego rodowód sięgał szesnastego wieku, czasów sprzed Iwana Groźnego, który zrobił z Tatarów plemię bezdomnych nomadów przemierzających bez końca niegościnne stepy Rosji. Niektórzy jego przodkowie udali się do Turcji, inni osiedlili się nad Morzem Czarnym i na wzgórzach Krymu obok prawosławnych cerkwi wyrosły kopuły meczetów.

Rodzina Kazanów szybko objęła w posiadanie całą okolicę; wielu z nich zajmowało się sadownictwem, pozostali hodowali bydło albo uprawiali tarasowe winnice w Gruzji. Choć pracowali służąc innym, nigdy nie zapomnieli, że kiedyś byli dumnymi panami, słynącymi z waleczności i umiejętności jeździeckich. Kiedy wybuchła rewolucja bolszewicka, postanowili nie dopuścić do tego, by dyrygowali nimi jacyś parweniusze. Byli gotowi do upadłego bronić swojej niezależności i sprawiali Armii Czerwonej sporo kłopotów.

Tariq miał trzydzieści lat i był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o szerokich barach i silnych dłoniach. Miał gęste, kręcone, czarne włosy, sumiaste wąsy, wystające kości policzkowe i płomienne niebieskie oczy. Kiedy się uśmiechał, pokazywał zęby tak duże i tak białe, jak zęby narowistego młodego ogiera, na którym jeździł. Miał ognisty temperament, był impulsywny i inteligentny.

Służył już w armii carskiej, kiedy poznał i poślubił Chinkę z rodu Manchu, z którą miał troje dzieci: syna Michaela, nazwanego tak na cześć przyjaciela z dzieciństwa, księcia Miszy Iwanowa, i dwie córeczki.

Wiedział, że rodzina Iwanowów znalazła się zaraz za carem na czekistowskiej liście śmierci, i zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zacznie szybko działać, dwie kobiety i dziecko na pewno zginą.

Obiecał Missie, że je uratuje, musiał więc teraz coś wymyślić. Jak zwykle poszedł po radę do żony, Han-Su. Miała chatkę rybacką na wybrzeżu i jakoś udawało się jej wyżywić rodzinę warzywami uprawianymi w ogródku za domem i tym, co czasem przysyłał mąż. Han-Su była drobną kobietą przypominającą pełnego wdzięku ptaszka; miała kruczoczarne włosy zawsze upięte w węzeł na karku, a z jej skośnych ciemnych oczu wyzierała mądrość stuleci. Tariq nauczył się polegać na jej opinii.

— Co mam robić, Han-Su? — zapytał. — Obiecałem tej Angielce, że zapewnię Iwanowom bezpieczeństwo. I zrobię to... muszę.

— Przyślij je tu natychmiast — powiedziała żona. — Ale nie pod osłoną nocy, bo tego właśnie czekici spodziewają się po uciekinierach. Najpierw niech przyjdzie dziewczynka. Musi nieść bukiet kwiatów, jakby szła w odwiedziny do przyjaciół. Nikt jej nie będzie podejrzewał, jeśli będzie sama. Potem ta Angielka wyprowadzi psa na spacer. Pójdzie wzdłuż plaży, może zatrzyma się w kawiarni i napije czegoś zimnego. Będzie spacerować, aż dotrze tutaj. A starsza pani musi założyć chłopskie ubranie, czarną suknię i chustę. Weźmie koszyk z warzywami, który ci dam, będzie pukać do różnych domów i sprzedawać jarzyny... na końcu zapuka do nas.

— A potem? — spytał szybko.

— Potem spotkasz się z tym złodziejem, Wasylem Murgieniewem. Zbija majątek na fałszywych dokumentach, używając do nich prawdziwych stempli, które ukradł z ratusza i różnych ambasad. Powiedz mu, że chcesz papiery, które pozwolą trzem kobietom dotrzeć do Konstantynopola, a potem do Europy. Będzie żądał dużo pieniędzy, ale w końcu się dogadacie. One zostaną tutaj. Porozmawiam z komendantem portu w Alupce... Jest półkrwi Chińczykiem i pochodzi z mojej prowincji. Pomoże im się dostać na łódź do Konstantynopola.

— Han-Su, jesteś wspaniała — zawołał Tariq i uściśnął ją gorąco, lecz ona tylko się uśmiechnęła.

— Misza Iwanow był twoim przyjacielem — powiedziała. — Masz obowiązek pomóc jego rodzinie. Ale jest jeden problem, Tariq. To będzie dużo kosztować.

Twarz mu się wydłużyła, kiedy sobie przypominał, że Missie nie ma żadnych pieniędzy, ale po chwili wyprostował się dumnie.

— Zostaw to mnie, Han-Su — oświadczył. — Znajdę pieniądze.

Następnego dnia poszedł na cmentarz na spotkanie z Missie

i powiedział jej, co ma robić. Wszystko poszło jak po maśle i po południu zainstalowały się razem z psem w rybackiej chatce nad morzem. Taria przez tydzień przemierzał wzgórze Jałty i zbierał po kilka rubli od biednych, ale lojalnych białogwardzistów, pukał do drzwi ludzi, którym ufał, i tłumaczył im, że pomaga rodakom w ucieczce. Było to ryzyko, ale podjął je z ochotą, ponieważ wziął na siebie odpowiedzialność w imieniu zmarłego przyjaciela i nie zamierzał się cofnąć, choćby miało go to kosztować życie.

W noc wyjazdu do Alupki, skąd mały kuter miał je zabrać do Konstantynopola, Taria zjawił się w chatce z butelką dobrej wódki w ręku.

— To nie żaden chłopski samogon — powiedział ze śmiechem, napełniając szklanki. — Dziś pijemy za zdrowie Iwanowów.

Po toaście księżna Sofia wręczyła mu wąskie zamszowe pudełko i oznajmiła:

— Co ma być, to będzie. Zrobiłeś, co mogłeś, reszta w rękach Boga. Daję ten podarek tobie i Han-Su z wyrazami wdzięczności mojej i mojego syna. Jesteś dzielnym człowiekiem, Tariqu Kazanie. Mój syn kochał cię jak prawdziwego przyjaciela.

Taria zaniemówił, wpatrzony w lśniący diamentowy naszyjnik na czarnym aksamicie.

— Wasza książęca mość jest bardzo hojna — odezwała się Han-Su — ale oczywiście nie przyjmujemy takiej zapłaty. Pomagamy wam z radością. Nic nam panie nie jesteście winne.

Maleńka Chinka i wysoka arystokratka rosyjska patrzyły na siebie z szacunkiem, a Taria zamknął pudełko i podał je Sofii.

— To nie jest zapłata, Han-Su. Uszczęśliwisz starą kobietę przyjmując ten podarunek — powiedziała Sofia stanowczo.

Han-Su skłoniła się nisko.

— Jestem zaszczycona, wasza książęca mość — odparła.

Sofia i Missie przebyły dwadzieścia kilometrów do Alupki na małych osiołkach o mocnych nogach, Taria niósł Azaylee. Niósł też karabin automatyczny, a u boku zwiślał mu stary tatarski miecz w skórzanej pochwie. Noc była ciemna, bezksiężycowa, ale Tatar bez trudu wypatrzył czekający na nie kuter, choć wszystkie światła były wygaszone. Kiedy już płynęły cicho przez atramentowe morze w kierunku Turcji, Taria z rodziną modlili się o bezpieczeństwo Sofii i jej wnuczki, choć wiedzieli, że już nigdy ich nie zobaczą.

Rozdział 9

Stambuł

Rok po tym, jak Tariq i Han-Su pomogli Sofii wyjechać z Rosji, Biała Gwardia na południu została w końcu pobita i rodzina Kazanów musiała uciekać przez Morze Czarne w małej, przeciekającej łódce. Wkrótce potem zamieszkali w Konstantynopolu. Han-Su nie chciała sprzedawać naszyjnika księżnej gdzieś w ciemnych uliczkach miasta za ułamek prawdziwej ceny, ponieważ bała się, że ktoś mógłby rozpoznać klejnot i donieść na nich. Wysłała go więc potajemnie do krewnych w Hongkongu — tam naszyjnik rozebrano na kawałki i sprzedano za sumę wystarczającą do rozpoczęcia nowego życia.

Han-Su zdecydowała, że pieniądze należy zainwestować w mały frachtowiec pływający do portów śródziemnomorskich z ładunkami przypraw, jedwabnych dywanów, mosiądzu i srebra, a wracający z cennymi maszynami lub — nierzadko — z bronią. Tymczasem rodzina żyła skromnie w zniszczonym drewnianym domku na szczycie jednego z wielu wzgórz miasta, niedaleko mostu Galata łączącego brzegi Bosforu.

Dzięki gospodarności Han-Su i smykałce Tariqa do interesów firma „Frachtowce Kazana” wkrótce zaczęła doskonale prosperować. Kupiono następny statek, większy i nowszy od pierwszego. Tureccy producenci przekonali się, że mogą polegać na statkach Kazana, a zagraniczni importerzy również chętnie napełniali ich ładownie, kiedy wracały do Stambułu. Tariq kupował kolejne frachtowce i rozwijał interes, a Han-Su rządziła pieniędzmi. Po pięciu latach byli już właścicielami małej floty i kwitnącego przedsiębiorstwa. Położono fundament pod wielkie imperium transportu morskiego Tariqa Kazana.

Po dziesięciu latach mieli największą flotę handlową na świecie i byli jedną z najbogatszych rodzin w Turcji. Przeprowadzili się do pięknego *yali*, starego pałacu w Yenikoy po europejskiej stronie

Bosforu. W ogrodach wokół niego unosił się zapach jaśminu i kwitnącej cytryny, fontanny rozsiewały chłodny pył, a ptaki wypełniały powietrze swoim śpiewem. Ilekroć któryś ze statków Tariqa płynął w górę Bosforu w drodze z Europy do Azji, przepływając obok *yali* Kazanów pozdrowiał szefa wyciem syreny. Tariq salutował mu dumnie z balkonu, ubrany w biały mundur, w czapce oficerskiej ze złotym otokiem i z ręką na bezcennym tatarskim mieczu zwisającym u biodra.

Ale nigdy nie pozwolił rodzinie zapomnieć, że wszystko to zawdzięczają Iwanowom.

— Bez nich Kazanowie nadal byliby wieśniakami — mówił swoim dzieciom, a potem wnukom. — Ich brylantowy naszyjnik dał początek naszej fortunie. Rodzina Iwanowów odeszła, wielu z nich nie żyje lub nie wiadomo, gdzie są. Ale nigdy nie zapominajcie, że naszym pierwszym obowiązkiem — naszą świętą powinnością — jest lojalność wobec Iwanowów. Kiedy umrę, ta odpowiedzialność spadnie na was, moje dzieci, a potem na wasze potomstwo. To jest wasze dziedzictwo.

Martwił się jednak o syna, który w wieku jedenastu lat zachorował na paraliż dziecięcy i miał bezwładną nogę. Kiedy Michael przechodził rekonwalescencję, Tariq zatrudnił nauczycieli gimnastyki, którzy pracowali nad fizycznym rozwojem chłopca. Jakby w rekompensacie za słabość nóg i powłóczyłysty chód, młody Kazan miał tors niczym byk. W specjalnie zrobionym siodle jeździł konno jak jego przodkowie, był też znakomitym strzelcem, świetnym myśliwym i duszą towarzystwa podczas wszelkich spotkań rodzinnych. Gdy walczył ze swoim kalectwem, jego dwie siostry wyszły za mąż i rodzice zostali dziadkami.

Lata dzielące ich od ucieczki z Rosji mijały szybko, ale Tariq nigdy nie pozwolił rodzinie zapomnieć ani o przeszłości ani o długu wdzięczności wobec Iwanowów.

Michael miał już dwadzieścia dwa lata, był równie silny, przystojny i wybuchowy jak ojciec. Han-Su uznała więc, że potrzebna mu żona, która go uspokoi, i wybrała dziewczynę, którą chciała wydać za syna.

Osiemnastoletnia Refika, córka bogatego tureckiego bankiera i Francuzki, miała ładną buzię, ciemnobrązowe oczy, jasne włosy matki, staranne wykształcenie i własne poglądy. Han-Su była z tego zadowolona, bo wiedziała, że Kazanowie potrzebują silnych kobiet.

Dokładnie zaplanowała ich pierwsze spotkanie w parną, letnią noc, ożywioną jedynie delikatną bryzą znad Bosforu. Refika w białej, zielonej szyfonowej sukience, z bogato zdobionym pasem na szczupłej talii, siedziała pomiędzy rodzicami skromnie krzyżując nogi. Tariq wpatrywał się w nią przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu.

W oczekiwaniu na Michaela jego siostry kręciły się między gośćmi, częstując wszystkich słodyczami, podczas gdy ich mężowie zabawiali rozmową ojca Refiki. Han-Su przepraszała za spóźnienie syna, ale w środku cała się gotowała. Michael od początku był przeciwny jej swataniu i na pewno zabawiał się teraz z kobietą, którą utrzymywał w mieszkaniu na Starym Mieście. Spóźniał się celowo, ponieważ chciał, by Refika widziała go wchodzącego do pokoju — chciał jej pokazać, że jest kaleką.

Refika spojrzała na Tariqą i uśmiechnęła się pogodnie, po czym usiadła u jego stóp, na niskiej otomanie pokrytej pięknym jedwabiem.

— Kazan Pasza — odezwała się ciepłym, melodyjnym głosem. — Słyszałam, że jest pan niezwykłym człowiekiem, i ci, którzy z panem pracują, podziwiają pana odwagę i głowę do interesów. Słyszałam, że wszyscy pana uwielbiają; nawet mówią o panu „sułtan” Kazan. Widzę, że jest pan przystojnym mężczyzną, urodzonym od wszystkich znanych mi młodzieńców, ale spogląda pan na mnie srogim wzrokiem. Martwi mnie to, Kazan Pasza, bo przecież pan mnie jeszcze nie zna.

Tariq popatrzył na nią zmieszany.

— Srogim wzrokiem... — powtórzył niepewnie. — Nie, skądże... Srogo spoglądam tylko na moich wrogów albo ludzi, którzy chcą mnie oszukać.

— Czy uważa mnie pan za wroga? — nie ustępowała Refika.

— Nie... oczywiście, że nie. — Oszłołomiła go swoją szczerością.

— Czy wobec tego czuje pan, że zamierzam oszukać pana albo pańskiego syna?

— Oszukać...? Nie, wcale tak nie myślę...

Dziewczyna wygładziła miękki szefon spowijający jej zgrabne nogi i powiedziała:

— To dobrze, Kazan Pasza. Nie ma więc między nami żadnych problemów, żadnych niedomówień. Mam nadzieję, że zawsze tak będzie. — Uniosła dumnie głowę i spojrzała na Michaela, który kuśtykał przez pokój w ich kierunku, spoglądając na nią równie groźnie, jak przedtem Tarią.

— Jaki ojciec, taki syn — uśmiechnęła się przekornie, i Tarią zrozumiał, że trafiła kosa na kamień. Refika będzie dla Michaela idealną żoną.

Bezwładna noga Michaela nie miała dla Refiki znaczenia. Widziała przed sobą wysokiego, przystojnego młodzieńca o niedźwiedzich barach, patrzącego na nią podejrzliwym wzrokiem. Ale nie bała się. Wiedziała, czego chce, i umiała wykorzystać wszystko, czego nauczyła się od swojej matki Francuzki. Gdy wieczór się skończył, Michael

niechętnie się z nią rozstawał. Przyzwyczajony był do jednoznacznie erotycznych zachowań kobiet, które przez lata mieszkały w jego apartamencie na Starym Mieście, lub do przesadnie skromnych, dobrze wychowanych pańienek, zbyt nieśmiały, by wyrzec przy nim więcej niż dwa słowa. Refika łączyła w sobie jedno i drugie. Skromna, ale nie nieśmiała, zuchwała, ale nie bezczelna, prowokująca, ale niewinna. Wkrótce się okazało, że Michael jest zakochany, i po niedługim okresie narzeczeństwa odbył się ślub.

Ich syn Ahmet urodził się „dokładnie dziewięć miesięcy później”, jak z dumą tłumaczył Tarią na wypadek, gdyby jakiś Turek śmiał wątpić w męskość Kazanów. Po Ahmecie przyszły na świat trzy córki.

Ahmet był chłopcem drobnym i cichym, zupełnie niepodobnym do ojca i zuchwałego dziadka. Dzięki gładkim czarnym włosom i ciemnym, lekko skośnym oczom przypominał babkę, choć odziedziczył po matce jasną cerę. Refika i Han-Su od razu poznały się na jego inteligencji i nalegały, by dać mu jak najlepsze wykształcenie, mimo protestów Tariq, niezadowolonego, że jego wnuk nie oddaje się prawdziwym męskim zajęciom, takim jak jeździectwo, strzelanie, picie i seks. Nieraz też zapytywał sam siebie, jakim cudem dwoje silnych, namiętnych ludzi mogło spłodzić tak spokojne dziecko. Jednakże w 1954 roku, w dniu wręczenia Ahmetowi dyplomu na Harvardzie, był najdumniejszym dziadkiem na świecie.

Po dwóch latach w szkole biznesu Ahmet wrócił do Stambułu i rodzinnego przedsiębiorstwa. Tarią obserwował go jastrzębim wzrokiem i zasypywał pytaniami, kiedy wnuk proponował zmiany lub „ulepszenia”. Ale mimo wszystkich wątpliwości chłodny spokój i pewność siebie Ahmeta zrobiły na starym Kazanie wrażenie.

— Ten chłopak ma ikrę, tylko że w głowie — oświadczył Han-Su na poły żartobliwie, na poły z dumą, dając wnukowi zezwolenie na budowę pierwszego wielkiego tankowca.

Tarią miał siedemdziesiąt trzy lata, kiedy w 1960 roku zmarła Han-Su. Odeszła we śnie tak spokojnie, że jej mąż w pierwszej chwili nie zdał sobie z tego sprawy: „Nie była chora, nic jej nie bolało!” — wołał ze zdumieniem, otoczony gromadką dzieci i wnuków. Nie wstydził się swoich łez, ponieważ prawdziwa miłość nie zna dumy.

Po śmierci Han-Su Refika i Michael stali się oficjalnymi głowami rodziny. Michael kierował flotą handlową z takim samym powodzeniem, jak kiedyś jego ojciec. Tarią spędzał długie godziny w biurze w towarzystwie Ahmeta, który całą duszą poświęcił się pracy. Razem planowali rozwinięcie firmy Kazana w nowe imperium supertankowców i wygryzienie Greków z lukratywnych przewozów ropy naftowej.

Tariq chichotał radośnie, kiedy jego wnukowi raz za razem udawało się przechytrzyć rywali. Ahmet ostatecznie udowodnił, iż jest prawdziwym Tatarem i Kazanem.

Skończywszy trzydzieści dwa lata, poznał i poślubił ładną jasnowłosą Szwedkę, którą zabrał do wielkiego *yali* dziadka nad Bosforem. W 1966 roku urodziła im się córka Leyla. Była ślicznym dzieckiem z prawdziwie „kazanowskimi”, mocno niebieskimi oczyma w kształcie migdałów i gęstymi ciemnymi włosami. Tariq kochał ją najbardziej ze wszystkich wnuków i prawnuków.

Mimo podeszłego wieku trzymał się prosto i nie ustępował sprawnością mężczyznom młodszym od siebie o dwadzieścia lat. Leyla oczarowała go całkowicie. Gdy tylko wystarczająco podrosła, zaczęła wszędzie zabierać. Chodziła z nim do ogromnego biura z widokiem na morze Marmara, gdzie bawiła się modelami jego statków i rysowała przy biurku; odwiedzała wraz z nim jego stadninę koni wyścigowych; uczestniczyła w wycieczkach jachtem do słonecznych portów śródziemnomorskich. W dzień jej czwartych urodzin zapytał, dokąd chciałaby pójść.

— Z tobą, dziadku Pasza — odparła patrząc na niego przeciągle w taki sam sposób, w jaki on zwykł patrzeć. — Chcę iść tam, dokąd ty chodzisz, kiedy nie jesteś ze mną.

Poszli więc do jachtklubu, gdzie małą potraktowano z całym szacunkiem należnym dorosłej damie, gdy zamawiała swój ulubiony barani szaszłyk i lody. Tariq był wtedy dumniejszy ze swej prawnuczki niż ze wszystkich sukcesów i całego majątku.

Kiedy Leyla skończyła siedem lat, rodzice postanowili zabrać ją na wycieczkę do Paryża. Na wieść o tym Tariq oświadczył stanowczo:

— Nie możecie zabrać mi dziecka. Jeśli ona jedzie, to ja też.

Ahmet wzruszając ramionami spojrzał na żonę, która westchnęła z rezygnacją. Nikt nigdy nie sprzeciwiał się staremu Kazanowi. Pojechali więc wszyscy razem.

Tariq siedział na ławce w Ogrodach Luksemburskich i patrzył, jak mała Leyla biega po trawie za piłką, kiedy zaczęła go jakaś kobieta.

— Tariq Kazan? — zawołała pytająco. — Czy to naprawdę ty?

Podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Pamiętał tę twarz z przeszłości... ale wtedy była młodsza, a w fiołkowych oczach czaił się strach wywołany strzelaniną... i przyciskała do siebie dziecko, a obok stał wielki, bursztynowożółty pies...

— Missie? — Głos mu drżał, kiedy wstawał. — Missie? To ty? — Padli sobie w objęcia śmiejąc się i płacząc równocześnie.

— Nigdy o tobie nie zapomniałam, nigdy — powiedziała Missie. —

Jakże bym mogła, po tym, kiedy uratowałeś nam życie narażając własne...?

— A księżna Sofia? — zapytał szybko. — I Ksenia?

Missie potrząsnęła głową.

— Księżna często wspominała o tobie przed śmiercią — powiedziała cicho. — Mówiła, że byłeś jednym z najodważniejszych i najwierniejszych ludzi, jakich znała, i że byłeś dobrym przyjacielem jej syna. — Zawahała się. — Ksenia, tak jak my wszyscy, ma nową tożsamość. Wątpię, czy kiedykolwiek myśli o swojej prawdziwej rodzinie. — Tariq ze zdziwieniem spojrział na stojącą obok Missie dziewczynkę. — To jest jej córka Anna. Ma dziesięć lat.

Oczy Tariqa zaszyły łzami na widok szczupłego, złotowłosego dziecka, ostatniej przedstawicielki rodu Iwanowów. Ujął jej małą dłoń i ucałował.

— Pokornie witam, księżniczko — rzekł do spoglądającej nań ze zdumieniem Anny.

Zawołał Leylę i przedstawił ją z dumą.

— A teraz idźcie się bawić — powiedział. — My, dorośli, chcemy porozmawiać.

Patrzył przez chwilę, jak dziewczynki biegają po trawniku, po czym odwrócił się do Missie. Ani jeden z jej lśniących brązowych włosów nie był siwy, ale obcięła je krótko, by zgodnie z nakazami mody sięgały szyi. Skórę miała gładką, nie licząc drobnych zmarszczek mimicznych wokół oczu. Niemal tak wysoka jak on i smukła jak trzcina, ubrana była w elegancki kremowy kostium. Tariq z podziwem zauważył, że jej długie nogi wyglądają, jakby należały do kobiety młodszej o trzydzieści lat.

— Powiedz mi, co się z wami działo — poprosił.

W milczeniu wysłuchał jej opowieści o życiu, w którym wciąż borykała się z nędzą i w którym zawsze towarzyszył jej strach.

— Potrzebujesz pieniędzy? — zapytał z troską.

Missie potrząsnęła przecząco głową.

— Martwię się o Annę. Jej matka... — wzruszyła ramionami — jest taka sama jak Annuszka.

Tariq skinął głową. Wiedział, co miała na myśli.

— Anna musi mieć rodzinę — powiedziała Missie. — A ja jej tego dać nie mogę. Nie jestem odpowiednim towarzystwem dla dziecka. Przywiozłam ją tu na małe wakacje, wiem jednak, że czuje się bardzo samotna. Zobacz, jaka jest szczęśliwa, że może pobawić się z Leylą. Ale ty, Tariq — odwróciła się do niego z uśmiechem — jesteś tak samo przystojny jak zawsze. Co u ciebie słychać?

— Powiodło mi się — odparł z dumą. — Brylantowy naszyjnik księżnej Sofii dał początek mojemu szczęściu. Bez jej szczodrości byłbym nikim. Nigdy nie pozwoliłem mojej rodzinie o tym zapomnieć, a teraz wreszcie będziemy mogli spłacić część naszego długu. Anna Iwanow ma rodzinę. Kazanowie będą ją traktować jak własną córkę. Przyślij ją do nas, Missie, znów będzie księżniczką.

Missie zaśmiała się.

— Tariq, ona nie nazywa się Iwanow, nie wiedziałaby, o co ci chodzi, gdybyś się do niej tak zwrócił. Nie jest rosyjską księżniczką, tylko zwykłą amerykańską dziewczynką. Ale dziękuję ci za twoją dobroć.

— Mam jacht w Monte Carlo. Zgódź się przynajmniej spędzić tam z nami trochę czasu — zawołał impulsywnie. — Pomyśl, jaką radość sprawisz dzieciom. — Nie chciał pozwolić Missie odejść. Była teraz jedynym ogniwem łączącym go z rodziną, którą kochał i szanował. Dostrzegł wahanie na jej twarzy i huknął: — Nikt nie mówi „nie” Tariqowi Kazanowi!

Missie roześmiała się na widok zdumionych spojrzeń przechodniów.

— Niech ci będzie — zgodziła się. — Annie dobrze to zrobi.

Dwa tygodnie spędzone na jachcie w towarzystwie wnuczki księcia Miszy Iwanowa były dla Tariqa jednym ze szczęśliwszych okresów w życiu. Nic nie może się temu równać, myślał patrząc, jak jego prawnuczka bawi się z Anną. Zupełnie tak samo on i Misza bawili się w dzieciństwie. Nie chciał uścić małej do domu.

— Sama mówisz, że matka nie ma dla niej czasu. Czemu więc nie pozwolisz jej zamieszkać z nami? — pytał Missie co wieczór, kiedy dzieci już spały, a oni siedzieli na pokładzie pod bezchmurnym śródziemnomorskim niebem. — Będzie traktowana jak moja rodzona wnuczka. Spójrz tylko, jak rozkwitła wśród nas, jaka jest promienna, jak się śmieje. Są z Leylą jak siostry. Co masz do stracenia, Missie? Ciebie też zapraszam, mój dom jest wystarczająco duży. Jestem bogaty, Annie niczego nie zabraknie. Będzie z nami szczęśliwa, a kiedy umrę, odziedziczy po mnie część majątku. — Popatrzył na nią i dodał przebiegle: — Zapytaj samą siebie, jakie rozwiązanie Misza uznałaby za najlepsze.

Jego wyrazisty profil rysował się na tle granatu nieba i Missie pomyślała, że w półmroku wygląda jak młody człowiek. Ale był stary. Kto wie, ile czasu mu zostało? Czy jego syn i wnuk będą chcieli widzieć Annę u siebie, kiedy odejdzie? Wyobraziła sobie oburzenie rodziny na wieść, że Tariq zostawił część majątku Annie, i zrozumiała, że nie powinna ich w ten sposób obciążać. Nie, ona i tylko ona jest

odpowiedzialna za dziewczynkę. Musi nadal zapewniać jej byt, musi dbać o jej bezpieczeństwo. Ale co się stanie, kiedy i jej zabraknie? Westchnęła. Mogła jedynie mieć nadzieję, że Pan Bóg będzie łaskawy i pozwoli jej żyć do czasu, aż Anna się usamodzielni.

Co wieczór Tariq mówił o Annie, używając wszelkich możliwych argumentów, żeby przekonać Missie. Słuchała i nic nie mówiła, ale w końcu powiedziała sobie, że matce Anny jest w zasadzie obojętne, czy widzi dziecko, czy nie. Choć mała o tym nie wie, nosi przecież nazwisko Iwanow i gdyby jej tożsamość kiedykolwiek wyszła na jaw, jej życiu zagrażałoby niebezpieczeństwo... Dobrze by było, żeby miała w kimś jakieś oparcie.

— Będzie miała prawdziwą rodzinę i prawdziwy dom — mówił Tariq.

Widok szczęścia małej bawiącej się z Leylą ostatecznie przekonał Missie. Choć Anna była trzy lata starsza, dziewczynki świetnie się rozumiały i bardzo polubiły. Po dwóch tygodniach stały się nierozłączne.

— Dobrze więc — powiedziała do Tariqa w noc przed powrotem do Paryża. — Anna będzie przyjeżdżać do was na wakacje, na trzy miesiące każdego roku.

— Niech cię Pan błogosławi! — wykrzyknął i uśmiechnął się szeroko. Jego wielkie białe zęby, z których większość była już porcelanowa, błysnęły w świetle księżycy.

Następnego ranka Leyla ze łzami w oczach uściskała przyjaciółkę.

— Zobaczymy się za kilka miesięcy — obiecała Anna, machając przez okno wielkiej limuzyny Tariqa, która zabierała ją i Missie na stację. — Nie zapomnij o mnie, Leyla.

Potem rok w rok do Ameryki przychodziły dwa bilety pierwszej klasy na pociąg i statek do Monte Carlo, skąd Tariq i Leyla zabierali Missie i Annę jachtem do Stambułu.

Dziewczęta były niczym siostry, a stary Tatar kochał Annę tak samo jak Leylę. Cała rodzina Kazanów zmieniła się w wujków, ciotki, kuzynów i kuzynki Anny. Missie widziała, że dziewczynka jest szczęśliwa jak nigdy, ponieważ zyskała poczucie stabilizacji, jakiego wcześniej nigdy nie miała.

Dawniej Tariq ubóstwiał jedną prawnuczkę, teraz miał dwie; dawniej wszędzie chodził z Leylą, teraz zabierał też wszędzie Annę i każdego ranka, kiedy odmawiał pacierze, dziękował Bogu, że dane mu było spłacić Iwanowom dług wdzięczności.

Kiedy Anna miała już siedemnaście lat, z okazji dziewięćdziesiątych urodzin Kazana Paszy wyprawiono wielkie przyjęcie. Luksusowy *yali*

nad Bosforem wypełniły kwiaty, długie stoły zastawiono niezliczonymi przysmakami. Wśród drzew obwieszonych tysiącem kolorowych lam-pionów, na tarasach posypanych różanymi płatkami grali muzycy. Zaproszono pięćset osób, które przybyły w tradycyjnych tureckich strojach, i Missie pomyślała, że tak właśnie musiał wyglądać *yali* w czasach imperium otomańskiego trzysta lat temu.

Tariq bawił się świetnie w towarzystwie rodziny i przyjaciół i nie położył się aż do odjazdu ostatniego gościa o czwartej nad ranem. Po krótkim odpoczynku wstał jak zwykle o szóstej, odmówił modlitwę i wypił pierwszą filiżankę słodkiej kawy, bez której nie mógł żyć. O szóstej trzydzieści założył biały mundur i czapkę ze złotym otokiem, przypiął miecz i wyszedł na taras. Ku jego zdziwieniu Anna również była już na dworze i opierała się o marmurową balustradę, spoglądając marząco na wyłożony porannym słońcem Bosfor.

Na widok Tariqa uśmiechnęła się i powiedziała:

— Kazan Pasza — zawsze zwracała się do niego w ten sposób — dlaczego wstałeś tak wcześniej? Powinieneś jeszcze spać.

Stary Tatar roześmiał się, wicherząc jej włosy czułym gestem. Anna była urocza, nie tak piękna jak Leyla, ale wysoka i szczupła. Miała wspaniałą figurę Iwanowów i cudownie wyraziste niebieskie oczy, które w tej chwili przepełniała miłość. Tariq wiedział, że Misza Iwanow byłby zadowolony ze sposobu, w jaki Kazanowie spłacali dług.

— Chyba to ja powinienem tak powiedzieć — zauważył, opierając się o balustradę obok niej. — W końcu jestem pradziadkiem, a ty dzieckiem.

Położyła dłoń na jego wielkiej ręce i odparła:

— Nie mogłam spać. To było najwspanialsze przyjęcie w moim życiu. Jak scena z powieści. Nigdy tego nie zapomnę.

— Ja też nie, córeczko — powiedział cicho. — Spójrz, płynie „Han-Su”. Nazwałem go tak na cześć mojej ukochanej żony. Widzisz, ludzie na moich statkach nadal się spodziewają, że płynąc przez Bosfor zobaczą swojego kapitana, nawet jeśli zmitrężył całą noc oblewając swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Nie mogę sprawić im zawodu.

Jego radosny śmiech niósł się po wodzie, kiedy z Anną u boku salutował długiemu frachtowcowi, płynącemu majestatycznie z rykiem syren pod banderą Floty Handlowej Kazana. A potem, bez jednego słowa, osunął się na taras.

— Kazan Pasza! — krzyknęła Anna, chwytając głowę starca w ramiona. Ale płomień w jego oczach zgasł i zrozumiała, że Tariq odszedł.

Pogrzeb, który nastąpił zaraz po wesołym przyjęciu urodzinowym, był wydarzeniem smutnym, lecz wspaniałym, tak jak tego chciał Tariq.

Trumnę z brązu, ozdobioną herbami Rosji i Turcji, ciągnęło przez wąskie uliczki Stambułu osiem czarnych koni z czarnymi pióropuszcami na łbach; na Starym Mieście wstrzymano ruch, kiedy długi kondukt pogrzebowy sunął wolno przez ulice, zatrzymując się na każdym rogu przy akompaniamencie zawodzenia i szlochów, bowiem Kazan był powszechnie lubiany.

Procesja powoli dotarła do cmentarza położonego na szczycie wzgórza nad Bosforem, na którym Tariq przed wielu laty wybudował piękny marmurowy grobowiec dla siebie i Han-Su. Często siadywał tu, dotrzymując towarzystwa żonie i spoglądając na swoje statki.

Zgodnie z jego obietnicą Anna odziedziczyła część majątku. Ku zdziwieniu Missie rodzina nie miała nic przeciwko temu.

— Ojciec mówił nam, że spłaca wielki dług — powiedział Michael, teraz głowa rodu i spadkobierca słynnego miecza oraz całego interesu. — A my szanujemy jego zobowiązania. Poza tym wszyscy kochamy Annę. Należy do rodziny.

I tak po sześćdziesięciu latach Tarią wyrównał rachunki z Iwanowami — Anna stała się bogatsza o milion dolarów, choć oczywiście większa część tej sumy ulokowana była w akcjach Floty Handlowej Kazana.

Wszystko to stało się dawno temu, a teraz Leyla Kazan siedziała sama w swoim paryskim mieszkaniu i szczerze żałowała, że zgodziła się pomóc przybranej siostrze, chociaż bardzo ją kochała.

Rozdział 10

Dusseldorf

Samolot do Dusseldorfu był w połowie pusty i Genie z ulgą opadła na fotel w pierwszej klasie. Miała za sobą długą noc, w ogóle nie spała, do tego na lotnisku kłębił się straszliwy tłum. Ale teraz wreszcie mogła zostać sam na sam ze swoimi myślami. Myślała o Valentinie Sołowskim. Nie o radzieckim dyplomacie, lecz o mężczyźnie imieniem Valentin.

Rozmawiali przy migoczącym ogniu do piątej nad ranem, podczas gdy za oknem szalała śnieżycą, Valentin jednak nie zdradził jej ani jednego szczegółu dotyczącego swoich spraw osobistych. Ale podobał się jej bardzo. Nie dlatego, że był taki przystojny. Genie znała wielu pociągających mężczyzn i większość z nich była egocentrykami, którzy traktowali kobietę jak ozdobny przedmiot. Nie, Valentin był inny. W jego oczach widziała szczerą podziw, prawili Genie subtelne komplementy, ale z pewnością jej nie podrywał. A do tego dochodził jeszcze dreszczyk podniecenia wywołany niebezpieczeństwem.

Być może na tym właśnie polega nowy radziecki sposób podchodzenia wroga, pomyślała zamykając oczy i wkładając ciemne okulary, kiedy samolot wreszcie wystartował. Jeśli tak, to Rosjanin osiągnął cel: pamiętając o prośbie Cala, opowiedziała Valentinowi o swojej pracy dziennikarskiej i zapytała, czy może zrobić z nim wywiad do nowego programu, który zamierzała przygotować dla telewizji.

— Czemu nie — odparł z rozbawieniem. — Ale obawiam się, że nie jestem wystarczająco ważny.

— Żartujesz — oburzyła się. — Mówię ci, baby w Ameryce zjedzą cię na surowo.

— Czyżby? — zapytał z leniwym uśmiechem. Jego głęboki głos sprawił, że poczuła ściskanie w dołku. Szybko przypomniała sobie

o swojej misji i opowiedziała mu, jak bardzo nie chciała przyjeżdżać do Genewy.

— Myślałam, że ta aukcja nie ma znaczenia i nie warto marnować na nią mojego czasu — wyznała — ale widzę, że się myliłam. Wiem, że wcześniej czy później wszystko się wyjaśni i chcę, żeby świat się o tym dowiedział ode mnie. Jestem ambitna, a taki materiał miałby ogromny wpływ na moją karierę. Poza tym — dodała rzucając mu spojrzenie spod oka — poznałam już część prawdy i wiem coś, o czym nie wie nikt inny...

Pociągnęła łyk brandy, czekając w napięciu, czy Sołowski połknie haczyk.

— Wszyscy wiedzą, że i Rosja, i Ameryka chciałyby dostać szmaragd — powiedział wpatrując się w nią ciemnymi oczyma, które poznały zbyt dużo tajemnic. — Przyznam jednak, że przydałaby mi się pomoc.

— A co z KGB? — zapytała niewinnie.

Uśmiechnął się.

— Czasami KGB okazuje się bezużyteczne, zwłaszcza kiedy potrzebne jest trochę subtelniejsze podejście. Tak jak w tym przypadku — pochylił się do przodu i zajął jej głęboko w oczy. — Gdybym poprosił kogoś o pomoc, ta osoba byłaby odpowiedzialna tylko przede mną. Tylko ja znałbym jej nazwisko. Nikt inny nie dowiedziałby się o jej roli pomocnika...

— Czyli szpiega — powiedziała głosem drżącym ze strachu. Mówiąc te same słowa do Cala czuła się zupełnie inaczej. Cal był przyjacielem, teraz zaś miała do czynienia z „wrogiem”.

Valentin wzruszył ramionami. Poprosił kelnera o kawę i kolejną brandy, po czym stwierdził spokojnie:

— Sądzę, że to bardzo melodramatyczne określenie.

Genie oblizła wargi. Słyszała wystarczająco dużo opowieści o ludziach, którzy po prostu „znikali”, żeby się zastanowić dwa razy. Ale musiała się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Nie tylko ze względu na Cala i swój kraj, ale przede wszystkim ze względu na siebie.

— Cóż, jeśli naprawdę kogoś potrzebujesz — odezwała się, nerwowo przeczesując palcami jasne włosy — może rzeczywiście mogłabym ci się na coś przydać...

— Umie pani czytać w moich myślach, panno Reese — powiedział z uśmiechem, opierając się o pasiastą sofę.

— Na pewno chcesz wiedzieć, kto kupił szmaragd.

Poczekał, aż kelner poda im kawę.

— I nie ciekawi cię, dlaczego chcę się tego dowiedzieć?

— To już wiem: potrzebna wam „Dama”, żeby Rosjanie mogli dostać pieniądze Iwanowów.

Spojrzenie szarych oczu stało się nagle bardzo dalekie.

— A gdyby to była prawda... nie zastanawiałaś się nad tym, co się z nią wtedy stanie?

Genie wiedziała, że to najważniejsze pytanie, ale tego wieczoru Rosja wydawała się jej tak odległą jak obca planeta. Valentin Sołowski był dla niej teraz przede wszystkim mężczyzną, a nie przedstawicielem wrogiego mocarstwa, i coś jej mówiło, że może mu ufać.

— Wiem, że nie pozwolisz jej skrzywdzić — odparła miękko.

Valentin skinął głową.

— Dobrze znasz się na ludziach. — Ujął jej dłoń i uśmiechnął się. — Możemy więc zawrzeć umowę? — Przynęła. — Zadam ci więc pierwsze pytanie: czy współpracujesz z Callem Warrenderem?

Poczuła zdradliwy rumieniec na policzkach i powiedziała czym prędzej:

— Z Callem? Oczywiście, że nie. Jesteśmy tylko starymi przyjaciółmi... te same kręgi towarzyskie.

Ponownie skinął głową i zapytał:

— Powiesz mi, kto kupił szmaragd?

Spojrzała na niego ostrożnie.

— Czy nie umówiliśmy się właśnie, że będziemy sobie ufać? - zapytał. — Ja dotrzymuję słowa, Genie. Będziesz miała wyłączność.

Wziął ją za rękę i ścisnął mocno. Zauważyła, że nie miał gładkich, miękkich dłoni człowieka zza biurka. Jego ręce były silne i nieco szorstkie. Wzięła głęboki oddech i odparła:

— Zapewne nie będzie to odpowiedź, jakiej oczekujesz. Szmaragd został kupiony przez pośrednika z Dusseldorfu, który nazywa się Markheim.

— Markheim? — zdziwiony Sołowski zmarszczył brwi, ale zaraz się rozpoznał. — Oczywiście, teraz rozumiem. — Miał tak zaraźliwy uśmiech, że Genie też się uśmiechnęła. — Widzisz, Genie, już mi pomogłaś. Teraz powiem ci, co masz dalej robić.

Kiedy samolot kołował nad lotniskiem w Dusseldorfie, Genie siedziała wygodnie w fotelu i myślała o tym, co ma zrobić. Wydawało się to dosyć proste. Rzecz jasna, Valentin nie wspomniał o tej drugiej „rzeczy”, o którą chodziło i którą Rosja chciała zdobyć, ale wiedziała już o pieniądzach. A gdy Valentin powiedział jej, z kim ma się

skontaktować, nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak zareagowałby Cal. Wymknęła się z hotelu o świcie, rezygnując ze wspólnego śniadania o dziewiątej. Romantyczna śnieżna noc minęła i w chłodnym świetle dnia Genie zrozumiała, że sprawa jest poważniejsza, niż pierwotnie sądziła. Rozegra tę partię po swojemu i jeśli okaże się wystarczająco sprytna, dowie się prawdy. A wtedy na pewno będzie miała wyłączenie.

W hotelowym holu pełno było biznesmenów machających kartami kredytowymi. Genie z niechęcią uświadomiła sobie, że odbywają się tu jakieś targi, wybrała jednak ten hotel właśnie dlatego, że był duży i mogła zgubić się w tłumie. Westchnęła z rezygnacją i stanęła w kolejce do recepcji.

— Jest dla pani wiadomość, panno Reese — powiedział recepcjonista uprzejmie.

— Och, ale przecież nikt... — wykrzyknęła zdumiona, biorąc od niego kopertę. *Cześć, Genie* — przeczytała — *Przepraszam, że nie zjawiałem się rano. Mieszkam w pokoju 516. Co powiesz na herbatkę? Cal.*

— Cholera — jęknęła. Jasnowidz czy co? Skąd wiedział, że ona tu będzie? Nie zgubi go tak łatwo, jak myślała.

W pokoju rzuciła liścik na stół i zadzwoniła do biura w Waszyngtonie. Poprosiła kolegów, żeby znaleźli jej pewien numer telefoniczny. Potem powiesiła ubrania w szafie i wzięła prysznic. Poczuli się zdecydowanie lepiej. Waszyngton oddzwonił, kiedy suszyła włosy. Zapisała podany jej numer i natychmiast go wykręciła.

Skończywszy rozmowę, umalowała się i ruszyła do pokoju 516. Gdy pukała do drzwi, z windy wyszedł kelner z wózkiem, na którym stały srebrne dzbanuszki z herbatą, dwie filiżanki, talerzyki, półmisek z małymi kanapkami i miska tradycyjnych niemieckich ciastek. Genie ze zdumieniem zauważyła, że kelner staje przed pokojem Cala, który właśnie otwierał drzwi.

— Zjawiasz się w samą porę, Genie — powitał ją. — Musiałaś się tego nauczyć w telewizji.

— Lepiej powiedz, gdzie trzymasz swoją szklaną kulę — odcięła się wchodząc do pokoju. — Skąd u diabła wiedziałeś, że tu jestem? Jakim cudem znalazłeś się tu przede mną? I skąd wiedziałeś, na którą zamówić herbatę?

Wzruszył ramionami.

— Jestem siódmym synem siódmego syna — powiedział. — Wiesz, że tacy zawsze posiadają ukrytą moc. — Roześmiał się, widząc jej spojrzenie. — W porządku, przyznam się do wszystkiego, jeśli nalejesz herbatę. Z pewnością dobrze ci zrobi po męczącym dniu.

— Skąd wiesz, że miałam męczący dzień? — spytała zarumieniona.

— Wiem, że był męczący — odparł zabierając się do kanapki z łososiem. — Ale nie wiem, dla czego. Nie pojawiłaś się o dziewiątej, więc zadzwoniłem do twojego pokoju. Powiedziano mi, że już się wymeldowałaś. A przecież nie tak się umawialiśmy, prawda? Ostatni raz cię widziałem, kiedy miałaś przed sobą pogawędkę z naszym przyjacielem Sołowskim. Zaniepokoiłem się i uznałem, że powinienem sprawdzić, co się z tobą dzieje. — Znów wzruszył ramionami i wziął następną kanapkę. — Nie było to trudne. Recepcjonistka rezerwowała dla ciebie samolot i hotel. Jeśli chcesz zostać szpiegiem, Genie, musisz nad sobą pracować.

— A niech to jasna cholera! — wykrzyknęła ze złością, odstawiając energicznie dzbanek.

— Ho ho, cóż za język... — zadrwił.

— To wcale nie wyjaśnia, jak dostałeś się tu przede mną i skąd ta herbata — powiedziała z westchnieniem.

Uśmiechnął się do niej zwycięsko.

— Czy mówi ci ktoś, że jesteś piękna, kiedy się złościś? Błyski w błękitnych oczach, rumieniec na policzkach... No już dobrze, dobrze — dodał pospiesznie. — Przyleciałem wojskowym samolotem. Poprosiłem w recepcji, żeby zawiadomili mnie o twoim przyjeździe, dałem ci godzinę na prysznic — *et voila*.

— Minałeś się z powołaniem — stwierdziła zimno. — Pochodzisz chyba z rodziny prywatnych detektywów.

— Niestety nie — odparł z uśmiechem. — Ale do rzeczy...

Rzuciła mu spojrzenie znad filiżanki. Oczy przestały mu się śmiać i nie przypominały już ślepiów pięknego rudego setera. Były zimne.

— Nie muszę ci mówić wszystkiego — broniła się.

— Musisz powiedzieć mi wszystko, co dotyczy ostatniej nocy — odpowiedział twardo. — Pamiętasz? Zawarliśmy umowę. Chcę wiedzieć, jak ci poszło z Sołowskim i dlaczego wyjechałaś do Niemiec nic mi nie mówiąc. Mogło ci się coś stać. Poza tym wydawało mi się, że pracujemy razem!

— Owszem. — Unikała jego wzroku udając, że ma ochotę na ogromne ciastko z kremem.

— Nie powinnaś tego jeść — stwierdził z dezaprobatą. — Pomyśl o cholesterolu i kaloriach.

— Och, niech ci będzie! — Położyła ciastko z powrotem na talerzu. — Sołowski chciał, żebym mu pomogła.

— I...?

— I zgodziłam się pod warunkiem, że on pomoże mnie.

Cal patrzył na nią, ale nadal unikała jego wzroku.

— To poważna sprawa, Genie — powiedział cicho. — Ja jestem po twojej stronie, ale nie można składać obietnic takiemu facetowi jak Sołowski, a potem ich nie dotrzymywać.

Wzruszyła ramionami.

— Co w tym poważnego? Jest mężczyzną, tak samo jak ty.

— Nie całkiem. Sołowski najpierw jest Rosjaninem, a dopiero potem mężczyzną.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

— Robię tylko to, o co prosisz... dla naszego kraju, prawda? Poza tym poprosił mnie o to samo co ty, ale powiedział mi jeszcze mniej. Przyznał się tylko do miliardów w Szwajcarii.

— Naprawdę? — Cal się zamyślił. — I mimo to zdecydowałaś się wyjechać z Genewy bez słowa?

— Chciałam jak najprędzej zacząć, i tyle. Musiałam załatwić parę osobistych spraw... Zamierzałam do ciebie zadzwonić zaraz po przyjeździe.

— Co dalej?

— Jeszcze nie wiem. Dam ci znać.

Skinał głową i spojrzął na zegarek.

— W porządku — powiedział. — Tylko nie zapomnij. Sam mam parę rzeczy do załatwienia. Musisz być zmęczona, w końcu nie spałaś całą noc. Zadzwoń do mnie rano, to omówimy nasze dalsze poczynania.

Nagle zrobił się bardzo rzeczowy, więc Genie wstała i ruszyła do wyjścia. Już w drzwiach odwróciła się do niego.

— Ale...

— Ale co, Genie Reese?

Brązowe oczy setera znów patrzyły łagodnie i Genie westchnęła z ulgą.

— Myślałam, że jesteś na mnie wściekły. Po prostu nie przywykłam do opowiadania się innym, zawsze pracowałam sama.

— Nie ma sprawy — uciał. — Tylko więcej nie znikaj bez słowa. Martwiłem się.

Idąc powoli do swojego pokoju, czuła w krzyżu zmęczenie i żałowała, że Cal nie zaprosił jej dziś na kolację. Zaraz jednak wytłumaczyła sobie, że i tak nie dałaby rady, była za bardzo zmęczona. Zbyt wiele się zdarzyło w zbyt krótkim czasie. Teraz chciała już tylko spać — a jutro spróbuje spotkać się z mężczyzną, który kupił szmaragd Iwanowów. Ale Calowi jeszcze o tym nie powie.

Missie przypięła broszkę z pięcioma brylantami do niebieskiej sukienki i podniosła lusterko, żeby ją popodziwiać. Dotknęła złotego wilczego łba wspominając dzień, w którym dostała go od Miszy. Broszka i fotografia księcia stanowiły najcenniejszy skarb Missie, wraz ze zdjęciami przedstawiającymi małą Azaylee i Annę.

Miała oczywiście więcej biżuterii, ale ten klejnot był symbolem jej miłości do Miszy i zarazem końca pewnej epoki, bowiem po wyjeździe z Rosji Missie zobaczyła świat, o jakiego istnieniu nie miała pojęcia.

Rozejrzała się po luksusowym apartamencie z bladobrzoskwiniowymi ścianami, różowymi firankami z jedwabiu, miękkim kremowym dywanem i przepięknymi tureckimi chodnikami na podłodze. Na ścianach wisały znajome obrazy, w eleganckim marmurowym kominku płonął ogień. Za oknem, za gustownymi zasłonami z tafty oddzielającymi ją od chłodnej nocy, rozciągały się zielone trawniki oraz jezioro z łabędziami i kaczkami krzyżówkami. Lata świetne dzieliły ją od Konstantynopola z roku 1917.

Konstantynopol

Znalazły się w mieście mając jedynie kilka rubli od Tariqa, które zniknęły po opłaceniu pokoju i posiłków w małym drewnianym domku, położonym wysoko wśród wzgórz nad Złotym Rogiem.

Sofia wypruła klejnoty ze spódnicy Missie i fartuszka Azaylee i zabrała je do chińskiego jubilera, który najpierw długo je oglądał, a następnie oświadczył, że piękne oprawy nie mają dla niego żadnej wartości i zapłaci jedynie za same kamienie. Za torbę biżuterii wartę majątek zaoferował im równowartość dwustu dolarów amerykańskich. Nie miały wyboru, musiały się zgodzić.

Księżna stwierdziła, że nierozsądnie byłoby zostawać w Konstantynopolu, miasto pełne było rosyjskich agentów. Trzeba jechać dalej. Wysłała Missie po nowe ubrania, proste, tanie i praktyczne, i po kilku dniach znalazły się na dworcu Sirkeci, w Orient Expressie jadącym do Wiednia.

Umierały ze strachu, kiedy inspektor sprawdzał ich bilety i dokumenty. W końcu uśmiechnął się, oddał im wszystkie papiery i przedziurkował miejscówki.

— *Bon voyage* — powiedział głaszcząc Azaylee po głowie i wpuścił je na peron.

Sofia trzymała małą za rękę, Missie niosła tekturową walizkę z ich nowymi ubraniami i tiarą Iwanowów ukrytą pod warstwą bielizny. „Jeśli stracimy wszystko inne, zawsze zostanie nam tiara — mówią sobie. — To nasza polisa ubezpieczeniowa na nowe życie”.

Kiedy pociąg wreszcie ruszył, ogarnęło je podniecenie. Usadowiły się w niewygodnym przedziale drugiej klasy i powtarzały sobie, że wreszcie są wolne. Ale ich kłopoty jeszcze się nie skończyły. Rosyjska tajna policja patrolowała pociągi i dwukrotnie dokładnie sprawdziła ich papiery: najpierw w Kapikuli, potem w Belgradzie. Żandarmi o kamiennych twarzach niechętnie oddali im dokumenty, jakby rozczarowani, że nie mogą się do niczego przyczepić.

— Jak nas złapią, zginiemy — stwierdziła Sofia. — Ty też, Missie, chociaż to, co się dzieje w Rosji, tak naprawdę ciebie nie dotyczy. — Wcisnęła jej w dłoń garść pieniędzy. — Weź je — szepnęła. — Wracaj do Anglii, *miloczka*, póki jeszcze możesz. Jesteś młoda, masz przed sobą całe życie. Zapomnij o przeszłości, zapomnij o Iwanowach. Błagam cię, jedź do domu.

Missie popatrzyła na pieniądze, potem na serbski krajobraz przesuający się za oknem i pomyślała tęsknie o szkole w Oksfordzie, o uroczych brukowanych uliczkach, znajomych księgarniach, herbaciarniach i zielonych parkach. Potem spojrzała na Azaylee bawiącą się wesoło nową turecką lalką i zapytała samą siebie, jak ma zostawić starszkę i dziecko bez pomocy.

Księżna potrząsnęła z rezygnacją głową, kiedy Missie odmówiła.

— Bóg jeden wie, co się z nami stanie — wyszeptęła.

Przez Węgry i Budapeszt dotarły wreszcie do Wiednia. Wynajęły tanie mieszkanie na tyłach opery i szybko odkryły, że przez miasto przewijają się tłumy rosyjskich emigrantów. Sofia nadal się bała, lecz Missie rozmawiała z nimi w kawiarniach i dowiedziała się, gdzie najlepiej sprzedawać kosztowności. Nie mogą oczekiwać uczciwych cen, ponieważ kupcy wiedzieli, że rynek zalali rosyjscy uciekinierzy gwałtownie potrzebujący pieniędzy, i wykorzystywali sytuację, tak samo jak ów Chińczyk w Konstantynopolu. Dowiedziała się też, że nie ma pracy i wielu emigrantów żyje w nędzy; tylko nieliczni szczęściarze dostali pracę jako portierzy w nocnych klubach albo kelnerzy. W Paryżu jest jeszcze gorzej, mówili. Czekiści są wszędzie, szukają arystokratów, którzy zdołali się im wymknąć. Dzień w dzień słyszy się o kimś, kto po prostu „znika”. Wiedeń nie był już bezpieczny dla ludzi mających coś do ukrycia, Paryż też nie.

Sofia wydłubała wszystkie mniejsze brylanty z tiary i sprzedała je za niewielką sumę. Z pieniędzmi w kieszeni wyruszyły w długą

wędrówkę przez Austrię do Włoch, gdzie wykupiły najtańsze bilety na statek do Nowego Jorku.

„Leonardo” zawiózł je z Genui do Ameryki. Był to stary statek, z przestarzałymi silnikami, zdartym poszyciem i obskurnym wnętrzem, ale przez dwa krótkie tygodnie stanowił ich schronienie. Minęło pięć miesięcy od ucieczki z Wariszni, od chwili, gdy Missie leżała w lesie myśląc, że umrze. „Mam tylko osiemnaście lat — mówiła sobie wtedy. — Jestem za młoda, żeby umierać”. Teraz wiedziała, że zacznie od nowa tu, w Nowym Jorku.

Jej długie brązowe włosy wysunęły się z czarnej wstążki i powiewały na wietrze. „Leonardo” sunął po rzece Hudson, a Missie, oparta o reling na niższym pokładzie, patrzyła na zbliżający się Manhattan i zastanawiała się, co też przyniesie im przyszłość.

Urzędnik imigracyjny starannie sprawdził ich papiery, ale był pełen współczucia, wiedział bowiem, co działo się w Rosji. Uśmiechnął się do Azaylee, poklepał psa i przystawił na dokumentach urzędową pieczęć. Były teraz Amerykankami i ich nowa tożsamość została oficjalnie potwierdzona.

Nowy Jork był ogromny, hałaśliwy, brudny, onieśmielający i przeraźliwie zimny. Niedaleko portu znalazły mały pensjonat, który wyglądał czystiej niż inne, uważnie policzyły wszystkie swoje dolary i centy, po czym wyruszyły na poszukiwanie mieszkania. Wkrótce odkryły, że stać je najwyżej na jednopokojowe lokum w najtańszej dzielnicy.

Miały do wyboru ciemny pokój z oknem wychodzącym na szyb wentylacyjny i drugi droższy, z oknem wychodzącym na ulicę. Mimo że nie bardzo mogły sobie na to pozwolić, Sofia nalegała, by wziąć ten z oknem na Rivington Street. Był tam zlew, kran z zimną wodą i wspólna ubikacja w korytarzu, a całe umeblowanie składało się z antycznego mosiężnego łóża małżeńskiego, małego składanego łóżeczka, rozklekotanego stołu z surowego drewna i czterech drewnianych krzeseł.

Missie wiedziała, co księżna myśli: to koniec, niżej już upaść nie mogą. Udawała więc dobry humor i zabrała Sofię wraz z Azaylee na zakupy. Szukała po straganach najtańszej pościeli, koców i ręczników. Kupiła jajka, masło i chleb na kolację oraz skrawki mięsa i kość dla psa, znalazła też kawałek ceraty w kwiatki do przykrycia poplamionego stołu i wiązkę gałązek bukszpanu, który miał rozweselić ich pokój, w marcu nie było bowiem jeszcze świeżych kwiatów. Kiedy usiadły

wieczorem do skromnej kolacji, na którą złożyły się jajka na miękko i czerstwy chleb, mając u stóp psa z zadowoleniem ogryzającego kość, uśmiechnęły się do siebie i pomyślały, że jednak ich pokój nic jest taki najgorszy. Po ciągłym uciekaniu, ukrywaniu się i strachu wydawał się pełną spokoju, bezpieczną przystanią.

Układając później Azaylee w zapadniętym mosiężnym łóżku, Missie powiedziała z przekonaniem:

— Nie martw się, Sofio, jutro znajdę pracę i wkrótce będziemy miały własne mieszkanie.

Maryland

Spoglądając teraz wstecz, Missie uśmiechała się na myśl o optymizmie młodości, kiedy jajko na miękko z kromką chleba, jakiś dach nad głową i wazon z bukszpanem na środku stołu wystarczały na dobry początek.

Odpięła broszkę i odłożyła ją do małego pudełka, po czym wzięła do ręki album z fotografiami. Przeglądając je myślała o Azaylee: taka była słodka, spokojna, delikatna. Dziecko, które ubóstwiałyby każda matka. Biedna maleńka, osierocona tak tragicznie i tak wcześnie. Któż mógłby ją winić za to, co stało się później?

Z westchnieniem zamknęła album, kiedy weszła siostra Milgrim, niosąc tacę z wieczorną filiżanką herbaty i proszkami nasennymi.

Może dziś, pomyślała, choć raz nie przyśni mi się ten straszny sen. Wiedziała jednak, że nie może na to liczyć.

Rozdział 11

Nowy Jork

Kolejny upalny dzień w Nowym Jorku. Słońce prażyło z miedziano-żółtego nieba, mały pokój przy Rivington Street wypełniał odór ryb i gnijących na straganach warzyw. Nieustający hałas — żelazne koła stukoczące o bruk, ochrypłe, przenikliwe głosy targujących się w jidysz, po rosyjsku i po polsku, płacz dzieci i przekleństwa pijaków wychodzących z baru — brud i wszechobecne szare ubóstwo napełniały Missie rozpaczą.

Żałowała, że nie może zamknąć okna i odciąć się od tego wszystkiego, ale wówczas na pewno by się udusiły, temperatura sięgała bowiem czterdziestu stopni. Pokoik, który początkowo wydawał się im taki wspaniały, teraz dziwnie się skurczył. Sofia leżała na zapadniętym łożku, blada i wyraźnie chora, choć twierdziła, że tylko odpoczywa. Azaylee siedziała na żelaznych schodkach przeciwpożarowych obejmując kolana chudymi ramionami i obserwowała ruch na ulicy cztery piętra niżej. Wiktor wystawił jęzor i dyszał z gorąca, pod warstwą futra widać było wyraźnie zebra. Missie wiedziała, że jej własne zebra tak samo wystają, ale przestała już się tym martwić. Rozpaczliwy głód nieustannie ścisnął jej żołądek; myślała, że oszaleje, kiedy kładła się wieczorem do łożka z miską cienkiej zupy i kawałkiem czerstwego chleba w brzuchu. Śniła o jedzeniu — o jajkach, kurczakach, dobrym pieczywie i słodkim, świeżym maśle. Ale zdawała sobie sprawę, że tylko dzięki przedsiębiorczości Sofii mają w ogóle co jeść.

Wciąż zadawała sobie pytanie, jakim cudem Sofia, która nigdy nie zajmowała się posiłkami — z wyjątkiem okazji, kiedy wydawała kucharkowi polecenia dotyczące obiadu lub kolacji — teraz szybko nauczyła się robić zakupy na Rivington Street. Zawsze przynosiła do domu torbę warzyw kupionych za kilka centów, ponieważ były obite lub pomarszczone i nie wytrzymałyby do następnego dnia. W gazecie

miała kość „dla psa”, na której życzliwy rzeźnik zostawiał wystarczająco dużo mięsa, by okraśliło rzadką zupę, a od czasu do czasu wzbogacała ich dietę podrobami, kupując tanio wątróbkę, nerki czy nawet mózdzek. Powiedziała Missie, że w Wariszni nieraz widziała chłopki gotujące takie rzeczy — i teraz sama nauczyła się przygotowywać z nich smaczne posiłki. Jadły więc dzięki pomysłowości Sofii, a Missie szukała pracy.

Była przekonana, że jej wiedza o zabytkach i wykopaliskach wystarczy, by dostała posadę asystentki profesora archeologii na którejś uczelni. Ale nie miała odpowiedniego ubrania poza jedną niebieską spódnicą i paroma bawełnianymi bluzkami, a na nowe, nie mówiąc już o przyzwoitych butach, brakowało pieniędzy. Zresztą zarobki na uczelniach były niskie i Missie obliczyła, że po opłaceniu komornego i przejazdów nie zostałyby jej nawet na jedzenie. Myślała o posadzie pokojówki, lecz bogacze z Piątej Alei nie zatrudniali służby na przychodne, a poza tym również płacili głodowe pensje. Starła się o pracę jako sprzedawczyni w nowo otwartym domu towarowym Macy'ego, niestety jej nie przyjęto. Zrozumiała, że jest za mało elegancka. Nie chodzi jedynie o ubranie, pomyślała z rozpaczą, rzuciwszy okiem na swoje odbicie w lustrze. Po prostu wyglądała zbyt ubogo. Na tym polegał problem — była za biedna, żeby znaleźć pracę.

Letnie słońce grzało niemiłosiernie, kiedy szła wolnym krokiem po Delancey Street. Nie spieszo jej było do domu z wiadomością, że znów się nie udało. Nagle zatrzymała się przed barem O'Hary. Wypisane kredą na tabliczce słowa oślepiły ją, jakby wygrawerowano je w złocie: *Potrzebna pomoc — wiadomość na miejscu*. Nigdy w życiu nie była w żadnym takim lokalu, tym razem jednak bez wahania weszła do środka. Omal nie zadławiła się od oparów whisky, piwa i dymu papierosowego przemieszanych z zapachem kapusty gotowanej gdzieś na zapleczu, ale z determinacją uniosła głowę i ruszyła w kierunku tęgiego mężczyzny stojącego za barem.

Shamus O'Hara był potężnym, przystojnym Irlandczykiem koło czterdziestki. Wszystko w nim było jakby za duże, poczynając od głowy z burzą rudych kręconych włosów, a na łapskach wielkości bochnów chleba kończąc. Miał na sobie ledwo dopinającą się niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały muskularne ręce, zamiast paska w spodniach miał stary krawat, w zębach trzymał małe cygaro. Pomiędzy jednym kółkiem z dymu a drugim przykręcał kurki od piwa i podśpiewywał przyjemnym barytonem z wyraźnym irlandzkim akcentem.

Ze zdziwieniem spojrzął na dziewczynę pytającą o pracę. Zbyt

wysoka jak na dziecko ulicy — tamte sieroty zawsze są niewyrośnięte — widać było jednak, że dawno nie jadła do syta. — Zdradzały ją ciemnoszare cienie pod oczyma i żółtawy odcień skóry. Ale miała piękne, fiołkowe oczy, a jej brązowe włosy lśniły w słońcu wpadającym przez otwarte drzwi, poza tym była schludna i czysta. O'Hara pomyślał, że bardzo się różni od otulonych chustami i otoczonych gromadką dzieci irlandzkich kobiet, które widywał w barze lub w kościele. Gdyby ją trochę podtuczyć, oglądałby się za nią każdy mężczyzna. Ale praca w barze jest ciężka, a dziewczyna nie wygląda na wystarczająco silną. Poza tym klienci O'Hary byli prostymi ludźmi, ona zaś, choć zagłodzona, najwyraźniej pochodziła z wyższych sfer.

— Hm... chyba jednak nikogo nie potrzebuję — odezwał się z powątpiewaniem. Na widok jej zrozpaczonej miny westchnął i powiedział: — Szczerze mówiąc wydaje mi się, że nie uniesiesz kufła z piwem.

— Ależ uniosę, naprawdę! — zawołała, łapiąc go kurczowo za rękę. — Będę sprzątać, zmywać, podawać... zrobię wszystko. Proszę dać mi szansę...

Wyprostowała się i starała wyglądać na „silną”, kiedy Irlandczyk przyglądał się jej uważnie. W końcu rzekł:

— Cóż, szkoda mi ciebie... przyjmę cię na próbę. Dostaniesz dolara za noc. Zaczynasz o szóstej wieczorem i kończysz wtedy, gdy ci powiem — i ani minuty wcześniej. Zrozumiano?

Zbyt bliska łez, by odpowiedzieć, skinęła głową i wybiegła z baru. Chciała jak najszybciej zanieść do domu radosną nowinę. O'Hara poszedł za nią do drzwi i patrzył, jak znika za rogiem. Ciekaw był, jaka jest jej historia. Bo w tej części świata każdy miał swoją historię.

Przez miesiąc O'Hara dawał Missie różne zajęcia. Zmiatała brudne trociny z poprzedniego wieczoru i rozsypywała świeże; zmywała setki szklanek, aż skóra na jej rękach zaczerwieniła się i zaczęła łuszczyć; czyściła bar i szorowała stoły, bezskutecznie walcząc z odcisniętymi krążkami po szklankach; nosiła ciężkie tace pełne kufli i nie rozlewając ani kropli, w skupieniu podawała je dokerom, murarzom, robotnikom i dziwkom składającym się na klientelę O'Hary. Pod koniec każdego wieczoru tryumfalnie wkładała do kieszeni swojego dolara i wymykając się pijakom, którzy próbowali ją obłapiać, biegła przez ciemne ulice zaśmiecone cuchnącymi resztkami ze straganów do nędznego pokoju, który teraz był ich domem.

Sofia czekała na nią ze szklanką gorącego mleka przyprawionego

cynamonem. Missie zawsze twierdziła, że jest za bardzo zmęczona, by jeść to, co przyniosła do domu. Będzie dla Azaylee na śniadanie, oświadczała, i rzucała jakiś ochłap Wiktorowi. Z wdzięcznością sączyła aromatyczne mleko, po czym opadała wyczerpana na żelazne łóżeczko, wiedząc, że Sofia nie ułoży się obok małej, dopóki ona nie zaśnie. Nigdy nie powiedziała Sofii, że boi się zasypiać, ponieważ lęka się przychodzącego co noc snu, w którym widzi przerażoną twarz Aleksieja i słyszy jego błaganie o pomoc.

Azaylee jako jedyna nie przejmowała się nowym otoczeniem. Bawiła się wesoło na brudnej ulicy z gromadą dzieciaków z sąsiedztwa. Missie i Sofia obserwowały przez okno, jak dziewczynka migając jasnymi warkoczykami, w towarzystwie nieodłącznego Wiktora, goni piłkę, skacze przez skakankę lub rysuje kredą klasy między straganami.

— Popatrz tylko na te dzieci — zdumiewała się Sofia. — Banda obdartusów, a moja wnuczka jest najgorsza z nich. — Śmiała się przy tym, ale widać było, że sprawia jej to ból.

Opowiadając Sofii o swojej pracy, Missie nie mówiła wszystkiego. Bar odwiedzali głównie nieokrzesani, twardzi robotnicy, barczyści i tędzy Irlandczycy tacy jak O'Hara, choć od czasu do czasu trafił się jakiś „cudzoziemiec”. O'Hara trzymał swoich klientów w ryzach dzięki potężnym pięściom. Zachowywali się dobrze, dopóki byli trzeźwi, ale po kilku kieliszkach wszelkie hamulce zniknęły.

Do baru przychodziły także kobiety: obarczone zbyt dużą liczbą dzieci, bite przez mężów nieszczęsnice, które chciały się napić, żeby zapomnieć o swoim podłym życiu, no i oczywiście prostytutki. Missie udawała, że nie widzi transakcji dokonywanych przy poplamionych stołach i mężczyźni kupujących kobietę jak przedmiot; próbowała nie liczyć krótkich minut do powrotu kolejnego klienta, często jeszcze zapinającego spodnie. Pod koniec wieczoru pijane spojrzenia gości kierowały się w jej stronę.

Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, zamarła, wpatrując się w wielką dłoń ściskającą jak imadło jej małą pierś. Paznokcie z czarnymi obwódkami wbiły się w jej ciało, ale była zbyt przerażona, by poczuć ból. Potem zaczęła krzyczeć. Nadbiegł O'Hara z dębową pałką i obrzucił pijanych robotników wyzwiskami.

— Ty parszywy draniu! — wrzasnął. — Zabierz te brudne łapska... To porządna dziewczyna... mogłaby być twoją córką. Wynocha, poszukaj sobie tego gdzie indziej. — Purpurowy z wściekłości, wypchnął zaskoczonego mężczyznę przez wahadłowe drzwi na chodnik. — A ty... — odwrócił się do Missie. — Nie zamierzam zmieniać tego lokalu w salę katechetyczną. Jeśli nie potrafisz dać sobie rady, to do widzenia.

Choć Missie w domu nic nie powiedziała, starsza pani od razu zauważyła, że coś jest nie tak. Masując delikatnie spuchnięte kostki dziewczyny i wcierając glicerynę w jej czerwone ręce, stwierdziła:

— Nie mogę na to pozwolić. Musisz stamtąd odejść.

Missie popatrzyła na nią z rozpaczą.

— Sprzedajmy biżuterię — prosiła. — Tak jak w Konstantynopolu. Na pewno jesteście już bezpieczne.

Sofia wzruszyła ramionami i po raz kolejny wyjaśniła:

— To nie jest zwykła biżuteria, lecz klejnoty rodowe. Można je zidentyfikować. Są dla nas bezwartościowe.

— A co z pieniędzmi w Szwajcarii? Mogłybyśmy pójść do prawnika, wysłałby list potwierdzający twoją tożsamość. Nie mogę tego znieść: powinnaś żyć jak księżna, którą jesteś, a nie jak najbiedniejsza ruska chłopka.

Starsza pani podeszła do szuflady i wyjęła gazetę sprzed dwóch tygodni.

— Nie pokazałam ci tego — powiedziała — ponieważ nie chciałam cię martwić...

Missie przeczytała krótki artykuł, który mówił o popełnianych w Rosji zbrodniach, o zamordowaniu cara i jego rodziny, o aresztowaniach i zamykaniu niewinnych ludzi w obozach. Tajna policja wciąż szuka Iwanowów — dla reżimu rewolucyjnego symbolizują zło i dekadencję dawnej Rosji, a według czekistów dwójka wnuków uciekła razem z księżną Sofią. Wiarygodne źródła w Rosji podały, że tajniacy przeszukali całą Europę i teraz zamierzają rozciągnąć poszukiwania na Amerykę. Według autora artykułu dzieciom w przypadku odnalezienia grozi to samo, co rodzinie cara: śmierć.

Missie w milczeniu dokończyła mleko. Sofia miała rację, nie było dla nich ratunku. Ujrzała przed sobą przyszłość wypełnioną walką o każdego dolara i ogarnęło ją jeszcze większe przygnębienie, wiedziała bowiem, że to ona musi utrzymać dom.

O'Hara obserwował Missie z niechętnym podziwem. Miała charakter, była odważna, i to mu się podobało. Zapalił pierwsze tego dnia cygaro i uśmiechnął się do niej.

— Takie kobiety wyruszały wozami na podbój Ameryki — powiedział, gdy posypywała świeżymi trocinami lśniącą podłogę. — Masz duszę pioniera.

Missie oparła się na kiju od szczotki i patrzyła, jak O'Hara z lubością wciąga dym.

— To cygaro kosztuje jedną czwartą mojej dniówki — zauważyła. — Nie sądzisz, że już czas, bym dostała podwyżkę?

Zakrzusił się dymem, zaczerwienił i uderzył w klatkę piersiową pięścią wielkości piłki do rugby.

— Na miłość boską, dziewczyno, wykończysz mnie, jeśli będziesz mówić takie rzeczy — zawołał oburzony.

— Dwa dolary — oznajmiła, zakładając wojowniczo ręce na piersi. — Dobrze wiesz, że na nie zasługuję.

Stali po dwóch stronach mahoniowego kontuaru i mierzyli się wzrokiem jak bokserzy na ringu. O'Hara przejechał dłonią po rudej czuprynie.

— Wygrałaś, dziewczyno. Dwa dolary za noc... ale tylko dlatego, że rzeczywiście jesteś tyle warta — powiedział.

Missie tupnęła ze złością.

— Dlaczego więc sam mi tego nie zaproponowałeś?

Oparł się na kontuarze.

— Może dlatego, że lubię patrzeć, jak się złościś. Może dlatego, że chciałem zobaczyć prawdziwą Missie O'Bryan, a nie zmęczoną dziewczynę, która robi, co do niej należy, mało mówi i nigdy się nie uśmiecha. Wiesz, że dziś po raz pierwszy usłyszałem twój śmiech?

— Nie mam zbyt wielu powodów do radości — odparła krótko.

O'Hara zaciągnął się i patrzył, jak Missie bierze szczotkę i zaczyna wyrównywać warstwę trocin na podłodze.

— Widziałem cię na ulicy z małą dziewczynką — rzucił spoglądając na jej lewą dłoń bez obrączki. — Ale nie zauważyłem żadnego mężczyzny...

— Jej ojciec nie żyje — powiedziała nie podnosząc wzroku.

Kiwnął głową.

— Dziecku smutno bez ojca, a kobiecie ciężko samej wychowywać córkę.

Missie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Och, ale... — zaczęła i przerwała w pół słowa. Oczywiście, wszyscy na Rivington Street uważali ją za matkę Azaylee.

Tego wieczoru miała w kieszeni dwa dolary zamiast jednego, a O'Hara sam przygotował dla niej talerz z gotowaną wołowiną, kapustą i ziemniakami. Nalegał, żeby usiadła na piętnaście minut i zjadła. Ale Missie nagle straciła apetyt i mimo surowego spojrzenia O'Hary zapakowała wszystko do koszyka, dla Sofii i Azaylee.

Odtąd praca w barze wydawała się trochę lżejsza. O'Hara uważał na nią, pilnował, by nikt jej nie zaczepiał i by zawsze coś zjadła. Na jego szerokiej, przystojnej twarzy nieodmiennie pojawiał się uśmiech,

kiedy przychodziła, zawsze też płacił bez ociągania. Mogła teraz odłożyć kilka cennych dolarów do tekturowej walizki pod łóżkiem, w której leżały również bezwartościowe klejnoty.

Kilka tygodni później niosła ciężką tacę pełną szklanek z irlandzką whisky do stolika, przy którym siedzieli spoceni od upału i alkoholu mężczyźni, kiedy przez wahadłowe drzwi wpadli do baru Azaylee i Wiktor.

— Missie, och! Missie! — wykrzyknęła dziewczynka, ściągając na siebie wzrok wszystkich gości. — Chodź szybko! Babcia...

Missie wręczyła tacę siedzącemu najbliżej mężczyźnie i złapała małą za ramiona.

— Co się stało? Co z Sofią?

Oczy dziecka pełne były łez.

— Stała przy piecu i mieszała w garnku. Nagle krzyknęła i upadła. Nie mogłam jej obudzić.

Na ulicach było sporo ludzi — wylegli z czynszowych kamienic w nadziei, że odetchną chłodniejszym powietrzem wieczoru; Missie roztrącała ich gwałtownie i ciągnąc za sobą dziecko, pędziła za psem do domu.

Wbiegła na strome drewniane schody i otworzyła drzwi. Księżna leżała przy piecu z zamkniętymi oczyma, ale Missie dostrzegła pulsowanie żył na jej szyi i podziękowała Bogu, że Sofia żyje.

Ułożyła poduszki pod głową starszej pani i zaczęła ją energicznie wachlować.

— Sofia, Sofia! — zawołała. — Już dobrze, wszystko dobrze. — Wiedziała jednak, że tak nie jest. Sofia Iwanow wyglądała na bardzo chorą.

— To tylko upał — powiedziała słabo księżna, kiedy po paru minutach odzyskała przytomność. — Nic mi nie będzie.

Powtórzyło się to po dwóch tygodniach i wówczas Sofia zaczęła się uskarżać na bóle głowy. Ból nie chciał ustąpić, choć Missie przyniosła z apteki lekarstwo i z niepokojem aplikowała chorej kolejne dawki. Staruszka nie pozwoliła wezwać lekarza; twierdziła, że go nie potrzebuje, ale Missie wiedziała, że chodzi o pieniądze. Potem któregoś ranka Sofia nie wstała. Miała sparaliżowaną lewą stronę ciała.

Missie pobiegła na Orchard Street po doktora. Przysięgła, że zarobi, by mu zapłacić.

Lekarz był starym, siwobrodym Żydem o gołęmbim sercu.

— Obawiam się, że pani Sofia przeszła kilka lekkich zawałów — oznajmił. — A potem nastąpił wylew. Ucisk krwiaka powoduje ból, lecz można go usunąć jedynie przez operację. — Z wahaniem spojrzął

na młodą kobietę i dziewczynkę, wpatrzone w niego z niepokojem i nadzieją. Jak zawsze w takich przypadkach pożałował, że nie wykonuje innego zawodu.

— Muszę być z wami szczerzy — rzekł. — To starsza pani. Nie przeżyje operacji i nie przeżyje następnego ataku. Mogę tylko dać jej środki przeciwbólowe.

Missie przełknęła dławiącą ją gorzką gulę paniki.

— Chyba nie sądzi pan... ona przecież nie...

— Wszyscy musimy umrzeć, moja droga — powiedział łagodnie. — Gorzej, kiedy pacjent jest młody, proszę mi wierzyć. — Otworzył zniszczoną czarną torbę. — Dam jej zastrzyk morfiny, żeby uśmierzyć ból. Przyjdę jutro rano. A pani musi zająć się sobą i swoim dzieckiem.

Missie spojrzała na jasnowęlosą Azaylee.

Jej dziecko, jak powiedział lekarz. Jeśli Sofia umrze, Azaylee rzeczywiście będzie jej dzieckiem.

Co rano czekała niespokojnie na doktora, wyszukując go wzrokiem w tłumie między straganami na ulicy.

— Nic się nie poprawiło — powiedziała mu ze smutkiem w kilka dni później. — Ból wrócił. Sofia stara się tego nie okazywać, ale widzę to po jej oczach.

— Przepiszę więcej leków przeciwbólowych — odparł cierpliwie, — Pozwól starszuce odpocząć. — Popatrzył badawczo na Missie: była biała z niewyspania i udręczona zmartwieniami. — Pani też powinna odpocząć, młoda damo. I proszę się dobrze odżywiać.

Missie nic na to nie odpowiedziała. Od tygodnia nie chodziła do pracy i wydawała właśnie ostatnie centy. O'Hara wprawdzie co dzień przysyłał kobietę z jedzeniem, ale Missie wiedziała, że jeśli dziś wieczorem nie wróci do baru, Irlandczyk będzie musiał znaleźć kogoś na jej miejsce.

O piątej po południu nakarmiła Azaylee cienką zupą i dała jej pajdę czerstwego chleba z piekarni Gertela, której intensywne zapachy przyprawiły ją niemal o szaleństwo. Szczytem marzeń Missie była cała, świeża bułka sezamowa posmarowana grubo słodkim francuskim masłem, musiała jednak zadowolić się małym kawałkiem odkrojonym ze starego bochenka.

Potem przetarła twarz Sofii czystym ręcznikiem, własnoręcznie wypranym i wysuszonym w słońcu na schodach przeciwpożarowych. Bywały takie dni, że cały budynek zniknął pod wywieszanym na zewnątrz praniem i każdy mógł zobaczyć, w jakim stanie znajduje się

bielizna sąsiada. Missie uniosła głowę Sofii, namawiając ją do wypicia ciepłego bulionu, ale księżna zdołała jedynie wyszeptać kilka słów podziękowania i ponownie straciła przytomność.

Missie opryskała twarz zimną wodą, związała przed lustrem włosy i włożyła czystą bluzkę. Była taka chuda, że spódnica opadała jej z talii na biodra. Podciągnęła ją i przytrzymała szerokim skórzanym paskiem.

Kiedy już była gotowa do wyjścia, wręczyła Azaylee małą tablicę oraz kilka kawałków kolorowej kredy, kupionej za parę centów na ulicy, i powiedziała:

— Pobaw się tym, maleńka. I opiekuj się babcią; wiesz, gdzie mnie szukać, gdyby mnie potrzebowała. — Uściskała dziewczynkę myśląc z niechęcią o tym, że musi zostawić ją samą. — Postaram się nie wracać zbyt późno — obiecała.

Azaylee siedziała na krześle przy łóżku z tablicą na kolanach i wpatrywała się w swoją młodą opiekunkę wielkimi, pełnymi przerażenia oczyma. Missie wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Jeśli nie pójdzie do pracy, nie będą miały co jeść.

Zawołała Wiktora pod drzwi.

— Siad — rozkazała. — Pilnuj.

Usiadł posłusznie i Missie podziękowała Bogu, że mają psa, inaczej bowiem bałaby się zostawić je same.

— Kocham cię, *matuszka* — usłyszała słowa Azaylee, kiedy zamykała za sobą drzwi, rozdarta pomiędzy dwoma powinnościami.

— Ja też cię kocham, *duszka* — odpowiedziała, zbiegając szybko po schodach. Bała się, że jeśli zostanie dłużej, zmieni zdanie.

Bar wydawał się bardziej zatłoczony niż zwykle i Missie biegała bez wytchnienia, roznosząc pełne szklanki i zbierając puste. Ale nawet nieokrzesani robotnicy, którzy dawniej ją napastowali, teraz dopytywali się o zdrowie babci. Missie doszła do wniosku, że dopóki nie wypiją, wcale nie są tacy źli. O'Hara sam zrobił dla niej kanapkę z wołowiną i stał nad nią, kiedy jadła, a pod koniec zmiany wsunął jej w dłoń dodatkowe pięć dolarów.

— Dobra z ciebie dziewczyna, Missie O'Bryan — powiedział. — Chociaż masz irlandzkie nazwisko, tyle w tobie z Irlandki, co w Zevie Abramskim.

— Kto to jest Zev Abramski? — zapytała, z wdzięcznością chowając pieniądze.

— Nie mów mi, że jeszcze nie byłeś u Abramskiego! — wykrzyknął O'Hara wybuchając gromkim śmiechem. — Musisz być jedyną kobietą w tej dzielnicy, którą to ominęło. Zev jest Żydem i prowadzi lombard

na rogu Orchard i Rivington. Pożycz ci dwadzieścia centów pod zastaw niedzielnej koszuli męża, żebyś przetrwała do końca tygodnia. Trzyma przy życiu większość tutejszych mieszkańców — przynajmniej do piątku po południu. Wtedy trzeba zapłacić albo stary nie będzie miał koszuli na niedzielę. A teraz zmykaj, Missie, i powodzenia.

Przyda mi się bardzo, pomyślała, spiesząc przez słabo oświetlone ulice do domu. Wiktor poznał jej kroki na schodach i machał już długim ogonem na powitanie. Azaylee leżała zwinięta w kłębek na łóżku obok babci i spała. Missie odetchnęła z ulgą, nalała mleka do rondelka, wrzuciła laseczkę cynamonu i postawiła rondel na małym palniku, wspominając z rozrzewnieniem niedawne czasy, kiedy ten wieczorny napój przygotowywała Sofia.

Podeszła na palcach do łóżka i uśmiechnęła się na widok Azaylee, obejmującej czule babcię szczupłą rączką. Jednak uśmiech zniknął, gdy spojrzała na Sofię. Starsza pani miała zamknięte oczy i spokojną, bladą twarz, na której wyraziście rysowały się zsiniałe wargi.

— Nie — szepnęła Missie z przerażeniem. — To niemożliwe.

Ale stało się. Księżna Sofia Iwanow umarła, otoczona ramionami małej wnuczki.

Rozdział 12

Rosa Perelman, sąsiadka z niższego piętra, wysłała swoją dziewięcioletnią córkę Sonię po lekarza. Przykazawszy dwóm młodszym, żeby zaopiekowały się Azaylee, została z Missie do jego przybycia. Wieść szybko rozniosła się po okolicy i w niedługim czasie pokój wypełnił się kobietami, które przyniosły trochę jedzenia i picia oraz zaofiarowały Missie pomoc. Kiedy umyły i ubrały zmarłą w czystą białą bieliznę, Missie włożyła jej w dłonie rzeźbiony krucyfiks z hebanu i nagle dostrzegła, jak szczupła i krucha była księżna. Za życia wydawała się zawsze taka silna i nieugięta...

Gdy zobaczyła ją po raz pierwszy, Sofia jechała właśnie na oficjalne przyjęcie na dwór carski; ubrana była w suknię ze złotej koronki, z królewskim trenem obszytym gronostajami. Na szyi i w uszach miała brylanty, we wspaniałych czarnych włosach diadem z brylantów i rubinów, a w ręku piękny wachlarz ze strusich piór. Teraz prostota śmierci przeistoczyła wielką księżną w zwykłe ciało, które nie potrzebowało już klejnotów.

— Zrobiliśmy wszystko, cośmy mogli, Missie — odezwała się Rosa Perelman. — Musisz teraz zawiadomić zakład.

Missie spojrzała na nią bezmyślnie.

— Zakład...?

— Pogrzebowy — wyjaśniła Rosa. — Żeby zajęli się trumną i pochówkiem.

Missie nie pomyślała o trumnie ani o pogrzebie. Nie miała pojęcia, ile takie rzeczy kosztują, ale niezależnie od ceny i tak nie miała pieniędzy.

— Jeśli chodzi o pieniądze — powiedziała Rosa, jakby czytając jej myśli — to musisz się skontaktować z opieką społeczną. Sofia nie będzie pierwszą osobą, którą pochowają w darmowej sosnowej trumnie. Nie ma się czego wstydzić.

Missie spojrzała z rozpaczą na ojca Feeny, księdza z parafii Świętego Zbawiciela.

Sofia bała się chodzić do cerkwi ś. Jerzego i modliła się w pobliskim kościele katolickim. Ojciec Feeny znał ją i szanował.

— Pani Perelman ma rację, moja droga — rzekł kładąc na ramieniu dziewczyny dłoń w geście współczucia. — Ale dam ci słowo, że staruszka będzie miała godny pogrzeb. Zanim zabiorą ją na Potters Field, odprawię w jej intencji mszę.

— Potter's Field...? — powtórzyła zdezorientowana Missie.

Kobiety zgromadzone wokół łóżka popatrzyły po sobie porozumiewawczo: najwyraźniej dziewczyna nic nie wiedziała o życiu — ani o śmierci.

— Wspólny grób — wytłumaczył ojciec Feeny. — Pamiętaj, że w oczach Boga wszyscy ludzie są równi. Sofia jest w niebie, jedynie jej doczesne szczątki spoczną w grobie dla ubogich.

Missie opadła na kolana obok łóżka. Chcieli pochować księżną Sofię Iwanow we wspólnym grobie!

— Nie! — wykrzyknęła. — Nie, nie! Nic nie rozumiecie. Ona musi mieć prawdziwy pogrzeb! Znajdę na to pieniądze.

Potrząsając głowami, rozszepcane kobiety wyszły z pokoju i zostawiły Missie samą z księdzem.

— Nie możesz się zadreżać takimi rzeczami, moje dziecko — powiedział ojciec Feeny. — Masz córkę, którą musisz wychowywać. Pozwól babci spoczywać w spokoju. Sam zawiadomię opiekę społeczną i wkrótce będzie po wszystkim.

— Nigdy — wyszlochała Missie. — Nigdy.

Ojciec Feeny westchnął i ukląkł obok, żeby odmówić modlitwę. Kiedy skończył, podniósł się i powiedział:

— Przyjdę jutro rano i zajmę się wszystkim. Kościół jest zawsze z tobą, żeby cię pocieszyć, moje dziecko, i pamiętaj, że wierzymy w życie wieczne. Będę się dzisiaj modlił za duszę Sofii.

Rosa Perelman zajęła się Azaylee i zostawiła Missie z Sofią. Dziewczyna długo klęczała przy księżnej, a potem podniosła się i zaczęła zastanawiać, skąd wziąć pieniądze na pogrzeb. Tylko jedno rozwiązanie przychodziło jej do głowy.

Bar był jasno oświetlony i pełen ludzi. Mężczyźni opierali się o długi, wypolerowany kontuar, przy stolikach prostytutki pociągały whisky i śmiały się ochryple, a kilka biednych kobiet z szalami narzuconymi na fartuchy popijało porto z cytryną, próbując zapomnieć o codzien-

nych troskach. Ktoś grał popularne melodie na pianinie, pod baniami lamp gazowych wirowały chmurki niebieskiego dymu, niczym mgła nad wybrzeżami Irlandii.

O'Hara stał za barem nalewając whisky i piwo tak szybko, jak tylko mógł, a młoda kobieta o znekanej twarzy zbierała puste szkło i roznosiła pełne. Missie posmutniała jeszcze bardziej: O'Hara nie czekał, już dał jej posadę komuś innemu.

Owinęła się mocniej szalem i przepchała przez tłum do baru.

— O'Hara — szepnęła — muszę z tobą porozmawiać.

Skinął głową i kazał dziewczynie stanąć za barem, po czym wszedł za Missie do pokoju na tyłach.

Nerwowo chodziła po tureckim dywanie w małym saloniku. Po raz pierwszy znalazła się w jego prywatnym pokoju, w świetle mężczyzny, którego ledwie znała. Ciężkie ciemne meble najwyraźniej przywieziono ze Starego Kraju. Na ścianach wisiały wyblakłe brązowe fotografie w pozłacanych ramkach, po dwóch stronach kominka z żelazną kratą stały dwa masywne fotele, ozdobione koronkowymi narzutami. Gzyms nad kominkiem przykryty był czerwonym aksamitem z krótkimi frędzelkami, a przed paleniskiem stał blaszany kubeł z węglem oraz wysoki wazon z długimi drzazgami, którymi O'Hara przypalał sobie cygara. Missie pomyślała, że dom jego zmarłej matki w Irlandii musiał wyglądać identycznie.

O'Hara odsunął ciężką czerwoną zasłonę dzielącą salon od baru. Dwoma wielkimi krokami przebył cały pokój i ujął dłonie Missie w swoje wielkie łapska.

— Moja miła, naprawdę bardzo mi przykro. Co mogę powiedzieć, żeby cię pocieszyć? Chyba tylko tyle, że Sofia miała już swoje lata i piękne życie za sobą. Teraz martwię się o ciebie, zostałeś sama z dzieckiem. — Zawahał się, a potem wziął głęboki oddech i powiedział: — Dużo o tym myślałem, Missie. Pozwól, żebym zaopiekował się tobą i Azaylee. Z pewnością będę mógł zapewnić ci wygodne życie i stworzyć prawdziwy dom. Grozi nam prohibicja, a ja jestem na nią przygotowany. Zamierzam zbić na tym majątek. Więc co ty na to?

Uśmiechnął się radośnie, jakby wpadł na najwspanialszy pomysł na świecie, ale Missie wpatrywała się w niego oszołomiona.

— Ależ ja nie mogę! — wykrzyknęła przerażona. — Nie mogę tu z tobą zamieszkać. Co by ludzie pomyśleli?

— Ludzie? — zapytał zdziwiony. — Pomyślą tylko, że jesteś moja żoną. Ja cię proszę o rękę, Missie.

— O rękę? — powtórzyła z niedowierzaniem.

O'Hara przestąpił niepewnie z nogi na nogę, po czym nagle zgiął

swoje wielkie cielsko w pół i padł na kolana. Jego szeroka, przystojna twarz była równie czerwona jak włosy, kiedy powiedział:

— Missie, przysięgam, że nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie z wyjątkiem mojej matki. Kocham cię. Jesteś najcudowniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem, masz charakter, który mi się podoba. Proszę cię, wyjdź za mnie.

Missie kręciło się w głowie. To wszystko było niczym jakiś koszmarny sen. Prawie nie znała O'Hary, a już na pewno on nie znał jej — nie znał wykształconej Angielki, która była córką profesora Marcusa Octaviusa Byrona; nie znał dziewczyny, która tak namiętnie kochała Miszę Iwanowa, że nie potrafiła o nim zapomnieć; nie znał Verity Byron. Znał jedynie biedną dziewczuszną zmywającą szklanki w jego barze i korzystającą z jego miłosierdzia, „owdowiałą” matkę czteroletniej dziewczynki. Ona sama znała tylko miłego, rubasznego Irlandczyka, który prowadził swój lokal żelazną ręką. Cóż, Shamus O'Hara był przyzwoitym człowiekiem i uczciwie zaproponował jej małżeństwo. Gdyby się zgodziła, skończyłyby się kłopoty pieniężne: Azaylee miałyby dom i ojca, a ona mężczyznę, na którym mogłyby się oprzeć i który by się nią opiekował. Nagle ta perspektywa wydała się jej bardzo kusząca. Zamknęła oczy — i wtedy zobaczyła twarz Miszy, dumną i zdecydowaną, z której spoglądały na nią inteligentne szare oczy. Zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Azaylee nie może mieć innego „ojca” ona zaś nigdy nie pokocha innego mężczyzny.

O'Hara podniósł się z klęczek.

— Widzę po twojej minie, że wprawiłem cię w zakłopotanie — rzekł. — Ale przemyśl to sobie, Missie. Może za jakiś czas będziesz w nastroju, żeby się zastanowić nad moją propozycją. A na razie — dodał szybko — powiedz, czy masz pieniądze?

Popatrzyła na niego tępo. Nie mogła teraz poprosić go o pożyczkę, bo będzie się czuła zobowiązana. Zamiast tego powiedziała więc cicho:

— Chciałam tylko mieć pewność, że zatrzymasz dla mnie moją posadę...

— Jest twoja, Missie, kiedy tylko będziesz gotowa wrócić — odparł ściskając jej dłonie.

Podtrzymał aksamitną zasłonę, Missie przemknęła przez bar i wyslizgnęła się na Delancey Street. Szła wpatrując się w brudny chodnik i rozmyślała o swoich kłopotach.

W sklepie na rogu ulic Orchard i Rivington paliło się światło. Rzuciła spojrzenie do środka i zobaczyła półki pełne różnorodnych bambetli, każdy z małym różowym bilecikiem, i ciemną sylwetkę mężczyzny za mosiężnymi kratami. Zev Abramski, właściciel lombardu,

przypomniała sobie słowa O'Hary. Utrzymuje przy życiu pół dzielnicy... pożycz ci dwadzieścia centów do piątku pod zastaw niedzielnej koszuli męża.

Przez chwilę patrzyła w okno rozmyślając o czymś, a potem odwróciła się i pobiegła do pokoju, gdzie leżała martwa Sofia — z tekturową walizką pełną klejnotów pod łóżkiem.

Zev Abramski był samotny nie tylko z wyboru. Tak mu się po prostu układało życie. Miał dwadzieścia pięć lat, był niewysoki, szczupły i blady. Gęste czarne włosy zaczesywał do tyłu, miał brązowe, łagodne oczy, stanowcze usta i dłonie o długich palcach muzyka. Bardzo dbał o swój wygląd: dwa razy w tygodniu chodził do łaźni i codziennie wkładał świeżą koszulę praną za darmo przez Chinkę z Mott Street, która po kryjomu korzystała z jego lombardu, by mieć pieniądze na grę w *mah-jong*. Nawet w najgorętsze dni nosił niebieską muszkę, uważał bowiem, że w ten sposób jakoś odróżnia się od prostaków, którzy przychodzili pożyczać pieniądze pod zastaw swojego żalosnego dobytku.

Mieszkał sam w dwóch zakurzonych pokojach na tyłach lombardu, pomiędzy różnymi meblami nie wykupionymi przez poprzednich właścicieli. Jedyną rzeczą, jaką nabył, był piękny stary fortepian zajmujący jeden pokój, ale nawet on był z drugiej ręki. Pochodził ze sklepu z używanymi rzeczami na Grand Avenue. Zev przez cztery lata płacił za niego tygodniowe raty. Sam nauczył się grać i choć nie był mistrzem, sprawiało mu to przyjemność. Muzyka oraz książki leżące w każdym rogu, na każdym krześle i stole wypełniały jego puste życie, kiedy o dziewiątej trzydzieści co wieczór przekręcał wywieszkę „Otwarte” na „Zamknięte” i szedł do siebie.

Mieszkał na rogu Orchard i Rivington przez trzynaście z dwudziestu pięciu lat swojego życia i chociaż był znany w okolicy, gdzie prawie każdy był jego klientem, nikogo nie mógł nazwać swoim przyjacielem. Mówił sobie, że to z powodu jego zawodu, ale wiedział, że to nieprawda. Bał się przyjacieli.

Co wieczór — z wyjątkiem piątków, kiedy to odwiedzał synagogę — szedł w dół Delancey Street do restauracji Ratnera, jadł tam talerz grzybowej zupy i ulubione pierogi z grubą kaszą, a potem wracał do swojego pustego mieszkania i siadał do fortepianu.

Muzyka płynęła cicho spod jego palców, a on przywoływał mgliste obrazy z dzieciństwa spędzonego w małej osadzie na północnym wybrzeżu Rosji, gdzie lata były takie zielone i słoneczne. Biegał wtedy

po wysokiej, ostrej leśnej trawie. W mroźne i śnieżne zimy wywracał się chodząc z ojcem przez zamrożoną rzekę. Pamiętał, jak ścisnął matkę za rękę i biegł, żeby dotrzymać jej kroku, kiedy pospiesznie przemierzała miasteczko, starając się jak najszybciej dostarczyć klientom zamówione ubrania i uciec do domu przed arktycznym wiatrem. Wspominał, jak kładła go spać w drewnianej skrzynce obok pieca. Ojciec wzdychał, siedząc przy turkoczącej całą noc maszynie do szycia, a rano na oparciu krzesła wisiały gotowe ubrania.

Pamiętał też duszący smród wspólnego wychodka na podwórku i mdły zapach kredy, którą nauczyciel pisał pierwszego dnia w szkole na tablicy; pamiętał kwaśny odór młodych ciał stłoczonych w małej klasie i słodki aromat brązowych warkoczy małej dziewczynki, która siedziała przed nim. Pamiętał, jak szedł z tonącej w błocie osady do miasteczka i jak jego buty dudniły po drewnianych chodnikach; wspominał swój strach, kiedy patrzył na złośliwe twarze chłopców, w których wyczuwał wrogów, i pamiętał ich śmiech, kiedy zrywali mu z głowy jarmużkę i rzucali nią w kółko jak piłką, podczas gdy on stał cicho, nie wiedząc, co takiego zrobił poza tym, że był inny. Czuł znowu znajomy zapach całującej go matki, ciężką woń woskowych świec płonących jasno w specjalnym srebrnym lichtarzu, który należał do jego prababki, aromat piątkowej wierzery, rosołu i faszerywanej ryby. Mały pokój wypełniał się głośnymi dźwiękami muzyki wspomnień... Słyszał pukanie do drzwi w ciemnościach nocy, nerwowe rozmowy prowadzone szeptem przez ojca i wujów, słowa, których nie pojmował, ale których się bał: „spalona synagoga, prześladowania, pogromy...”

Miał wtedy siedem lat. Podróż przez noc, ciemne ulice Archangielska, matka niosąca szabasowy świecznik owinięty niebieskim materiałem, czarna łódź i zapach dopiero co ściętych pni w ładowniach, a potem przeraźliwy hałas, jaki robiły przesuwając się i objijając o siebie, kiedy wzburzone morze rzucało małym stateczkiem. Widział przerażoną twarz matki i słyszał głos ojca intonującego pacierz...

Potem wielkie miasto, brodaty wuj i dom przy brukowanej ulicy; nie wolno mu było stamtąd wychodzić, bo... „Bo co?“, zastanawiał się z dreszczem strachu, kiedy obcinali mu długie pejsy „ze względów bezpieczeństwa“. Pamiętał mężczyzn w czarnych chałatach, zbierających się, by odmówić szabasową modlitwę, te same zapachy piątkowej wierzery, te same dania, takie same pełne obaw oczy i przyciszone nerwowe głosy...

Wielki, wysoki na trzy piętra statek przypominał mu olbrzymiego wieloryba, w którego brzuchu znaleźli się wraz z setkami innych

imigrantów. Nie rozumiał jednak słowa „imigrant”. Nie mieli wstępu na pokład i przez całą podróż ani razu nie widział morza. Brakowało im powietrza, było gorąco i duszno. Nieustanny płacz niemowląt, krzyk dzieci narzekających na głód i pragnienie, smród i ponura akceptacja poniżenia. Ciągłe sztormy, miotające statkiem niczym wściekły pies potrząsający królikiem, wcale nie zamierzały ustać. Wilgotna, cuchnąca ładownia rozbrzmiewała wielojęzycznymi głosami ludzi odmawiających pacierze, przeklinających, krzyczących ze strachu, wymiotujących. Dźwięki i zapachy wyrły się w umyśle chłopca na zawsze i wracały przy każdej okazji, zawsze wywołując to samo uczucie strachu i łomot serca.

Potem zachorował ojciec. Widział go leżącego na wypłowiekiej niebieskiej płachcie, którą owinięty był świecznik, o twarzy poszarzałej z bólu, wstrząsanego gorączką — „dyzenteria”, to słowo rozchodziło się po ciemnej ładowni jak płomień. Wkrótce pojawiło się więcej białych, cierpiących twarzy. Nikt już nie zważał na brud i upodlenie. Chorzy chcieli po prostu spokojnie umrzeć.

Pierwsza odeszła matka leżąca cicho obok ojca. Z jej twarzy zniknął grymas bólu i wydawała się spokojniejsza. Zev trzymał ją za rękę, zadowolony, że wreszcie poczuła się lepiej, lecz jej dłoń stawała się coraz zimniejsza, aż zeszywniała. Zaczął krzyżeć: „Moja matka nie żyje!” — nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Wokół leżało wielu umarłych, matki, ojcowie, dzieci... a inni byli zbyt chorzy, żeby zareagować. Kilka godzin później zmarł ojciec. Chłopiec przykrył rodziców niebieskim materiałem i siedział przy nich płacząc. Następnego dnia otwarto wrota ładowni i kapitan rozkazał im wyjść na pokład. Zev był przerażony. Został sam, nie wiedział, co robić, ale kapitan nie zostawił mu wyboru. Ucałował więc matkę i ojca, schował szabasowy lichtarz za pazuchę i wspiął się po drabinie za innymi.

Poczuł w nozdrzach słoną bryzę i świeży wschodni wiatr; płynęli w górę szerokiej rzeki, na której brzegach stały wysokie, ciemne budynki. Patrzył, co robią inni. Marynarze popychali pasażerów w kierunku trapu szorstkimi rękoma i poganiiali ich głosami pełnymi obrzydzenia. Zobaczył czekających na brzegu urzędników w czapkach z daszkami i przypomnieli mu się policjanci w Rosji. Czuł ściskanie w dołku i drżenie kolan, kiedy czekał, aż go zabrają. Nie miał rodziców ani pieniędzy, nikt go nie znał... nie miał nic. Wysłał go z powrotem, na śmierć.

Rodzina stojąca przed nim była liczna, pięcioro, sześcioro czy siedmioro dzieci, najmłodsze czepiały się spódnicy zmęczonej matki. „Jeśli nie oczekują was żadni krewni, zostanieie na wyspie Ellis

i będziecie deportowani" — usłyszał Zev słowa urzędnika. Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź rodziny. „Mamy krewnych” — powiedział mężczyzna, pokazując jakieś papiery. Urzędnik niecierpliwiał się, chciał się ich jak najprędzej pozbyć i ledwo spojrział na dokumenty. Zev bez trudu przyłączył się do nich, jeszcze jedno dziecko w gromadce...

Wielką halę wypełniały setki ludzi, wszyscy płakali, krzyczeli i śmiali się jednocześnie, na niego jednak nikt nie czekał. Nikt nawet nie zauważył małego, siedmioletniego chłopca wybiegającego z hali w obawie, że go złapią i odesłają z powrotem. Po wyjściu na zewnątrz zatrzymał się, znieruchomiał jak przestraszony zając, podniósł wzrok na wysokie, brudne budynki i wsłuchał się w nieznane dźwięki. Potem spojrział w dół, na swoje nogi w nowych butach ze skóry, które dostał od wuja. Stał na amerykańskiej ziemi.

Zawsze w tym momencie Zev zamykał z trzaskiem pokrywę fortepianu i chodził po małym pokoju, nie chcąc przypominać sobie małego chłopca samego w obcym kraju, którego języka nie rozumiał. Chwytał jakąś książkę, siadał w zapadniętym, wytartym fotelu i zagłębiał się w opowieściach o życiu innych ludzi, żeby nie myśleć o własnym.

Dla swoich klientów był małomównym Żydem z europejskim akcentem. Cieszył się opinią uczciwego. Rzecz jasna, jak każdy właściciel lombardu oferował im minimalne ceny, ale w przeciwieństwie do innych żądał niewielkiego procentu i nie spieszył się ze sprzedażą zastawionych przedmiotów, kiedy prosili go o kilka dni zwłoki, które stopniowo przechodziły w tygodnie, dopóki nie zdobyli pieniędzy. Zev Abramski nie uśmiechał się zbyt często, ale nie oszukiwał, i wszyscy okoliczni mieszkańcy chętnie korzystali z jego usług.

Siedząc za mosiężną kratą patrzył, jak za oknem przesuwa się świat. Znał wszystkich — od straganiarzy po komorników, gospodynie domowe i kurwy, ojca Feeny i rabina Feinsteina. Wiedział, który chłopak grający w zośkę na ulicy należy do której rodziny, który z mężczyzn ma pracę, a który nie, i która kobieta oszukuje męża. Zauważył ładną dziewczynę o lśniących brązowych włosach, idącą szybkim krokiem. Czasem prowadziła za rękę jasnówłose dziecko, a przed nimi szedł ogromny pies, jakby torując im drogę. Miała w sobie coś wyjątkowego, coś z damy, co zwróciło jego uwagę. Zawsze odprowadzała ją wzrokiem. Dostrzegł ją także tego wieczoru, kiedy stała długo przed oknem jego lombardu. Nie zdziwił się więc, gdy dzwonek przy drzwiach zapowiedział klienta i zobaczył ją po drugiej stronie kraty.

Zrozumiał natychmiast, że stało się coś niedobrego. Jej zmęczone oczy przypominały szare kałuże cienia na białej twarzy.

— Dobry wieczór — powiedział grzecznie. — Czym mogę służyć? Zaczerwieniła się jak burak.

— Potrzebuję pieniędzy — wyrzuciła z siebie, wyciągając dłoń i pokazując mu brylant.

Ze zdumieniem popatrzył na klejnot. Nawet bez lupy jubilerskiej wiedział, że to kamień pierwszej wody, co najmniej czterokaratowy. Rzucił na nią szybkie spojrzenie, ale owinęła głowę szalem, zakrywając pół twarzy.

— Skąd pani ma taki kamień? — zapytał podejrzliwie.

— Ja... należał do mojej babki — wyjąkała Missie. Żałowała, że tu przyszła, ale przecież musiała zdobyć pieniądze, po prostu musiała.

— To piękny klejnot, bardzo cenny. Dlaczego nie zanieś go pani do jubilera w centrum? Na pewno dałby pani dobrą cenę.

— Nie... nie mogę — odparła, opierając obie dłonie o ladę. — Proszę nie pytać dlaczego, nie mogę, i już.

— Dlatego, że ten brylant jest kradziony! — wykrzyknął Zev gniewnie. — Przynosi pani do mnie takie rzeczy, a ja wyląduję w więzieniu...

Błada twarz Missie stała się przezroczysta, fiołkowe oczy pociemniały z przerażenia.

— Kradziony? Och, nie! Przysięgam, że go nie ukradłam!

— Więc skąd pani ma taki brylant?

— Powiedziałam prawdę — odparła drżącym głosem. Czują, że zaraz się rozpłacze, i z rozpaczą ukryła twarz w dłoniach. — Moja babcia umarła — wyszłochała. — Potrzebuję pieniędzy, żeby ją pochować... żeby nie musiała leżeć w zbiorowej mogile. Ale nawet dla niej nic bym nie ukradła.

Zev popatrzył na nią niepewnie. Współczuł jej, ale nie mógł przecież ryzykować obrotu kradzionym towarem; musiał się trzymać z dala od policji, ponieważ sam miał coś do ukrycia. Jednak cel, na jaki potrzebowała pieniędzy, był szlachetny, a ona była taka smutna, taka młoda, że zapragnął jej pomóc.

— Jeśli chce pani dostać pieniądze — powiedział łagodniej — musi mi pani powiedzieć, skąd pani babcia miała ten kamień. — Wpatrywał się w nią zakłopotany, bo ponownie ukryła twarz w dłoniach i rozszłochała się głośno. — Proszę pani... znam tu wszystkich razem z ich kłopotami. Daję słowo, zachowam tajemnicę.

Missie uniosła twarz i spojrzała na niego zastanawiając się, czy może mu zaufać.

— Przywiozła go z Rosji... — wyznała w końcu.

— Z Rosji! — Teraz rozumiał. Wielu uciekinierów lokowało oszczędności w brylantach. Są małe, łatwo je schować i sprzedać w nowym kraju. Ale to znaczy, że ona też jest Rosjanką!

— Jak się pani nazywa? — spytał w podnieceniu po hebrajsku, Missie jednak potrząsnęła tylko głową.

— Nazwisko? — powtórzył po rosyjsku. — I skąd pani jest?

— Z Petersburga — odparła znużona. — Nazywam się Missie O'Bryan.

— O'Bryan? Więc pani mąż nie jest Rosjaninem?

— O'Bryan to nazwisko mojego ojca. Nie mam męża.

Zev odwrócił się zakłopotany.

— Proszę mi wybaczyć — mruknął. — Nie powinienem zadawać tak osobistych pytań.

Wziął brylant do ręki i przyjrzał mu się ponownie. Czuł na sobie jej pełen nadziei wzrok, ale nic nie powiedział.

Missie wiedziała, że Abramski czeka na dalszy ciąg jej historii i nie miała mu tego za złe. Skąd biedna dziewczyna mogła mieć tak cenny klejnot, jeśli go nie ukradła?

— Moja babcia nazywała się Sofia Daniłow — dodała szybko. — Uciekłyśmy przed rewolucją, tak jak i inni.

W milczeniu przesunął brylant pod kratą i zrozumiała, że nic z tego nie będzie, nie pożyczycy jej pieniędzy. Sofia miała rację. Klejnoty Iwanowów były bezwartościowe... przynajmniej dla nich.

— Dziękuję, panie Abramski — powiedziała ze smutkiem, chowając kamień do kieszeni. — Rozumiem.

Zev odprowadzał ją wzrokiem do drzwi. Zgarbiona jak pod ciężarem trosk całego świata, wyglądała tak żałośnie. Przypominała mu jego samego sprzed wielu lat, samotnego chłopca w Nowym Jorku, który nie miał dokąd pójść ani do kogo się zwrócić...

— Proszę zaczekać! — zawołał, uderzając pięścią w ladę.

Odwróciła się, oczy miała pełne strachu.

— Pożyczę pani tylko pięćdziesiąt dolarów — powiedział. — Oczywiście brylant jest wart dużo więcej, ale nie zamierzam pani oszukać... zatrzymam go do czasu, kiedy go pani będzie mogła wykupić, nawet jeśli to potrwa.

Missie odetchnęła z ulgą, uznała jednak, że musi powiedzieć mu prawdę.

— Zarabiam dwanaście dolarów tygodniowo w barze O'Hary. Z tego muszę zapłacić komorne i utrzymać rodzinę. Grozi nam prohibicja, więc nie wiadomo, jak długo zachowam tę posadę. Uczciwie

mówię, panie Abramski, że mogę nigdy nie zwrócić panu tych pięćdziesięciu dolarów.

— Któregoś dnia szczęście się do pani uśmiechnie — odparł, otwierając drewnianą kasę i sprawnie licząc pieniądze. Podał jej zmięte banknoty przez okienko w mosiężnej kratce. — Pięćdziesiąt dolarów. Nazwijmy to kredytem zaufania.

Missie wpatrywała się w małą kupkę pieniędzy, które tak wiele dla niej znaczyły.

— Niech pani pochowa babcię jak należy — powiedział Zev łagodnie. — *Szalom alejchem*.

— Szalom? — powtórzyła zaskoczona.

— To znaczy „pokój z tobą”.

Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

— *Szalom alejchem* — odparła miękko. Potem schowała pieniądze i odwróciła się.

Kiedy zamykała za sobą drzwi, dzwonek zadzwonił głośno. Zev zapatrzył się na błyszczący brylant leżący na porysowanym drewnianym kontuarze. Nigdy od czasu śmierci matki i ojca nie pozwolił sobie na uzewnętrznianie uczuć — bez względu na to, co przeżywał, jakie okropności oglądał, jak straszne historie słyszał — teraz jednak miał łzy w oczach.

Missie ze smutkiem myślała o tym, jak wspaniały pogrzeb należał się Sofii: trumna z brązu niesiona przez arystokratów do miejsca ostatniego spoczynku w katedrze św. Piotra i Pawła, gdzie księżna leżałaby przy boku męża i w towarzystwie carów Rosji. W powietrzu unosiłby się zapach kadzideł i kwiatów, słychać byłoby dźwięczny śpiew męskiego chóru, a nabożeństwo odprawiłby sam metropolita Kościoła prawosławnego. Cała rodzina i liczni przyjaciele przybyliby oddać jej hołd, potem zaś odbyłoby się przyjęcie w pięknym pałacu Iwanowów. A tymczasem tylko ona sama i Azaylee szły za tanią sosnową trumną, którą obojętni pracownicy zakładu pogrzebowego znosili z wąskich, śmierzących schodów, klnąc za każdym razem, kiedy utknęli na zakręcie.

Azaylee trzymała ją mocno za rękę. Ubrana była w różową kretonową sukienkę, włosy miała zaczesane do tyłu i starannie związane czarną wstążką. Była blada, lecz nie płakała. Missie nie martwiła się, że nie starczyło jej pieniędzy na żałobny strój, ponieważ wiedziała, że Sofia nie chciałaby widzieć swojej wnuczki w czerni. Azaylee niosła bukiet świeżych kwiatów kupionych rano na straganie i poważnie

kiwała głową stojącym na ulicy kobietom, które przykryły głowy chustami, kiedy trumnę Sofii ładowano na rozklekotany karawan.

Kiedy ruszyli, na Rivington Street zapadła cisza, handlarze przestali pokrzykiwać, targujące się kobiety umilkły, nawet dzieci przerwały zabawę. Wiktor zerwał się ze smyczy i z wyciem zbiegł do nich po schodach przeciwpożarowych. Jego ogon ciął powietrze niczym flaga, gdy biegł przed karawanem — tak samo, jak biegł przed ich saniami przez las w ową mroźną, ciemną, straszłą noc w Rosji.

Missie mocniej ścisnęła rączkę Azaylee. Patrzyła prosto przed siebie — bała się, że jeśli napotka czyjś współczujący wzrok, załamie się i rozpłacze. Bez Sofii czuła się osamotniona i bezradna.

Nagle usłyszała czyjeś kroki, odwróciła się i ku swojemu zdziwieniu zobaczyła spoconego O'Hare w sztywnym kołnierzyku i starym krawacie w paski zazwyczaj podtrzymującym mu spodnie, a teraz zawiązanym pod szyją. Miał na sobie tradycyjnie zielone irlandzkie szelki i czarną marynarkę z sukna, rozłożoną się w szwach.

— Pomyślałem sobie, że może przyda ci się towarzystwo — szepnął z szacunkiem, przyciskając do piersi czarny melonik.

Kiedy do O'Hary dołączył drugi mężczyzna, na ulicy rozległy się szepty. To Zev Abramski przerwał szabas, żeby pójść na pogrzeb Sofii Daniłow. Missie nie wiedziała, czy śmiać się histerycznie, czy gorzko płakać na widok tej śmiesznej procesji: jednej z największych księżnych Rosji towarzyszył w ostatniej drodze właściciel irlandzkiego baru, Żyd prowadzący lombard, Angielka, dziecko i chart...

Kościół Świętego Zbawiciela oświetlony był migocącymi płomykami stu świec. Ojciec Feeny odprawił piękną katolicką mszę, i kiedy opuszczano trumnę Sofii do grobu, Missie ze smutkiem pomyślała, że właśnie zaczyna się nowy etap w jej życiu. Żyła dotąd złudzeniami i nadzieją, ale gdy na wieko trumny posypała się ziemia, uświadomiła sobie, że to rzeczywistość, która nie zniknie. Przedtem była dzieckiem. Teraz musi stać się kobietą.

Azaylee pociągnęła ją za rękę.

— Ja chcę do domu — powiedziała płacząco po rosyjsku — do prawdziwego domu. Chcę do papy i księżnej *mamon*. Chcę do Aleksieja... — Missie objęła ją i zapłakały razem. — Mam dosyć tej zabawy! — krzyknęła mała histerycznie. — Chcę do domu, chcę, żeby wszystko było jak dawniej. Chcę do Wariszni. Chcę, żeby wróciła moja babcia, Sofia Iwanow!

Missie napotkała wzrok Abramskiego i zrozumiała, że usłyszała słowa dziecka. Wiedział teraz, że pochowali Sofię Iwanow, a nie Sofię Daniłow.

Ale jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, kiedy kłaniał się jej i mówił:

— Wyrazy współczucia. Niech babcia oręduje za panią w niebie. — Odwrócił się i szybko odszedł.

O'Hara patrzył za nim nic nie rozumiejąc, po czym spojrzął na zegarek zawieszony na złotym łańcuszku na brzuchu.

— Chyba muszę wracać do baru — powiedział pospiesznie, wciskając Missie pieniądze w dłoń. — Po pogrzebie człowiek zawsze jest głodny, a przecież nie będzie stypy. Kup dobry obiad dla siebie i małej, to od razu się lepiej poczujesz. — Jego rude włosy skręciły się jeszcze bardziej od upału, cały czas poprawiał niewygodny kołnierzyk i ocierał z czoła pot wielką chustką w czerwone grochy. — Pamiętaj, co ci mówiłem, Missie. Nie będę cię popędzał, jestem cierpliwy. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że kiedy się zdecydujesz, ja będę gotowy. — Włożył czarny melonik na swoją rudą głowę i pomaszerował ulicą do baru.

Kiedy grabarze zaczęli zasypywać grób, Missie też wyszła z cmentarza. Nie myślała jednak o O'Harze i jego oświadczeniach ani o Zevie Abramskim. Tak samo jak Azaylee pragnęła rzeczy niemożliwej: nie chciała śnić ponurych snów i stawać twarzą w twarz z rzeczywistością kolejnego dnia — chciała być w domu ze swoim ojcem.

Rozdział 13

Stambuł

Nikt nie nazwałby Michaela Kazana staruszkim: mimo osiemdziesiątki trzymał się świetnie, tak jak kiedyś jego ojciec, a choć włosy mu posiwiały, nadal były gęste i błyszczące jak wtedy, gdy miał dwadzieścia lat. Smągła twarz również pozostała gładka, krzaczaste brwi i wąsy wciąż były czarne, nie stracił też nic ze swojej żywotności. Używał hebanowej laski, ale głównie po to, by nią wymachiwać, kiedy chciał wzmocnić efekt jakiejś wypowiedzi. Odziedziczony po Tariąu ognisty temperament wcale nie ostygł.

Ahmet Kazan obserwował ojca, który kuśtykał po ogromnym biurze nad morzem Marmara, machał laską i narzekał głośno na głupotę kobiet — a zwłaszcza wnuczek — oraz na kłopoty, jakie ściągają na rodzinę.

— Dlaczego? — wykrzykiwał, marszcząc gniewnie czarne brwi. — Pytam cię, dlaczego?! — uderzył hebanową laską o piękny parkiet tak mocno, że pękła z trzaskiem. — Ech! — odrzucił ją z wściekłością i pokuśtykał do biurka. — Asil! — wrzasnął do sekretarki przez interkom. — Przynies mi drugą laskę! Dlaczego one to zrobiły? — zapytał ponownie Ahmeta. — Czemu Anna nie przysłała do nas, do rodziny, skoro potrzebowała pieniędzy? I, na miłość boską, na co potrzebne jej były pieniądze? Czy Tarią Pasza nie zostawił jej wystarczająco dużo? Czy milion dolarów to za mało, żeby księżniczka Iwanow żyła w warunkach, do jakich jest przyzwyczajona? I dlaczego Leyla — twoja córka — uczestniczyła w tym wszystkim?

Ahmet westchnął. Przyzwyczajony był do wybuchów ojca, ale ten był wyjątkowy.

— Proponuję, ojcze, żebyś zapytał o to dziewczęta, zamiast podnosić sobie ciśnienie przez zadawanie retorycznych pytań. —

Wzruszył ramionami. — Proste pytanie, prosta odpowiedź. Wtedy będziemy wiedzieli, co dalej robić.

— Dalej? Spójrz na to! — Michael rzucił Ahmetowi turecką gazetę. — I na to, i na to... „The Times”, „International Herald Tribune”, „Wall Street Journal”, „Le Monde”, „Figaro”... Japonia, Niemcy, wszyscy mówią o sprzedaży szmaragdu — prychnął. — A zwłaszcza Rosja i Ameryka. Więc? Jak myślisz, kiedy CIA albo KGB dowie się, że to Anna sprzedała ten kamień?

— Nie dowiedzą się. W szwajcarskich bankach tajemnica jest rzeczą świętą.

— Oczywiście! — ryknął Michael, waląc o podłogę nową łaską. — Ale nawet w szwajcarskich bankach pracują ludzie, a zawsze znajdzie się ktoś, kogo można kupić. Mówię ci, Ahmet, mamy kłopoty. Chcę wiedzieć, dlaczego.

Rzucił się z powrotem na fotel za biurkiem, nacisnął interkom i poprosił Asil o połączenie z Paryżem. Ze złością wałnął pięścią w biurko, kiedy włączyła się automatyczna sekretarka i głos Leyli poprosił słodko o pozostawienie wiadomości.

— Leyla! — huknął. — Mówi Kazan Pasza. Dlaczego nie ma cię w domu, kiedy dzwonię? Może unikasza rodziny? Z powodu kłopotów, jakie na nas ściągnęłaś? Ty i twoja siostra Anna! Co się z tobą dzieje? Gdzie jest Anna? Macie przylecieć do Stambułu następnym samolotem! Obie! Powiedz Annie, że będzie miała do czynienia z Kazanem Paszą!

Rzucił słuchawkę i spojrzał na Ahmeta.

— No — powiedział zadowolony z siebie — to im napędzi strachu. I powinno, mój synu, mam bowiem przecucie, że obie znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie.

Ahmet wiedział, że ojciec ma rację. Kto wie, czego naprawdę chcą kraje usiłujące kupić klejnot? Iwanowowie byli wciąż poszukiwani, i miał wrażenie, że chodzi o coś więcej niż miliardy leżące w banku. Jednego był pewien: musi poznać całą prawdę, i to szybko.

Wróciwszy do swojego biura wykręcił numer Leyli, poczekał cierpliwie na sygnał, po czym zostawił wiadomość, tak samo jak Michael nakazując jej i Annie natychmiastowy przyjazd.

— Jesteście obie w niebezpieczeństwie — dodał. — Przyjeżdżajcie do domu, tylko tu możemy wam pomóc.

Następnie zadzwonił do pewnego człowieka w małym biurze w Pireusie. Mężczyzna ten pochodził ze znanej, choć zubożałej rodziny greckiej i miał kontakty we wszystkich sferach. Od ponad trzydziestu lat, czyli od początku istnienia Floty Handlowej Kazana, był tajnym pracownikiem Ahmeta i szpiegował jego greckich rywali, dzięki czemu

Ahmet znał wszystkie ich poczynania. Dobrze mu płacił przez te wszystkie lata, ale nie aż tyle, żeby tamten nie chciał więcej. Grek był urodzonym szpiegiem — sprytny, bystry i bez skrupułów. I umiał wyszukiwać ludzi sobie podobnych: zawsze potrafił znaleźć „wtyczkę”. Teraz będzie mógł się wykazać.

Leyla odetchnęła z ulgą, kiedy samolot Air France oderwał się od pasa startowego i uniósł w powietrze. Przez kilka sekund widziała leżący w dole Paryż, potem zasłoniły go chmury; w tej samej chwili zgasł napis nakazujący zapięcie pasów i anonimowy damski głos oznajmił, że można już palić. Na czystym, błękitnym niebie nad warstwą chmur świeciło słońce, a Stambuł oddalony był tylko o kilka godzin lotu.

Spojrzała na pusty fotel obok. Miejsce Anny. Czekwała na nią rano chodząc po dziedzińcu Luwru z biletami w torebce, ale Anna nie przysłała. Po dwóch godzinach wróciła do domu w nadziei, że może telefonowała, lecz tym razem czerwone światełko na automatycznej sekretarce nie mrugało. W końcu wzięła taksówkę na lotnisko, skąd zadzwoniła do domu i wysłuchiwała nagranych wiadomości, jednak Anna się nie odezwała. Leyla była bardzo zaniepokojona.

Czemu to zrobiłyśmy? — pytała gniewnie samą siebie. Dlaczego Anna nie poszła do Kazana Paszy i nie poprosiła go o pieniądze? Ale przecież znała odpowiedź. Michael zapytałby, co zrobiła z odziedziczonym majątkiem, a tego Anna nie chciała mu powiedzieć. Wszystko przez tę jej rosyjską dumę. Niewiele mówiła o swoich przodkach, lecz oprócz Missie i Kazanów miała tylko przeszłość.

Leyla przypomniała sobie lato w Stambule, kiedy miała osiem lat, a Anna jedenaście. Siedzieli wtedy na tarasie i oglądali zachodzące nad Bosforem słońce, które wyglądało jak olbrzymia szkarłatna wycinanka, przylepiona do zamglonego złotego nieba. Zza ciemniejących wzgórz wychodził księżyc w pełni, w powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatów. Było ich czworo: Tarią, Missie, Anna i Leyla. Zatopieni we własnych myślach patrzyli w milczeniu, jak słońce szybko znika za horyzontem, zostawiając ich pogrążonych w cieplej, miękkiej niczym aksamit ciemności.

Leyla usadowiła się na obitej jedwabiem otomanie u stóp Tariqa, a Anna oparta o balustradę spoglądała na mroczną wodę.

— Missie — poprosiła cichym głosem — opowiedz mi o Wariszni i dziadku.

Leyla podniosła wzrok na Missie i zobaczyła, że siedzący obok Tarią ujął pocieszająco jej dłoń.

— Niektóre wspomnienia są zbyt bolesne — rzekł. — Przeszłość jest przeszłością i należy o niej zapomnieć.

Ale Missie odparła:

— Anna ma rację, Tariq. Powinna coś wiedzieć o swojej rodzinie. Powinna poznać prawdę.

Wydawało się, że cisza, która zapadła po tych słowach, nigdy się nie skończy. Czekali, aż Missie zbierze myśli. W końcu zaczęła:

— Kiedy po raz pierwszy ujrzałam Miszę Iwanowa, miałam szesnaście lat i wciąż jeszcze uważano mnie za dziecko; włosy nosiłam wtedy związane w koński ogon, miałam na sobie prostą białą sukienkę z szeroką szarfą, białe pończochy i brązowe buty zapinane na guziczki. Zostałam sama jak palec, ponieważ dopiero co zmarł mój ojciec, a nie miałam żadnych krewnych. Z Krymu do Petersburga przyjechałam prywatnym pociągiem Iwanowów, który wydał mi się domem na kółkach. Ale i tak, mimo tych luksusów, nie byłam przygotowana na przepych, jaki zobaczyłam w pałacu.

Zawieziono mnie tam wspaniałą limuzyną de Courmont. Kiedy zajęliśmy przed marmurowe schody, drzwi otworzył portier, który wyglądał jak niedźwiedź w niebieskim płaszczu ze złotymi medalami. Byłam oszołomiona wspaniałością wnętrza. Klatka schodowa, wysoka na trzy piętra, miała rzeźbione kolumny z kremowego marmuru i wielkie okna z draperiami ze sztywnego, złotego jedwabiu. Podłogę wyłożono płytami z białego i czarnego marmuru, a od podwójnych drzwi aż do szczytu schodów ciągnął się karmazynowy chodnik. Na najwyższym stopniu stał wysoki blondyn z ręką na obroży dużego, bursztynowożółtego psa.

— Wiktor — szepnęła Anna siadając u stóp Missie. — Pies, o którym mama zawsze mówiła.

Missie kiwnęła głową.

— Kiedy twoja matka była mała, Wiktor był jej najlepszym przyjacielem. I jedynym — dodała ze smutkiem.

— Co było dalej? — zapytała Anna.

— Ów blondyn, chociaż miał na sobie starą tweedową marynarkę, wyglądał bardzo władczo i bardzo... „rosyjsko” — ciągnęła Missie. — Był wysoki, szeroki w ramionach, miał gęste, proste włosy, trochę dłuższe niż nakazywała moda, zaczesane do tyłu, i bardzo wyrazistą twarz: głęboko osadzone szare oczy i mocno zarysowane kości policzkowe. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. — Przerwała na chwilę, po czym wyszeptała: — I do dziś nie wiem, czy czas rzeczywiście się zatrzymał, kiedy na siebie spojrzeliśmy...

Anna poruszyła się gwałtownie i Leyla zerknęła na nią z niepokojem. Wszyscy wiedzieli, że Missie była zakochana w Miszy, ale po raz pierwszy powiedziała o tym głośno. Zapadła już noc, wznoszący się coraz wyżej księżyc pozwalał jedynie dostrzec zarys jasnej głowy Anny opartej o kolano „babci”.

— Twój dziadek należał do najbogatszych ludzi w Rosji — mówiła dalej Missie. — Oprócz willi w Jańcie i pałacu w Petersburgu miał jeszcze dom letniskowy w Carskim Siole, zaraz obok rezydencji cara, oraz majątek w Wariszni, który lubił najbardziej. Był to chyba najdziwniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam. Zbudowano go bez żadnej myśli, do małego domku dostawiano różne pomieszczenia — w miarę jak powiększała się rodzina. Miał kształt litery L z dodanymi skrzydłami i nadbudówkami tu i tam, a nad głównym holem wznosiła się zielonozłota kopuła. Można byłoby to określić jako rosyjskie rokoko. Na zewnątrz każdą część domu pomalowano na inny kolor i wyglądało to jak wesoła kompozycja pozszywana z kawałków różnych materiałów. W środku nie było korytarzy, tylko ciąg wąskich, ciemnych pokoi, z których jeden przechodził w drugi. Wszystkie podłogi zrobiono z szerokich, wypolerowanych desek wiązowych, po których wspaniale ślizgały się małe nóżki twojej mamy i jej brata Aleksieja. W lecie wielkie okna otwierano na oścież, dzięki czemu nawet w najgorętsze dni wewnątrz było cudownie chłodno. Natomiast w zimie, kiedy na dworze hulał arktyczny wiatr, w piecach ustawionych w rogach pokoi buzował ogień i Warisznia stawała się najprzytulniejszym domem na świecie.

Zawsze była pełna ludzi. Mieszkali tam wszyscy krewni Iwanowów, ich przyjaciele, którzy przyjechali z wizytą i jakoś nie mogli wyjechać, niezamężne lub owdowiałe ciotki i kuzynki. Była też oczywiście służba. Wydawało się, że w takim gospodarstwie musi jej być mnóstwo — dom miał chyba ze sto pokoi, choć tak naprawdę nikt ich nigdy nie liczył. Najważniejszy był Wasyl, kamerdyner i majordomus, który pracował w Wariszni od czasów dziadka księcia. Zestarzał się już i stetryczał, ale Misza nie pozwalał posłać go na emeryturę. Mówił, że Warisznia i rodzina Iwanowów są całym życiem staruszka i bez nich na pewno szybko umrze.

Missie westchnęła, zamyśliła się na chwilę, po czym podjęła:

— Następna była Niania. Też już stara, choć młodsza od Wasyla. Uważała pokoje dziecinne za swoje królestwo i nawet księżna Annuszka nie miała tam nic do powiedzenia. W sprawach dzieci Niania była wyrocznią. Siwe włosy okrywała białą chustą i zawsze ubierała się na biało, choć inni służący nosili niebieskie fartuchy. Stanowiło to oznakę

jej pozycji. Pamiętam, że czasami ręce tak jej puchły od artretyzmu, że nie mogła kapać dzieci i mamrocząc gniewnie stała obok. Kiedy robiła to jedna z piastunek. Ale wieczorami Ksenia i Aleksiej wdrapywali się tylko na kolana Niani i tylko ona opowiadała im bajki na dobranoc. I Nianię najbardziej kochali, zaraz po ojcu.

Leyla zmarszczyła brwi. Dlaczego Missie nie powiedziała „zaraz po ojcu i matce”? Anna także nigdy nie wspominała swojej matki, zupełnie jakby ta nie istniała.

— Trzeci w hierarchii był niemiecki nauczyciel, potem pokojówka Annuszki i lokaj Miszy — podjęła Missie. — Obydwoje przyjechali z Francji i uważali się za coś lepszego od rosyjskich słuźących. Zawsze szeptali zasłaniając usta dłońmi albo w ponurym milczeniu snuli się po domu. — Zaśmiała się. — Ciotki twierdziły, że zachowują się, jakby posiadłość należała do nich, a nie do księcia. Ale opuścili Warisznię jako ostatni. Cała reszta uciekła dużo wcześniej, jak szczury z tonącego okrętu. Poza tym w kuchni pracowało sześciu kucharzy, gromada kuchcików, pomywaczek i różnych słuźących. Pamiętam dziewczynę, której jedynym obowiązkiem było zapalanie wieczorem wszystkich lamp i czyszczenie ich rano. Inna zajmowała się wyłączenie ogromnymi piecami. Zatrudniano także kilkunastu ogrodników i człowieka, który pilnował, by trawiasty kort tenisowy był najrówniejszy w całej Rosji. O ukochane konie Miszy troszczyli się stajenni. Musiało ich być dwudziestu albo trzydziestu. A w psiarni hodowano psy do zaprzęgu i charty.

Twoja babcia, księżna Annuszka, nie znosiła samotności, wobec czego przez dom nieustannie przewijali się goście i wciąż wydawano przyjęcia. Czasami przebieraliśmy się w kostiumy albo zakładaliśmy stare rosyjskie stroje. Annuszka zawsze wyglądała wspaniale, bez względu na to, co miała na sobie. Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam. Te złote włosy i oczy jak bratki... i skóra o pięknym złotawym połysku. Miała wtedy dwadzieścia sześć czy siedem lat i była bardzo wesoła. Kiedy się śmiała, wszyscy śmiali się razem z nią. Ale czasem wydawało się, że tylko udaje radosną i beztroską, że tak naprawdę wcale nie jest jej wesoło. Z Annuszką nigdy nic nie było wiadomo: potrafiła być duszą wieczoru, a zaraz potem znikaała, zamykała się w swoim pokoju i nawet Misza nie mógł jej namówić, żeby otworzyła. Wpuszczała tylko pokojówkę z tacą, ale jedzenie zawsze wracało nietknięte. Na początku wydawało mi się to trochę dziwne, wszyscy jednak uważali tę sytuację za normalną. Po prostu Annuszka taka była, i już.

Missie spojrzała w zamyśleniu na Annę.

— Misza był dobrym człowiekiem — powiedziała po chwili. — Czuł się odpowiedzialny za służących, chłopów i ich rodziny. Troszczył się o nich z prawdziwą rosyjską serdecznością, mówili na niego *batiuszka*. Co miesiąc w głównym holu odbywały się spotkania, na których podawano piwo i jedzenie. Każdy mógł wtedy powiedzieć, co mu leży na wątrobie, i wiedział, że jego sprawa zostanie uczciwie załatwiona. Każda rodzina mieszkała we własnym domu, a każdy mężczyzna miał pracę. Na długo przed oficjalnymi reformami Iwanowie dali swoim chłopom po kawałku ziemi, żeby mogli uprawiać warzywa i ziemniaki. W Wariszni od dawna nikt nie zaznał głodu. Poza tym Misza zbudował szkołę, płacił pensję nauczycielki i przyznawał najinteligentniejszym dzieciom stypendia do szkół w Moskwie, zbudował też klinikę i opłacał lekarza. Walczył o prawa chłopów w Dumie i starał się przekonać cara Mikołaja, żeby im pomógł — twierdził, że wszystko, co on i car zrobili we własnych majątkach, należy przeprowadzić w całej Rosji. Ale oczywiście car miał na głowie zupełnie inne sprawy. Jego syn był ciężko chory, a caryca Aleksandra wierzyła, że tylko szalony mnich Rasputin może go wyleczyć. Gdyby rzeczywiście mu się to udało, wtedy car mógłby poświęcić, swój czas krajowi i może cała historia Rosji wyglądałaby inaczej.

Westchnęła, przerwała na chwilę, po czym wróciła do swojej opowieści:

— Annuszka i Misza uwielbiali swoje dzieci, Aleksieja i Ksenię. Zanim Aleksiej skończył sześć lat, ojciec nauczył go jeździć konno, pływać, a nawet posługiwać się strzelbą. Dzieciom wolno było wbiegać do gabinetu bez względu na gości czy ważne spotkania. Jeśli ojciec był zajęty, całował je tylko i dawał po cukierku ze specjalnego francuskiego puzderka z mechanicznym wieczkiem: puzderko miało kształt wzgórza z palmą na szczycie i małą małpką ukrytą w trawie. Po naciśnięciu specjalnego guzika małpka wspinała się na drzewo, a kiedy była już na czubku, wieczko się otwierało. Misza lubił patrzeć na zdumione buzie dzieci — nigdy nie mogły się połapać, jak to działa...

Aleksiej wrodził się w ojca: takie same oczy, takie same ciemnon Blond włosy i wyraziste rysy. Ksenia była piękna jak jej matka, ale miała jaśniejsze włosy, raczej koloru lnu niż złota, i piwne oczy. Zawsze uważałam, że kolorem przypominały skrzydła tropikalnego motyla. Odziedziczyła po Annuszcze wspaniałą złotawą cerę z lekkim połyskiem oraz usposobienie.

Annuszka Iwanow ani przez chwilę nie mogła usiedzieć spokojnie. Fruwała między Paryżem i Petersburgiem. Warisznią i Deauville, Monte Carlo, Londynem i Jałtą, jakby bała się choć na moment

zatrzymać. Kiedy docierała do wybranego miejsca, po kilku tygodniach albo i dniach znów wyruszała w drogę. Dzieci przyzwyczyły się do jej nieobecności, zresztą zawsze po powrocie zajmowała się nimi ze zdwojoną troską. Wyprawiała wtedy przyjęcia i zapełniała dom ludźmi, a dzieciom bardzo się to podobało.

Wszystkie swoje suknie kupowała w Paryżu, w zimie nosiła wspaniałe futra z soboli i lisów, buty robiono jej na zamówienie w Londynie lub w Rzymie. W każdym domu Iwanowów miała wykładany szarym zamszem ogromny sejf, w którym trzymała swoją wspaniałą biżuterię: rubiny, szmaragdy i brylanty, jak z baśni o Aladynie. Uwielbiała fiołki, więc perfumeria w Grasse na północy Francji zrobiła dla niej specjalne perfumy o tym zapachu. Oczywiście nazwano je „Annuszka” i nikt inny ich nie używał. Zawsze też miała przypięty do sukni albo do futra bukietek żywych fiołków.

Missie umilkła i pogrzyżała się we wspomnieniach.

— Mów dalej — poprosiła Anna.

„Babcia” uśmiechnęła się do niej i podjęła wątek:

— Warisznia najpiękniej wyglądała pod śniegiem... Goście przyjeżdżali pociągiem Iwanowów i wysiadali na małej stacyjce w Iwanowsku, gdzie stangret w liberii czekał, żeby zabrać ich saniami do domu. Ich przyjazd zapowiadały dzwonki u sań, wybiegaliśmy więc na dwór, by się przywitać. Naturalnie ulubienicą wszystkich, dzieci i dorosłych, była księżna wdowa Sofia Iwanow, twoja prababka.

Właśnie ona opowiedziała mi historię małżeństwa twoich dziadków. Miszę uważano za „partię dekady”, kiedy poznał Annuszkę. Był rok 1908, Misza miał dwadzieścia cztery lata, oksfordzki dyplom z wyróżnieniem z archeologii i dwa lata szalonych podróży za sobą. Był wysoki i przystojny, lecz zupełnie nie rozumiał, dlaczego panny w Europie i w Ameryce nazywały go pożeraczem serc. Pasjonował się sportem, najbardziej lubił jazdę konną i grę w polo. Annuszka Nikołajewna Orłow skończyła wtedy zaledwie osiemnaście lat. Była siostrzenicą cara, jej rodzina należała do arystokracji, ale zubożała. Już wtedy słynęła z piękności i skłonności do flirtów. Kochali się w niej wszyscy młodzi kawalerowie w Petersburgu, i twój dziadek nie stanowił wyjątku. Kiedy tylko ją poznał, oczarowała go swoją urodą.

Takiej piękności trudno się było oprzeć. Nikt nie mógł oderwać wzroku od Annuszki, była jak żywe dzieło sztuki. Nikomu nie przeszkadzał jej brak wykształcenia, była bystra i umiała rozmawiać o teatrze i najnowszych sztukach równie swobodnie, jak o modzie i klejnotach. Wspaniale tańczyła i nieodmiennie królowała na wszystkich balach. Nieważne, że była samolubna i kapryśna i czasami

zachowywała się dziwnie, nie pojawiając się na przyjęciach wydawanych na jej cześć albo znikając na całe dni. Młodzi mężczyźni i tak obsypywali ją kwiatami, obdarowywali wierszami miłosnymi i biżuterią, którą jej matka skrupulatnie zwracała.

Misza był również zakochany, a Annuszka przez długie tygodnie zwodziła go i trzymała jak rybę na haczyku. Czasami go przyjmowała, czasami nie, książe zaś szalał z niepokoju, że jakiś rywal sprzątnie mu ją sprzed nosa. Poprosił ją o rękę; namyślała się przez tydzień bawiąc z przyjaciółmi na wsi, w końcu jednak zgodziła się zostać jego żoną.

Sofia opowiadała, że tak wspaniałego ślubu Rosja nie widziała od dawna. Annuszka miała na sobie suknię z kremowej satyny z trenem ze złotej koronki i wielką tiarę Iwanowów z olbrzymim, dziewięćdziesięciokaratowym szmaragdem, oprawionym specjalnie dla niej przez Cartiera w Paryżu. Na ślubie byli obecni car i jego rodzina, ceremonia odbyła się w przepięknej katedrze świętego Izaaka, która, chociaż wielka, nie pomieściła jednak wszystkich gości. Potem odbyło się wystawne przyjęcie weselne w rezydencji nad Nową, po którym Misza zabrał swą oblubienicę w trzymiesięczną podróż poślubną do Ameryki. W drodze powrotnej na życzenie Annuszki zatrzymali się w Europie. Młodej księżnej potrzebne były nowe stroje, nowa biżuteria. Misza, młody i zakochany, rozpieszczał ją. Miała wszystko, co chciała. Kiedy w końcu Annuszkę znudziły zakupy, zaprosiła przyjaciół na jacht i wszyscy razem popłynęli przez Morze Śródziemne i Bosfor na Morze Czarne, z powrotem do Rosji.

Missie przerwała na chwilę, po czym dodała:

— Misza już wtedy wiedział, że Annuszka ma problemy. W niektóre dni w ogóle nie wstawała z łóżka, leżała blada patrząc w dal. Czasami płakała, lecz nie miało to nic wspólnego z histerią. Po jej białej, ściągniętej twarzy spływały łzy, których Misza nie umiał zatrzymać, choćby nie wiem jak się starał. Kiedy wrócili do Petersburga, Annuszcze się pogorszyło: zamknęła się w sypialni i nikogo nie wpuszczała. Misza wezwał na pomoc Sofię, ona zaś zwróciła się do matki Annuszki.

Ilona Orłow powiedziała, że jej córka jest bardzo wrażliwa; męczą ją ciągłe przyjęcia i często potem popada w depresję. Najlepiej wtedy zostawić ją w spokoju i poczekać, aż wszystko wróci do normy. Sofia jednak była zaniepokojona i wezwała wybitnego psychiatrę ze Szwajcarii. Stwierdził, że Annuszka cierpi na psychozę maniakalno-depresyjną, ale ponieważ jest młoda, terapia jej pomoże. Tak więc nowożeńcy spędzili trzy miesiące w sanatorium w górach Szwajcarii, gdzie młoda księżna poddała się leczeniu. Kiedy wrócili do Rosji,

wydawała się zdrowsza i rzuciła się w wir zabaw w Petersburgu równie gorączkowo, jak poprzednio. A Misza był spokojnym człowiekiem, który wolał życie na wsi. W zimie najbardziej lubił siedzieć przy kominku w Wariszni i czytać książki historyczne albo polować z chartami na wilki. Ich drogi rozchodziły się stopniowo i coraz trudniej im było porozumieć się ze sobą.

Trzy lata po ślubie urodził się Aleksiej. Annuszka się zmieniła; nie widziała świata poza swoim synkiem, zabierała go wszędzie ze sobą i chwaliła się nim przy każdej okazji. Jednak już po kilku miesiącach wróciła do dawnego stylu życia. Ksenia przyszła na świat trzy lata później. Misza desperacko próbował związać ze sobą młodą żonę, która coraz bardziej się od niego oddalała. Jej zachowanie zaczynało być tematem plotek. Mówiono, że przestała zważać na pozory i jej flirty wcale nie są takie niewinne. Wymieniano nazwiska i coraz więcej plotkowano. Ale Annuszka Iwanow była taka piękna, że przebaczano jej wszystko. Fama głosiła, że wszyscy mężczyźni w Petersburgu są w niej zakochani.

Misza nadal się nią opiekował, rozumiał bowiem, że Annuszka wcale nie chciała się tak zachowywać. Nie miała żadnej kontroli nad swymi uczuciami i postępkami, była jak źdźbło trawy, które wiatr porывał tam, gdzie chciał. Kiedy wpadała w depresję, zawsze wracała do domu, do męża.

— Och, Missie — szepnęła Anna. Leyla dostrzegła w świetle księżycy, że Anna płacze. — Och, Missie, teraz rozumiem.

Missie wyciągnęła rękę i pogłaskała jasne włosy dziewczyny.

— Jest jeszcze jedna rzecz, o której musisz wiedzieć, Anno. Jesteś już wystarczająco dorosła... — zawahała się, szukając słów, po czym rzuciła szybko: — Twój dziadek i ja byliśmy w sobie zakochani.

Anna otworzyła szerzej niebieskie oczy, a Leyla usiadła prosto słuchając uważnie: wszystko to było jak baśń z tysiąca i jednej nocy, klejnoty, książęta, intrygi... Czy Misza udusi niewierną żonę jedwabnym sznurem, jak to robili w haremie w pałacu Topkapi?

— Missie — rzucił Tariq ostrzegawczo, lecz ona uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Anna musi się dowiedzieć wszystkiego — odparła. — Ma do tego prawo.

Anna chwyciła ją za rękę, spragniona dalszej opowieści, więc Missie mówiła dalej:

— Kiedy zobaczyłam Miszę po raz pierwszy, miałam tylko szesnaście lat, ale była to miłość od pierwszego wejrzenia. Choć byłam wtedy bardzo młodą dziewczyną, nie nazwałabym tego zauroczeniem.

To było jak... jak powrót do domu, znalezienie tej jednej jedynej osoby na świecie, która jest dla ciebie stworzona. Oczywiście Misza nigdy nie powiedział ani słowa na ten temat — nigdy nie postąpiłby tak niewłaściwie, ale wiedziałam, że czuje to samo. Mój ojciec dopiero co zmarł, książę się mną zajmował i nie pozwalał mi myśleć o smutnych sprawach. Annuszka często wyjeżdżała, zabierał mnie więc do opery i na balet, naturalnie zawsze w towarzystwie innych osób, i na prośzone kolacje do przyjaciół. No i oczywiście pokazał mi swoją ukochaną Warisznię. Razem objeżdżaliśmy majątek, odwiedzaliśmy szkołę i szpital, wpadaliśmy do robotników i ich rodzin na herbatę, zobaczyć nowo narodzone dziecko albo cielątko. Wiedziałam, że go kochają. Nie byli służalczy, nie przypochlebiali się Miszy. Rozmawiał z nimi jak z równymi sobie, jak z ludźmi o takich samych prawach, wierzyli więc, że będzie o nich dbał. Wiejskie dzieci wybiegały mu na spotkanie, chłopcy bili się o to, który ma trzymać konia księcia, dziewczynki skakały wokół nas ubrane w haftowane spódniczki i czerwone filcowe buciki. Takie były ładne, takie słodkie...

Missie westchnęła i Anna mocniej ścisnęła jej dłoń.

— Misza i ja stawaliśmy się sobie coraz bliżsi, ale było to zespolenie dusz, nigdy nie mówiliśmy o „miłości”. To znaczy aż do moich siedemnastych urodzin, kiedy dał mi prezent, broszkę w kształcie herbu Iwanowów, po czym pocałował mnie i powiedział, że mnie kocha. Jak mam wam opisać, co czułam, kiedy znalazłam się w jego ramionach? Zrozumiałam po prostu, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Książę dodał, że nie zamierzał tego mówić, bo jestem za młoda, a on ma żonę, ale jeśli wyjadę, jego życie stanie się puste.

A potem wybuchła wojna. Misza był oficerem kawalerii i rzadko udawało mu się wyrwać do domu; Annuszka mieszkała u przyjaciół — coraz więcej czasu spędzała w domach innych ludzi. Pisałam do Miszy co dzień i czasami dostawałam w odpowiedzi krótkie, pisane na kolanie liściki, że jest zdrowy, że tęskni za dziećmi, za Warisznią i za mną, zawsze podpisane: „serdeczności, Misza”.

Zostałam sama w Petersburgu z dziećmi i służbą. Rzecz jasna, znałam już wtedy w mieście sporo ludzi, ale bez Miszy czułam się wśród nich obco, zresztą i tak nie byłam w nastroju do zabaw, kiedy na froncie ginęli młodzi mężczyźni. Pewnego dnia zabrałam Aleksieja na spacer. Petersburg przypomina Wenecję, leży przy ujściu rzeki i jest w nim mnóstwo mostów łączących poszczególne części miasta. Poszliśmy na wyspę Nowaja Derenja, gdzie mieszkają Cyganie. Aleksiej lubił ją najbardziej, ja zresztą też. Mieszkały tam wszystkie słynne rodziny cygańskie, a wiedziałam, że pradziad księżnej Sofii poślubił młodą

Cygankę z rodziny Sziszken Tabor. Byli to wysocy, przystojni ludzie z błyszczącymi czarnymi oczyma. Wszyscy mężczyźni nosili wielkie wąsy, kobiety miały długie, kręcone włosy, które okrywały kolorowymi chustami, i wielkie kolczyki. Chłopcy grali na bałałajkach albo gitarach i śpiewali, dziewczęta wyglądały cudownie w powiewnych spódnicach, przewiązane w talii szkarłatnymi szarfami, wirowały w szalonym tańcu, a my rzucaliśmy monety na tamburino, z którym chodził młody Cygan o zuchwałym spojrzeniu. W pewnym momencie jakaś stara Cyganka powiedziała, żebym zostawiła Aleksieja pod opieką jej córki, a sama weszła z nią do domu. Zabrzmiało to interesująco i tajemniczo, więc posłuchałam.

Ciemny pokój oświetlała jedynie mała lampa z czerwonym abażurem; na środku stał okrągły stół z czerwonym obrusem i dwa krzesła. Cyganka wskazała mi jedno z nich, a sama podeszła do półki i zdjęła z niej kryształową kulę. Pamiętam, jak się uśmiechnęłam, przekonana, że staruszka chce zarobić kilka rubli na przepowiadaniu przyszłości... Cyganka ujęła kulę w dłoń i zapatrzyła się w jej wnętrze. Obserwowałam ją w milczeniu. Miała bardzo pomarszczoną twarz, musiała być po siedemdziesiątce, ale w jej czarnych włosach nie było ani śladu siwizny, miała też piękne ręce, z długimi, szczupłymi palcami i wypolerowanymi paznokciami. Kiedy w końcu podniosła wzrok, spojrzała na mnie hipnotyzująco swoimi głębokimi, czarnymi oczyma. Czułam, jak mnie przyciągają. Pochyliłam się w jej stronę, niezdolna do odwrócenia wzroku, a ona rzekła: „Masz za sobą smutne przeżycia i jesteś sama na świecie, ale otacza cię miłość”.

Byłam zaskoczona. Wiem, że wiele Rosjanek wierzy w cygańskie przepowiednie, ja jednak zawsze odnosiłam się do nich sceptycznie. Uważałam je za miłą zabawę, sposób na zarabianie pieniędzy, ale nie poza tym.

„Ta miłość nie da ci szczęścia — powiedziała Cyganka i urwała. Potem szybko dodała: — Wracaj do swojego kraju, nie wolno ci tu zostać”. — Oderwała ode mnie wzrok i ponownie spojrzała na kryształową kulę. Zrobiłam to samo, ciekawa, co ona w niej widzi.

„W twoim życiu jest miłość i rozpacz, a szczęście przyjdzie z innej strony, niż myślisz. Miłość zawsze będzie rządzić twoim losem, ale spocznie na tobie wielka odpowiedzialność. — Popatrzyła na mnie dziwnie i dodała: — Od ciebie może zależeć los wielu narodów”.

Byłam zaintrygowana, chciałam usłyszeć coś więcej, lecz ona odsunęła od siebie kulę, podeszła do drzwi i przytrzymała zasłonę, żebym mogła wyjść. Wyjęłam z portmonetki trochę pieniędzy, ale nie chciała ich przyjąć. „Niech Bóg cię ma w swojej opiece” — powiedziała na pożegnanie.

Jej przepowiednia zaczęła się sprawdzać bardzo szybko. W Rosji działo się coraz gorzej. Wojna przynosiła olbrzymie straty, w miastach wybuchały strajki i zamieszki. Stopniowo władzę zaczęli przejmować bolszewicy. Ludzie uciekali z Rosji, póki mogli, ale wielu takich jak Misza wolało zostać.

Ksiązę ufał swoim ludziom, bo nie miał powodów, żeby w nich wątpić. Przecież troszczył się o nich jak rodzony ojciec. Niestety spotkał go zawód: chłopów skusiły bolszewickie obietnice bogactw i ziemi dla wszystkich. Po kolei znikali też służący. Wiadomo było, że trzeba uciekać, i Misza usiłował namówić mnie do wyjazdu. Nadeszły moje osiemnaste urodziny. Annuszka znów miała depresję i spędziła cały dzień w łóżku. Sofia, Misza i ja siedzieliśmy przy kolacji ze starymi ciotkami i kuzynkami. Właśnie wszyscy wznieśli szampanem toast na moją cześć, kiedy ktoś głośno załomotał do drzwi.

Był to przyjaciel, lekarz z sąsiedniego miasteczka, oddalonego o trzydzieści kilometrów; przyjechał ostrzec Miszę, że gromadzi się tam rozjuszony tłum i powinniśmy uciekać, póki czas. W domu zapanował okropny rozgardiasz, zaczęliśmy się szykować do wyjazdu. Staruszki nie zgodziły się jechać, Misza też nie. Obiecał dołączyć do nas na Krymie w ciągu kilku dni. Przed samym odjazdem poprosił: „Opiekuj się moimi dziećmi, Missie”. Spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam wszystko, co się w nich kryło. Potem powiedział: „Kocham cię” — i pocałował mnie w usta.

Zapadło długie milczenie. Leyla wstrzymała oddech w oczekiwaniu na dalsze słowa Missie.

— Nigdy więcej go nie widziałam... — Głos Missie drżał. A potem dodała: — Resztę znacie. Annuszka zginęła w lesie, Aleksiej też. Sofii i mnie z pomocą Tariqa Kazana udało się uciec z Ksenią do Ameryki.

Księżyc stał już wysoko, zalewając taras srebrnym światłem. Leyla patrzyła na Missie i Annę, która przycisnęła dłoń „babci” do mokrego od łez policzka.

— Misza i ja nigdy nie byliśmy kochankami — powiedziała Missie cicho. — Byłam młoda i niewinna, a Misza był džentelmenem.

— Och, Missie — szepnęła Anna. — Wcale nie musiałaś tego mówić. Cieszę się jednak, że wiem. Teraz rozumiem wszystko o wiele lepiej.

— W porządku, kochanie — odparła Missie. — Ale to działo się już dawno temu. Razem z twoją prababcią postanowiłyśmy zostawić wszystko za sobą i patrzeć tylko w przyszłość. I ty musisz teraz zrobić tak samo.

— Obiecuję — powiedziała Anna.

Już wtedy Leyla zastanawiała się, jak Anna dotrzyma takiego przyrzeczenia. Wydawało się jednak, że jej się to udaje. Przez lata nie wspominała o tym, aż nagle przyszła do Leyli i oświadczyła, że potrzebuje pieniędzy. Pilnie. Leyla poradziła jej, żeby poszła do dziadka, ale Anna odmówiła. Stwierdziła, że Tariq Pasza spłacił już honorowy dług Kazanów i sama musi to załatwić — i opowiedziała Leyli o klejnotach.

Kiedy bez trudu sprzedały brylant, ośmieliły się pójść dalej. Leyli nawet spodobała się rola kurierki przemykającej się przez Bangkok w ciemnych okularach, by zawrzeć umowę ze smętnym Abysem. Teraz zrozumiała, że tamto było łatwe. Trudniejszą część miała jeszcze przed sobą: musiała stanąć przed rozgniewanym Kazanem Paszą. Sama.

Rozdział 14

Dusseldorf

Rezydencja Arnhaltdów stanowiła główny element leśnego pejzażu, górowała nad drzewami na wzgórzu niczym wielkie szare mauzoleum. Postawił ją prapradziadek Ferdiego, by upamiętnić swoje imię i sukces, jaki odniósł, przenosząc się w 1825 roku z matczynego sklepiku z materiałami do elity niemieckich magnatów stali.

Kiedy Ferdynand Arnhaldt zbił majątek i zdobył tytuł barona, postanowił rozstać się z tanimi imitacjami. Chciał, żeby jego rezydencja przetrwała wieki. Zbudowana z szarego kamienia, miała wieże strzelnicze, mury obronne z blankami, gotyckie okna i portyki z kolumnami; otaczały ją ogrody w stylu francuskim, pozbawione jednak francuskiego uroku, oraz hektary parków i lasów. Wewnątrz były dębowe boazerie, marmurowe podłogi, kominki z onyksu, schody z rzeźbionego dębu przewiezione z angielskiego zamku i witrażowe okna, które wpuszczały do środka niewiele światła, nadając domowi ponury, kościelny charakter.

Ferdie Arnhaldt siedział w wyłożonym dębem gabinecie, który kiedyś należał do jego pradiadka, dziadka, a potem ojca; w tym samym skórzanym fotelu, w którym oni siadywali; przy tym samym masywnym biurku. Przed nim na poduszce z ciemnego aksamitu leżał klejnot. Ferdie nie miał wątpliwości, że to szmaragd Iwanowów, a fakt, że kamień był przecięty i że zapłacił za tę połówkę mnóstwo pieniędzy, nie martwił go specjalnie.

Co więcej, miał powody do radości: czyż nie sprzątnął szmaragdu konkurencji sprzed nosa? A konkurencja była przecież nielicha. Niepokoił się za to czym innym: wydał ponad dziewięć milionów, tożsamość „Damy*” jednak nadal pozostawała dla niego tajemnicą. Prowadzący aukcję twierdzili, że nie wiedzą nic o sprzedającym, a szwajcarski bank odmówił zdradzenia tajemnicy. Metalowe kółka

fotela zaskrzyphiały, kiedy Ferdie odsunął się od biurka — zanotował w pamięci, że musi powiedzieć o tym służbie. Gospodarstwo Arnhaldtów zawsze prowadzone było jak w zegarku i Ferdie nie zamierzał dopuścić do zmian na gorsze. Wciąż pamiętał, jak jego prababka zwolniła kamerdynera za opieszałość przy otwieraniu drzwi, kiedy zajechała samochodem przed dom. Fakt, że kamerdyner służył rodzinie od dwudziestu lat i cierpiał na reumatyzm, nie miał dla niej żadnego znaczenia. „Uznaję tylko najlepszych — warknęła, kiedy ojciec Ferdiego zaprotestował mówiąc, że lubi biednego służącego i jest do niego przyzwyczajony. — Jeśli nie jest najlepszy, musi odejść”. Więc odszedł, a po nim pojawił się tuzin nowych kamerdynerów, z których żaden nie dorównywał staremu i nie mógł sprostać wymaganiom prababki.

Tak więc Ferdie wcześniej pobierał nauki życia i nawet teraz, kiedy trudno było o dobrą służbę, nie mógł pominąć milczeniem takich niedociągnięć jak źle nakryty stół, warstwa kurzu na ramach obrazów czy skrzypiące kółka fotela. Wiedział, że nie cieszy się sympatią wśród swoich pracowników — ani w domu, ani w pięciu olbrzymich fabrykach i hutach, ani w biurze. Słyszał, że mówią o nim: „Wykapany tatuś, z żelazną pięścią prababki”. To prawda, był podobny do ojca: miał takie same jasnyniebieskie oczy i blond włosy starannie zaczesane do tyłu, szerokie brwi, duży nos i mocno zarysowaną szczękę, był tak samo wysoki i wysportowany.

Żona Ferdiego, Arlette, była Francuzką, śliczną i pełną uroku. Miała czarne oczy, burzę ciemnych loczków, duży biust i szczupłą talię. Naturalnie mężczyzna tak zamożny jak Ferdie Arnhaldt nie narzekał na brak kobiecego towarzystwa i zawsze miał u boku jakąś piękność, ale podstępna Arlette omotała go swoim zmysłowym wdziękiem paryżanki i zanim się obejrzał, byli już po ślubie. Kiedy uświadomił sobie, że wyszła za niego dla pieniędzy, zaszła już w ciążę, a Ferdie nigdy nie rozwiódłby się z matką swego dziecka. Bardzo był rozczarowany, kiedy okazało się, że ma córkę, szybko ją jednak pokochał. Odziedziczyła po nim silną wolę, a po matce wygląd. Jej zdjęcie wciąż stało na jego biurku, choć od dziesięciu lat nie żyła. Spadła z konia w wieku czternastu lat. Czas zaleczył rany, ale gorycz pozostała.

Uznał, że korzystniej będzie się nie rozwodzić, ponieważ żona trzymała inne podstępne kobiety z dala od jego majątku. Rzecz jasna, gdyby zaszła taka potrzeba, rozwiódłby się natychmiast. Na razie Arlette żyła na jego koszt w wielkim, luksusowym mieszkaniu w Monako.

Podszedł do obrazu wiszącego na ścianie obok kominka. Jak na tak bogaty dom, pełen wartościowych przedmiotów, ten obraz wydawał się zupełnie nie na miejscu: przeciętny pejzaż leśny podpisany przez nieznanego artystę. Pradziadek powiesił go tu sto lat temu, żeby zakryć znajdujący się w ścianie sejf — uważał, że gdyby umieścił tu arcydzieło, ewentualni włamywacze mogliby odkryć schowek.

Nacisnąwszy ukryty guzik Ferdie poczekał, aż obraz przesunie się powoli na bok, po czym wybrał kombinację cyfr i otworzył sejf. Wypełniały go papiery i dokumenty — nic, co przedstawiałoby jakąś wartość dla zwykłego złodzieja. Wyciągnął brązową kopertę i zaniósł ją na biurko. Przez długi czas siedział i przyglądał się fotografiom, które zawierała.

Pierwsze zdjęcie zrobiono w dniu drugiego ślubu dziadka Ferdiego. Eddie miał wtedy pięćdziesiąt dwa lata i wyglądał tak, jak wszyscy mężczyźni z rodu Arnhaltdów: wysoki, postawny, o twardym spojrzeniu. Ubrany był w szary garnitur, do piersi przyciskał jedwabny cylinder. Jego oblubienica, młoda i bardzo piękna, o twarzy rozświetlonej miłością, tonęła w białej satynie i koronkach. Na drugim zdjęciu siedziała na krześle i obejmowała uśmiechniętą dziewczynkę, która opierała się o jej ramię. Trzecia fotografia, wyblakła od zbyt częstego dotykania, przedstawiała księżną Annuskę Iwanow w słynnej tiarze ze szmaragdem.

Ferdie odsunął zdjęcia na bok i wyjął z koperty dokumenty. Był to plik nieważnych już umów z Rosją Radziecką, pochodzących z 1920 roku i przyznających firmie Arnhaltdt prawo do kopalń w Radżastanie, poprzednio należących do rodziny Iwanowów. W kopalniach tych znajdował się cenny wolfram, niezbędny w procesie utwardzania stali. Przez ponad siedemdziesiąt lat Arnhaldtowie płacili Rosjanom fortunę, choć doskonale wiedzieli, że ich pretensje do kopalń są bezpodstawne. Teraz szyby w Radżastanie stały się jeszcze cenniejsze ze względu na nowe tendencje rozwojowe przemysłu zbrojeniowego i Arnhaltdt nie zamierzał dłużej płacić Rosjanom okupu. Postanowił, że kopalnie staną się własnością jego rodziny, o co dziadek zabiegał przez tyle lat. Tym razem nic go nie powstrzyma.

Niecierpliwie spojrzął na zegarek. Za minutę trzecia. Człowiekowi, na którego telefon czekał, zostało niewiele czasu. Odsunął krzesło i zaczął krążyć po ponurym pokoju licząc sekundy, potem minuty. Telefon zadzwonił pięć po trzeciej.

— Spóźniłeś się — warknął w słuchawkę, lecz zaraz zmienił ton: — Bardzo przepraszam, oczekiwałem kogoś innego. — Wziął do ręki pióro i zaczął bazgrać w leżącym przed sobą notesie, szkicuując

tiarę Iwanowów i klejnot. — Amerykańska telewizja? Ale dlaczego chcecie robić ze mną wywiad? Interesujący, hmm? Tak... seria portretów wielkich ludzi przemysłu? A z kim rozmawiam? — Odłożył pióro, w jego głosie pojawiła się nutka podejrzliwości. — No cóż, panno Reese, nie jestem pewien, czy mam tyle czasu... Rozumiem, dobrze, proszę zadzwonić jutro. Tak, do biura.

Powoli odłożył słuchawkę. Genie Reese robiła dla amerykańskiej sieci telewizyjnej materiał z aukcji w Genewie. Czy mógł to być zwykły zbieg okoliczności, że właśnie teraz do niego zadzwoniła? A może odkryła, że to on kupił szmaragd? Jeśli tak, to w jaki sposób? Z pewnością nie przez Markheima. Wciąż zastanawiał się nad tym, kiedy ponownie rozległ się dzwonek telefonu.

Tym razem dzwonił mężczyzna, na którego czekał, wtyczka Arnhalda w szwajcarskim banku.

— Tak? — odezwał się sucho Ferdie. Słuchał przez chwilę, potem powiedział cicho: — Rozumiem. — I dodał ostro: — Spóźniłeś się. Niech to się nie powtórzy.

Odłożywszy słuchawkę usiadł w wielkim skórzanym fotelu i zamyślił się. Uzyskał właśnie odpowiedź na pytanie, które dręczyło nie tylko jego, ale nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał. Dowiedział się właśnie, że sprzedawcą szmaragdu była Flota Handlowa Kazana, firma zarejestrowana w Stambule.

W taksówce Genie przez cały czas zadawała sobie pytanie, dlaczego robi to, co robi. Czy chce pomóc swemu krajowi — nie zapominając przy tym o własnej karierze — czy też zachęciły ją do tego piękne szare oczy Valentina Sołowskiego? Tak czy owak, nie było odwrotu: Ferdie Amhaldt na nią czekał, a zza drzew wyłaniały się już mury jego rezydencji.

Na końcu prostej żwirowej alei pojawił się nagle dom, przezierający zza równo przystrzyżonych żywopłotów tworzących geometryczne wzory. Jedyнным weselszym akcentem w całej tej kompozycji była kunsztownie rzeźbiona marmurowa fontanna, umieszczona pośrodku okrągłego podjazdu. Z pysków dwunastu rozbrykanych delfinów tryskała woda, na największym siedział Neptun z uniesionym trójzębem, jakby miał zamiar upolować jakąś rybę. Wiał zimny, wschodni wiatr, niosąc ze sobą krople wody, które spadły na Genie, kiedy wysiadła z taksówki. Kierowca przytrzymujący drzwi obrzucił ją spojrzeniem pełnym podziwu, które sprawiło jej przyjemność i dodało pewności. A na to spotkanie potrzebna jej była cała wiara w siebie.

Zanim zdążyła nacisnąć dzwonek, kamerdyner w prążkowanych

spodniach i białej marynarce otworzył drzwi i wprowadził ją do poczekalni. Kwadratowy pokój wydawał się równie wysoki, jak szeroki; ściany pokryte były rysunkami i zdjęciami przedstawiającymi fabryki Arnhaltdów — od pierwszej małej odlewni w Essen po ogromne, współczesne huty. Przy gotyckich oknach wisiały ciemnoczerwone brokatowe zasłony, w tym samym kolorze co gruby dywan. Genie przysiadła na jednym z masywnych, rzeźbionych dębowych krzesel ustawionych wzdłuż ścian. Czuła się jak w poczekalni u dentysty na Park Avenue: tu też nie było lustra i nie mogła poprawić fryzury przed wezwaniem „na pokoje”. Była zadowolona, że założyła skromną, lecz elegancką beżową garsonkę od Armaniego. W tym stroju, z włosami zebranymi z tyłu, wyglądała wystarczająco profesjonalnie, by rozmawiać o poważnych sprawach, a przy tym odrobinę zalotnie. W końcu Cal sam radził jej, żeby wykorzystywała wszystkie możliwe atuty. Mimo to trochę się w środku trzęsła, kiedy kamerdyner wrócił wreszcie i oświadczył, że baron ją przyjmie.

Ruszyła po szerokich dębowych schodach, mijając po drodze kilka ogromnych portretów zmarłych Arnhaltdów. Gabinet barona był tak samo ponury, jak reszta domu. Ferdynand Arnhaltd siedział za wielkim biurkiem i pisał coś w skupieniu. Podniósł na nią wzrok, wskazał ręką krzesło, po czym wrócił do pisania.

Genie z westchnieniem opadła na wskazane siedzenie. Więc tak to miało wyglądać?

Przez następnych kilka minut nie przerywał pisania. Przyzwyczajony był do szybkiego oceniania ludzi — jedno spojrzenie wystarczyło mu, by ocenić Genie. Młoda, niezwykle atrakcyjna i zdenerwowana. Ale równocześnie zdecydowana, bo w przeciwnym razie by jej tu nie było.

— A więc, panno Reese — odezwał się w końcu, obchodząc biurko dokoła, by uścisnąć jej dłoń. — Cieszę się, że mogę panią poznać, choć nie bardzo wiem, czemu mam to zawdzięczać.

Genie sięgnęła do torebki i podała mu wydobyte z niej papiery.

— Listy uwierzytelniające — powiedziała z uśmiechem. — Żeby pan wiedział, iż jestem osobą, za którą się podaję. I faks od moich szefów z pozwoleniem na wywiad. Teraz potrzebna jest już tylko pana zgoda, baronie.

Arnhaltd przysiadł na rogu biurka i wpatrywał się w nią w milczeniu jasnyniebieskimi oczyma. Genie uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

— Naturalnie nie będzie to program tylko dla Amerykanów — dodała. — Widownia europejska również interesuje się takimi opowieściami. Jest pan przecież zaliczany do najbogatszych ludzi świata... i najciekawszych. Pomyślałam sobie, że może zaczniemy od zwiedzenia

domu, mógłby mi pan po drodze opowiedzieć historię rodziny. Powinnam dodać, że na liście potencjalnych bohaterów programu są panowie Agnelli, Getty, książę Westminsteru — mężczyźni, którzy kontynuowali działalność swoich przodków i rozwinęli rodzinny interes, zyskując jeszcze większą władzę i majątek.

Zerknęła na niego wyczekująco spod spuszczonej powieki i wręczyła mu spis nazwisk. Zgodzi się czy nie?

Arnhaltdt uśmiechnął się nagle. Skrzyżował ręce na piersi i powiedział:

— Muszę przyznać, że pochlebia mi umieszczenie na tak elitarnym liście... ale nie sądzę, żeby widzowie zainteresowali się kimś takim jak ja.

Genie z ulgą odwzajemniła jego uśmiech.

— Nie bardzo mogę się z tym zgodzić. Czytałam trochę o panu i pańskiej firmie. Lektura okazała się fascynująca i jestem pewna, że widzowie będą tego samego zdania. Na przykład pański prapradziadek, założyciel firmy, musiał być wspaniałą postacią.

— Jestem jego imiennikiem — rzekł baron. — Tak, chyba każdy mężczyzna z rodu Arnhaltdtów wyróżniał się na swój sposób. Ale oczywiście nie wolno nam zapominać o kobietach... na przykład o staruszce ze sklepu z materiałami, matce mojego prapradziadka. Była tylko niewykształconą biedną wdową, ale to właśnie jej siła i mądrość pozwoliły synowi osiągnąć sukces. A potem uparła się, żeby mieszkać obok huty — mówiła, że dopóki widzi płomień pod piecami, dopóty wie, iż firma jest bezpieczna. Dopiero gdy była już bardzo stara i jej syn zbudował ten dom, zgodziła się tu przeprowadzić. Arnhaltdtowie zawsze żenili się z silnymi kobietami. Prababka, która wychowywała mnie po śmierci mojej matki, pewnie również zainteresowałaby pani widzów.

Wskazał na naturalnej wielkości portret wiszący nad biurkiem. Obraz autorstwa Sargeta przedstawiał wysoką kobietę w sukni balowej z jasnej satyny, z różowymi kwiatami we włosach. Z twarzy o regularnych rysach impertynencko spoglądały jasne oczy, jakby ich właścicielkę zniecierpliwio pozowanie i chciała zająć się ważniejszymi sprawami. „Apodyktyczna”, takie określenie przyszło Genie do głowy.

— Była chyba najsilniejszą osobowością spośród kobiet w rodzinie. Dyrygowała wszystkimi: służbą, robotnikami, szefami hut, dyrektorami firmy. Nawet moim ojcem, aż do jego śmierci. Potem poświęciła się wyłącznie mnie.

Genie patrzyła na niego zdumiona. Nie spodziewała się tak intymnych zwierzeń, zwłaszcza na samym początku.

— Wszystkiego nauczyłem się od niej — dodał cicho. — Była mi matką i ojcem, doradcą w interesach i sędzią.

— Sędzia...?

Wzruszył ramionami i zmienił temat.

— Przyjechała pani do Europy specjalnie dla mnie, panno Reese? Czy może miała tu pani również inne sprawy?

Genie speszyła się. Sprytnie podszedł ją w chwili, gdy przestała się mieć na baczości.

— Ja... no tak. Przyjechałam na aukcję biżuterii. Wie pan, tę, po której Genewa trzęsa się od plotek o rosyjskiej rodzinie książęcej. O Iwanowach.

Uśmiechnął się z dezaprobatą.

— Z pewnością nikt nie wierzy w te bajki.

— A właśnie że tak. Co więcej, baronie, mówi się, że to właśnie pan kupił szmaragd...

Arnhaldt wstał i wrócił za biurko. Usiadł w starym fotelu i położył obie dłonie przed sobą. Jego jasnoniebieskie oczy zmieniły się w kawałki lodu, kiedy spojrzął na Genie i powiedział:

— Czy taka jest prawdziwa przyczyna pani przyjazdu? Zamierza pani zadawać mi idiotyczne pytania na temat spraw, które mnie nawet nie interesują?

Genie potrząsnęła głową i odparła szybko:

— Widzi pan, w tym cały problem. Po co miałby pan kupować ten szmaragd? Przecież to bez sensu. Chyba że jest pan kolekcjonerem rzadkich klejnotów...

— Szmaragdy mnie nie interesują, panno Reese — powiedział szorstko. — Ani brylanty, ani rubiny. Zajmuję się stalą.

Nacisnął guzik wzywający kamerdynera, podszedł do drzwi i otworzył je.

Genie ze złością przygryzła wargi. Koniec rozmowy, wszystko zepsuła. Ale to dziwne, że tak się rozzłościł. Może rzeczywiście kupił szmaragd i zdenerwowało go, że to odkryła?

Wstając zerknęła z ciekawością na biurko. Ferdie Arnhaldt należał do ludzi bazgrzących po kartkach i jego notes cały pokryty był rysunkami. Przysięgłaby, że baron naszkicował szmaragd Iwanowów i tiarę. Celowo upuściła torebkę na podłogę, uklękła, żeby ją podnieść, i przyjrzała się dokładniej rysunkom. Bez wątplenia była to tiara... gdyby tylko mogła zabrać tę kartkę. Kątem oka dostrzegła zniecierpliwione spojrzenie Arnhalda. Zrozumiała, że nie ma szans, podniosła torebkę i z żalem podeszła do drzwi.

— Przykro mi, że pana zdenerwowałam, baronie. To tylko głupie pogłoski. Nie mają nic wspólnego z moim programem. Ale pytał pan, dlaczego przyjechałam do Europy...

Energicznie skinął głową i wyciągnął rękę, równie zimną, jak jego spojrzenie.

— Do widzenia, panno Reese.

Była już w połowie korytarza, kiedy usłyszała, że ją woła. Odwróciła się ze zdziwieniem.

— Dam pani znać, kiedy się zdecyduję na wywiad. Mimo wszystko może to być ciekawe.

W drodze powrotnej do Dusseldorfu Genie zastanawiała się, o co naprawdę chodzi Arnhaldtowi. Czy rzeczywiście chciał udzielić wywiadu? Czy rysunki oznaczały, że kupił szmaragd? Naprawdę był zły, kiedy o to zapytała. Wiedziała jednak, że gniew barona nie będzie dla Valentina Sołowskiego żadnym dowodem. Musi przystąpić do drugiej części ich planu.

Przypomniała sobie instrukcje. Ma iść do biura Markheima na Friedrichstrasse późnym popołudniem, po godzinach pracy. Sołowski powiedział jej, że Markheim ma międzynarodową klientelę i musi brać pod uwagę różnice czasowe, zawsze więc zostaje w biurze do późna i załatwia telefony. Musi mu powiedzieć, że wie o jego roli pośrednika i jako reporterka amerykańskiej telewizji ma mu zaproponować łapówkę za ujawnienie nazwiska kupca, przyrzekając absolutną dyskrecję.

Genie znała wysokość łapówki. Milion dolarów... aż ją zatkało, kiedy to usłyszała, nie dała jednak nic po sobie poznać. No cóż, pomyślała filozoficznie, podobno wszyscy reporterzy telewizyjni to niedoszli aktorzy. Rola Maty Hari chyba nie będzie trudna. Pożałowała jednak, że nie ma przy sobie Cala. Wróciwszy do hotelu dzwoniła do niego, ale powiedziano jej, że się wymeldował. Zostawił wiadomość — prosił, żeby zatelefonowała do niego do Waszyngtonu. Westchnęła zmartwiona. Cal w Waszyngtonie raczej jej nie pomoże, była zdana na własne siły. Poczekala do szóstej trzydzieści, po czym wzięła taksówkę na Friedrichstrasse.

Biuro Markheima znajdowało się na dziesiątym piętrze nowoczesnego wieżowca z ogromnym, wyłożonym marmurem foyer, do którego można było wejść z dwóch różnych ulic. W budynku mieściły się pasażerki sklepowe, a w górę prowadziły cztery rzędy wind. Mimo późnej pory kręciło się mnóstwo ludzi. Kiedy Genie wchodziła do windy, minęło ją dwóch biznesmenów. Obciągnęła żakiet i nerwowo poprawiła włosy.

Na dziesiątym piętrze po obu stronach szerokiego, pustego korytarza ciągnęły się biura. Markheim ulokował się na samym końcu. Nacisnęła dzwonek i zajrzała przez wizjer w masywnych mahoniowych

drzwiach, spodziewając się, że zobaczy po drugiej stronie oko Markheima. Ale nikt się nie odezwał ani nie otworzył.

— Cholera! — zaklęła zniechęcona. — Akurat kiedy przychodzę, jego nie ma.

Oznaczało to, że zamiast lecieć do Paryża o dziewiątej wieczorem na spotkanie z Valentinem, będzie musiała spędzić w Dusseldorfie jeszcze jedną noc i spróbować szczęścia nazajutrz. Nagle przyszło jej do głowy, że może Markheim rozmawia przez telefon i po prostu nie może teraz otworzyć drzwi, zadzwoniła więc ponownie i nie uzyskawszy odpowiedzi nacisnęła klamkę. Ku jej zdziwieniu drzwi były otwarte. Szybko weszła do środka i zamknęła je za sobą.

— Panie Markheim...? — zawołała, rozglądając się ciekawie dokoła. Mała poczekalnia była bardzo gustownie umeblowana antykami, na ścianach wisiały wspaniałe obrazy. Ale w końcu Markheim właśnie tym się zajmował. Światła były zapalone, na małym stoliku przed obitą jasnym brokatem kanapą stały dwie filiżanki kawy. Genie dotknęła ich: były jeszcze ciepłe, więc Markheim z pewnością jest w biurze. Może wyszedł do toalety?

Drzwi do gabinetu były uchylone i Genie, powtarzając: „Panie Markheim”, otworzyła je. Paliły się wszystkie lampy, a gospodarz siedział za biurkiem, częściowo odwrócony tyłem. Genie wstrzymała oddech, czując się jak intruz złapany na gorącym uczynku.

— Och, przepraszam — powiedziała zarumieniona. — Nie wiedziałam... — Markheim nie zareagował. — Panie Markheim...? — głos jej uwiązł w gardle, kiedy obeszła biurko i spojrzała na siedzącego za nim mężczyznę. Napotkała jego szklany wzrok. Na środku czoła miał małą okrągłą dziurę i bez wątpienia był martwy.

Genie wpadła w panikę. Chciała krzyczeć, chciała zemdleć, chciała zwymiotować. Znajdowała się w jednym pokoju z trupem. Z ofiarą morderstwa.

Ze zduszonym okrzykiem obróciła się na pięcie — przekonana, że stanie twarzą w twarz z zabójcą, ale pokój był pusty. Jeszcze raz popatrzyła na Markheima: krew w kąciu jego ust już zastygła. Prerażona wybiegła z biura i oddychając ciężko rozejrzała się po pustym korytarzu. Przestał wyglądać niewinnie, nagle stał się niebezpieczny jak pole minowe. Co będzie, jeśli morderca widział, jak wchodziła? Jeśli czeka na nią za którymiś drzwiami... Czeką, żeby ją złapać i zamordować tak samo jak Markheima? Biegając do windy usiłowała sobie przypomnieć, czego nauczyła się na lekcjach samoobrony, a potem pięścią uderzyła w guzik i przestępowała ze strachu z nogi na nogę, dopóki winda nie przyjechała.

Stojące w niej dwie kobiety patrzyły zdziwione, jak wskakuje do środka i przytrzymuje palcem przycisk parteru. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, wybiegła przez marmurowe foyer na załączoną ulicę i wciągnęła w płuca zimne powietrze czekając, aż przestaną jej się trząść kolana. Przeszła kawałek na piechotę, żeby się opanować, a potem zatrzymała taksówkę.

Znalazłszy się w swoim hotelu wrzuciła ubrania do walizki, wezwała tragarza, zeszła do recepcji i wymeldowała się. W ciągu trzydziestu minut była już w drodze na lotnisko. Tam natychmiast poszła do baru i zamówiła dużą brandy, licząc minuty do odlotu. Ale dopiero kiedy samolot wystartował, poczuła się znów bezpieczna. Leciła do Paryża, do Valentina.

Rozdział 15

Jak zwykle, na lotnisku w Genewie kłębił się tłum narciarzy i zaafekowanych biznesmenów. Valentin Sołowski był spóźniony. Zgłosił się do odprawy przy stanowisku British Airways, na lot do Londynu, po czym z neseserem w ręku szybko ruszył do wyjścia. Kątem oka widział idących pięćdziesiąt metrów za nim dwóch mężczyzn. Ubrani byli zwyczajnie, w rękach nieśli teczeki, ale dla Valentina tak wyraźnie różnili się od pozostałych pasażerów, jakby na futrzanych czapkach mieli znaczki KGB.

Gdy zajął już swoje miejsce, steward zaproponował, że weźmie jego płaszcz, ale Rosjanin tylko potrząsnął głową. Przyjął „International Herald Tribune” i zza gazety dostrzegł, jak unosi się zasłona oddzielająca kabiny samolotu i agent KGB przebiega wzrokiem po twarzach pasażerów. Z jego oczu nie dało się nic wyczytać, kiedy spojrzął na Valentina. Po chwili posłusznie wrócił do klasy turystycznej, ponaglany pełnym dezaprobaty ruchem głowy stewardesy.

Valentin uważnie obserwował ostatnich wchodzących na pokład pasażerów. Kiedy usłyszał głos kapitana mówiącego przez interkom: „Proszę o zamknięcie drzwi” — wstał, chwycił teczkę i przeszedł na przód samolotu.

— Bardzo przepraszam — zwrócił się do stewarda — ale zdecydowałem się nie lecieć. Ważne sprawy...

Po chwili był już z powrotem w hali odlotów. Podeszedł do stanowiska Air France. Odbывała się właśnie odprawa pasażerów do Paryża. Zerknął przez ramię na wyjście: tłum zniknął, po agentach KGB nie było śladu. Uśmiechnął się na myśl o ich minach, kiedy będą na niego czekali na Heathrow.

Hotel w paryskiej dzielnicy St. Germain był mały, lecz pełen dawnego czaru. Ściany zdobiły wyblakłe wzorzyste tapety, w pokoju zaś stało stare, podwójne łóżko francuskie, które Amerykanom zawsze wydawało się zbyt małe. Ale pościel okazała się idealnie czysta, komodę zdobił wazon z kwiatami, a okno wychodziło na uroczy wewnętrzny dziedziniec.

Valentin wyszedł spod prysznica, wycierając włosy ręcznikiem. Wziął do ręki zegarek i sprawdził godzinę. Ósma. Nie miał od Genie żadnej wiadomości, powinna więc przylecieć samolotem o dziewiątej. Chyba że zmieniła zdanie, w co wątpił. Panna Reese wiedziała, czego chce, i zamierzała to dostać. Poza tym miał wrażenie, że pragnie się z nim zobaczyć tak samo, jak on z nią. Wiedział, że nie powinien, wiedział, że to szaleństwo, ale tak właśnie było — nie mógł się doczekać spotkania.

Szybko wciągnął dżinsy i beżowy kaszmirowy golf, po czym położył się z rękami pod głowę i pograżył w rozmyślaniach. Przed wyjazdem z Moskwy dowiedział się wszystkiego o Iwanowach i kopalniach. Kiedy Genie powiedziała mu o Markheimie i Dusseldorfie, prędko dodał dwa do dwóch: Arnhaldtowie od lat dzierżawili kopalnie od Rosji. Zrozumiał, że do gry włączyła się trzecia osoba: Ferdie Arnhaldt.

Genie sama się napraszała, żeby ją wykorzystać. Chce mieć swój materiał, a jemu potrzebne są informacje. To uczciwa wymiana. Oczywiście pytała, czemu Rosjanie usiłują znaleźć „Dagę”, dlatego powiedział jej o pieniądzech.

— Musisz zrozumieć — tłumaczył dziewczynie — że po rewolucji Rosja skonfiskowała wszystkie majątki. Nastąpił koniec własności prywatnej, właścicielem wszystkiego stał się lud. Uważamy, że pieniądze w bankach nie należą do Iwanowów, lecz do Związku Radzieckiego. Niestety banki się z nami nie zgadzają. Wypłacą je tylko na podstawie potwierzonego podpisu potomka Iwanowów, jeśli jakiś żyje. Zrozumiałe więc, że staramy się znaleźć „Dagę”. Mamy nadzieję przekonać ją, że jej obowiązkiem jest pomóc rodakom przez oddanie pieniędzy Związkowi Radzieckiemu.

— A jeśli ona odmówi? — zapytała Genie.

— Wówczas oddamy sprawę do międzynarodowego sądu.

— Nie zrobicie... To znaczy, że „Dagę” nie grozi żadne niebezpieczeństwo?

Roześmiał się.

— Rewolucja już dawno minęła. Nie jesteśmy dzikusami, lecz cywilizowanym narodem, tak samo jak wy. Nie chcemy nawet pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży szmaragdu. Chcemy tylko, żeby „Dama” oddała Rosji, co jej się słusznie należy.

Genie odetchnęła z ulgą, a Valentin wytłumaczył jej, co ma zrobić. Usiadła wygodniej na pasiastej kanapie w hotelu „Beau Rivage”, zastanawiając się nad odpowiedzią.

Valentin obserwował ją w milczeniu, utrwalając w pamięci jej pociągłą twarz, szerokie czoło, zatroskane oczy i delikatne usta, których słodycz zadawała kłam postawie twardej profesjonalistki, jaką przybierała, żeby ukryć własną wrażliwość. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, jasne włosy lśniły w świetle lampy i Valentin pomyślał, że nigdy nie widział równie pięknej kobiety.

Wyczytała tę myśl w jego oczach.

— Dobrze, Valentin — powiedziała miękko. — Zrobię to.

A potem umówili się na spotkanie w Paryżu.

Sołowski rozsunął zasłony i wyjrzał na dziedziniec, odruchowo sprawdzając okna naprzeciwko. Wszystkie były zasłonięte. Bezlistne gałęzie drzew pokrywała cienka warstwa szronu. W zasadzie miał pewność, że zgubił ogon, ale agenci K.G.B byli sprytni, nigdy z nimi nie wiadomo. Pomyślał o ojcu w Moskwie.

Wielokrotnie analizował w myślach historię jego życia. Nie miał wątpliwości, że była prawdziwa, ale mimo największych wysiłków nie mógł myśleć o sobie jako o wnuku księcia Miszy Iwanowa. Jego dziadkiem był Grigorij Sołowski, człowiek, który go kochał i którego on kochał jak prawdziwego krewnego. To niesprawiedliwe, przeszłość nie powinna mieć wpływu na ich obecne życie. W końcu ojciec był bezbronnym, małym chłopcem, kiedy to wszystko się stało. Jego jedyne przestępstwo polegało na tym, że urodził się jako syn bogatego arystokraty.

Nie pozwolę, żeby ojciec cierpiał z tego powodu, obiecał sobie Valentin. Nie dopuszczę, żeby to wyszło na jaw. Nie ze względu na siebie samego, ale ze względu na Grigorija. Cała rodzina byłaby skompromitowana. Dlaczego Borys tego nie rozumie? Czy naprawdę zamierza przeprowadzić do końca akcję przeciw Siergiejowi? A może chce tylko okryć się sławą, odzyskując skarby Iwanowów dla Rosji i zapewniając sobie miejsce na Ścianie Zasłużonych na Placu Czerwonym? Valentin nie znał zamiarów stryja i nie potrafił przewidzieć jego poczynań, ale wiedział, że Borys jest okrutny i nie cofnie się przed niczym.

Ja też się nie cofnę, przysiągł sobie.

Telefon zadzwonił w końcu o jedenastej. Genie była na dole w holu i kazał jej natychmiast przyjść na górę.

Od razu dostrzegł, że coś jest nie w porządku. Dziewczyna była blada, źrenice miała tak rozszerzone, że jej oczy wydawały się czarne. Opiekuńczo objął ją ramieniem.

— Co się stało? — zapytał.

Nie mogła mówić, tak bardzo się trzęsa; po chwili cały tłumiony strach i uczucia, które opanowywała podczas podróży, wzięły górę i Genie wybuchnęła płaczem.

Valentin rozebrał ją z płaszcza i posadził na łóżku. Ściągnął jej z nóg eleganckie kowbojskie botki i sprawnie rozmasował zmarznięte stopy. Potem podszedł do barku, nalał kieliszek brandy i stał nad nią, dopóki nie wypita wszystkiego.

Podniosła na niego oczy pełne łez.

— Markheim... nie żyje — wyszeptwała. — Zastrzelony... zamordowany.

Usiadł obok niej na łóżku.

— Gdzie? Gdzie go znalazłaś, Genie?

— U niego w biurze. Poszłam tam... po wizycie u Arnhalda... Miałam mu zaproponować pieniądze, tak jak mówiłeś. Tylko że... Och, Valentin — przytuliła się do niego z płaczem. — Ktoś go zabił na chwilę przed moim przyjściem. Kilka minut wcześniej! Na stoliku była kawa, jeszcze ciepła...

Spytał pospiesznie:

— Czy ktoś widział, jak wchodziłaś albo wychodziłaś?

— Zjeżdżały ze mną windą dwie kobiety. Ale chyba nic nie zauważyły. Tylko tyle, że się spieszyłam.

Oparła twarz o jego pierś szlochając cicho. Objął ją z westchnieniem. Zastanawiał się, kto załatwił Markheima. I dlaczego? Albo Markheim wziął łapówkę, wyjawiał nazwisko kupca i został wyeliminowany, żeby już nikomu innemu nie zdradzić tajemnicy, albo sam nabywca szmaragdu uznał go za słabeusza i zabił.

— A co z Arnhaldem? Kupił szmaragd?

Usiadła prosto i wytarła twarz chusteczką, którą jej podał.

— Nie jestem pewna. Ale nawet jeśli nie, to musiał coś o tym wiedzieć, bo bardzo gwałtownie zareagował na moje pytanie. Praktycznie wyrzucił mnie za drzwi. Powiedział, że nie obchodzą go szmaragdy i rubiny. — Zerknęła na Valentina. Brandy ją rozgrzała, a jego obecność wpływała na nią uspokajająco. — Rysował różne rzeczy w notesie, który leżał obok telefonu... — dodała w zamyśleniu. — Valentin, on narysował szmaragd i tiarę Iwanowów!

— Dzielnie się spisałaś — powiedział. — Przykro mi z powodu Markheima. Wierz mi, nie wysyłałbym cię tam, gdybym wiedział, że sprawy przybiorą taki obrót.

Skinęła głową. Jego głębokie, ciemnoszare oczy, które zdawały się znać zbyt wiele tajemnic, hipnotyzowały ją. Nie mogła odwrócić wzroku. Pochyliła się ku niemu pod wpływem jego spojrzenia. Ujął jej dłonie.

— Brakowało mi ciebie, Genie.

Przyciągnął ją bliżej i zaczął całować; dłońmi pieścił jej włosy, potem kark, potem całe napięte, drżące ciało. Wkrótce zapomniała o Markheimie, Arnhaldcie, Rosji i Ameryce.

Później leżała zwinięta w kłębek w ramionach śpiącego Valentina, czuła na policzku jego oddech i myślała o tym, co słyszała na temat miłości od pierwszego wejrzenia. Niektórzy twierdzili, że jest możliwa, i teraz Genie była skłonna w to uwierzyć.

Rozdział 16

Stambuł

Na lotnisku Ataturk czekał na Leylę samochód.

— Witam w domu, panno Leylo. — Szofer promieniał. — Kazan Pasza czeka. Mam panią zawieźć prosto do *yali*.

Leyla uśmiechnęła się. Michael Kazan był pewien, że wnuczka go posłucha i znajdzie się w pierwszym samolocie do Stambułu. Oczywiście miał rację. Zdziwiła się jednak, że jadą do *yali*, który teraz używany był głównie w lecie. Michael i Ahmet zbudowali sobie nowoczesne rezydencje na szczycie wzgórza w Yenikoy, skąd przez olbrzymie okna mogli podziwiać zapierający dech w piersiach widok Bosforu. Ale według Michaela tylko ściany w *yali* nie miały uszu.

Jazda z lotniska ciągnęła się w nieskończoność. Leyla czuła nerwowe ściskanie w dołku, kiedy przedzierali się powoli przez korki w Eminonu i na moście Galata, a potem pędzili na złamanie karku wzdłuż wybrzeży Bosforu w kierunku Yenikoy.

Był piękny, lecz chłodny dzień, Leyla nie widziała tańczących na wodzie promieni słońca. Minęli Bebek, gdzie chodziła do szkoły, oraz starożytny pałac w Rumeli Hisari, potem przejechali Emigran. Brzeg morza wznosił się tu stromo i przechodził w piękny park.

Brzydkie doki w Istinye zostały rozebrane, pozostawiono jedynie maleńką stocznię z paroma suchymi stanowiskami, w których naprawiano właśnie kilka niedużych jednostek. Nie opodal na głębokiej wodzie cumował wielki jak hotel, pomalowany na czerwono tankowiec z sierpem i młotem na kominie. Leyla spojrzała na statek zdziwiona. Musiał mieć przynajmniej pół miliona ton wyporności, znacznie więcej niż którykolwiek ze statków ojca Leyli, Ahmet bowiem nie chciał ryzykować ewentualnej katastrofy ekologicznej.

Samochód przejechał obok milczącego, ponurego tankowca i skie-

rował się w stronę Yenikoy, pełnego hałasu promów kursujących do Tarabayi. Następnie skręcił ostro w prawo i przez ogromną drewnianą bramę wjechał na dziedziniec *yali* Kazanów.

Wszystko wyglądało tu tak samo jak za czasów Tariqa Kazana. Prosta jasnozielona fasada z białymi balkonikami i ażurowymi ekranami, ocieniony drzewami brukowany dziedziniec, na którym stały wiktoriańskie latarnie oraz pozostałości po tysiącletnich kolumnach i rzeźbach z wykopalisk w Anatolii. Kontrastowało z tym luksusowe wnętrze: zabytkowe tureckie dywany, niskie, obite jedwabiem kanapy, wielki hol z marmurową posadzką oraz długi, pełen kwiatów taras nad Bosforem, gdzie dawniej w ciepłe wieczory zbierała się cała rodzina. W domu znajdowało się mnóstwo skarbów: stare tureckie srebra i przedmioty z mosiądzu, cenne obrazy, zabytkowe perskie księgi, kolumny z porfiru i intarsjowane boazerie. W *yali* Leyla zawsze myślała o pradziadku, ponieważ Tariq i Han-Su, budując i wyposażając swój dom, zostawili w nim część samych siebie.

Wszyscy czekali na nią w dawnym gabinecie Tariqa Paszy. Ahmet uściskał Leylę i niespokojnie rozejrzał się za Anną.

— Gdzie ona jest? — zagrzmiął Michael. Kuśtykał w stronę Leyli, uderzając gniewnie laską w marmurową podłogę.

— Och, dziadku, nie wiem — zawołała z oczyma pełnymi łez.

Usiadła na ławie przy wykuszowym oknie z widokiem na Bosfor i kryjąc twarz w dłoniach, rozszlochała się gorzko. Michael patrzył na nią zakłopotany.

— Nie płacz, Leyla — mruknął i usiadł obok niej. — Przecież wiesz, że nic ci nie grozi. Nie przejmuj się moimi krzykami. Taki już jestem. — Niezgrabnie pogłaskał ją po ciemnej głowie.

— Nie przez ciebie płaczę, dziadku — odparła przez łyzy. — Przez Annę. Byłyśmy umówione. Miałam w torebce jej bilet, a ona nie przysłała. Nie zostawiła żadnej wiadomości, nic. Tak się o nią boję.

— Dzwoniłem do niej do domu i do pracy — powiedział Ahmet z niepokojem. — Nie było jej. Nikt nie wie, gdzie się podziała.

— Jeśli ma choć trochę oleju w głowie, ukrywa się — huknął Michael. — A jeśli ma go tyle, ile myślałem, przyjedzie tu, jak tylko będzie mogła.

Leyla uniosła głowę i odgarnęła wilgotne włosy z zapłakanej twarzy.

— Nie przyjedzie — rzekła. — Boi się wrócić.

Ahmet rzucił ojcu spojrzenie pełne irytacji i powiedział:

— A nie mówiłem? Zawsze wrzeszczysz, zamiast zadać proste pytanie...

— Nieważne — krzyknął Michael. — Dowiedzmy się wreszcie,

o co tu chodzi! Leyla, wytłumacz mi, dlaczego Anna sprzedała szmaragd.

— Potrzebowała gotówki na opłacenie domu opieki dla Missie. Rachunki są ogromne. Nie miałam pojęcia, że takie miejsca tyle kosztują, dopóki mi nie powiedziała. A dla jej ukochanej Missie wszystko musi być najlepsze.

Michael kiwnął głową z aprobatą.

— Ma rację. Ale dlaczego zabrakło jej pieniędzy? Co się stało z milionem dolarów od Tariqa Paszy?

— Pamiętaj, że Anna miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy dostała spadek — powiedziała Leyla. — Spłaciła długi i kupiła dom w Los Angeles. Miała złych doradców i resztę utopiła w kiepskich inwestycjach. Został im tylko na życie, dopóki Missie nie poszła do zakładu. — Chwyciła Michaela mocno za rękę i zawołała: — Och, dziadku, nie rozumiesz? Anna wstydziła się prosić cię o pieniądze. Powiedziała, że Kazanowie spłacili już swój honorowy dług i teraz na niej spoczywa cała odpowiedzialność. Ale nie była w stanie zarobić tyle, żeby utrzymać siebie i płacić rachunki za Missie...

Leyla zamilkła na chwilę, by wytrzeć oczy.

— A potem któregoś dnia zadzwoniła do mnie i oznajmiła, że znalazła rozwiązanie. Missie od lat trzymała pod łóżkiem tekturową walizkę. Anna zawsze myślała, że chowa w niej osobiste pamiątki, stare zdjęcia, pamiątki i takie rzeczy. Kiedy Missie przenosiła się do „Fairlawns”, pokazała Annie jej zawartość: fantastyczną biżuterię wartą ponoć miliony. Oczywiście opowiedziała też całą historię i przypomniała o niebezpieczeństwie grożącym Iwanowom, lecz Anna jej nie uwierzyła. Stwierdziła, że od rewolucji minęło już wiele lat, że Rosja również się zmieniła — wicie, *głasnost'* i *pieriestrojka* — obie myślałyśmy, że te stare historie nie mają już znaczenia. Ale i tak postanowiłyśmy zachować ostrożność. W zeszłym roku wystawiłyśmy na sprzedaż brylant i poszedł bez żadnego kłopotu. Natomiast szmaragd był tak duży, że musiałyśmy go przeciąć. Anna wynalazła nazwisko pewnego szlifera, Gerome Abyssy, a ja zawiozłam mu kamień. Do Bangkoku.

Ahmet skinął głową.

— Słyszałem o nim. Był znany wiele lat temu w Paryżu, sporo robił dla Cartiera, ale już od lat nie wykonuje swojego zawodu. Jest alkoholikiem. Podjęłyście ogromne ryzyko. Mógł zniszczyć kamień. Ile zapłaciłyście?

— Obiecałam mu dziesięć procent. Spodziewałyśmy się dostać za kamień jakieś dwa miliony, nie więcej. Anna posłała Abyssowi

dwadzieścia pięć tysięcy zaliczki. Resztę miał dostać po sprzedaży. — Uśmiechnęła się smutno. — Teraz pan Abyss będzie znacznie bogatszy, niż myślał.

— Naprawdę nie zdawałyście sobie sprawy, że tak duży szmaragd czystej wody jest niezmiernie rzadki? — zapytał Ahmet cicho. — Że przyciągnie uwagę ekspertów? Cartier wciąż musi przechowywać oryginalne szkice szlifów. Każda fasetka kamienia musiała być opisana. Natychmiast rozpoznano w nim klejnot Iwanowów.

— Nie sądziłyśmy, że kogoś to jeszcze obchodzi — westchnęła Leyla. — Zresztą dlaczego ktokolwiek miałby się interesować szmaragdem Iwanowów?

Michael nerwowo chodził po pokoju.

— Nie chodzi tylko o szmaragd — powiedział. — Także o miliardy dolarów w bankach.

— Miliardy...? — Leyla popatrzyła na niego oszołomiona. — Więc to prawda? Rzeczywiście w banku są miliardy dolarów? I należą do Anny?

— Oczywiście! — ryknął Michael. — Twój pradziadek o tym wiedział. Missie też, ale nigdy nie powiedziała o tym Azaylee ani Annie, bo uważała, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło. KGB ma dobrą pamięć, Leyla.

— Jest jeszcze coś — odezwał się Ahmet. — Mój szpieg nie tylko wyszedł kupca, ale odkrył też przyczynę, dla której facet był skłonny zapłacić za kamień każdą sumę. I dowiedział się, czego chce Ameryka i Rosja.

Kiedy opowiadał im historię kopalń, wpatrywali się w niego z otwartymi ustami.

Na koniec powiedział:

— Rosja ma dokumenty, o których wiadomo, że są sfałszowane, ale Amerykanie nie mogą nic zrobić, dopóki nie znajdą potomka Iwanowów... czyli Anny. Jeśli wpadnie w ręce Rosjan, zabiorą ją do siebie. Dostaną wtedy legalnie podpisane dokumenty, których potrzebują, żeby zgarnąć pieniądze, i w końcu będą mieli podpis Iwanowa na tytułach własności kopalń.

— Leyla — Michael współczująco ujął dłonie wnuczki. — Teraz już wiesz, dlaczego Anna jest w niebezpieczeństwie. Musimy ją znaleźć i ściągnąć do Stambułu. Z nami nic jej nie grozi.

— Popełniłyście poważny błąd — dodał Ahmet. — Anna chciała zachować anonimowość, więc postanowiłyście wpłacić pieniądze na rachunek Kazanów w Szwajcarii, prawda?

— Miałyśmy zamiar ci o tym powiedzieć — powiedziała szybko

Leyla. — Anna uznała, że tak będzie bezpieczniej. Stwierdziła, że to tajne konto, i nikt do niego nie dotrze.

— Wykorzystała tajny numer depozytu Kazanów w banku, gdzie kiedyś były złożone jej pieniądze. Ale my ten numer niedawno zmieniliśmy, wobec czego po prostu wpłaciła czek na otwarty rachunek Floty Handlowej Kazanów. — Ahmet z irytacją wzruszył ramionami. — Łatwo będzie nabywcy albo komukolwiek innemu sprawdzić taką wpłatę, jeśli będzie mu na tym zależało. Wystarczy zręczny pirat komputerowy... Nie mam wątpliwości, że nabywca szmaragdu uważa, iż sprzedawcą są Kazanowie.

— Czy Anna wymieniła kiedyś nazwisko Arnhaldt? — zapytał Michael.

— Chodzi ci o tego niemieckiego potentata od stali? — Leyla zastanawiała się przez chwilę. — Chyba tak. Mówiła, że kiedy pakowała rzecz Missie, znalazła zdjęcie barona Arnhaltda wycięte z gazety. Wydało jej się to dziwne, ale nie spytała Missie, dlaczego przechowuje fotografię tego człowieka. Stwierdziła, że skoro Missie nie wspomniała o nim ani słowem, to albo nie było to ważne, albo nie chciała o tym mówić.

— Obaj z Michaelem jesteśmy przekonani — wyjaśnił Ahmet — że szmaragd kupił Ferdynand Arnhaldt. To megaloman, taki sam jak jego ojciec i dziadek. Jest królem przemysłu zbrojeniowego i wie, że jeśli dostanie te kopalnie w swoje ręce, będzie mógł kontrolować obronność i dostawy broni na całym świecie. Będzie mógł dyktować wszystkim warunki. Kupił szmaragd, ponieważ miał nadzieję, że w ten sposób dotrze do „Damy”, czyli do Anny.

— Ale my nic nie wiedziałyśmy o tych miliardach i kopalniach — wykrzyknęła Leyla z rozpaczą. — Nigdy nie sądziłyśmy, że bajki Missie okażą się prawdziwe. Myślałyśmy, że przeszłość to przeszłość, zamknięty rozdział, i cześć.

— I pewnie by tak było, gdyby nie kopalnie — powiedział Michael. — Jeszcze jedno, Leyla. Czy Anna wie, gdzie jest oryginał aktu własności kopalń? Właśnie tego wszyscy szukają.

Piękne niebieskie oczy Leyli rozszerzyły się z przerażenia.

— Och, dziadku — szepnęła. — Teraz sobie przypominam. Był w walizce razem z klejnotami. Taki stary papier, pożółkły ze starości i postrzępiony na brzegach. Uznałyśmy, że nie ma żadnej wartości, ale Anna zatrzymała go, bo był na nim podpis księcia i pieczęć Iwanowów. Powiedziała, że będzie go nosić w torebce na wypadek, gdyby musiała kiedyś udowodnić swoją tożsamość. Ale ona nic nie wiedziała o miliardach. Och, Kazan Pasza — załkała. — Anna ma ten dokument przy sobie!

Rozdział 17

Moskwa

Major-generał Borys Sołowski wpatrywał się w leżącą na biurku kopię rozszyfrowanej wiadomości. Pochodziła od Valentina, była krótka i adresowana do Siergieja. Valentin nie wie jeszcze, kto kupił szmaragd, ale na pewno nie Amerykanie. Będzie sprawdzał inne ślady. Na razie Borys ma odwołać swoich żandarmów, ponieważ są tak beznadziejni, że z daleka rzucają się w oczy. Odezwie się za kilka dni.

Borys z wściekłością walnął pięścią w blat. Valentin był taki sam jak jego ojciec: arogancki, inteligentny i bardzo przystojny.

Usiadł wygodniej, jego ogolona głowa połyskiwała w świetle lampy, a na mięsistej, zamyślonej twarzy pojawił się jadowity grymas. Ze złością zaciskał szczęki. Zmarszczki biegnące od nosa do ust pogłębiły się jeszcze bardziej, czoło zsunęło się na małe, lecz bystre oczy.

Zawsze nienawidził swojego przybranego brata. Od samego początku wiedział, że Siergiej jest inny: wyglądał inaczej, zachowywał się inaczej, mówił inaczej — jeśli w ogóle się odzywał. Nawet pachniał inaczej.

Kiedy ojciec przywiózł go do domu, powiedział żonie, że to dziecko rewolucji, że na imię mu Siergiej i że teraz będzie ich synem. Borys pamiętał, jak matka ze współczuciem otworzyła szeroko niebieskie oczy na widok brudnego, wyczerpanego chłopca. Impulsywnie chwyciła go w ramiona i przytuliła do obfitych piersi, szepcząc czułe słowa pociechy. W sercu Borysa zapaliła się wówczas pierwsza iskierka zazdrości, która w następnych latach rozgorzała w płomień nienawiści, podsycany dziwną dumą ojca ze wszystkich osiągnięć Siergieja.

Kiedy Borys miał jedenaście lat, a Siergiej siedem, młodszy chłopiec potrafił pokonać starszego niemal we wszystkim. Ojciec nie krył radości z postępów przybranego syna w szkole. Siergiej przeskoczył kilka klas i znalazł się tylko rok niżej od Borysa. Problem nie polegał

na tym, że Grigorij nie dostrzegał Borysa. Przeciwnie, zawsze starał się chwalić jego pracowitość i starania, ale Borys musiał pracować trzy razy ciężiej, by osiągnąć znośne rezultaty, Siergiejowi zaś wszystko, od jazdy konnej po naukę, przychodziło z łatwością. Były jednak rzeczy, o których ojciec nie wiedział. Sekrety znane tylko Borysowi, ponieważ spał w jednym pokoju z nowym bratem, który czasami mówił przez sen. Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że Siergiej mówił w obcym języku. Borys nic nie rozumiał, wokół niego ludzie posługiwali się tylko językiem rosyjskim. Wiedział jednak, że dawniej w bogatych rodzinach dzieci najpierw poznawały angielski albo francuski i podejrzewał, że rodzice Siergieja wcale nie byli prostymi ludźmi. Uparł się, że odkryje, co tamten mówi, ale był w stanie odróżnić tylko kilka wyrazów: „Papa”, „Maman”, „Missie”...

Zmuszał się, żeby nie spać w nocy. i nadstawiał uszu czekając w ciszy, aż Siergiej się odezwie, aż w końcu matka zaniepokojona jego podkrążonymi oczyma i bladą twarzą zaaplikowała mu paskudne lekarstwo, które sporządziła z gorzkich ziół według receptury własnej babki.

Pewnego dnia ojciec zabrał ich obu na konną przejażdżkę. Niedaleko stał wysoki, drewniany parkan i Borys od paru tygodni ćwiczył skoki, zbierając całą odwagę za każdym razem, kiedy narprowadzał na niego konia. W końcu mu się udało. Świadom, że za nim jedzie ojciec, ruszył galopem i niezdarnie pokonał płot, utrzymując się w siodle tylko dzięki temu, że uczeplił się końskiej grzywy. Chwilę później rozległ się tętent kopyt i usłyszał pełen podziwu okrzyk ojca, kiedy przybrany brat zgrabnie wziął przeszkodę.

Siergiej był bardzo przywiązany do nowego ojca. Chodził za nim krok w krok, dopóki Grigorij z dobrotliwym uśmiechem nie kazał mu się zająć swoimi sprawami; jednak nawet wtedy wodził za nim szarymi oczyma, jak szczeniak czekający, aż pan zabierze go na spacer.

Borys postanowił, że pewnego dnia odkryje tajemnicę Siergieja i zdemaskuje go przed ojcem jako oszusta i kłamcę. Przysiągł sobie dowiedzieć się prawdy, choćby miał zginąć. Albo zabić Siergieja.

Zacisnął dłonie w pięści na wspomnienie owej przysięgi. Gdyby był sprytniejszy, zabiłby Siergieja dawno temu i miałby go z głowy. A teraz musi się rozprawić także z jego synem. Wziął kartkę z wiadomością od Valentina i podszedł po czerwonym chodniku do ciężkich, podwójnych drzwi. Dwaj uzbrojeni żołnierze zasalutowali mu, uniósł więc dłoń niedbale oddając honory, po czym pomaszerował wysokim korytarzem, a potem po marmurowych schodach i przez wewnętrzny dziedziniec do biura brata.

Siergiej zobaczył go przez okno — spodziewał się jego wizyty.

Borys nosił mundur uszyty według własnego projektu, który — podobnie jak niemieckie mundury SS — miał onieśmielać: wojskowa kurtka z błyszczącymi złotymi epoletami i mnóstwem baretek na piersi, kawaleryjskie bryczesy oraz wysokie buty ze specjalnym obcasem, by dodać sobie wzrostu. Na okrągłej łysej czaszce leżała czapka z daszkiem, połyskująca złotem i jarząca się czerwienią gwiazdy.

Siergiej myślał o Grigoriju i zastanawiał się, jak taki wspaniały człowiek mógł spłodzić takiego psychopata. Pamiętał dzień, kiedy Grigorij przywiózł go do domu i z dumą przedstawił jako nowego syna. Zbyt był wtedy wstrząśnięty, żeby na cokolwiek zwrócić uwagę, ale natychmiast polubił nową matkę: ciepłą, pracowitą kobietę, która krzątając się po domu śpiewała wesołe piosenki. Pomyślał tylko ze smutkiem, że w niczym nie przypomina pięknej, eleganckiej księżnej *maman*. Miał jeszcze nadzieję, że jego prawdziwy ojciec żyje i pewnego dnia się spotkają. Może jutro, łudził się na początku, może za tydzień, może za miesiąc... Ale miesiące przeszły w lata i marzenie się rozwiało.

Jego nowy brat, Borys, był niski, przysadzisty, czarnowłosy i miał bystre, ciemne oczy. Siergiej wiedział, że wszyscy zmarli synowie Grigorija odziedziczyli po matce jasne włosy i zastanawiał się, czy kapitan uratował go dlatego, że był do nich podobny. Od razu zrozumiał, że Borys go nienawidzi. Czuł na sobie jego przenikliwy, jastrzębi wzrok, kiedy siedział przy drewnianym stole w trzyizbowej chacie, luksusowej według lokalnych standardów, według niego jednak ubogiej i raczej spartańskiej. Nawet w ciemnym pokoju, który dzielili z Borysem w nocy, wyczuwał jego wrogie spojrzenie. Czasami zdawało mu się, że śni, lecz kiedy w świetle księżyca dostrzegał błysk oczu swojego przybranego brata, uświadamiał sobie, że to jawa. Zresztą nawiedzał go tylko jeden sen, o matce, zawsze ten sam.

Leżała na śniegu przed swymi oprawcami, jej głowę okalały długie, potargane jasne włosy. Przez ułamek sekundy patrzyły na niego pełne błagania oczy — a potem jej twarz wybuchała krwawą czerwienią, tak jaskrawą, że aż oślepiła. Z krzykiem padała na kolana i delikatnie przykrywał ją puszystymi sobolami, po czym kładł się obok, zanurzał twarz w miękkim futrze i wdychał zapach fiołków, które zawsze nosiła, aż zaczynał się dusić od ich aromatu. Wtedy nagle się budził, łapał powietrze, wciąż czując w nozdrzach mocny zapach kwiatów, i zdawało mu się, że znalazł się z powrotem w domu, a mama przyszła pocałować go na dobranoc.

Nauczył się opanowywać krzyk, żeby nie budzić Borysa. Leżał cicho mokry od potu po przeżytym koszmarze, dopóki nie przestał drzeć, potem ostrożnie wsuwał rękę w siennik. Zaciskał dłoń na

gładkim pierścieniu z rubinem i oddychał z ulgą, że wciąż go ma. Na śniegu było tyle krwi, że nikt nie zauważył leżącego obok Annuszki czerwonego klejnotu. Nic innego nie zostało mu z przeszłości i w głębi duszy wiedział, że nigdy nie będzie miał więcej.

Przybrani rodzice nie mieli pojęcia ani o snach, ani o pierścieniu. Stanowiły one tajemnicę Siergieja, tak samo jak wspomnienia. Na jawie nigdy nie pozwalał sobie na myślenie o przeszłości, ale mimo iż widział pomarańczową łunę nad Warisznią, kołatała się w nim nadzieja, że ojciec żyje.

Grigorij stał się jego bohaterem. Wyrwał go ze szponów śmierci i pomścił zamordowanie matki. Siergiej postanowił sobie, że teraz będzie robił wszystko, żeby zadowolić nowego tatę. Nie będzie już Aleksiejem Iwanowem, księciem Wszechrusi, lecz Siergiejem Grigoriewiczem Sołowskim, z którego przybrany ojciec będzie tak dumny, jak z własnego syna. Całym sercem pragnął spełnić oczekiwania Grigorija. Ale mimo wysiłków nie był w stanie zapomnieć, kim jest naprawdę.

W kilka tygodni po tamtej przejażdżce wracał konno z domu dziadka, gdzie pomagał przy krowach. Wzdłuż strumienia biegła ścieżka, nad którą tu i ówdzie zwiślały nisko gałęzie drzew. Siergiej lubił tędy galopować, chowając głowę, żeby uniknąć gałęzi. Uśmiechnął się popędzając konia, który zarżał z radością, gotów do zabawy. Od bystrego strumienia w dole odbijało się słońce, srebrne liście brzoź drgały na wietrze, wszystko wokół było w ruchu.

Nie był potem pewien, czy naprawdę zobaczył cienką linkę przeciągniętą między drzewami, czy tylko instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Usłyszał przerażony kwik konia, kiedy ostro ściągnął wodze, i razem skoczyli ze skalistego brzegu w głęboki strumień. Zwierzę przewróciło się w wodzie, po czym stanęło na nogach i otrząsnęło się. Trzymając się jedną ręką śliskiego kamienia. Siergiej zdołał jakoś złapać cugle. Wzburzona woda była lodowata i chłopiec słyszał ryk oddalonego o kilkanaście metrów wodospadu.

Drżąc ze strachu i z zimna, wdrapał się z powrotem na konia i wyprowadził go spomiędzy oślizłych skał na bezpieczny brzeg.

Przez chwilę leżał na końskiej szyi czekając, aż opuści go strach. Potem zsiadł z konia i wrócił na ścieżkę do miejsca, gdzie widział linkę. Zniknęła. Obejrzał drzewa, zauważył połamane gałęzie i rozejrzał się wokół siebie z nieprzyjemnym uczuciem, że jest obserwowany. Nie usłyszał jednak nic poza szumem wody przewalającej się przez wąską gardziel.

Zamyślony wrócił do konia. W Wariszni wychowywał się razem z wieśniakami; ojciec traktował ich jak rodzinę, opiekował się nimi,

a oni w zamian za to brali księcia Aleksieja na polowania i pozwalali mu pomagać w stajni, gdzie uczyli go różnych sztuczek. Jedną z nich był sposób na zgarotowanie pędzącego jeźdźca przez rozciągnięcie na wysokości szyi cienkiego, naprężonego sznurka. To niezawodna metoda, powiedzieli śmiejąc się z jego zalęknionej miny.

Powoli pojechał do domu. Wiedział, że jest tylko jedna osoba, która mogłaby chcieć go zabić.

Tego wieczoru Borys unikał jego wzroku przy kolacji, a Siergiej nie odezwał się ani słowem. Ich późniejsze stosunki nie uległy zmianie — od szkoły po uniwersytet, podczas robienia przez Siergieja kariery politycznej a przez Borysa wojskowej, ich rywalizacja wciąż przybierała na sile. Siergiej wiedział, że Borys chciał go wtedy zamordować i że wciąż próbuje. Na wszystkie sposoby.

Nie było pukania do drzwi. Szef KGB po prostu wszedł.

— Matka nauczyła nas lepszych manier, Borysie — powiedziała cicho Siergiej. — Mogłem mieć ważne spotkanie.

— Ale nie miałeś — odparł Borys, rzucając na biurko jakąś kartkę. — Przyszedłem zapytać, czy wiesz, co to wszystko znaczy. A może tak samo jak my nie masz pojęcia, co robi Valentin?

— Ty nie masz pojęcia? — Siergiej roześmiał się. — Cóż za wyznanie jak na szefa KGB. Sądziłem, że twoim zadaniem jest wiedzieć wszystko.

Borys oparł się obiema rękami na biurku i pochylił w stronę Siergieja.

— Nie próbuj mnie przechytrzyć, towarzyszu — wysyczał z wściekłością. — Wiem wszystko o tobie i twoim synalku.

Siergiej chłodno popatrzył mu w oczy.

— Chodzi ci o dobro kraju, czy też starasz się załatwić osobiste porachunki? Myślałem, że twoi ludzie mieli znaleźć „Damę”.

Borys chwycił kartkę, zmiażdżył ją i rzucił do kosza. Nie trafił i twarz aż mu spurpurowiała z wściekłości.

Siergiej zauważył spokojnie:

— Nigdy dobrze nie grałeś w piłkę.

— Dlaczego twój syn nie kupił szmaragdu? — zapytał Borys. — Kto go ubiegł?

Siergiej wzruszył ramionami.

— Znasz zasady gry i znasz jej uczestników. Może zgadniesz?

— Valentin został wysłany właśnie po to, żeby nie musiał zgadywać. Miał wykonać powierzone mu zadanie. A teraz nawet nie wiemy, gdzie on jest.

Siergiej roześmiał się mimo woli.

— Dobrze, że CIA nas nie słyszy — powiedział. — Posłałeś kilkunastu swoich ludzi do Genewy i twierdzisz, że żaden z nich nie zna miejsca pobytu Valentina. To idiotyczne.

Borys gniewnie rąbnął pięścią w stół.

— No więc gdzie on u diabła jest? Musiał się z tobą kontaktować. Siergiej powoli pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia. Gdyby do mnie zadzwonił, wiedziałbyś o tym. — Zmierzył Borysa lodowatym spojrzeniem; obaj wiedzieli, że telefony Siergieja są na podsłuchu. — Chyba musimy wierzyć, że robi, co do niego należy, tak jak napisał, braciszku.

Borys obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. W tych swoich wysokich skórzanych butach i wojskowym mundurze wygląda cholernie głupio — pomyślał Siergiej — jak karłowata marionetka, której sznurki pociąga diabeł. Rosja świetnie dałaby sobie radę bez Borysa Sołowskiego i Siergiej, wiedział, że nie jest pierwszą osobą, która tak myśli. Opowieści o zachowaniu Borysa w życiu osobistym stawały się coraz głośniejsze: jest gorszy niż Beria, mówiono. Borys powinien mieć się na baczności.

Kiedy trzasnęły za nim drzwi, Siergiej zaczął się zastanawiać, gdzie jest Valentin i co robi. I dlaczego nie zdobył szmaragdu, a wraz z nim informacji o tożsamości „Damy”? Przesłana wiadomość nie zawierała umówionych słów „wszystkiego najlepszego”, które miały oznaczać, że Valentin ją znalazł.

Rozdział 18

Paryż

Genie spała jak dziecko, głęboko, spokojnie, bez żadnych snów. Markheim zatarł się w jej pamięci, a ciepło ciała leżącego obok Valentina dodawało jej otuchy. Kiedy się obudziła, w pokoju wciąż było ciemno, jedynie okno majaczyło bladą szarością. Przekreśliła się z uśmiechem na drugi bok, spodziewając się, że zobaczy głowę śpiącego Valentina. Nie było go. Sprawdziła dłonią prześcieradło po jego stronie łóżka. Już wystygło. Zostawił ją, bo wszystko zepsuła i zamordowano Markheima? A może bał się, że będzie wplątany w zabójstwo? Popadła w przygnębienie: czyżby okazała się rozrywką na jedną noc? Milutka reporterka amerykańskiej telewizji udająca szpiega i radziecki dyplomata obawiający się skandalu. Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, w jej sercu piknęła nadzieja.

— *Bonjour, mademoiselle, le petit dejeuner.*

Zwinęła się pod kołdrą, a do środka weszła pulchna pokojówka i rozsunęła zasłony. Z grymasem dezaprobaty wyjrzała przez okno.

— Następny szary dzień. — Odwróciła się do Genie z uśmiechem i wyjęła z kieszeni kopertę. — *Monsieur* powiedział, że dobrze pani zrobi porządne śniadanie. I prosił, żebym to pani dała.

Genie poczekała, aż za pokojówką zamkną się drzwi, i dopiero wtedy otworzyła kopertę. List napisany był na kartce wyrwanej z notesu.

Maleńka, muszę wcześniej wyjść w ważnej sprawie. Spałaś tak smacznie, że nie chciałem cię budzić. Nigdy nie zapomnę ostatniej nocy. Zadzwonię do ciebie w Waszyngtonie. Proszę, zjedz śniadanie.

Podpisu nie było.

Genie z westchnieniem opadła na poduszkę. Mogło być gorzej. Przynajmniej nie porzucił jej na dobre. Miała nadzieję, że rzeczywiście

zadzwoń do niej w Waszyngtonie. Popatrzyła na filiżankę kawy na stole i nagle znalazła się z powrotem w eleganckim biurze Markheima. Po krzyżu przebiegł jej dreszcz, przypomniała sobie twarz z dziurą po kuli między niewidzącymi, martwymi oczyma i znów ogarnął ją strach.

Odrzuciła kołdrę, wbiegła do łazienki i gwałtownie z wymiotowała. Wróciwszy do łóżka położyła się na miejscu Valentina, zacisnęła dłonie na jego poduszce i rozplakała się.

Kiedy potem stała pod prysznicem zmywając z siebie wspomnienie Valentina, postanowiła lecieć najbliższym samolotem do Waszyngtonu. Miała już dosyć tego zwariowanego, amatorskiego szpiegostwa. Owinęła się ręcznikiem, zadzwoniła do Air France i zarezerwowała miejsce w concordzie. Za kilka godzin znajdzie się w domu i będzie czekała na telefon.

Dusseldorf

Dusseldorf mimo widocznego na każdym kroku dobrobytu był ponurym miejscem — przemysł, dzięki któremu miasto stało się bogate, pozbawił je duszy. W miejskich hotelach zatrzymywano się jedynie służbowo, nigdy dla przyjemności. Wszystkie były tak samo międzynarodowo anonimowe, toteż Valentin je ominął i wybrał hotelik w obskurnej dzielnicy z dala od jaskrawych świateł i eleganckich restauracji.

Nie było tam żadnego baru, szklane drzwi nad dwoma pseudomarmurowymi stopniami prowadziły wprost do holu, w którym była mała, brudna winda z rozmaitymi rysunkami i powydrapowanymi inicjałami oraz wąskie schody.

Valentin miał na sobie dżinsy, anorak i wełnianą czapkę, w rękę niósł małą brązową walizkę. Zapłacił z góry gotówką. Staruszek w recepcji podał mu klucz ledwie podnosząc wzrok.

Pokój był niewielki, akurat starczało miejsca na pojedyncze łóżko, stolik i maleńki prysznic we wnęcie. Valentin spojrzął na zegarek. Południe. Położył walizkę na stole, rozsunał tanie kwieciste zasłony, zdjął buty i wyciągnął się na zapadniętym łóżku.

Pomyślał o wygodnym, szerokim łożu, które niedawno opuścił, i o śpiącej jak dziecko Genie. Blond włosy zsunęły się jej na twarz, powieki miała jeszcze spuchnięte od płaczu. Wtuliła się w załamanie jego ramienia przerzucając przez Valentina szczupłą, długą nogę. Była taka piękna, pachniała różami i liliami i bardzo chciał jeszcze się z nią kochać, lecz nie miał na to czasu.

Odwrócił się od niej i szybko ubrał. Po cichu spakował swoje rzeczy i usiadł przy biurku. Długo się namyślał, zanim napisał list, potem podniósł walizkę, podszedł do łóżka i popatrzył na Genie. Ciężko mu było rozstawać się z nią w ten sposób.

Teraz leżał na łóżku w nędznym niemieckim hoteliku czekając na nadejście nocy i zastanawiał się, co począć z Genie. Oczywiście nie powinien był się z nią kochać. Z takich właśnie spraw robiono wszystkie skandale dyplomatyczne i gdyby Borys kiedykolwiek się dowiedział, miałby w rękę amunicję potrzebną, by go skompromitować. Na szczęście agenci K.GB stracili jego ślad. Przez jakiś czas mógł zachować incognito, a właśnie tego teraz potrzebował.

Godziny mijały powoli, ale nie ruszył się z pokoju nawet żeby coś zjeść. O dziesiątej wiał prysznic, po czym szybko włożył czarne spodnie, czarny sweter, czarne buty na gumowej podeszwie i anorak. Do specjalnej wewnętrznej kieszeni anoraka schował kawałek drutu, mocną linkę i miniaturowy detonator. Włożył czapkę, wsunął do drugiej kieszeni wełniane czarne rękawiczki i czarną kominiarkę oraz małą silną latarkę. Resztę rzeczy schował w walizce i zamknąwszy za sobą drzwi zszedł po schodach do holu. Stary recepcjonista spojrzął na niego przelotnie, po czym wrócił do oglądanego w telewizji meczu bokserkiego.

Wynajęty na lotnisku samochód stał zaparkowany dwie przecznice dalej — mały czarny mercedes, bardzo szybki. Na autostradzie nie było ruchu i pokonanie trzydziestu paru kilometrów do rezydencji Arnhaldta zabrało mu dokładnie piętnaście minut. Zatrzymał się na końcu szerokiej alei prowadzącej na tyły domu, zgasił światła i czekał.

Dobrze się przygotował do tej wizyty. Rezydencję zbudowano jak fortecę, ale na zewnątrz nie było żadnych strażników ani psów — tylko elektronicznie sterowane kamery i przestarzały system alarmowy. Przez sto pięćdziesiąt lat nikt się tu nie włamał i nie spodziewano się, by ktoś chciał spróbować. Dla wyszkolonego przez Specnaz Valentina nie przedstawiało to żadnego problemu.

O północy wciągnął kominiarkę i rękawiczki, po czym pobiegł bezszelestnie kamienistą ścieżką prowadzącą przez las do stajni na tyłach domu. Nie trzymano tam teraz koni, w domku dla służby nie mieszkali już stajenni — zwolniono ich po śmierci córki Ferdiego dziesięć lat temu. Valentin wślizgnął się do jednego z boksów, zapalił latarkę i uważnie przestudiował plan domu. Była to kserokopia zrobiona w bibliotece publicznej, lecz zawierała wszystkie potrzebne mu informacje.

Kiedy dziadek Ferdiego Arnhaldta modernizował rezydencję,

w budynku przylegającym do stajni zainstalował generator. Valentm zerknął na dom. We wszystkich oknach było ciemno, paliły się jedynie małe lampy nad głównym wejściem. Drzwi do pomieszczenia z generatorem okazały się otwarte, wsunął się więc do środka i nacisnął guzik wyłączający prąd. Cała posiadłość pogrążyła się w absolutnej ciemności.

Zorientował się już, gdzie najprawdopodobniej umieszczono kamerę. Omijając je dotarł ostrożnie do tylnego wejścia na teren rezydencji. Mimo ciemności wiedział dokładnie, dokąd idzie, nauczył się planu na pamięć. Zarzucenie liny na mur było dziecinnie proste i w mgnieniu oka znalazł się na górze. Sprawdzając stopą wytrzymałość dachu, przeszedł lekko do zachodniego skrzydła, liną zawiązaną na zębataym zwieńczeniu owinął się w pasie i opuścił na parapet okienny. Wziął głęboki oddech. Teraz się dowie, czy jego przypuszczenia były słuszne.

Szybkim ruchem przeciął szkło, wyjął kawałek szyby i otworzył okno. Nasłuchiwał przez moment, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Odetchnął z ulgą. Miał rację — system alarmowy zasilany był prądem z generatora, nie używano żadnych zapasowych akumulatorów. Arnhaldtowie słynęli ze skąpstwa, a Ferdie musiał mieć ważniejsze rzeczy na głowie niż unowocześnianie zabezpieczeń instalowanych w latach pięćdziesiątych.

Dalszy ciąg nie przedstawiał trudności dla człowieka tak doskonale wyszkolonego jak Yalentin. Gabinet wyglądał ponuro w cienkim strumieniu światła latarki, który wydobywał z mroku ciemne ściany, smutne obrazy i ciężkie meble. Na biurku leżał notes z rysunkiem szmaragdu, tak jak opisała to Genie. Yalentin skierował latarkę z powrotem na ściany i uważnie przyjrzał się obrazom. Zakładał, że pierwszy Arnhaldt właśnie za którymś z nich umieścił swój sejf. Oczywiście nie za portretem pędzla Sargenta, nie za szalonym Hieronimem Boschem ani za posępnym Rembrandtem nad kominkiem. Uśmiechnął się, gdy snop światła padł na mały pejzaż nieznanego malarza.

Włamywanie się do sejfów jest zajęciem trudnym, ale ta kasa była bardzo stara i miała nieskomplikowany zamek. Yalentin pomajstrował przy niej chwilę nasłuchując, jak mechanizm zamka dźwięczy niczym stara pianola. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i otworzył drzwi. Ferdie musi czuć się bezpiecznie, skoro zostawia dom tak słabo zabezpieczony. W sejfie było niewiele rzeczy, jedynie kilka kopert i kwadratowe pudełko z niebieskiej skórki, akurat rozmiarem pasujące do szmaragdu Iwanowów.

Kamień błysnął w świetle latarki jak zamrożona kropla czystej, zielonej wody. Valentin dotknął go badawczo. Jakoś nie mógł uwierzyć, mimo opowieści ojca, że ten ogromny klejnot należał kiedyś do jego własnej babki. A przecież chodził do bibliotek, żeby oglądać zdjęcia rodziny Iwanowów, i kiedy spoglądał na Miszę, widział siebie. Był bardzo podobny do księcia Michała Iwanowa.

Zamknął pudełko i schował szmaragd w sejfie. Otworzył koperty i szybko przejrzał ich zawartość: dzierżawa kopalń w Radżastanie od 1920 roku, przekazana Arnhaldtom przez Rosjan; fotografia księżnej Annuszki w tiarze na głowie oraz dwa inne zdjęcia, jedno ze ślubu, drugie przedstawiające pannę młodą z małą dziewczynką. Zaskoczony przeniósł światło z twarzy Annuszki na twarz dziewczynki, a potem ponownie spojrzął na ślubne zdjęcie Eddiego Arnhaltda.

Znalazł więcej, niż się spodziewał. W kopercie leżało coś jeszcze — mała karteczka z numerem konta bankowego i nazwą. Flota Handlowa Kazanów. Wpatrywał się w nią przez chwilę, zapamiętując informacje, po czym włożył wszystko na miejsce i zamknął sejf.

Uważnie rozejrzał się dokoła. Pokój wyglądał dokładnie tak samo, z wyjątkiem brakującego kawałka szyby w oknie. Wyszedł na parapet, obwiązał się liną, zamknął okno i wspiął się z powrotem na dach. Skulony przebiegł do miejsca, w którym zaczął, i w ciągu kilku sekund znalazł się na ziemi. Wszedł do pomieszczenia z generatorem, nacisnął wyłącznik i zobaczył, jak zapalają się światła na zewnątrz.

Po paru minutach był już w samochodzie i jechał do Dusseldorfu. Cała operacja zabrała mu mniej niż dwie godziny.

Następnego ranka o siódmej trzydzieści ubrany w dżinsy, anorak i czapkę opuścił hotel i wszedł do pobliskiej knajpki na śniadanie składające się z kiełbasy, jajek, gliniastego chleba z makiem oraz trzech parujących filiżanek kawy. Posiłek smakował jak pokarm bogów. Po śniadaniu oddał mercedesa do wypożyczalni i na piechotę poszedł na lotnisko. Tam wstąpił do fryzjera, ogolił się i przebrał, po czym znów jako elegancki młody dyplomata radziecki w tradycyjnym angielskim garniturze wsiadł w samolot do Waszyngtonu.

Rozdział 19

Nowy Jork, 1919

O'Hara otworzył na oścież drzwi baru, żeby wpuścić do środka rześkie powietrze poranka, a wypuścić opary dymu i alkoholu. Stał przez kilka minut z rękami splecionymi z tyłu, z pierwszym tego dnia cygarem w kąciku ust, i obserwował swoje królestwo. Rezydował na Delancey Street od dwudziestu lat, należał do najstarszych jej mieszkańców i czasami czuł się niemal jej właścicielem. Znał wszystkich, mężczyźni byli jego klientami bez względu na to, czy mieli pracę, czy nie, zawsze bowiem dawał im na kredyt, dopóki nie złapali jakiegś roboty. Znał ich żony i wiedział, które z nich walczą, by pomóc mężom, a które tylko narzekają przekonane, że los je oszukał. Znał ich dzieci i dziadków, ciotki i wujków, kochanki i kochanków, wzloty i upadki, ponieważ po kilku piwach wszyscy chętnie wyciągali swoje problemy przy jego mahoniowym barze. Nieraz wręczał po cichu parę dolarów zdesperowanym, nie żądając i nie oczekując zwrotu. Lubił Delancey. Była to życzliwa ulica, bez przemocy — czasem tylko mąż spuścił żonie lanie albo zrobił głośną awanturę. Żał będzie się stąd wyprowadzać.

Wszedł z powrotem do baru i zaczął czyścić kurki, ustawiać na półkach whisky, gin, tytoń, wykładać bibułki do papierosów i tanie cygara. Za kilka tygodni wszystko to zniknie, zmiecione ustawą o prohibicji. Straci pracę, więc wyniesie się z Delancey. I dobrze na tym wyjdzie. Od dawna miał gotowy plan.

Kiedy jako rośły, nieokrzesany osiemnastolatek przyjechał do Ameryki prosto z wybrzeży Irlandii, otwarty był na wszystko, co mógł mu zaoferować nowy świat. Edukację zakończył w wieku dziesięciu lat, ale umiał czytać, pisać i rachować, a w Irlandii pracował jako robotnik rolny. Miał już dosyć Starego Kraju; pragnął „życia przez duże Ż”, lecz wiedział, że nie znajdzie tego w ubogim szynku

prowadzonym przez schorowanego ojca w posępnej, targanej wiatrem wsi nad zatoką Liscannor. Mick O'Hara był drobnym człowieczkiem o szczurzej twarzy, wstrząsanym nieustannym kaszlem, który wydobywał się niemal z dna jego za dużych buciorów. Rzadko kiedy pokazywał się bez cienkiego, brudnego skręta w ustach; nie rozstawał się z nim, kiedy ciągnął piwo z antałka, kiedy mówił, nawet kiedy kasłał. Shamus widział ojca bez papierosa tylko przy jedzeniu, ale posiłek trwał zaledwie kilka minut, po czym ojciec natychmiast skręcał następnego. Brał też kolejną szklaneczkę whisky, „żeby się nie przeziębć”.

Mary Kathleen O'Hara wiedziała, że mąż się zabija, ale nic nie mogła na to poradzić. Dawno pogodziła się z myślą, że pewnego dnia Mick umrze, a ona będzie musiała radzić sobie sama, i zgodnie z tym planowała przyszłość. Czas jednak płynął, a stary szczur wciąż umykał śmierci przekastując kolejną noc. Mary Kathleen była dużą, dobrze zbudowaną kobietą o rudych włosach, które odziedziczył po niej Shamus, rumianych policzkach i błyszczących zielonych oczach. W swoim czasie uważano ją za ślicznotkę, w wieku lat czterdziestu nadal jeszcze była piękną kobietą, ale życie miała ciężkie. W czasach jej młodości brak ziemniaków w Irlandii doprowadził miliony ludzi do śmierci głodowej, w tym większość jej rodziny. Mick O'Hara był od niej dwadzieścia lat starszy, ale wiedziała, że ludzie, choćby nie wiadomo jak biedni, zawsze znajdą kilka miedziaków, żeby napić się w jego szynku. Chuderlawy, zgorzkniały i kłótniwy Mick zapewnił jej dach nad głową i pełny brzuch. Miała zabezpieczony byt i starała się być dla niego dobrą żoną.

Shamus był ich jedynym dzieckiem. Na początku dziękowała za to Bogu, ponieważ więcej dzieci oznaczałoby więcej gęb do wyżywienia, ale kiedy uświadomiła sobie, że prawdopodobnie zostanie młodą wdową, pożałowała, iż nie ma więcej synów, którzy by się nią zaopiekowali po śmierci męża.

W typowy dla siebie, ślamazarny sposób Mick O'Hara nie spieszył się z odejściem i Shamus zdążył skończyć siedemnaście lat, zanim ojciec zmarł. Po pogrzebie Mary Kathleen poszła z synem na szczyt klifu Liscannor. Owiął ich porywisty wiatr znad Atlantyku. Miała wrażenie, że wicher ją oczyszcza, zdmuchuje z niej nudne lata spędzone w trzech ciemnych, okropnych izbach na tyłach baru, rozbrzmiewających kaszlem, cuchnących piwem i śmiercią.

— Synu — powiedziała wtedy, chwyciwszy Shamusa mocno za ramię — za tym oceanem leży nowy świat, w którym człowiek może

dorobić się majątku. Sprzedam piwiarnię i dam ci pieniądze. Chcę, żebyś pojechał do Ameryki i rozpoczął nowe życie, a kiedy będziesz gotów, przyślesz po mnie.

Po przyjeździe do Stanów O'Hara przebył cały kraj od wybrzeża do wybrzeża; był duży i silny, nie miał więc problemów ze znalezieniem pracy jako robotnik. Nosił cegły w Chicago, dźwigał paki w dokach San Francisco, palił w wielkich piecach w hutach Pittsburgha, wiedział jednak, że w ten sposób nie zbije majątku. Minał rok, wciąż miał pieniądze, które dała mu matka, lecz nie był ani trochę bliżej sprowadzenia jej do Ameryki. Wyobrażał sobie, jak siedzi w domu i czeka bez słowa skargi, aż on wszystko załatwi, i rozumiał, że musi wziąć się do rzeczy inaczej.

Wrócił do Nowego Jorku, gdzie włączył się bez celu oglądając rezydencje na Gramercy Park, Washington Square i Piątej Alei, zastanawiając się z goryczą, skąd ludzie mają na nie pieniądze. Przynależał sobie, że pewnego dnia też zamieszka w takim domu. Tymczasem wynajął pokój nad barem przy Delancey Street i zatrudnił się jako murarz na budowie. Lubił swoją pracę i chętnie poznałby więcej tajników zawodu, może zostałby brygadzystą albo kierownikiem, nie miał jednak na to czasu; ciągle tkwiła w nim obawa, że nie zdąży dotrzymać obietnicy i matka umrze, zanim on osiągnie sukces.

Nie przeszkadzało mu, że mieszka nad barem. Zapach whisky i piwa oraz nocny hałas przypominały mu dom, a wieczorami pomagał właścicielowi nalewając piwo do kufli i roznosząc talerze z gulaszem. Był towarzyski, więc odpowiadała mu panująca w barze atmosfera koleżeństwa. Kiedy po sześciu miesiącach właściciel powiedział, że myśli o sprzedaży knajpy i powrocie do Minnesoty, powodowany impulsem O'Hara postanowił ją kupić. W ciągu dwóch tygodni ubił interes, po czym napisał do matki, żeby jak najszybciej przyjeżdżała, i wysłał jej pieniądze na bilet. Dopiero później uświadomił sobie ironię losu: ścigał matkę do wspnianego, nowego świata po to, by żyła dokładnie tak samo, jak w Starym Kraju, w trzech pokojach za szynkiem.

Mary Kathleen uważała jednak, że robi wielki krok naprzód; wyruszyła z Liscannor wraz ze wszystkimi larami i penatami, i w niedługim czasie urządziła mieszkanie na Delancey Street tak samo, jak tamto w Irlandii. Przyrządzała wielkie gary prawdziwego irlandzkiego gulaszu, bigosu i duszonej wołowiny, po czym serwowała kopiaste porcje za niewielką opłatą. Po okolicy szybko rozeszła się wieść, że

u O'Hary jest najlepsze i najtańsze jedzenie, a i piwo dają nieźle. Interes zaczął się rozkręcać.

Mary Kathleen dobrze się czuła w nowej roli. Dawniej szefem był mąż, teraz pracowała „na swoim” i gawędziła z klientami, z godnością przyjmując ich niezdarne komplementy, kiedy jej płacili. Po roku Shamus miał już trochę oszczędności w banku, a po kilku latach stał się całkiem zamożny. Mary Kathleen powtarzała synowi, że powinien wreszcie rozejrzeć się za jakąś miłą irlandzką dziewczyną; mógłby się ożenić i dać jej kilkoro wnuków. Przecież teraz go na to stać.

O'Hara wiedział, że go stać, ale żona i dzieci zabierają mężczyźnie czas, a kto poprowadzi bar, jeśli on nie będzie mógł przychodzić tu co wieczór? Nie, małżeństwo musi poczekać. Pięć lat później w banku leżała spora suma pieniędzy, ponadto Shamus zrobił jedną czy dwie drobne inwestycje i kupił ziemię na wzgórzach New Jersey. Wtedy Mary Kathleen zmarła niespodziewanie na atak serca. Nie doczekała wnuków i do końca życia mieszkała w trzech pokojach za szynkiem.

Chowając ją O'Hara płakał gorzko pełen gniewu i wstydu, że nie kupił matce małego domku, w którym mogłaby spokojnie przeżyć ostatnie lata. Powiedział sobie, że jeżeli się w końcu ożeni, jego żona nigdy nie będzie mieszkała w izbach za barem.

Przypomniał to sobie teraz, kiedy Missie wpadła do środka, obdarzyła go przelotnym uśmiechem, powiesiła płaszcz i zaczęła energicznie zamiatać trociny i śmieci.

Patrzył na nią tęsknym wzrokiem. Minęły już trzy miesiące, odkąd poprosił ją o rękę, i do tej pory nie otrzymał odpowiedzi. Powstrzymywał się od pytań czekając cierpliwie, aż dziewczyna otrząśnie się po śmierci Sofii. Ale czas płynął. Shamus miał na głowie poważne sprawy i chciał uzyskać odpowiedź już teraz.

Serce mu miękło, kiedy na nią patrzył. Pracowała pilnie, jak gdyby mogła wyjść wcześniej zrobiwszy wszystko dwa razy szybciej... ale nie mogła. Płacił jej dniówkę i należała do niego dopóty, dopóki była mu potrzebna. W ten sposób miał pewność, że zawsze tu będzie. Tylko że on chciał ją mieć na całe życie.

Poczuła na sobie jego spojrzenie i podniosła wzrok. Odezwał się z uwodzicielskim uśmiechem:

— Missie, uświadomiłem sobie właśnie, że nigdy nie byliśmy sami, nigdy nie mogliśmy spokojnie porozmawiać. Wiesz, że jestem ciągle zajęty. Bar jest otwarty codziennie do późnego wieczora, i człowiek nie ma przez to nigdy chwili dla siebie, nie mówiąc już o kobiecie. Ale zamierzam jutro zamknąć interes... pod jednym warunkiem.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

— Jakim?

— Że uczynisz mi ten zaszczyt i pójdziesz ze mną na obiad.

Znów na niego spojrzała nie wierząc własnym uszom, po czym roześmiała się. Poczuł, jak krew napływa mu do głowy, kiedy zapytała:

— Chcesz mnie zabrać na obiad? Ale dlaczego? Widzimy się każdego dnia z wyjątkiem niedziel. Co dzień jemy razem posiłek przy tej ladzie. Więc dlaczego, O'Hara?

Przejechał palcami po rudej czuprynie patrząc na nią błagalnie, kiedy podchodziła do baru. Oparła się na łokciach i przyjrzała mu się uważnie.

— O'Hara — powiedziała z namysłem — może to pomyłka. Nie jestem dziewczyną, za jaką mnie uważasz. Nawet mnie bliżej nie znasz.

— Właśnie dlatego chcę cię gdzieś zabrać, żebyśmy mogli się lepiej poznać — odparł, a na jego twarz powrócił wesoły uśmiech. — Z dała stąd możemy być sobą. Poza tym — położył wielką dłoń na jej rękę — chcę ci coś pokazać. Coś specjalnego. — Zauważył, że jest zaintrygowana, i dorzucił: — Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Wysunęła dłoń spod jego łapy i zaczęła wycierać bar.

— Dobrze, zgadzam się — rzekła spokojnie. — Ale pamiętaj, zabieram ze sobą Azaylee.

— Oczywiście — rozpromienił się. — Oczywiście, że weźmiesz Azaylee. — Mogła wziąć nawet całą gromadę dzieciaków. Najważniejsze, że się zgodziła.

Rozdział 20

Missie szybko wróciła na Rivington Street z zarobionym rano dolarem w kieszeni. Przystanęła przy straganie Zabara, by kupić sobie bukietik róż z materiału i żółtą wstążkę za piętnaście centów. Zarumieniona z przejęcia, że ośmieliła się wydać tyle pieniędzy na siebie, wbiegła po schodach do mieszkania Rosy Perelman.

Mieszkanie Rosy składało się z dwóch pokoi, niezbędnych przy trójce dzieci. Jej mąż, Meyer Perelman, był starszy od niej o dwadzieścia pięć lat, pochodził z Polski i mówił tylko po polsku i w jidysz. Rosa miała dokładnie tyle lat, o ile starszy był mąż. Urodziła się w Nowym Jorku jako córka estońskich imigrantów. Znała angielski i jidysz, słabo rosyjski, a polskiego prawie wcale, jej kontakt z mężem był więc ograniczony. Za dwa dolary tygodniowo dołączyła Azaylee do swojej gromadki, karmiła ją i doglądała w godzinach pracy Missie. Zaprzyjaźniła się z nią po śmierci Sofii. Uśmiechnęła się, kiedy Missie zapukała do drzwi i weszła do kuchni.

— *Nu, szane*, jesteś nareszcie — powiedziała z radością. — W samą porę, właśnie robiłam herbatę. Schowałam dla nas coś dobrego.

Wręczyła Missie parującą szklankę i talerzyk z małymi ciasteczkami.

— Z piekarni Gertela na Hester — wyjaśniła. — Takie same, jak robiła moja mama. — Zaczęła chrupać ciastko. — Nawet lepsze. Nie martw się — dodała, widząc niespokojne spojrzenie Missie. — Dzieci są na ulicy pod opieką mojej najstarszej, Soni, która wie, że jej się ode mnie dostanie, jeśli spuści z nich oko. Dzięki temu mamy chwilę, żeby pogadać, prawda? — zachichotała.

Missie roześmiała się. Lubiła Rosę. Pani Perelman była mała i okrągłutka, miała piękne czarne włosy, ciemne piwne oczy i delikatne rysy. Chociaż między nią a mężem nie układało się najlepiej, zawsze umiała się zdobyć na uśmiech i żart. Nic nie mogło zepsuć Rosie

humoru na dłużej. Roztrząsanie nieszczęść było obce jej naturze, a miałyby co roztrząsać, bowiem pozbawiony skrupułów ojciec po prostu sprzedał ją mężowi.

Rosa opowiedziała Missie, jak to wszystko zostało zorganizowane. Swatka zapewniała, że kandydat jest grubą rybą w jakimś przedsiębiorstwie w Filadelfii. Kiedy przyszedł na spotkanie z rodziną, Rosę zaszokował jego wiek — Perelman okazał się prawie tak stary, jak jej ojciec. Ona miała wtedy siedemnaście lat, mniej niż teraz Missie. Meyer zachowywał się grzecznie, ale ani razu się nie uśmiechnął, a jego dłoń była mokra od potu, kiedy się witał z Rosą. Przez cały wieczór praktycznie ją ignorował, siedział przy stole z ojcem i opowiadał, jaki to z niego wielki biznesmen z Filadelfii. Rosa widziała, że ojciec jest zainteresowany, a matka z uśmiechem wyciąga na stół najlepsze kieliszki i szabasowy obrus, jakby sam rabin przyszedł do nich z wizytą.

Przy pożegnaniu schowała ręce za plecami. Ojciec rzucił jej gniewne spojrzenie i przeprosił za złe manieri córki. Potem wybuchła piekielna awantura, kiedy Rosa zapytała, dlaczego Meyer Perelman nie mówi po angielsku, skoro jest takim wielkim panem.

— Pochodzi z Polski — wyjaśniła matka.

— No to co? Dlaczego nie chodził na kursy wieczorowe, tak jak wszyscy?

Ojciec wymierzył jej wtedy policzek i zwymyślał od niewdzięcznic. On tu płaci swatce nie byle jaką sumę, a ona tylko przynosi mu wstyd przed dobrym, uczciwym człowiekiem, który urobi sobie dla niej ręce po łokcie, który da jej wszystko, dom, piękne ubrania, nawet klejnoty...

— Ha, klejnoty! — parsknęła Rosa, rozglądając się ze śmiechem po obskurnym mieszkaniu. — Dom i świetne interesy! Gruba ryba okazała się maszynistą w małej fabryce należącej do szwagra. Meyer myślał, że wżeni się w pieniądze, bo swatka powiedziała mu, że mam dziedziczyć po wuju, Samuelu Głanzu, który jest właścicielem domu towarowego na Grand Avenue.

— A masz? — zapytała Missie z nadzieją.

Rosa wzruszyła ramionami.

— Wuj nie ma dzieci, ale jestem przekonana, że zostawi wszystko synagodze. Meyer jednak nadal żyje nadzieją. Co sobota, słońce czy deszcz, ciągnie dzieci do wuja Samuela, żeby mu przypomnieć, jakie ma wspaniałe siostrzenice. — Odrzuciła głowę śmiejąc się tak serdecznie, że Missie zobaczyła żyły pulsujące na jej szyi. — Wszystko to były bajki — rzekła wreszcie, otarłszy łzy. — Teraz jestem skazana na spocone ręce Meyera, a moje dzieci mają ojca, który nie mówi po angielsku. Koledzy w pracy stroją sobie z niego żarty. Co rano pytają:

„Nu, Meyer, nauczyłeś się już mówić?” Po tylu latach spędzonych w Ameryce powinien się naprawdę wstydić.

— Jak ty to wszystko znosisz? — zapytała Missie, przerażona samą myślą o spędzeniu całego życia z człowiekiem, którego się nie kocha.

— Mam dzieci — wzruszyła ramionami Rosa. — Może kiedyś, jak dorosną, zostawię go. Ale do tego czasu muszę uzbroić się w cierpliwość i żyć z dnia na dzień.

Missie wzdygnęła się, wyobrażając sobie życie z dnia na dzień z Meyerem Perelmanem.

— Jesteś podniecona — zauważyła Rosa i wzięła następne ciastko. — Poznają po twoich oczach. Coś się wydarzyło.

Missie szybko opowiedziała jej o O'Harze i jego zaproszeniu na niedzielny obiad.

— Zobacz — z dumą pokazała Rosie bukiet róż. — Kupiłam je do mojego starego kapelusza. Pomyślałam, że trochę go upiększę. Mam też nowe wstążki dla Azaylee.

Rosa wyraziła podziw dla kwiatów i zapytała:

— Azaylee też idzie? Więc to nie romans? Nie randka?

— Oczywiście, że nie, głuptasie — zaprotestowała zarumieniona Missie. — No cóż, O'Hara poprosił mnie o rękę, ale tylko dlatego, że było mu mnie żal. To bardzo dobry człowiek, Rosa.

— A ty jesteś bardzo piękna — dodała Rosa przebiegle. — Nie zapominaj o tym.

Missie myślała o słowach Rosy w niedzielę rano, kiedy przymierzała stary filcowy kapelusz ze ślicznym różowym bukietem przypiętym z boku i przeglądała się w kwadraciku lustra, żałując, że nie ma ładniejszego ubrania.

— Och, Missie — westchnęła Azaylee — wyglądasz ślicznie.

Podziękowała jej uśmiechem, ale wiedziała, że lustro mówi prawdę: była zbyt blada, miała zapadnięte policzki i za chudą szyję. Uważała, że pierwszą młodość ma już za sobą i że jedyną jej ozdobą są róże przy kapeluszu.

Azaylee siedziała na samym brzegu krzesła, żeby nie pognieść niebieskiej sukienki, machała nóżkami w białych pończoszkach i podziwiała swoje nowe buciki kupione wczoraj na straganie Zabara. Missie zaplotła jej warkocze i przewiązała je nowymi żółtymi wstążkami, ale pojedyncze loczki już się zdążyły wysunąć i okalały owalną twarzyczkę dziewczynki. Jej skóra miała ten sam złotawy połysk co

skóra Annuszki, a oczy ten sam marzycielski wyraz. Missie nie mogłaby jej bardziej kochać, gdyby była jej matką. Azaylee miała zaledwie cztery lata, ale nigdy na nic nie narzekała, uznając ich jedyny pokój za dom, Rosę za ciotkę, a ulicę za plac zabaw. To niesprawiedliwe, pomyślała Missie i gorąco ucałowała małą.

Na ulicy głośno zadźwięczał klakson. Azaylee zerwała się z krzesła i podbiegła do okna. Znów rozległo się trąbienie i dziewczynka wykrzyknęła z przejęciem:

— *Matuszka*, O'Hara przyjechał samochodem!

Missie wystawiła głowę przez okno i ujrzała O'Harę w eleganckim brązowym garniturze, w koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i krawatem, siedzącego dumnie za kierownicą jaskrawożółtego stutza. Ponownie zatrąbił i pomachał zdumionym twarzom pojawiającym się we wszystkich oknach na ulicy. Potem otworzył drzwi, stanął na progu domu i zamiótł kapeluszem przed Missie.

— Och, Azaylee! — jęknęła chowając głowę z zakłopotaniem. — Teraz wszyscy wiedzą, że umówiłam się z O'Harą.

Rzuciła ostatnie nerwowe spojrzenie w lusterko, chwyciła małą za rękę i zbiegła na dół.

— Piękny poranek, Missie! — zawołał O'Hara. — Pomyślałem, że miło będzie wybrać się na przejażdżkę.

Wszystkie głowy w oknach odwróciły się od O'Hary w stronę Missie, która szybko podeszła do samochodu. O'Hara posadził Azaylee na małym siedzeniu z tyłu, po czym otworzył drzwi przed Missie.

— Pa, Rosa — wykrzyknęła Azaylee, machając radośnie Perelmanom wychylonym z okna na drugim piętrze, Missie jednak nie podniosła wzroku. O'Hara ruszył z głośnym warkotem.

— Wczoraj go kupiłem — oświadczył z dumą. — Jesteś pierwszą osobą, jaką wiozę. No i co? Jak ci się podoba?

— Jest piękny! — zawołała Azaylee, podskakując z podniecenia i machając do przechodniów.

— Wspaniały — przytaknęła Missie, przytrzymując kapelusz, kiedy brali następny zakręt. — Ale chyba wolałabym wyjechać z Rivington Street w mniej ostentacyjny sposób.

O'Hara ryknął śmiechem.

— Obiecałem ci prawdziwy dzień wolny, czyż nie? A ja dotrzymuję słowa, Missie O'Bryan.

Gdy skręcili w Orchard Street, roześmiała się. Było coś zaraźliwego w tym, jak O'Hara cieszył się z samochodu, słońca i ich wycieczki. Rozluźniona opadła na skórzany fotel, stwierdzając, że jazda sprawia jej przyjemność.

Uwięziony w swojej dziupli za mosiężną kratą Zev patrzył, jak długi żółty samochód przejeżdża obok. O'Hara naciskał klakson i spoglądał na Missie, jakby należała do niego, ona zaś śmiała się i wyglądała jak wiosna w dużym, fioletowym kapeluszu ozdobionym różowymi kwiatami. W sercu Zeva rozgorzała zazdrość.

— *Ganzer macher!* — krzyknął z goryczą, kiedy zniknęli. — Wielki pan!

— Dokąd jedziemy? — zapytała Missie, kiedy samochód wjechał na most, kierując się ku wzgórzom New Jersey po drugiej stronie rzeki Hudson.

— Zobaczysz — odparł tajemniczo. Uśmiech na jego przystojnej twarzy mówił, iż jest pewien, że jej się to spodoba.

Jechali wzdłuż brzegu Hudson podziwiając widok, aż dotarli do dużego budynku z cegły, oddzielonego od drogi drzewami. Szyld głosił: "Włoska Restauracja Giorgia". Missie otworzyła szeroko oczy na widok białych obrusów z adamaszku, serwetek, błyszczących sztućców, kryształowych kieliszków i kwiatów na każdym stole.

— To dla mnie zbyt wytworne — szepnęła, wstydząc się swojego starego płaszcza, zniszczonej bluzki i skromnej spódnicy.

— Nigdzie nie jest dla ciebie zbyt wytwornie — oświadczył Irlandczyk. — Bijesz na głowę każdą siedzącą tu kobietę.

Zdjął swój nowy kapelusz, po czym uściśnął dłoń kierownikowi sali, który przywitał go jak starego przyjaciela i wskazał stolik przy oknie.

— Dzień dobry, panie O'Hara — powiedział. — Jak się pan miewa'?

— Świetnie, świetnie! — zagrział O'Hara radośnie. Drugi kelner przyniósł szampana. Irlandczyk skinał głową z aprobatą, gdy zobaczył butelkę.

— Szampan? — zapytała Missie ze zdumieniem.

— Cóż by innego? — odparł ujmując jej dłoń. — W taki wielki dzień...

Zaczerwieniła się, kiedy kelnerzy uśmiechnęli się ze zrozumieniem. Pewnie myśla, że jest jego kochanką albo coś w tym rodzaju.

Zapatrzyła się w spieniony płyn, wspominając swoje osiemnaste urodziny, kiedy ostatni raz piła szampana. Misza napełnił jej kieliszek, patrzyli sobie w oczy, wiedząc, że być może robią to po raz ostatni.

— Grosik za twoje myśli — odezwał się Irlandczyk, ale ona tylko potrząsnęła głową i uniosła kieliszek.

— Twoje zdrowie — rzekła zmuszając się do uśmiechu. — Dziękuję za uroczy dzień.

— Jeszcze się nie skończył — powiedział. Obserwował ją z podziwem, kiedy czytała menu. — W tym kapeluszu wyglądasz jak obrazek, Missie — powiedział miękko. — Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem.

— Tak — przyświadczyła Azaylee z powagą. — Też jej to mówiłam.

O'Hara uśmiechnął się.

— Ty, młoda damo — powiedział pociągając ją za warkoczyk — lepiej uważaj, bo jak będziesz miała tyle lat co Missie, na pewno wszystkich zakasujesz.

— Co to znaczy? — zapytała Azaylee.

— Dorośniesz, to zobaczysz — odparł wyjmując z kieszeni małą paczuszkę. — Masz. Omal bym zapomniał.

— Prezent? — spytała z nadzieją.

Skinął głową.

— Dla ciebie, królewno.

Z nabożeństwem dotknęła czerwonej bibułki.

— Śliczny — powiedziała drżącym z emocji, dziecinnym głosem.

O'Hara spojrział na Missie, potem na dziewczynkę.

— Prezenty się otwiera — wyjaśnił. — Żeby zobaczyć, co jest w środku.

Azaylee ostrożnie rozwinęła papier wygładzając zagięcia, po czym otworzyła pudełko i głęboko wciągnęła powietrze.

— Och, och, zobacz, *matuszka* — westchnęła. — Tylko popatrz.

Była to mała lalka, starannie wykończona w każdym szczególe, od porcelanowej twarzyczki po miękkie, jasne włosy, słodką sukieneczkę z koronką, kapelusik i buciki z kozłej skóry.

— Jak ją nazwiesz? — zapytała Missie z uśmiechem, widząc, jak Azaylee pieszczotliwie gładzi lalkę po buzi.

— Nazwę ją Annuszka — szepnęła dziewczynka przyciskając lalkę do piersi. — Annuszka.

Missie miała wrażenie, że uderzył w nią piorun. Do tej pory Azaylee ani razu nie wspomniała matki i Missie miała nadzieję, że mała zapomniała.

— Ale to amerykańska lalka — zaprotestowała szybko. — Nie sądzisz, że powinna mieć amerykańskie imię?

W oczach Azaylee pojawiło się znajome, dalekie spojrzenie.

— Może Kathleen? — zaproponował O'Hara. — To dobre, irlandzkie imię. Nosiła je moja matka.

— Tak, niech O'Hara wybierze — pospiesznie zgodziła się Missie. — Czemu nie Kathleen?

Azaylee przytuliła lalkę do policzka i uśmiechając się zamknęła oczy.
— Kathleen Annuszka — powiedziała. — Kathleen Annuszka O'Hara.

O'Hara rozradowany dolał szampana.

— Mała dobrze mówi — rzucił, zerkając znacząco na Missie.

Odrzuciła wzrok korzystając z tego, że pojawił się kelner z zupą.

— Pachnie wspaniale — powiedziała zmieszana.

— Smakuje też — zapewnił ją O'Hara. — To jedna z najlepszych restauracji w New Jersey. Przychodzę tu od kilku lat, odkąd założyłem w okolicy interes.

Missie uświadomiła sobie nagle, że dobrze się bawi. Włoskie jedzenie smakowało jak ambrozja w porównaniu z jej skromnym codziennym pożywieniem, wino uderzyło jej do głowy, czuła się lekko wstawiona i rozluźniona. Z zainteresowaniem słuchała opowieści CHary o jego życiu w Irlandii i początkach w Ameryce.

— A teraz będzie następny początek — zakończył, zapalając większe niż zazwyczaj cygaro i patrząc, jak Missie sący kawę.

Sympatyczni włoscy kelnerzy nakładli Azaylee do kieszeni cukierków i małych *amoretty* zawiniętych w różowe i niebieskie bibułki. Dziewczynka ziewnęła i skuliła się na wielkim krześle, mocno ściskając lalkę.

O'Hara delikatnie pogłaskał małą po głowie i powiedział:

— Missie, znasz mnie tylko z jednej strony. A ja jestem poważnym człowiekiem i mam ambicję. O tym właśnie chciałem dziś z tobą porozmawiać. Ale najpierw coś ci pokażę, więc chodźmy stąd.

Wziął śpiące dziecko na rękę i niósł ją tak samo, jak ona niosła swoją lalkę. Wyszli z restauracji żegnani uśmiechami, podziękowaniami i „proszę nas wkrótce znów odwiedzić”. O'Hara ułożył Azaylee na tylnym siedzeniu, przykrył kraciastym kocem i powiedział w zadumie:

— Wspaniale byłoby mieć taką córeczkę, po prostu wspaniale.

Pomógł Missie wsiąść, wskoczył za kierownicę i zawrócił w stronę wzgórz.

— Dokąd jedziemy? — zapytała, kiedy zaczęli piąć się po wiejskich drogach.

— Niedaleko — odparł z uśmiechem. — Cierpliwości.

Jechali jeszcze dziesięć minut, aż dotarli do drewnianego płotu na szczycie wzgórz. O'Hara wysiadł, żeby otworzyć bramę. Missie rozglądała się wokół. Wszędzie rosły wysokie wiąz i rozłożyste kasztanowce, które właśnie zrzucały ostatnie liście.

— Jesteśmy prawie na miejscu — oznajmił O'Hara. Wjechał na świeżo zwirowany podjazd i zatrzymał się przed kwadratowym domem

z czerwonym dachem i drewnianą werandą. — Jest większy, niż na to wygląda — powiedział z dumą. — W środku są trzy sypialnie, a dokoła trzy akry ziemi. Kupiłem tę posiadłość i całą okoliczną ziemię. Pięćdziesiąt akrów w Smallwood, New Jersey, należy obecnie do twego uniżonego sługi.

Odwrócił się do Missie i popatrzył na nią.

— I do mojej żony, jeśli tylko powiesz tak. Chcę dzielić to wszystko z tobą, ten dom, tę ziemię... wszystko.

Zaalarmowana, otworzyła szeroko oczy, ale nie zdążyła odpowiedzieć — powstrzymał ją uniesieniem dłoni.

— Zanim coś powiesz, pozwól, że ci to wszystko pokażę. — Wszedł po schodkach na drewniany ganek i odwrócił się, rozkładając szeroko ręce. — Jak okiem sięgnąć, Missie — oznajmił dumnie — i jeszcze dalej. Moja ziemia.

Popatrzyła na gładkie, trawiaste zbocza upstrzone kępami drzew i czarno-białymi krowami, które wyglądały jak malowane zabawki. Zamknęła oczy, wdychając świeże wiejskie powietrze, słuchając wołania ptaków i czując ciepło jesiennego słońca na twarzy. Przypomniał jej się rodzinny dom w Oxfordshire.

— Jak tu pięknie, O'Hara — szepnęła. — Po prostu pięknie.

— Wejść do środka — zachęcił ją. — Zostaw dziecko, niech śpi. Oprowadzę cię.

Nad frontowymi drzwiami było rzeźbione witrażowe okienko. Szeroki korytarz prowadził do oszklonych drzwi wychodzących na ogród. Na dole był kwadratowy salon z dużym kominkiem i jadalnia; podłogi zrobiono z drewna, a szyby w oknach miały kształt rombów; w kuchni znajdował się prawdziwy zlewozmywak z zimną i gorącą wodą oraz wspaniały piec; było nawet światło elektryczne. Ładne, szerokie schody prowadziły na górę, gdzie mieściły się trzy sypialnie i prawdziwa łazienka z najnowocześniejszą, jak powiedział O'Hara, żeliwną wanną pokrytą emalią — a także ubikacja.

— To naprawdę wspaniały dom — wołała Missie, biegnąc w podnieceniu z pokoju do pokoju. — Jest uroczy, naprawdę uroczy... tylko... — urwała patrząc na O'Harę. — Tylko jak będziesz prowadził bar i mieszkał tutaj? Przecież to daleko.

— Właśnie o tym chciałem ci powiedzieć — odparł, kładąc jej ręce na ramionach i patrząc w oczy. — Zamykam bar za kilka tygodni. Prohibicja niedługo wykończy knajpę i chcę się wycofać, zanim inni się zorientują. Ułożyłem sobie plan, Missie, i ten dom jest jego częścią. Ty też. Mogę stąd kierować moim nowym interesem. Blisko do kolei i portu Newark.

Missie zmartwiała. Jeśli O'Hara zamknie bar, ona zostanie bez pracy. Nagle zrobiło jej się słabo i oparła się o słup werandy, wpatrując się w malowniczy, sielankowy krajobraz.

— Jakim nowym interesem? — zapytała głucho.

Irlandczyk wyszczerzył zęby.

— Och, nieruchomości, budownictwo i, powiedzmy, coś w rodzaju dystrybucji. To miejsce jest dosyć odosobnione, więc nikt się nie dowie, czym się zajmuję. — Puścił do Missie oko, ale kiedy zobaczył wyraz jej twarzy, zachmurzył się. Wyglądała, jakby miała zemdleć.

— Dobrze się czujesz? — spytał, chwytając ją opiekuńczo za ramiona. — O co chodzi? Przestraszyłem cię moim gadaniem o nowym interesie? To nie będzie nic naprawdę nielegalnego, po prostu balansowanie na granicy prawa, sprzedaż alkoholu. Robimy to w Irlandii od wieków. Słowo daję, że to nic takiego. A pieniądze zamierzam zainwestować w budowę domów. Znajdzie się mnóstwo młodych par, które będą chciały wynieść się z miasta do własnego domu. Ładne, tanie budownictwo. Zobaczysz, będą się pchali drzwiami i oknami. I nie martw się o tamten interes, Missie, moi współnicy się tym zajmą.

— Wspólnicy...?

— Giorgio i Enrico Oriconne, właściciele restauracji, w której byliśmy. Musisz ich poznać, Missie, to bardzo mili Włosi, tacy rodzinni. Widziałas, jak kelnerzy odnosili się do Azaylee, oni kochają *bamhini*. Ale są bardzo zajęci i potrzebny był im ktoś na pierwszej linii. Oczywiście mam w tym swój udział i mówię ci, Missie, zamierzam zbić majątek. Koniec z nalewaniem piwa. Od dzisiaj jestem człowiekiem interesu. — Popatrzył na nią poważnie. — Zawsze obiecywałem sobie, że moja żona nie będzie mieszkała za szynkiem, tak jak moja matka. Teraz mogę się naprawdę oświadczyć, Missie. Kupiłem ten dom dla ciebie i Azaylee, dla nas i dla naszych dzieci. Czy zostaniesz moją żoną?

Potrząsnęła głową w oszołomieniu. Pod maską nieokrzesanego prostaka kryła się taka dobroć, taka czułość, a jednocześnie taka naiwność. Spojrzała na O'Harę czekającego niespokojnie na jej odpowiedź, potem popatrzyła na dom z pięknymi pokojami i ogrodem, i na okoliczne wzgórza, które mogłyby należeć do niej. Wyobraziła sobie siebie mieszkającą tu, ustawiającą nowe meble, wieszającą obrazy na ścianach, układającą kwiaty w kryształowych wazonach, siedzącą na werandzie w letni wieczór, może kołyszącą niemowlę. Ale choćby nie wiadomo jak się starała, nie widziała O'Hary u swojego boku. Pomyślała o Rosie skazanej na Meyera Perelmana przez resztę życia i ponownie potrząsnęła głową. Po policzkach spływały jej łzy, które O'Hara delikatnie otarł palcem.

— Rozumiem, że mówisz „nie” — odezwał się z godnością. — Posłuchaj jednak, Missie O'Bryan... Nigdy nie będę dzielił tego domu z inną kobietą. Będę czekał, aż pewnego dnia powiesz „tak”. A kiedy ten dzień nadejdzie, będę najszczęśliwszym człowiekiem w New Jersey.

Drogę powrotną przebyli w milczeniu. O'Hara stracił całą werwę, Missie ze znużeniem myślała, że to jej wina. Nie miała zamiaru go zranić, ale przecież nigdy nie robiła mu złudzeń, że go poślubi. Kiedy na horyzoncie ukazała się panorama Manhattanu, powiedziała sobie, że życie nie może się na tym kończyć, musi być coś więcej. Potem wróciła do rzeczywistości. Przypomniała sobie, że za kilka tygodni bar będzie zamknięty, a ona zostanie bez pracy.

Rozdział 21

Był nieprzyjemnie zimny lutowy piątek. Zev obserwował ludzi spieszących obok jego okna z rękami wepchniętymi w kieszenie, okulanych w szaliki, kulących ramiona przed wiatrem. Dochodziła c/warta, wszyscy stali klienci odwiedzili już lombard i zabrali na weekend swoje odświętne stroje. Czasami Zewowi wydawało się, że jego sklep jest szafą całej ulicy, bowiem ubrania jej mieszkańców częściej leżały u niego, niż na właścicielach.

Po raz kolejny spojrzął na zegarek: Missie spóźniła się. Przychodziła co tydzień, czasem z jednym dolarem, czasem z dwoma. Niechętnie brał od niej pieniądze, których tak bardzo potrzebowała, lecz ona uparła się go spłacić. Gdyby jednak spojrzął prawdzie w oczy, musiałyby przyznać, iż rad jest z tego pretekstu do spotkań. Nigdy nie mówił nic poza „Dzień dobry, Missie” i „Jak się pani miewa?”, ale przynajmniej dawało mu to możliwość spędzenia w jej towarzystwie kilku chwil, które potem rozpamiętywał w samotności, przypominając sobie ze szczegółami jej wygląd, złoty połysk brązowych włosów, linię policzka, delikatność ust i głęboki fiolet oczu.

Westchnął i sprawdził, czy nowy krawat dobrze leży. Był gotów do szabasu, lecz wiedział, że tak naprawdę wystroił się dla niej.

Zadzwieczał dzwonek. Zev spojrzął ostro na panią Lipkin, która przyszła po szabasowy obrus.

— Późno pani przyszła, pani Lipkin — zauważył. Wręczył jej obrus i szybko wziął pieniądze; modlił się, żeby wyszła, zanim przyjdzie Missie.

— Pan też jest spóźniony, panie Abramski — odparła ze zmęczeniem. — Musiałam czekać, aż syn przyniesie pieniądze. Powinien pan zamykać, już prawie szabas.

— Wiem, wiem — powiedział z irytacją.

Zamykając drzwi, pani Lipkin rzuciła mu zdziwione spojrzenie. Był zazwyczaj bardzo uprzejmy.

Mosięzna wskazówka na wielkim zegarze ściennym zbliżyła się o kolejną minutę do godziny czwartej. Zev nerwowo spoglądał w okno. Zrobiło się ciemno, musiał zamykać... nie, jeszcze kilka minut, na wypadek, gdyby przyszła później...

Dziesięć po czwartej zamknął drzwi na klucz, odwrócił wywieszkę na „zamknięte” i ze smutkiem poszedł do pokoju na tyłach. Nigdy przedtem się nie spóźniła; rozumiał, że nie przyjdzie. Choć nie wspomniła o tym ani słowem, Zev wiedział, że O'Hara w zeszłym tygodniu zamknął bar. Zapewne straciła pracę i nie miała pieniędzy.

Ubrany w czarny płaszcz i kapelusz poszedł zamarzniętą ulicą do synagogi, ale po nabożeństwie nie zatrzymał się wśród rodzin rozmawiających na schodach świątyni.

Znalazłszy się z powrotem u siebie, zapalił szabasowe świece w cennym matczynym lichtarzu i przez chwilę rozmyślał o Missie. Oddała mu już osiemnaście dolarów. Uświadomił sobie, że kiedy zwróci mu całe pięćdziesiąt, nie zobaczy jej więcej.

Pod wpływem impulsu wstał, założył płaszcz i kapelusz, starannie zamknął za sobą drzwi i z determinacją ruszył przed siebie. Rivington Street była zaśmiecona odpadkami ze straganów, kawałki podartych gazet fruwały unoszone mroźnym wiatrem; koty i psy buszowały wśród rybich ogonów i resztek podrobów. Zev z obrzydzeniem zmarszczył nos, czując wiszący w powietrzu smród.

Wiedział, gdzie Missie mieszka. Często przechodził obok jej domu i teraz, tak jak zawsze, zatrzymał się i spojrzał w jej okno. Za cienką zasłoną paliła się lampa. Zawahał się, spuścił wzrok, po czym ponownie popatrzył w górę. Zazwyczaj czekał chwilę w nadziei, że Missie się pojawi, tym razem jednak pospiesznie przeciął ulicę i wszedł do budynku.

Przesiaknięty odorem śmieci i uryny korytarz zalegały niepotrzebne sprzęty tuzina rodzin — połamane krzesło, rozbite skrzynki po jabłkach, żelazne kółka od wózka, papiery i butelki. Zza zamkniętych drzwi dochodziły dźwięki ostrej kłótni i płacz kobiety. Jakieś dziecko krzyczało, ktoś się śmiał, rozbrzmiewała głośna muzyka z fonografu.

Zev wspinał się po źle oświetlonych schodach, starając się nie dotykać lepki poręczy zatłuszczonej przez tysiące brudnych dłoni. Jak ona może to znieść? — zapytywał sam siebie. Taka *barysznia*, taka dama.

Zapukał do drzwi i odkaszlnął nerwowo.

Wiktor głośno warknął. Zaspána Azaylee usiadła na łóżku.

— *Matuszka* — powiedziała. — Ktoś puka.
Zdziwiona Missie odwróciła się od umywalki.

— Któż to może być?

— Nie wiem — odparła Azaylee ze śmiechem.

Missie zastanowiła się przez chwilę. Nie mógł to być gospodarz, bo komorne zapłaciła dziś rano, chociaż nie miała pojęcia, skąd weźmie pieniądze na następne. Poprawiając włosy, podeszła do drzwi.

— Przepraszani, że przeszkadzam — Zev grzecznie zdjął kapelusz — ale nie przyszła pani dzisiaj.

Missie z poczuciem winy zasłoniła usta.

— Och, przepraszam, panie Abramski, ale nie mogłam. Nie miałam pieniędzy. Widzi. pan... obawiam się, że nie mam pracy. Bardzo proszę, przyjdę w przyszłym tygodniu, dobrze? Na pewno do tego czasu coś znajdę.

Wyglądała na wstrząśniętą i Zev uświadomił sobie, co myśli: że przyszedł po pieniądze.

— Nie, nie, wszystko w porządku, proszę się nie martwić — zapewnił ją pospiesznie. — Ja tylko... właśnie... chodzi o to, że chciałem się z panią zobaczyć.

Jego ciemne oczy patrzyły na nią błagalnie. Missie cofnęła się. Przytrzymując drzwi powiedziała:

— Proszę, panie Abramski, niech pan wejdzie.

Pies warknął na niego, kiedy zatrzymał się tuż za progiem, a dziewczynka zawołała:

— Cześć, jestem Azaylee. A ty kim jesteś?

Zakaszłał nerwowo.

— Abramski, Zev Abramski, z Orchard Street.

Azaylee kiwnęła głową.

— Tam mieszka moja przyjaciółka Rachel Cohen.

— Może pan usiądzie — zaproponowała Missie.

Usiadł grzecznie wyprostowany na drewnianym krześle, które mu wskazała, i rozejrzał się po pokoju. Jej dom. Wszystko idealnie czyste, biały obrus, białe bawełniane zasłony, płaszcz i kapelusz z różami wiszące na gwoździu. Łóżko dyskretnie schowane za koślawym drewnianym parawanem, nagie ściany z zaciekami ozdobione jedynie kwadratowym lusterkiem nad umywalką. Był to ubogi pokój, lecz na stole stał bukiet kwiatów, wszystko pachniało mydłem i w świetle lampy zarzuconej kawałkiem różowego jedwabiu wydawał się bardziej przytulny niż którykolwiek pokój, jaki Zev widział od czasu wyjazdu z Rosji.

Missie usiadła przy stole naprzeciwko niego.

— Pan wybaczy, panie Abramski — rzekła. — Nie jest to najlepsze miejsce do przyjmowania gości, ale może napije się pan herbaty?

Potrząsną głową.

— Nie, dziękuję. Przyszedłem, żeby prosić panią... chciałem tylko zapytać, czy zjadłaby pani kiedyś ze mną kolację. — Kapelusz zachrząścił mu pod palcami, kiedy nerwowo zacisnął dłonie; jej fiołkowe oczy zaokrągliły się ze zdumienia, patrzyła na niego, jakby go zobaczyła po raz pierwszy. Uniósł rękę, żeby poprawić krawat, i wtedy Missie uśmiechnęła się.

— Ależ z największą przyjemnością, panie Abramski — odparła spokojnie.

Rozjaśnił się nagle.

— Niedziela pani odpowiada? — zapytał szybko, żeby nie zdążyła zmienić zdania. — Przyjdę po panią o szóstej.

— O szóstej — zgodziła się. — Będę gotowa.

O piątej trzydzieści w niedzielę Missie zaprowadziła Azaylee do Rosy, potem wyszczotkowała włosy i upięła je w kok na czubku głowy. Roztarła policzki, żeby przywrócić im kolor, założyła kapelusz i po raz setny zapytała sama siebie, czemu zgodziła się iść na kolację z Zevem Abramskim. Ledwie go znała, pożyczył jej pieniądze, miała wobec niego zobowiązania i musiała go spłacić. Zastanawiała się, co chciał osiągnąć, zapraszając ją na wieczór.

Zapukał punktualnie o szóstej. Narzuciła znoszony, stary płaszcz i pospieszyła do drzwi. Nie chciała zapraszać go do środka, ponieważ była sama i martwiła się, co pomyślą sąsiedzi.

Zev wyglądał bardzo schludnie i bardzo cudzoziemsko w czarnym płaszczu i kapeluszu. Ruszyli razem ciemną ulicą.

— Znam pewien lokal na Broadwayu — powiedział, zatrzymując się z wahaniem na rogu. — Niestety nie mam samochodu, jak Ó'Hara. Nie ma pani nic przeciwko spacerowi?

— Oczywiście, że nie, panie Abramski. — Missie podniosła kołnierz i szła obok niego, Zev jednak trzymał się brzegu chodnika, jakby się bał przypadkowego dotknięcia.

Milczenie między nimi pogłębiło się.

— Jak się pan miewa, panie Abramski? — zapytała z desperacją, kiedy doszli do następnej przecznicy.

— Dziękuję, dobrze — odparł.

Znów zapadła cisza. Zev nerwowo zerknął na Missie kątem oka.

Oto spełniło się jego marzenie, szedł w towarzystwie Missie O'Bryan, a tymczasem nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć.

Z ulgą skręcił w Broadway.

— To ukraińska restauracja — odezwał się sztywno. — Pomyślałem, że się pani spodoba.

W restauracji było tłoczno i głośno, rozbrzmiewały rosyjskie głosy, dźwięki bałałajek i gitar. W drugiej sali ktoś śpiewał znajomą cygańską piosenkę; na ladzie bulgotał samowar, wszędzie unosił się intensywny zapach ciepłych bułek z makiem, pierogów, kawowych ciastek i pikli.

Missie rozpromieniła się, kiedy usiedli przy małym stoliku pod oknem.

— Cudownie, panie Abramski — powiedziała zachwycona. — Przypomina mi się cygańska kawiarnia, do której chodziłam w Petersburgu. — Wesoło zanuciła fragment piosenki; właściciel, krzepki Ukrainiec, przystanął i pogratulował jej po rosyjsku pięknego głosu.

Zev spoglądał na nią oczarowany. Do tej pory widywał tylko cichą, zapracowaną kobietę, zmęczoną kłopotami, a teraz nagle dostrzegł młodą dziewczynę, którą naprawdę była. Przymknęła oczy w ekstazie, smakując pierwszą łyżkę zamówionego barszczu, i wykrzyknęła, że jest świetny, po chwili jednak twarz jej się wydłużyła.

— Nie powinnam tu z panem przychodzić — powiedziała z miną winowajcy. — Jestem panu tyle dłużna... To nie w porządku, że pan jeszcze kupuje mi kolację.

— Więc nie jest pani zadowolona? — zapytał zmartwiony.

— Ależ jestem. Nie bawiłam się tak dobrze od... od nie wiem jak dawna — dokończyła pośpiesznie.

Zev odetchnął z ulgą. Zawołał kelnera i zamówił butelkę czerwonego wina. Był szczęśliwy, że może siedzieć i patrzeć na nią. Missie powoli sączyła wino słuchając muzyki, między nimi znów zapadła cisza.

Unikała jego wzroku i zastanawiała się, co powiedzieć. Nie mogli tak dalej nic nie mówić. Pociągnęła jeszcze jeden łyk wina i rzuciła nerwowo:

— Niech mi pan o sobie opowie, panie Abramski.

— O sobie? — powtórzył zdziwiony. — Nie ma o czym mówić.

— Och, na pewno jest — zaprzeczyła ośmielona winem. — Na przykład, czy jest pan szczęśliwy?

Znów zapadło milczenie, Zev zapatrzył się w swoją zupe.

— Jestem szczęśliwy, że mogę tu z panią być — odpowiedział w końcu.

— Dziękuję — rzekła — ale nie o to mi chodzi. Czy ma pan udane życie? Widzi pan, kiedy byłam mała, wydawało mi się, że wszyscy są

zadowoleni, teraz jednak odkrywam, że na świecie jest niewiele osób naprawdę szczęśliwych. Każdy z czymś walczy: z biedą, chorobą, rozpaczą. Czasem, kiedy pomyślę, jak bardzo dzieciństwo Azaylee różni się od mojego, chce mi się płakać. I czasami płaczę, w nocy, w łóżku.

Jego ciemne oczy pełne były współczucia. Rosyjska muzyka i hałas rozmów przybrały na sile, izolując ich w kącie przy oknie od reszty gości.

Missie czuła się przy nim bezpiecznie. Wino rozwiązało jej język, zaczęła więc opowiadać o dzieciństwie w Anglii, o tym, jak jej ojciec zmarł w Rosji i zostawił ją samą jak palec.

— I tak zamieszkałam w Petersburgu... — urwała swoją opowieść.

Kelner krzątał się sprząając talerze. Po chwili przyniósł im stos chrupiących, złotych placków ziemniaczanych, pikantne kiełbaski i górę kaszy z gorącym sosem grzybowym. Zev ponownie napełnił kieliszki i zamówił jeszcze jeden koszyk bułek.

Missie położyła łokcie na stole, podparła brodę rękami.

— Zauważyłam, że słyszał pan, co Azaylee powiedziała o... o Sofii. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że mogę panu zaufać, panie Abramski. — Rosyjskość restauracji, znajomy język i muzyka sprawiły, że nie mogła dłużej znieść swojej samotności. Nikomu jeszcze nie opowiedziała całej historii, nawet Rosie, teraz jednak wszystko się z -niej wyrwało w pospiesznych, pełnych lęku szeptach. Ucieczka przez las z klejnotami pod suknią, okrutne zamordowanie Annuszki, wyjazd do Konstantynopola i sprzedaż diamentów za grosze. Została tylko tiara, powiedziała, z czterema największymi brylantami. I ogromnym, lecz beużytecznym szmaragdem. Jedzenie stygło na talerzach przed nimi, kiedy mówiła o strachu przed czekistami i świadomości, że to się nigdy nie skończy. I o tym, jak co noc śniła o Aleksieju. Powiedziała mu wszystko — oprócz tego, że była zakochana w Miszy.

— Teraz się pan dowiedział, kim jestem i skąd się tu wzięłam — zakończyła podnosząc głowę. — Jest pan jedyną osobą na świecie, która o tym wie.

Pociągnęła nosem walcząc ze łzami. Zev wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i podał jej.

— Dumny jestem, że obdarzyła mnie pani swoim zaufaniem — powiedział cicho. — Nigdy nie powtórzę tego, co mi pani opowiedziała. Nikt nie usłyszy ode mnie ani słowa, przyrzekam na moje życie. — Popatrzył na nią łagodnie. — Proszę jeść... niech jedzenie przywróci kolor pani bladym policzkom.

Potem milczenie między nimi stało się bardziej znośne; wydawało

się, że Zewowi sprawia przyjemność jej towarzystwo, i chociaż był taki małomówny, ku swojemu zdziwieniu ona również czuła się przy nim dobrze.

Po kolacji odprowadził ją do domu, nadal trzymając się brzegu chodnika, a kiedy stanęli oprzed jej drzwiami, zapytał, czy umówi się z nim w następną niedzielę.

Missie zawahała się. Nie była pewna, czy powinna, ale był dla niej laki dobry i ponieważ wszystko o niej wiedział, w jakiś dziwny sposób czuła się teraz z nim związana.

— O szóstej, w przyszłą niedzielę — zgodziła się. Szybko powiedziała dobranoc i wbiegła do środka, odprowadzana jego spojrzeniem.

W poniedziałek rano Missie obudziła się z bólem głowy i uczuciem cichej rozpacz. Zniknął staroświecki urok ukraińskiej knajpki, zaś ulga wywołana wyznaniem wszystkiego Abramskiemu zmieniła się w strach. Przecież, powiedziała do siebie nerwowo, ledwie go znasz, a Sofia przykazywała ci, żeby nigdy nikomu tego nie mówić...

Poczekwała, aż u Perelmanów trzasnęły drzwi za wychodzącym do pracy Meyerem, po czym zbiegła na dół, do Rosy. Azaylee została u niej na noc, pies też — Wiktor przeniósł swoje uczucie z Miszy na joga córkę i nie odstępował jej ani na krok. Tam gdzie była Azaylee, był też pies. Będzie z nim kłopot, kiedy Azaylee zacznie chodzić do szkoły, pomyślała Missie i myśl ta przypomniawszy jej o kolejnym poważnym problemie. Córka Miszy nie mogła tak po prostu pójść do podrzędnej szkoły za rogiem. Już teraz wiedziała więcej, niżby mogła się tam nauczyć: umiała trochę czytać, znała cyrylicę, mówiła po francusku, rosyjsku i angielsku, choć jej angielski nabrał wyraźnego żydowskiego akcentu, jaki miały wszystkie dzieci na Rivington.

Rosa popatrzyła na pełną łęku twarz Missie i uśmiechnęła się.

— Przyszłaś mnie rozweselić? Przydałoby się. — Nalała Missie herbatę. — No i? — zapytała. Usiadła i patrzyła na nią wyczekująco. — Opowiedz mi o Panu Zegarze z lombardu... podobno można według niego ustawić swój zegarek i sprawdzać kalendarz. A ty jako pierwsza odkryłaś, co go nakreca.

— Niczego nie odkryłam — odparła Missie. — To ja cały czas gadałam. Och, Rosa, powiedziałam mu wszystko. Rzeczy, których nigdy nie powinnam mówić. — Popatrzyła na nią oczyma pełnymi paniki. — Których nie powiedziałam nawet tobie.

— Najlepsi przyjaciele nie potrzebują słów — Rosa poklepała ją

pocieszająco po rękę. — Cokolwiek uczyniłaś, dla mnie jesteś w porządku. Wiem, że nie mogło to być nic złego.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła? — rzekła Missie. — Taka jestem głupia, nie umiem robić nic pożytecznego. Nawet nie wiem, jak znaleźć pracę.

Rosa w zamyśleniu wygładziła fartuch.

— Zawsze zostaje Chazir-Mark, Świński Rynek przy Hester, gdzie co rano zbierają się ludzie szukający pracy w fabrykach odzieżowych. — Zawahała się. — Nie jest to miejsce dla takiej dziewczyny jak ty, Missie, ale może na kilka tygodni... zanim znajdzie się coś lepszego. Przynajmniej zarobisz parę groszy. Oczywiście pod warunkiem, że cię wybiorą — dodała z westchnieniem. — Zawsze jest więcej chętnych niż pracy. A brygadziści mają swoich ulubieńców, którzy pracują najwięcej za najmniejsze pensje.

— Ale ja nawet nie umiem szyć na maszynie — odparła Missie z powątpiewaniem. — Cała moja wiedza jest bezużyteczna, znam daty powstania grobowców egipskich czy historię starożytnej Babilonii, ale nigdy nie nauczyłam się czegoś naprawdę przydatnego.

— Wiesz takie rzeczy? — zapytała zdumiona Rosa. — Powinnaś być profesorem, a nie robotnicą. Ale potrzeba prowadzi nas w różne dziwne miejsca i Świński Rynek to jedyne, co mi przychodzi do głowy, skoro nie ma już baru O'Hary. — Zerknęła na Missie z ukosa. — Masz od niego jakieś wieści?

Missie z rumieńcem potrząsnęła przecząco głową.

— Żadnych, odkąd wyjechał do New Jersey. Ale nie spodziewałam się wiadomości po tym, jak odrzuciłam jego oświadczyzny.

Rosa westchnęła.

— *Meszugene* — mruknęła. — To dobry, silny mężczyzna, przy którym pławiłabyś się w luksusie. Czegóż więcej może chcieć dziewczyna?

— Miłości — szepnęła Missie.

Ich oczy spotkały się, Rosa wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń.

— Ach, miłość — powiedziała z goryczą. — Mam wrażenie, że miłość zawsze się kończy tak samo: wiecznie niezadowolony mąż, dwa pokoje i dwudziestka dzieci. Nigdy nic się nie zmienia.

Następnego dnia o szóstej rano Missie pospieszyła na Hester Street. Zaczynał padać śnieg; podniosła kołnierz palta żałując, że nie zdjęła róż z kapelusza — wilgoć na pewno je zniszczy. Przystanąła na skraju tłumy i rozejrzała się dokoła. Byli tu głównie mężczyźni, niektórzy

nnwet porządnie ubrani. Plotkowali, kupowali kawę i rogaliki w stoisku po drugiej stronie ulicy. Inni stali po prostu ze skulonymi ramionami, z podniesionymi kołnierzami i zgrabiałymi rękami w kieszeniach, przytupując, żeby się rozgrzać. Kobiety pozawijały głowy w szale i czekały spokojnie na boku, jedne młode, inne starsze. Missie poczuła, iż nie pasuje do nich w swoim zbyt wytwornym kapeluszu, i pożałowała, że nie wzięła chusty.

O szóstej trzydzieści przyjechali nadzorcy, stanęli na prowizorycznym podwyższeniu ze skrzynek po pomarańczach, zaczęli się rozglądać i wybierać na ludzi. Kobiety przepychały się do przodu, żeby dać się zauważyć, Missie została jednak z tyłu i czekała. Napotkała spojrzenie rygadzisty w czarnym meloniku; popatrzył na nią przez sekundę, po czym odwrócił wzrok. Przygnębiona spuściła oczy, kiedy krzyknął "To wszystko na dziś!" i wybrani oddalili się pospiesznie z kwitkami w dłoniach.

- Spróbuj jutro, kochanie — poradziła jej gruba Irlandka. — Może ci się poszczęści.

Następnego ranka Missie w chuście na głowie znów czekała wraz z innymi w śniegu po kostki. Lodowata woda przenikała cienkie jak papier podeszwy jej butów. Wśród nadzorców był ten sam mężczyzna w meloniku co wczoraj i znów spojrzał na nią, zastanawiając się przez chwilę. Nadzieja błysnęła w jej oczach, lecz on ominął ją i wybrał inną. Missie jęknęła, a kobieta stojąca obok powiedziała współczująco:

- Następnym razem pchaj się do przodu, żeby na pewno cię zobaczył. Zawsze zauważają ładne buzie — dodała smutno.

Trzeciego dnia Missie zasnęła. Kaszląc i kichając narzuciła ubranie i pospiesznie wyszła z domu. Przebiegła po śliskim, oblodzonym chodniku cztery przecznice do Hester Street. Nadzorcy już tam stali i wybierali ludzi. Pomna rady wczorajszej znajomej, Missie przepchała się łokciami do przodu. Stanęła przytupując, ściskając chustę pod brodą i spoglądając na mężczyzn na skrzynkach jak na bogów z Olimpu.

Brygadzysta w meloniku był chudy i żylasty, miał ostre rysy i bystre czarne oczy. Na widok Missie rozciągnął w półuśmiechu wąskie wargi i tym razem kiwnął głową.

- Ty — wskazał ją palcem.

Zerknęła na boki — czy naprawdę chodziło mu o nią?

- Ja...? — zapytała i z niedowierzaniem przyłożyła palec do piersi. Skinął głową.

- Chodź tu, weź kwit — rzucił szorstko. Musnęła dłonią jego

rękę, kiedy brała bilet. — Fabryka Zimmermana, trzy dni, na Canal Street — dodał ostro. — Nie spóźnij się.

Biegąc z nowinami do Rosy, Missie miała skrzydła u stóp. Zawinawszy w gazetę kromkę chleba i śledzia na obiad, ruszyła biegiem na Canal Street i stawiała się w fabryce punktualnie o siódmej.

Zakłady Zimmermana były ogromne, zajmowały pół ulicy między dwoma przecznicami i pięły się na trzy piętra w górę. Missie przepchała się z tłumem przez bramę, pokazała nadzorcy kwit, tak jak to robili inni, i zaczęła się przesuwac między maszynami do szycia. Gruba Irlandka, którą widziała pierwszego ranka na Hester Street, uśmiechnęła się do niej.

— A więc dostałaś pracę? Chodź, weź tę maszynę, przy oknie jest więcej światła.

Missie usiadła przy stoliku i niepewnie popatrzyła na maszynę. Obok przebiegł młody chłopak i rzucił jej kosz ze skrojonym i pofastrygowanym materiałem.

Irlandka przyjrzała się zawartości kosza.

— Rękawy — powiedziała. — Już je kiedyś robiłaś, prawda?

Missie potrząsnęła głową.

— Pierwszy raz w życiu widzę maszynę do szycia — wyznała. — Ale potrzebowałam pracy. Mam na utrzymaniu małą dziewczynkę. Myślałam, że się nauczę.

Kobieta westchnęła.

— Jasne, że się nauczysz — powiedziała. — Każda z nas kiedyś musiała. Ale lepiej nie zaczynać od rękawów. Pokażę ci, jak nawlec nici i co robić, a potem poproszę Sammy'ego, żeby dał ci kawałki z prostymi szwami.

Irlandka była życzliwa i konkretna, i Missie stwierdziła, że szycie na maszynie nie jest wcale takie trudne: po piętnastu minutach szyła już proste szwy. Płacono im od sztuki, powiedziała więc z poczuciem winy:

— Zabieram pani czas. Przeze mnie traci pani pieniądze.

— Nadrobię to — odparła kobieta z uśmiechem. — Wiem, kim jesteś. Pracowałaś w barze O'Hary. Widziałam też twoją małą, jest śliczna. Nazywam się McCreedy — dla przyjaciół Georgie. Ale teraz lepiej bierzmy się do roboty, zanim nadzorca przyłapie nas na gadaniu.

Terkot maszyn, przenikliwy syk wielkich żelazek, kłęby pary. głośno wydawane rozkazy i tłum ludzi w kiepsko oświetlonej hali przytłaczały Missie, pochyliła jednak głowę i zabrała się do pracy. O ósmej trzydzieści stosik w jej koszu zaczął się zmiejszać i poczuła się zadowolona z siebie, dopóki Sammy nie napełnił go od nowa. Przed

dziesiątą rozbolała ją głowa od hałasu, a od ciasnoty i kurzu zrobiło się jej niedobrze. Wiedziała, że ma szczęście siedząc przy oknie. Zazwyczaj pracowali tu krojczy. O dziesiątej nastąpiła dziesięciominutowa przerwa. Missie przyłączyła się do kobiet wychylających się przez okna i palących ukradkiem skręty — palenie było zakazane, papierosy spowodowały już w wielu fabrykach poważne pożary, w których zginęło mnóstwo osób. Wystawiła głowę wdychając lodowate powietrze, przyjemnie rześkie po dusznej hali fabrycznej. Za chwilę jednak znów siedziała przy maszynie z wiecznie pełnym koszem „kawałków”. Nie licząc tych dziesięciu minut pracowała już pięć godzin, a mimo to tylko raz zmieniono jej kosz, podczas gdy kosze innych napełniano kilkakrotnie.

— Nie przejmuj się — pocieszyła ją Georgie, gdy Missie jadła swój chleb ze śledziem. — Kiedy nabierzesz wprawy, pójdzie ci szybciej.

O szóstej trzydzieści wszyscy wyszli w milczeniu, zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać.

Missie czuła się tak, jakby szyła nawet przez sen, lecz przez następne dwa dni punktualnie stawiała się u Zimmermana. Wreszcie tryumfalnie stanęła w kolejce po wypłatę. Praca była na akord, nie wiedziała więc dokładnie, ile zarobiła.

— Za wolno pracujesz — rzucił sucho nadzorca, kiedy wręczał jej pieniądze. — Więcej nie przychodź.

Zaskoczona Missie otworzyła usta.

— Och, ja się poprawię... — wyjąkała. — Uczę się.

— Tu nie ma czasu na naukę — uciął. — Następna.

Odsunęła się na bok, żeby stojąca za nią dziewczyna mogła odebrać pieniądze. Powstrzymała łzy — płacz nie pomoże jej zdobyć pracy.

— Przyjdź w poniedziałek na rynek — szepnęła Georgie przechodząc obok. — Zawsze jakiś zakład potrzebuje robotników.

Missie otworzyła dłoń i spojrzała na zarobione przez trzy dni pieniądze. Dostała równo pięć dolarów.

Rozdział 22

W niedzielę wieczorem Missie siedziała w ukraińskiej restauracji naprzeciwko Zeva z uczuciem poniesionej klęski.

— Naprawdę się starałam, panie Abramski — rzekła smutno — ale nie byłam wystarczająco szybka.

Wzruszył ramionami.

— Taka dziewczyna jak pani nie powinna pracować w szwalni — powiedział z nutą gniewu w głosie. — Nie pozwolę na to, Missie. — Chrząknął przepraszająco. — Proszę wybaczyć, chciałem powiedzieć pani O'Bryan.

— Nie, nie, proszę mi mówić Missie, tak jak wszyscy — zawołała szybko.

W ciemnych oczach Abramskiego pojawił się blask. Uśmiechnął się i rzekł:

— Byłoby mi miło, gdybyś nazywała mnie Zev.

Pomyślała, że rzadko się uśmiecha i ma takie smutne oczy. Nagle uświadomiła sobie, jaki jest młody. Zawsze myślała o nim jako o Zevie Abramskim, właścicielu lombardu, a nigdy jako o młodym mężczyźnie. Poczuli się winna: tak bardzo była pochłonięta własnymi kłopotami, że nawet nie zainteresowała się jego sprawami — raz tylko spytała, czy jest szczęśliwy, choć wyraźnie widziała, że nie. Zastanawiała się, co jest przyczyną smutku czającego się w jego ciemnych oczach. Niespodziewanie dla samej siebie powiedziała impulsywnie:

— Opowiedz mi o sobie, Zev. Wiem, że urodziłeś się w Rosji, ale gdzie?

Zev wziął głęboki oddech. Czuł, że cały drży w środku. Przez te wszystkie lata nigdy, nigdy nie powiedział nikomu nic o sobie. Porozumiewał się jedynie ze zmarłymi, w snach.

Pociągnął duży łyk wina zastanawiając się, jak zacząć. Jak ludzie

wyrażają swoje lęki, opowiadają o upodleniu, odśłaniają najskrytsza uczucia przed innymi? Zapatrzył się w fiołkowe, pełne ciepła i zachęty oczy Missie, która nagle pochyliła się i ujęła jego dłoń. Ten jeden przyjazny, ludzki gest zerwał tamę cierpień nagromadzonych przez dwadzieścia pięć lat.

Opowiedział jej wszystko o rodzinie w Rosji, o ucieczce z pogromu, o tym, jak w wieku siedmiu lat znalazł się sam w Nowym Jorku, i zamilkł. Po prostu nie mógł mówić dalej.

Ścisnęła ze zrozumieniem jego dłoń. Zawołał kelnera i zamówił drugą butelkę cierpkiego czerwonego wina. Napełnił swój kieliszek i wychylił do dna, żeby dodać sobie odwagi.

— Jak mam ci powiedzieć, co czułem? — zapytał ochryple. — Byłem dzieckiem, sam w nowym kraju, którego języka nie znałem. Za bardzo się bałem, żeby poprosić o pomoc. Poczekałem, aż więcej ludzi wyjdzie z portowej hali, po czym ruszyłem za nimi. Szedłem i szedłem, ale nie mogłem nigdzie dojść, ponieważ nie miałem dokąd.

Kiedy zapadła noc, znalazłem się w labiryncie ulic. Wszystkie wyglądały tak samo: wysokie, wąskie budynki z cegły z kamiennymi schodkami. Spałem pod takim schodami tamtej nocy. Następnego dnia znów chodziłem po ulicach. Przestałem płakać. Zabrakło mi łez, został tylko straszny, szarpiący wnętrzości głód. W nocy jak zwierzę szperałem po śmietnikach w poszukiwaniu obierok, gnijących owoców i kości. Za dnia chodziłem bez celu. Pewnego wieczoru zaczęło padać, zrobiła się porządna ulewa i szybko przemokłem do suchej nitki. Tylko stopy w nowych butach od wuja miałem suche. Pod mostem znalazłem tekturowe pudło i włożyłem do środka. Poczułem się bezpieczny w czterech kartonowych ścianach, więc natychmiast zasnąłem. W nocy jakiś człowiek obudził mnie krzykiem i szarpaniem za kołnierz. Zobaczyłem czerwoną, wykrzywioną, okoloną zwichrzoną siwą brodą twarz. To było jego pudło, spałem w jego domu. Czułem, że może mnie za to zabić, jak wściekła bestia walcząca o swoje terytorium. Wskoczyłem z pudła i uciekłem.

Następnego dnia niespodziewanie się ochłodziło, deszcz przeszedł w śnieg. Podniosłem kołnierz i chodziłem bez przerwy — wiedziałem, że jeśli się zatrzymam i położę, mogę nigdy więcej nie wstać. Ale wkrótce pomyślałem, że nie ma to już znaczenia. Lepiej mi będzie na tamtym świecie. Wtedy zobaczyłem grupę mężczyzn i chłopców z szuflami — wysłano ich do odgarniania śniegu. Podbiegłem szybko i przyłączyłem się do nich. Płacono pięćdziesiąt centów za dzień. Pracowałem razem z nimi odgarniając śnieg, a pod koniec dnia odebrałem moje pięćdziesiąt centów, poszedłem do baru po drugiej

stronie ulicy i kupiłem sobie dwie parówki z kiszoną kapustą. Pierwsze amerykańskie jedzenie. Napchałem się chlebem i wypłem chyba z litr mleka, a potem wyszedłem i wszystko zwymiotowałem. Pomyślałem sobie: taka strata, moje pięćdziesiąt centów przepadło. Śnieg przestał padać po tygodniu, ale wówczas miałem już jakieś jedzenie w brzuchu i znalazłem do spania ciepłą kratę, przez którą wydobywała się para z barowej kuchni.

Zev zamilkł. Było coś, o czym nie mógł jej powiedzieć, o czym nie powie nikomu: jak z ciepłej kryjówki wywlekli go napastliwi mężczyźni, jak wrzeszczał, gryzł, drapał i wrywał się, aż wreszcie udało mu się uciec; jak potem pobiegł nocą na wielki most, stanął na środku i modlił się o odwagę, żeby skoczyć do głębokiej, ciemnej wody. Ale okazał się tchórzem, więc żył.

— W końcu znalazłem się w dzielnicy wschodniej — powiedział. — Zobaczyłem siwego staruszka, który próbował pchać stragan na kótkach, lecz był już za słaby. Podbiegłem, żeby mu pomóc, przejechałem mu wózek aż na Rivington Street. Dał mi za to dziesięć centów i uśmiech, a potem zapytał, czyj jestem i gdzie mieszkam. Odparłem, że niczyj i nigdzie. Patrzył na mnie długo, wreszcie powiedział: „Więc jesteś sierotą i mówisz tylko po hebrajsku. Jestem stary, potrzebny mi pomocnik. Zostań ze mną, pomożesz mi przy wózku, zapłacę ci pięćdziesiąt centów za każdy dzień, plus chleb i pikle na obiad”.

Wieczorem zabrał mnie do siebie. Zajmował nędzny pokój w domu przy Stanton Street, ale miał stojącą na podwórzu szopę, w której trzymał wózek, i tam spałem. Pracowałem sześć dni w tygodniu za trzy dolary, miałem dach nad głową i jedzenie, a w nocy chowałem się w mojej bezpiecznej komórce.

Dowiedziałem się, że mój pracodawca nazywa się Zemetkin i ma siedemdziesiąt pięć lat. Przed trzydziestu laty zostawił w Polsce żonę z dziećmi i przyjechał do Ameryki w poszukiwaniu szczęścia. Nigdy go nie znalazł, więc nigdy nie sprowadził rodziny. Po wielu latach dowiedział się, że jego wioska została zniszczona i wszyscy zginęli.

Zev znowu przerwał, upił łyk wina i popatrzył na Missie.

— Przez trzy lata mieszkałem w drewnianej szopie na Stanton Street, zimą zamarzając, a w lecie gotując się z gorąca. Nie byłem szczęśliwy ani nieszczęśliwy, po prostu egzystowałem. Nie pamiętam, żebym się kiedyś śmiał — dodał cicho — ale nie pamiętam też, żebym płakał. Nigdy nie chodziłem do szkoły, złapałem tylko trochę angielskiego na ulicy.

Pewnego ranka jak co dzień przygotowałem wózek, załadowałem okulary, nożyczki, kłódki, klucze i inne drobiazgi, które sprzedawał stary Zametkin, i czekałem w szopie, aż jak co rano przyjdzie po mnie o szóstej trzydzięci. Ale nie przyszedł. Po godzinie czekania poszedłem do jego pokoju i zapukałem. Nikt nie odpowiedział. Drzwi nigdy nie były zamknięte, wszedłem więc do środka. Leżał na podłodze z zakrwawioną głową i szeroko otwartymi oczyma. Widziałem takie samo spojrzenie w oczach mojego ojca, zrozumiałem więc, że Zametkin nie żyje. Ktoś go zabił uderzeniem w głowę, zamordował dla kilku dolarów, które nosił przy sobie. Usłyszałem hałas przy drzwiach i podniosłem wzrok — zobaczyłem mnóstwo twarzy, wszyscy wpatrywali się w Zametkina i we mnie. Wiedziałem, co myślą. Ze to ja go zabiłem.

Głos mu się załamał. Missie patrzyła na niego ze współczuciem, ściskając mocno jego dłoń.

— Zabrała mnie policja. Poszedłem bez słowa. Nie wiedziałem co mówić, poza tym, że był moim przyjacielem, że był dobry, że pracowałem dla niego i nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Wsadzili mnie do celi i zostawili. Nie było okna, tylko cztery kamienne ściany, wilgotne i śliskie. Wyłączyli światło zostawiając mnie w ciemności, nie wiedziałem więc, czy jest noc, czy dzień, ani ile czasu minęło. Słyszałem biegające karaluchy i pisk szczurów — czułem, jak przemykają obok mnie, kiedy siedziałem skulony na ławce. Miałem wrażenie, że cała cela żyje, roi się od robactwa. Od czasu do czasu ktoś przychodził z talerzem jedzenia i blaszanym kubkiem z wodą, nie mogłem jednak jeść. Nikt mnie nie odwiedzał. Nikogo nie obchodziłem.

Aż nagle przyszli i zapalili światło. Wychodź, powiedzieli, jesteś wolny. Złapali prawdziwego mordercę. Zabił następnego człowieka, i tym razem ktoś go zobaczył. Znow znalazłem się na ulicy, zawszony, brudny i samotny.

Zajrzałem do mojej szopy, ale stał tam już cudzy wózek, a na drzwiach wisiała kłódka. Ponownie spałem pod mostem. Następnego dnia poszedłem do łaźni i poprosiłem o odwzienie. Zacząłem rozpytywać wśród handlarzy na Rivington, czy któryś nie potrzebuje pomocy. Pracowałem trochę tu, trochę tam. Potem ktoś mi powiedział, że właściciel lombardu, Mintz, jest chory i szuka kogoś do poprowadzenia interesu. Miałem dwanaście lat i byłem drobny, ale nie wyglądałem młodo. Zdążyłem się już zestarzeć. Mintz dostrzegł to, wziął mnie na pomocnika i pozwolił nocować w sklepie. Jego żona zmarła rok wcześniej, a jedyna córka wyprowadziła się i zerwała z nim

kontakt. Nie wiedział, dokąd wyjechała i co się z nią dzieje. Przez trzy lata prowadziłem lombard, zarabiając pięć dolarów tygodniowo. Nigdy nie dostałem żadnej podwyżki, nie chciałem o nią prosić w obawie, że Mintz da moją posadę komuś innemu. Tymczasem mój chlebodawca zapijał się na śmierć w pokoju na tyłach. Kiedy umarł, tylko ja szedłem za trumną. Po pogrzebie wróciłem do lombardu i dalej prowadziłem interes. Pieniądze Mintza leżały w banku, nigdy ich nie dotknąłem — podpisałem jedynie nową umowę o wynajem. Powiedziałem właścicielowi domu, że mam dwadzieścia jeden lat, choć miałem zaledwie piętnaście. Pracowałem tak samo jak wcześniej, a potem zacząłem wprowadzać zmiany, ulepszać interes.

Pomyślałem też o sobie. Poszedłem do wieczorowej szkoły, nauczyłem się czytać i pisać po angielsku; odkryłem radość, jaką dają książki. Nie mogłem się nacytać do syta! Kupiłem fortepian i nauczyłem się grać. Ale zawsze trzymałem się sam. Za bardzo się bałem zbliżyć do kogoś, bo mogłoby się wydać, że jestem w Ameryce nielegalnie, bez żadnych papierów.

Na koniec powiedział:

— Jestem nikim w Ameryce i nikim w Rosji. Ot, jakiś tam właściciel lombardu.

Missie popatrzyła na niego, przycisnęła jego dłoń do policzka i szepnęła:

— Papiery nie są ważne. Ważne, czym jesteś, kim jesteś. A jesteś odważnym człowiekiem. Teraz cię znam, Zev, tak jak ty znasz mnie i moją historię. Wyjawiliśmy sobie swoje sekrety. Dla mnie jesteś naprawdę kimś.

W drodze powrotnej zachowywali milczenie — jak zwykle — ale tym razem Zev szedł bliżej Missie, Nie na tyle blisko, żeby dotknąć jej dłoni, ale bliżej niż poprzednim razem. A kiedy się żegnali, Missie przysunęła się do niego i pod wpływem impulsu pocałowała go w policzek. Zev, wracając tej nocy do lombardu, był najszczęśliwszym człowiekiem w Nowym Jorku.

Zobaczywszy Missie w poniedziałek, Rosa od razu zrozumiała, że przyjaciółka nie znalazła pracy. Miała ściągniętą twarz i znużone oczy; nawet kwiaty na jej kapeluszu opadły.

— Nie przejmuj się — powiedziała Rosa, siląc się na beztroskę. — Bezrobocie to jeszcze nie koniec świata. Każdemu się zdarza. — Wygładziła dłonią czarne loki, wpychając niesforne kosmyki z po-

wrotem w węzeł na karku, wzięła się pod boki i popatrzyła na Missie. Przeraziła ją bezgraniczna rozpacz w jej oczach, przytuliła ją więc, jak matka przytula dziecko. — Wszystko będzie dobrze — szepnęła. — Mam pięć dolarów schowanych w starym samowarze z dala od myszkujących rąk Meyera, który by je wydał na whisky podczas spotkań związkowych. Weź je. Tobie bardziej się przydadzą.

Missie potrząsnęła głową.

- Nie mogę wziąć twoich pieniędzy, Rosa — rzekła cicho. — Wiem, ile cię kosztowało, żeby je zaoszczędzić.

- Dla przyjaciół to tak jak dla siebie — powiedziała Rosa, szybko wyjmując banknoty z samowara i wciskając je Missie w dłoń. — Martw się tylko o siebie, tutaj jedna gęba więcej nie stanowi problemu.

Spojrzały na Azaylee, która siedziała przy stole i jadła kolację z trzema córeczkami Rosy. Wydawała się tak jasna w porównaniu z nimi.

— Wygląda jak dziecko podmienione przez Cyganów i podrzucone mi na próg! — zawołała ze śmiechem Rosa.

Missie usiadła przy stole, Rosa postawiła przed nią szklankę z herbatą i położyła grubą pajdę chleba z kurzym smalcem.

— Kiedyś Cyganka powiedziała mi, że spocznie na mnie odpowiedzialność za losy świata — odezwała się Missie w zamyśleniu. — Sądźisz, że miała na myśli opiekę nad Azaylee? Ale jak Azaylee mogłaby zmienić świat?

— Może wyrośnie na prezydenta Stanów Zjednoczonych? — Rosa usiadła obok Missie i wzięła sobie kawałek chleba.

— Kiedy dorosnę — wtrąciła się Azaylee — zostanę tancerką.

— Tancerką? — zaśmiała się Rosa. — Znaczy się baleriną?

— Baleriną — potwierdziła Azaylee stanowczo.

— Nie możesz być baleriną — powiedziała Hannah. — Nie masz sukienki.

— Mogę, właśnie, że mogę — rozszlochała się Azaylee. Rzuciła chlebem w Hannah, doskoczyły do siebie i obie upadły na podłogę.

Missie patrzyła na to zaszokowana.

— Azaylee! — krzyknęła i oderwała małą od Hannah.

— Dobrze, że ma charakter — powiedziała Rosa spokojnie. — Hannah za bardzo się rządzi.

— Musiałabyś brać lekcje, żeby zostać tancerką — stwierdziła jak zawsze praktyczna Sonia. — A na to cię nie stać.

Azaylee nie była pewna, co to znaczy, i żałośnie popatrzyła na Missie. Miała podrapany nos, a brudna linia pod brodą wskazywała

wyraźnie, że przed kolacją umyła tylko twarz. Tak dalej być nie może, pomyślała Missie, dosyć już, dosyć...

— Opowiesz mi, jak było? — spytała Rosa, spoglądając na zegarek. Spodziewała się Meyera o siódmej, a była już szósta trzydzieści. Miały czas, ale wiedziała, że Missie nie zostanie, kiedy Meyer wróci. Nie znosiła go.

Missie wzruszyła ramionami.

— Był znów ten nadzorca w meloniku — powiedziała. — Wiesz, ten, o którym ci mówiłam, że mnie wziął do Zimmermana. No więc znów mnie wybrał i posłał do Galińskiego.

Rosa kiwnęła głową. Słyszała o Galińskim. Mały zakład z trudem wiążący koniec z końcem, biorący w razie potrzeby tanich, sezonowych robotników.

— Poza mną były tam tylko dwie osoby — mówiła Missie dalej. — Krojczy piętro wyżej i pan Galiński w swoim biurze. Sześć pokazał mi maszynę i kazał zaczynać. Pracowałam do południa, a potem zrobiłam sobie przerwę. „Za przerwy nie płacę”, powiedział wtedy Galiński. Odparłam, że wiem. Włożył kapelusz, płaszcz i poszedł na obiad. Wróciłam do maszyny i po chwili poczułam, że ktoś za mną stoi. To był nadzorca, ten, który mnie wybrał. Zapytał, czy wszystko w porządku, i przysunął się. Powiedziałam, że tak, i szyłam dalej. Przysunął się jeszcze bliżej. — Missie zarumieniła się, napotykając pełne zrozumienia spojrzenie Rosy. — Położył mi rękę na ramieniu, potem zsunął ją niżej... — Spuściła oczy i wyszeptała: — Powiedział, że codziennie będę miała pracę, że ułatwi mi życie, że dobrze zarobię... jeśli będę dla niego miła.

Rosa popatrzyła na nią, po czym zapytała wstrzymując oddech:

— I co zrobiłaś?

— Złapałam krawieckie nożyce i oświadczyłam, że jeśli się do mnie zbliży, wbiję mu te nożyce tak, że nigdy już nie będzie mógł napastować żadnej dziewczyny.

Rosa odrzuciła głowę i wybuchnęła śmiechem.

— Missie O'Bryan! — zawołała łapiąc powietrze i ocierając łzy. — Sześć miesięcy temu nie przyszedłoby ci to do głowy! Stałaś się prawdziwą dziewczyną ze wschodniej dzielnicy!

Missie spojrzała na Azaylee.

— Ona też... — rzekła z goryczą. — A nadzorca kazał mi się wynosić, więc wyszłam — zakończyła. — Krzyknął, że nie dostanę ani grosza i żebym więcej się nie pokazywała na rynku, jeśli wiem, co dla mnie dobre. I tyle — wzruszyła ramionami.

— Powinnaś iść do centrum, Missie — stwierdziła Rosa. — Jesteś

za dobra na tę okolicę. Na Piątej Alei są eleganckie sklepy, w których sprzedają piękne ubrania dla bogatych kobiet. Potrzebują szwaczek, pomocnic — wszystko będzie lepsze od fabryki. Weź te pięć dolarów — przekonywała. — Idź tam jutro.

Tej nocy, kiedy Azaylee już spała, Missie wyjęła spod łożka walizkę Sofii, otworzyła ją i popatrzyła na złotą tiarę, ogołoconą z brylantów z wyjątkiem czterech największych i wielkiego zielonego szmaragdu. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby weszła do Cartiera i oznajmiła: „Chcę sprzedać tiarę Iwanowów”. Zawołaliby policję? Nie miała żadnego dowodu, że tiara należy do niej, a Azaylee nazywa się Iwanow. Miała jedynie dokumenty dotyczące jakichś kopalń w Indiach; pożółkły już ze starości, z pieczęci na różowych wstążkach odpadał czerwony wosk.

Wzięła do ręki fotografię Miszy i znów spojrzała na drogą twarz, jak to często robiła w samotności. Czasami czuła przy sobie jego obecność, jak gdyby on też o niej myślał. Wyjęła broszkę, przypięła ją do sukienki i podeszła do lustra, żeby się przejrzeć. Brylanty migotały, rubiny płonęły tajemniczo. Tylko tyle jej po nim zostało, dla niej to wybrał, trzymał to w swoich dłoniach i patrzył jej w oczy szukając w nich radości, kiedy jej to dawał. Nie, nigdy, nigdy nie rozstanie się z tą broszką. Prędej umrze z głodu.

I pewnie tak będzie, pomyślała chowając klejnoty do walizki, jeśli nie znajdzie pracy w tym tygodniu. Rzuciła okiem na stare palto wiszące na gwoździu i na kapelusz ze smętnymi kwiatami. Żeby dostać pracę w centrum miasta, musi przyzwoicie wyglądać. Trzeba będzie zainwestować. Popatrzyła na pięć dolarów Rosy i powiedziała sobie, że jutro rano pójdzie do sklepu Głanza na Grand Avenue i kupi sobie nowy płaszcz. Wpłaci zaliczkę, a kiedy dostanie posadę, zapłaci resztę w tygodniowych ratach, jak to tutaj robiły wszystkie kobiety. Wiedziała, że ryzykuje, ponieważ istniało niebezpieczeństwo, że nie znajdzie pracy. Ale może wreszcie się jej powiedzie. Tym razem zacznie od samej góry. Od Park Avenue.

Zjawiła się w sklepie Głanza natychmiast po otwarciu i wybrała modnie skrojony, prosty płaszcz z granatowej wełny. Kupiła też parę rękawiczek. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na nowy kapelusz, wróciła więc do straganu Zabara i kupiła pojedynczą sztuczną gardenię na miejsce róż przy starym kapeluszu. Potem wypastowała buty i w podnieceniu zbiegła do Rosy.

— Obróć się — poleciła Rosa, oglądając ją dokładnie od stóp do

głów. — Patrzcie państwo, cóż za dama! — zachwyciła się. — Szykowna jak bogate elegantki z Park Avenue.

Missie zaśmiała się.

— Czy mój kapelusz dobrze wygląda? — zapytała, dotykając z powątpiewaniem gardenii.

— Znakomicie — oświadczyła Rosa. — Nie będzie ci potrzebna praca, wyjdiesz za mąż, jak tylko cię zobaczy jakiś dyrektor.

Missie ucałowała ją ze śmiechem i wyszła. Rosa podbiegła do okna i patrzyła na idącą ulicą przyjaciółkę. Wychyliła się.

— Powodzenia, Missie! — zawołała machając ręką. Całym sercem życzyła jej, żeby znalazła pracę.

Rozdział 23

Drzwi u szczytu nieskazitelnie białych schodów z marmuru powleczone były błyszczącą purpurową emalią, na środku zaś wisiała duża mosiężna tablica z ozdobnym napisem „Elise”. Przed drzwiami przechadzał się portier w eleganckim żółtym uniformie, błyszczącym od złotych guzików. Założywszy wojowniczo ręce na brzuchu, spojrzął w dół na Missie, która stanęła z wahaniem przy najniższym stopniu.

— Czego chcesz? — wrzasnął.

Missie wzdrygnęła się i odparła pospiesznie:

— Ja... przyszłam w sprawie pracy.

— Co ty, głupia jesteś? W sprawie pracy idzie się do tylnych, a nie frontowych drzwi. Ruszaj, mówię ci! Masz mi się tu nie szwendać. Szybciej, szybciej! — Odgoniwszy ją, zbiegł po schodach, żeby otworzyć drzwi purpurowej limuzyny, i z obłudnym uśmiechem pomógł wysiąść wysokiej rudej kobiecie. Missie odwróciła się, chcąc popatrzeć. Kobieta była niemłoda, chuda jak szczapa i ubrana z wyszukaną elegancją. Zauważyła Missie i przez chwilę przyglądała się jej z namysłem. Powiedziała coś do portiera, ponownie się obejrzała, po czym wpłynęła majestatycznie na marmurowe schody i zniknęła za purpurowymi drzwiami.

— Hej, ty! — portier machnął do niej ręką i Missie niechętnie zrobiła krok w jego kierunku. — Masz szczęście — rzekł. — To była sama Madame Elise. Zapytała, czego chcesz, więc wyjaśniłem, że pytałaś o pracę. Kazała ci się zgłosić do pani Masters, która jest kierowniczką pracowni. Może potrzebuje pomocnicy. — Uśmiechnął się nagle. — Przepraszam, że krzychałem, mała — powiedział — ale czekałem na Madame, a ona nie znosi, jak ktoś się płacze po schodach i psuje jej wielkie *entree*. Powiedz Joe'emu przy tylnym

wejściu, że to ja cię przysłałem, i poproś, żeby postawił za mnie dolara na Mawchopa w biegu o wpół do trzeciej.

— Dolar na Mawchopa — powtórzyła, po czym odwróciła się i pobiegła, żeby zdążyć do pracowni, zanim Madame zmieni zdanie.

Pani Masters okazała się babą-dragonem. Kazała Missie czekać ponad pół godziny, a kiedy wreszcie wparadowała do pokoju, szeleszcząc sztywnym liliowym jedwabiem, spjrzała na siedzącą przy drzwiach dziewczynę jak na intruza.

— Kim jesteś? Kto cię tu wpuścił?

— Joe. Kazał mi zaczekać — odparła Missie. — Madame Elise powiedziała, że może znajdzie się dla mnie praca.

— Praca? — Świdrujące oczy pani Masters przesunęły się po niej od góry do dołu. Missie wiedziała, że tamta wycenia jej nowy płaszcz, przechodzony kapelusz oraz rozdeptane skórzane buty i od razu umieszczają na właściwym szczeblu drabiny pieniężnej. Pani Masters wyglądała na kobietę dumną z tego, że nigdy nie dała się nikomu oszukać.

— Co umiesz? — spytała wyniośle.

Missie szybko uznała, że lepiej nie wspominać o fabryce, i odparła:

— Nie mam zbyt dużego doświadczenia, proszę pani, ale nauczyłam się szyć w szkole u sióstr. — Skrzyżowała palce za plecami w nadziei, że zakonnice wybaczą jej kłamstwo.

— U sióstr? — pani Masters nagle okazała zainteresowanie. — Oczywiście, one wciąż są najlepszymi nauczycielkami. Wiele naszych dziewcząt uczyło się w klasztorach. Pokaż ręce — rozkazała i Missie niechętnie ściągnęła rękawiczki, myśląc o swoich czerwonych dłoniach, zniszczonych od ciągłego zmywania i prania.

Dotknąwszy ich, pani Masters zmarszczyła nos z obrzydzeniem.

— Za szorstkie! Używamy tu tylko najlepszych, najdroższych tkanin: delikatnych jedwabi, szyfonu, koronek, materiałów wyszywanych srebrem i paciorkami. Przecież te ręce zniszczą wszystko, czego dotkną. Nie, przykro mi, ale nic z tego nie będzie. Do widzenia, panno...

— OBryan — dokończyła zrozpaczona Missie. Czekwała chwilę w nadziei na zmianę wyroku, ale pani Masters odwróciła się już i oglądała próbki tkanin przy oknie.

Joe, staruszek pilnujący tylnego wyjścia, podniósł wzrok znad programu wyścigów.

— Nie miałas szczęścia? — spytał współczująco. — Może następnym razem. Hej, powiedz Billowi przy frontowych drzwiach, że w Palisades nie biegnie żaden Mawchop.

Missie skinęła głową. Zaczynało padać. Zniechęcona postawiła kołnierz, zastanawiając się, dokąd teraz pójść. Skręciła za róg i podeszła do frontowych schodów, żeby przekazać wiadomość portierowi.

— Hej, hej, ty! — zbiegł po schodach, zanim zdążyła się odezwać. — Ty, zmokła kura, chodź tu!

— Musiałam coś pokręcić — podniosła głowę Missie. — Joe mówi, że o drugiej trzydzieści w Palisades nie biegnie żaden Mawchop.

— To kretyn, nie w Palisades, tylko w Saratodze! Ale nie chodzi mi o Joego, tylko o ciebie, Madame mnie przysłała. Zapytała panią Masters, gdzie jesteś, i stwierdziła, że sama z tobą porozmawia.

Missie popatrzyła na Billa z nadzieją.

— Ale po co?

Puścił oko.

— Kto wie? Może myśli, że jesteś damą w przebraniu i kupisz całą jej wiosenną kolekcję? W każdym razie teraz masz wejść frontowymi drzwiami i pójść do salonu. Pospiesz się, nie każ Madame Elise czekać, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

Pogonił ją przez marmurowy korytarz po schodach wyłożonych purpurowym chodnikiem i wprowadził do salonu. Missie rozejrzała się wokół. Znalazła się w olbrzymim pokoju z fiołkoworóżowym jedwabiem na ścianach oraz srebrnymi kinkietami o bladoróżowych abażurach. Łukowate okna ukryte były za kotarami ze sztywnej liliowej tafty, na podłodze leżał miękki szary dywan, na którym ustawiono złożone sofy i fotele obite jedwabiem w kolorach od purpurowego do liliowego. Wzdłuż ścian na pozłacanych rzeźbionych stolikach z lustrami stały kompozycje farbowanych kwiatów. W lustrach odbijały się trzy żyrandole.

Madame Elise, spowita w chmurę fiołkowego szyfonu, siedziała w drugim końcu pokoju na złotej, przypominającej tron kanapie, a obok niej na poduszce z purpurowego aksamitu spały dwa małe fioletowoszare pudelki.

— *Viens*, chodź tu — zawołała. — Szybko, dziecko, nie mam całego dnia. — Zmrużyła bystre szare oczy na widok Missie drepczącej nerwowo w jej kierunku.

— *Mon Dieu*, fes *chausseurs* — buty. — Jęknęła. — Zdejmij je *immédiatement!* Zniszczysz mój piękny szary dywan!

Missie zsunęła buty i stanęła, trzymając je niepewnie w rękę.

— Zdejmij płaszcz — poleciła Madame. — Szybko, szybko!

Ściągnęła płaszcz i przewiesiła go sobie przez ramię.

— Melodie! — zawołała Madame i do pokoju wbiegła młoda,

ładna pokojówka, ubrana w purpurową sukienkę i biały fartuszek z falbankami. — Prędko, weź od niej płaszcz i buty.

Machnęła ręką w stronę Missie.

— Odwróć się — zakomenderowała. — Tak, tak, dobra figura i wzrost... za chuda oczywiście, ale to dobrze... długa szyja... po prostu przepiękna. Pokaż mi nogi — rozkazała nagle.

Missie spojrzała na nią rozgniewana: dyrgowano tu nią, kazano pokazywać nogi, a ona nawet nie wie, o jaką pracę chodzi. Wzięła się pod boki gestem podpatrzonym u Rosy i zuchwale popatrzyła na Madame.

— Dlaczego? — zapytała.

— Dlaczego? A jak inaczej mam je ocenić? I nigdy nie opieraj tak rąk na biodrach, wyglądasz jak chłopka, a nie jak modelka.

— Modelka? — Missie mało czy nie wyskoczyły z orbit.

Madame Elise tupnęła niecierpliwie nogą w szary dywan.

— A po cóż miałabym z tobą rozmawiać? — spytała. — Dziewczęta stoją w kolejce, żeby zostać modelkami Elise, a ty tylko zadajesz pytania. Pokaż mi teraz buzię. Uklęknij przede mną.

Missie uklęknęła, Madame wzięła ją pod brodę i zaczęła przekręcać jej głowę we wszystkie strony.

— Ach — rzekła w końcu — czy masz naprawdę fiołkowe mój ulubiony kolor. — Uśmiechnęła się nagle. — Jesteś... niespodziewana — powiedziała. — Nie spodziewałam się znaleźć cię na schodach. Jesteś niespodziewanie piękna i niespodziewanie zostaniesz nową modelką. Moja ulubienica Barbara uciekła właśnie z milionerem z Teksasu. — Westchnęła teatralnie. — Wszystkie moje dziewczęta wychodzą za milionerów; każdy wie, że modelki Elise obracają się w najlepszym towarzystwie. Ale za tydzień mam pokaz wiosennej kolekcji, a wszystkie najpiękniejsze suknie zaprojektowałam dla Barbary. Tylko ona potrafiła właściwie ukazać zmysłowość tkanin. Jesteś wysoka, odpowiednio zbudowana, masz piękne włosy i oczy — a reszty cię nauczę. Przerobimy na ciebie suknie Barbary i zaprezentujes je w przyszłym tygodniu.

Opadła na sofę z tryumfalnym uśmiechem.

— Och, ale ja nie mogę... — zaczęła Missie. — Ja nigdy...

— Oczywiście, że możesz — przerwała jej spokojnie Madame Elise. — Zacznesz już dzisiaj. Ale najpierw herbata. — Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej pojawiła się Melodie z tacą. Madame posadziła Missie obok siebie. — Uważaj na *les eminences grises* — zaśmiała się. — Gryzą, kiedy się im przeszkadza. Zwłaszcza mężczyzn. Nienawidzą ich...

Missie usiadła skromnie na brzegu kanapy i wzięła filiżankę.

— *Eh bien* — rzekła Madame. — Teraz powiedz, jak się nazywasz.

— Missie, Missie O'Bryan.

Madame z niechęcią zamachała rękami.

— Och, nie, nie, nie... nigdy... Nie zgadzam się, żeby moja modelka miała na imię Missie. Jak służąca.

— No cóż, pani służąca ma na imię Melodie — odcięła się Missie.

Madame Elise roześmiała się, przeczesując dłonią bujne, płomien-norude loki.

— Tak naprawdę to ona nazywa się Freda. *Mon Dieu*, i co będzie? — Znów się roześmiała, aż obudziła pudle, które zaczęły piskliwie szczekać, wprawiając w drżenie sopte żyrandoli.

— Szczerze mówiąc, Madame — powiedziała Missie — w rzeczywistości nazywam się Verity. — Tak dawno nie używała tego imienia, że niemal o nim zapomniała.

— Verity? — Madame przekrzywiła głowę i ponownie przyjrzała się Missie. — *La verite*, prawda. To mi się podoba, spokojne, chłodne, eleganckie. Niemal dziewicze. Tak, pasuje do ciebie. Od tej chwili jesteś Verity. A teraz chodźmy do garderoby. Musimy przymierzyć suknie.

Missie pomyślała o swojej połatanej bieliźnie i z przerażeniem spojrzała na Madame.

— Ale ja nie mogę... to znaczy... — Czuła się tak upokorzona, że chciała umrzeć. Zaczerwieniona wyjaśniła szybko: — Widzi pani, jestem biedna. Nie mam ładnych rzeczy, a moja bielizna...

— Ach, rozumiem — twarz Elise złagodniała, Madame pochyliła się i poklepała Missie po kolanie. — To żaden wstyd, dziecko — powiedziała cicho. — Zaczniemy „od spodu”, jak to się mówi. — Zawołała pokojówkę i poleciła jej głośno: — Weź Verity do działu z bielizną i powiedz im, żeby ją wyposażyli we wszystko, co potrzebne. I co najlepsze.

Mrugnęła do Missie.

— Nie ma to jak pocałunek *crepe de Chine* na skórze — szepnęła śmiejąc się figlarnie.

Dochodziła szósta, kiedy Missie wyszła wreszcie od Madame Elise i pobiegła do kolejki na Drugiej Alei. W jednym ręku ścisnęła kapelusz, w drugim fioletową paczkę z nadrukiem „Elise”.

Podróż ciągnęła się bez końca. Kiedy Missie w końcu dotarła do wschodniej dzielnicy, biegiem pokonała drogę na Rivington, wpadła do domu i załomotała do drzwi Rosy pękając z radości.

Rosa spojrzała na nią zaskoczona, po czym na jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Dobre nowiny — powiedziała. — Nie musisz mói ć, widzę.

— Dobre nowiny? Och, Rosa! — Missie zarzuciła jej ręce na szyję i wesoło obróciła przyjaciółkę dokoła. — Dobre to mało: fantastyczne, niesamowite, zdumiewające, zadziwiające, fenomenalne. Cudowne, wspaniałe, podniecające... — Cztery dziewczynki siedzące przy kolacji gapiły się na nią z łyżkami zatrzymanymi w pół drogi do ust.

— Niech sobie będą zdumiewające — rzekła Rosa. — Ale powiedz, ile ci płacą.

Missie przestała tańczyć i spojrzała na przyjaciółkę.

— Och, Rosa — powiedziała. — Zapomniałam spytać! — Po czym wybuchnęła śmiechem. — Ale co za różnica? — zawołała wesoło. — I tak wyjdę za milionera, jak wszystkie dziewczęta Madame Elise. Sama mi to powiedziała.

— Masz pracować dla Madame Elise? — zapytała poruszona Rosa. Po czym dodała: — A odkąd to szwaczki, nawet z eleganckich paryskich sklepów, wychodzą za milionerów?

— Rosa, ja nie będę szwaczką. Będę modelką. — Missie wydała okrzyk radości i podrzuciła kapelusz do góry. — Ja, moja kochana — powiedziała, przesadnie przeciągając słowa i przesuwając się po pokoju z wyciągniętą do przodu ręką i głową uwodzicielsko pochyloną na ramię — jestem nową gwiazdą Madame Elise. — Roześmiała się, odwróciła do Rosy i dodała: — A wszystko dzięki tobie. To ty poradziłaś mi, żebym tam poszła. Za twoje pięć dolarów kupiłam sobie płaszcz, żeby nie wyglądać jak duch nędzy w moim starym, szarym łachmanie! Roso Perelman — ucałowała ją — jesteś moją wybawicielką. A także najlepszą przyjaciółką.

Rosa z uśmiechem nalała jej zupę.

— Siadaj i jedz — rozkazała.

— Najpierw coś ci pokażę. — Missie rozwiązała liliową wstążkę, którą obwiązana była paczka. — Zobacz! — tryumfalnie uniosła delikatny staniczek z blad różowego jedwabiu. Rosa wstrzymała oddech. Wytarłszy ręce w fartuch, dotknęła stanika lekko wyprostowanym palcem.

— No i? — zapytała Missie.

— W życiu nie widziałam czegoś takiego — szepnęła Rosa. — Takie piękne, cieniutkie... kto nosi taką bieliznę? Przecież to grzech.

— Żaden grzech, kochanie, to niebios. Mam na sobie identyczny biustonosz, a do tego majteczki z taką ilością koronki, że starczyłoby na pięć kołnierzyków. Oraz jedwabne pończochy i gorset jak z pajęczynki. Nie ma w tym nic zdrożnego.

— Grzech, kiedy coś takiego zakłada się dla mężczyzny — powiedziała Rosa cicho.

Missie spojrzała na nią zaskoczona i odparła:

— Nie przyszło mi to do głowy.

Rosa odwróciła się do dzieci, które tłoczyły się dokoła i wydawały okrzyki zachwytu nad piękną koszulką.

— Patrzenie, ale nie dotykajcie — przykazała i usiadła z powrotem przy stole. — Zjedz supkę, a potem mi wszystko opowiedz — zwróciła się do Missie, krojąc energicznie chleb.

Missie z podnieceniem opisała Madame Elise, spotkanie z panią Masters, liliowy salon i fioletowe pudle. Powiedziała, że Madame Elise uczyła się u Poireta i Wortha, a teraz stała się sławniejsza od nich; ma domy mody w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku i ciągle podróżuje.

— Dała mi te piękne rzeczy — wyjaśniła podekscytowana — żebym nie musiała się wstydić mojej łatanej bielizny. Och, Rosa, nie masz pojęcia, jak się czułam, kiedy krawcowa ubrała mnie w cudowną suknię z szyfonu i przejrzałam się w lustrze. Madame rozpuściła mi włosy i uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, jakie są długie; sięgają do pasa. Nigdy ich nie ścinaj, powiedziała. Potem nałożono mi róż na policzki, puder na nos, coś takiego na rzęsy i szminek w specjalnym kolorze „Fiolet Elise”. Miałam wrażenie, że się lepię i jestem strasznie wypachniona, ale pewnie się przyzwyczaję. A buty, Rosa, małe pantofelki ze srebrnej skórki, na wysokim obcasie, z błyszczącymi sprzączkami przy paskach, i kilometry ogromnych pereł...

Z westchnieniem utknęła w zupie rozmarzony wzrok.

— Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy się przejrzałam. Wyglądałam jak zupełnie inna osoba. — Zamyśliła się. — Nowa osoba - dodała. — Verity Byron.

— Tak będziesz się nazywać? — Rosa podparła brodę ręką i z podziwem spojrzała na przyjaciółkę.

Missie skinęła głową.

— Ale tylko w pracy. Dla was jestem Missie.

Wiktor uniósł głowę, kiedy trzasnęły drzwi na dole i na schodach rozległy się kroki. Rosa rzuciła okiem na stary zegar i westchnęła.

— Pewnie to Meyer. — Podeszła spieszenie do pieca, żeby zamieszać w gulaszu. Wybrała z garnka kawałki mięsa i nałożyła na talerz. Lubi mieć obiad na stole, jak tylko wejdzie.

— No to lecimy — Missie w pośpiechu zgarnęła swoje rzeczy i chwyciła Azaylee za rączkę. Zawahała się. — Rosa, będziesz mogła nadal zajmować się Azaylee? Nie wiem jeszcze, jakie będą moje godziny pracy, ale Madame powiedziała, że „nieszablonowe”, cokolwiek to znaczy

— To znaczy „długie” — odparła Rosa ze śmiechem. — Oczywiście, że ją wezmę, nie martw się. I, Missie — pocałowała ją w policzek — cieszę się. Wygląda to wspaniale, jak spełnienie marzeń.

Missie odetchnęła z satysfakcją.

— Nie całkiem — rzekła. — Ale to początek.

Rano nie mogła się doczekać, żeby krawcowe zaczęły dopasowywać do niej strojne suknie, czuła jednak na sobie pełne zazdrości spojrzenia pozostałych modelek. Było ich trzy. Miranda, blondynka, ruda Minette, i Minerwa, kruczoczarna piękność. Missie uważała, że wszystkie one są dużo atrakcyjniejsze od niej, lecz Elise trzymała je z dala od niej, chroniąc ją, jakby była jej tajną bronią.

Kazała jej chodzić bez końca po liliowym salonie w jedwabnym szlafroczk i pantoflach na obcasach, z perłami i w miękkim, puszystym boa na szyi, ćwiczyć krok i pozy, i wzdychała, kiedy Missie coś nie wychodziło.

W sobotę osobiście wręczyła Missie małą fioletową kopertę.

— Pensja za pierwszy tydzień, Verity — powiedziała, poklepując ją po ramieniu. — Jeszcze nie dorównujesz Barbarze, ale szybko się uczysz i jesteś od niej piękniejsza.

Missie zerknęła na swoje odbicie w rzędzie lusterek na ścianie. Ciekawa była, czy rzeczywiście wygląda pięknie. Ledwo się rozpoznała. Ta wysoka, rozmarzona kobieta z uróżowanymi policzkami, ogromnymi oczyma i pełnymi, czerwonymi wargami to z pewnością ktoś inny. Długi, ciemnozielony kostium z mięsistego jedwabiu obciskał jej wąskie biodra, a twarzowy, bursztynowożółty kołnierz z lisa dopełniał stroju.

Wyglądam jak bogata arystokratka — powiedziała do siebie ze zdziwieniem. A potem dodała: Tak, jak kiedyś wyglądała Annuszka.

Kiedy wieczorem otworzyła fioletową kopertę, znalazła w niej cztery nowiutkie dziesięciodolarowe banknoty. Wiedziała, że kreacje Elise kosztowały setki, czasami nawet tysiące, ale czterdzieści dolarów za jedynie cztery dni pracy? Będzie mogła oddać Rosie pięć dolarów, zapłacić komorne, spłacić nowy płaszcz, kupić Azaylee nowe buty i jeszcze zostanie na jedzenie. Może nawet oddać Zewowi dziesięć dolarów. Missie roześmiała się — nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć jego minę, kiedy da mu pieniądze i opowie wszystko w ukraińskiej restauracji. Przecież teraz ona może go zaprosić na kolację.

Rozdział 24

Zev spojrział najpierw na dziesięciodolarowy banknot leżący między nimi na stole, a potem na Missie. Zmieniła się, wydawała się silniejsza, tryskała energią, jakby ktoś rozniecił w niej iskrę życia.

— Więc poszczęściło ci się z pracą? — zapytał cicho.

— Zev, ale jak! Co za praca! — Roześmiała się radośnie, aż ludzie zaczęli się odwracać i spoglądać na nich z ciekawością, po czym opowiedziała mu całą historię. — Oczywiście — zakończyła — jeszcze nie byłam na żadnym prawdziwym pokazie mody i prawdę mówiąc, boję się. Wiesz, co innego robić to przed Madame Elise, a co innego przed tłumem eleganckich dam. Poza tym pozostałe modelki są zazdrosne. Widzę to w ich oczach. Są złe, że Madame Elise poświęca mi tyle uwagi i że Barbarę zastąpiła nowa, a nie któraś z nich. Ale nic na to nie poradzę. — Zev w milczeniu kiwnął głową, a Missie dodała z zapałem: — Teraz mogę ci co tydzień oddawać dziesięć dolarów, aż spłacę całą sumę, oczywiście z odpowiednim procentem. — Westchnęła z zadowoleniem. — Och, Zev, nie wiesz, ile dla mnie znaczy wyjście z długów. Niedługo rozejrzę się za nowym mieszkaniem. Może przeniosę się bliżej centrum i pošlę Azaylee do dobrej szkoły.

Wpatrywał się w banknot na stole. Za trzy tygodnie Missie go spłaci, a niedługo potem zniknie, wróci tam, skąd przyszła. Poczul ból w sercu, jakby ktoś położył na nim ogromny ciężar. Missie go opuści, odejdzie do beztroskiego świata pełnego światła i śmiechu, do świata, którego on nie rozumiał, a do którego ona należała.

— Zev...? — spojrzała na niego pytająco, gdy ponownie opuścił wzrok na dziesięć dolarów, symbol jej wolności. — Nie cieszysz się? — zapytała zmieszana.

— Cieszę się ze względu na ciebie — przyznał. — Ale to znaczy, że wyjedziesz stąd i nigdy już cię nie zobaczę.

— Ależ oczywiście, że zobaczysz. — Ujęła jego dłoń i spojrzała mu w oczy. — Cały tydzień cieszyłam się na nasze dzisiejsze spotkanie. Chciałam się z tobą podzielić dobrymi nowinami. Ty i Rosa jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi. — Uśmiechnęła się ciepło. — Nigdy cię nie zapomnę, Zev, a poza tym centrum nie leży milion mil stąd. Będziemy się tu nadal spotykać w niedziele. Przecież teraz trzymają dla nas ten stolik i grają moje ulubione piosenki.

Wiedział, że Missie mówi szczerze, ale to nie rozwiązywało jego problemu. Między życiem Missie O'Bryan a jego własnym leżała ogromna przepaść. Ona była biedna przez przypadek, on urodził się, by żyć w nędzy. Ona była wykształcona, on nie. Ona była piękna, każdy mężczyzna by się nią zachwycił — jego zaś nikt nigdy nie kochał. Bo za cóż można kochać młodego, nieciekawego właściciela lombardu z Orchard Street?

Kiedy wracali na Rivington, Zev zatopiony we własnych myślach w milczeniu wpatrywał się w chodnik.

— Nie martw się tak — dotknęła czule jego policzka przy pożegnaniu. — Przecież jeszcze tu jestem, prawda? — Pocałowała go lekko i wbiegła do domu. — Do zobaczenia za tydzień! — zawołała, zamykając drzwi.

Zev poczekał, aż w jej pokoju zabłyśnie światło, po czym ruszył wolnym krokiem w kierunku Orchard Street. Drzwi do lombardu przypomniały o sobie tym samym dźwiękiem dzwonka, który słyszał od trzynastu lat, lecz po raz pierwszy nie był to dźwięk oznaczający bezpieczeństwo.

Przeszedł przez ciemne, ciche pokoiki, które nazywał domem, zapalił lampę gazową i zauważył, jak są zniszczone i brzydkie. Nic tu nie świadczy o osobowości mieszkańca, pomyślał, nikt by nie poznał, że to dom Zeva Abramskiego. Był tylko głupim Żydem uprawiającym podły zawód, a wszystkie jego marzenia o dzieleniu się samotnością, książkami i muzyką rozwiały się. Missie była damą i kiedy spłaci swój dług, w jej życiu nie będzie już dla niego miejsca.

Zdjawszy płaszcz usiadł przy fortepianie i zagrał pierwsze akordy etiudy Chopina. Ta muzyka — delikatna, jedwabista, łagodna — zawsze kojarzyła mu się z Missie. Dzisiaj jednak poznał ją z innej strony, jako pannę O'Bryan. Zaczął grać mazurka, wesoły taneczny utwór, który wywołał uśmiech na jego twarzy, kiedy przypomniawszy sobie jej uroczą, ożywioną twarz. Może nie był artystą, ale umiał muzyką wyrazić swą miłość.

Missie z trudem doczekała poniedziałku. Zerwała się o szóstej i zagrzała w czajniku wodę na kąpiel w cynowej balii. Starła się zachowywać jak najciszej, by nie obudzić Azaylee.

Zatrzymała się przy zapadniętym łóżku, żeby na nią popatrzeć, i obiecała sobie w duchu, że wkrótce wszystko się zmieni. Będą miały porządne mieszkanie, Azaylee pójdzie do dobrej szkoły, wróci przyzwoite jedzenie i ładne ubrania. Madame Elise będzie ich wybawicielką, a Missie zrobi wszystko, żeby stać się dobrą modelką.

— Nie chcę mieć dobrej modelki — powiedziała z gniewem Madame Elise. — Moim strojom potrzebna jest wspaniała modelka, cud-dziewczyna, tak *ravissante*, tak ponętna i z taką klasą, by wszystkie bogaczki uwierzyły, że one też takie będą, jeśli kupią suknie Elise. Wyprostuj się... jeszcze bardziej... wyciągnij szyję, rozciągnij kręgosłup, no, już lepiej. Pięknie się poruszasz, Verity. Tylko się rozluźnij, pozwól, żeby twoja śliczna główka opadła lekko do przodu na tej bardzo, baaaaaaardzo delikatnej szyi; pamiętaj, że masz na sobie jedwabną gazę, nie możesz wyglądać na istotę ziemską. Proszę cię, Verity!

Westchnęła głośno. Missie usłyszała stłumiony śmiech i zrozumiała, że pozostałe dziewczęta cieszą się z jej upokorzenia widząc, jak Madame po raz setny tego ranka każe jej chodzić w tę i z powrotem.

— Spróbuj jeszcze raz — powiedziała Madame. — Nie, poczekaj. Mirando, chodź tu i pokaż Verity, co mam na myśli.

Piękna, jasnowłosa Miranda przepłynęła elegancko przez salon. Jedną rękę trzymała na biodrze, drugą machała niedbale. Zatrzymała się przed Madame wysuwając przed siebie zgrabnym ruchem jedną nogę, położyła upierścienione palce na gardle i lekceważąco, jakby z pogardą przymknęła oczy.

— Widzisz — wykrzyknęła Madame tryumfująco. — O to mi chodzi. Masz przesadzać! *Viens*, Verity, spróbuj jeszcze raz.

Missie odetchnęła z ulgą, kiedy Madame poszła do hotelu „Waldorf Astoria” na konsultację z zamiejscową klientką. Krawcowa powiedziała, że Madame bierze tysiąc dolarów za samą radę, jakie kolory, jakie tkaniny i styl będą najlepiej pasować do danej osoby. „A palem te kobiety przychodzą tu i kupują wszystko, co ona im zaproponuje — stwierdziła ze śmiechem. — Ale trzeba przyznać Madame, że kiedy jej klientki wychodzą ze sklepu, wyglądają lepiej niż kiedykolwiek Madame zawsze powtarza, że to jeden z jej sekretów. Mężowie są tak zadowoleni, że chętnie płacą”.

Missie dotknęła delikatnych zwojów fioletowego szyfonu wy-, szywanego maleńkimi srebrnymi paciorkami i z desperacją spojrzała

w lustro, garbiąc się ze zmęczenia. Sukienka była bez rękawów, z obniżoną talią przewiązaną srebrną szarfą, miała głębokie dekolty z przodu i na plecach, była bardzo krótka — sięgała tylko do pół łydki — i udrapowana na biodrach, z ozdobną wstawką z jednej strony. Missie wiedziała, że powinna wyglądać w niej jak Ariel, tymczasem czuła się jak Puk.

— Nie można przemienić brzydkiego kaczątka w łabędzia, co? — rozległ się za jej plecami drwiący głos Minerwy.

— Nie zrobisz jedwabnej sakiewki z wieprzowej skóry — zachichotała Minette.

Wysoka, czarnowłosa Minerwa przysunęła się groźnie do Missie.

— Zająłeś moje miejsce — szepnęła gniewnie — ale nie myśl, że ci to puszcze płazem. Wylecisz stąd, zanim się obejrzysz.

Potem odezwała się głośno:

— Jem dziś lunch z Alfonsem. Dla ciebie to książę di Monteciccio — rzuciła w stronę Missie i wyszła majestatycznym krokiem.

Krawcowa westchnęła.

— Myśli, że już jest księżną — mruknęła. — Dobrze by było, żeby wreszcie wyszła za męża i rzuciła pracę, prawdziwa z niej mąciwoda. Lepiej na nią uważaj, kochanie, bo ukradnie ci pończochy, pracę — i narzeczonego.

Missie uznała, że Minerwa jest w tej chwili najmniejszym z jej kłopotów: najważniejsze, żeby się nauczyć stać jak modelka Elise, czyli inaczej niż normalnie.

Całe popołudnie ćwiczyła przed lustrem. Prostując się i wysuwając szyję do przodu, stawiała jedną stopę przed drugą tak jak Miranda, wypychała biodro i chwyciła się dłonią za gardło, ale wyglądała tylko jak przerażona bohaterka niemego filmu. Paradowała w tę i z powrotem po salonie, obrzucając aroganckimi spojrzeniami niewidzialną widownię pełną snobek z towarzystwa, aż rozboleły ją nogi i głowa.

— To beznadziejne — oświadczyła Rosie wieczorem. — Po prostu tego nie umiem i czuję się jak idiotka. Nikt w ten sposób nie chodzi, dlaczego więc modelka ma się tak poruszać? Bo pokazuje ubrania?

— Więc rób to po swojemu zamiast naśladować tamte — zaproponowała Rosa. — Poruszaj się naturalnie, Missie. Na pewno będzie dobrze.

— Nie wiem — westchnęła Missie z powątpiewaniem. — Madame powiedziała, że tak chodzą w Paryżu, a ona chyba wie najlepiej. Poza tym już za późno, jutro jest pierwszy duży pokaz. Och, Rosa, okropnie się boję. Co będzie, jeśli wszystko popsuje? Madame mnie wyrzuci.

Zniknęła cała radość. Missie znów miała błądą, ściągniętą twarz i Rosa nie mogła tego znieść.

— Na pewno wszystko będzie dobrze — pocieszyła ją. — Będziesz wyglądać pięknie, Madame Elise sprzeda wszystkie suknie, a ty wyjdiesz za milionera. W końcu — zaśmiała się — sama mówiłaś, że tak będzie, prawda?

Missie też się roześmiała, zastanawiała się jednak, czemu słowa wydają się jej puste, jakby przestała w nie wierzyć.

Rano na próbie generalnej mała orkiestra ćwiczyła melodie z najnowszych przedstawień na Broadwayu, podczas gdy robotnicy wbijali ostatnie gwoździe w drewniany wybieg, który wyrósł przez noc na środku sali. Po schodach wnoszono setki małych połączanych krzeseł, czyszczono żyrandole i okna. Wkrótce wybieg został przykryty aksamitnym purpurowym chodnikiem, a fioletowe draperie z szyfonu skryły wejście do przebieralni, skąd miały wychodzić modelki.

W garderobie panował chaos, krawcowe robiły ostatnie poprawki, dziewczęta jedna po drugiej siadały przed lustrem, poddając się zabiegom fryzjera.

Kiedy przyszła kolej na Verity, Madame zabroniła mu ścinać jej włosy.

— Tylko trochę z przodu — zaprotestował. — Mała fala nad czołem, kilka loczków po bokach...

— *Eh bien*, ale tylko kilka — zgodziła się. — Chcę, żeby błyszczały jak kasztan, były długie, proste i jedwabiste. Jak będzie trzeba, to zepniemy je w kok.

Na półkach leżały sukienki razem z dodatkami: kapeluszami, butami, rękawiczkami, futrami, jedwabnymi pończochami w odpowiednim kolorze i masą ogromnych sztucznych pereł, które według Madame miały być w tym sezonie noszone przez wszystkich — nawet przez panie, które mogą sobie pozwolić na oryginały.

O trzeciej otwarto wielkie, podwójne drzwi do salonu i Elise pospieszyła powitać gości. Lista zaproszonych obejmowała czterysta nazwisk. Ku zdziwieniu Missie przyszli też mężczyźni, którzy stali na końcu sali, rozmawiali i od czasu do czasu rzucali na panie dyskretne spojrzenia. Wszyscy byli tak elegancko ubrani, że zastanawiała się, po co im nowe stroje. Ale na tym polegała sztuka Madame Elise. Kobiety były przekonane, że nie mogą sobie pozwolić na występowanie w kreacjach z zeszłego sezonu — liczy się tylko najnowsza moda.

Missie wróciła do przebieralni, zerkając na zegarek. Jeszcze dziesięć minut. Poczowała ściskanie w dołku i przygryzła nerwowo wargi, siadając przed lustrem. Charakteryzatorka upudrowała jej twarz, nałożyła róż na policzki i szminek „Fiolet Elise” na wargi.

— Czuję się jak aktorka — mruknęła Missie.

— Bo nią jesteś — odparła charakteryzatorka. Spojrzała na jej odbicie i uśmiechnęła się. — Ho, ho, ale pięknie wyglądasz.

Missie zacisnęła kciuki w nadziei, że tamta ma rację. Jednego była pewna: nie wyglądała ani trochę na Missie O'Bryan z Rivington Street.

Srebrny dzwonek Madame nakazał ciszę i za kurtyną rozległ się jej głos mówiący gościom, jak bardzo zostali wyróżnieni mogąc oglądać jej wiosenną kolekcję prezentowaną przez wspaniałe modelki — i że po pokazie wszyscy mogą obejrzyć nowe kreacje we własnych domach, jeśli mają takie życzenie.

— *Eh bien* — oznajmiła. — Zaczynamy.

Orkiestra zagrała przebój Gershвина z ostatniego przedstawienia u Ziegfelda. Minerwa była już gotowa: w niebieskiej popołudniowej sukience, w butach i pończochach w tym samym kolorze, z kwiecistym, długim do ziemi szalem z szyfonu zarzuconym na szyję wyglądała prześlicznie. Odrzuciwszy głowę weszła na wybieg i Missie usłyszała brawa oraz pomruki zachwytu rozbrzmiewające na sali. Następna była Miranda w bladych fioletach, potem Minette w cukierkowym różu — niezwykle połączenie z jej rudymi włosami, które wywołało westchnienia podziwu.

Nadeszła kolej Missie. Miała na sobie kostium podróży z kremowego tweedu, nasunięty na jedno oko kapelusz z rondem zagiętym z jednej strony, kremowe buciki z klamerkami i sześć sznurów grubych, śmietankowych pereł. Stanąwszy przed kurtyną, zeszywniała wpatrując się w morze twarzy zwróconych w oczekiwaniu w jej stronę. Nic z tego nie będzie, pomyślała w panice, nie uda mi się, nie mogę. Kolana jej drżały. Wszystko, czego uczyła ją Madame, wyleciało jej z głowy, chciała tylko uciec. Schodząca z wybiegu Minerwa posłała jej złośliwy uśmiech i zniknęła za kurtyną. Missie stała jak wrośnięta, patrząc na zaciekawione kobiety odwzajemniające jej spojrzenie. Pomyślała o Annuszcze: czy nie była taka sama, jak one? Nagle uświadomiła sobie, że przecież widzowie wcale nie nią się interesują. Chcą zobaczyć stroje.

Ta myśl dodała jej odwagi. Wziąwszy głęboki oddech ruszyła w dół purpurowej platformy normalnym krokiem, zatrzymując się tu i tam. uśmiechając do pań, wyciągając ramię, żeby mogły zobaczyć krój rękawa, poprawiając wymyślny kapelusz i odwracając głowę tak, by wszyscy mogli zobaczyć go z profilu. Zatrzymała się przez chwilę na końcu wybiegu, odwróciła i rzuciwszy przez ramię ostatnie spojrzenie, wróciła za kurtynę.

Bezpieczna w garderobie, słyszała grzecznościowe oklaski i zastanawiała się, co Madame teraz o niej myśli. Ale nie mogła chodzić

lak, jak pozostałe dziewczęta. Pewnie po prostu nie nadaje się na modelkę.

Obok niej przeszła Minerwa w złotej koronkowej sukni, wyszywanej błyszczącymi koralikami z miedzi.

— A nie mówiłam? — odezwała się drwiąco. — Nie da się zrobić łabędzia z brzydkiego kaczątka.

Minerwę nagrodzono rześzystymi oklaskami. Missie niechętnie założyła fioletową suknię z szyfonu i zaczęła szukać srebrnych pantofelków z kozłej skórki. Nie było ich na półce; rozejrzała się dokoła zdziwiona i dostrzegła je w końcu na podłodze pod toaletką. Podniosła je z przerażeniem: wąskie paski trzymające buty na nodze były rozerwane. Nie rozerwane — przecięte! Przypomniała sobie zazdrosny uśmiech Minerwy. Czyżby to była jej sprawka? Rozejrzała się w panice; garderobiana wyszła, wszystkie pokojówki były zajęte w salonie — roznosiły chińską herbatę i ciasteczka. Miranda i Minette stały przy kurtynie czekając na swoją kolej, zresztą i tak by jej nie pomogły.

Z rozpaczą rzuciła pantofle na podłogę: to był jej gwóźdź do trumny, teraz była skazana na niepowodzenie. Zobaczyła swoje odbicie w wielkim lustrze i uświadomiła sobie, że wygląda pięknie. Przypomniała sobie bojową obietnicę daną rano Azaylee i nagle poczuła przypływ straceńczej odwagi. „Raz kozie śmierć”, pomyślała, przypominając sobie, jak ojciec zawsze mówił, że jeśli wszystko zawodzi, trzeba improwizować. Zerwała fioletowe wstążki z paczek Madame Elise, wsunęła pantofelki na nogi i przeciągnęła tasiemki pod podbiciem, krzyżując je na wierzchu i wiążąc w zgrabne kokardki na kostkach. Następnie wyjęła spinki z koka, rozpuściła włosy i nasunęła na czoło zdobioną klejnotami egretę.

— Pospiesz się! — Garderobiana chwyciła ją za ramię i wypchnęła przed kurtynę. Missie ponownie się zawahała, spoglądając na gości. Potem zadarła wysoko głowę i ruszyła powoli po purpurowym chodniku.

Madame Elise zaparło dech na widok Missie. Co ją napadło? I co ona ma na nogach? Pospiesznie rozejrzała się dokoła i ze zdziwieniem zobaczyła, że wszyscy pochylają się do przodu, w całkowitym milczeniu obserwując każdy płynny ruch Verity. Nawet mężczyźni przestali rozmawiać i wpatrywali się w jej nową modelkę. Odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Verity stojącą na końcu wybiegu. Zwoje miękkiego fioletowego szyfonu układały się na jej zgrabnej figurze jak na młodej Isadorze Duncan; kiedy szła, srebrne paciorki rzucały świetlne refleksy. Długie do pasa włosy falowały jak brązowa zasłona,

delikatne loczki okalały twarz, a wielkie oczy wydawały się bardziej fiołkowe niż sukienka.

Odrzuciwszy głowę, Missie wolnym krokiem ruszyła z powrotem, zatrzymując się gdzieś z ręką na haftowanej szarfie i prezentując piękną suknię, ale wszystkie oczy skierowane były na jej nogi i kokardki z fioletowej satyny zawiązane na szczupłych kostkach.

Zniknęła za kurtyną; orkiestra zaczęła grać następną melodię. Znów pojawiły się pokojówki z herbatą i ciasteczkami. Mężczyźni pochyliłi głowy i osłaniając dłońmi usta omawiali nową modelkę Elise. Madame zamknęła oczy. Co ta Verity narobiła? Zlekceważyła jej instrukcje, jej szkolenie, nastąpiła *une catastrophe!* Zdała sobie sprawę z narastającego pomruku, a wtedy ktoś zaczął bić brawo, ktoś inny dołączył i nagle wybuchła burza oklasków.

— Bis! Bis! — wykrzyknął ktoś i Madame odwróciła się, żeby zobaczyć rozentuzjasmowaną młodą damę, niewątpliwą piękność. Była to jedna z jej najlepszych klientek.

Uśmiechnęła się do niej łaskawie i szybko posłała pokojówkę z poleceniem, żeby Verity wyszła jeszcze raz.

To nie może być prawda, pomyślała Verity wracając na wybieg. Naprawdę mnie oklaskują? Przespacerowała się ponownie, posyłając uśmiechy, przystając, żeby widzowie mogli podziwiać pantofelki z kokardkami, pióra egrety i falujący jedwabny szyfon. Chciało jej się śmiać. Może jednak nie tak trudno być modelką? „Poruszaj się naturalnie”, powiedziała Rosa i chyba miała rację.

Minerwa patrzyła na nią, kiedy wracała do garderoby przy wtórce oklasków. Podchodząc do toaletki czuła wzrok tamtej na swoich nogach i zrozumiała, że to ona uszkodziła jej buty.

— Jeszcze jedno powiedzonko do twojej kolekcji, Minerwo: potrzeba jest matką wynalazków — rzuciła słodko.

Dalszy ciąg pokazu minął bardzo szybko. Missie z zaskoczeniem stwierdziła, że dobrze się bawi; przyjemnie było znajdować się w centrum uwagi, czuć się młodą i piękną. Po pokazie Madame Elise przysłała do garderoby, by jej pogratulować.

— Wszyscy mówią o moich nowych butach. — Roześmiała się. — Nie wiem, Verity, skąd ci to przyszło do głowy, ale każdy chce je mieć. Pani Woolman Chase z magazynu „Vogue” powiedziała, że jesteś uosobieniem nowej kobiecości, wolnej od ograniczeń wojennych, znów młodej, łagodnej i prostej. Nazwałam to „La Vie Naturelle”. Możesz mi wierzyć, odniosłyśmy ogromny sukces. — Gwałtownie odwróciła się do pozostałych dziewcząt. — A wy dłaczego nie chodźcie tak jak Verity, co? Minerwo, wyglądałaś przy niej jak marionetka.

Zostałyśmy zaproszone na niedzielę na powtórny pokaz u hrabiny Wensleyshire. Chcę, żebyście wszystkie chodziły jak Verity.

Minerwa rzuciła na podłogę swoje perły i zerwała się gniewnie na równe nogi.

— Nigdy! — zawołała. — Nie będę się uczyć od tej parweniuszki.

— W takim razie — rzekła Madame zimno — możesz sobie szukać innej pracy. *Au revoir!*

Minerwa wzruszyła ramionami.

— I tak ksiązę poprosił mnie o rękę — powiedziała wyniośle. — Oddałam pani przysługę zostając na pokazie.

— Gratulacje — rzuciła Madame, Missie jednak patrzyła z niepokojem za wychodzącą Minerwa.

— Nie przejmuj się — powiedziała Elise ze śmiechem. — Minerw jest tysiąc, a Verity tylko jedna. Dziś byłaś *ravissante* dla moich pań, w niedzielę będziesz wspaniała i cały Nowy Jork padnie ci do nóg... w pantofelkach z kokardkami z satyny.

Rozdział 25

Azaylee siedziała na brzegu łóżka i przyglądała się Missie, która szykowała się do wyjścia. Złote włosy dziewczynki splecione były w nierówny warkocz, a w piwnych oczach czaił się smutek. Wiktor wskoczył na łóżko i Azaylee czule objęła go rączkami za szyję. Pies najwyraźniej ją uwielbiał, więc Missie nie miała serca za-
protestować.

— Co za widok! — zaśmiała się.

— Miałyśmy wziąć dziś Wiktora na spacer — przypomniała jej Azaylee pokrzywdzonym tonem — a ty znowu wychodzisz.

Missie przygryzła wargi. To prawda, przez ostatnie dni była tak zapracowana, że prawie nie miała czasu dla Azaylee, nie mówiąc już o biednym Wiktorze.

— Wynagrodzę ci to — obiecała ze skruczą. — Wiem, że jest niedziela, ale to specjalna okazja. — Wolałaby, żeby Madame wyznaczyła na pokaz jakiś inny dzień, ale nie miała wyboru. — Posłuchaj — powiedziała wesoło — co byś powiedziała na nowe mieszkanie, może niedaleko parku, żeby Wiktor miał gdzie biegać, ze ślicznym pokoikiem tylko dla ciebie, który będzie pełen nowych zabawek? A co byś powiedziała na szkołę, w której są inne dziewczynki w twoim wieku i gdzie nosiłabyś specjalny kapelusik i sukienkę zwaną „mundurkiem”, żeby od razu było widać, skąd jesteś?

— Jestem stąd — odparła Azaylee. — Nie chcę zostawiać Rosy i moich przyjaciółek.

Missie zmarkotniała i usiadła obok niej na łóżku.

— Ja również nie chcę ich zostawiać, *miłoczka* — powiedziała cicho. — Będziemy je widywać. One też nas odwiedzają, może zostaną na noc. Pomyśl, jak będzie przyjemnie.

— Tu jest przyjemnie — oświadczyła uparcie Azaylee. Objęła

mocniej Wiktora i schowała buzię w jego gęstym futrze. — Nie chcę się przeprowadzać.

Missie w milczeniu pogłaskała ją po głowie. Czuła, że ciało Azaylee drży od szlochu i uświadomiła sobie, że dziewczynka po prostu panicznie boi się wszelkich zmian. Mała pamiętała wyjazd z Wariszni, rozstanie z ojcem, matką i bratem; pamiętała wyjazd z Rosji i pogrzeb ukochanej Sofii. Za każdym razem, kiedy zmieniała miejsce pobytu, na zawsze traciła ludzi, których kochała.

Kiedy później zostawiała Azaylee u Perelmanów, Rosa powiedziała:

— Powodzenia, Missie. To bajka, prawdziwa bajka w prawdziwym życiu. Może dziś będzie czekał na ciebie milioner.

Missie miała w nosie milionerów; chciała jedynie zarobić wystarczająco dużo, by razem z Azaylee żyć na przyzwoitym poziomie.

Tydzień po pokazie przeleciał błyskawicznie. Pracowały pilnie, odwiedzając najbogatsze domy w Nowym Jorku, żeby uprzywilejowani klienci mogli coś wybrać prywatnie. Ale największą popularnością cieszyła się Verity i jej nowa moda. Chociaż Miranda i Minette zrezygnowały ze swoich afektowanych póż i starały się zachowywać naturalniej, brakowało im tego wyjątkowego stylu, jaki miała Missie. Napływały zamówienia na fioletową suknię. Poza tym wszyscy chcieli mieć nowe buty. Missie spędziła większość czasu na przymierzaniu serii nowych kreacji, które zaprojektowała Madame. Dzisiejszy pokaz w rezydencji hrabiny Wensleyshire stanowił główną atrakcję jej dorocznego wiosennego balu.

Przed salonem na Park Avenue stało sześć limuzyn, gotowych do wyjazdu na Long Island. Madame jak królowa jechała pierwszą sama z szoferem, Missie musiała więc się zabrać z Mirandą i Minette, z których żadna się do niej nie odzywała. Nie wszystko jest takie bajkowe, jak mówi Rosa, pomyślała z westchnieniem. Zarabiała jednak czterdzieści dolarów tygodniowo i dostała piękne ubrania, ponieważ Madame chciała, by jej modelki były chodzącą reklamą salonu.

— Przecież ja nigdy nigdzie nie chodzę — zaprotestowała Missie.

— Nigdy? Dziewczyna taka jak ty? *Tiens!* — wykrzyknęła Madame. — Najwyższy czas zacząć.

Pozostałe cztery limuzyny wiozły kosze ze strojami, garderobiane i fryzjera. Mała procesja przemknęła przez senne pola Long Island i dotarła do ogromnej bramy z kutego żelaza, zwieńczonej dużymi rzeźbionymi gryfonami. Ze stróżówki wyskoczył odźwierny, żeby im otworzyć. Samochody wjechały na żwirową aleję i zatrzymały się przed wielkim białym domem. Elegancko ubrani ludzie przechadzali

się po trawnikach, gdzie poustawiano stoły nakryte do herbaty srebrem i adamaszkiem; obok grupa młodzieży w białych kostiumach grała w tenisa. Orkiestrę umieszczono na długim tarasie, wśród skrzynek z kolorowymi wiosennymi kwiatami, wyhodowanymi w słynnych oranżeriach hrabiny specjalnie na tę okazję.

Missie nagle przeniosła się w przeszłość, do wystawnych przyjęć Annuszki — do domu równie pięknego jak ten, pełnego roześmianych gości spacerujących po ogrodzie, grających w różne gry, zawsze przy wtórze muzyki...

— Chodź, Verity! — zawołała Madame. — Hrabina czeka.

Hrabina Imogena Wensleyshire miała trochę ponad trzydzieści lat, była wysoka, piękna i zepsuta do cna przez mężczyzn. Hrabia był jej trzecim mężem, staruszkim, który ją ubóstwiał i który uprzemie zmarł trzy lata temu, kiedy znudził się żonie. Utrzymywała teraz wiejską posiadłość w Yorkshire, domy w Londynie i Paryżu, apartament na Manhattanie i ogromny jacht morski zakotwiczony w Monte Carlo. Zajmowała się tym, co umiała najlepiej: wydawaniem przyjęć oraz szukaniem kolejnego męża.

Z ciekawością przyjrzała się Missie i bez uśmiechu podała jej rękę na powitanie.

— Ach, teraz widzę, o co to całe zamieszanie — powiedziała. — Wszyscy mężczyźni, których znam, mówili w tym tygodniu tylko o Verity. Nie widziałam pokazu Elise, ale twoja sława dotarła tu przed tobą.

— Jestem tylko modelką — rzekła szybko Missie. — Z pewnością chodziło im o ubrania.

W oczach hrabiny pojawił się błysk.

— Kobietom może, ale mężczyźni... — roześmiała się, nie kończąc zdania. — Elise, kochanie — odwróciła się do Madame. — Chodź, napij się herbaty, a potem pokażę ci salę balową, w której odbędzie się pokaz.

Salą udekorowaną była błękitem i bielą. Tym razem Madame osobiście dyrygowała dziewczętami i posyłała je na scenę w rytm wesołych melodii wygrywanych przez piętnastoosobową orkiestrę.

Wchodząc na wybieg w najnowszej ekstrawaganckiej kreacji Madame — pod spodem głęboko wcięta, obcisła srebrna sukienka, na wierzchu perłowoszary szyfon — Missie stwierdziła, że dobrze się bawi. Czuła się jak zupełnie inna osoba, kiedy wkładała stroje Elise. Miała władzę nad widzami, potrafiła ich zmusić do patrzenia na siebie. Rozejrzała się dokoła, po czym odrzuciła głowę do tyłu i ruszyła w dół rampy. Sunęła płynnie między publicznością, za-

trzymała się od czasu do czasu, by posłać komuś uśmiech lub wyciągnąć rękę pełnym gracji ruchem, dzięki czemu szyfon powiewał jak delikatne skrzydła. I oczywiście postarała się, żeby wszyscy zauważyli srebrne pantofelki z szarymi kokardkami z satyny starannie zawiązanymi na jej ślicznych kostkach. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że mężczyźni obserwują ją z takim samym zainteresowaniem jak kobiety, i nie wiedzieć czemu poczuła się nieswojo.

Aplauz po pokazie był ogromny. Wszyscy chcieli poznać sławną Elise i jej piękne modelki, które otoczył tłum pełnych podziwu młodzieńców. Zaczęła się zabawa. Wśród okrzyków radości strzelały korki nielegalnego szampana, miejsce orkiestry zajął zespół jazzowy w pasiastych swetrach grający ragtime'y i parkiet natychmiast zaroił się od chętnych do tańca gości. Nagle Verity zrobiło się smutno: przypomniała sobie, że nazywa się Missie O'Bryan, mieszka na Rivington Street i ma różne kłopoty. Nie należy do świata tych eleganckich, bogatych ludzi. Wymknąwszy się z tłumu wyszła na taras, żeby odetchnąć świeżym zapachem konwalii i jaśminu. Spacerowała po wspaniałym ogrodzie, zadowolona, że może być sama ze swoimi wspomnieniami z Wariszni.

Usiadła na kamiennej ławce z widokiem na szarą cieśninę Long Island i rozmarzyła się. Jak cudownie byłoby móc kupić taki dom dla Azaylee i dać jej wszystko, czego zapragnie, tak jak by to zrobili jej rodzice.

— Dobry wieczór. — Wysoki, dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku uśmiechał się do niej życzliwie. — Korzysta pani ze świeżego powietrza, czy tylko marzy?

— I jedno, i drugie — odwzajemniła jego uśmiech.

Miał bystre oczy i arystokratyczne rysy. Wachlował się kapeluszem. Po chwili zdjął marynarkę i wytarł twarz jasnoniebieską chustką.

— Nie ma pani nic przeciwko temu? Nie cierpię upału. Źle wpływa na interesy.

Usiadł na ławce obok niej i zamknął oczy, wsłuchując się w szmer fontanny.

— Śliczna z pani dziewczyna, panno...

Missie zarumieniła się. Chyba nie zamierzał jej podrywać? Rozejrzała się z niepokojem w poszukiwaniu wybawienia.

— Podoba mi się pani sukienka — dodał otwierając oczy i mierząc ją wzrokiem. — Od Elise?

Kiwnąwszy głową, przesunęła się na skraj ławki. Mężczyzna się roześmiał.

— Przepraszam, że panią przestraszyłem, ale zawsze mówię, co myślę, kiedy widzę ładną buzię. To mój zawód. — Wyciągnął rękę. — Jestem Ziegfeld, Flo Ziegfeld, i powiem pani szczerze, panno...

— Verity — podsunęła szybko. — Verity Byron.

— Tak, Verity, właśnie... no więc, powiem pani szczerze, panno Verity, że mój łowca talentów zadzwonił do mnie w tygodniu i kazał mi tu czym prędzej przyjeżdżać, żeby panią zobaczyć, ponieważ jest pani najpiękniejszą kobietą w mieście. Powiedział, że przyciągnęłaby pani wzrok każdego mężczyzny samym pojawieniem się na scenie. — Przyjrzał się jej uważnie. — Nie powiedział mi natomiast, że ma pani twarz madonny i srebrzysty głos. — Napotkał jej wzrok i dodał z zakłopotaniem: — Oraz że jest pani damą.

Zarumieniona wyszeptała „dziękuję” i wygładziła sukienkę w biało-czerwone kwiaty. Zastanawiała się, o co mu chodzi.

— Nigdy nie widziałam żadnego z pańskich przedstawień, panie Ziegfeld, ale słyszałam, że są cudowne. Wszyscy tak mówią.

— Mówią tak, bo to prawda — rzucił twardo. — Moja rewia jest najlepsza na świecie, nie wyłączając Paryża. Występują w niej najładniejsze dziewczęta. Właśnie o tym chciałem z panią porozmawiać. Panno Verity, od tygodnia jest pani na ustach całego Nowego Jorku, a Flo Ziegfeld słynie z tego, że ma największe gwiazdy. Co by pani powiedziała na to, żeby zostać jedną z nich?

— Ja? — Missie wybałuszyła oczy. Nie wiedziała, czy śmiać się z dowcipu, czy płakać z powodu obrazy. — Ależ ja jestem tylko modelką, nie umiem śpiewać ani tańczyć... Poza tym... no wie pan... czy pana dziewczęta nie są... — zawahała się i dodała szeptem: — ...skapo odziane? — Zaczerwieniła się jak burak i nerwowo splotła dłonie.

— Półnagie, o to pani chodzi? — Ziegfeld potrząsnął głową. — Dobry smak to nasza dewiza. Jasne, że pokazują nogi, ale u mnie nie ma golizny, a jeśli już, to niewiele. Na straży dziewczęcej skromności stoją pończochy, wachlarze, szyfon w kolorze ciała i cekiny. Wszystko jest bardzo przyzwoite, choć oczywiście nie mam wpływu na to, o czym myślą mężczyźni. — Roześmiał się i powiedział: — Panno Verity, w moich przedstawieniach chodzi o piękno, ekstrawagancję i przepych. Widowisko przez wielkie „W”, które kosztuje pieniądze przez wielkie „P”. Pieniądze na wspaniałe dekoracje, przepiękne kurtyny, najlepsze stroje — często projektowane przez Elise — pióra, futra, złote tkaniny. Nie proszę, żeby została pani tancerką, panno Verity, proszę tylko, by uświetniła pani naszą rewię swoją obecnością.

Będzie pani jedynie spacerować po scenie wraz z innymi dziewczętami i pięknie wyglądać. Zapłacę pani sto dolarów tygodniowo.

— Sto dolarów! — wykrzyknęła zaskoczona.

— No dobrze, sto pięćdziesiąt — powiedział szybko. — Podwyżka po trzech miesiącach.

Missie wpatrywała się w niego oniemiała.

— Porozmawiam o tym z Elise — oświadczył. — Nie spodoba jej się, że tak szybko straci nową gwiazdę, ale jakoś jej to wynagrodzę. Pozwolę jej zaprojektować wszystkie pani kostiumy. Już z tego będzie miała milion. Chcę, żeby ubrała panią w mgiełkę i poświęcę księżycy, ozdobimy panią brylantami od Cartiera — wszystko co najlepsze dla Verity Byron, najnowszej i najświetniejszej gwiazdy Ziegfelda. — Poklepał ją ojcowskim gestem po ramieniu. — Panno Verity, gwarantuję pani sukces. I, rzecz jasna, sto pięćdziesiąt dolców co sobota, regularnie jak w zegarku.

Missie zdrzała. Słońce już zaszło i zapadał zmrok.

— Ja... Nie wiem, co powiedzieć — wymamrotała oszołomiona. — Wszystko stało się tak szybko. Widzi pan, kilka tygodni temu nawet nie miałam pracy.

— Taki jest Nowy Jork. — Wyszczerzył zęby, wziął ją za łokieć i poprowadził w kierunku domu. — Niech się pani o nic nie martwi, załatwię to z Elise.

— Ale... Panie Ziegfeld, ja się boję. — Chwyciła go za rękę. Oczy miała okrągłe i wyglądała na bliską łez.

Odparł łagodnie:

— Czego tu się bać? Przecież to samo robiła pani dla Elise, tylko teraz obejrzy panią większa widownia. Proszę mi wierzyć, będzie pani zachwycona. Tak jak wszystkie moje dziewczęta. Jesteśmy jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Będę miał na panią oko, osobiście sprawdzę wszystkich podrywaczy z teatru i dopilnuję, żeby się pani umawiała wyłącznie z najlepszymi. W porządku? Idę teraz porozmawiać z Elise. Będziemy w kontakcie, panno Verity.

Missie patrzyła za nim, jak wbiegał po schodach. Czy naprawdę zgodziła się zostać dziewczyną Ziegfelda? Z zamkniętymi oczyma spróbowała zobaczyć się na olbrzymiej scenie, ubraną w przezroczysty strój i brylanty, umawiającą się z Romeami teatru i zdziwiła się, że w ogóle przyszło jej to do głowy. Następnie przypomniała sobie o stu pięćdziesięciu dolarach — „w każdą sobotę, jak w zegarku” — i zrozumiała, że jednak się zgodziła.

Wzdrygnęła się. Było już ciemno. Zniknęło pozorne ciepło zbyt wczesnej wiosny, wiatr niósł marcowy chłód. Na zwirowej alei

zachrzęściły opony i przed domem zatrzymał się długi, żółty samochód. Missie stanęła tyłem do podjazdu. Z limuzyny wysiadł mężczyzna i wbiegł po schodach. Usłyszała, że się zatrzymuje, po czym wraca. Kiedy się z nią zrównał, poczuła zapach dymu z cygara.

— Niech mnie kule biją, Missie? — rozległ się zdumiony głos O'Hary. — Czy to naprawdę ty?

Odwrociła się ze zdziwieniem. Obok niej stał O'Hara, ale jakiś inny. Rude loki miał wypomadowane i gładko przyczesane, ubrany był w elegancki szary garnitur i skórzane lakierki, a we wspaniałym krawacie z szarego jedwabiu tkwiła szpilka z dużą perłą. W zębach trzymał wielkie cygaro.

Ujął jej dłonie i uściaskał je serdecznie.

— Przyjechałem tu z niedzielną dostawą i co widzę? Missie O'Bryan, dziewczyna moich marzeń! — Zaśmiał się gromko. — Oto nagroda za dotrzymanie słowa. Dostawę w każdym terminie, w dzień czy w nocy, to dewiza O'Hary, i z dumą mogę ci powiedzieć, że zapewnia mi powodzenie. Czekałem, żeby ci to udowodnić, ale teraz sama widzisz: O'Hara dostarcza alkohol wyższym sferom po cenach, o jakich na Delancey nigdy nie słyszano. — Przerwał swój monolog i przyjrzał się jej ponownie. — Wyglądasz jak obrazek, jesteś tak pięknie ubrana! — Zesztywniał i dodał podejrzliwie: — Choć nie bardzo wiem, skąd taka dziewczyna jak ty ma na to pieniądze. I co robi na przyjęciu u hrabiny.

— Mam pracę — odparła.

Zaczęła opowiadać mu o Madame Elise, ale po chwili przerwała. O'Hara wpatrywał się w swoje błyszczące, czarne lakierki ze zmieszaną miną, zapytała więc, co się stało.

— To nie dla ciebie, Missie — jęknął. — Nie wiesz, co to za ludzie. Mógłbym ci opowiedzieć o różnych rzeczach, jakie widziałem w domach wspanialszych jeszcze od tego, od których włos by ci się zjeżył na głowie! Kiedy pomyślę, że ty, mój ideał, paradujesz przed nimi, żeby cię mogli obejrzeć...

— Paraduję przed nimi? — zawołała Missie gniewnie. — O co ci chodzi, O'Hara? Pokazuję najnormalniejsze w świecie stroje, żeby najnormalniejsze w świecie, godne szacunku damy mogły je kupić! — Odsuwając na bok wspomnienie męskich spojrzeń dodała pospiesznie: — A kim ty jesteś, żeby mi zwracać uwagę? Sprzedawca przemycanego alkoholu? Moja praca jest przynajmniej uczciwa!

O'Hara poczerwieniał ze złości i zacisnął zęby na cygarze z taką siłą, że przegryzł je na pół. Rozdeptał je z wściekłością, po czym nagle zaczął się śmiać.

— Tam do licha, Missie, masz rację. Tylko że w Irlandii nie uważa się sprzedaży lewego alkoholu za coś nielegalnego. Ja jedynie dostarczam ludziom trochę przyjemności dając im to, czego chcą.

— Ja też! — odcięła się, tupiąc nogą.

— Więc razem z nową pracą zyskałaś temperament? — zapytał niewinnie. Ze śmiechem złapał ją za ręce, kiedy rzuciła się na niego z pięściami. — Przepraszam, Missie, naprawdę przepraszam. Nigdy nie chciałem powiedzieć, że nie jesteś porządną dziewczyną. Przecież wiem, że jesteś, tylko wolałbym cię mieć przy sobie w New Jersey, zamiast patrzeć, jak zarabiasz na życie pokazując innym ubrania.

Mocno uściśnęła mu ręce. Mimo całego gniewu ze zdziwieniem stwierdziła, że widok jego znajomej, przystojnej twarzy sprawia jej radość, jakby znalazła bezpieczną przystań.

— Naprawdę się cieszę, że cię widzę, O'Hara — szepnęła.

— Więc bierz kapelusz, Missie O'Bryan. Zabieram cię na kolację do najlepszej restauracji na Long Island.

Podniecona Missie pobiegła do Madame Elise, by powiedzieć jej, że idzie na kolację ze starym przyjacielem.

— Stary przyjaciel? — powtórzyła Madame ze sceptycznym uśmiechem. — Czy nowa zdobycz? Bardzo dobrze, możesz iść. Jutro omówimy propozycję Ziegfelda.

Missie zdążyła już zapomnieć o Ziegfeldzie, ale spiesząc z powrotem do CHary postanowiła, że mu nie powie o nowej pracy. Instynktownie czuła, że by nie zrozumiał. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Restaurację oddzielał od drogi rząd drzew — tak samo jak tamtą w New Jersey, do której O'Hara wziął ją poprzednio. Na parkingu stało kilkanaście samochodów, ale w oknach nie było światła, a zawieszony nad drzwiami szyld „U Oriconne” oświetlała tylko jedna lampa.

— Na pewno jest otwarta? — zapytała nerwowo Missie, kiedy O'Hara podniósł małą mosiężną klapkę i nacisnął dzwonek.

— Jasne, że tak, tylko nie dla wszystkich. Trzeba należeć do klubu. Nie wpuszczają cię, jeśli nie znają twojej twarzy.

— Ale dlaczego? — spytała ze zdumieniem.

— Sprzedają tu alkohol... od O'Hary — dodał z dumą. — Zastaniają okna i zamykają drzwi, żeby zdążyć go schować, gdyby przyjechała policja. Ale nie przyjedzie, bo bracia Oriconne nieźle bułą.

Małeńkie okienko w drzwiach otworzyło się nagle i przez kratę spojrzęła na nich jakaś twarz. Rozległ się dźwięk zdejmowanych sztab, po czym Missie i O'Hara weszli do środka i minęli jeszcze jedno, grubo obite drzwi. Missie przystanęła, ogłuszona nagłym hałasem. Długi pokój wypełniony był ludźmi przekrzykującymi orkiestrę jazzową

i siebie nawzajem. Na okrągłym, podświetlonym od spodu szklanym parkiecie tańczyło kilka par, które wołały coś do siebie i śmiały się głośno.

— Widzisz, jak się bawią — powiedział O'Hara na cały głos. — A wszystko dzięki twojemu unizonemu śludze.

— Ale na stołach nie ma kieliszków — zauważyła ze zdziwieniem. — Tylko filiżanki herbaty.

O'Hara puścił do niej oko.

— Jasne, ale to jest specjalna herbata O'Hary — odparł donośnie, kiedy szli do stolika.

— Podać coś, proszę pana? — zapytał z uśmiechem kelner.

O'Hara spojrział na Missie i powiedział:

— Ostatnim razem piliśmy szampana, może więc uczynimy z tego nasz zwyczaj?

— Czemu nie? — odpowiedziała beztrząsco. Życie było takie przyjemne, poza tym miała co świętować. Będzie dziewczyną Ziegfelda za sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Tłumaczyła sobie, że robi to dla Azaylee, ale w głębi ducha cieszyła się na myśl, że zostanie nową gwiazdą na Broadwayu. I nie będzie jej ani trochę żal pożegnać się z biedą Rivington Street, oczywiście z wyjątkiem Rosy i Zeva... Zev! Zakryła dłonią usta.

— Och! Zupełnie zapomniałam. Byłam umówiona z Zevem Abramskim o ósmej!

— Z Abramskim? — powtórzył zdziwiony O'Hara. Zmarszczył brwi, kiedy wytłumaczyła mu, że co niedziela spotyka się z Zevem w ukraińskiej restauracji.

— Jemy razem kolację, tylko tyle — wyjaśniła szybko. — Zupełnie co innego niż ja i ty. On... to tylko Zev Abramski — dokończyła niezręcznie.

— A cóż cię może łączyć z takim Abramskim, hę? — spytał z zazdrością. — Może jesteś mu winna pieniądze i spłacasz w ten sposób swój dług?

Missie spiorunowała go wzrokiem.

— Jak śmiesz, Shamusie O'Hara — wyszeptała z gniewem. — Zev Abramski jest szlachetnym, uczciwym człowiekiem i mamy ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

Ze smutkiem pomyślała o Zevie czekającym na nią w restauracji. Jak mogła zapomnieć! Jutro wszystko mu wytłumaczy, obiecała sobie. Wynagrodzę mu to za tydzień, drugi raz nie zapomnę. Spojrzała na naburmuszonego O'Harę i roześmiała się.

— Kiedy tylko się spotkamy, od razu się kłócimy — zauważyła. — To chyba przez ten twój irlandzki temperament.

— Na pewno nie! — huknął waląc pięścią w stół, aż podskoczyły filizanki. — To dlatego, że jesteś taka uparta i nie chcesz mnie poślubić!

— Założę się, że gdybym za ciebie wyszła, kłócilibyśmy się co wieczór — zażartowała. — Nadal patrzyłbyś na wszystko ze swojego punktu widzenia, a ja ze swojego. Zamknąłbyś mnie w swoim wspaniałym domu, żebym ci gotowała, sprzątała i rodziła dzieci, jak to robią w Starym Kraju.

Wybuchnęła śmiechem na widok jego zaszokowanej miny.

— Missie, nigdy bym tego nie zrobił! Mam zasady, i choć nie obejmują one sprzedaży bimbru, nigdy nie traktowałbym mojej żony w ten sposób!

Westchnęła przesadnie.

— Jaka szkoda, że nie będę mogła się o tym przekonać!

O'Hara jęknął i nalał szampana.

— Missie, nie poznaję cię! Zostawiam cię w biedzie na Rivington Street, a w kilka miesięcy później jesteś zupełnie inną dziewczyną!

— Naprawdę? — spytała zdziwiona.

— Naprawdę — potwierdził uroczyście. — Ale i tak chcę, żebyś została moją żoną.

— Zapytaj mnie ponownie za rok — odparła niespodziewanie. — Wtedy dam ci odpowiedź.

Ujął jej dłoń i ścisnął mocno.

— Za rok?

— Za rok — obiecała.

Uśmiechnął się i powiedział:

— To będzie najdłuższy rok w moim życiu.

— Och, nie — zaprzeczyła z radosnym westchnieniem. — Wcale nie. — Dla niej w tym roku czas miał płynąć bardzo szybko.

Rozdział 26

O dwunastej w południe następnego dnia Madame Elise pojechała razem z Missie do teatru „Nowy Amsterdam”. Mroczne audytorium ze złożonymi łóżkami wyglądało tajemniczo; kurtynę pokrywały kolorowe reklamy maści i mikstur leczniczych oraz sklepów i wydawnictw muzycznych. Sprzątaczkę zamykały śmieci z poprzedniego przedstawienia, czyściły miedziane popielniczki i czerwone pluszowe fotele. Obudziło to w Missie wspomnienia z dzieciństwa — pantomima w Oksfordzie, wyjazdy do Londynu na balet... Westchnęła. Ciekawie, co profesor Marcus Octavius Byron pomyślałby teraz o swojej córce, która właśnie ma stanąć na scenie jako gwiazda Ziegfelda. Była jednak zdecydowana, sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo rozwiąło wszelkie jej skrupuły. Zresztą czy to nie takie samo zajęcie jak u Madame, tylko lepiej płatne? Poza tym wiedziała, że sprawi jej to przyjemność. Może przyjemność to po prostu życie bez kłopotów finansowych?

— *Vite*, szybko — popędziła ją Madame, kiedy sekretarka Ziegfelda otworzyła im drzwi, przyglądając się Missie ciekawie.

— Verity — Ziegfeld podszedł do nich z życzliwym uśmiechem. — Cieszę się, że cię widzę. Czytałaś ostatni numer „Timesa”? — Wcisnął jej w dłoń egzemplarz gazety i wskazał na artykule poświęcony pokazowi kolekcji wiosennej Elise, w którym czarno na białym wydrukowano jej nazwisko.

Panna Verity, nowa modelka Elise, wywołała sensację, ukazując się w sukni ze zwiewnego, liliowego szyfonu wyszywanego srebrnymi koralikami. Na nogach miała srebrne pantofelki przytrzymywane wstążkami z fioletowej satyny, zawiązanymi na kokardki na jej kształtnych, delikatnych kostkach. Verity jest ucieleśnieniem nowego stylu, Vie Naturelle, powiedziała Elise. Niedługo wszystkie kobiety w Nowym

Jorku będą naśladować Verity i jej naturalny sposób poruszania, chociaż mało która może rywalizować z urodą panny Byron, jej wdziękiem i zachwycającymi fiołkowymi oczyma. Wieść niesie, że Flo Ziegfeld ma już na nią oko, może więc wkrótce ujrzymy nową gwiazdę na Broadwayu.

— *Et voila*, Ziegfeld — powiedziała Madame tryumfująco. — Wykreowałam dla ciebie następną gwiazdę. Najpierw miałeś moją małą jasnowłosą Maude, która wyszła za kolejowego milionera, potem żywiołową rudą Jaquettę, którą straciłeś dla Hollywood, a teraz Verity.

— Najpiękniejsza z nich — odparł z uśmiechem.

— Ależ ja wcale nie jestem piękna, panie Ziegfeld — rzekła Verity. — Wyglądam tak samo jak większość dziewcząt.

— Ach — Madame przewróciła oczyma. — Jak można być takim głuptasem? — mruknęła. — Przyszła tu zapisać się w historii jako największa gwiazda Ziegfelda i mówi, że wygląda jak zwykła dziewczyna z ulicy.

— Uwierz mi, w końcu jestem ekspertem — zapewnił ją Ziegfeld żywo. — Twoja uroda jest po prostu inna. Nie rzuca się w oczy, przyznaję, ale mam już dosyć banalnych piękności. Masz klasę, a nos mi mówi, że oznacza to pieniądze.

— Florenz i ja doszliśmy do porozumienia — wtrąciła Madame pospiesznie. — Uwolnię cię od wszystkich zobowiązań wobec mnie, a w zamian zaprojektuję wszystkie twoje stroje, na scenę i poza nią.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę! — zaprotestował zdziwiony Ziegfeld.

— Czy twoja nowa gwiazda ma chodzić po Piątej Alei w płaszczu za pięć dolarów? Ma iść na kolację do „Rectora” w sukience z domu towarowego? W sztucznej biżuterii? Daj spokój, Florenz, gdzie się podział twój rozum? Stanowczo nalegam, żeby ubierała ją Elise i nikt inny. Zapiszemy to w umowie. I oczywiście rachunki będą wysyłać tobie.

— Oczywiście — westchnął Ziegfeld.

— Zapłacisz jej dwieście dolarów tygodniowo, za trzy miesiące podwyżka niezależnie od programu przedstawień.

Ziegfeld jęknął.

— Masz twardego negocjatora — zwrócił się do Missie z kwaśnym uśmiechem. — Już dobrze, dobrze, Elise, jak chcesz. A teraz, zanim robisz mi bank, zabieram was na obłowanie.

Restauracja „U Rectora” była najmodniejszym miejscem spotkań ludzi estrady. Flo Ziegfeld należał do najbardziej poszukiwanych producentów na Broadwayu, pasował więc do „Rectora” jak ulał,

pluszowy lokal był jego drugim domem. Kierownik restauracji powitał go jak cenionego dawnego przyjaciela, skłonił się nisko przed Madame i jeszcze niżej przed Verity, kiedy Ziegfeld przedstawił ją jako swoją nową gwiazdę.

— Czytałem o panie Verity w gazetach — uśmiechnął się maitre d'hôtel.

— A kto nie czytał — mruknął Ziegfeld, usłyszawszy szmer podnieconych głosów. Wszystkie głowy odwróciły się w ich stronę, kiedy szli do stolika.

— Kawioru! — zawołał głośno. — Świątujemy!

— Przepraszam, panie Ziegfeld. — Obok nich pojawił się młody człowiek z notesem w ręku. — Jestem Dan James z „Daily Star”. Nie mogłem nie zauważyć pana i Madame Elise. Zakładam, że ta urocza dama to panna Verity? Nowa modelka Madame?

— Jej eks-modelka, a moja nowa gwiazda — odparł rozpromieniony Ziegfeld. — Proszę powiedzieć o tym swoim czytelnikom, panie James. Niech przyjdą ją obejrzeć. Jest fantastyczna.

— Nie omieszkam, panie Ziegfeld, bardzo dziękuję. — Ukłonił się Verity i uściśnął jej dłoń. — Miło mi było panią poznać, urocza damo.

— Widzisz? — Ziegfeld ruchem ręki wskazał całą salę. — Wszyscy cię już zauważyli. W loży przy oknie siedzi Tim Wells z „Variety” i założę się o dziesięć dolców, że przyleci tu jako następny, chociaż je obiad z Sally Vine z rewii Shuberta. Daleko jej do ciebie — dodał lekceważąco. — Będziesz gwiazdą, zanim wyjdiesz z tej sali, Verity. Twoje nazwisko ukaże się we wszystkich jutrzejszych gazetach.

Missie siedziała cicho i przyglądała się otoczeniu. Zastanawiała się, czy to wytworny, kremowy kostium Elise sprawia, że wszyscy zwracają na nią uwagę. Bez wątpienia leżał wspaniale. Kiedy popijała sok pomarańczowy, czuła na sobie pełne ciekawości spojrzenia. Tak będzie na scenie, pomyślała z lekkim niepokojem, tyle że gorzej. A może lepiej, skoro nie będzie widziała patrzących na nią ludzi, skrytych w mroku widowni?

Westchnęła z zadowoleniem na widok apetycznego kurczaka w szparagowym sosie, którego zamówił dla niej Ziegfeld.

— Proszę to zabrać... natychmiast! — Madame Elise ze wzburzeniem zamachała rękami. — Dziewczyna musi dbać o figurę — skarciła Ziegfelda. Odwróciwszy się do kelnera zamówiła sałatę i kotlet cielęcy, bez żadnego sosu.

— Och, ale... — zaprotestowała rozczarowana Verity, kiedy kurczak zniknął. Chyba teraz, kiedy jest bogata, nie każą jej głodować tak jak wtedy, gdy była biedna! — Czy mogę chociaż wziąć to dla

Azaylee? — zapytała i zaczerwieniła się. Wygadała się, teraz będzie im musiała powiedzieć, kim jest Azaylee.

— Azaylee? — zainteresował się natychmiast Ziegfeld. — To twoja koleżanka? Jeśli jest taka piękna jak ty, przyslij ją do nas, może i dla niej znajdzie się praca.

— Azaylee... to moja siostra — wyjaśniła szybko. — Opiekuję się nią od śmierci naszych rodziców. Jest piękna, ale ma dopiero sześć lat.

Roześmiali się, z ulgą zaśmiała się razem z nimi. Azaylee w mgnieniu oka zmieniła się z córki w siostrę i nagle wszystkie problemy Missie zniknęły. Nie była już podejrzana „młoda wdowa”, lecz odpowiedzialną starszą siostrą. Tak jej ulżyło, że nie musi już odgrywać wdowy, iż z radością zjadła sałatę i bez żalu zrezygnowała z deseru. Kiedy wychodzili, kelner dyskretnie wręczył jej paczuszkę. Ziegfeld powiedział z zakłopotaniem:

— Życz Azaylee smacznego.

— Jeśli się prezentuje tiule — pouczyła ją później Elise — to nie można sobie pozwolić na zbędne kilogramy ani nawet na deka. Wiem, że niektóre artystki są znane ze swych pełnych kształtów, ale dla mnie to trzęsące się galarety, a Vie Naturelle wyklucza nadmiar ciała. Jutro zaczniemy projektować nowe stroje dla ciebie — powiedziała, kiedy purpurowa limuzyna wiozła je z powrotem na Park Avenue. — Wyposażymy cię od stóp do głów. A teraz zastanowimy się, gdzie będziesz mieszkać, ponieważ oczywiście potrzebne ci nowe lokum. Chyba już wiem...

— Ależ Madame — zaprotestowała Missie — nie mogę się przeprowadzić, nie mam pieniędzy. To znaczy mam tylko to, co zarobiłam u pani.

— Zapominasz — odparła Elise — że nie ja ci teraz płacę, lecz Ziegfeld. Dwieście dolarów. Jest jedno ładne mieszkanie na Czterdziestej Trzeciej; wystarczająco blisko teatru i wystarczająco daleko od wścibskich oczu. — Z uśmiechem poklepała Verity po ręku. — Nie powiedziałam ci nic o swojej siostrzyczce — rzekła z wyrzutem. — Myślałam, że mieszkasz sama w jednym pokoju w dzielnicy wschodniej. Ale teraz masz być gwiazdą, więc musisz się przeprowadzić bliżej centrum. Porozmawiam z Ziegfeldem, żeby ci dał zaliczkę. *Mais non*, pojedziemy od razu obejrzeć tamten apartament.

Mieszkanie mieściło się na czwartym piętrze, tak samo jak pokój na Rivington Street, ale na tym podobieństwo się kończyło. Missie biegła po przestronnych pokojach wydając okrzyki zachwytu.

— Jaki piękny salon! — wołała. — Jest pełen światła i ma takie wspaniałe meble, wielkie sofy, szklane stoliki, miękkie dywany, nawet

obrazy na ścianach! A w jadalni jest marmurowa podłoga... i dwie sypialnie z garderobami, prawdziwa łazienka... och, i prawdziwa kuchnia...

— Nie będziesz za dużo gotować — przestrzegła ją Madame z uśmiechem. Biedna Verity najwyraźniej miała ciężkie życie; to skromne mieszkanie jest zapewne najwspanialszym, jakie dziewczyna w życiu widziała.

Missie w podnieceniu przycisnęła dłonie do piersi.

— Muszę je mieć — zawołała. — Muszę. Jest pierwszorzędne. — Nagle przypomniała sobie, że ma podchodzić do rzeczy praktycznie, i zapytała z niepokojem: — A ile kosztuje?

— Osiemdziesiąt pięć dolarów za tydzień — odparła Madame i twarz Missie się wydłużyła. — Ale pewnie uda się coś wytargować, może siedemdziesiąt pięć.

— Siedemdziesiąt pięć? — Nadal było to mnóstwo pieniędzy. Missie rozejrzała się dokoła z powątpiewaniem. Bieda weszła jej już w krew. Zaledwie kilka tygodni temu była bez grosza, a teraz zastanawiała się nad apartamentem za siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo! Ale mieszkanie naprawdę było urocze i wprowadziłoby taką zmianę w ich życiu. Na pewno niedaleko była dobra szkoła dla Azaylee, mogłaby też wynająć nianię, która by się zajęła małą wieczorami, kiedy ona będzie w teatrze. Wzięła głęboki oddech, spojrzała na Madame Elise, która czekała na jej odpowiedź, i rzekła stanowczo: — Biorę je.

Madame z ożywieniem kiwnęła głową.

— Odważna decyzja — pochwaliła. — W końcu uwierzyłaś w siebie. Jeżeli Florenz Ziegfeld twierdzi, że będziesz gwiazdą, to będziesz. *Eh bien*, moi adwokaci zajmą się umową najmu. Wracamy do salonu.

Późnym popołudniem do pracowni dostarczono wielki wiklinowy kosz adresowany do Verity. W środku znajdowały się wspaniałe owoce, każdy zawinięty w oddzielną serwetkę: gruszki, jabłka, pomarańcze, figi i truskawki. Do tego pieczony indyk, homar, szparagi oraz olbrzymie pudło czekoladek. Zdumiona Missie rozerwała kopertę i przeczytała dołączony do kosza liścik. *Dla Azaylee. Baw się dobrze, smacznego. Uściski, wujek Flo. Z boku stała starannie zawinięta w bibułkę butelka szampana. Przyczepiona do niej karteczka głosiła: Verity, to dla ciebie, z mojej własnej piwnicy, na twoje święto. Florenz Ziegfeld.*

To zbyt wiele, pomyślała Missie i wybuchnęła płaczem nad liścikiem. Nagle świat zapełnił się dobrymi ludźmi, którzy otaczali ją

miłością i obdarowywali prezentami. Straszliwe wspomnienia z Rosji zostały zepchnięte na dalszy plan, a ciągły strach jakby stracił na sile, kiedy Missie powtórnie przeczytała list od Ziegfelda. Przestała być samotna. Jeśli taki był świat showbiznesu, to już go kochała.

Niczym Kopciuszek przebrała się z eleganckiego kostiumu w starą spódnicę i bluzkę, po czym szofer Madame zawiózł ją na Rivington Street. Nie pozwoliła mu wnieść kosza po śmierdzących schodach, ponieważ za bardzo się wstydziła. Zawołała Rosę i poprosiła ją o pomoc.

— Dzisiaj wyprawiamy przyjęcie — oświadczyła Rosie i dzieciom spoglądającym w podnieceniu na zamknięty kosz i umierającym z ciekawości, co jest w środku. — Jesteście wszyscy zaproszeni. Meyer też — dodała zerkając na Rosę. — Jeśli chce.

— Meyer poszedł na zebranie związkowe — wzruszyła ramionami Rosa. — I bardzo dobrze.

Missie rozpromieniła się i powiedziała:

— Przyjdź o siódmej, Rosa, przynieś talerze i szklanki. Będziemy świętować! — Złapała Azaylee za rękę. — Chodź, kochanie, zaprosimy Zeva na przyjęcie.

Pobiegły ulicą trzymając się za ręce, jakby obie były dziećmi, i ze śmiechem wpadły do obskurnego lombardu.

Zev ze zdziwieniem uniósł wzrok znad rachunków.

— Dzień dobry, panie Abramski — odezwała się Azaylee nie przestając chichotać. — Przyszliśmy zaprosić pana na przyjęcie.

Spojrzał na promienną Missie, która przytaknęła skinieniem głowy.

— Świętujemy — powiedziała. — O siódmej u mnie.

— Z jakiej to okazji, *matuszka*? — Azaylee pociągnęła Missie za spódnicę.

— Później ci powiem — obiecała. Nagle przypomniała sobie, że nie przeprosiła Zeva i rzekła ze skruchą:

— Przepraszam, Zev, za niedzielę. Strasznie mi przykro, że nie przyszłam, ale byłam na długim pokazie na Long Island i nie zdążyłam wrócić na czas. Miałam dziś tu wpaść i przeprosić. Zamiast tego zapraszam cię na przyjęcie.

Patrzyła na niego rozjaśniona. Odpowiedział jej nieodgadzionym spojrzeniem ciemnych oczu i odezwał się sztywno:

— Nie czuj się zobowiązana do spotkań ze mną. Rozumiem, że jesteś zbyt zajęta.

— Och, Zev! — wsunęła rękę w okienko i dotknęła jego dłoni. — Przecież wiesz, jak się cieszyłam na nasze spotkanie. Powiedz, że mi przebaczasz, bardzo proszę. I powiedz, że przyjdiesz na moje przyjęcie.

Przekrzywiła głowę wpatrując się w niego błagalnie. Poczuł, że mięknie. Siedział wtedy przy ich stoliku, najpierw liczył minuty, potem godziny, świadom współczującego spojrzenia kelnera, a kiedy nie przyszła do jedenastej, pomyślał, że to koniec. Romans, którego nigdy nie było, skończył się na zawsze. Teraz jednak znów stała przed nim, czarowała go uśmiechem i rozbrajała spojrzeniem. Znów był szczęśliwy.

— Przyjdę — kiwną głową.

Missie odetchnęła z ulgą.

— Więc jesteście umówieni — powiedziała. Pociągnęła Azaylee i zniknęła za drzwiami wraz z radośnie powarkującym Wiktorem. — Do zobaczenia o siódmej! — Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Tego wieczoru Zev zamknął lombard wcześniej. Ubrał się starannie w czystą białą koszulę i najlepszą czarną marynarkę, wygładził gęste, ciemne włosy i zawiązał niebieski krawat. Za pięć siódma zamknął drzwi na klucz i ruszył w kierunku Rivington Street. Nigdy w życiu nie był na żadnym przyjęciu.

Otworzyła mu Rosa Perelman, obejrzała go od góry do dołu i podała mu rękę na powitanie.

— Proszę, niech pan wejdzie, panie Abramski, jesteście już w komplecie — uśmiechnęła się z sympatią. — Missie ma tyle jedzenia, że starczyłoby dla pięćdziesięciu gości.

Ze zdumieniem wpatrywał się w stół. Były na nim kolorowe, słodko pachnące owoce, wielkie różowobiałe homary, indyk, czekoladki i szampan. Przeniósł pytający wzrok na Missie.

— Otwórz szampana, wzniesiemy toast — zaproponowała.

— Chcę indyka — zażądała Azaylee.

— „Chcę” nie wystarczy — poprawiła ją Rosa automatycznie. — Poproszę indyka.

— Ja też — powiedziała Azaylee nic nie rozumiejąc.

Missie westchnęła.

— To dziecko miało kiedyś dobre maniery — rzekła. — Może niedługo znów ich nabierze.

Zev niezdarnie odkorkował butelkę; dzieci zaczęły krzyczeć z zachwytem, kiedy wino trysnęło na podłogę.

— Prędko! — zawołała Rosa. — Szklanki.

Napełnili szampanem szklanki do herbaty — dzieciom też się dostało po łyku — po czym unieśli je w górę i wyczekująco popatrzyli na Missie.

Rozejrzała się po swoich gościach, przedłużając przyjemną chwilę.

— No dobrze — powiedziała. — Przygotujcie się na wielką niespodziankę. Dwie niespodzianki... nie, trzy. Najpierw wypijemy za

zdrowie pana Florenza Ziegfelda, który przysłał nam ten kosz smakołyków i wybornego szampana.

— Ziegfeld! — wykrzyknęła Rosa. — Ten Ziegfeld? On ci to przysłał?

— Przysłał to Azaylee — poprawiła Missie. — Tu jest list, zobaczcie sami.

Zgromadzili się dokoła, żeby spojrzeć na bilecik. Rosa powiedziała z szacunkiem do Azaylee:

— Musisz zachować ten list na pamiątkę, ponieważ przysłał go bardzo sławny człowiek i napisał „Dla Azaylee”.

— I co jeszcze? — dziewczynka zerknęła na karteczkę.

Missie roześmiała się.

— „Smacznego” i „baw się dobrze”. Właśnie mamy zamiar. Później opowiem ci całą historię.

Z zadowoleniem usiadła przy stole kładąc ręce na kolanach. Była taka szczęśliwa, że nie mogła jeść.

— Spójrzcie tylko na dzieci — zachwyciła się Rosa. — Jedzą homara, jakby nic innego w życiu nie robiły. Jest tu dosyć mięsa, żeby nadrobić lata obchodzenia się smakiem. — Spróbowała wina i rzekła z zadumą: — Piłam raz szampana, kiedy przyjechał mój wujek z Łotwy. Przywiózł go ze sobą, żeby uczcić początek nowego życia. — Westchnęła i dodała: — W tydzień później przejechał go beczkowóz z browaru. Nie nacieszył się tym nowym życiem.

— Wyśmienity indyk — powiedział Zev, uprzejmie odmawiając homara, którym częstowała go Missie.

— Homar jest *treife*, nie koszerne — wyjaśniła Rosa. — Tylko że mnie to nie robi różnicy. Mam bardziej oświecone poglądy.

— Weź więc więcej szparagów — zawołała Missie. — I więcej szampana!

— Nie trzymaj nas już w napięciu — poprosił Zev. — Nie możemy się doczekać twojej niespodzianki.

— Tak, tak, co to za niespodzianka? — przekrzykiwały się dzieci.

Missie wysoko podniosła szklankę i powiedziała:

— Wypijcie zdrowie nowej artystki Ziegfelda, Verity Byron. — Popatrzyli na nią zdezorientowani. — To ja — dodała.

Mieli takie zdumione miny, że wybuchnęła śmiechem.

— Nie do wiary, prawda? Mam być nową gwiazdą Ziegfelda. I mam zarabiać dwieście dolarów tygodniowo, „regularnie jak w zegarku — tak powiedział — niezależnie od programu przedstawień”. Madame Elise zaprojektuje całą moją garderobę, na scenę i wszędzie indziej, choć pewnie będę tak zajęta, że nie zostanie mi zbyt wiele wolnego czasu.

Gapili się na nią w milczeniu.

— No i? — zapytała. — Nie cieszyście się?

— Wspaniale! — wykrzyknęła Rosa. — Ale wydaje mi się, że śnię! Na pewno jutro się obudzę i znajdę w pokoju dynię, a na schodach szklany pantofelek!

— Wiesz co? Naprawdę uważam, że to tamte pantofelki ze wstążkami przyniosły mi szczęście. — Missie odwróciła się do Zeva i ujęła jego dłoń. — Co o tym sądzisz, Zev? Nie pogratulujesz mi?

— Oczywiście — odparł cicho. — Rozumiem, że to doskonałe zajęcie i dziesięć razy lepiej płatne niż jakakolwiek praca w tej dzielnicy. *Mazel tow*, Missie. Wszystkiego najlepszego.

Spokojnie popijał szampana, gdy opowiadała im o nowym mieszkaniu, ale każdy okrzyk zachwyty był dla niego jak pchnięcie nożem. Zmęczona Azaylee wdrapała się na kolana Missie, która przytuliła ją do siebie i głaszcząc po blond główce opowiadała o jej nowym pokoju.

— *Matuszka*, a jaka jest ta trzecia niespodzianka? — spytała sennie dziewczynka.

— Pójdziesz do szkoły.

— Do szkoły? — Azaylee usiadła prosto. — Ja chcę chodzić do szkoły razem z Sonią i Rachel.

Rosa westchnęła.

— Porozmawiamy o tym później, dobrze? — zaproponowała uspokajająco. — Tymczasem muszę położyć dzieci spać.

Córki siedziały przytulone do niej, senne od dobrego jedzenia, zmęczone emocjami.

— Co tu dużo gadać, Missie, żałuję, że się wyprowadzasz, choć ze względu na ciebie bardzo się cieszę — powiedziała Rosa smutno. — Masz za sobą ciężkie chwile i zasłużyłaś na taką nagrodę.

Zev poczekał, aż wszyscy wyszli, a Azaylee z psem w objęciach zwinęła się na łóżku. Opróżnił szklankę jednym haustem i rzekł:

— Missie, nie proszę, żebyś teraz się nad tym zastanawiała, ale może pewnego dnia, kiedy nie będę już tym, czym jestem... czy zgodzisz się... — Nie, nic z tego nie będzie. Nie mógł poprosić jej o rękę. Zamiast tego powiedział: — Czy zgodzisz się nadal ze mną spotykać? No wiesz, jak już będziesz gwiazdą?

Współczująco spojrzała mu w oczy. Było w nim coś, co wzruszało ją do głębi: jego smutek, samotność. Pozornie bezduszna maska skrywała rany głębsze niż jej własne. Podeszła do niego bliżej i wyszeptwała:

— Tak, Zev. Obiecuję.

Otoczył ją ramionami. Wreszcie miał ją przy sobie, trzymał

w ramionach jak kochankę; czuł się pijany miłością. Odsunął się szybko i powiedział szorstko:

— Muszę iść. Dziękuję za zaproszenie na przyjęcie, Missie. Życzę ci wszystkiego najlepszego w twoim nowym życiu.

Stojąc przy drzwiach spozryzał na nią jeszcze. Missie powodowana impulsem podbiegła i pocałowała go.

Podniósł dłoń do ust, po czym uśmiechnął się i cicho zamknął za sobą drzwi.

Słuchała, jak jego kroki dudnią na schodach, jak trzaskają drzwi na dole; potem podbiegła do okna i patrzyła, jak zniknął za rogiem.

Zev całą noc chodził po pokoju. Co jakiś czas brał do ręki gazetę, by znów przeczytać umieszczone w niej ogłoszenie. Z jego treści wynikało, że każdy może z dnia na dzień zbić majątek na rozwijającym się przemyśle filmowym w Hollywood. Podobno ludzie ze wschodu pchali się tłumnie do doliny Riley, żeby zamieszkać w krainie wiecznego słońca i pomarańczy. Każdy miał tam własny basen z turkusowo-błękitną wodą i wszelkie inne luksusy. Jeżeli uczciwy człowiek z niewielkim kapitałem chce stać się częścią tego wspaniałego świata, wystarczy, że zadzwoni pod podany w ogłoszeniu numer.

Wpatrywał się w słowa, które obiecywały mu wszystko. Wiedział, że jeśli kiedykolwiek ma zdobyć Missie O'Bryan, musi stać się zamożnym człowiekiem, panem własnego losu. I wreszcie znalazł na to sposób.

Następnego ranka, zamiast otworzyć lombard, zawiesił tabliczkę z napisem „Zamknięte” i poszedł do redakcji lokalnej gazety, żeby zamieścić w niej ogłoszenie. *Firma na sprzedaż*, napisał. *Informacji udziela Z. Abramski, Orchard Street.*

Rozdział 27

Missie krążyła po chodniku przed teatrem i spoglądała na kolorową wiatę nad wejściem, na której czerwone, białe i niebieskie żarówki układały się w napis: „Nowa Międzynarodowa Rewia Ziegfelda. Z Ameryki — Fanny Brice. Z Paryża — Gaby Delys. Z Londynu — Bracia Arcos”. A niżej, mniejszymi literami: „W towarzystwie znakomych dziewcząt Ziegfelda i pięknej Verity Byron”.

Jeszcze nie była gwiazdą, a już jej imię błyszczało na Broadwayu i ludzie oglądali jej zdjęcie. Za kilka godzin miała stanąć na scenie. Na myśl o tym poczuła ściskanie w dołku. Do dzisiaj wszystko wydawało się takie proste.

Potem pomyślała o pieniądzach, i to ją pocieszyło. Za dwie setki tygodniowo będzie się uśmiechać najweselej ze wszystkich dziewcząt, będzie się pokazywać w przejrzystych szyfonach nie dbając o to, że mężczyźni gapią się na jej nogi i w połowie tylko zakryty brzuch.

Ostatnie dwa miesiące były najprzyjemniejsze od trzech lat, odkąd uciekła z Rosji. Wszyscy traktowali ją jak cenny eksponat, w celach reklamowych musiała się pokazywać z Ziegfeldem i jego przyjaciółmi w eleganckich restauracjach. Otrzymała nawet propozycję małżeństwa od podstarzałego Anglika, zafascynowanego jej oryginalną, „nieziemską” urodą.

— Jesteś istotą z baśni Szeherazady — szepnął do niej, kiedy pozwoliła odprowadzić się do domu po kolacji w nowojorskim apartamencie Imogeny Wensleyshire. Roześmiała się i powiedziała, że jej ojciec był profesorem, a Oksford leży daleko od Arabii, ochładzając tym trochę zapał swego amanta.

Przeprowadzka do nowego mieszkania okazała się łatwa, nie miały zbyt wiele do przewiezienia. Tylko siebie, psa i dwie stare walizki, jedna z ich całym dobytkiem, a druga z klejnotami. Łzy Azaylee

zmieniły się w okrzyki zachwytu, kiedy zobaczyła swój nowy pokój z dużym łóżkiem przykrytym różowo-białą kapą, szafę pełną ubrań i paczki z zabawkami, w poszukiwaniu których Missie przeczesła okoliczne sklepy, lekką ręką wydając pieniądze i niczym księżniczka mówiąc kolejnym sprzedawcom: „proszę to dostarczyć do domu”.

Nawet Wiktor dostał nową obrozę ze srebrnym dzwoneczkiem, prawdziwą smycz z czerwonej skóry i srebrną miskę podpisaną jego imieniem. Missie wrzuciła do niej pierwszorządne mięso i psie herbatniki, z którymi rozprawił się dwoma kłapanięciami.

Obchodząc wieczorem swoje gospodarstwo, Missie czuła się bardzo dumna z siebie. Zajrzała do spiżarni pełnej smakołyków i roześmiała się głośno na myśl, że nie będzie już głodna; popatrzyła na smacznie śpiącą Azaylee i podziękowała Bogu, że wreszcie dała jej prawdziwy dom. Potem wzięła długą, rozkoszną kąpiel w pięknej wannie z białej porcelany. Włożyła jedwabną koszulę nocną, dzieło Madame opłacone zgodnie z umową przez Ziegfelda, i przejrzała nowe stroje. Sukienki, płaszcze, kostiumy, kapelusze — wszystko odpowiednie dla młodej damy, na każdą okazję. Tej nocy zasnęła z uśmiechem na ustach, a nie ze zmarszczonymi brwiami, jak zawsze zasypiała na Rivington. Czuła się jak beztraska nastolatka, wolna od zmartwień.

Następnego ranka przyjechała Beulah Bradford i wzięła je pod swoje skrzydła. Beulah była błogosławieństwem w postaci wdowy w średnim wieku, która wychowywała sześcioro własnych dzieci i miała dziesięcioro wnuków mieszkających w Georgii. Ubierała się w białe wykrochmalone fartuchy i sznurowane białe buty.

— Odchowałam już moją gromadkę — oświadczyła. — Od przeszło dwudziestu lat pracuję dla pań artystek. Znam ich zwyczaje i godziny pracy. Jestem dyskretna, panno Verity, zawsze trzymam buzię na kłódkę i nie opowiadam gazetom żadnych plotek. Naprawdę się cieszę, że mogę się zająć małą Azaylee. Przypomina mi to czasy, kiedy moje dzieciaki były takie małe — dodała z westchnieniem.

W ciągu tygodnia Beulah stała się członkiem rodziny, zajmując miejsce Rosy jako przyszywana ciotka. Gotowała posiłki Azaylee i pilnowała, żeby zostały zjedzone, kapała ją, czesała, prała, prasowała jej sukienki i każdego popołudnia zabierała ją razem z Wiktorem na długie spacerunki do parku, gdzie spotykały się z innymi dziećmi. Azaylee od razu ją pokochała.

Missie miała teraz tylko dwa problemy. Po pierwsze, ciągle nie znajdowała wolnej chwili, żeby się spotkać z Rosą, a po drugie, pieniądze przeciekały jej przez palce jak woda.

Ziegfeld dał swojej nowej gwiazdzie miesięczną pensję z góry, żeby

wpłaciła depozyt i komorne za mieszkanie. Oddała dług Zewowi, zapłaciła Glanzowi za płaszcz, zwróciła pięć dolarów Rosie i wetknęła jej do kieszeni jeszcze dwadzieścia, kiedy tamta nie patrzyła. Pamiętając, jak sama pracowała za głodową pensję, uparła się, żeby płacić Beulah sto dolarów miesięcznie plus fartuchy i utrzymanie. I tak uważała, że to niewiele.

Oczywiście zostało im wystarczająco dużo pieniędzy na życie, ale Missie była zdumiona, że dwieście dolarów nie wydaje się już takim majątkiem jak kilka tygodni temu. Zwłaszcza kiedy odkryła, jakiego czesnego żądają co lepsze nowojorskie szkoły, które zresztą wcale nie czekały na Azaylee z otwartymi rękami. Prowadzące je snobistyczne stare panny wymieniały w rozmowie nazwiska Vanderbilt, Biddle i Bradley, patrzyły na nią z ukosa, kiedy wyjaśniała, że jest artystką z Broadwayu, i sceptycznie marszczyły nosy, kiedy przedstawiała Azaylee jako swoją siostrę. Gdybyście wiedziały, kim to dziecko naprawdę jest, mówiła do nich w duchu wściekła Missie. Biłybyście się o nią!

Tylko jedna szkoła zgodziła się przyjąć Azaylee. Prowadziły ją panny Beadle, roztropne, uśmiechnięte siostry z Bostonu, które same były na tyle dobrze urodzone, że nie musiały się chwalić swoimi uczennicami. Wszystkie dziewczęta nosiły takie same eleganckie szare mundurki, z filcowymi kapeluszami w zimie, a słomkowymi w lecie, i wszystkie traktowane były jednakowo. Jedynym minusem okazały się niezwykle wysokie opłaty, pięćset dolarów za semestr, płatne z góry. Missie nie miała tyle pieniędzy. Nie mogła prosić Ziegfelda o następną zaliczkę, poza tym przerażała ją sama myśl o długach. Przysięgła sobie, że już nigdy w życiu nie będzie nikomu nic winna, i zamierzała dotrzymać słowa.

Wróciwszy do domu, wyciągnęła spod łóżka starą walizkę i przejrzała jej zawartość. Przypomniała sobie, jak Sofia szpilką od kapelusza wydłubywała brylanty z tiary, by potem sprzedać je na ulicy w Konstantynopolu. Ostatnie trzy wielkie brylanty błyszcząły w świetle; czwarty, zwrócony przez Zeva po spłacie długu, leżał zawinięty w kawałek aksamitu. Wiedziała, że Zev ma rację. Nikt nie uwierzy, że te brylanty należą do niej, jeśli będzie chciała je sprzedać.

Spojrzała na ukochaną twarz Miszy i w jej pamięci odżyło każde jego słowo, każde spojrzenie szarych oczu, każde dotknięcie jego dłoni. Czemu na jawie wydawał się jej snem, a tylko we śnie był realny? Broszka z pięcioma brylantami leżała na dnie walizki. Powiodła po niej palcem przypominając sobie wieczór, kiedy ją dostała. Był to jej największy skarb. Wpatrywała się w nią długo, niepewna co zrobić.

W końcu zrozumiała, że nie ma wyboru. W porównaniu z cennymi brylantami broszka była drobiazgiem — łatwo będzie wymyślić bajeczkę, że przysłał ją nieznany wielbiciel. Wszyscy wiedzieli, że artystki rewiove często dostawały drogie upominki. Missie sama widziała biżuterię koleżanek, podarowaną im przez wielbicieli, znanych i nieznanymi. Poza tym od rewolucji i tamtej krwawej nocy minęło już tyle czasu. Z pewnością nikt się już tym nie interesuje.

Całą noc rozważała ryzyko. Przypomniała sobie, że Cartier wypożycza Ziegfeldowi biżuterię, którą miała nosić na scenie. Następnego dnia rano ubrała się w kremowy kostium od Elise, zrobiła sobie makijaż i wybrała kapelusz z największą ilością piór, który wyglądał wystarczająco „rewiowo”. Następnie wezwała taksówkę i kazała się zawieźć na Piątą Aleję.

Nonszalancko przeparadowała szarym korytarzem między wykładanymi aksamitem szklanymi szafkami, co chwila zatrzymując się, by obejrzeć tu brylantowy drobiazg, tam sznur pereł — jakby jedynym jej zmartwieniem na świecie był wybór jakiegoś świecidełka, którym mogłaby się upiększyć.

— Szanowna pani? — Jubiler w garniturze w prążki uśmiechnął się do niej pytająco. — Mogę w czymś pomóc?

Posłała mu rozbrajający uśmiech.

— Jestem Verity Byron. Pan Ziegfeld mówił mi, że macie państwo przysłać dla mnie brylanty do następnej rewii. Zastanawiałam się, czy mogłabym je najpierw obejrzeć? Hmm, może powinnam przyjść razem z Madame Elise — dodała z powątpiewaniem. — Ale nie, Cartier ma tak świetny gust, że na pewno cała biżuteria jest wspaniała. Chciałam tylko zatwierdzić wasz wybór.

— Ależ oczywiście, panno Byron, bardzo mi miło panią poznać. — Missie nasunęła kapelusz na oko i obdarzyła sprzedawcę kolejnym uroczym uśmiechem. Spojrzał na nią z podziwem. — Pozwolę sobie zauważyć, że jest pani równie piękna jak na zdjęciach — rzekł z szacunkiem. — To zaszczyt dla Cartiera, że możemy być pani pomocni.

Usiadła na małym fotelu w stylu Ludwika XV nerwowo pukając palcami w szklany blat, kiedy jubiler zniknął w sejfie, by po chwili wynurzyć się z sześcioma zamszowymi pudełkami.

Ułożył je przed nią na ladzie i otworzył, zamaszystym gestem prezentując brylantowe naszyjniki, bransoletki i olbrzymie kolczyki, które z pewnością spodobałyby się Annuszcze.

— Proszę przymierzyć — zaproponował. — Jeśli naszyjnik nie leży na właściwym miejscu, tuż nad kośćmi obojczyka, możemy go

przerobić. Pani ma takie szczupłe nadgarstki... myślę, że bransoletki również trzeba będzie dopasować. Jak się pani podoba nowy wzór? Ostatni krzyk mody, bransoletka w kształcie węża, prosto z naszej pracowni w Paryżu.

— Wspaniałe — Missie podziwiała się w lustrze. — W porównaniu z tym mój własny drobiazg wydaje się... zupełnie nieistotny.

— A cóż to jest, szanowna pani? — zapytał gorliwie.

Zawahała się sekundę, po czym rzekła:

— Dostałam mały upominek, prezent od nieznanego wielbiciele... — Wzruszyła ramionami. — Wie pan, jak to bywa w teatrze. To broszka, ale zbyt wyszukana, jak na mój gust, poza tym nic dla mnie nie znaczy. Wolałabym ją sprzedać. Wydawało mi się, że była kupiona u Cartiera, więc przyniosłam ją z powrotem.

— Rozumiem, oczywiście, proszę pani.

Przesunęła po ladzie broszkę owiniętą w jedwabną chusteczkę. Spojrzawszy na nią, sprzedawca wziął głęboki oddech.

— Rzeczywiście — mruknął. — Nadzwyczaj oryginalny klejnot. Doskonale rozumiem, że nie chce pani tego nosić.

Patrzyła niespokojnie, jak jubiler długo i dokładnie ogląda broszkę pod lupą. Wreszcie powiedział:

— Ta broszka pochodzi z końca poprzedniego wieku i została wykonana w naszej paryskiej pracowni dla bardzo znanej rodziny. — Obrzucił ją badawczym spojrzeniem, po czym dodał gładko: — Szkoda, że pani nie zna nazwiska dżentelmena, który ją ofiarował. W przypadku biżuterii takiej jak ta dobrze jest znać jej pochodzenie. To ułatwia ponowną sprzedaż.

— Przykro mi — wzruszyła ramionami. — Nie mam pojęcia. Nie było to dla mnie ważne.

— Naturalnie, że nie, droga pani, naturalnie. No cóż, z przyjemnością panią informuję, że dzięki jakości kamieni i robocie Cartiera jest to obecnie okaz kolekcjonerski. Możemy dać pani tysiąc dolarów.

Missie zamknęła oczy. Tysiąc dolarów. Liczyła najwyżej na pięćset, co wystarczyłoby na opłacenie jednego semestru szkoły.

— Zgoda — z uśmiechem otworzyła oczy.

W ciągu kilku minut załatwili interes. Wepchnąwszy do torebki dziesięć studolarowych banknotów, Missie jeszcze raz uśmiechnęła się z wdzięcznością do jubilera i lekkim krokiem, jakby płynęła w powietrzu, wyszła ze sklepu.

Sprzedawca obserwował ją badawczo, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi, po czym wziął broszkę Iwanowów i ponownie ją obejrzał.

Znalazłszy się w biurze, zamówił zamiejscową. Kiedy w końcu uzyskał połączenie, rozmowa, którą przeprowadził, była krótka.

— Prosił pan, by go niezwłocznie zawiadomić, gdybyśmy mieli na sprzedaż jakieś klejnoty Iwanowów — powiedział. — Jako kolekcjoner, na pewno będzie pan zachwycony tym okazem. Tak, proszę pana, jest naprawdę rzadki. Broszka w kształcie herbu Iwanowów: brylanty, rubiny i szafiry osadzone w platynie, z wilczym łbem ze złota. Jcsl pan zainteresowany? Bardzo dobrze. — Słuchał przez chwilę, a potem odpowiedział: — Tak, pamiętam, że pan o to prosił. Przyniosła ją młoda dama. Gwiazda z nowej rewii Ziegfelda, panna Verity Byron. — Uśmiechnął się i zakończył: — W takim razie przechowam ją do czasu pańskiego przyjazdu. Dziękuję, baronie Arnhaldt.

Na premierze Missie miała na sobie brylantowy naszyjnik i wężowe bransoletki od Cartiera, sukienkę z prześwitującej srebrnej gazy, jedwabne cieliste pończochy i stanowiące już jej wizytówkę srebrne pantofle ze wstążeczkami, tyle że tym razem na niemożliwie wysokich obcasach. Odbyła w nich ze sto prób i sama ćwiczyła w domu z tysiąc razy, wciąż jednak chwiały się jej nogi w kostkach i czuła się niepewnie.

Ziegfeld powiedział:

— Przy takiej reklamie wszyscy się zlecą, żeby cię zobaczyć, choćby z czystej ciekawości. Będą przychodzić dla ciebie prawic tak samo jak dla Fanny i Gaby, choć prawdę mówiąc Gaby już nie jcsł tak popularna jak kiedyś. Szkoda, bo to urocza dziewczyna. Cała sztuka w tym, żeby im kazać czekać na ciebie. W ten sposób jeszcze podniecimy ich ciekawość. Wystąpisz więc w pierwszej scenie drugiego aktu, a potem w finale. To wszystko. Będę racjonował twoje wystąpienia, aż zaczną domagać się więcej!

W przeciwieństwie do modelek Elise, koleżanki z rewii były bardzo życzliwe i serdeczne: wiedziały, że Missie ma tremę i zgromadziły się wokół, żeby jej dodać otuchy, kiedy siedziała zgarbiona przed toaletką.

— Stój, kiedy masz stać, idź, kiedy masz iść, i uśmiechaj się, kiedy masz ochotę — radziły. — To nic takiego. Robiłaś już to tysiąc razy.

Wielka garderoba pełna była kwiatów. Każdej dziewczynie przysłano bukiet, a najpopularniejsze z nich miały tyle, że kosze stały aż na korytarzu. Missie też dostała kwiaty; wielki bukiet lilii od Ziegfelda z życzeniami sukcesu; fioletową wiązanekę od Madame Elise, która przypominała jej, że jest *rarissante* i że ma się trzymać prosto; bukietik róż zawinięty w srebrny papier z uściskami od Azaylee i pęk wiosennych kwiatów od Beulah z serdecznymi życzeniami.

— Czegóż więcej może chcieć dziewczyna? — dumiała z uśmiechem. W głębi duszy bała się i żałowała, że nie powiedziała nic O'Harze. Mógłby tu być i wspierać ją, dodawać jej otuchy. Posłała bilety Rosie i Zewowi, ale obawiała się, że nie przyjdą. Przed samym przedstawieniem przyniesiono jeszcze jeden bukiet. Dwa tuziny ciemnoczerwonych, długich róż z bilecikiem *Mazeł tow i powodzenia, serdeczności*, Zew Z uśmiechem przycisnęła bukiet do piersi. Więc jednak o niej nie zapomniał.

Chociaż zacinał deszcz, a chodniki przypominały pola minowe pełne kałuż głębokich po kostki, Czterdziestą Drugą i Broadway wypełniały limuzyny oraz tłum gapiów żądnych widoku sław przybywających na premierę w Ziegfelda. Rosa z wprawą przeskakiwała przez kałuże, torowała sobie drogę łokciami, odgarniając mokre włosy i przytrzymując kapelusz. Grupa ulicznych handlarzy robiła świetne interesy, bilety na miejsca w lożach osiągały cenę pięćdziesięciu dolarów. Przyglądała się temu przez chwilę, obserwując, kto daje najwięcej, po czym podeszła do jednego z handlarzy i zaproponowała mu swój drogi bilet. Targowała się ostro, jak co dzień u rzeźnika albo sprzedawcy ryb. Po chwili, tryumfalnie chowając do kieszeni pięćdziesiąt dolarów i bilet na najgorsze miejsce na galerii, ruszyła w kierunku teatru.

Siedziała wysoko na balkonie, ale przynajmniej na wprost sceny. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, spoglądając na ludzi obok. Byli tacy jak ona, przemoczeni i biednie ubrani, wpatrzeni w wytworną widownię w lożach i amfiteatrze, czekający na bogaty świat fantazji kreowany w ekstrawaganckich rewiach Ziegfelda. Jednak w przeciwieństwie do niej nie znali nowej gwiazdy Broadwayu. Rosa przyszła tu, żeby zobaczyć Missie, i trzymała za nią kciuki.

Światła przygasły, orkiestra skończyła uwerturę i zaczęła grać pierwsze takty nowej kompozycji Jerome Kerna. Kurtyna podniosła się powoli, ukazując scenę z „Tysiaca i Jednej Nocy”. Sala westchnęła. Dekoracje połyskiwały brązem, miedzią i złotem; tancerki miały na sobie wyszywane złotą nitką szarawary i bolerka; kalif w haftowanym kaftanie siedział na inkrustowanym tronie z brązu; niewolnicy stali jak pozłacane posągi w turbanach z błyszczącymi piórami. Wschodnie kobierce i niezliczone jedwabne draperie dodawały scenie tajemniczości; w świetle reflektorów unosiły się dymy kadzideł z drzewa sandałowego i innych egzotycznych roślin.

Rosa wstrzymała oddech wraz z całą salą; nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego, nawet nie wyobrażała sobie, że istnieją miejsca pełne podobnego przepychu. Zahipnotyzował ją świat baśni

stworzony przez geniusz Ziegfelda i w ciągu kilku godzin stała się jego gorącą wielbicielką. Ziegfeld umożliwił jej ucieczkę od ponurej rzeczywistości i sprawił, że miała o czym marzyć i co wspominać. Wiedział, czego chcą ludzie i dawał im to — a nawet więcej. No i robił na tym majątek.

Rosa śmiała się głośno z Fanny Brice, klaskała z całych sił braciom Arcos, a w przerwie siedziała spokojnie na miejscu, studiując program. Missie miała się pojawić w następnej odsłonie, oczywiście program mówił o „Verity”. Rosa kupiła pudełko czekoladek od przechodzącego sprzedawcy i schowała je do kieszeni, dla dzieci. Potem nerwowo splotła dłonie, czekając na podniesienie kurtyny i modląc się, żeby Verity dobrze wypadła. Przecież, myślała z niepokojem, to niemal dziecko. Trzymała za nią kciuki mając nadzieję, że Missie podjęła słuszną decyzję.

W końcu światła zgasły i orkiestra zaczęła grać łagodną, rytmiczną melodię, powolną, lecz mimo to porywającą. Widzowie w oczekiwaniu pochylili się do przodu, kiedy druga, niebieska kurtyna odsłoniła scenę pod wodą. Tancerki w tunikach z szyfonu w różnych odcieniach turkusowego i błękitu wirowały wokół wielkiej srebrnej muszli umieszczonej pośrodku sceny; pozostałe dziewczęta, ubrane w zdobione cekinami syrenie ogony oraz fantastyczne nakrycia głów z błyszczących muszelek, fruwały na zwisających z sufitu huśtawkach w kształcie łodzi. Kiedy muzyka przybrała na sile, srebrna muszla otworzyła się powoli, ukazując wielką kremową perłę. Kolejne *crescendo* i perła pękła na dwoje, odsłaniając Missie otuloną w srebrną gazę, z uniesionymi ramionami i głową odchyloną do tyłu. Jej długie nogi poruszały się z wdziękiem w tanecznym *pas*, włosy spływały kaskadą do pasa.

W teatrze dały się słyszeć „ochy” i „achy” podziwu. Srebrne światło ze szklanego księżycy przesłoniętego niebieską gazą zalało Missie, która przechyliła swoją piękną, łabędzią szyję i uniosła dłonie błagalnym gestem. Otoczyła ją grupa młodych mężczyzn w niebieskich pończochach i srebrnych kurtkach, wyciągnęli do niej ręce. Missie zaczęła iść płynnym krokiem w kierunku zjeżdżającej z góry wielkiej srebrnej rampy. Stanąwszy na niej, odwróciła się twarzą do widowni rozkładając ręce, rzuciła sali spojrzenie fiołkowych oczu oraz uśmiech, i wraz z rampą popłynęła w górę na spotkanie z księżycem. „Bolero” Ravela osiągnęło punkt kulminacyjny, kiedy kurtyna opadła w burzy oklasków.

Rosa otarła łzy z oczu. Nie było w tym widowisku niczego nadzwyczajnego, ale zachwyciło i ją, i wszystkich innych. Ludzie obok niej mówili, że to najbardziej spektakularna scena ze wszystkich rewii

Ziegfelda i że Verity Byron jest piękna, wysoka jak sosna i delikatna jak promień księżycy, który przedstawiała. Eteryczna, subtelna, prześliczne oczy, fantastyczne nogi... Rosa z trudem powstrzymywała się od okrzyku: „Znam ją! To moja przyjaciółka! To przecież Missie!” Nie mogła się doczekać końca, żeby iść za kulisy i się z nią zobaczyć.

W finale Verity przedfilowała przez scenę w liliowej krynolinie, jako Maria Antonina, trzymając w ręku wielki wachlarz ze strusich piór, a pod pachą maleńkiego pieska. Przyjęto ją z głośnym aplauzem. Kiedy opadła kurtyna, Rosa zbiegła z balkonu na ulicę i bez tchu dotarła do drzwi prowadzących za kulisy. Nie była pierwsza, przy drzwiach ustawiła się już kolejka eleganckich panów w smokingach, białych muszkach i jedwabnych kapeluszach. Portier miał pełne ręce roboty, odbierając od nich liściki dla dziewcząt i prezenty, które według Rosy wyglądały jak pudełka z biżuterią.

— Hej, panie portier — zawołała przepychając się do przodu. — Powiedz panie Verity Byron, że przyszła jej przyjaciółka Rosa.

Rzucił jej obojętne spojrzenie i dalej zbierał listy, układając je starannie i wsuwając do kieszeni dziesięciodolarowe banknoty, które wraz z listami podawali mu mężczyźni.

— Hej! — zawołała ponownie ze złością. — Ty, głuchy, prosiłam, żebyś powiedział Verity, że przyszła jej przyjaciółka Rosa. Rosa Perelman.

Tym razem nawet na nią nie spojrzął. Rosa chwyciła się pod boki, gotowa go zwymyślać, ale eleganccy młodzieńcy patrzyli na nią z ciekawością, wołała więc nie wywoływać awantury i nie sprawiać Missie kłopotu. Będzie musiała poczekać, aż Missie wyjdzie. Chyba że... Kiedy portier odwrócił się na chwilę, Rosa wślizgnęła się za jego plecami do środka i pobięła obskurnym korytarzem, zanim zdążył ją złapać.

— Hej — zaczepiła przechodzącą tancerkę. — Którędy do Verity Byron?

— Piętro wyżej, trzecie drzwi po lewej — odparła tamta nie zatrzymując się.

Drzwi pokryte były małymi srebrnymi gwiazdkami i opatrzone napisem „Dziewczęta Ziegfelda”. Otworzywszy je, Rosa ujrzała cały zespół, dwanaście dziewcząt, śmiejących się i rozgadanych, ubranych w wytworne jedwabne sukienki, gotowych na przyjęcie. Missie stała w samym środku, ściskana i całowana przez koleżanki, które gratulowały jej i wydawały okrzyki podziwu na widok stosu bilecików na toalecie i koszy kwiatów bez przerwy wnoszonych do środka.

Rosa pomyślała, że nigdy jeszcze Missie nie wyglądała tak urocz.

Ubrana była w czerwoną suknię z tafty, wysoko na rękach umieszczone miała brylantowe bransoletki w kształcie węży, a przepiękne włosy podpięta po bokach brylantowymi spinkami. Ale to nie suknia i nie brylanty, stwierdziła oniemiała Rosa. Nie były dziś Missie potrzebne. Uboga dziewczyna z Rivington Street naprawdę przeistoczyła się w piękną, jaśniejącą pełnym blaskiem gwiazdę.

— Rosa! — Dziewczyny odwróciły się, spoglądając ciekawie, gdy Missie rzuciła się w ramiona przemoczonej kobiety stojącej przy drzwiach. — Och, Rosa, tak się cieszę, że przyszłaś. Załatwiłam ci dobre miejsce, żebyś wszystko widziała. Powiedz, co o tym sądzisz?

Niespokojnym wzrokiem szukała aprobaty w oczach Rosy, która uśmiechnęła się.

— Pan Ziegfeld dotrzymał słowa — powiedziała. — Zrobił z Missie O'Bryan gwiazdę. Byłaś wspaniała, Missie, po prostu cudowna.

Missie roześmiała się, po czym nagle twarz się jej wydłużyła.

— Ale widzisz, Rosa — rzekła z zakłopotaniem — tak naprawdę to ja nic nie robię. Nie tańczę, nie śpiewam, nie opowiadam dowcipów. Tylko stoję i pozwalam na siebie patrzeć.

— Za dwieście dolarów wystarczy — oświadczyła Rosa stanowczo. — Jeśli Ziegfeld chce, żebyś tańczyła albo śpiewała, niech zapłaci tysiąc.

— Pewnie masz rację — zaśmiała się Missie.

— Sprzedałam mój bilet za pięćdziesiąt dolarów — powiedziała Rosa. W tym stroju nie mogłam usiąść w łoży obok wytwornych dam.

— Och — Missie uściskała ją ze skrucą. — Powinnaś była o tym pomyśleć.

— Wcale nie — odparła Rosa miękko. — Powinnaś jak najszybciej zapomnieć o biedzie. Bieda nie zostawia dobrych wspomnień.

— Ale dała mi ciebie — odparowała Missie. — Ciebie nigdy nie zapomnę. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. A Zev najlepszym przyjacielem. — Spojrzała na nią pytająco. — Właśnie, gdzie on jest?

— Nie wiesz? — zapytała Rosa ze zdumieniem. — U rzeźnika, u piekarza, na wszystkich straganach tylko o tym się mówi. Zev Abramski sprzedał lombard i wyjechał do Hollywood. Robić karierę w filmie. Tak mówią.

Missie rzuciła okiem na kwiaty na toaletce.

— To znaczy, że wyjechał? — spytała zaskoczona. — Nic nie mówiąc? Nawet mnie nie sprzedając?

Poczuła się porzucona, osamotniona. Podobnie jak O'Hara, Zev zawsze był obok, stał się częścią jej życia, przyjacielem — a teraz tak postąpił.

— Wierz mi — szepnęła Rosa, poklepując ją pocieszająco po ramieniu — tak jest lepiej. Abramski nie był dla ciebie. Wiedział o tym. Nie zostawił żadnego adresu. Dobrze, że wyjechał. Zapomnij o nim, Missie, żyj swoim życiem. I jak ci życzył Ziegfeld, „baw się dobrze”.

— Czas wychodzić! — zawołały dziewczęta.

Missie ze smutkiem spojrzała na Rosę i powiedziała:

— Muszę iść. Ziegfeld wydaje „U Rectora” przyjęcie z okazji premiery. Przyjdiesz niedługo mnie odwiedzić? Z dziećmi?

Złapała ją za rękę. Nagle, mimo całego nowo nabytego poloru, wydała się Rosie żałośnie młoda.

— Przyjdę, kiedy tylko będziesz mnie potrzebować, Missie — odparła. — Nie martw się. Wciąż jestem twoją przyjaciółką. — Pomachała ręką i z uśmiechem zniknęła za drzwiami, prychając pogardliwie na zirytowanego portiera, kiedy wychodziła na ulicę.

Rozdział 28

Eddie Arnhaltdt siedział w łoży teatru „Nowy Amsterdam” trochę zirytowany występem Fanny Brice. Żałował, że Gaby Delys nie została dłużej na scenie. Ale tak naprawdę czekał na Verity Byron. W przerwie zapalił ręcznie robionego tureckiego papierosa i przeszedł się po foyer, obserwując kobiety, choć uważał, że w porównaniu z Niemkami wypadają niezbyt korzystnie: za szczupłe, za delikatne, bez biustu. Żadna z pań obecnych w teatrze nie mogła się równać z jego matką z czasów młodości, zresztą nawet teraz, jako starsza pani, baronowa nadal była przystojna. A także silna. Eddie wiedział, czego chce od płci przeciwnej. Nie różnił się od innych Arnhaltdtów: lubił kobiety z dużym biustem, wysokie i wystarczająco namiętne, by zaspokoić jego apetyt. W Europie cieszył się sławą pożeracza serc niewieścich.

Rozległ się dzwonek zapraszający na drugi akt. Eddie zgasił papierosa i wrócił na miejsce, czekając z niecierpliwością na występ Verity. Kiedy muszla wreszcie się otworzyła, wyjął lornetkę teatralną i uważnie przyjrzał się pannie Byron. Z wyglądu nie przypominała Iwanowów, nie była też w jego typie, ale zamierzał się poświęcić dla dobra rodziny, jeśli zajdzie taka potrzeba. Poza tym sądził, że uwiedzenie ślicznej Verity nie będzie nieprzyjemnym zadaniem.

Gdy opadła kurtyna, wyszedł na ulicę i ruszył w stronę wejścia dla aktorów. Z wyższością popatrzył na tłum młodych ludzi czekających na dziewczęta. Wiedział, że to nie dla niego. Znajdzie subtelniejszy sposób.

Limuzyna Mercedes-Benz czekała na niego przy krawężniku. Pojechał do kwaciarni na Broadwayu, złożył zamówienie, po czym kazał kierowcy zawieźć się do hotelu. Słowo szepnięte chłopcu

hotelowemu i setka wsunięta w dłoń gwarantowały mu piękność najwyższej klasy; w pokoju miała już czekać wystawna kolacja. Eddie lubił niemal surowe steki i szalone kobiety — dziś będzie miał jedno i drugie.

Missie awansowała do własnej garderoby. Mały pokoik co noc wypełniał się kwiatami i listami od młodych ludzi, których nie znała, a którzy błagali ją, żeby poszła z nimi na kolację, na lunch, na przyjęcie. Do listów często dołączane były upominki — ładny pierścionek z brylantem, cieniutka bransoletka wysadzana drogimi kamieniami, broszka w kształcie podkówki zdobiona szafirami i brylantami. Zawsze zatrzymywała kwiaty i odsyłała prezenty, nigdy też nie umawiała się z mężczyznami, którzy nie zostali jej przedstawieni.

Kierowała się stałymi zasadami: występuje w rewii, żeby zarobić na życie, ale nie jest przedmiotem, który można kupić za byle brylantowy drobiazg. Inne dziewczęta śmiały się z niej i twierdziły, że zwariowała, przecież takie są reguły gry. Mimo to obstawała przy swoim. Poza tym była zbyt zajęta. Brała lekcje tańca, śpiewu i emisji głosu. Ziegfeld zamierzał rozszerzyć jej udział w następnej rewii: miała zaśpiewać piosenkę napisaną specjalnie dla niej przez Jerome Kerna i zatańczyć razem z chłopcami. Jeśli okaże się wystarczająco dobra, dostanie też rolę w małym skeczu.

Z błogim uśmiechem odsunęła na bok trofea z tego wieczoru i nałożyła krem na twarz, żeby zetrzeć makijaż. Wszystko układało się świetnie. Azaylee była zadowolona ze szkoły, choć nauczyciele czasami narzekali na jej nieuwagę.

— Ona po prostu jest marzycielką — wyjaśniała Missie. — Czasami tak się zamyśla, że całkiem zapomina, gdzie jest.

Jedynie w trakcie lekcji tańca Azaylee nigdy się nie zamyślała. W szkole nazywało się to „Mimika i ruch”, dzieci biegały boso w kuszach spódniczkach z szyfonu, tupały w podłogę i kręciły piruety w takt melodii wygrywanej na pianinie przez samą pannę Beadle. Azaylee zaskoczyła wszystkich: kiedy nadchodziła jej kolej, fruwała nad parkietem, wdzięcznym ruchem unosząc ręce nad głowę i prostując przy skoku długie nogi. Panna Beadle uznała, że dziewczynka powinna brać specjalne lekcje.

Wobec tego dwa razy w tygodniu sześciolatnia Azaylee chodziła na zajęcia do zimnego, wynajętego studio na Czterdziestej Drugiej. Dora Devine, bezrobotna tancerka, kazała jej przez pierwszą godzinę ćwiczyć w różowych baletkach przy poręczy, a przez drugą stepować

w srebrnych trzewikach- Potem Azaylee wracała do domu, zarumieniona z radości, i ćwiczyła dalej na marmurowej podłodze jadalni, doprowadzając Missie i Beulah do obłędu nie kończącym się stopowaniem.

Missie podniosła wzrok na wchodzącą garderobianą, która powiedziała:

— Jeszcze jeden bilecik, panno Verity. I kwiat. Gość musi być biedny. Z jednym kwiatkiem daleko nie zajdzie.

Wzięła od garderobianej przesyłkę. Przepiękna kremowa róża i bilecik z napisem „Baron Edmund Arnhaldt”. Nic więcej, tylko wizytówka i róża. Z uśmiechem włożyła ją do kryształowego wazonu z tuzinem innych i natychmiast o niej zapomniała.

Następnego wieczoru Arnhaldt znów przysłał wizytówkę i różę — tym razem zrobioną ze srebra. Było to urocze i niezwykle; po raz pierwszy Missie zatrzymała upominek. Włożyła kwiat do smukłego srebrnego wazonika na toaletce. Trzecia róża okazała się złota — Missie nie posiadała się ze zdumienia. Czwarta wysadzana była różowawymi brylancikami. Tym razem bilecik zawierał pytanie: *Czy pozwoli się pani zaprosić dziś na kolację? Jestem pani niewolnikiem.*

Missie zawahała się. Pierwszy raz odczuła pokusę. Potem jednak uznała, że w żadnym wypadku nie powinna. To wbrew jej zasadom. Przecież nie miała pojęcia, kto to jest ani jak wygląda. Może ma dziewięćdziesiąt lat i mówi tylko po niemiecku? Poszła do garderoby obok i zapytała o Arnhaltda Genny, jedną z tancerek.

— Arnhaldt! — wykrzyknęła Genny. — Eddie Arnhaldt! Kochana, trafiłaś w dziesiątkę! Arnhaldt jest bogaty, że hej! Mógłby kupić wszystkie teatry na Broadwayu, gdyby chciał, i nawet nie zauważyłby, że wydał jakieś pieniądze. Mógłby kupić wszystkie brylanty od Cartiera i nawet by nie mrugnął. Ma jachty, zamki i jest bardzo przystojny. Pieniądze ciągnie z ziemi: żelazo, stal, huty i tym podobne. Verity, upadłabyś na głowę, gdybyś się z nim nie spotkała... przynajmniej raz. Na próbę. Przecież widać, że gość ma styl. Zobacz tylko, jak się zabrał do rzeczy!

Missie uśmiechnęła się w zamyśleniu. Eddie Arnhaldt intrygował ją coraz bardziej.

— Cóż — powiedziała — może tym razem...

— Brawo! — wykrzyknęła Genny ze śmiechem. Kiedy Missie zamykała drzwi, zawołała za nią: — *A propos*, zapomniałam ci powiedzieć. Ma okropną opinię, jeśli chodzi o kobiety.

Jej śmiech towarzyszył Missie aż do garderoby, ale nie zmieniła zdania. Tajemniczy Eddie Arnhaldt zbyt ją zafascynował.

Długi czarny mercedes z przyciemnionymi szybami czekał przed teatrem, przy nim stał szofer w uniformie.

— Panna Byron? — zapytał, zdejmując czapkę i otwierając przed nią drzwi. — Baron czeka na panią „U Rectora”. Bardzo przeprasza, ale doznał kontuzji nogi i wsiadanie do samochodu sprawia mu ból. Prosi panią o wybaczenie, że nie przyjechał osobiście.

Missie z niezadowoleniem stwierdziła, że jeszcze przez jakiś czas jej ciekawość nie zostanie zaspokojona.

Restauracja „U Rectora” mieściła się między ulicami Czterdziestą Trzecią a Czterdziestą Czwartą. W złoto-zielonym holu tłoczyli się ludzie czekający na stoliki. Sala na parterze, z lustrami do sufitu i migoczącymi żyrandolami, była pełna. Ze swego miejsca w rogu Ziegfeld widział, jak Verity wchodzi po schodach prowadzona przez kierownika na piętro, gdzie znajdowała się druga sala i kilka prywatnych pokoi. Ze zdziwieniem spostrzegł, że jest sama. Wezwał kelnera i poprosił go o sprawdzenie, z kim Verity Byron je kolację. Usłyszawszy odpowiedź, szybko napisał coś na kartce i kazał kelnerowi natychmiast zanieść ją Verity.

Eddie Arnhardt stał przy oknie, obserwując ruch na Czterdziestej Trzeciej. Kiedy otworzyły się drzwi, odwrócił się, żeby spojrzeć na Missie. Była piękna, nie tylko ładna, choć zbyt szczupła jak na jego gust. Miała fiołkowe oczy, jedwabiste włosy, zgrabne długie nogi i wspaniałą figurę.

— Jeszcze raz proszę o wybaczenie, że nie wyszedłem po panią — powiedział kuśtykając w jej kierunku i podpierając się hebanową laską. Wyciągnął do niej rękę, a kelner dyskretnie zamknął drzwi.

Missie obrzuciła go spojrzeniem spod rzęs. Eddie Arnhardt był wysoki i przystojny, miał jasnoniebieskie oczy i blond włosy zaczesane do tyłu.

Nagle uświadomiła sobie, że znajdują się w prywatnej salce, i zaskoczona zrobiła krok w tył.

— Ależ ja nie mogę jeść tutaj z panem kolacji! — wykrzyknęła.

Z uśmiechem potrząsnął głową.

— Stolik czeka na nas w sali obok, panno Byron. Pomyślałem tylko, że wolałaby pani najpierw spotkać się ze mną na osobności, na wypadek gdyby chciała pani zmienić zdanie... lub gdybym zawiódł pani oczekiwania. W końcu widzi mnie pani po raz pierwszy w życiu.

Popatrzyła na niego z ulgą. Naprawdę był przystojny, miał pociągłą twarz, stanowcze usta, szczupłe, ale dobrze umięśnione ciało i sposób bycia człowieka, który panuje nad swoimi emocjami. I jest panem losu.

— Och — powiedziała uśmiechając się z namysłem. — Chyba przeżyję kolację w pana towarzystwie.

Wzięła ją pod rękę i ruszyli do drzwi.

— Wobec tego — obdarzył ją kolejnym uśmiechem — dołączmy do reszty gości.

Z niepokojem patrzyła, jak kelner pomaga mu usiąść. Czuła na sobie ciekawskie spojrzenia rzucane znad innych stolików.

— To nic takiego — zlekceważył swoją kontuzję. — Nadwerżyłem wczoraj ścięgno przy grze w polo. Głupi koń usiłował pójść w jedną stronę, kiedy ja chciałem, żeby poszedł w drugą. Oczywiście wygrałem, ale zapłaciłem za to.

Spoglądała na niego zafascynowana. Wokół stolika krążyło sześciu kelnerów, gotowych spełnić najmniejsze życzenie barona.

— Pozwoliłem sobie zamówić nasz posiłek. Lubię mieć wszystko na stole, żeby wino mogło odetchnąć. Jeśli chodzi o wino, jestem koneserem, w mojej piwnicy w Haus Arnhaltd mam ponad dwanaście tysięcy butelek, same najlepsze roczniki. Mam nadzieję, że umie pani docenić dobry trunek, panno Byron, ponieważ dzisiaj będziemy pili najlepszy.

Potrząsnęła głową, on zaś mówił dalej:

— Wydaje się, że mimo prohibicji wszyscy piją jak dawniej. — Pogardliwie wzruszył ramionami. — Idiotyczny pomysł. Jeśli ktoś chce się zapić na śmierć, powinno mu się na to pozwolić. Ale jeśli chce się delektować nektarem wyprodukowanym z winogron, nic wolno mu odbierać tej przyjemności.

Podszedł kelner i przepraszając ich powiedział:

— List do panny Verity.

Przeczytała go szybko i podniosła zdziwiony wzrok na Arnhaltda.

— Wszystko w porządku? — zapytał z nutą zniecierpliwienia w głosie.

— Och, tak, tak... najzupełniej. Pan Ziegfeld widział, jak wchodziłam i chciał się ze mną przywitać. — Zarumieniła się. Oczywiście była to nieprawda. Wiadomość od Ziegfelda brzmiała: „Verity, uważaj”. Ciekawa była, o co mu chodzi.

Baron pochylił się nad stolikiem i odezwał się cicho:

— Muszę pani powiedzieć, panno Byron, że nie przestaje o pani myśleć, odkąd cztery dni temu ujrzałem panią po raz pierwszy. To niepodobne do mnie, jestem zajęтым człowiekiem. — Wbił w nią płomienne spojrzenie i dodał: — Nie będę przed panią udawał. Znałem już wiele kobiet, ale żadna nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak pani. Tam na scenie nie była pani zwykłą gwiazdką

świecąca obok diamentowego księżycy... była pani stokroć piękniejsza od prawdziwych gwiazd.

Missie zagryzła wargi rumieniąc się skromnie. Nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób i nie wiedziała, jak zareagować, ale w głębi duszy była poruszona. Ciekawe, czy wszyscy teatralni Don Juani tak przemawiają. A może Arnhaldt jest szczerzy?

— Dziękuję panu, baronie — odparła, wpatrując się w adamaszkowy obrus. — To bardzo uprzejme z pana strony.

Kelnerzy biegali dokoła ze srebrnymi półmiskami. Roześmiał się i powiedział:

— To nie uprzejmość, panno Byron, tylko prawda. — Kelner nalał mu białego wina. Arnhaldt upił troszkę i skinął głową z aprobatą.

— Proszę spróbować — rzekł, kiedy kelner napełnił jej kieliszek — i powiedzić, czy nie jest to boski nektar.

Wzięła łyk i przymknęła oczy z zadowolenia: wino było znakomite.

W trakcie posiłku opowiedział jej o sobie, o skromnych początkach dziadka, o śmierci ojca na pokładzie „Titanica”, o tym, jak ożenił się mając dwadzieścia trzy lata i w trzy lata później stracił żonę w wypadku podczas rejsu wzdłuż wybrzeży Dalmacji.

— Wydaje się, że moją rodzinę prześladowuje pech — zakończył. — Ale przynajmniej został mi syn August. Ma teraz czternaście lat i jest w szkole z internatem. Prawdziwy z niego Arnhaldt. — Obrzucił zafascynowaną Missie spojrzeniem lodowatych niebieskich oczu. — Niech mi pani opowie o sobie — zaproponował. — Skąd pani pochodzi, jaką ma pani rodzinę?

— Nie ma porównania z pańską — odparła i w paru słowach opowiedziała mu o Oksfordzie i ojcu. Widząc jego zdezorientowane spojrzenie, dodała: — Pewnie się pan zastanawia, skąd się wzięłam w Nowym Jorku i jak trafiłam do rewii Ziegfelda. Byłam... byliśmy na wakacjach, kiedy mój ojciec niespodziewanie zmarł. Musiałam znaleźć pracę, żeby utrzymać siebie i siostrę.

— Siostrę?

— Azaylee. Ma teraz sześć lat i chodzi do szkoły pań Beadle.

Kiwnął głową.

— Jest równie piękna jak pani?

Missie roześmiała się.

— Wszyscy zadają to samo pytanie i zawsze tak samo na nie odpowiadam: nie, nie jest. Jest dużo, dużo ładniejsza. Ma złote włosy, oczy jak bratki i wygląda... jak marzenie.

Patrzył na nią badawczo, pijąc wino.

— Pani bardzo ją kocha?

— Azaylee to moja cała rodzina — odparła cicho.

— Chciałbym ją poznać — rzekł. — Mój jacht, „Ferdynand A”, stoi na rzece Hudson. Czy uczyni mi pani zaszczyt i spędzi wraz z Azaylee niedzielę w moim towarzystwie? Popłynęlibyśmy w górę wybrzeża, zjedli obiad... — Pochylił się, patrząc jej w oczy. — Proszę, powiedz tak — szepnęła.

Oczarował ją, lecz ciągle nie była pewna. Mimo całego uroku było w nim coś, co budziło w niej lęk. Może to ta pogarda dla podległych mu ludzi — zauważyła, że ani razu nie spojrzął na kelnerów, po prostu oczekiwał, że będą gotowi na każde jego skinienie. Ale może ocenia go zbyt surowo. Urodził się jako bogaty człowiek i nie był przyzwyczajony do kontaktów ze zwykłymi ludźmi. Pewnie żyje na takim poziomie jak kiedyś Misza — tylko że Misza był zawsze grzeczny dla służby. W każdym razie baron okazał się bardzo atrakcyjny.

— Tak — zgodziła się bez tchu, mówiąc sobie, że przecież Azaylee będzie zachwycona. Liścik od Ziegfelda upadł zapomniany na podłogę, kiedy wstawała od stołu, cała w rumieńcach i uśmiechach, odprowadzana spojrzeniem wszystkich gości.

W drodze do domu baron trzymał się swojej strony w limuzynie, obserwując Missie, która rozprawiała o Azaylee i o życiu dziewczyny z rewii. Była bardzo ożywiona, radosna, pełna podniecenia.

Kiedy samochód zatrzymał się przed domem, pochylił się i ujął jej dłoń.

— A więc do niedzieli? — zapytał i musnął ustami jej palce.

— Do niedzieli — obiecała.

Kiedy obudziła się następnego ranka, mieszkanie pełne było kremowobiałych róż. Beulah od ich zapachu dostała kataru.

— Nie widziałam tylu kwiatów naraz od czasów dzieciństwa w Georgii — powiedziała, trąc zaczerwienione oczy. — Ktokolwiek to jest, panno Verity, z pewnością wpadł po uszy.

W niedzielę rano zjawiła się limuzyna, która miała je zawieźć do portu na rzece Hudson, gdzie cumował „Ferdynand A”, pięćdziesięciometrowy morski jacht parowy z pełnym ożaglowaniem, pokładem z drewna tekowego i błyszczącymi relingami z mosiądzu. Kapitan i dwudziestoosobowa załoga stanęli w rzędzie, by powitać gości, a Eddie Arnhardt czekał w salonie wypełnionym po brzegi kremowymi różami.

Missie wybuchnęła śmiechem, rozglądając się dokoła ze zdumieniem.

— Gdzie je znalazłeś? — zapytała. — W kwaciarniach na Manhattanie pewnie już zabrakło.

— Owszem — odparł. — Te są z Waszyngtonu, przyjechały dziś rano pociągiem. — Spojrzał jej w oczy. — Specjalnie dla ciebie — dodał cicho.

— *Matuszka*, jak cudownie! — Podekscytowana Azaylee wbiegła do salonu i zatrzymała się na widok barona.

— To moja siostra Azaylee. — Missie rzuciła małej ostrzegawcze spojrzenie. — Przywitaj się z baronem Arnhaltdem, Azaylee.

— Dzień dobry — powiedziała dziewczynka nieśmiało. — Dziękuję, że mnie pan zaprosił na swój statek. Jest piękny. Czy niedługo wypłyniemy?

Popatrzył na nią z uśmiechem.

— Kiedy tylko zechcesz — rzekł. — Powiedz kapitanowi, że jesteśmy gotowi, i ruszamy.

Zostali na pokładzie i patrzyli, jak wielki jacht wypływa z Hudson na ocean. Powietrze było ciepłe, wiała tylko lekka bryza. Missie usadowiła się na leżaku z zamkniętymi oczyma, rozluźniona i szczęśliwa. Zastanawiała się z poczuciem winy, co by O'Hara powiedział teraz na jej widok. Ale O'Hara był ostatnio ciągle zajęty. Cały czas jeździł po kraju — rozwijał interes, jak sam mówił. Poza tym był przekonany, że ona nadal pracuje dla Madame Elise. Dobrze, że nigdy nie zaglądał na Broadway, bo dowiedziałyby się, że go oszukała. Pomyślała o Zevie. Brakowało jej niedzielnych spotkań w ukraińskiej knajpcie. I co dziwniejsze, naprawdę za nim tęskniła. Została tylko Rosa. Missie nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć przyjaciółce o Eddiem Arnhaldcie, najprzystojniejszym i najbardziej czarującym człowieku, jakiego w życiu spotkała.

Leniwy, słoneczny dzień minał jak sen. Baron dużo czasu spędził z Azaylee pokazując jej, jak działają różne rzeczy, a przy obiedzie traktował ją jak dorosłą. Po posiłku siedzieli na pokładzie, oglądali przez teleskop małe porty i podziwiali mijane statki, aż wreszcie, przyjemnie zmęczeni, wrócili do Nowego Jorku. Missie opierała się o reling z Eddiem u boku i obserwowała wschodzący nad horyzontem księżyc w pełni.

— Nigdy nie zapomnę dnia, w którym cię ujrzałem po raz pierwszy, ale teraz, kiedy poznaję cię bliżej, odkrywam w tobie tyle nowych uroków. Spędziłem wspaniały dzień, Verity.

Missie zapragnęła, żeby wziął ją za rękę lub nawet pocałował, ale nie zrobił tego. Kiedy odjeżdżała do domu jego limuzyną, zdała sobie nagle sprawę, że nie powiedział ani słowa o następnym spotkaniu.

Nazajutrz Ziegfeld wypytywał ją o Arnhaltda. Pełna entuzjazmu odparła, że wszystko było w jak najlepszym porządku. Eddie okazał

się znakomitym kompanem. Przecież zaprosił ją razem z siostrą. Ziegfeld potrząsnął głową i rzucił:

— No cóż, pamiętaj, że cię ostrzegałem.

Nie miała wiadomości od Eddiego ani w poniedziałek, ani we wtorek, a kiedy wreszcie przysłał list z pytaniem, czy zje z nim kolację, ogarnęła ją nieprzytomna radość. Napisał, że przyśle po nią samochód i będzie czekał „U Rectora”. Wieczorem ubrała się szczególnie starannie: włożyła sukienkę z czerwonej tafty, cieliste pończochy i czerwone pantofle na wysokich obcasach. Zaczesała włosy do góry i spięła je po bokach brylantowymi gwiazdami od Cartiera, nałożyła na usta pomadkę „Fiolet Elise” i skropiła się specjalnymi perfumami Elise, destylowanymi z dwunastu gatunków lilii. Kiedy przejrzała się w lustrze, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy stroi się dla mężczyzny.

Przeszła szybko przez zatłoczony hol „U Rectora” i ruszyła za kelnerem na górę. Tym razem nie zaprotestowała, gdy wprowadził ją do prywatnej salki.

Eddie obserwował ją uważnie, kiedy wchodziła do pokoju. Wyglądała w tej sukni uroczo — smakowity kąsek, choć może trochę za mały dla mężczyzny z tak wielkim apetytem. Uśmiechnął się do niej.

— Verity, jesteś dziś taka piękna — powiedział z szacunkiem.

Uśmiechnęła się, spoglądając nerwowo na stół z dwoma nakryciami.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Tym razem chciałem być tylko z tobą. Proszę, nie mów „nie”. Muszę z tobą porozmawiać. Sam na sam — dodał cicho.

Pokuśtykał do wiaderka z lodem i nalał szampana.

— Za twoje śliczne oczy — powiedział stukając obcasami i kłaniając się lekko. Następnie wziął ze stołu małą paczkę. Chciałbym, żebyś to otworzyła — rzekł.

Podniosła na niego wzrok, uśmiechając się ze zdziwieniem.

— No — popędził ją. — Otwórz to, proszę.

Zdjęła wstążki i rozwinęła papier. Wciągnęła głośno powietrze na widok naszyjnika z brylantów i rubinów, takich samych kolczyków i dwóch bransoletek leżących na ciemnoczerwonym aksamicie.

— Klejnoty rodowe Arnhaldtów — powiedział cicho. — Chciałem ci je dać, Verity, ponieważ proszę cię o rękę.

Oniemiała Missie zamknęła oczy.

— Ale przecież my się prawie nie znamy — odezwała się ze zdumieniem. — Spotkaliśmy się zaledwie parę razy...

— Czy to ma znaczenie? — zapytał łagodnie. — Czy musimy się spotkać tysiąc razy, żeby wiedzieć, co nosimy w sercach? Mam trzydzieści osiem lat, Verity, byłem zakochany kilkanaście razy, miałem

ze sto romansów. Wierz mi, umiem dostrzec różnicę. A kiedy coś spada na człowieka jak grom, lub jak w tym przypadku — uśmiechnął się — promień księżycy, wtedy nie ma czasu do stracenia.

— Ale ja... — zaczęła.

Podniósł dłoń, powstrzymując ją.

— Nie przyjmuję odmowy — odparł twardo. — Chodź tu, Verity, podejdź do mnie.

Jak zahipnotyzowana zrobiła krok w jego kierunku.

— Bliżej.

Znalazła się przed nim; wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej ust w namiętym pocałunku. Trzymał ją mocno, ona jednak wcale nie chciała uciekać. Chciała tylko, żeby nie przestawał jej całować.

— Teraz — powiedział unosząc głowę i patrząc na nią tryumfująco — teraz powiedz, że nie pragniesz mnie równie mocno jak ja ciebie, Verity Byron. Obiecuj, że zostaniesz moją żoną.

— Obiecuję — odparła zamykając oczy, kiedy jego usta ponownie dotknęły jej warg. — Och, tak.

Rozdział 29

Hollywood

Zev siedział na werandzie hotelu „Hollywood”, wachlując się gazetą. Była dziewiąta rano. Przezroczystry upał pustyni sprawiał, że plamy gór przypominały tekturowe wycinanki naklejone na intensywnie niebieskie niebo, a zakurzona droga za klombem zwiędłych kwiatów wyglądała jak każda ulica w byle jakim miasteczku Ameryki. Od czasu do czasu przejeżdżał nią jakiś samochód. W oddali na granicy Hollywood i Vine rysował się gaj pomarańczowy. Zev sądził, że przyjeżdża do wytwornej stolicy świata filmu, a wylądował na wsi.

Spojrzał na zegarek. O dziesiątej miał się spotkać z niejakim Melem Schroederem, aby omówić swój udział w jego nowym studio filmowym. Popijając sok pomarańczowy otworzył gazetę, żeby przejrzeć nagłówki. Zatrzymał się na widok znajomej twarzy.

Verity Byron poślubia króla przemysłu zbrojeniowego — głosił podpis pod zdjęciem Missie. trzymającej pod rękę wysokiego, poważnego mężczyznę o wyglądzie Prusaka.

Artystka rewiewa i była modelka Madame Elise, panna Verity Byron, która wywołała sensację swym debiutem na scenie, poślubiła wczoraj multimilionera, barona Edmunda Arnhaltda, króla stali i prze----- zbrojeniowego. Skromna ceremonia ślubna odbyła się na Long Island, w Berkeley Crest, rezydencji państwa Ziegfeldów. Panna Byron wyglądała uroczo w zaprojektowanym przez Elise białym kostiumie z jedwabnej żorżety, z kloszową spódnicą zdobioną jedwabnymi różami na biodrze i bluzką z kimonowymi rękawami. W rękę trzymała bukiet swych Ulubionych kremowych róż. Na biżuterię panny Byron składał się pierścionek z siedmiokaratowym brylantem oraz obrączka z kwadratowych brylancików, wykonane przez Cartiera. Druhną była jej

sześćioletnia siostra Azaylee, ubrana w sukienkę z różowej tafty z koronkami i niosąca bukietek fiołków.

Panna młoda otrzymała wyprawę od byłej pracodawczyni, Madame Elise. Verity jako modelka rozstawiła jej pantofle z kokardkami z satynowej wstążki. W prezencie od pana młodego dostała komplet klejnotów rodowych: naszyjnik, dwie bransolety, kolczyki i pierścionek, wszystko z brylantami i rubinami. Mężowi kupiła u Cartiera złotą papierośnicę z inicjałami wykonanymi z diamentów, specjalnie dopasowaną do długich tureckich papierosów, które pali baron.

Po uroczystości odbyło się małe przyjęcie wydane przez pana Ziegfelda i jego małżonkę, znaną aktorkę Billy Burke. Dom był pełen kremowych róż, w poszukiwaniu których pan młody odwiedził podobno wszystkie kwaciarnie na wschodnim wybrzeżu.

Szczęśliwa para wyruszyła wczoraj statkiem RMS „Majestic” w podróż poślubną do Paryża. Nowa baronowa rzuciła scenę, by u boku męża zamieszkać w słynnym Haus Arnholdt w Niemczech.

Zev drżącymi rękoma odłożył gazetę. Ogarnął go wielki gniew, wściekłość człowieka zapomnianego, odrzuconego. Spóźnił się. Missie wyszła za swojego milionera i nigdy już jej nie zobaczy. Była jedyną osobą, na której mu zależało — jedyną, przed którą obnażył duszę i jedyną, którą kochał.

Zacisnął usta, stanowczo mówiąc sobie, że musi o niej zapomnieć. Na zawsze. Od tej pory będzie myślał tylko o sobie. Rozbudziła się w nim ambicja. Jeśli nie może mieć miłości, będzie miał bogactwo i sławę. Pomyślał o spotkaniu ze Schroederem — facet spojrzy na jego tani czarny garnitur i uzna, że ma przed sobą następnego frajera. No cóż, pomyli się. Już nikt nigdy nie zrobi z niego głupca.

Nowy Jork

O'Hara przeszedł się po słabo oświetlonym klubie, oceniając wielkość sali. Nie najgorzej, pomyślał. W jednym końcu była estrada i okrągły parkiet. Chciał tam zrobić szklaną podłogę i podświetlić ją od dołu. Pozostała powierzchnia podzielona była na trzy rewiry, każdy zastawiony małymi stolikami. Naturalnie trzeba będzie odnowić wnętrze, może w bieli i czerni, żeby wyeksponować kolorowe suknie pań, do tego czarna wykładzina, czarne obrusy i srebrne zasłony z lamy. Tak, trochę blichtru dobrze temu miejscu zrobi.

Z rękami w kieszeniach stanął na środku parkietu, wyobrażając sobie ten lokal z nowym, eleganckim wystrojem, wypełniony muzyką jazzową, strzałami korków od szampana — dwadzieścia pięć dolarów za butelkę — i śmiechem rozbawionych ładnych dziewczyn. Tu, gdzie teraz stał, pary będą wirowały w tańcu, a mężczyźni chętnie przepłatać, byle tylko zostać członkami klubu Króla O'Hary.

Usatysfakcjonowany kiwnął głową i stojący przy drzwiach pośrednik odetchnął z ulgą.

— Podpiszę umowę najmu — powiedział O'Hara — ale nie za tę wariacką cenę, której pan żąda. To za daleko od centrum, nikt nie da panu tyle forsy.

O'Hara wiedział dokładnie, jakie będą jego ceny: dwadzieścia pięć dolarów za butelkę szkockiej i dziesięć za żytnię whisky. Nawet za dzbanek wody policzy sobie dwa dolary. Dziewczęta będą sprzedawały bibeloty, maskotki i bukietki po pięć dolarów, i każdy gość, który nie kupi czegoś swojej towarzyszce, zostanie okrzyknięty sknerą. Ale teraz musiał wywalczyć jak najniższy czynsz.

— Przecież mówimy o Harlemie — oświadczył zdenerwowanemu agentowi. — Zapłacę dwadzieścia pięć procent mniej i uważam, że to rozsądna suma.

Pośrednik niechętnie skinął głową.

— W porządku — mruknął. — Umowa stoi.

— Ale na dziesięć lat, nie na pięć — dodał O'Hara, kiedy szli do wyjścia.

Mężczyzna skrzywił się.

— Panie O'Hara, bez przesady...

O'Hara wzruszył ramionami.

— Albo się pan zgadza, albo do widzenia.

— Zgadzam się — rzucił nachmurzony agent, wciskając na głowę kapelusz. — Przygotuję umowę na jutro.

— Znakomicie. — O'Hara z uśmiechem patrzył, jak tamten odchodzi.

Wyszedł na chodnik i jeszcze raz przyjrzał się fasadzie swojego nocnego klubu. Już widział neon „U Króla O'Hary” w swoim ulubionym zielonym kolorze. Z rękoma w kieszeniach pomaszerował wesoło ulicą. Wreszcie będzie panem samego siebie. Dostyc już miał wożenia trunków dla braci Oriconne, zaopatrywania ich restauracji i klubów, odwalania całej czarnej roboty, podczas gdy oni zgarniali forszę. Widział, jak działają, miał kontakty i znał się na rzeczy. Poza tym niewiele będzie się to różniło od prowadzenia baru na Delancey, tylko że tym razem zbije majątek.

Przywołał taksówkę i kazał się zawieźć do baru przy Szóstej Alei. Zje lunch i może wpadnie do Missie. Nie widział jej już od kilku miesięcy, był zbyt zajęty jeżdżąc do Chicago i z powrotem w sprawach braci Oriconne, przypuszczał zresztą, że ona również miała dużo roboty. Mówiła, że dziewczęta u Madame Elise naprawdę ciężko pracują. Tęsknił za nią, ale postępował zgodnie z jej życzeniem, odczekiwał rok, tak jak o to prosiła, i wierzył, że w końcu mu się to opłaci. Będzie wtedy bogaty, może też sławny, jako właściciel klubu „U Króla” — a ona zostanie jego żoną, jego królową.

Usiadł przy stoliku i zamówił kanapkę z wołowiną oraz tonik selerowy. Wyjął notes i napisał kilka liczb, uśmiechając się, kiedy je dodawał. Sącząc napój w oczekiwaniu na kanapkę, podniósł leżącą na stole gazetę. Zazwyczaj nie czytał za dużo, nie miał na to czasu, tym razem jednak zaczął leniwie przeglądać dziennik i mało się nie zakrztusił tonikiem, kiedy na pierwszej stronie zobaczył zdjęcie Missie. Przeleciał wzrokiem artykuł, ledwie wierząc własnym oczom.

— Na Boga! — ryknął z wściekłością, zrzucając wszystko ze stołu jednym ruchem ręki. Cisnął na blat kilka dolarów i pojechał taksówką do mieszkania Missie.

— Wyjechała, proszę pana — powiedział portier. — Razem z małą. Niańka też. Do Niemiec. Wysła za milionera — wyszczerzył zęby — jak na dziewczynę z rewii przystało.

Jego cnotliwa Missie dziewczyną z rewii? A on był pewnie jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który o tym nie wiedział! Płonąc oburzeniem O'Hara ruszył w dół Broadwayu do teatru „Nowy Amsterdam”. Robotnicy na drabinach zdejmowali z wiaty nazwisko Verity, ale jej zdjęcie wciąż jeszcze wisiało razem z innymi.

O'Hara długo się w nie wpatrywał. Oczy zapiekły go od łez. Missie obiecała dać mu odpowiedź po upływie roku. Obiecała. I proszę, jak go oszukała, występowała w rewii i uciekła z jakimś milionerem. Jego dziewczyna, jego ukochana. Gdyby tu teraz była, udusiłby ją gołymi rękami. I zawisłby na stryczku przez Missie O'Bryan.

Eddie zarezerwował dwa apartamenty na statku „Majestic”, jeden dla siebie i Missie, a drugi dla Azaylee i Beulah. Zadowolony był ze swojej małżonki, kiedy wchodzili na pokład: w eleganckim liliowym płaszczu z sobolowym kołnierzem od Elise wyglądała pięknie, jak prawdziwa dama. Gdy steward zaprowadził ich do kajut, okręciła się w koło, śmiejąc się z zachwytu.

— Wspaniale, Eddie, po prostu cudownie — wykrzykiwała,

biegając z pomieszczenia do pomieszczenia. — Salon, dwie sypialnie .
dwie garderoby, dwie łazienki! — Była podniecona jak dziecko
Obserwował ją badawczo: może dzisiejsza noc będzie bardziej inte-
resująca, niż się spodziewał. Rzucił okiem na zegarek. Mieli wypłynąć
o szóstej, więc pierwsza, nieformalna kolacja zostanie podana wcześniej.
Nagle zapragnął jak najszybciej znaleźć się z żoną w łóżku.

Azaylee zapukała do drzwi, po czym wpadła do środka razem
z Beulah, tak samo podekscytowana jak Missie.

— Wiesz, że na najwyższym pokładzie jest promenada do wy-
prowadzania psów? — zapytała. — I specjalne słupy, i budy. Mogłyśmy
jednak wziąć Wiktora.

— Kochanie, Wiktor jest za stary na podróże — odparła Missie
pocieszająco. — Lepiej mu u Rosy. Poza tym będziemy go często
widywać. Eddie mówi, że ma tu mnóstwo interesów, więc będziemy
pływać po Atlantyku w tę i z powrotem.

— Naprawdę? — Azaylee rozjaśniła się, ale zaraz dodała smut-
no: — Będzie mi go jednak brakowało, *matuszka*.

Missie wyszła z nią na pokład. Długo patrzyły, jak holowniki
wyprowadzają statek z portu i jak wciąż pnący się w górę Manhattan
niknie w oddali. Czuły drżenie pokładu pod stopami, kiedy „Majestic”
wypływał na pełne morze.

W pamięci Missie odżyły chwile, kiedy cztery lata temu tak samo
stała na pokładzie, czekając aż statek przybije do amerykańskiego
brzegu i zastanawiając się, co szykuje dla niej to nowe życie. Teraz
zostawiała za sobą Sofię pochowaną w obcej ziemi, przyjaciółkę Rosę
i dwóch mężczyzn, którzy jej pomagali i dodawali otuchy. Ale
poślubiła człowieka, za którym szalała, i wreszcie Azaylee będzie
prowadzić należny jej tryb życia. Miała nadzieję, że Misza byłby z niej
dumny. Chociaż była żoną Eddiego, Misza zawsze pozostanie jej
pierwszą, prawdziwą miłością.

W ciszy zjedli kolację, sami przy stoliku w rogu wielkiej jadalni
z okazałymi schodami, z których schodziły rozmaite sławy, zatrzymując
się na najwyższym stopniu, by wszyscy mogli się im przyjrzeć. Eddie
szczodłą ręką dolewał wina, a kiedy skończyli posiłek, poszli na spacer
na górny pokład. Fale przybierały na sile, coraz mocniej kołysało.
Baron objął opiekuńczo żonę i spojrzął na zegarek.

— Robi się późno — powiedział, kierując się w stronę kajut.

Stewardesa rozpakowała walizki, a Beulah ułożyła wszystko tak,
jak Missie lubiła: kremy i pudry w kryształowych słoiczkach stały na
toaletce obok srebrnych szczotek do włosów i smukłego flakonu
z perfumami Elise, piękne nowe sukienki wisiły w szafie, kapelusze

w fioletowych pudłach leżały na półce, a pod nimi stały w rzędzie nowe pantofelki. Wspaniałe futro z norek, prezent ślubny od Elise, schowane było w specjalnym worku, kuferek z klejnotami zamknięto w sejfie w garderobie. Jestem bogata, pomyślała ze zdumieniem Missie. Mogę mieć wszystko, mogę robić, co chcę — tak samo jak Annuszka. Ale jedyną rzeczą, której teraz pragnęła, był jej mąż, czekający na nią niecierpliwie w sypialni.

Zrzuciła ubranie, wykapała się i włożyła koszulę nocną z wyprawy ślubnej. Elise naprawdę wspięła się na wyżyny sztuki modniarskiej: biały, cieniutki jedwab *crepe de Chine*, z rozcięciami do pasa z przodu i z tyłu, suto zdobiony koronką. Wyszczotkowała włosy, nadając im połysk i pozwalając spływać na półnagie piersi. Na koszulę narzuciła peniuar z takiego samego materiału, stopy wsunęła w satynowe pantofle i spryskała się perfumami. Wziąwszy głęboki oddech, weszła wolnym krokiem do sypialni.

Eddie siedział na kanapie czytając gazetę, ubrany w granatowy jedwabny szlafrok i spodnie od pizamy. Kiedy podniósł wzrok na wchodzącą Missie, oczy mu się zwęziły, a policzki zabarwił nieznaczny rumieniec.

— Moja droga Verity, wyglądasz czarująco — odezwał się cicho.

Zgasił górne światło, zostawiając włączoną lampkę przy łóżku, przeszedł przez pokój i wziął ją w ramiona.

Straciła dech od jego brutalnych pocałunków. Były inne niż pierwsze, mocne, władcze.

— Proszę cię, Eddie... — wymamrotała łapiąc spazmatycznie powietrze, kiedy wreszcie oderwał wargi od jej ust. — Daj mi odetchnąć!

Ze śmiechem zaniósł ją do łóżka, ściągając jej z ramion peniuar i koronkowe ramiączka koszuli. Drżała w jego ramionach.

— Eddie, musisz mi pokazać, powiedzieć, co mam robić — wyszeptała, głaszcząc go po jasnych włosach.

— Zdejmij koszulę — rozkazał wstając i zrzucając szlafrok.

Czerwieniąc się zrobiła, o co prosił, i usiadła na skraju łóżka, składając skromnie ręce na kolanach.

— Teraz już lepiej — powiedział z jakimś stęknieniem i pchnął ją na łóżko. W następnej chwili leżał już na niej, wbijając boleśnie paznokcie w jej ciało. Jęknęła z bólu. — O to chodzi! — krzyknął podniecony. — Chcę słyszeć, jak jęczysz. — Nagle wbił się w nią i parł coraz mocniej, aż zaczęła krzyczeć z bólu. Błagała, żeby przestał, on jednak tylko zamknął oczy i odrzucił głowę do tyłu. Po chwili na jego twarzy pojawił się grymas bólu i rozkoszy. Opadł na nią, dysząc ciężko.

Zaraz potem podniósł się i nie spojrzawszy nawet na Missie poszedł do łazienki. Usłyszała szum wody, kiedy odkręcił prysznic, i oszołomiona zamknęła oczy. Zastanawiała się, czy na tym właśnie polega „kochanie się”, a jeśli tak, to dlaczego nazywa się to miłością. I jak ktokolwiek może odczuwać przy tym przyjemność, o której mówiły jej dziewczęta z rewii? Nie było w tym żadnego uczucia, żadnej czulej pieśczoły, jedynie brutalne zespolenie dwóch ciał.

Arnhaltdt wyszedł z łazienki w szlafroku. Wyglądał świeżo, czysto i najzupełniej normalnie, jakby nic się nie stało.

— Weź kąpiel — zaproponował jej zimno. — Rano poczujesz się lepiej.

— Eddie — szepnęła, siadając na łóżku i chwytając go za rękę. — Czy pierwszy raz... zawsze jest taki?

Wzruszył ramionami.

— Jedne kobiety lubią to bardziej, inne mniej. Od ciebie zależy, Verity, czy dalej będzie lepiej, czy gorzej. — Z jasnych oczu powiało chłodem. — Idę teraz spać. Nie budź mnie rano. Lokaj poda mi śniadanie o dziesiątej. Możesz robić, na co masz ochotę. — Nie oglądając się, zniknął w drugiej sypialni. Missie patrzyła z niedowierzaniem, jak zamykają się za nim drzwi, potem usłyszała dźwięk klucza w zamku i szlochając wtuliła twarz w poduszkę. Wszystkie jej romantyczne marzenia leży w gruzach.

Spotkali się następnego dnia przy obiedzie. Przy ludziach Eddie był grzeczny i ujmujący, na osobności chłodny i milczący. Kolacja tego wieczoru miała być uroczysta i Missie włożyła swoją najpiękniejszą suknię z miękkiego jedwabiu w kolorze morza, z szaleni haftowanym niby pawi ogon. We włosy wpięła brylantowe gwiazdy, na ręce wsunęła bransoletki w kształcie węży, prezent ślubny od Cartiera dla żony najlepszego klienta. Eddie także wyglądał wspaniale w surowym, utrzymanym w żołnierskim stylu stroju. Kiedy prowadził Missie po szerokich schodach do stolika kapitańskiego, pomyślała smutno, że stanowią piękną parę. Posadzono ją między kapitanem a znanym angielskim ministrem, który widział ją na scenie teatru „Nowy Amsterdam” i oświadczył, że zawsze będzie jej wielbicielem. Robiła, co mogła, żeby błyszczeć i zabawiać towarzysztwo, ale przez cały czas rzucała spod rzęs spojrzenia na Eddiego, flirtującego z wysoką jasnowłosą Niemką o bujnych kształtach, hrabiną Gretel von Dussman.

Po kolacji rozebrała się i włożyła na siebie kolejne ponętne dzieło Elise. Nerwowo czekała na Eddiego, ale nie pojawił się, chociaż wiedziała, że jest w sąsiednim pokoju. W końcu usłyszała trzaśnięcie

drzwi i oddalające się kroki. Zasmucona położyła się do łóżka. Pewnie tak go rozczarowała, że postanowił spróbować szczęścia w kasynie.

Choć wydawało się, że Eddie nie ma dużo do powiedzenia żonie, niewątpliwie stawał na głowie, żeby oczarować Azaylee. Kupował jej zabawki i różne prezenty, psuł czekoladkami i ciastkami z kremem. Missie zauważyła, że Azaylee przy nim rozkwita, jak sierotka, która wreszcie znalazła ojca.

Zawsze siedziała z Azaylee, kiedy dziewczynka jadła wieczorny posiłek, po czym wracała do luksusowej kabiny i odprawiała codzienny rytuał przygotowań do kolacji. Co wieczór wkładała nową kreację Elise w coraz to innym kolorze, przyciągając pełne podziwu spojrzenia, kiedy schodziła do jadalni u boku swego przystojnego, bogatego męża. Co wieczór patrzyła, jak Eddie uwodzi Gretel von Dussman i co noc na próżno czekała, by do niej przyszedł.

Ostatniego dnia przed przybiciem do portu w Cherbourgu ubrała się w sukienkę z czerwonej tafty, która miała na sobie w dniu oświadczyn, i po raz pierwszy założyła rodowe brylanty i rubiny Arnhaldtów. Schodząc po schodach dumnie uniosła głowę. Zajmując swoje miejsce, dostrzegła złośliwy uśmiech Gretel von Dussman i w odpowiedzi uśmiechnęła się do niej słodko: wiedziała, że tamta nie ma dzisiaj szans. Elise wyćwiczyła ją w sztuce przyciągania uwagi widzów, Ziegfeld też był dobrym nauczycielem. Tego wieczoru nawet Eddie nie mógł oderwać od niej oczu. Za każdym razem, kiedy na niego spjrzała, napotykała jego wzrok.

Po kolacji w milczeniu wrócił razem z Missie do ich apartamentu, otworzył drzwi puszczając ją przodem, ściągnął krawat i jak szalenię zerwał z siebie koszulę. Podeszedł do niej nagi. Stała nic nie mówiąc, przerażona jego gwałtownością. Odwrócił ją i rozpiął sukienkę z tafty, a kiedy opadła na podłogę z cichym szelestem, powoli rozebrał żonę z halki, dotykając dłonią jej piersi. Patrzyła na niego ze strachem. Zdjął z niej resztę bielizny, zostawiając ją nagą i onieśmiałą, odzianą jedynie w pończochy i płomienny blask rubinów.

Nie spuszczała oczu z jego twarzy, bojąc się patrzeć na to, co się z nim działo, przerażona tym, co zamierzał zrobić.

Nagle zaklął z wściekłością po niemiecku i odepchnął ją od siebie tak, że poleciała przez cały pokój.

— Głupia smarkula! — warknął. Jego namiętność opadła, zaczął wkładać ubranie. — Czy ty w ogóle wiesz, co podnieca mężczyznę? Stanął ubrany i przygładził jasne włosy. — Na miłość boską, ubierz

się — rzucił pogardliwie. — Kiedyś pokażę ci, jak nie być damą w łóżku. Dziś jednak mam ciekawsze zajęcia.

Późno w nocy usłyszała, jak wraca. Doleciał ją brzęk kieliszków, kobiecy śmiech, a potem zwierzęce jęki rozkoszy, krzyki i rozkazy. Missie wcisnęła twarz w poduszkę, próbując odgrodzić się od tego, co działo się w pokoju obok. Wiedziała, że Gretel von Dussman zaspokaja żądze jej męża w sposób, o jakim ona nie miała pojęcia.

Następnego dnia wstała wcześniej i znalazła się na pokładzie, kiedy „Majestic” wpływał do portu w Cherbourgu. Patrzyła na zbliżającego się do niej Eddiego, jak zawsze w nienagannym stroju, i zastanawiała się, jakim cudem na jego poważnej, świeżo ogolonej twarzy nie ma żadnych śladów poprzedniej nocy. Eddie w dzień, ubrany i elegancki, był zupełnie inny niż Eddie w nocy, nagi i brutalny.

Powiedział krótko:

— Postanowiłem, że jednak nie odwiedzimy Paryża. Odwołałem rezerwacje w hotelu „Bristol”. Pojedziemy prosto do Niemiec.

Azaylee wydłuzzyła się buzia, więc objął ją ramieniem.

— Nie chcesz zobaczyć swojego nowego domu? — zapytał z uśmiechem.

— Och, tak, oczywiście — rozchmurzyła się.

— Paryż będzie musiał poczekać, aż dorośniesz.

Podróż pociągiem i samochodem ciągnęła się długo i Missie padała ze zmęczenia, kiedy limuzyna skręciła wreszcie w drogę wijącą się przez gęsty las, przechodzący na koniec w park pełen przyciętych równo żywopłotów i zwirowych alejek, bez jednego kwiatka. Z przerażeniem popatrzyła na ponury, szary dom. Już dojeżdżali, kiedy drzwi otworzyły się i na schodach pojawił się kamerdyner. Ustawił całą służbę domową w szereg, by powitać pana i jego oblubienicę.

Zbiegł po schodach, żeby otworzyć drzwi samochodu, stuknął obcasami i z ukłonem przedstawił się jej jako Manfred. Missie ruszyła wzdłuż szeregu służących, uśmiechając się i mówiąc dzień dobry. Wszystkie dziewczęta dygały grzecznie, a mężczyźni pochylali głowy.

Rozgrywającą się na zewnątrz scenę obserwowała ukryta w cieniu holu wysoka, majestatyczna kobieta. Rzuciła okiem na Missie, po czym przeniosła wzrok na dziecko. Wstrzymała oddech. Eddie miał rację, mała była niesamowicie podobna do Annuszki Iwanow. Uśmiechnęła się. Jej syn postąpił słusznie, jednym ruchem osiągnął to, na co czekali od lat. Nie miała wątpliwości, że widzi zaginioną córkę Iwanowów, pozostawioną cztery lata temu w lesie wilkom na pożarcie. Tylko że teraz była to też córka Eddiego Arnhaltda.

Ich plan nie od razu mógł być zrealizowany. Dziecko miało

dopiero sześć lat. Ale warto będzie poczekać. Już teraz adwokaci zajmą się przygotowaniem sprawy, a kiedy dziewczynka skończy osiemnaście lat, ogłoszą, że właśnie ona jest prawowitą dziedziczką Iwanowów i właścicielką kopalni w Radzastanie.

Panna młoda, Verity, była równie ważna — będą potrzebowali świadka. Jeśli będzie trzeba, nie zawahają się przed użyciem siły, by zmusić ją do wyznania prawdy. Na razie Eddie odegra rolę obowiązkowego, wyrozumiałego ojca, a kiedy Azaylee stanie się pełnoletnia, naturalnie przepisze na niego kopalnię. Zresztą wtedy będzie już prawdziwym członkiem rodziny Arnhaldtów. Poślubi jej ukochanego wnuka i August odziedziczy całą księżęcą fortunę.

Zrobiła krok do przodu, żeby powitać nową synową, uśmiechając się zimno i nadstawiając policzek do pocałowania.

— Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa — powiedziała, przenosząc szybko wzrok na Azaylee. — A ty, moje dziecko — w jej głos wkradła się cieplejsza nuta — przyjechałaś rozjaśnić nasze życie swoją młodością. Witamy w Haus Arnhaldt. Pamiętaj, że teraz to twój dom.

Rozdział 30

Dusseldorf

W miarę upływu dni Haus Arnhaldt coraz bardziej przypominał Missie więzienie. Jej pokoje znajdowały się na drugim piętrze, naprzeciwko sypialni męża, lecz Eddie nigdy do niej nie przychodził. Najczęściej w ogóle go nie było, spędzał całe dni w biurze w Dusseldorfie lub w zakładach w Essen, a w soboty i niedziele wyjeżdżał na polowania lub chodził na przyjęcia — bez niej oczywiście. Podejrzewała, że nadal widuje się z Gretel, ale nie była pewna, ponieważ od czasu przyjazdu do domu Arnhaldtów przed dwoma miesiącami ani razu nie wyszła poza granice posiadłości. Co więcej, od ostatniej nocy na statku ani razu nie przebywała z mężem sam na sam. Nie mogła się zdecydować, czy czuje z tego powodu ulgę, czy smutek. W końcu była panną młodą. Nawet jeśli przez jej ignorancję na początku im nie wyszło, mogli przecież spróbować jeszcze raz.

Co wieczór z wielką starannością wybierała strój na kolację, którą podawano w ogromnej jadalni z gotycką boazerią, oświetlonej kinietami z ponurych jelenich łbów. Ale za każdym razem miała wrażenie, że jest niewidzialna. Manfred oraz pozostali lokaje obsługiwali ich w milczeniu, a Eddie rozmawiał z matką, baronową Juttą, wyłącznie po niemiecku, Missie więc nie rozumiała ani słowa. Równie dobrze mogła być muchą na ścianie, tyle uwagi jej poświęcali. Czując na sobie zaciekawione spojrzenia służby, błyskawicznie zjadła posiłek i jak najszybciej wstawiała od stołu.

Wspinała się po szerokich dębowych schodach i szła przez posępne korytarze z powrotem do siebie. Gdyby nie to, że Azaylee była taka szczęśliwa, już dawno powiedziałyby Eddiemu, że odchodzi.

Ale dokąd bym poszła, zapytywała samą siebie, wyglądając przez okno i widząc jedynie ciemne lasy. Znajdowała się w Niemczech, nie

miała własnych pieniędzy, nigdy ich nie dostawała od Eddiego. Wszystkie jej potrzeby były zaspokajane; bogaci ludzie nie potrzebowali gotówki.

Inaczej rzecz się miała z Azaylee. Dostała jasny, słoneczny apartament na pierwszym piętrze, z przytulną sypialnią, specjalnie dla niej wybitą biało-zielonym perkalem, i z ogromnym pokojem do zabawy, zavalonym nowymi zabawkami i gramami. Obok znajdowała się klasa, w której guwernantka co dzień dawała jej lekcje niemieckiego, oraz sypialnia i salonik Beulah, gdzie każdego dnia o piątej spotykały się razem na podwieczorku. Te herbatki stanowiły jedyny przyjemny moment w smutnym życiu Missie. Tylko wtedy mogła spędzać czas z Azaylee, kiedy indziej zajęta lekcjami jazdy konnej na nowym kucyku i lekcjami pływania w wielkim krytym basenie, codziennymi kursami tańca w Dusseldorfie i wreszcie nauką języka niemieckiego.

— Nie podoba mi się to, panno Verity — powiedziała raz głośnym, scenicznym szeptem Beulah. — Nie podoba mi się, co wyprawiają z tym dzieckiem. Wkładają jej do głowy, jacy to oni bogaci, każą mówić tylko po niemiecku, bo ma niemieckiego tatę i sama jest małą Niemką. A co z panią, panno Verity? Przecież to pani siostra. Dlaczego pani nie chodzi na lekcje niemieckiego, żeby rozmawiać ze swoim niemieckim mężem? Nie, tu się dzieje coś dziwnego. Mówię pani, zabierają ją nam po trochu. Niedługo będziemy miały małą niemiecką *Fraulein*.

Missie rozmyślała o jej słowach podczas samotnej, bezsennej nocy. To prawda, celowo wynajdywali zajęcia dla Azaylee, trzymali ją z dala od niej i starali się, by mówiła tylko po niemiecku, chwając ją nawet wtedy, gdy robiła błędy. Ale dlaczego? Może naprawdę ją kochają, rozważała. Potem jednak przypomniała sobie zimne niebieskie oczy Eddiego, tak podobne do oczu jego matki, i zrozumiała, że tak nie jest. To nie ma sensu, pomyślała z rozpaczą. Czas wyjaśnić ich wzajemne stosunki, nawet jeśli oznaczałoby to koniec, powrót do Nowego Jorku i przyznanie się ze wstydem do rozpadu małżeństwa.

Następnego dnia była sobota i tym razem Eddie został w domu. Missie uznała, że długo nie trafi się lepsza okazja. Ubrała się w śliczną sukienkę z niebieskiej wełny, upięła włosy w kok, z nadzieją że dzięki temu będzie wyglądać bardziej poważnie, po czym pospieszyła na dół do gabinetu męża.

Zapukała do drzwi wołając go i czekała nerwowo. Nikt nie odpowiedział. Zaniepokoiła się, że Eddie jednak postanowił wyjść. Teraz, skoro podjęła decyzję, chciała działać. Wołając go ponownie, otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Gabinet był pusty, ale poczuła

intensywny zapach tureckich papierosów, które palił Eddie, a na biurku leżała otwarta książka. Uznała, że pewnie wyszedł tylko na chwilę, i postanowiła zaczekać. Do tej pory odwiedziła gabinet Eddiego tylko raz, kiedy teściowa oprowadzała ją po domu, więc teraz obeszała pokój, przyglądając się ciekawie przedmiotom na biurku. Masywna srebrna lampa, trzy telefony, duża, brzydka popielniczka z brązu i srebrne modele różnej broni marki Arnhaltdt. Missie stwierdziła ponuro, że wszystko w tym domu jest zbyt dostojne i za duże. Nawet na półkach stały tylko grube tomiska w cennych skórzanych oprawach.

Obejrzała wszystkie obrazy i zatrzymała się nagle przed małym pejzażem. Ale tym razem nie patrzyła na obraz, lecz na otwarty sejf, który powinien być nim zakryty. Ze środka spoglądał na nią znajomy kształt, przedmiot, który uważała za stracony na zawsze: broszka Miszy, którą ostatni raz widziała u Cartiera w Nowym Jorku.

Chwyliła się za gardło, dusząc się od natłoku strasznych wspomnień i słysząc ostrzegawczy głos Sofii powtarzającej w kółko, że nie wolno sprzedawać klejnotów; że czekałci nigdy nie śpią i nie zapominają; że gdzieś ktoś pilnuje biżuterii Iwanowów i zacznie działać, kiedy tylko klejnoty pojawią się na rynku.

W sejfie była jeszcze jedna rzecz, która wyglądała znajomo — dokument z czerwoną pieczęcią. Missie wzięła go do ręki i przeczytała nagłówek: „Umowa o wydzierżawieniu kopalń Iwanowów Rajput firmie Arnhaltdt przez Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republikę Rad”, z dnia 1 stycznia 1920, podpisana i przypieczętowana przez Michała Piotra Aleksandra Iwanowa. Wpatrywała się w dokument ze zdumieniem. Nie mógł być prawdziwy, Misza wtedy już nie żył.

W panice przypomniała sobie, jak Arnhaldtowie nadskakują Azaylee, i zrozumiała, że muszą wiedzieć, kim ona jest. Ale czego od niej chcieli? Czy byli w zмовie z CzeKa? Kiedy tak stała wpatrując się nieruchomo w broszkę Miszy, przeleciało jej przez głowę mnóstwo możliwości, jedna gorsza od drugiej. Instynktownie wyciągnęła rękę, złapała broszkę i wsunęła ją do kieszeni. Odwróciła się przerażona, słysząc donośny głos Eddiego, który wydawał polecenia Manfredowi. Rozejrzała się bezradnie, ale nie miała jak uciec.

Wepchnęła umowę z powrotem do sejfu i zamknęła go z hukiem, który z pewnością słychać było o milę stąd. po czym szybko przesunęła obraz na miejsce. Złapała pierwszą lepszą książkę z półki, wybiegła z biurka i usiadła w wielkim fotelu z czerwonej skóry.

Kiedy drzwi się otworzyły, po plecach przebiegł jej dreszcz. Przewróciła stronę udając, że nic nie słyszy. Eddie powiedział:

— Jesteś tu z jakiegoś konkretnego powodu czy tylko z ciekawo-

ści? — Podeszedł i wyjął jej książkę z rąk. — „Sztuka wojenna” po niemiecku? Naprawdę, Verity, mogłabyś znaleźć lepszy pretekst, jeśli chcesz mnie szpiegować.

— Nie przyszedł cię szpiegować — odparła z oburzeniem. — Przyszedł, żeby... — urwała, uświadamiając sobie, że nie może mu powiedzieć tego, co zamierzała. Nie mogła mu oświadczyć, że wyjeżdżają, ponieważ wiedziała już, że nigdy im na to nie pozwoli. — Przyszedł zapytać, dlaczego przestałeś się do mnie odzywać — powiedziała w końcu.

Wzruszył ramionami.

— Przecież już na statku okazało się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Pomyliłem się, Verity. Nie jesteś dziewczyną, za jaką cię uważałem. Ale nie rozwiodę się z tobą. Możesz zostać w Haus Arnhaldt i żyć jak dama. Młoda baronowa Arnhaldt. — Wąskie wargi wykrzywił okrutny uśmiech. — Do końca życia.

Żachnęła się z przerażeniem, niepewna, co miał na myśli. Czy zamierzał ją zabić i zatrzymać Azaylee? Muszą jak najszybciej stąd wyjechać, oczywiście po kryjomu.

Podniosła się i ruszyła do drzwi. Odwróciwszy głowę napotkała jego spojrzenie.

— Nie tracę nadziei, że nasze stosunki jeszcze się ułożą, Eddie — powiedziała cicho. — Od tej pory będę robić wszystko, żeby cię zadowolić.

Wracając do swojego pokoju całą siłą woli powstrzymywała się, żeby nie biec. Przez cały dzień rozmyślała nad sposobem ucieczki z Haus Arnhaldt. Dom był prawdziwą fortecą i znajdował się dwadzieścia kilometrów od najbliższego miasta; nie mogła tak po prostu się spakować i poprosić szofera, żeby ją odwiózł do Dusseldorfu, ponieważ ten nie zrobiłby nic, nie zapytawszy najpierw o pozwolenie baronowej Jutty. Gdyby spróbowały iść, z pewnością zauważono by ich nieobecność i przywieziono je z powrotem. Poza tym Beulah była za stara, a Azaylee za mała na taką ekspedycję. Missie jęknęła, chwytając się z rozpaczą za głowę. Mogła jedynie siedzieć i czekać na okazję, na razie zaś każe Beulah przygotować ich rzeczy.

Stara niania była zachwycona, kiedy usłyszała, że wyjeżdżają.

— Nie mogę się doczekać, panno Verity — uśmiechnęła się. — Im prędzej się stąd wyniesiemy, tym lepiej.

Okazja, i to świetna, nadarzyła się szybciej, niż Missie się spodziewała. Znienawidzona baronowa Jutta przewróciła się podczas spaceru w parku i złamała biodro. Sprowadzono z Paryża światowej sławy ortopede, który orzekł, że złamanie jest skomplikowane. Baronową

trzeba przewieźć karetką do jego prywatnej kliniki w Paryżu, gdzie zajmie się nią osobiście. W przeciwnym wypadku istnieje obawa, że starsza pani nigdy nie będzie chodzić.

Eddie był bardzo blady i zdenerwowany, kiedy czynił przygotowania do podróży. Verity dostrzegła swoją szansę.

— Twoja biedna matka — powiedziała współczująco — będzie bardzo samotna w Paryżu, z dala od ukochanego domu. Może Azaylee pojechałaby razem z nią, żeby ją rozweselać? Wiesz przecież, że baronowa Jutta ją uwielbia.

Eddie rzucił jej roztargnione spojrzenie i Missie zorientowała się, że ledwo ją słyszy.

— Twoja matka naprawdę uwielbia Azaylee. Zawsze jest przy niej wesoła — nalegała.

— Pani ma rację — przytaknął lekarz. — Stan psychiczny pacjenta, zwłaszcza pacjenta w wieku baronowej, jest bardzo ważny. Jeśli będzie miała obok siebie członków rodziny, tylko może jej to pomóc. Znakomity pomysł.

— Jedźmy więc wszyscy! — wykrzyknęła Verity, klaszcząc radośnie w dłonie. — Eddie, przecież obiecałeś pokazać Azaylee Paryż!

Popatrzył na nią groźnie, ale głupio mu było odmawiać w obecności lekarza.

— No dobrze — zgodził się niechętnie. Missie wybiegła z pokoju, żeby zanieść Beulah dobre nowiny.

Szybko spakowały rzeczy potrzebne na kilkutygodniowy pobyt we Francji. Eddie pojechał za karetką, one natomiast miały wsiąść w pociąg i spotkać się z nim w hotelu „Bristol”.

Kiedy pociąg dotarł do Paryża, bez problemu dostały się taksówką na Gare du Nord. Zostawwszy Azaylee i Beulah na stacji, Missie poszła na Rue St-Honore. Weszła do najelegantszego sklepu jubilerskiego, jaki udało się jej znaleźć, dumnie zadarła głowę, ściągnęła z palca pierścionek z ogromnym brylantem i oświadczyła, że chce go sprzedać.

Znający życie Francuz nawet nie mrugnął. Przyznał, że kamień jest pierwszej wody, i zaoferował jej trzy tysiące dolarów. Wzięła je z uśmiechem i natychmiast w biurze Cooka po drugiej stronie ulicy kupiła bilety na statek „Ameryka”, odpływający wieczorem z Cherbourg do Nowego Jorku. Potem przemknęła przez Paryż z powrotem na dworzec, gdzie wsiadły w pierwszy pociąg jadący na wybrzeże.

O siódmej wieczorem były już na pokładzie i płynęły do Nowego Jorku. Tym razem Missie nie oglądała się za siebie. Bała się, ponieważ nie miała pojęcia, co zrobi Eddie Arnhaltd, kiedy odkryje, że ich nie ma.

Rozdział 31

Stambuł

Tego ranka Gerome Abyss po raz pierwszy od wielu lat wstał wcześniej. Odrzucił nieświeże prześcieradło, przeszedł boso po wyleniałym dywanie do łazienki i przejrzał się w prostokątnym lustrze bez ram. W jasnym świetle dnia nie wyglądał zbyt korzystnie: miał opuchniętą twarz, obwisłe policzki, głębokie zmarszczki. Ścisnęło go w żołądku, a kiedy wczorajszy alkohol zaatakował wątrobę, po plecach spływały mu krople potu. Zwinął się z bólu. Po chwili atak minął, Abyss wyprostował się i wszedł pod prysznic. Może teraz, kiedy jest bogaty, zgłosi się do jednej z tych nowych klinik i spróbuje „kuracji”. Odwyk nazywali „kuracją”, jakby leczyli ludzi z choroby, podczas gdy każdy z odrobiną oleju w głowie wiedział, że to przyjemność — przede wszystkim przyjemność zapomnienia, ale zawsze.

Mydląc się obejrzał swój tors, obłożony tłuszczem jak cielsko białego wieloryba. Może zrzuci kilka funtów i kupi sobie parę szykownych garniturów. Takich, jakie miał za dawnych czasów, gdy był najlepszym szlifierzem kamieni szlachetnych na świecie. Gdy firmy takie jak Cartier biły się o jego talent i płaciły mu kupę forsy. Oczywiście nie tyle, ile miał dostać za przecięcie szmaragdu, ale w tamtych dniach chodziło o coś więcej.

Być może teraz, jako zamożny człowiek, znów ustawi się w branży. Da znać — dyskretnie, rzecz jasna — swoim dawnym współpracownikom, że to on przeciął szmaragd Iwanowów. Nieważne, że obiecał trzymać język za zębami. Po aferze wywołanej sprzedażą kamienia i ceną, za jaką poszedł, piękna dziewczyna z długimi czarnymi włosami i skośnymi oczyma przez długi czas nie będzie nic sprzedawać. Leyla Kazan. Znał jej nazwisko, nie wiedział jednak, jak weszła w posiadanie szmaragdu. Ale nie obchodziło go to.

Wczoraj wieczorem przysłano mu czek na sześćset czterdzieści osiem lysiący dolarów do baru „Locanta Antalya”, gdzie zawsze pił. Był bogaty.

Kiedy golił pięciodniowy zarost, na brzytwie trzymanej drżącą ręką pojawiła się krew. Wzdrygnął się i przycisnął do twarzy papierowy ręcznik. Znów pomyślał o prasie. Płacili majątek za wywiad z prawem wyłączności. O taką opowieść jak jego ubiegałby się cały świat. Odsłonił w uśmiechu rząd żółtych zębów. Tak, mógłby stać się jeszcze bogatszy. A nawet więcej — byłby sławny.

Wyjął z szafy koszulę z szarym paskiem brudu na kołnierzyku; będzie musiała wystarczyć. Biały garnitur z błyszczącego sztucznego włókna, pożółkły ze starości, był przepocony i poplamiony, do tego wyglądał idiotycznie w taki zimny, wiosenny dzień. Ale biały garnitur zawsze stanowił jego wizytówkę, tak samo jak panama, kapelusz przynoszący szczęście.

Przekrzywiwszy zawadiacko sponiewieraną panamę ze szkarłatną wstążką, podszedł do drzwi. Nigdy już tu nie wróci. Z ręką na klamce rozejrzał się dokoła. Nie zamierzał zabierać tych paru nędznych drobiazgów, które do niego należały. Poklepał się dla pewności po kieszce z czekiem. Teraz był bogaty.

Urzędnik w Banca Stamboul, zobaczywszy sumę, na jaką opiewał czek, zawiadomił szefa. Kierownik najpierw rzucił okiem na kwotę na poleceniu przelewu wystawionym przez solidny szwajcarski bank, a potem badawczo spojrzął na Abyssę, porównując jego twarz ze zdjęciem w paszporcie na nazwisko Georges Gerome.

— Naturalnie, panie Gerome, z największą przyjemnością otworzymy panu konto w naszym banku — rzekł w końcu. — Osobiście się tym zajmę. Proszę tylko wybrać rodzaj rachunku, jaki panu odpowiada. Niech mi będzie wolno zaproponować wkład krótkoterminowy z najwyższym oprocentowaniem... pan w tym czasie zastanowi się nad inwestycjami. Do tego rozsądny rachunek bieżący, do wypłat gotówkowych i tym podobnych.

Abyss skinął głową.

— Wpłacę sto tysięcy na rachunek bieżący, a resztę na depozytowy. Teraz wezmę dziesięć tysięcy gotówką, w dolarach.

Nerwowo bawił się łyżeczką do kawy, którą go poczęstowano, kiedy czekał. Nie spieszyli się i Abyss ociekał potem pełen lęku, że coś jest nie tak.

— Proszę bardzo, panie Gerome. — Kierownik wrócił uśmiechnięty. — Potrzebny nam jeszcze pana podpis tu, i tu.

Ręka tak mu się trzęsała, że nagryzmołony podpis wyglądał jak

podrobiony. Nerwowo podniósł wzrok, ale uśmiech kierownika nie zniknął.

— A oto pańskie dziesięć tysięcy dolarów, panie Gerome. Witamy w Banca Stamboul. Gdyby miał pan jakieś problemy albo chciał omówić ewentualne inwestycje, z przyjemnością udzielimy panu rady.

Abyss radośnie szedł przez plac Taksim, nieświadom towarzystwa małego człowieczka w brązowym płaszczu, który sunął dziesięć kroków za nim. Dziesięć tysięcy wyrzuszało mu przyjemnie kieszeń marynarki. Uśmiechnął się. Miał zamiar wziąć pokój w hotelu „Hilton”, a potem iść na zakupy. Cztery tuziny nowych koszul, oczywiście szytych na miarę, tuzin porządnych garniturów, bielizna, skarpetki, buty... i nowy kapelusz na szczęście. Stary nie był mu już potrzebny. Beztrosko cisnął wysłużoną panamę siedzącemu w rogu placu pucybutowi; starszek odpowiedział mu bezzębnym uśmiechem, od którego brązowa twarz pomarszczyła się jak skorupka orzecha. Abyss zdecydował, że lubi Stambuł. Traktowano tu człowieka jak księcia — a on będzie żył jak król.

Kątem oka dostrzegł neon nad barem i zawahał się. Jeden kieliszek przecież nie zaszkodzi, nie ma pośpiechu, „Hilton” za godzinę nadal będzie stał w tym samym miejscu. Zaśmiał się na myśl, że tak samo jest z seksem: tym większa przyjemność, im bardziej odwleka się zakończenie. Właśnie, to jest kolejna rzecz, którą można kupić za pieniądze, a której on nie miał już od dawna — seks.

Nie zauważył, że niepozorny człowieczek w brązowym płaszczu wślizgnął się za nim do baru i usiadł przy drzwiach.

Z zadowoleniem przyjrzał się zestawowi butelek na półkach. Szczerze mówiąc, nie bardzo wierzył, że dziewczyna mu zapłaci. Uznał, że dwadzieścia pięć tysięcy to wszystko, co dostanie, i już zdążył je przepuścić. Sam nowy paszport kosztował go dychę, a do tego statki, samoloty, pociągi, hotele... musiał się przecież ukrywać. Ale koniec z tym. Teraz może robić, co chce.

Poprosił o podwójną szkocką. Smakował whisky na języku, zanim wychylił ją do dna i zamówił następną.

— I jedna dla ciebie — rzucił z wyższością barmanowi, który skinął głową i schował pieniądze. Widział miliony takich klientów. Przychodzili i odchodzili.

Abyss zwinął się na stołku barowym w kolejnym paroksyzmie bólu. *Merde*, robi się coraz gorzej. Może rzeczywiście powinien dać sobie spokój z whisky. Złany potem z trudem wyszedł z baru.

Mały człowieczek znalazł się przy nim w mgnieniu oka.

— Nic panu nie jest? — zapytał po francusku.

Abyss spojrział na niego ze zdziwieniem, po czym jęknął, kiedy ponownie przeszył go ból.

— Muszę jechać do szpitala — wystękał, łapiąc mężczyznę za ramię, żeby nie upaść.

Taksówka jadąca wolno wzdłuż krawężnika zatrzymała się, człowieczek pomógł Abyssowi wsiąść, po czym sam usiadł obok i zatrzaskał drzwi. Samochód ruszył i z piskiem opon skręcił w Siraselvileh Cadessi, w stronę mostu i Starówki.

Poranne gazety zamieściły zaledwie krótką wzmiankę. W porcie Unkapani znaleziono w wodzie ciało mężczyzny. Nie utonął, lecz został zasztyletowany, w jego plecach nadal tkwił nóż. Motywem nie była kradzież, ponieważ w kieszeni mężczyzny znajdowało się dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich. Zidentyfikowano go jako Georgesa Gerome. Policja prowadzi dalsze dochodzenie.

Rozdział 32

Waszyngton

Cal czytał poranne gazety, popijając na stojąco kawę przy oknie z widokiem na rzekę Potomac i Wyspę Teodora Roosevelta. Wydarzeniem dnia było morderstwo Markheima. Ciało znalazła sprzątaczką, a ponieważ wyszły na jaw jego powiązania ze sprawą szmaragdu, prasa miała używanie. Cal zastanawiał się, czy Markheim przed śmiercią wyjawiał zabójcy nazwisko kupca. I kto go zabił? Może Yalentin Sołowski?

Filiżanka brzęknęła o spodek, kiedy ją odstawiał. Pomyślał o Genie i Sołowskim. Nie widział się z nią i nie miał od niej wiadomości od czasu Dusseldorfu. Znowu wyjechała bez uprzedzenia, jego zaś wezwano do Waszyngtonu.

Przypomniał sobie przestraszone niebieskie oczy Genie i swoje własne słowa. Zapewniał ją, że nic jej nie grozi. „Nie ma się czego bać — powiedział lekko. — Tm chodzi o tę Iwanow, a nie o ciebie. Poza tym daleko ci do Maty Hari". Ale, cholera, Genie właśnie taką rolę odegrała, zdecydowana dać z siebie wszystko dla kraju, tak samo jak zawsze dawała z siebie wszystko jako reporterka. Jak głupiec wysłał ją w świat niebezpieczeństw, których nie przewidział.

Nerwowo sprawdził na zegarku datę i godzinę, jakby mogło mu to powiedzieć, gdzie jest Genie.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do jej studia. Zapytał, czy się odezwała.

— Jasne — usłyszał. — Telefonowała dziś rano i mówiła, że przyjeżdża. Najwyższy czas!

Cal podziękował rozmówcy — i Panu Bogu. Genie była cała i zdrowa. Wracała do domu. Jak tylko się zjawi w Waszyngtonie, spotka się z nią i każe jej to rzucić w diabły. Chciał, żeby zapomniała, że ją o cokolwiek prosił, że w ogóle coś się wydarzyło. Pragnął, żeby

z powrotem stała się impulsywną, wrażliwą dziennikarką, bezpieczną we własnym świecie. Uśmiechnął się smutno, po czym wybrał numer kwaciarni, w której zamówił dwa tuziny białych róż z dostawą do pani Genie Reese i z bilecikiem o treści: *Przepraszam, uściski, Cal*.

Miał nadzieję, że mu uwierzy.

Wrócił myślą do morderstwa Markheima. Włączył telewizor ciekaw, czy w porannych wiadomościach powiedzą coś więcej. Niespodziewanie zobaczył na lotnisku Dulles Rosjanina, który przepychał się przez tłum reporterów i operatorów.

Valentin spojrzął w kamerę, następnie odwrócił się i obrzucił wzrokiem tłum zagrządzający mu drogę. Pojawiło się sześciu mężczyzn w czarnych okularach którzy rozepchnęli ludzi, robiąc mu przejście.

— Był pan na aukcji w Genewie, panie Sołowski — reporter podetknął mu pod nos mikrofon. — Czy mógłby nam pan powiedzieć, po co?

Valentin go zignorował.

— Co powie pan o morderstwie Markheima? — nalegał dziennikarz, ale Valentin po prostu odsunął mikrofon i poszedł dalej. Rzucił swojej obstawie gniewne spojrzenie. Mężczyźni w okularach zacieśnili przed nim kordon i wypchnęli dziennikarzy na ulicę. Żaden samochód z ambasady nie czekał na Valentina, który szybko wsiadł do taksówki. Kiedy odjeżdżał, nadal błyskały flesze aparatów.

Cal gwizdnął cicho. Uważał, że sprawę Iwanowów można załatwić dyplomatycznie, teraz jednak wszystko wymykało się spod kontroli. Potrzebował pomocy. Ponownie chwycił telefon, połączył się z Jimem Cornishem z kwatery głównej CIA w Langley w stanie Wirginia i zapytał go o Markheima.

— Załatwili go jak trzeba — stwierdził Cornish. — Abyssa też. Dostaliśmy dziś wiadomość ze Stambułu. Dziennik leży u ciebie na biurku. Tak. Abyss też się przekreślił... z pleców jeszcze wystaje mu sztylet, a w kieszeni ma dziesięć kawałków. Ponura historia, co?

— Niech to diabli — powiedział Cal w zamyśleniu. — Więc miałem rację, on cały czas siedział w Stambule.

— Miejsce jak każde inne, żeby się przycząić. Te dziesięć patoli to musiała być jego dola.

— Za mało. Abyss musiał dostać więcej niż dziesięć tysięcy. Ale skoro miał je w kieszeni, to znaczy, że dopiero co je dostał. Więc gdzie jest reszta forsy?

— Konto w banku? — zgadywał Cornish.

— Właśnie. Świeżo otwarty rachunek, idę o zakład. Zrób coś dla mnie. Cornish. Sprawdź wszystkie banki w Stambule i dowiedz się,

gdzie pan Georges Gerome otworzył konto. A może dyrektor banku zgłosił się już do tureckiej policji?

— Wątpię. Wzmianka w gazecie była mała, każdy mógł ją przegapić. Ale dobrze, sprawdzimy to.

— Zapytaj, jak wpłacono pieniądze. Czek? Przelew? Dowiedz się, czy płacił bank szwajcarski, a jeśli tak, to który.

— Dobra, starczy — uciął Cornish z irytacją. Nie lubił, gdy mu mówiono, jak ma wykonywać swoje obowiązki.

Waszyngton skrzył się na tle jasnoniebieskiego nieba, gdy Cal jechał Aleją Wirginii. Przeciął Osiemnastą Ulicę i skręcił w prawo w Siedemnastą, kierując się do swojego biura w zachodnim skrzydle Białego Domu. Duża grupa dziennikarzy oblegała zachodni wjazd. Cal przeciskał się samochodem przez tłum, ciekaw, na kogo czekają. Nagle zabłyśły reflektory, wszystkie kamery skupiły się na nim, a przez uchylone okno ktoś wepchnął mikrofon.

— Panie Warrender, co pan robił w Genewie? — zapytał reporter.

Cal przypomniał sobie milczenie Valentina i tylko potrząsnął głową.

— Co się kryje za morderstwem Markheima? Właśnie dowiedzieliśmy się o śmierci Abyssa. Jak pan myśli, kto ich likwiduje? I dlaczego?

Cal ponownie potrząsnął głową, wdzięczny strażnikom, że go szybko przepuścili. Zauważył, że kamery nie przestały pracować, choć brama zamknęła się za nim z brzękiem. Zastanawiał się, czy Genie Reese dotarła już do domu. Założyłby się o ostatniego dolara, że będzie pierwszą osobą, która dziś do niego zadzwoni.

Poprosiwszy sekretarkę o kawę, opadł ze znużeniem na fotel. Biuletyn, o którym mówił Cornish, już na niego czekał. Zawierał raporty amerykańskich agentów z całego świata, a w nich bieżące wiadomości oraz informacje gromadzone za pomocą sprzętu elektronicznego i satelitów szpiegowskich. Czasami treść raportów przydawała się do czegoś, czasami nie. Biuletyn dostarczano prezydentowi i rozsyłano ważnym pracownikom Departamentu Obrony, Departamentu Stanu i CIA jako ściśle tajny. Dziś jedną stronę poświęcono ostatnim doniesieniom w sprawie Markheima: zniknęły wszystkie jego służbowe notesy i skoroszyty, wywiad podejrzewa „mokrą robotę” — wyrażenie wzięte z rosyjskiego slangu i oznaczające zabójstwo. Była również informacja o morderstwie Georgesa Gerome-Abyssa w Stambule.

Cal wiedział, że „Ranny Ptasek” — zestaw najważniejszych artykułów i wiadomości powycinanych z dziewięciu największych gazet oraz doniesień agencji informacyjnych i trzech głównych stacji telewizyjnych — jeszcze nie zawierał tych materiałów. Ale jutro

wszyscy ludzie z „pętli” — tak nazywano krótką listę ważnych osób, które pierwsze otrzymywały istotne informacje — będą znali szczegóły i sprawa stanie się tematem waszyngtońskich plotek. Musiał działać. Usiadł wygodniej z zamkniętymi oczyma i zamyślił się. Kimkolwiek jest „Dama”, znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Rosjanie nie żartowali. Poza tym Cal był teraz pewien, że oprócz dwóch krajów zainteresowanych kopalniami w grze bierze udział ktoś trzeci.

Ponownie zadzwonił do CIA.

— Cornish — powiedział — co Rosjanie robili z tymi indyjskimi kopalniami przez te wszystkie lata? Prowadzili wydobywanie?

— Chyba tak — odparł Cornish. — Nigdy nie dostaliśmy poleceń, żeby zająć się sprawą Iwanowów, więc nie badaliśmy wszystkich aspektów.

— No to zacznijcie — polecił Cal. Elementy łamigłówek zaczęły mu się układać w spójną całość. — Wiemy, że kopalnie są cenne ze względu na wolfram, który jest niezbędny w produkcji stali. Kto jest największym na świecie producentem stali i broni?

— Jezu, Cal, chyba nie myślisz...

— Arnhardt mieszka w Dusseldorfie — powiedział Cal. — Markheim też... mieszkał.

— Zaraz się tym zajmę — oświadczył Cornish. — Skontaktuję się z tobą później.

Cal z zadowoleniem odłożył słuchawkę. Prawdopodobnie rozwiązał właśnie zagadkę trzeciego zawodnika w grze Iwanowów. Założyłby się o wszystko, że to Arnhardt kupił szmaragd. Co na to powie Genie Reese? Zatelefonuje do niej później, może zaprosi ją na kolację. Jasne, zdenerwowała go swoją lekkomyślnością, ale miała coś w sobie. Może to jej determinacja, dorównująca jego własnej, tak go ujęła? Przywołał w myśli obraz dziewczyny siedzącej naprzeciw niego w hotelu „Beau Rivage”; przypomniał sobie, jak rozszerzyły się jej niebieskie oczy, kiedy powiedział o miliardach Iwanowów; jak w zdenerwowaniu przeczesywała ręką długie jasne włosy i jak drżały jej wrażliwe usta. Tak, Genie Reese naprawdę mu się podobała.

Cornish oddzwonił o wpół do szóstej po południu. Potwierdził, że Arnhardtowie dzierżawią kopalnię, i powiedział, że sprawdzają dalej. Według agenta z Dusseldorfu Markheim wziął dużą łapówkę od kogoś, prawdopodobnie z KGB, za wyjawienie nazwiska klienta. Nie ma wątpliwości, że Rosjanie wiedzą o Arnhaldcie. Cal kiwnął głową. Spodziewał się tego. Kazał Cornishowi dzwonić, jak tylko będzie miał coś nowego, po czym zerknął za zegarek. Genie nie odezwała się, wobec czego on zatelefonuje do niej.

— Cześć — powiedziała. — Dzięki za kwiaty. Są piękne. Pachną jak ogród w lecie.

— Nie ma za co — odparł. Odetchnął z ulgą słysząc jej głos. — Przyjęłaś moje przeprosiny?

— Jasne. Nic się nie stało.

— Owszem, stało się, ale nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon. — Nie odpowiedziała, spytał więc szybko: — Nic ci nie jest?

— Dlaczego coś miałoby mi być? — zapytała ostrożnie.

— Wystawiłaś mnie do wiatru w Dusseldorfie, byłem więc niepokojny. Cieszę się, że wróciłaś cała i zdrowa po tym, co się tam wydarzyło.

— Wydarzyło...? Ach, tak. — Zawahała się, po czym szybko dodała: — Cal, naprawdę się cieszę, że zadzwoniłeś. Możemy się dziś spotkać?

Uśmiechnął się.

— Miałem zamiar zaprosić cię na kolację.

— Kolacja? Hmm, może...

Pomyślał, że nie jest to najbardziej entuzjastyczne przyjęcie za prośbienia, ale naprawdę chciał się spotkać z Genie.

— Powiedzmy o ósmej, bar "Cztery Pory Roku", dobrze? Stamtąd gdzieś pójdziemy.

— Zgoda. Oglądaj wiadomości o szóstej. Cal. Sądzę, że będziemy mieli jeszcze jeden temat do rozmowy.

Odłożył słuchawkę, zaniepokojony ostatnimi słowami Genie. Miał nadzieję, że nie wyskoczy z czymś głupim, jak to zrobiła z Sołowskim. Nie spodziewał się, że posunie się tak daleko. Ale Genie mierzyła wysoko, na sam szczyt. I żeby się tam znaleźć, przez niego wplątała się w niebezpieczną grę.

Spojrzał na zegarek. Za piętnaście szósta. Nie było czasu, żeby pojechać do studia i zobaczyć przed programem, co wymyśliła. Cholera jasna, dlaczego działa bez porozumienia z nim? Kto wie, co Sołowski kazał jej zrobić. Ze złością włączył telewizor i czekał na wiadomości.

Genie nie potrzebowała żadnej ściągawki na czytniku. Dokładnie wiedziała, co ma powiedzieć. Wpatrywała się w studyjny zegar, którego wskazówki powoli zbliżyły się do godziny szóstej. Valentin wrócił rano do Waszyngtonu i jeszcze do niej nie zadzwonił. Być może nigdy tego nie zrobi. Pod powiekami zapiekły ją łyzy, przygryzła wargi. Nie mogła się teraz rozpłakać, za parę minut znajdzie się na wizji.

Poza tym w ciągu ostatnich paru dni napłakała się tyle, że starczyłoby na całe życie. Co się stało z tamtą Genie, beztroską, odważną dziennikarką? Nadal tu jest, zapewniła samą siebie. Popatrzcie tylko, co zamierza zrobić.

Porządkowała swoje notatki, kiedy charakteryzatorka biegała wokół niej z pudrem i szminką. Wiedziała, że jest tylko jeden niezawodny sposób na wyciągnięcie wszystkich graczy z ukrycia. I jedyna metoda odnalezienia mordercy. Będzie to najbardziej hazardowa zagrywka w jej życiu, ale nie miała zamiaru się wycofać.

Rano podjęła decyzję, po czym poszła prosto do dyrektora sieci telewizyjnej. Wysłuchał jej uważnie i wyraził zgodę.

— Ale nie może pani nawalić — ostrzegł. Wzdrygnęła się. Wiedziała, że jeśli nawali, pożegna się z karierą. A może i z życiem.

Za cztery szósta zadzwonił telefon. Głos na drugim końcu sprawił, że Genie ogarnęła fala ciepła.

— Valentin — wyszeptwała.

— Genie, musimy się spotkać.

— Tak, tak... oczywiście...

— U ciebie — rzucił zwięźle. — O siódmej.

Rozłączył się w chwili, gdy wskazówka przesunęła się na trzecią minutę przed szóstą.

— W porządku. Genie — zawołał reżyser. — Biermy się do roboty.

Zajęła miejsce za, szerokim półkolistym biurkiem, mrużąc oczy w świetle reflektorów, podczas gdy charakteryzatorka ostatni raz pudrowała jej czoło. Zabrzmiała muzyka i na monitorze ukazała się czołówka programu. Genie nieruchomo wpatrywała się w kamerę. Była już zupełnie spokojna. Była gotowa.

Cal zasiadł w fotelu przed telewizorem w samej koszuli, z rozluźnionym krawatem i puszką piwa pod ręką. Czołówka przeleciała, spiker przeczytał zapowiedzi najważniejszych informacji, po czym powiedział:

— Zanim przejdziemy do właściwej części programu, nasza reporterka, Genie Reese, przedstawi państwu nowe informacje dotyczące niezwyklej sprawy szmaragdu Iwanowów.

Na ekranie ukazała się Genie, ubrana w niebieską jedwabną bluzkę pasującą kolorem do jej oczu. Włosy miała zebrane z tyłu w koczek, na szyi i w uszach błyszcząły perły. Z powagą spojrzała w kamerę i zaczęła mówić:

— Wydaje się, że sprawa szmaragdu Iwanowów i spekulacje

dotyczące tożsamości jego właścicielki, tajemniczej „Damy”, nabrały nowego znaczenia wraz z zamordowaniem przedstawiciela nabywcy, Paula Markheima z Dusseldorfu, oraz zasztyletowaniem w Stambule człowieka, który podobno przeciął kamień, Gerome Abyssa. Pojawiły się pytania, czy oznacza to, że opowieść o rodzinie książęcej jest jednak prawdziwa i czy agenci KGB nadal poszukują „Damy”? A może szuka jej CIA? Albo — co wydaje się coraz bardziej prawdopodobne — w dramacie bierze udział jeszcze jeden aktor. Tylko jedna osoba może udzielić odpowiedzi na te pytania i zatrzymać błędne koło morderstw i tajemnic. Osobą tą jest sama „Dama”. Badałam sprawę Iwanowów na własną rękę i wiem już, kim ona jest. Za trzy dni w wieczornych wiadomościach stacji WXTV zobaczą państwo nagrany z nią wywiad. Do zobaczenia.

— Genie — rozległ się w słuchawce głos realizatora — lepiej, żebyś nic nie pokręciła, bo za chwilę rozpęta się tu piekło.

— O to mi chodziło — odparła.

— Dobra — powiedział. — Limuzyna czeka, żeby cię zabrać do domu. Będę w przyszłym tygodniu do twojej dyspozycji. Postawimy ci przed domem kilku goryli, jak tylko dojadą. W porządku?

— Jasne. — Rzuciła okiem na zegar i zebrała swoje rzeczy. — To na razie, chłopcy, zobaczymy się za parę dni.

Realizator odprowadził ją zatroskanym spojrzeniem, kiedy wychodziła ze studia.

— Mam nadzieję, że dobrze zrobiliśmy — westchnął.

Cała na kilka sekund zamurowało, a potem skoczył na równe nogi i wrzasnął do sekretarki w pokoju obok, żeby połączyła go z telewizją. Dziewczyna jednak już dawno poszła do domu. Parskając ze złości, sam znalazł numer i zadzwonił. Zajęte, pewnie po sensacyjnym oświadczeniu Genie centrala była zablokowana.

Złapał marynarkę, wybiegł z biura i pojechał taksówką do studia.

— Przykro mi, panie Warrender — powiedział mu recepcjonista — ale panna Reese już wyszła.

— Dokąd? — zapytał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Nie umiem powiedzieć.

— Niech to szlag! — wściekł się Cal. — Chcę się zobaczyć z dyrektorem.

— Również wyszedł.

Cal poszedł do automatu wiszącego w holu i wykręcił domowy

numer Genie. Czekał długo, ale nikt nie odpowiadał, nawet automatyczna sekretarka. Zastanawiał się, gdzie u diabła podziewa się panna Reese. Przeklinał sam siebie, że wciągnął ją w tę niebezpieczną rozgrywkę. Nie miał jak się z nią skontaktować. Musi czekać na spotkanie o ósmej, potem nie spuści jej z oka, dopóki wszystko się nie skończy, nawet jeśli miałyby to oznaczać zamieszkanie wraz z nią. Jasna cholera, czy ona nie rozumie, że właśnie oświadczyła całemu światu, iż wie, kim jest „Dama”? Nie przyszło jej do głowy, na jakie niebezpieczeństwo się w ten sposób naraża? Z ponurą miną ruszył do „Czterech Pór Roku”, żeby na nią poczekać.

Usiadł w przyjemnym, pełnym kwiatów barze, słuchając muzyki fortepianowej. Co dziesięć minut spoglądał na zegarek. Minęła ósma. Dziesięć po wywołano go przez głośnik. Genie przekazała wiadomość, że nie zdąży na spotkanie. Ponownie zadzwonił do niej do domu, ale bez rezultatu. Połączył się z centralą, zapytał o domowy numer szefa sieci telewizyjnej i zatelefonował do niego.

— Proszę się nie niepokoić, panie Warrender — usłyszał. — Naturalnie wzięliśmy pod uwagę ryzyko. Genie dostała do dyspozycji limuzynę i dwóch ochroniarzy. Mówiła, że może wyjechać na parę dni. Powiedziała, że nic jej nie będzie.

— Założy się pan? — warknął Cal, rzucił słuchawkę i poszedł na parking.

Dotarł do N Street w pięć minut i z samochodu przyjrzał się oknom mieszkania Genie. Były ciemne. Lęk ścisnął go za gardło, kiedy wszedł po schodach i zajrzał do środka. Wszystkie zasłony były zaciągnięte. Zawahał się z palcem na dzwonku, po czym nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się i Cal z niepokojem wszedł do środka, wołając Genie. Usłyszał stłumione warczenie i przypomniał sobie, że Genie ma psa. Wymacawszy kontakt po lewej stronie drzwi, zapalił światło. Przedpokój był mały, kilka stóp lakierowanej podłogi przykrytej ładnym chodnikiem i antyczna komoda, na której w wysokim kryształowym wazonie stały róże od niego.

— Genie! — zawołał ponownie. Uchylił drzwi z lewej. Zapalił światło i rozejrzał się po pustym pokoju. Wschodnie dywaniki, białe kanapy, kwiaty — ale ani śladu Genie. Drzwi po drugiej stronie nie chciały się otworzyć, musiał z całej siły pchnąć je ramieniem. Ustąpiły nagle i na Cala wyskoczył ogromny pies, który zaczął go lizać entuzjastycznie, powarkując z radości, że go uwolniono.

— Już dobrze, dobrze, stary — powiedział Cal uspokajająco, po czym spróbował szerzej otworzyć drzwi. — Gdzie jest Genie, co? Powiedz mi.

Przez szparę wetknął głowę do kuchni, żeby zobaczyć, co blokuje wejście. Na podłodze leżało dwóch mężczyzn, mieli związane ręce i nogi oraz plaster na oczach i ustach. Byli złowrogo nieruchomi. Wślizgnął się do środka i opadł obok nich na kolana. Puls mieli słaby, ale żyli. Uznał, że ich uśpiono. Szybko sprawdził resztę domu, lecz po Genie nie było śladu.

W kuchni na ścianie wisiał telefon. Cal wezwał karetkę, policję i FBI. Powiedział im, że Genie zniknęła, a potem zadzwonił do Cornisha do domu, kazał mu wziąć tyłek w troki i zjawić się natychmiast u niego w biurze.

Chociaż strażnik przy zachodniej bramie Białego Domu widział go co dzień, zawsze sprawdzał jego przepustkę, a żołnierz z piechoty morskiej uzbrojony w karabin maszynowy zawsze oglądał samochód, zanim pozwolił mu wjechać. Cała doprowadziło to niemal do furii, wiedział jednak, że mają rację. Nie mogli sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko.

W niektórych biurach wciąż paliły się światła, trwało też przyjęcie na cześć jakiegoś zagranicznego dygnitarza. Biały Dom nigdy nie spał. Cal sprawdził w centrali, czy zostawiono dla niego jakieś wiadomości. Była tylko jedna, ale nie od Genie. Od kogoś, kogo nie znał. Wykręcił podany numer i poprosił siostrę Sarę Milgrim.

Siostra Milgrim powiedziała, że dzwoni z Domu Opieki „Fairlawns” w imieniu jednej z pensjonariuszek, której trudno jest dzwonić osobiście, bo ma dziewięćdziesiąt lat i jest odrobinę przygłucha. Staruszka zna jego nazwisko z gazet, widziała go w telewizji i nalega stanowczo, by zobaczyć się z nim osobiście.

— Mam panu powiedzieć, że będzie rozmawiać tylko z panem. Nie wiem, o co chodzi, ale powiedziała, że ma to związek... — siostra Milgrim zniżyła głos — ...ze szmaragdem Iwanowów.

Cal usiadł prosto. Cornish będzie musiał poczekać.

— Kim ona jest? Jak się nazywa?

— Missie O'Bryan, proszę pana.

— O'Bryan, mówi pani? Dobrze, proszę jej powiedzieć, że zaraz przyjadę. Dziękuję, siostrzo Milgrim, że pani zadzwoniła.

— Zrobiłam to dla niej, nie dla pana — ucięła siostra Milgrim szorstko. — Kiedy pan tu dotrze, proszę pamiętać, że to osoba w podeszłym wieku. Nie chcę, żeby pan ją czymś zdenerwował.

— Oczywiście — zgodził się z półuśmiechem.

Missie przejrzała się w lusterku ręcznym i poprawiwszy drżącą ręką włosy upewniła się, że Milgrim dobrze ją uczesała i że pokaże się gościowi z najlepszej strony. Wraca dawna próżność, pomyślała ze zmęczonym uśmiechem. Wydawało się, że wszystko wraca, cała przeszłość. Ale dlaczego Anna nie zadzwoniła ani nie przyjechała? Czy morderstwa tych dwóch ludzi nie przekonały jej, jak niebezpieczną grę prowadzi?

Potrząsnęła głową i odłożyła lusterko. Tak mało sypiała ostatnimi czasy, że z zadowoleniem witała poranne programy telewizyjne, które dotrzymywały jej towarzystwa. Nie spodziewała się jednak, że dziś rano zobaczy oczy Miszy spoglądające na nią z ekranu. Nie myślała też, że jeszcze kiedyś usłyszy nazwisko Sołowski. A teraz telewizja miała ujawnić tożsamość Anny i Missie drżała o jej życie.

Z rozpaczą zastanawiała się, co zrobić. Nie znała nikogo, kto mógłby jej pomóc, może tylko prezydent. Wtedy zobaczyła w telewizji Cala Warrendera. Powiedziano, że zajmuje się sprawą Iwanowów i Missie przypomniała sobie, że czytała o nim w gazetach jako o „pnącym się górę młodym polityku”, którego karierę należało śledzić. Mówiono nawet, że sam prezydent liczy się z nim i bierze pod uwagę jego opinie. Poza tym zawsze pokazywano go na waszyngtońskich przyjęciach. Nagle wydał się jej odpowiedzią na jej modlitwy. Człowiek, z którym się liczył prezydent i który zajmował się sprawą Iwanowów, z pewnością zrozumie, co ona ma mu do powiedzenia. Pomoże Annie. Niewątpliwie według Milgrim Missie już do końca zwariowała z całym tym swoim gadaniem o szmaragdzie Iwanowów, ale musiała wyjawić część prawdy, żeby przekonać pana Warrendera, iż powinien się z nią zobaczyć.

Ręka jej drżała, kiedy wyjmowała zdjęcie Miszy w pięknie inkrustowanej ramie. Postawiła je na stoliku obok, pokazując po raz pierwszy od ponad pół wieku.

— Cóż, Misza — powiedziała miękko. — Jednak będę musiała złamać moją obietnicę. Muszę im opowiedzieć historię Azaylee. Bo jeśli tego nie zrobię, kochany, może stać się to, czego się obawiałeś, i zabiją twoją wnuczkę.

Złożyła ręce na kolanach i czekała w milczeniu na przyjazd Cala Warrendera.

Część druga

Rozdział 33

Cal wyobrażał sobie Missie zupełnie inaczej. Los obdarzył ją królewską urodą, której nawet czas nie dał rady. Miała upięte w kok siwe włosy i niezwykle fiołkowe oczy, które spoglądały teraz na niego z wielkim niepokojem.

Missie również była zaskoczona wyglądem Cala.

— W telewizji wydawał się pan starszy — poskarżyła się głosem srebrnym jak jej włosy. — Ale cóż, dla mnie teraz wszyscy są niemożliwie młodzi. Nawet tutejsi lekarze mogliby być moimi wnukami.

Uśmiechnął się.

— Dużo ma pani wnuków?

Pokręciła głową.

— Jedną wnuczkę, i to przyszywaną. Z tym właśnie wiąże się cała historia. Proszę, niech pan siada, panie Warrender. — Wskazała mu krzesło obok siebie. — Mamy przed sobą długą noc.

— Byle nie za długą — ostrzegła ją niespokojnie Sara Milgrim, która właśnie weszła z herbatą. — Nie wzięłyśmy dziś pigułek.

— Tym razem nie potrzebuję pigułek — staruszka potrząsnęła niecierpliwie głową. — Czeka nas dużo roboty. — Utkwiła wzrok w Calu i dodała: — Mam nadzieję, że ten młody człowiek ją wykona.

Siostra Milgrim wręczyła gościowi filiżankę.

— Earl grey — powiedziała tonem pełnym dezaprobaty. — Ona nic innego nie pije.

— Dziękuję, Milgrim — ucięła Missie. — Pan Warrender i ja mamy do omówienia mnóstwo spraw. Proszę nam nie przeszkadzać.

Cal napotkał zatroskany wzrok pielęgniarki.

— Zaopiekuję się panią 0" Bryan — zapewnił. — Jeśli zobaczę, że jest zbyt zmęczona, zawołam siostrę.

Kiedy za Milgrim zamknęły się drzwi, Missie powiedziała z ożywieniem:

— Panie Warrender, nie ma czasu do stracenia. Anna Iwanow znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. — Pokiwała głową na widok jego zdumionej miny. — Tak, mówię o wnuczce księcia Miszy Iwanowa. Proszę, tu jest jego zdjęcie. — Wręczyła mu fotografię w pięknej ramie z książęcym herbem. — Anna jest córką Kseni Iwanow, która uciekła ze mną z Rosji w dziewięćset siedemnastym roku. To długa historia, z której większą część już pan pewnie zna, ale dorzucę brakujące szczegóły. Powiem panu też, co się stało z synem Miszy, Aleksiejem.

Kiedy patrzyła na Cal, ogarnął ją znów dawny lęk. Zastanawiała się, czy rzeczywiście może mu zaufać — obcemu człowiekowi znanemu jej tylko z prasy i telewizji — nie miała jednak wyboru. Była już za stara, sama nie mogła pomóc Annie. Ktoś musi przejąć jej rolę.

— Wszystko zaczęło się w moje osiemnaste urodziny — odezwała się cicho. — Byliśmy w Wariszni, piliśmy szampana, lecz zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że pewnie już się nigdy nie zobaczymy...

Miniaturowy magnetofon zabrzączał cichutko, kiedy Cal go włączył, ale Missie tego nie słyszała. Odkrywała przed nim tajemnicę, którą od ponad pół wieku zajmowały się różne kraje, on zaś słuchał zafascynowany. Pokiwał głową, kiedy powiedziała mu o Eddiem Arnhaldcie; jego podejrzenia okazały się słuszne — w grze rzeczywiście brał udział trzeci zawodnik.

W końcu na twarzy Missie pojawił się cień zmęczenia i Cal odezwał się z troską:

— Przeżywanie na nowo tych wszystkich lęków i emocji musi być dla pani trudne. Może już pójdę i pozwolę pani odpocząć?

— Nie — odparła, prostując zgarbione plecy. — Opowiedziałam panu dopiero początek. Muszę dokończyć. Dla dobra Anny musi pan wiedzieć wszystko, to ważne. Ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Warrender, napiję się brandy.

Nalał brandy i podał jej kieliszek, po czym powiedział:

— Droga pani, nie może pani nazywać „panem Warrenderem” człowieka, przed którym odkrywa pani duszę. Proszę mówić mi Cal. Uśmiechnęła się.

— Skrót od Calvina?

Potrząsnął głową.

— Od Calluma, po moich irlandzkich przodkach.

— Ach, znałam kiedyś jednego Irlandczyka... — rzekła zapominając, że opowiedziała mu już o O'Harze. — Silny, wielki, rudy

Irlandczyk pełen uroku... — w zamyśleniu pociągnęła łyk brandy, po czym podjęła wątek: — Kiedy wróciliśmy z Niemiec do Nowego Jorku, zostawiłam Azaylee i Beulah w małym hotelu na Pięćdziesiątej Siódmej, takim, z jakich korzystają komiwojażerowie i im podobni. Sama zaś poszłam prosto na Rivington Street, żeby znaleźć Rosę...

Nowy Jork

Ciemnowłosa młoda kobieta o ostrych rysach twarzy, która otworzyła drzwi do mieszkania Rosy, obejrzała Missie od góry do dołu i najwyraźniej zaimponowało jej to, co zobaczyła.

— *Nu*, co taka elegancka pani może mieć wspólnego z Perelmanami? — zapytała, spoglądając z zazdrością na drogi płaszcz niespodziewanego gościa.

Missie zajrzała jej przez ramię do pokoju, który tak dobrze знаła. Wyglądał inaczej, był dziwnie cichy, czysty i pusty, brakowało w nim porzucanych zabawek i dziecięcych ubranek. Meble jednak stały te same, a na nich porcelana i szabasowy lichtarz Rosy. Mieszkanie Rosy, ale jakby już bez Rosy. Missie, przerażona, że przyjaciółce coś się stało, ledwo zdobyła się na pytanie, gdzie ona jest.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

— Wyjechała — odparła. — I bardzo dobrze. Nigdy nie zrozumieć, co taki mężczyzna jak Meyer Perelman robił z tą leniwą fladką. Co wieczór przychodził na zebrania związkowe i opowiadał, jak się objaja, jak zaniedbuje dzieci, przepuszcza jego zarobki... więc w końcu ją wypędził. — Spojrzała na Missie wyzywająco. — Jak tylko uzyska rozwód, ożeni się z mną. Będę nową panią Perelman.

Oszołomiona Missie przytrzymała się framugi.

— Dokąd pojechała?

Dziewczyna znów wzruszyła ramionami.

— Meyer był dla niej za dobry. Dawał jej pieniądze na dzieci, chociaż mówiłam mu, żeby tego nie robił. Pewnego dnia po prostu zwinęła się i wyjechała do Kalifornii. Pewnie do Hollywood. — Parsknęła lekceważąco. — Może myśli, że dzięki swojej urodzie zostanie gwiazdą filmową. Widział to kto!

— Gdzie teraz mieszka? — Missie ze złością tupnęła nogą.

— Nie wiem. Meyer też nie wie i nic go to nie obchodzi.

— A co z dziećmi?

Dziewczyna przez chwilę przyglądała się jej z namysłem.

— No cóż, dzieci jak dzieci — rzekła w końcu. — Meyer mówi, że może mieć jeszcze tuzin, jeśli będzie chciał. — Ponownie ze złośliwym uśmiechem wruszyła ramionami. — A ja mogę mu dać wszystko, czego zapagnie.

Missie pomyślała o Rosie oraz dziewczynkach wyrzuconych z ubożego domu z powodu tej dziwki i miała ochotę ją zabić. Nie spodziewanie dla samej siebie wyciągnęła rękę i wymierzyła ciemnowłosej kobiecie mocny policzek.

— Nigdy więcej nie nazywaj Rosy Perelman flądram! — zawołała. — Sama jesteś flądram, skoro żyjesz na oczach wszystkich z żonatym mężczyzną. Ładny ojciec, który nie dba o własne dzieci! Jesteście siebie warci!

Powstrzymując łzy odwróciła się i zbiegła po schodach. Przeżyta dopiero co scena i znajomy smród gnijących odpadków przyprawiły ją o mdłości. Znalazłszy się na zewnątrz, rozejrzała się po Rivington. Straganiarze nadal hałaśliwie zachwalali swoje towary, kobiety targowały się głośno, psy, koty i dzieci wciąż plątały się między nogami i kołami wózków. Nic się nie zmieniło — i zarazem zmieniło się wszystko. Odeszła Sofia, odeszli O'Hara, Zev i Rosa. Missie zrozumiała, że nie jest to już jej świat.

Zatrzymała się, żeby kupić ogromny bukiet kwiatów, i poszła szybkim krokiem do kościoła św. Zbawiciela, gdzie zapaliła Sofii świeczkę. Potem zaniósła kwiaty na jej grób i długo siedziała na cmentarzu, pogrążona we wspomnieniach. W końcu pomyślała o przyszłości. Nie mogła zwrócić się o pomoc do O'Hary, skoro wyszła za męża za kogoś innego i wyjechała. Zev również zniknął. Musi więc pojechać do Hollywood i odnaleźć Rosę.

Metrem wróciła na Drugą Aleję, gdzie zatrzymała taksówkę. Powodowana impulsem poprosiła kierowcę, żeby przejechał obok teatru „Nowy Amsterdam”. Spojrzała przez okno na tablicę ze znajomymi nazwiskami. Cóż, teraz debiutantką była inna dziewczyna. Krótki okres sławy Verity Byron został już zapomniany, była tą, która poślubiła milionera i wyjechała do Europy.

W portmonetce miała dwa tysiące czterysta dolarów — spora suma, jeśli rozsądnie nią gospodarować. Trzeba będzie znaleźć nowy sposób zarabiania pieniędzy, tylko że teraz musiała się ukrywać przed dwoma wrogami, bowiem Eddie Arnhardt był równie groźnym przeciwnikiem jak CzeKa. Hollywood cieszyło się opinią miasta, w którym wszyscy przybierali nowe nazwiska, dorabiali sobie nową historię życia i stawali się zupełnie kimś innym. Missie uznała, że jest to miejsce równie dobre jak każde inne, żeby zacząć od nowa.

Rozdział 34

Hollywood

Mieszkanie Rosy w Hollywood niewiele się różniło od mieszkania w Nowym Jorku: jeden pokój zamiast dwóch, kilka mebli, stare łóżko, w którym spała razem z córkami, kuchnia do spółki z innymi lokatorami i łazienka na końcu korytarza. Jedyną nowością było to, że pokój znajdował się na parterze drewnianego domu z werandą, za którym rozciągał się zrudziały trawnik i cmentarz.

Dom stał na rogu ulicy Gower, gdzie Bulwar Zachodzącego Słońca zbiegał się z Bulwarem Santa Monica.

Był ponury, ciasny i potwornie gorący podczas długiego lata, a zimny i wilgotny w czasie zimowych deszczów, które były bardziej ulewne, niż Rosa się spodziewała. Natomiast do jego zalet należał widok na kwieciste wzgórza Hollywood z purpurowobrązowymi górami w tle, który oczarowywał swoją zmiennością: raz powietrze znaczone bladym, rumianożółtym świtem skrzyło się jak kryształ, kiedy indziej zaś horyzont zdawał się spieczony na brąz upalnym południem albo powleczony różowym lakierem, gdy olbrzymie słońce przesunęło się na zachód nad Santa Monica, niczym ustawiona na niebie dekoracja do epickiego filmu D.W. Griffitha.

Rosa zakochała się w Hollywood, nie była tylko pewna, czy z wzajemnością. Zachwycały ją palmy i drzewa pieprzowe, juki, oleandry; ich barwy sprawiały, że sama czuła się jak tropikalny kwiat, pęczniejący w słońcu i tęsknie rozchylający płatki — chociaż nie wiedziała, za czym tak tęskni. Uwielbiała wymyślony świat oglądany co dzień na ulicach, gdzie „złodzieje” uciekali z workami łupów, a czarnookie „panienki” z żółtym makijażem krzyczały przeraźliwie, podczas gdy kamerzysta gorączkowo filmował, starając się nadażyć za akcją. Widok znanych twarzy sprawiał jej przyjemność. Aktorzy wpadali do sklepu, w którym pracowała, śmiali się i pili soki zupełnie

jak zwyczajni ludzie, a potem wsiadali do swoich luksusowych samochodów, wystrzałowych rolls-royce'ów, bugattich i de courmontów. Kiedyś obsługiwała nawet osobistą pokojówkę samej Wielkiej Gwiazdy — dziewczyna przyszła po specjalny krem, którego panna Pickford używała, by mieć piękną cerę i nie zawieść swoich fanów.

Ale najbardziej się cieszyła, że jej trójka dzieci bawi się w słońcu, z dala od nowojorskiego brudu i niebezpiecznego ruchu ulicznego. Chociaż biedne, były znacznie zdrowsze i szczęśliwsze, również dlatego, że Meyer wreszcie zniknął z ich życia. Tak, jestem zadowolona, mówiła do siebie Rosa z uśmiechem, siadając na werandzie w chłodny wieczór, znów czuję się jak kobieta, a nawet jak dziewczyna. Nareszcie. Po tylu latach i z trzema córkami.

Sonia była zachwycona szkołą średnią w Hollywood i zdecydowała już, że zostanie nauczycielką, choć nie miała pojęcia, skąd weźmie pieniądze na studia. Hannah i Rachel oszalały na punkcie kina i chciały grać w filmie, a Rosa była ambitną matką. Wraz z dwoma starannie uczesanymi i wystrojonymi dziewczynkami robiła rundki po okolicznych wytwórniach, poczawszy od „National” po drugiej stronie ulicy, poprzez „Metro” na Romaine, „Wilcox, Famous Players-Lasky” przy Selma, „Chaplin” na La Brea i „Griffith” przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Wszystkie znajdowały się na tyle blisko, że można było bez problemu dotrzeć do nich na piechotę — pozostałe nie wchodziły w rachubę, ponieważ oznaczały wydatek na dojazd.

Dziewczynki odziedziczyły urodę po matce; miały wesołe ciemne oczy, długie ciemne loki i dzięki pyzatym, niewinnym buziom już zagrały kilka drobnych ról w epizodach. Choć znalazły się tylko jeden stopień wyżej od statystów, przynajmniej oznaczało to, że ludzie od castingu znali je z nazwiska i może o nich pomyśla, jeśli trafi się właściwa rola. Tak już jest w Hollywood, powiedzieli Rosie: jednego dnia jesteś nikim, a następnego gwiazdą! I Rosa w to wierzyła.

Tymczasem pracowała w drogerii i wreszcie sama zarabiała pieniądze. Oczywiście za mało, ale pod cudownym, błękitnym niebem Kalifornii, w ciepłych promieniach słońca szczęście kryło się tuż za rogiem. Hollywood rodziło nadzieję w tysiącach serc, a jednym z nich było serce Rosy.

Bujała się w fotelu na ganku i napawała spokojem wieczoru. Od czasu do czasu zaterkotał jakiś samochód, ale na ogół ciszę zakłócał jedynie śpiew ptaków i cykady. Sonia odrabiała lekcje, dwie młodsze córki bawiły się z dziećmi sąsiadów, prawdopodobnie ganiały dokoła grobów na czterech akrach cementarza. Słońce zsunęło się nisko

wciskając złotą mgiełkę pod powieki Rosy, która drzemała zadowolona, że znajduje się milion mil od Meyera i Nowego Jorku. Niestety również od Missie, za którą tęskniła jak wariatka. Cóż, może życie nie jest taką bajką, ale znalazła w Hollywood ukojenie.

Nie słyszała zbliżających się kroków i zdawało się jej, że śni, kiedy głos Missie powiedział:

— Tu jesteś, Rosa! Nareszcie!

To nie był sen. Missie stała przed nią plecami do słońca, więc Rosa nie widziała dobrze jej twarzy, ale i tak wiedziała, że przyjaciółka się uśmiecha. Zerwała się na równe nogi i wyciągnęła ręce.

— Missie! Co za niespodzianka! Och, tak się cieszę, że cię widzę!

Uściskały się mocno. Ich łzy radości mieszały się ze sobą, kiedy jedna przez drugą usiłowały opowiedzieć, co się z nimi działo.

— Ty pierwsza — powiedziała wreszcie Rosa ze śmiechem. — Opowiedz mi o swoim wspaniałym nowym życiu. Co ty tu w ogóle robisz?

— Wspaniałe życie! — prychnęła Missie. — To był koszmar! Uciekłam i przyjechałam tutaj, żeby cię odnaleźć. Wiedziałam, że dzieci chodzą do szkoły, więc obeszłam wszystkie i pytałam, czy mają na liście jakieś Perelmanówny. — Uśmiechnęła się. — Robi się ze mnie niezły detektyw.

— Więc wiesz, co mi się przydarzyło — stwierdziła Rosa z goryczą. — A co z tobą?

— Najpierw powiedz, czy masz jakieś wieści od Zeva? Jest w Hollywood?

— Zdaje się, że nikt o nim nie słyszał. — Rosa wzruszyła ramionami. — Może wrócił do Nowego Jorku i założył następny lombard?

— Chciałabym się z nim zobaczyć — powiedziała Missie w zadumie, czując ogromne rozczarowanie. Zev był częścią jej życia, tak samo jak O'Hara, teraz zaś wyglądało na to, że straciła ich obu.

— Trudno — rzekła po chwili. — Opowiem ci teraz moją historię. Tym razem jednak usłyszysz wszystko od samego początku. Żadnych tajemnic.

Rosa słuchała w milczeniu, po czym zapytała praktycznie:

— No dobrze, ale co dalej?

Missie zerknęła na nią niepewnie.

— Nie mam pojęcia. Wiedziałam tylko, że muszę cię znaleźć. Zostało mi dwa tysiące dolarów i pomyślałam, że może znajdę jakąś pracę.

— Dwa tysiące dolarów! Ależ cały ten dom mogłabyś kupić za

o wiele mniejszą sumę! — Zastanawiała się przez chwilę, po czym wykrzyknęła w podnieceniu: — Missie! Chyba właśnie znalazłam odpowiedź.

Pensjonat „Rosemont” stał przy Fountain Avenue, między ulicami La Brea i Seward. Wybrały go ze względu na mieszczące się w okolicy wytwórnie, żeby przyszli aktorzy i aktorki mogli bez problemu odpracowywać swoje codzienne rundki. Odrapany drewniany dom został odnowiony i pomalowany — okna i drzwi na zielono — i oferował obecnie sześć świeżo urządzonych pokoi dwuosobowych oraz dwie jedyńki, dla chętnych razem z wyżywieniem.

Missie i Rosa pracowały ciężko, żeby zrobić z niego czyste, przyjemne miejsce, jakie same chciały znaleźć, kiedy potrzebowały pokoju. Wielki hol przerobiły na wspólną świetlicę z wygodnymi używanymi fotelami i krzesłami, stolikiem do gry w karty, drugim do herbaty i pianinem. Krzesła stały również na drewnianym ganku z widokiem na białoróżowe wille zdobione sztukaterią. Wysadzana drzewami aleja prowadząca do domu była tak cicha jak wiejska droga.

Ich mieszkaniem stał się bungalow w ogrodzie za domem, gdzie dziewczynki spały po dwie w każdym pokoju, a Missie i Rosa miały po małej izdebce. Beulah nie przyjęła propozycji Missie, która chciała zwrócić jej koszty podróży na wschód i wypłacić pensje za trzy miesiące, i postanowiła zostać. Miała własny pokój przy kuchni w „Rosemont”, gdzie nieoficjalnie pełniła funkcję gospodyni, na razie za darmo. Wiktor natomiast zajął najbardziej cieniste miejsce na werandzie.

Problem jednak polegał na tym, że nie miały żadnych lokatorów-, a pieniądze prawie się skończyły.

— Musimy się zareklamować — powiedziała Missie przy obiedzie kiedy rzucały sobie nad stołem zatroskane spojrzenia. — Dziewczynki poroznoszą ulotki po wytwórniach.

Córki Rosy przewędrowały Hollywood, zostawiając ulotki w każdej poczekalni, we wszystkich agencjach aktorskich, i w dwa dni później „Rosemont” miał już pierwszego lokatora, inteligentnego jasnowłosego młodzieńca o miłej okrągłej twarzy, w okularach z grubymi szklami. Nazywał się Dick Nevern i zamierzał zostać reżyserem. Wynajął najmniejszy jednoosobowy pokój, płacąc z góry za miesiąc banknotami wysuflanymi z bardzo małego zwitka, jak zauważyła Rosa.

Ponieważ był ich jedynym gościem, uznały, że może jeść posiłki razem z nimi. Zabawiał je opowieściami z rodzinnych stron, z bezkres-

nych równin Oklahomy, gdzie życie toczyło się powoli i zawsze tak samo, od starej szkoły z czerwonej cegły do młodzieżowych tańców, od pracy na rodzinnej farmie i małżeństwa z dziewczyną z sąsiedztwa, do bujaka na ganku i drelichów, kapelusza z szerokim rondem i słomki w ustach, przeżuwanej podczas drzemki przerywanej odganiem much.

— Dlaczego uważasz, że nadajesz się na reżysera? — zapytała Missie.

Dick zdjął okulary i zaczął je przecierać, spoglądając na nią zaczerwienionymi oczyma krótkowidza.

— Tam na równinach uczysz się, jak patrzeć na rzeczy. Jest w tej przestrzeni i w tych szerokich horyzontach coś takiego, co rozszerza ci wzrok, ustawia wszystko w perspektywie, każde drzewo i każdy przedmiot. Przekomponowywałem ten krajobraz tyle razy, że to, co robi pan Griffith, wydaje mi się dziecinną igraszką. Nie jestem tylko pewien, czy poradziłbym sobie z aktorami. Nie mam podejścia do obcych...

— Dasz sobie radę — zapewniła go Missie. — Z nami idzie ci znakomicie.

— A ile dajesz sobie czasu na zostanie tak wielkim reżyserem jak pan Griffith? — spytała Rosa, z niepokojem myśląc o komornym.

— Dokładnie trzy miesiące, na tyle starczy mi pieniędzy. — Skończył przecierać okulary, założył je z powrotem na perkaty nos i rzucił Rosie promienne spojrzenie. — To chyba dość dużo czasu, nie sądzicie?

Rosa westchnęła. Już widziała, jak to będzie — pensjonat pełen młodych zdolnych, którzy nie mają ani grosza. Może jednak nie był to taki dobry pomysł.

W Hollywood roiło się od pełnych zapału młodych ludzi i po dwóch tygodniach na furtce „Rosemont” zawisł napis *Brak miejsc*. W pensjonacie zamieszkały dziewiętnastoletnie bliźniaczki, Lilian i Mary Grant, piękne blondynki o niebieskich oczach i długich lokach. Towarzystwiała im matka, pani Winona Grant, przekonana, że jej córki są niezwykle utalentowane. Już w wieku sześciu lat posłała je do szkoły mimiki i tańca w Barrymore.

Następna była Millie Travers, lat dwadzieścia, z Des Moines, która przyjechała z walizką starych egzemplarzy „Photoplay” i śliczną rudą główką wypełnioną marzeniami. Po niej zjawił się wesoly Ben Solomon z Newark w New Jersey, który chciał być komikiem takim jak Harold Lloyd. Potem czterdziestoletni Marshall Makepiece, który w trakcie swej pełnej wlotów i upadków kariery aktorskiej

grywał na Broadwayu, w San Francisco oraz wszędzie, gdzie się dało. Były też Ruth D'Abo, Marie Mulvaine i Louise Hansen, zatrudnione w wytwórni Macka Senneta jako Trzy Gracje — przynajmniej o ich komorne Rosa nie musiała się obawiać.

Stary drewniany dom tętnił życiem. Dzięki temu Missie mogła zapomnieć o swoich lękach, a Rosa o Meyerze. Dochód, jaki przynosił pensjonat, wystarczał na pokrycie ich potrzeb, i chociaż nie bogaciły się, nie miało to większego znaczenia. Dzieci uważały lokatorów za jedną wielką rodzinę.

Ośmioletniej Azaylee brakowało wprawdzie kucyka, pięknego pokoju w Haus Arnhaltdt, służących, ciągłego nadskakiwania i luksusowych zabawek, miała jednak teraz wokół siebie prawdziwie serdecznych ludzi. Nie mogła się doczekać końca lekcji, by biegiem wracać ze szkoły razem z Hannah i Rachel, z książkami pod pachą i fruującymi warkoczycami, spragniona wieści, kto dostał dziś pracę i co znów wymyśliły Trzy Gracje. A jej prawdziwymi idolami były bliźniaczki.

Lilian i Mary każdego ranka wyruszały w obchód wytwórni po wczesnym śniadaniu, jedzonym pod okiem surowej matki, która doskonale wiedziała, jaką mają ochotę na ciasteczka, miód i placki z jabłkami.

— Musicie dbać o linię — strofowała je, kiedy spoglądały tęsknie na gorące biskwity Beulah. — Uważajcie na cerę — upominała, odsuwając przy kolacji czekoladowe ciasto. — Pamiętajcie, że talent nie wystarczy, by zostać gwiazdą.

Tak więc bliźniaczki, wzmocnione jedynie sokiem pomarańczowym, płatkami na mleku i owocami, ruszały w obchód agencji, uśmiechając się słodko do kobiet, a nieco łobuzersko do mężczyzn. Po południu wracały wyczerpane, nadal bez pracy, by uciąć sobie „kosmetyczną drzemkę”, jak to nazywała ich matka. O czwartej znów były na nogach, gotowe do godziny ćwiczeń w salonie. Pani Grant grała na pianinie, a pełna podziwu Azaylee patrzyła z zapartym tchem, jak bliźniaczki rozciągały się, skakały i przytupywały. W końcu nie wytrzymała i tańczyła razem z nimi, naśladowując dokładnie ich ruchy, balansując na czubkach palców i wyginając gibkie ciało w rytm muzyki.

Wkrótce zaczęła chodzić wraz z Lilian i Mary na codzienne lekcje do szkoły tańca przy Bulwarze Santa Monica, gdzie doskonale sobie radziła. Czuliła się bardzo szczęśliwa: zawsze pragnęła tylko jednego — tańczyć.

Missie i Rosa miały tyle zajęć, że dopiero po kolacji, pod koniec długiego dnia znajdowały czas, żeby porozmawiać o swoich sprawach.

— Więc? Jak myślisz, co Eddie knuje? — zapytała Rosa któregoś wieczoru, kiedy usiadły na werandzie.

Missie wzruszyła ramionami.

— Nie wiem i chciałabym, żeby mnie to w ogóle nie obchodziło. A według ciebie co on knuje?

— Szuka cię, płaci majątek prywatnym detektywom. Pewnie szaleje.

— On już jest szalony. — Wzdrygnęła się, chociaż wieczór był ciepły. — Wiem, że pewnego dnia nas znajdzie.

— Nie przypuszczam — powiedziała Rosa. — Nie wpadnie na to, że jego żona prowadzi pensjonat w Hollywood. — Przerwała, po czym dodała z namysłem: — Chyba że...

Przestraszona Missie otworzyła szeroko oczy, usiadła prosto na krześle z trzciny i zapytała nerwowo:

— Chyba że co?

— Tak sobie pomyślałam... Zobacz, z jaką łatwością ty mnie znalazłaś, pytając w szkołach o dzieci. Co będzie, jeśli on zrobi to samo?

Dobrze znane uczucie strachu ścisnęło Missie żołądek.

— Boże, jaka ja byłam głupia! — jęknęła. — Myślałam, że sprawdzi Ziegfelda, Madame Elise, teatry w Nowym Jorku. Nie przyszło mi do głowy, że mógłby przyjechać do Hollywood. Ale gdzie indziej aktorka szukałaby pracy? On wie, że nie mam pieniędzy.

— Może zmienić nazwisko Azaylee? — zaproponowała Rosa, jak zawsze praktyczna.

— Nie, tego nie mogłabym zrobić. — Missie z troską spojrzała na Rosę. — Biedne dziecko zaczęłoby się zastanawiać, kim jest. Poza tym już na to za późno. Wszyscy ją znają. Nie, po prostu będę musiała zabrać ją ze szkoły i wynająć prywatną nauczycielkę. — Westchnęła na myśl o wydatkach. — Jakoś sobie poradzę.

Następnego ranka ustawiono w jadalni biurko Azaylee, a w pięć dni później młoda nauczycielka, która rzuciła szkołę dla świata filmu, przyszła wykładać Azaylee arytmetykę, angielski, podstawy historii i geografii.

— Dlaczego nie mogę chodzić do szkoły z Hannah i Rachel? — krzyczała Azaylee, a po jej buzi spływały strumienie łez. — Dlaczego muszę uczyć się w domu, sama? Chcę do szkoły, chcę być z innymi dziećmi... Dlaczego mi to robisz?

— To tylko na jakiś czas — powiedziała Missie wymijająco. — Na krótko. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego, ale wierz mi, że to dla twojego dobra.

Azaylee spojrzała na nią w milczeniu oczyma pełnymi łez, po czym

odwróciła się na pięcie i pobiegła do swojego pokoju. Wieczorem nie zeszła na kolację, więc Missie zaniósła jej tacę z jedzeniem. Dziewczynka leżała na łóżku i na widok Missie odwróciła głowę.

— *Miłoczka*, proszę cię — powiedziała Missie. — Musisz zjeść kolację, bo inaczej obudzisz się głodna w środku nocy.

— Nie jestem głodna — odparła Azaylee obojętnie.

— Ale powinnaś coś zjeść — nalegała Missie. — Jeśli chcesz być tancerką, musisz być silna.

— Nie będę tancerką — mruknęła Azaylee, zakrywając ramieniem oczy.

Missie przez chwilę obserwowała ją niepewnie, po czym postawiła tacę na stole i odezwała się:

— Naprawdę bardzo mi przykro, Azaylee. Wolałabym tego nie robić, ale tak się składa, że muszę. Wiem, że trudno ci to zrozumieć. Proszę cię, zjedz kolację. — Zawahała się z ręką na klamce i dodała: — Może potem zejdiesz na dół? Pani Grant zgodziła się akompaniować Trzem Gracjom, które zrobią dla nas próbę swojego nowego numeru.

W normalnych okolicznościach taka wiadomość zelektryzowałaby Azaylee, teraz jednak dziewczynka odwróciła głowę i nic nie powiedziała.

Kiedy później Missie przysła pocałować ją na dobranoc, jedzenie stało nietknięte, a Azaylee spała. Zatroskana Missie popatrzyła na nią i zabrała tacę z powrotem do kuchni.

Azaylee pojawiła się rano na śniadaniu; była cicha i blada. Wypiła szklankę mleka i apatycznie ruszyła przez trawnik do jadalni w „Rosmont”, gdzie czekała na nią nauczycielka, panna Valerian.

— Cała energia ją opuściła! — wykrzyknęła przerażona Rosa. — Missie, co myśmy najlepszego zrobiły?

Missie z obawą potrząsnęła głową. Azaylee wyglądała tak samo jak jej matka Annuszka w chwilach, gdy zamykała się we własnym świecie, gdzie nikt nie miał do niej dostępu i z którego za każdym razem wracała coraz niechętniej.

W końcu jednak Azaylee roz pogodziła się dzięki lokatorkom, które przyłączały się do jej lekcji i rozśmieszały ją zabawnymi, udawanymi błędami. Millie pożyczyła jej ostatni egzemplarz „Photoplay”, a Trzy Gracje pokazały swoje najnowsze zdjęcia robione na plaży w Santa Monica, z samym Mackiem Sennetem między Ruth i Marie. Lilian i Mary oświadczyły, że nie będą chodzić na lekcje tańca bez Azaylee, więc oczywiście musiała z nimi pójść. Ale Missie nabrała pewności, że sytuacja jest krytyczna. Azaylee była zdolna do gwałtownych zmian nastroju tak samo jak Annuszka.

Kilka tygodni później siedzieli w parę osób na werandzie, gdy Dick Nevern odłożył na bok gazetę, którą czytał, i powiedział:

— Pomyślcie tylko, czternastoletni chłopiec dziedziczy taką forszę. Więcej, niż ja kiedykolwiek zarobię bez względu na to, jaki sukces odniosę jako reżyser.

— Więcej niż Mary Pickford? — zapytała Millie Travers, która wiedziała wszystko o kontraktach gwiazd i ich życiu prywatnym opisywanym przez magazyny filmowe.

• — Milion razy więcej niż Mary Pickford czy Chaplin, czy ktokolwiek inny — odparł Nevern.

— A kto to jest, ten czternastoletni milioner? — zainteresowała się Rosa. — Może się nada dla mojej Hannah?

Nevern podniósł gazetę i przeczytał nagłówek:

SYN NIEMIECKIEGO KRÓLA STALI DZIEDZICZY WSZYSTKO Z POWODU ŚMIERTELNEGO WYPADKU

Baron Eddie Arnhaldt zginął wczoraj w wypadku samochodowym, w którym śmierć poniosła również jego przyjaciółka, hrabina Gretel von Dussman, i para znajomych. Uważa się, że kierowca stracił panowanie nad kierownicą i samochód, nowy sportowy broadman, uderzył w drzewo na wąskiej drodze przy Deauville. Baron i jego przyjaciele zginęli na miejscu. Jego jedyny syn, czternastoletni Augustus Arnhaldt, odziedziczy jedną z największych fortun świata, w tym huty żelaza, stali i zakłady zbrojeniowe w Essen.

Rosa zerwała się z miejsca.

— Przepraszam — powiedziała słabo. — Przypomniało mi się, że mam coś ważnego do zrobienia.

Missie siedziała w kuchni i piła kawę z Beulah.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona rumieńcami i błyszczącymi oczyma Rosy.

— Arnhaldt nie żyje! — zawołała Rosa. — Zginął w wypadku samochodowym. Wszystko jest w gazecie. Och, Missie, Missie! Skończyły się twoje kłopoty!

Rozdział 35

Nowy Jork

Król O'Hara obserwował swój zatłoczony klub z uśmiechem wielkim jak jego cygaro, liczył doświadczonym okiem klientów i oceniał w myśli obrót — oraz zysk. Zresztą wpływy z baru składały się głównie na zysk. Ceny u Króla O'Hary były tak wysokie, że wszyscy uważali jego lokal za najlepszy i walczyli, by się do niego dostać.

Teraz otworzył drugi klub, „Purpurową Orchidę O'Hary” na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, z jeszcze wyższymi cenami i wytworniejszym wnętrzem: chłodna szarość, fiolet i złoto, orkiestra w smokingach, przywiezione w Francji złote wiaderka do szampana, kryształowe kieliszki, co dzień świeże kwiaty z cieplarni oraz kosztowna purpurowa orchidea dla każdej pani i specjalnie farbowane purpurowe goździki do butonierki dla panów. Do klienteli Króla O'Hary należeli wszyscy, którzy mieli wystarczająco dużo forsy, by zapłacić za wejście i drinki, ale „Purpurowa Orchidea” była ekskluzywna. Przychodzili tam bogaci potomkowie rodzin arystokratycznych, gwiazdy towarzystw kawiarzanych i śmietanka świata artystycznego. Nikt nie mógł otrzymać członkostwa „Purpurowej Orchidei” bez osobistej zgody O'Hary. Purpurowy kwiat przypięty do długiego futra pięknej, obwieszanej klejnotami damy stał się najszykowniejszym rekwizytem w mieście.

Nabijany złotymi gwoździami parkiet w „Purpurowej Orchidei” oraz czarna szklana podłoga „U Króla O'Hary” co noc pełne były tancerzy, i pomimo ogromnego haraczu dla policji, niezbędnego, by uniknąć najazdu, O'Hara zarabiał krocie — więcej niż bracia Oriconne, którzy pomogli mu zacząć. Ale braciom nie podobało się, że były pracownik pakuje się na ich terytorium. Mieli mu za złe zamawianie alkoholu u innego dostawcy, tym bardziej że dzięki ich kontaktom uzyskał niższe ceny, niż oni sami mu proponowali. Jego kluby

stanowiły konkurencję dla ich lokali na Manhattanie, w Filadelfii, Pittsburgu i Chicago.

Giorgio i Rico Oriconne zaprosili więc O'Hare na miłe rodzinne spotkanie w rezydencji Rica w New Jersey. Było to przyjęcie z okazji szesnastych urodzin córki Rica. O'Hara poszedł do TilTany'ego i wybrał wąski złoty łańcuszek z osadzonymi na przemian szesnastoma wspinałymi perłami i koralami morskimi. Jego prezent zachwycił Graziellę Oriconne.

— Nie sądziłem, że masz taki dobry gust, O'Hara — zauważył Rico, uśmiechając się na widok radości swojej ślicznej ciemnowłosej córki. — Ale muszę przyznać, że kiedy przybrałaś imię „Król”, kupiłaś sobie równocześnie pewną klasę.

— No właśnie... chodzi wam o „U Króla”, prawda? — O'Hara spojrział na Rica przez dym swojego cygara. — Nic na tym nie tracicie, że prowadzę ten klub. A „Purpurowa Orchidea” to tylko kolejny lokal wśród stu innych.

— Szesnastcie z tych innych należy do rodziny Oriconne — powiedział Giorgio łagodnie.

O'Hara obserwował go, czekając, co będzie dalej. Rica nietrudno było rozszyfrować: ciemne włosy, sympatyczne oczy, niski i gruby — naprawdę miły, spokojny mężczyzna. Dzisiejsze przyjęcie też dobrze o nim świadczyło. Dom pełen był rodziny i przyjaciół, młodych ludzi i dzieciaków — O'Hara dostrzegł nawet niemowlęta — biegających po ozłoconych słońcem trawnikach i pijących lemoniadę w cieniu drzew. W domu Rica Oriconne nigdy nie podawano alkoholu.

Giorgio natomiast stanowił pewną niewiadomą. Średniego wzrostu, z figury przypominający wrzeciono, miał przyлизane czarne włosy i cienkie wąsiki. Bystre ciemne oczy nie przegapiały niczego, wszystkim wiadomo było, że Giorgio zapamięta każdy szczegół — i że nigdy nie zapomni.

Starszy Oriconne zawsze robił na O'Harze wrażenie człowieka, który czeka, żeby coś zaczęło się dziać. Nigdy nie siedział spokojnie, zawsze przestępował z nogi na nogę albo palił jednego papierosa za drugim. Podobno w życiu Giorgia nie było żadnej kobiety od śmierci jego żony, która, jak mówiono, wypadła za burtę płynąc statkiem do Włoch.

Oczywiście brano pod uwagę samobójstwo. Ale czemu miałyby ze sobą kończyć? Czyż nie posiadała wszystkiego, czego kobieta może chcieć? Pieniądze, biżuterię, futra, domy. I wiernego męża. Nikt nigdy nie złapał Giorgia z inną, więc zakładano, że jest wierny. Podobno jej tragedią życiową był brak dzieci. Włoszka bez potomstwa to niemal

hańba dla męża — wszyscy wiedzieli, że Giorgio zazdrości bratu udanego życia rodzinnego z szóstką dzieci. O'Hara wołał go nie drażnić.

— Czemu nam to robisz, O'Hara? — odezwał się Giorgio cichym, chrapliwym głosem. — Byliśmy dla ciebie dobrzy, traktowaliśmy cię jak członka rodziny. A ty próbujesz teraz zabrać nam nasz interes.

Irlandczyk pociągnął cygaro i zakrzuszył się dymem.

— Przecież starczy dla każdego z nas, Giorgio — powiedział z nerwowym uśmiechem. — Wszyscy chcą chodzić do nocnych klubów — waszych, moich, co za różnica?

— Pieniądze — odparł Giorgio cicho. — Dużo pieniędzy.

— Przedyskutowaliśmy z bratem tę sytuację, O'Hara — włączył się nagle Rico. Postanowiliśmy, że w przyszłości będziesz kupował alkohol tylko od nas. Damy ci rozsądną cenę, jako staremu przyjacielowi. Znasz nasz system, wiesz, jak działamy. Nasi ludzie skontaktują się z tobą w poniedziałek w sprawie pierwszego zamówienia.

— A przy okazji — dodał Giorgio głosem tak ochrypłym od papierosów, że niemal przechodzącym w zgrzyt — dostaniemy premię. Dwadzieścia pięć procent. Uznaliśmy, że przynajmniej tyle jesteś nam winien.

O'Hara uniósł brwi do góry. Giorgio mówił o sporej forsie: dwadzieścia pięć procent narzutu przy zamówieniach oznaczało dwadzieścia pięć procent mniej w jego kieszeni i dwadzieścia pięć procent mniej zysku z jego udziałów u braci Oriconne.

— Przemysłu to — powiedział zgniatając cygaro.

Rico uniósł w górę palec, wzywając służącego w białej marynarce. Wskazał niedopałek i tamten natychmiast go sprzątnął.

— Nie myśl za długo, O'Hara — powiedział biorąc Irlandczyka za łokieć. — A teraz może dołączymy do gości? Czas, żeby Graziella pokroiła tort.

Człowiek braci Oriconne pojawił się w najbliższy poniedziałek i O'Hara złożył zamówienie, ale tylko na połowę potrzebnego mu towaru. Resztę kupił potajemnie od kilkunastu drobnych dostawców, którzy z zadowoleniem handlowali z nim na przystępnych warunkach. Udało mu się w ten sposób zmniejszyć dwadzieścia pięć procent braci do dwunastu i pół. Chociaż uderzyło go to po kieszeni, i tak uznał, że jest to niewielka cena za zamknięcie im ust. Dostawy braci przyjeżdżały regularnie jak w zegarku w każdą środę o czwartej rano, po czym cicho i szybko przrzucano towar do jego piwnic. Bracia Oriconne zawsze działali sprawnie.

Wszystko to zdarzyło się sześć miesięcy temu, teraz zaś O'Hara myślał o otwarciu nowego klubu w Chicago. Słyszał o świetnym

lokalu w południowej części miasta, wystarczająco dużym, by zmieścić tłum ludzi, i zarazem wystarczająco małym, by utrzymać ekskluzywny charakter klubu. Nauczył się już, że wielkie liczby nie mają znaczenia, ponieważ ustalając najwyższe ceny można mieć ten sam zysk przy połowie obrotu.

Interes budowlany w Smallwood Hills w New Jersey rozwijał się znacznie wolniej. Z jakiegoś powodu O'Hara nie mógł uzyskać potrzebnych zezwoleń, wiedział jednak, że to tylko kwestia czasu i znalezienia właściwej osoby, której należało dać łapówkę. Mógł poczekać.

Jedynym przykrym wydarzeniem w jego życiu była ucieczka Missie z niemieckim baronem. Wciąż o niej śnił w nocy — a raczej w dzień, bo całe jego życie było teraz przewrócone do góry nogami. Mieszkał w eleganckim apartamencie na najwyższym piętrze nowego hotelu „Sherry Netherland”, wstawał o szóstej wieczorem, brał prysznic, golił się, jadł na śniadanie wołowinę z puszką i wypijał pięć kubków kawy. Potem zdarzało mu się wpadać na Broadway na najnowszą rewie, zawsze w towarzystwie jakiejś ślicznotki — najczęściej jednej z panienek z wyższych sfer, które uwielbiały jego irlandzki wdzięk i urodę oraz nowo zdobytą sławę „króla” w łóżku. Żadna jednak nie dorównywała Missie. Missie miała większą klasę niż najbogatsze i najszykowniejsze kobiety z towarzystwa. Była prawdziwą damą i O'Hara nadal ją kochał, choć w snach przeklinał.

Po przedstawieniu szedł na kolację do jakiejś eleganckiej restauracji, a potem do klubu, gdzie naprawdę czuł się jak pan i władca. Gdy wchodził do swojego małego królestwa, wszystkie głowy odwracały się w jego kierunku. Cieszył się, gdy różne sławy rywalizowały o jego spojrzenie, uśmiech czy dwa słowa; lubił wybierać towarzystwo, które danej nocy zaszczyli swoją obecnością i rozbawi dowcipami. W sumie był szczęśliwym człowiekiem. A raczej byłby, gdyby nie Missie.

Nie należał do ludzi, którzy spędzają dużo czasu na czytaniu prasy, więc dopiero w kilka miesięcy po śmierci Arnhalda zobaczył tytuł w gazecie, z której jego pomocnik odwinął butelkę rumu kupionego świeżo w gorzelnii na Bermudach.

Dwukrotnie przeczytał artykuł, ale była w nim tylko krótka wzmianka o małżeństwie Arnhalda z piękną od Ziegfelda i stwierdzenie, że jego syn dziedziczy cały majątek. Zastanawiał się, w jakiej sytuacji znalazła się Missie. Znów sama i bez grosza? Gniew zawrzał mu w sercu, kiedy przypomniał sobie ból i udrękę spowodowaną jej wyjazdem, wiedział jednak, że i tak zrobiłby dla niej wszystko. Chyba po prostu jest frajerem. Zakochanym frajerem.

Zespół prywatnych detektywów potrzebował równo tygodnia, by odkryć, że młoda baronowa Arnholdt uciekła w kilka miesięcy po ślubie i nikt nie wiedział, gdzie jest. Jej mąż wydał majątek na bezowocne poszukiwania sięgające aż Ameryki Południowej. Ustalono też, że Eddie Arnholdt żył otwarcie z hrabiną Gretel von Dussman, jeszcze zanim Missie go opuściła, i że nie zostawił młodej żonie ani feniga.

— Znajdźcie ją. Cena nie gra roli — powiedział O'Hara detektywom, zapewne tak samo jak wcześniej Eddie.

— Niech pan nam da chociaż jakąś wskazówkę — prosili. — Jeśli nie znalazł jej Arnholdt, który miał tyle pieniędzy, to jak my mamy to zrobić?

— Ziegfeld — powiedział O'Hara. — Madame Elise, Rivington Street. — Pomyślał przez chwilę i dodał: — Rosa Perelman i Zev Abramski.

Od Ziegfelda i Madame Elise nie dowiedzieli się niczego, szybko jednak ustalili, że Rosa Perelman i Zev Abramski wyjechali do Hollywood. Trzeba było następnego miesiąca ciężkiej pracy, by stwierdzić, że w Hollywood nikt nigdy nie słyszał o Zevie Abramskim, ale Rosa Perelman prowadzi pensjonat na Fountain Avenue.

O'Hara natychmiast wsadził na głowę kapelusz, złapał pociąg do Chicago, gdzie podpisał umowę najmu lokalu na nowy klub, po czym następnego popołudnia wyruszył sypialnym do Los Angeles.

Okazało się, że jego sława dotarła nawet tam. Pani Margaret Anderson, szefowa hotelu „Beverly Hills”, osobiście go powitała i zaprowadziła do najlepszego, różowego bungalowu przycupniętego między bujnymi trawnikami i klombami pełnymi kwiatów. O'Hara wziął prysznic, przebrał się, zczesał na tyłu mokre, rude loczki, wynajął samochód z szoferem i ruszył na poszukiwanie Rosy.

Podczas jazdy spoglądał na drogi prowadzące w głąb płaskich pól i gajów cytrusowych, na palmy, zarośnięte wzgórza i nagie, groźne góry na horyzoncie. Zauważył ładne hiszpańskie domki, nieliczne sklepy i brak jakichkolwiek oznak życia. To miejsce zdecydowanie było nie dla niego.

— Rany boskie — rzucił do szofera. — Przecież tu można oszaleć. Co robicie wieczorami, żeby się zabawić?

— Większość ludzi pracuje w filmie — odparł kierowca. — Wstają rano i chodzą spać z kurami. Ich jedynym zajęciem jest praca... jeśli ją mają. Reszta przesiaduje w agencjach i żyje nadzieją.

Nie jest to miasto na nocny klub, pomyślał O'Hara. A może? Może wszyscy chodzą wcześniej spać, bo nie mają wyboru?

— Już Fountain, proszę pana. — Skręcili w cichą ulicę z drzewami po obu stronach. — „Rosemont” jest mniej więcej pośrodku.

Zatrzymali się przed trzypiętrowym białym domem. Okna otwarte były na przestrzał, lekki wietrzyk poruszał czystymi bawełnianymi zasłonami, szyby lśniły, a na werandzie siedziały dwie blondynki przeglądające jakieś magazyny. Obok nich leżał wyciągnięty w cieniu Wiktor. O’Harze mało serce nie pękło z ulgi i radości — jeśli jest pies, musi być też Azalee. T M i s s i e.

Wysoki, wyglądający na aktora mężczyzna wynurzył się z holu i obejrzał O’Harę, który wysiadł z samochodu i szedł wąską ścieżką.

— Przykro mi, stary — powiedział z suchym brytyjskim akcentem — na furtce jest wywieszka *Brak miejsc*. Ale mając taki samochód i szofera, mógłby pan ulokować się w lepszym miejscu niż „Rosemont”.

— A czego brakuje temu pensjonatowi? — zapytał O’Hara wojowniczo. — Skoro jest dobry dla Rosy Perelman, to jest dobry dla każdego.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Chodziło mi o to, że pan nie wygląda na „każdego”. Innymi słowy, sprawia pan wrażenie człowieka o dochodowej profesji.

— To się zgadza — powiedział O’Hara. — A poza tym jestem dawnym przyjacielem właścicielki tego pensjonatu. Zwał mnie Król O’Hara. — Wyciągnął wielką łapę i entuzjastycznie potrząsnął dłonią mężczyzny.

— Marshall Makepiece — odparł tamten, rezygnując z brytyjskiego akcentu i przechodząc na zwykły amerykański angielski.

— Naprawdę jest pan Królem O’Hara? — zawołały równocześnie blondynki z werandy.

W ich głosach zabrzmiał odpowiedni podziw i O’Hara uśmiechnął się z dumą.

— Nie ma wątpliwości. Jestem zachwycony, mogąc poznać dwie tak piękne panienki. Proszę mi wybaczyć, ale czy nie powinny panie grać w filmie? Przy waszych niewinnych oczętach Mary Pickford wyglądałyby jak barmanka.

Dziewczęta zarumieniły się, a Makepiece wybuchnął śmiechem.

— Lilian i Mary to przyszłe gwiazdy. Reszta z nas ma jedynie nadzieję.

O’Hara skinął głową.

— A szanowna właścicielka? Gdzie może być?

— Ktoś o mnie pytał? — Rosa pojawiła się nagle w drzwiach, wycierając ręce w ścierkę do naczyń. — Patrzcie państwo! — Rosie

zaparło dech w piersiach, a oczy o mało nie wyskoczyły jej z głowy. — Toż to Shamus O'Hara z Delancey Street!

— Jak się cieszę, że cię widzę! — zawołał radośnie. — Wydałem na ciebie niezły majątek. Rosa, tak się schowałeś w tym Hollywood. Kilku detektywów szukało cię przez cały miesiąc.

Obrzuciła bystrym spojrzeniem jego promienną twarz i powiedziała:

— Ale chyba nie mnie tak szukasz, co, O'Hara?

Wytarł czoło nieskazitelnie białą chusteczką.

— Przyznaję, że chodzi mi o Missie — powiedział niespokojnie. — Mam nadzieję, że jest z tobą, a nie z Zevem Abramskim.

Wzruszyła ramionami.

— Nikt nie wie, co się stało z tym tajemniczym człowiekiem. Sprzedał interes i wyjechał do Hollywood nie zostawiając żadnego adresu. To małe miasto, chyba bym o nim usłyszała, gdyby odniósł sukces. — Obejrzała O'Harę od góry do dołu, podczas gdy bliźniaczki i Marshall przyglądali się im z zainteresowaniem. — Za to ty wyglądasz, jakbyś doszedł do majątku — zauważyła, oceniając jego wytworny garnitur, brązowo-białe buty, niebieską koszulę z jedwabiu i granatowy krawat w paski. — Co się stało z szelkami i starym krawatem, którym przytrzymywałeś spodnie?

— Stać mnie teraz na coś lepszego — odparł O'Hara machając rękami. — Będiesz mnie tak zwodzić. Rosa? — zawołał niecierpliwie. — Przyjechałem tu w określonym celu, muszę znaleźć Missie.

— Wejź do środka i usiądź — powiedziała Rosa odwracając się. — Pójdę po nią.

O'Harze waliło serce. Rosa pójdzie po Missie! Nagle zaczął się zastanawiać, czy Missie się zmieniła — w końcu była mężatką, teraz jest wdową... przywykła do bogactwa, służby, miała wszystko, co chciała... Siedział wpatrując się we własne ręce i czekał.

— O'Hara?

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy, te same niewinne fiołkowe oczy, które wieki temu zawładnęły jego sercem.

— Nie do wiary — powiedziała podchodząc do niego z uśmiechem.

Kiedy przycisnęła ją do piersi i poczuł bicie jej serca tuż obok swojego, zrozumiał, że niepotrzebnie się martwił. Missie się nie zmieniła. Nigdy się nie zmieni. Zawsze będzie dziewczyną, którą pokochał.

Rozdział 36

Wytwórnia filmowa „Magic Movie” znajdowała się na północ od bulwaru Hollywood, przy zwirowej drodze odchodzącej od Cahuen-ga Avenue. Choć należała do mniejszych i nowszych budowli w mieście, świeżo odnowione pracownie oraz biura w stylu hiszpańskim robiły wrażenie solidnych i widać było, że nie jest to żadne tymczasowe przedsięwzięcie. Dzięki nowoczesnym reflektorom dwa wielkie studia przypominające stodoły pracowały pełną parą dzień i noc, a trzecie było w budowie. Na terenie za budynkami zbudowano dwie dekoracje — ulice dużego miasta i miasteczka na prerii. „Magic” miała trzy gwiazdy i dwóch gwiazdorów. Byli to: seksowna Mae French, drobniutka, dziewczęca Dawn Chaney, miłutka kędzierzawa Mitzi Harmony, wykształcony, romantyczny Anglik Ralf Lance oraz Tom Jacks, nieokrzesany amerykański kowboj.

Filmy wytwórni obracały się wokół jej pięciu gwiazd, inni aktorzy byli dobierani z agencji w zależności od potrzeb. Produkowano głównie krótkie komedie i melodramaty, teraz jednak montowano nową scenę do pierwszego dzieła epickiego. „Magie” zamierzała stanąć w szranki z wytwórnią Griffitha nowym filmem zatytułowanym „Szeherazada”, z udziałem wszystkich gwiazd i tysięcy statystów. Budowano dekoracje, projektowano kostiumy, plan zdjęć milion razy zatwierdzano, zmieniano i znów zatwierdzano. Niespodziewanie odszedł reżyser.

C.Z. Abrams — właściciel i szef wytwórni — siedział w skórzanym obrotowym fotelu i patrzył zimno na swój zespół.

— A więc, panowie — powiedział niskim, cichym głosem, od którego wszyscy sztywnieli na brzegach krzeseł — który z was wiedział, że Arnott zdradzi nas dla „Vitagrafu”?

Czterej mężczyźni przekładali papiery z ręki do ręki i wpatrywali się we własne buty.

— To było tak — odezwał się w końcu asystent reżysera. — Arnott nie czuł tego filmu i... prawda jest taka, że „Vitagraf” dał mu pięć tysięcy tygodniowo. Nie można mieć mu za złe, że przyjął taką ofertę.

— Mogę mieć mu za złe, że nie porozmawiał ze mną na ten temat — rzekł Abrams. Popatrzył na czterech młodych mężczyzn: asystent reżysera, szef produkcji i jego asystent oraz operator. Wszyscy niezbędni dla nowego, gigantycznego przedsięwzięcia. — Czy mam wobec tego rozumieć, że panowie zgadzacie się z decyzją Arnotta?

Popatrzyli po sobie, po czym drugi reżyser zabrał głos:

— No wie pan, chyba w takiej sytuacji wszyscy zrobilibyśmy to samo. Szczerze mówiąc, moglibyśmy zarabiać więcej przy tylu godzinach pracy.

Abrams skinął głową, odsunął fotel i wstał.

— Proponuję więc, żebyście wzięli przykład z Arnotta i przeszli do „Vitagrafu”. Może wam też zapłacać pięć tysięcy tygodniowo. Panowie, jesteście wszyscy zwolnieni.

Czerwony na twarzy szef produkcji zerwał się na równe nogi i wyjąkał:

— Ale panie Abrams, przecież my tylko stwierdziliśmy, że to rozumiacie...

Abrams spojrzał na niego zimno.

— Nie dla mnie — odparł. — Pieniądze zawsze można zarobić, ale na lojalność i uczciwość nie ma ceny. — Nacisnął brzęczyk interkomu i polecił sekretarce dopilnować, żeby zwolnieni dostali pensje i natychmiast opuścili teren wytwórni.

Odprowadził wzrokiem wychodzących z sekretarką mężczyzn. Pracował z nimi przez ponad rok. W pewnym sensie było mu ich żal, ale już kilka tygodni temu doszły go słuchy o niezadowoleniu i grożących mu kłopotach. Żałował, że nie zareagował szybciej. Niezadowolenie rozprzestrzeniło się jak gangrena i jedynym sposobem leczenia była szybka amputacja. Przesunięcie terminu rozpoczęcia zdjęć do „Szeherazydy” będzie go kosztowało tysiące dolarów więcej niż ewentualna podwyżka dla zespołu, ale nie mógł znieść nielojalności. Nie oczekiwał od swoich pracowników, że będą go kochali, żądał jednak uczciwości. Postępował z nimi sprawiedliwie, traktował jak rodzinę, dbał o każdego, nawet najmniej ważnego statystę, płacąc mu od ręki i wcale nie najgorzej. Gwiazdom regularnie wysyłał kwiaty i dawał prezenty, takie jak nowy czerwony packard ze sportowym,

niskim zawieszeniem dla Mae, długi do ziemi gronostajowy płaszcz dla ślicznej Dawn czy największy w Kalifornii basen wykładany niebieskimi kafelkami dla Mitzi. Płacił też trenerowi koni Toma i regulował rachunki Ralfa za garnitury szyte na miarę w Londynie lub ręcznie robione buty. W zamian — oprócz dobrych, kasowych filmów — wymagał tylko od nich, by nie dyskutowali publicznie o swoim życiu osobistym i trzymali się z dala od prasy — nie licząc oczywiście starannie przygotowanych materiałów w „Picture Play”, „Photoplay” i „Motion Picture Classics”. Przy rzadkich okazjach, kiedy spotykał się ze swoimi gwiazdami na gruncie towarzyskim, na przyjęciu w jednym z ich luksusowych domów lub na oficjalnej kolacji w jego własnej rezydencji przy ulicy Lexington w Beverly Hills, był zawsze opanowany, czarujący, grzeczny i pełen rezerwy.

Miał wielkie biuro z fotosami gwiazd na ścianach i pięćdziesiąt akrów ziemi w Cahuendze, gdzie stały imponujące studia, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt. W jego trzydziestopokojowej rezydencji w Beverly Hills wisiały wspaniałe obrazy, w gustownie urządzonych wnętrzach leżały piękne dywany i stały pachnące kwiaty, wysokie cedry rzucały cień na zadbane trawniki. Miał ochmistrzynię i służących, szofera i sześć samochodów oraz ogromne konto w banku. I pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby nie dać się samotności.

Niemal cieszył się, że ma teraz przed sobą problem do rozwiązania. Niełatwo będzie znaleźć nowego reżysera „Szeherazydy”; najlepsi byli już zatrudnieni w innych wytwórniach.

Zadzwęczał brzęczyk interkomu. Abrams nacisnął guzik i sekretarka powiedziała:

— Panna Lilian i panna Mary Grant wraz z matką.

Westchnął. „Aktorskie mamusie” stanowiły odwieczny problem. Abrams zawsze przed rozpoczęciem produkcji osobiście oglądał wszystkich kandydatów i do niego należała ostateczna decyzja. Bliźniaczki Grant doszły do ostatniego etapu eliminacji do roli dwóch tancerek — role niewielkie, ale zauważalne. Przynajmniej takie były w ostatniej wersji scenariusza. Teraz będzie trzeba im powiedzieć, że film został odłożony na czas nieokreślony, aż znajdzie się nowy reżyser.

Wstał, kiedy wchodziły, uściśnął im dłonie na powitanie, wskazał krzesła i wrócił za biurko. Splótł ręce z poważną miną.

Winona Grant obrzuciła go taksującym spojrzeniem, kiedy on przyglądał się dziewczętom. Słyszała o C.Z. Abramsie, że był odludkiem i że przejął zrujnowane studia Schroedera, które w ciągu dwóch lat zmienił w wytwórnię liczącą się na rynku filmowym. Mówiono, że zarobił krocie na tanich komediach i serialach, które pasowały do

repertuaru niemal wszystkich kin w kraju. „Magic” nie zawdzięczała swej pozycji wielkim produkcjom, miała już jednak na koncie takie przeboje jak „Ponure przeznaczenie”, wieloodcinkowy serial „Przygody Mitzi” czy spektakularne sagi westernowe Toma Jacksa. Mówiono, że C.Z. ma zamiar wydać sporą część swego szybko zdobytego majątku na nowy ambitny film fabularny, lecz po klapie, jaką zrobiła „Nietolerancja” Griffitha, w agencjach szeptano, że Abrams powinien się dobrze zastanowić.

Ale Winony Grant nie obchodziło, jakie ryzyko podejmuje C.Z. Interesowały ją tylko role dla córek.

— Lilian i Mary opanowały do perfekcji wszystkie formy tańca, panie Abrams — powiedziała z wylewnym uśmiechem. — Balet, stepowanie, taniec towarzyski...

— Jestem o tym przekonany, droga pani — odparł, przenosząc na nią chłodne spojrzenie — i niech mi będzie wolno pogratulować im urody. Niestety mamy pewne kłopoty. Chwilowo jesteśmy bez reżysera. Realizacja filmu została odłożona na czas nieokreślony.

Dziewczęta zrobiły smutne miny i spojrzały błagalnie na matkę.

— Ale przecież... — Winona zająknęła się, zaskoczona nowiną. — To znaczy... mam nadzieję, że jeśli film wejdzie w grafik, moje dziewczęta nadal będą kandydatkami do tych ról.

— Dostaną je, jeśli realizacja „Szeherazady” dojdzie do skutku. — Rzadki uśmiech rozjaśnił twarz Abramsa. — Przykro mi — zwrócił się do bliźniaczek. — Wiem, ile to dla was znaczyło. Każę sekretarce zatrzymać w katalogu wasze nazwiska i zdjęcia. Dziękuję, że przyszście.

Spoglądały na niego oszołomione, kiedy odprowadzał je do drzwi.

— Dziękujemy, panie Abrams — powiedziały jednocześnie. Nie wiedziały, czy mają być zawiedzione z powodu filmu, czy zachwycone uwagą, jaką poświęcił im C.Z.

— No i patrzcie — parsknęła ze złością Winona, gdy szły przez teren wytwórni w stronę bramy ze strażnikiem. — Zrobiliśmy taki kawał drogi tylko po to, by się dowiedzieć, że wyrzucił reżysera.

— Ale obiecał, że będzie o nas pamiętał, mamó — odparła Lilian z błyszczącymi oczyma. — Wiem, że taki mężczyzna nie rzuca słów na wiatr.

— Ma w sobie coś — powiedziała Mary. — Jest taki chłodny, opanowany, człowiek z lodu... dopóki się nie uśmiechnie. Wtedy cały się rozpromienia. I jest taki przystojny — dodała marząco. — Czuje się, że ma władzę.

— Wystarczająco dużo, by zwolnić każdego z pracy, kiedy ma na

to ochotę — odparła ich matka sucho, gdy czekały na autobus do „Rosemont”

Tego wieczoru przy stole w „Rosemont” omówiono dokładnie C.Z., wytwórnię „Magic” oraz zawieszenie produkcji „Szeherezady” Missie poszła z O’Harą na kolację do hotelu „Beverly Hills” i straciła opowiadanie o tym, jak bliźniaczki niemal dostały role, natomiast Dick Nevern przysłuchiwał się uważnie, choć sam nie mówił za dużo.

Następnego ranka zerwał się wcześniej, zjadł dwie porcje jajek na szyńce, talerz odsmażanych ziemniaków i cztery babeczki, po czym wyruszył do wytwórni.

Umundurowany strażnik przy bramie zsunął czapkę do tyłu i przyjrzał mu się bez sympatii. Co dzień widział setki takich gości.

— Coś ty za jeden? Komik? — zapytał ironicznie, kiedy Dick oświadczył, że chce się widzieć z panem Abramsem. — C.Z. nigdy nie przyjmuje osób, z którymi nie jest umówiony. Zwłaszcza takich jak ty. — Usiadł i z lekceważącym uśmiechem założył ręce.

Dick zawahał się przez chwilę, po czym sięgnął do kieszeni, wyciągnął drogocenny banknot pięciodolarowy i rzekł:

— Proszę mu powiedzieć, że przyszedł Dick Nevern, genialny operator i reżyser.

Z zalem patrzył, jak pieniądze znikają w kieszeni strażnika, kiedy tamten powtarzał przez telefon jego słowa sekretarce Abramsa. Potem odwrócił się do Dicka.

— Powiedziała, że C.Z. jest zajęty przez cały dzień, ale może pan zaczekać. Trzecie wejście po lewej, wielkie biuro na samym końcu — zawołał za podnieconym młodym człowiekiem, który pobiegł ku swojej przyszłości.

Po drodze Dick zatrzymał się, żeby popatrzeć na scenę z westernu filmowaną na ulicy miasteczka. Przez chwilę uważnie obserwował kamerzystę i słuchał instrukcji reżysera. Potem wślizgnął się do wielkiej zielonej stodoły. Kiedy jego wzrok przyzwyczył się do ciemności, zobaczył plan przedstawiający wytworny salon — miał wrażenie, że znalazł się na Manhattanie w prawdziwym apartamencie, do którego przez wysokie okna wpadało światło, a w tle majaczyła słynna perspektywa miasta. Na obitej brokatem sofie siedziała zachwycająca Mae French w drugiej satynowej sukni. Przygrywał jej ukryty z tyłu kwartet smyczkowy, by mogła wprowadzić się w nastrój odpowiedni do romantycznej sceny z Ralfem Lance.

— Przepych — odezwał się obok Dicka cichy głos. — Oto, co ludzie lubią oglądać. Pragną zapomnieć o ciemnych norach, w których żyją, i za dziesięć centów uciec w świat czarów. Kobiety chcą podziwiać

wspaniałe stroje i wyobrazić sobie, że jedzą kolację z mężczyzną takim jak Ralf. Pragną śmiać się i płakać...

— Chcą rozrywki — dokończył rzeczowo Dick i zerknął na stojącego obok mężczyznę. — Rany, jak on ją oświetla, całe światło z przodu? Powinien przestawić lampy za nią, żeby miała na twarzy trochę cieni... Rany... — Przestąpił niespokojnie z nogi na nogę, zły, że nie może tego zrobić po swojemu.

— Co pan myśli o dekoracjach?

— Niezłe. Chociaż trochę za dużo okien. Widać, że to nowojorski apartament na ostatnim piętrze, ale byłby jeszcze wytworniejszy, jakby dodać obrazy, zasłony. Żeby miał w sobie więcej... więcej treści. O rany! — Ponownie spojrzął na mężczyznę. — Pan to projektował? Przepraszam.

Mężczyzna roześmiał się.

— Proszę mówić dalej.

— No... na przykład uważam, że on powinien podchodzić do niej od tyłu, tak jakoś objąć ją ramionami zza sofy. Teraz ledwie widać jej twarz, a ona przecież jest tu najładniejsza i publiczność właśnie ją chce widzieć.

— Na pewno ma pan rację. Idę na plan „Przygód”. Może wybierze się pan ze mną?

— Jasne. Nazywam się Dick Nevern. — Entuzjastycznie potrząsnął dłońią mężczyzny.

Wyszli z zielonej stodoły i skierowali się w stronę sąsiedniego planu. Mitzi filmowana była na zewnątrz — siedziała na odwróconym do góry dnem wiadrze, ubrana w pasiastą sukienkę z falbankami, czarne pończochy i czarne buciki na guziczki. Ktoś trzymał nad nią parasol, żeby na słońcu nie rozpuścił się jej makijaż.

Parę minut przyglądali się temu, Dick trochę komentował, mężczyzna zadawał pytania. Potem poszli zobaczyć, jak kręcono różne krótkometrażówki.

— Wiem, że zrobiłbym to lepiej — mruknął Dick z przejęciem, kiedy skończyli obchód. — Jestem o tym przekonany.

— Chciałbym panu coś jeszcze pokazać — powiedział mężczyzna — ale mam spotkanie. Proszę, niech pan weźmie ten klucz i pójdzie się rozejrzeć po dużym magazynie na końcu wytwórni. Trochę tam daleko, myślę jednak, że to pana zainteresuje.

Dick się zawahał.

— Hmm, ja też mam coś w rodzaju spotkania... — Potem jednak przypomniał sobie, że C.Z. ma być cały dzień zajęty i uznał, że pół godziny nie zrobi mu różnicy. Poza tym był ciekawy. — Dobra, jasne,

czemu nie, jeśli mogę. Wie pan, nie chciałybym, żeby złapano mnie tam, gdzie nie powinienem wchodzić.

Mężczyzna kiwnął głową.

— Jak pan skończy, proszę zostawić klucz sekretarce pana Abramsa — powiedział i odszedł.

Hangar wypełniały ogromne, monolityczne dekoracje, posagi i malowane tła do „Szeherazady” — wszystko złote, purpurowe i bogato zdobione. Dick uznał, że to właśnie miał na myśli tamten, mówiąc o umożliwianiu ludziom ucieczki od ubogiej codzienności. Dzięki magii filmu mogli za dziesięć centów przenieść się na tajemniczy Wschód. A raczej mogliby, gdyby nie odwołano zdjęć.

Zamknawszy z zalem drzwi za sobą, poszedł do biura Abramsa' i wręczył sekretarce klucz.

— Pan pewnie jest Dick Nevern — stwierdziła. — C.Z. powiedział, że skoro z pana taki wielki geniusz, to powinien zaprosić pana na próbne zdjęcia. Ma pan się tu zjawić jutro rano o szóstej trzydzieści.

Dick wydał okrzyk radości, złapał dłoń sekretarki, ucałował ją i zapytał:

— Ale kiedy zobaczę się z samym mistrzem?

— Już go pan widział — odparła. — To właśnie on oprowadził pana po wytwórni.

Przy kolacji Dick opowiedział wszystkim mieszkańcom „Rosemont”, co mu się przydarzyło, i z rezerwą przyjął ich gratulacje.

— To tylko próba — zastrzegł się.

Po bezsennej nocy stawiał się w wytwórni o szóstej. Tym razem strażnik się nie wymądrzał, tylko grzecznie poinformował Dicka, że ma iść do studia B.

Mitzi Harmony już tam była, właśnie ją charakteryzowano, a dokoła kręciło się kilkudziesięciu statystów jedzących kanapki. SzeF produkcji uściśnął mu dłoń.

— C.Z. powiedział, że dziś pan reżyseruje i wszyscy mamy pana słuchać.

Dick przełknął ślinę. Żadnych głupstw, oto stanął właśnie przed swoją wielką szansą. Pierwszy dzień na planie, a już pracuje z gwiazdą. Lepiej, żeby tego nie spieprzył. Szybko przejrzał scenopis, wprowadził kilka poprawek, po czym omówił ujęcia z operatorem i zaczął instruować Mitzi.

Kiwnęła z aprobatą głową, kiedy tłumaczył, o co mu chodzi. Mimo młodego wieku Mitzi była już prawdziwą profesjonalistką,

pracowała w branży od sześciu lat. Pochodziła z rodziny artystów wodewilowych, doskonale wiedziała, jak skonstruować gag i zrozumiała, że Dick też to wie.

— Możemy zacząć — powiedziała wychodząc na słońce.

Skończyli o siódmej wieczorem. Choć dzień był długi i wyczerpujący, Dick nie czuł się ani odrobinę zmęczony i wręcz z niechęcią wychodził. Kiedy usłyszał, że ma przyjść na kolejny test, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wezwano go następnego dnia, i jeszcze następnego — w sumie pracował sześć dni nad różnymi filmami lub fragmentami filmów i cieszył się każdą minutą. Pod koniec tygodnia zapłacili mu sto dolarów i powiedzieli, że się odezwą.

Minęły dwa dni, potem trzy, potem tydzień... Dick zrozumiał, że wszystko sknocił i C.Z. przestał się nim interesować. W niedzielę wieczorem Beulah zawołała go do telefonu.

— Jakiś pan do ciebie, przedstawił się jako C.Z. Abrams. — Wręczyła mu telefon.

— Abrams! — Dick przycisnął słuchawkę do ucha. — Słucham pana — powiedział załamującym się ze zdenerwowania głosem.

— Oglądałem w domu pana filmy — odezwał się Abrams — i chciałem z panem omówić pewną sprawę. Proszę przyjść do biura jutro o dziewiątej.

— O dziewiątej! Tak jest, będę! — wrzasnął, ale C.Z. już się rozłączył.

Od gabinetu wiało chłodem, białe ściany były nagie, na olbrzymim, solidnym biurku panował idealny porządek. C.Z. Abrams, gładko ogolony, w szarym garniturze i jasnoniebieskiej koszuli, wyglądał na człowieka wypoczętego i potężnego. Oparł się o biurko i splótł dłonie.

— Chcę zawrzeć z panem umowę — powiedział. — Jestem człowiekiem, który kieruje się instynktem, wewnętrzną reakcją na okoliczności i ludzi. Może pan słyszał, że zwalniam pracowników, którym nie ufam. A teraz instynkt mi mówi, że panu mogę zaufać. Podoba mi się to, co pan zrobił w zeszłym tygodniu. Wszystkie ujęcia były dobre, niektóre znakomite. Proponuję panu reżyserię „Szeherazady”.

— Rany — wymamrotał Dick. Zdjął okulary i wytarł je energicznie. — Ale to przecież ma być jeden z najdroższych filmów, jakie do tej pory zrobiono.

— Zgadza się — odparł C.Z. chłodno. — Musi pan więc odwalić kawał dobrej roboty, ponieważ od tego będzie zależała pańska i moja

przyszłość. — Wstał i z ożywieniem dodał: — Moi prawnicy omówią z panem warunki kontraktu. Będą uczciwe, zapewniam pana. Sam zajmę się produkcją, obsadę dobierzemy razem. Moja sekretarka zaprowadzi pana do kancelarii radcy. Do widzenia, panie Nevern.

Już wychodząc, Dick odwrócił się od drzwi i spytał:

— Dlaczego ja? Przecież mógł pan mieć każdego.

Abrams uśmiechnął się.

— Kiedy zaczynałem, ktoś zapytał mnie, skąd wiem, że potrafię robić filmy. Powiedziałem: „po prostu wiem”. Pan odpowiedział na moje pytanie w ten sam sposób i ja panu wierzę.

Dick wyszedł z biura unosząc się w powietrzu. Ledwo słyszał, co mówią prawnicy, i niewiele go to obchodziło. Został reżyserem „Szeherazady"! Umarł i znalazł się w niebie.

Rozdział 37

O'Hara kupił cztery duże butelki najlepszego francuskiego szampana dla uczczenia sukcesu Dicka.

— Taki żółtodziób będzie reżyserował taki poważny - film jak „Szeherazada”? — zdumiewał się i poklepywał Dicka po chudych plecach potężną dłonią. — Ten cały C.Z. musi być wyjątkowy, skoro cię wziął z ulicy.

— Rzeczywiście jest wyjątkowy. — Dick kaszłac odsunął się od O'Hary. — Dobrze pan to ujął, panie O'Hara. Powiedział mi wczoraj, że sam kilka razy zbierał się z ulicy i dlatego chętnie da szansę nowicjuszowi.

— Jaki on jest? — zaciekawiła się Missie.

— Jaki? Średniego wzrostu, gęste czarne włosy, ciemne oczy, które mogą być zimne jak lód albo pełne ciepła. Przystojny, powiedziałbym. Do tego jest najlepiej ubranym mężczyzną, jakiego w życiu widziałem. Nieskazitelny od stóp do głów, nawet przy tym upale. Ale to naprawdę tajemniczy facet. Nikt go bliżej nie zna. Mówią, że dobrze płaci i jest sprawiedliwy. I że dokładnie wie, na co wydano każdego dolca. A mimo to wysyła wszystkim wielkie bukiety kwiatów i daje swoim gwiazdom kosztowne prezenty. Tak, niezły z niego gość.

— No to zdrowie C.Z. — powiedział O'Hara, a Rosa, Missie, Beulah i wszyscy lokatorzy unieśli kieliszki w górę. — I za wielki sukces Dicka Neverna w pracy nad „Szeherazada”.

— Pewnie nieługo się od nas wyprowadzisz, skoro zacząłeś zarabiać pieniądze — westchnęła Rosa z rezygnacją. Zawsze tak będzie: jak tylko młodzi zaczynają zarabiać i może być pewna komornego, zaraz wyprowadzają się do lepszego mieszkania.

— Będę pracował od świtu do nocy i muszę się przenieść bliżej studia — wyznał Dick. — Ale zatrzymam mój pokój, Rosa. Na wszelki wypadek.

— Och, już nigdy nie wrócisz — rozszlochała się nagle Azaylee. — Wiem, że nie. Znow wszystko się zmieni.

Spojrzeni na nią zaniepokojeni.

— Nic się nie zmieni, Azaylee — powiedział Dick łagodnie. — Nadal będę miał tu pokój ze swoimi rzeczami. Będę przychodził z wizytą, kiedy tylko będę mógł. I wiesz co? — dodał z uśmiechem. — Może nawet załatwię ci małą rolę w „Szeherezadzie”, jeśli będziesz grzeczna.

— Naprawdę? — Oczy małej zabłysły radośnie, łzy zostały zapomniane. — Będę mogła tańczyć?

— Zobaczmy — powiedział. Powiódł wzrokiem po uśmiechniętych twarzach Marshalla i Millie, Lilian i Mary, Bena i reszty. — Wszyscy dostaniecie role w „Szeherezadzie”. — Jego blada twarz zaczerwieniła się od emocji i szampana. — Dzieciaki też. W ten sposób podziękuję Rosie i Missie za to, że mogłem zalegać z komornym, a wam wszystkim, że ze mną wytrzymywaliście.

Przy wtórze radosnych okrzyków O'Hara dolał do kieliszków.

— Ja też mam wam coś ważnego do powiedzenia! — huknął. — Od dawna znam Rosę Perelman i Missie O'Bryan i od lat proszę jedną z nich, żeby została moją żoną. Zawsze słyszałem jedynie wymijające „może” albo „zapytaj mnie o to za rok”. Dużo wody upłynęło w rzekach od tamtego czasu, i właśnie w tym tygodniu znow odnalazłem kobietę, którą kocham. I to kocham bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. — Odwrócił się do Missie i powiedział cicho: — Missie, proszę cię o rękę i byłbym wdzięczny, gdybyś tym razem dała mi jednoznaczna odpowiedź.

Spojrzeni sobie w oczy i przez chwilę w pokoju nie było nikogo innego, tylko Missie i O'Hara. Na szerokiej twarzy Shamusa malował się niepokój; w oczekiwaniu na odpowiedź wstrzymywał oddech.

— O'Hara — odezwała się wreszcie Missie. — Żałuję tylko, że nie powiedziałam „tak” dawno temu...

— Więc wjdiesz za mnie? — upewniał się.

— Wyjdę — wyszeptwała.

— Na miły Bóg! — wrzasnął i chwycił ją w ramiona. Śmiał się i płakał jednocześnie. — Wreszcie jesteś moja! — Złożywszy na jej ustach mocny pocałunek, wyciągnął z kieszeni pudełko. — Poszedłem do najlepszego jubilera w Nowym Jorku i kupiłem to dla ciebie... na wszelki wypadek. Otworzył pudełko i pokazał Missie pierścionek z wielkim brylantem. — Do kompletu jest obrączka ślubna — powiedział radośnie. — I co ty na to. kochana?

— Och, są piękne, po prostu śliczne — wymamrotała. — Za piękne dla mnie.

— Nie ma rzeczy za pięknych dla żony Króla O'Hary — zawołał z zapałem. — Przecież ja bym za ciebie oddał życie, Missie O'Bryan. Przyszła Missie O'Hara! — dodał.

Winona Grant usiadła do pianina i zagrała marsza weselnego, a O'Hara zaczął wirować z Missie w objęciach. W ogólnym zamieszaniu wywołanym gratulacjami i całusami nikt nie zauważył, że Azaylee zniknęła.

Na werandzie było ciemno. Dziewczynka leżała obok Wiktora z twarzą wtuloną w jego futro i połykała łzy.

— Wiktor, znowu wszystko się zmieni — szeptała. — Wiem, że tak. Będą chcieli wyjechać i zamieszkać gdzieś indziej. — Objęła go za szyję chudymi rączkami, a on pocieszająco polizał ją po twarzy. — Ale my nie wyjedziemy — przyrzekła mu. — Nigdy, nigdy, nigdy!

Złoty blask lamp rozlewał się po trawie, muzyka stawała się coraz weselsza, huk korków od szampana i śmiech niosły się echem po cichej ulicy. Nie cieszyła się tylko Azaylee, którą płacz ukołysał do snu u boku ukochanego psa.

Ślub miał się odbyć w następną sobotę o jedenastej trzydzieści, w kościele przy bulwarze Hollywood. Wszyscy byli zaproszeni. Azaylee miała być druhną, a Rosa świadkiem.

— Nigdy jeszcze nie przestąpiłam progu kościoła — wyznała Rosa — ale skoro jest tylko jeden Bóg, to twój i mój musi być tym samym.

Pospiesznie kupiono suknie, zamówiono kwiaty i weselne śniadanie w hotelu „Hollywood”. Kiedy zaświtał wielki dzień, równie spokojny i bezchmurny jak wszystkie inne w Kalifornii, O'Hara włożył srebrzystoszary garnitur i jedwabny cylinder, w krawat wpiął szpilkę z wielką szarą perłą, wsunął w butonierkę szkarłatny goździk i wyruszył do kościoła.

Lokatorzy „Rosemont” wystroili się w najlepsze ubrania, pożyczili kapelusze i przypychali do nich różne ozdoby, po czym robiąc wielkie zamieszanie również poszli do kościoła.

— *Nu*, Azaylee — powiedziała Rosa — czy ktoś ci już kiedyś mówił, że jesteś piękna? Nie ma dwóch zdań, jesteś taka śliczna, że już teraz mogłabyś być gwiazdą filmową.

Azaylee otworzyła szeroko oczy i nieśmiało wygładziła sukienkę z cytrynowożółtej organdy.

— Naprawdę myślisz, że mogę być gwiazdą, Rosa? — zapytała.

Rosa przytuliła ją mocno i ucałowała.

— Choćby dzisiaj, gdyby tylko pan C.Z. Abrams cię zobaczył — odparła z przekonaniem.

Użyło jej, kiedy dziewczynka się roześmiała. Przez ostatnie kilka dni Azaylee wydawała się zbyt milcząca. Nie była chyba zazdrosna o to, że Missie wychodzi za mąż, ale nic nie mówiła i Rosa nie wiedziała, o co chodzi. Nagle Azaylee westchnęła głośno. Rosa obróciła się na pięcie i zobaczyła stojącą w drzwiach Missie.

Panna młoda miała na sobie dopasowaną w talii suknię z kremowej koronki, z długimi rękawami, wysoką stójką i obszerną spódnicą do ziemi. Na upięte włosy włożyła wianek z kwiatów pomarańczy, w rękę trzymała wiązanek maleńkich żółtych różyczek. Ale najbardziej zachwycające były jej oczy, pociemniałe i rozświetlone szczęściem.

— Kocham cię! — zawołała Azaylee i podbiegła do Missie.

Rosa patrzyła, jak Missie całuje dziewczynkę i mówi jej coś na ucho.

— Nigdy cię nie opuszczę — szeptała Missie. — Pamiętaj, zawsze będziesz moją małą dziewczynką. Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Azaylee dzielnie skinęła głową.

— Postaram się — obiecała.

Przez drzwi wetknął głowę Dick Nevern.

— Samochód czeka, Rosa — powiedział.

Azaylee pomknęła na werandę i wróciła z Wiktorem na smyczy z długiej żółtej wstążki, z żółtą różą przyczepioną do obroży. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Wiktor też jedzie — zerknęła na opiekunkę z nadzieją.

— Oczywiście — odparła Missie spokojnie. — Wiktor zawsze jeździ z nami.

Dick, który miał odprowadzać ją do ołtarza, odchrząknął i zaczerwieniony wykrztusił:

— Missie, nigdy w życiu nie widziałem równie pięknej kobiety.

Uśmiechnęła się.

— To znaczy, że nigdy nie byłeś zakochany. Poczekaj tylko, aż zobaczysz swoją oblubienicę w dniu ślubu. Wtedy zrozumiesz, że widzisz naprawdę piękną kobietę. — Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że jest niewiele starsza od Dicka. Miała raptem dwadzieścia cztery lata, ale przy jego niewinnej młodości czuła się jak doświadczona matrona.

O'Hara rozpromienił się, kiedy szła do niego przez mały kościół. Blask świec padał na srebrne i złote ornamenty, w setkach wazonów stały pachnące róże, na wszystkich ławkach wisiały girlandy z kwiatów

pomarańczy. W trakcie długiego, pięknego nabożeństwa śpiewał chór, a kiedy O'Hara ujął dłoń oblubienicy i wsunął jej na palec obrączkę, Missie poczuła, że wreszcie znalazła prawdziwe szczęście u boku mężczyzny, którego kocha.

W trakcie uczy weselnej w hotelu „Hollywood” muzyka i śmiech rozbrzmiewały tak głośno, że pozostali goście zaglądali do nich z ciekawości i przyłączali się do zabawy. O'Hara dał Azaylee wisiorek z rubinowym serduszkim, a Rosie brylantową bransoletkę, na widok której zaniemówiła. Wygłosił krótkie przemówienie i oświadczył, że kocha ich wszystkich, ale muszą mu wybaczyć, że zabiera żonę na tydzień do San Francisco w podróż poślubną.

Azaylee uśmiechała się, kiedy odjeżdżali obsypywani ryżem i płatkami róż, żegnani uściskami i pocałunkami. Pogładziła rubinowe serduszko na szyi i przytrzymała Wiktora wyrwijącego się do Missie. Może nie będzie tak źle, myślała. Może O'Harze spodoba się w Hollywood tak bardzo, że zamieszka w „Rosemont”. Może wszystko zostanie po staremu.

Jeśli Missie po doświadczeniach z okrutnym Eddiem Arnhaltem miała jakieś obawy w związku z miesiącem miodowym, zostały one rozwiane już pierwszej nocy. O'Hara miał wielkie, silne, wzbudzające zaufanie ciało, jego twarz płonęła miłością i podziwem dla urody żony. Dotykał jej z szacunkiem należnym królowej, trzymał w ramionach, pieścił włosy, okrywał pocałunkami powieki, policzki i usta. Mówił jej, jak bardzo ją kocha, jaka jest piękna i jak dzięki niej stał się najszcześniejszym człowiekiem na świecie. A kiedy zaczęli się kochać, drżał z namiętności, krzykiem wyrażając swą miłość, ona zaś, zatracając się w świecie nowych doznań, odkryła rozkosz współżycia z ukochanym mężczyzną.

Tydzień minął im błyskawicznie i zanim się obejrzeli, siedzieli już w pociągu wiozącym ich z powrotem do Los Angeles.

— Będziesz się musiała szybko spakować, maleńka — powiedział O'Hara, kiedy pociąg wtaczał się na stację. — Wracamy do Nowego Jorku, musimy zająć się nowym interesem.

— Do Nowego Jorku? — Missie zbladła. — Myślałam, że zostaniemy w Hollywood. Azaylee jest tu taka szczęśliwa... — zamilkła uświadamiając sobie, że plecie głupstwa. O'Hara działał w Nowym Jorku i Chicago, mógł więc oczekiwać od żony, że pojedzie razem z nim..

— Nie martw się o Azaylee, postaram się, żeby była zadowolona — obiecał. — Pójdzie do najlepszej szkoły w Nowym Jorku. Jako córka Króla O'Hary będzie żyła jak prawdziwa księżniczka.

Gdybyś ty wiedział, że ona naprawdę jest księżniczką, pomyślała Missie, ale w żaden sposób nie mogła mu opowiedzieć historii ich życia, bo i tak by nie zrozumiał. Lepiej zachować stare sekrety i lęki dla siebie. Może teraz, ukryte pod kilkoma warstwami różnych tożsamości, jako żona i córka pana O'Hary, wreszcie będą bezpieczne od Arnhaldtów i Rosjan.

Nowy Jork

Apartament w hotelu „Sherry Netherland” okazał się za mały dla O'Hary i jego nowej rodziny, wobec czego przeprowadzili się do mieszkania na ostatnim piętrze domu przy eleganckiej Park Avenue. Były tam cztery sypialnie z łazienkami, biblioteka pełna książek, salon z marmurowym kominkiem oraz wielka kuchnia, za którą znajdowały się pokoje Beulah i jej dwóch pomocnic.

Azaylee nie zgodziła się, żeby zabrać Wiktora.

— Nie — oświadczyła. Nie płakała w dniu wyjazdu, pobladła tylko i wyglądała na bardzo małą i chudą. Nawet jej jasne włosy straciły cały połysk. — Wiktor zostanie z Rosą. Będzie szczęśliwszy tutaj, w cieniu na ganku, niż w jakimś ciasnym mieszkaniu w Nowym Jorku.

Missie przypomniała sobie, jak Wiktor wylegiwał się na schodach przeciwpożarowych na Rivington Street i stwierdziła, że chyba polubiłby znowu Manhattan, Azaylee jednak była stanowcza.

— Będę cię często odwiedzać, Wiktorze — pocałowała psa w miękki łeb. Kiedy odjeżdżali, zatkała uszy, żeby nie słyszeć jego wycia.

Robiła co mogła, żeby dobrze się czuć w pięknym apartamencie na Park Avenue, gdzie miała własny wygodny pokój. Wróciła do starej szkoły, która jednak straciła swój urok w porównaniu z „Rosemont” i rozmowami lokatorów o filmach i gwiazdach. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy poczuła się szczęśliwa w jakimś miejscu, zaraz ją stamtąd zabierano, jakby za karę. Najpierw była ulica Rivington, gdzie opiekowała się nią Rosa, potem mieszkanie na Pięćdziesiątej Trzeciej, potem Haus Arnhaldt, potem Hollywood, a teraz Park Avenue. Na dodatek O'Hara mówił o wyjeździe do Chicago na kilka miesięcy...

Z pewnym wysiłkiem Azaylee udawało się przypomnieć sobie czasy, kiedy była zupełnie malutka. Wiedziała, że mieszkała w Rosji, i czasem leżąc w nocy w łóżku starała się przywołać najdawniejsze wspomnienia. Wówczas domy robiły wrażenie ogromnych, ona czuła się bardzo mała i wszyscy byli piękni. Nigdy nie rozmawiała o tym

z Missie, ale pamiętała kłującą brodę swojego prawdziwego taty, kiedy dawała mu buzi na dzień dobry. Pamiętała też, jak mama cudownie pachniała kwiatami, jaką miała delikatną cerę i chłodne usta, kiedy ją całowała. Widziała ożywioną twarz Aleksieja, jego ciemnoszare oczy śmiejące się z niej, kiedy chodziła za nim w kółko, jego silne nogi paroma skokami pokonujące wysokie schody, na które ona wdrapowała się po jednym stopniu. Przypominała sobie brzmienie jego głosu i to, że przed południem mówił do niej po francusku, a po południu po angielsku, i że Niania zawsze śpiewała im rosyjskie kołysanki.

Do tych wspomnień uciekała w snach; był to jej własny świat, gdzie znów stawała się małą dziewczynką, obiektem zainteresowania i miłości wszystkich dokoła, gdzie żyła w bezpiecznym miejscu i gdzie wszyscy ją uwielbiali. Miała nadzieję, że pewnego dnia odnajdzie ten świat.

Tymczasem nieustannie przynosiła ze szkoły uwagi w dzienniczku, że jest marzycielką i nie uważa. Ciągłe dzwoniła do Rosy i dziewcząt pytając, co nowego u lokatorów, czy wszyscy zagrali już w „Szeherzadzie” i czy kochany Wiktor bardzo za nią tęskni. Zawsze przyrzekała, że szybko ich odwiedzi, ale minął już rok i wcale się na to nie zносиło.

Jadła właśnie w kuchni kolację, a Missie omawiała z Beulah jadłospis na następny tydzień, kiedy do domu wpadł O'Hara z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Pakujcie najlepsze sukienki, dziewczyny! — Cmoknął Azaylee w jasną główkę. — Wyjeżdżamy jutro do Chicago.

— Chicago?! — wykrzyknęły.

— „Różowa Orchidea” jest już prawie skończona — oznajmił z dumą. — Planuję jej otwarcie w przyszłym tygodniu. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy jechać wszyscy i zrobić sobie małe wakacje. — Złapał Missie w pól i zakręcił nią ze śmiechem dokoła. — Trzeci klub Króla O'Hary — pochwalił się. — Nieźle jak na barmana z Delancey, co?

— Niestety nie wiem — odparła Missie. — Trudno mi wyrazić jakąkolwiek opinię, skoro nigdy nie pozwoliłeś mi zajrzeć do żadego z nich.

Nachmurzył się.

— Wiesz, co sędę na temat chodzenia do klubów nocnych... To nie jest miejsce dla porządnej kobiety... — Zaczerwienił się z zakłopotania, kiedy Missie wybuchnęła śmiechem:

— Królu O'Hara, czy chcesz powiedzieć, że prowadzisz lokale nieodpowiednie dla porządných kobiet? — zakpiła. — Ciekawe, co by na to powiedzieli nasi sąsiedzi z Park Avenue. Tym bardziej że ich synowie i córki są w większości twoimi klientami.

— To co innego — rzekł z ożywieniem. — Interesy. Na miły Bóg.

Missie, czy nie zapraszam cię właśnie na otwarcie „Różowej Orchidei”? Sam dobieierałem gości. Mój klub i moją żonę przyjdzie obejrzyć sama śmietanka.

— A ty im będziesz sprzedawał dżin pędzony w wannie? — droczyła się Missie.

— Dżin O'Hary nigdy nie jest pędzony w wannie. To oryginalna gorzałka z Bermudów.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Myślałam, że kupujesz alkohol od braci Oriconne.

— Cóż... — odchrząknął i przestąpił z nogi na nogę. — Między braćmi Oriconne a mną nastąpiło drobne nieporozumienie w kwestii cen, więc teraz kupuję od nich połowę towaru... ze względu na dawne czasy. Ale czemu stoimy i rozmawiamy o braciach Oriconne, skoro obie powinnyście się pakować? Jutro rano mamy pociąg.

Zerknął na Azaylee siedzącą przy stole kuchennym, ze szklanką mleka obok talerzyka. Oczy dziewczynki zaokrągliły się i posmutniały, usiadł więc przy niej.

— A dla mojej najmłodszej ukochanej specjalna niespodzianka. Uznałem, że możemy skoczyć z Chicago do Hollywood, żeby odwiedzić ciocię Rosę.

Twarzyczka Azaylee zaróżowiła się z zadowolenia, a oczy zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe na myśl, że znów zobaczy Wiktora, Rosę i dziewczęta.

— Och, Królu O'Hara — zarzuciła mu radośnie ręce na szyję. — Dziękuję, dziękuję!

— Chcę tylko, żeby moje panie były szczęśliwe — odparł grubym głosem. Uśmiechnął się do Missie ponad głową Azaylee.

— Co za zwyczaj, żeby dziecko nie nazywało ojca „tatusiem” — prychnęła Beulah.

Ale Missie potrząsnęła głową. Wiedziała, dlaczego Azaylee nie może do ukochanego O'Hary mówić „tato”. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach przeszłości istniał jej prawdziwy ojciec i dziewczynka miała nadzieję, że kiedyś przyjdzie po nią, jak to zawsze robili ojcowie z bajek.

Chicago

Na stary hotel „Palmer House” w Chicago składała się wysoka na dziewięć metrów rotunda i Sala Egipska, którą zdobiły importowane z Francji meble i włoskie freski.

— Dla moich pań wszystko, co najlepsze — powiedział O'Hara. Pociągał cygaro i spoglądał na swoją małą rodzinę siedzącą w jadalni. Po bokach sali stały olbrzymie marmurowe kolumny, ze środka zdobionego malowidłami sufitu zwisały ciężkie kryształowe żyrandole. Zespół kelnerów czekał na ich rozkazy i O'Hara puścił do Missie oko. — Pamiętasz, jak pierwszy raz zabrałem cię do restauracji w New Jersey? I uznałaś, że jest dla ciebie za wytworna? — Przytaknęła skinieniem głowy. — Powiedziałem wtedy, że żadne miejsce nie jest dla ciebie za wytworne, a teraz jesteś wytworniejsza niż wszystko dokoła. — W jego zielonych oczach płonęła miłość, kiedy wręczał jej nad stolikiem pudełko. — Dla mojej małej pani też mam — podał identyczne pudełko Azaylee.

Missie otworzyła swoje i zawołała z zachwytem:

— Orchidea z różowymi brylancikami! Jest śliczna, Shamus, naprawdę piękna.

Uśmiechnął się zawstydzony.

— Dlaczego nazwałaś mnie Shamus? Zawsze mówiłaś do mnie O'Hara.

— Ponieważ cię kocham — odparła miękko. — Shamus czy O'Hara, po prostu cię kochani. I dziękuję za broszkę.

Zaczerwieniony, odwrócił się szybko do Azaylee.

— Otwórz, kochanie. Zobaczmy, co ty dostałaś.

Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe jak spodki, gdy otworzyła pudełko i zajrzała do środka.

— Też mam orchideę — oznajmiła dumnie.

— Taka sama jak mamy, tylko trochę mniejsza — powiedział.

„Różowa Orchidea” znajdowała się między State Street a Calumet Avenue, w sąsiedztwie kilku innych popularnych lokali, takich jak „Sunset Cafe”, „Dreamland”. „Panama”, „New Orleans Babes”, a także niedaleko Teatru Wielkiego i klubu „Vendomo”, gdzie grały modne zespoły jazzowe. O'Hara zdecydował się na tę lokalizację, ponieważ wydawała mu się ciekawsza od eleganckiej dzielnicy północnej i uznał, że dla jego bogatych gości odwiedzenie gorszej, południowej części miasta może stanowić dodatkową atrakcję.

Smugi światła szperaczy przecinały niebo, mężczyzna z kamerą filmował przybycie znakomitych gości, podawano francuski szampan na koszt firmy. Missie wyglądała olśniewająco w ciemnoróżowej sukni z szyfonu, z bukietem różowych storczyków i nową brylantową broszką; O'Hara również prezentował się nie najgorzej w białym fraku z białą muszką i różową orchideą w butonierce. Azaylee. szczypta

i delikatna, w sukience z bladuróżowej organdy, urzekała błyszczącą aureolą loczków wokół słodkiej buzi. O'Hara nie mógł się powstrzymać i uściskał ją wołając, że jest z niej dumny i że będzie się nią zawsze opiekował.

Z czułym uśmiechem dotknęła palcami jego twarzy.

— Cieszę się, że jesteś teraz moim tatą, O'Hara — powiedziała.

O'Hara zaśmiał się uszczęśliwiony i powtórnie ją ucałował.

Obejrzeni kopulasty granatowy sufit upstrzony świecącymi różowymi gwiazdkami, parkiet w różowe gwiazdy, rzędy stolików z różowymi obrusami, srebrne kinkiety i różowe kandelabry; kelnerów w jaskraworóżowych marynarkach, dziewczęta sprzedające papierosy i kelnerki pokazujące nogi w różowych pończochach, ubrane w krótkie spódniczki ze sztywnej różowej gazy. Na każdym stoliku stał wazonik z różową orchideą, a za orkiestrą jazzową ustawiła się kolejka zaproszonych gwiazd i tancerek.

Dzielnica południowa szalała tej nocy. Ci, którzy nie zostali zaproszeni, patrzyli z zazdrością na gości wysiadających z eleganckich samochodów i wchodzących do klubu — do krainy luksusu, wesołości, jazzu i alkoholu. O'Hara przedstawił wszystkim Missie i Azaylee, a późnym wieczorem, gdy lokal był już porządnie zatłoczony i zabawa trwała w najlepsze, oznajmił, że czas odwieźć Azaylee do hotelu.

— Połóż moją panienkę spać, jak tylko dojedziecie — przykazał żonie, kiedy czekali przed wejściem na limuzynę. Szofer okropnie się grzebał i O'Hara niecierpliwie rozglądał się na boki, nie zwracając uwagi na czarny samochód sunący powoli wzdłuż krawężnika po drugiej stronie. Nagle czarne auto skręciło gwałtownie i przecięło pustą ulicę. Ze zdumieniem zobaczyli, jak opuszcza się szyba tylnego okna i różowe światła klubu odbijają się od metalowej lufy karabinu maszynowego. W następnej sekundzie O'Hara ze straszliwym jękiem padł przed Missie i Azaylee. Seria kul przeszła jego wielkie ciało na wylot, pozostawiając na chodniku jedynie drgającą, krwawą masę.

Azaylee wiedziała, że krzyczy, tak samo jak w jej snach ktoś dawno temu krzyczał w lesie Wariszni. Słyszała jęk Missie, pisk opon odjeżdżającego samochodu i tupot nóg. I siebie, krzyczącą bez końca, jakby cały krzyk był w niej zamknięty od lat i teraz miał się już nigdy nie skończyć.

Rozdział 38

Maryland

Cal, zaniepokojony bladością i drżącym głosem Missie, nacisnął dzwonek wzywający siostrę Milgrim. Zegarek na stoliku wskazywał drugą w nocy i Cal wiedział, że staruszka musi już być wyczerpana bolesnymi wspomnieniami. Wpatrywała się w broszkę w kształcie różowej orchidei, którą trzymała w ręku.

— Nigdy się z nią nie rozstanę — szepnęła. — Nigdy.

Siostra Milgrim wkroczyła do pokoju, rześka i świeża w swoim wykrochmalonym białym fartuchu. Spojrzała na Missie, potem na Cal'a i powiedziała:

— A nie mówiłam? Teraz jest zmęczona i zdenerwowana. To pańska wina, młody człowieku. — Nalała wody do szklanki. — Proszę — zachęciła Missie. — Weźmiemy tabletki, potem zrobię filiżankę pysznej herbaty i idziemy spać.

Missie połknęła proszki i potrząsnęła głową.

— Muszę skończyć, skoro zaczęłam — odparła. — Tylko wtedy Cal będzie mógł mi pomóc.

Milgrim rzuciła mu ostre spojrzenie, ale wzruszył ramionami.

— To ważne dla nas wszystkich — oświadczył.

W oczach pielęgniarki błysnął niepokój.

— No cóż... — rzekła. — W takim razie zrobię może parę kanapek. — Zniknęła szeleszcząc fartuchem.

— Azaylee nie mogła pójść na pogrzeb — powiedziała Missie. — Zresztą i tak nie chciałam, żeby szła. Trzymali ją przez dwa tygodnie w szpitalu na obserwacji, ale pod koniec wcale nie byli mądrzejsi. Azaylee schroniła się w swoim bezpiecznym świątku, gdzie nikt nie miał do niej dostępu. Uznali, że to szok i że z czasem jej przejdzie. Ja jednak wiedziałam, że tak nie będzie... — Spojrzała na niego niespokojnymi fiołkowymi oczyma. — Kiedy opuszczano trumnę 0'Hary

do grobu, posłaniec przyniósł ogromny wieniec z różowych orchidei. Wręczył mi wizytówkę. — Znów przerwała. — Wieniec przysłali Rico i Giorgio Oriconne.

— Więc to oni...?

Skinęła głową.

— Nie docenił ich wpływów w Chicago. Mieli tam potężnych przyjaciół. Pozwolili mu wydać pieniądze na klub, a potem... — Pochyliła głowę. — Oczywiście nigdy nie wniesiono żadnego oskarżenia. Po prostu uznano to za kolejne „nie wyjaśnione zabójstwo w rozgrywkach gangów”. Ale zawsze uważałam, że to oni.

Siostra Milgrim wniosła po cichu tacę pełną kanapek z chleba bez skórki i czekoladowe ciasto.

— Niech pani trochę zje — poprosiła starszkę. — Musi pani się wzmacnić.

Missie z wdzięcznością pociągnęła łyżeczek herbaty i znów zwróciła się do Cala:

— Zabrałam Azaylee ze szpitala i wróciłyśmy do Kalifornii. Myślałam, że powrót do domu pomoże jej wyjść z depresji. Wszyscy byli tacy dobrzy i mili, opowiadali jej historyjki o pracy w filmach, ale ona nie zwracała na nic uwagi. Troszczyła się tylko o Wiktora, nie spuszczała z niego oka. Widzę ją w tej chwili, jak siedzi na werandzie w „Rosemont” i patrzy przed siebie nawet nie widząc przechodniów, a Wiktor trzyma łeb na jej kolanach. O'Hara zostawił mi trochę pieniędzy, niewiele, bo wydawał równie dużo, jak zarabiał. Uważał, że ma przed sobą całe życie...

Minał rok i dłużej już nie mogłam tego znieść. Postanowiłam zabrać Azaylee do Szwajcarii, do wybitnego psychiatry i psychoanalityka Carla Junga. Chciałam się wreszcie dowiedzieć, czy problem Azaylee jest natury medycznej, czy to kwestia jej psychiki. — Popatrzyła na Cala. — Wierz mi, modliłam się, żeby to była sprawa medyczna, bo wtedy przynajmniej mogłybyśmy coś z tym zrobić.

Jung bardzo się zainteresował jej przypadkiem. Oczywiście zapewnił dyskrecję, opowiedziałam mu więc, nie wymieniając nazwisk, w jaki sposób Azaylee straciła rodzinę, jak uciekłyśmy i żyłyśmy potem w Ameryce. Wyjaśniłam, że Azaylee nie zna szczegółów, nigdy nie widziała zdjęcia swojej rodziny i nie zna nawet ich prawdziwych nazwisk. Powiedziałam mu też o O'Harze. Stwierdził, że Azaylee cierpi na kilka rzeczy naraz: depresję, histerię i zahamowania związane z tłumieniem wszelkich emocji od wczesnego dzieciństwa. Groziło jej niebezpieczeństwo utraty poczucia tożsamości, nazwał to „zaburzeniami osobowości”. Powiedziałam mu, że Azaylee nigdy nie mówiła o rodzicach i zdawała się akceptować fakt, że mieszka ze mną i z Sofią

na ulicy Rivington. Opisałam jej przywiązanie do psa. Kiwnął głową i uznał to za klasyczny przypadek. Obiecał, że zrobi wszystko, by ją wyleczyć.

Przez dwa lata z małymi przerwami mieszkaliśmy w Zurychu. Wynajęliśmy apartament w hoteliku w górach. Uwielbiałyśmy ostre, czyste powietrze i bezkresne widoki. Myślę, że obie czułyśmy się tam bezpiecznie. Od czasu do czasu jeździliśmy do Kalifornii na miesiąc lub dwa, ale Azaylee robiła postępy i bałam się zabrać ją od doktora Junga, dopóki jej umysł całkowicie nie wróci do normy.

W końcu jednak doktor powiedział, że zrobił wszystko, co mógł, i wróciliśmy do Hollywood na dobre. Azaylee wydawała się szczęśliwa i bardziej towarzyska niż kiedykolwiek. Chodziła znów do szkoły, nadal przyjaźniła się z dziewczynkami Rosy. Podjęła lekcje tańca i w jakiś sposób one właśnie stały się dla niej najważniejsze. Przypuszczam, że tak naprawdę zawsze chciała tylko tańczyć.

Missie popatrzyła na Cala i powiedziała:

— Oczywiście wie pan, że mówię o Avie Adair.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Ava Adair? Ta gwiazda?

Staruszka nie odpowiedziała od razu. Pociągnęła łyk zimnej herbaty i przycisnęła w zamyśleniu rękę do czoła. W końcu odezwała się:

— Wszystko zaczęło się od przypadkowego spotkania i przez resztę życia nie byłam w stanie stwierdzić, czy wyszło jej to na dobre, czy raczej zniszczyło życie...

Przypomniała sobie, jak niewinne były te początki. Opowiedziała Calowi, jak Dick Nevern przyszedł je odwiedzić, cały kwitnący dzięki sukcesom, jakie odniósł w „Szeherezadzie” i trzech innych poważnych filmach fabularnych, które nakręcił dla wytwórni „Magic”. Był teraz ważnym reżyserem, pozostał jednak tym samym miłym, prostym młodzieńcem w okularach, którego znały, i chociaż piękne aktorki rzucały mu się w objęcia, nadal był nieśmiały. Nigdy nie zapomniał, jak niewiele brakowało, żeby został z fotelem na biegunach na ganku farmy w Oklahomie i twierdził, że wszystko zawdzięcza C.Z. Abramowi, który dał mu szansę.

— Abrams miał opinię najbardziej skrytego człowieka w Hollywood — mówiła dalej. — Nikt go naprawdę nie znał, nic miał prawdziwych przyjaciół, tylko samych znajomych z pracy, ale lubił Dicka Neverna. Kilka razy w tygodniu Dick chodził do jego wielkiej rezydencji przy Lexington Drive, żeby oglądać nowe filmy albo zdjęcia z danego dnia. Jedli kolację, zawsze bardzo formalnie, ze służbą i tak dalej. C.Z. nigdy nie powiedział słowa o sobie, Dick wiedział tylko, że jest praktykującym Żydem, który ściśle przestrzega szabasu.

W każdym razie tamtego dnia, kiedy Dick przyszedł w odwiedziny do „Rosemont”, Azaylee wróciła właśnie z lekcji tańca. Miała wtedy jeden ze swoich lepszych dni. była ożywiona, radosna i bardzo ucieszyła się na jego widok. Skończyła czternaście lat i była naprawdę śliczna — ogromne oczy jak złociste bratki i burza platynowych włosów. Wysoka jak na swój wiek i wciąż za szczupła, miała jednak piękne nogi i poruszała się z wdziękiem tancerki.

Zauważyłam, że Dick przygląda się jej z zainteresowaniem i nie zdziwiło mnie, kiedy powiedział: „Wiesz, Missie, Azaylee jest stworzona do filmu. Kamery by ją uwielbiały, widzowie też”. Odpowiedziałam, że jest za młoda, żeby o tym myśleć, a wtedy on zaskoczył mnie mówiąc, że Azaylee chodzi na wagary i odwiedza wytwórnie, oszukuje, że jest starsza i szuka pracy jako tancerka albo statystka — wszystko jedno co, byleby stać się częścią magicznego świata filmu.

Oczywiście nic jej z tego nie wyszło, ponieważ na pierwszy rzut oka widać było, że jest dzieckiem udającym kobietę. Dick powiedział, że jeśli Azaylee tego właśnie pragnie, to może zrobi jej kilka zdjęć próbnych i postara się o jakąś rolę w swoim następnym filmie. Obiecywał, że się nią zaopiekuje, obroni własną pierśią, jeśli będzie trzeba, i gotów był się założyć o swoje buty z Oklahomy, że w niedługim czasie zostaną gwiazdą.

Powtórzyłam, że Azaylee jest za młoda, że zabronię jej zbliżyć się do wytwórni, dopóki nie skończy przynajmniej szesnastu lat. Był rok tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy i Hollywood bardzo się zmieniło. Stało się kwitnącym miastem. Miałyśmy z Rosą pięć pensjonatów wzdłuż Fountain Avenue. „Rosemont”, w którym wtedy same mieszkałyśmy, był najmniejszy. Wytwórnie kręciły film za filmem, bulwar Hollywood stał się prawdziwą arterią komunikacyjną, a Beverly Hills prawdziwym miastem. Odeszło wiele dawnych gwiazd: Valentino zmarł, Mabel Normand, Fatty Arbuckle i innych zniszczyły skandale i narkotyki. Można powiedzieć, że Hollywood utraciło swoją niewinność razem z naszymi Trzema Gracjami, które odkryły, że pozowanie nago daje dużo większe dochody niż praca u Senneta. Rozumie więc pan, dlaczego nie chciałam, żeby tak wrażliwe i słabe dziecko jak Azaylee miało kontakt z tym światem. Pragnęłam, żeby się dalek uczyła, a życie toczyło się jak zawsze: żadnych wzlotów, żadnych upadków. W końcu znalazłam anonimowość i chyba chciałam po prostu ją zachować.

Filmy mówione zyskiwały na popularności i cały przemysł filmowy trząsł się w posadach. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać, i wkrótce odeszło wielu dotychczasowych ulubieńców, odrzuconych

przez kiedyś przypoehlebiające się im wytwórnice z powodu nieodpowiednich głosów. Rzecz jasna nie powstrzymało to Azaylee od biegania po studiach, chociaż zagroziłam jej prywatnym nauczycielem.

Kiedy jednak zmarł Wiktor, zmieniłam zdanie. Był najstarszym psem w Hollywood, od lat był ślepy i prawie wcale nie ruszał się z ulubionego kącika na werandzie, lecz przeżyliśmy jego śmierć bardzo mocno, ponieważ stanowił jedno z ostatnich ogniw łączących nas z Miszą. Dla Azaylee okazało się to katastrofą. Objechaliśmy cały kraj w poszukiwaniu innego charta. W końcu znaleźliśmy: sześciomiesięcznego, z takim samym złotym futrem, jakie miał Wiktor, zawsze gotowego do zabawy. Od razu podbił wszystkich, ale to jednak nie był Wiktor. Kiedy zobaczyłam, jak w oczach Azaylee znowu pojawia się to chore spojrzenie, jak znowu się od nas oddala, powiedziałam Dickowi, żeby zrobił jej próbne zdjęcia.

Hollywood

C.Z. Abrams czekał na Dicka, który miał przywieźć z wytwórni zdjęcia z całego dnia. Nabrali zwyczaju oglądania ich u niego w domu późnym wieczorem, częściowo dlatego, że lubił towarzystwo Dicka, ale przede wszystkim dlatego, że wносиło to odrobinę życia do jego wielkiego, pustego domu.

Wybiła dziesiąta. Niebo za wysokimi oknami wychodzącymi na zadbane ogród było już ciemne. Minęło osiem lat, odkąd pobił Mela Schroedera jego własną bronią i wylądował jako właściciel kilku rozpadających się szop w Cahuendze, z kamerą i kilkoma szpulami filmu. Przez ten czas Hollywood rozkwitło, a on stał się legendarnym C.Z. Abramsem, osobistością kina równie ważną jak Goldwyn i Zuckor, Fox i Warner. W głębi serca pozostał jednak nadal Zevem Abramskim, nieśmiałym i samotnym. Tak samotnym, że potrzebował towarzystwa Dicka Neverna i dwudziestu godzin pracy na dobę dla wypełnienia czymś dnia. Jeśli dopisało mu szczęście, był tak zmęczony, że zapadał w czterogodzinny kamienny sen i dopiero potem stawiął czoło kolejnemu porankowi.

Mel Schroeder myślał, że ma przed sobą następnego frajera — Zev poznał to po jego oczach. Siedział na werandzie hotelu „Hollywood”, pocąc się w czarnym garniturze i sztywnym białym kołnierzyku, zakłopotany swoim gardłowym angielskim i wyglądem obcokrajowca.

Schroeder nie wiedział jednak nic o gniewie i rozpaczy, które roznieciły ogień w Zevie Abramskim.

Z właściwą sobie ostrożnością Zev sprawdził Schroedera i odkrył, że dzięki ogłoszeniom w lokalnych gazetach małych miasteczek tamten sprzedał już naiwnym kupcom cztery niby-wytwórnie. Zniechęcony zrezygnował ze spotkania, potem jednak poszperał trochę głębiej i zmienił zdanie. Kant był sztyty bardzo grubymi nićmi. Schroeder pokazywał kawałek pustkowie, kupionego za kilka dolarów, ponieważ nie było dróg dojazdowych i teren był praktycznie niedostępny. Następnie tłumaczył, że jego biuro mieści się w Hollywood, zaś wszyscy pracownicy są na planie zdjęciowym na pustyni albo na plaży, dlatego została tylko jedna kamera i nie widać ludzi. Pokazywał szpule filmu i zachwalał rozpadające się szopy dumnie zwane studiami, w których normalnie trzymano bydło lub siano. Potem wyciągał sfabrykowane księgi rachunkowe Wytwórni Filmowej Schroedera, z których wynikało, że tajemniczym dystrybutorem z całego kraju sprzedano setki krótkometrażówek, co dało okragłą sumkę stu tysięcy dolarów zysku plus siedemdziesiąt pięć tysięcy jeszcze nie wypłaconych należności. W kolumnie „Winien” nie było oczywiście żadnych brzydkich czerwonych cyferek.

— Wszystko kupione i zapłacone przez pańskiego uniżonego sługę — oświadczył Zevowi wycierając spocone czoło, kiedy obchodzili gorące, zakurzone pole. — To prężne przedsięwzięcie: w tej chwili robionych jest pięć filmów, w planach są następne. Problem polega na tym, że nie znoszę tego klimatu. — Huknął się w pierś. — Serduszek, wie pan. Doktor mówi, że muszę wracać na wschód, gdzie jest chłodniej. W przeciwnym razie jestem trupem. — Mrugnął do Zeva, bladego mimo upału, po czym rzekł: — Podoba mi się pan, złożę więc panu propozycję nie do odrzucenia. Widzę, że jest pan porządnym człowiekiem i odpowiednim do tego interesu. Mówię panu, na tym można zbić majątek. To tylko ja mam takiego pecha, że choroba mi na to nie pozwala. — Westchnął ciężko i spojrzął na swojego klienta.

Zev w milczeniu odwzajemnił jego spojrzenie i Schroeder z zakłopotaniem odwrócił wzrok. Po chwili powiedział szybko:

— Jeśli w ciągu tygodnia nie wrócę do Filadelfii, przyjdzie pan na mój pogrzeb, proszę mi wierzyć. Pomogę panu, panie Abramski, jeśli pan pomoże mnie. Daję panu cały ten kram — ziemię, studia, pięć kamer, filmy i kontakty z dystrybutorami — całą działającą wytwórnię. I proszę nie zapominać o zapisanych w księgach siedemdziesięciu pięciu tysiącach, które wpłyną do pańskiej kieszeni przed końcem roku.

Zev sceptycznie uniósł brwi.

— Ile pan chce?

— Ile? Powiem szczerze, pieniądze są ostatnią rzeczą, jaka mnie teraz obchodzi. Kiedy w grę wchodzi życie albo śmierć, jakie znaczenie mają pieniądze? Żeby szybko sprzedać, zgodzę się na dwadzieścia pięć tysięcy i nie ma sprawy. Gotówka od razu na stół, uścisk dłoni i załatwione.

Nawet jego wyłupiaste niebieskie oczy wydawały się spocone, kiedy wpatrywał się w Zeva spojrzeniem pełnym chciwości.

— To dużo pieniędzy — powiedział Zev, wypychając ręce do kieszeni i czubkiem buta rysując linię na piasku.

Na twarzy Schroedera pojawił się niepokój.

— No, jak dla pana... powiedzmy, dwadzieścia?

— Niech mi pan jeszcze raz pokaże rachunki — zażądał Zev niespodziewanie.

Schroeder wręczył mu je nerwowym gestem.

— Wszystko jest na papierze...

Zev złożył starannie rachunki i schował do kieszeni.

— Hej! — zawołał Schroeder szczerząc zęby. — Jeszcze pan nie kupił wytwórni! Co z moimi dwudziestoma tysiącami?

— Proponuję panu równo sto siedemdziesiąt pięć dolarów za działkę, której jest pan właścicielem — powiedział Zev niskim, gardłowym głosem. — Pięćdziesiąt dolarów więcej, niż pan zapłacił. Za kamerę i taśmy dam panu siedemdziesiąt pięć. Cała reszta to brednie. W sumie dwieście pięćdziesiąt dolarów. Myślę, że to uczciwa propozycja.

— Też mi coś, co ty w ogóle możesz wiedzieć o uczciwych propozycjach, Żydku jeden! — krzyknął Schroeder ze złością. — Dwieście pięćdziesiąt dolców to pewnie wszystko, co masz w kieszeni!

Zewowi zwężyły się oczy. Zbladł jeszcze bardziej i powiedział cicho:

— Dwieście więcej niż ty, Schroeder. Zgadzasz się albo nie... — Urwał, po czym dotknąwszy fałszywych rachunków dodał: — Jeśli nie, to zabieram te papiery do Los Angeles i oddaję policji, żeby wszczęła kroki niezbędne do oskarżenia cię o oszustwo. Nie jestem pierwszą osobą, której sprzedajesz swoją „wytwórnię”, ale z pewnością będę ostatnią. — Uśmiechnął się smutno. — W końcu dwieście pięćdziesiąt dolarów to bardzo korzystna oferta.

Schroeder rzucił mu mordercze spojrzenie, ale wyciągnął rękę i powiedział:

— Dobra. Dawaj forszę.

Zev wyjął z drugiej kieszeni kartkę papieru.

— To jest umowa sprzedaży sporządzona przez Milтона Firesteina, adwokata z kancelarii przy Vine Street. Przedstawiłem mu okoliczności sprawy. Powiedział, że masz się podpisać tutaj — wskazał miejsce i podał Schroederowi pióro. — Pan Milton jest poważanym członkiem

tutejszej palestry i bez wątpienia jego słowo będzie miało większą wartość od twojego w sądzie, gdybyś kiedyś usiłował twierdzić, że nie sprzedajesz mi tej ziemi.

Schroeder spojrział na niego rozbieganymi oczyma i podpisał dokument, po czym bez liczenia schował pieniądze. Pobiegł do lśniącego samochodu krzycząc przez ramię:

— Skoro jesteś taki cwany, to sam sobie wracaj do Hollywood, dupku!

Zev uśmiechnął się widząc, jak tamten odjeżdża z piskiem opon, wzbijając tumany kurzu, po czym ruszył w stronę koślawych szop. Zmierzył krokami ich powierzchnię i sprawdził, czy drewno nie próchnieje. Podniósł kamerę i pogłaskał ją z podziwem: nie miał pojęcia, jak działa, ale był nią zafascynowany. Pół godziny później usłyszał warkot zamówionego samochodu, pokonującego z mozołem nierówności gruntowej drogi. Z uśmiechem objął wzrokiem swoją posiadłość. Tydzień temu w Radzie Miejskiej wywieszono zawiadomienie, że wytwórnia „Universal Pictures” kupuje działki wzdłuż Cahuengi, dzięki czemu wkrótce powstaną tu nowe drogi i zostanie doprowadzona woda, elektryczność oraz telefony. Natychmiast kupił trzydzieści akrów przylegających do ziemi Schroedera. Wiedział, że uzbrojenie terenu będzie względnie tanie.

W drodze powrotnej uśmiechał się zadowolony. Był gotów wyłożyć nawet pięćset dolarów, gdyby okazało się to konieczne, ale Schroeder musiał zapłacić za to, że nazwał go „Żydkiem”. Teraz on, Zev Abramski, był właścicielem wytwórni.

Dobrze się do tego przygotował. Znał zasady działania przemysłu kinematograficznego, wiedział, jak ważne jest rozpowszechnianie i jak niektóre firmy stworzyły własne sieci niszcząc niezależnych dystrybutorów. Miał tylko dwa problemy: nie znał nikogo ze świata filmu, nawet statysty, a jego dziesięć tysięcy — oszczędności i dochód ze sprzedaży lombardu — nie było sumą wystarczającą do osiągnięcia celu.

W hotelu „Hollywood” zawsze kręciło się mnóstwo ludzi kina, którzy nieustannie przynosili plotki, pogłoski i poufne informacje. Zev przesiadywał w jadalni albo na werandzie, sączył sok pomarańczowy i nadstawiał ucha, dowiadując się rzeczy, których wolałyby nie słyszeć: który reżyser sypiał z którą gwiazdą, który gwiazdor sypiał z kelnerką, jaka była cena ostatniej krótkometrażówki Senneta, ile kosztowały „Zwiednięte kwiaty” Griffitha. Poznał wysokość ostatniego kontraktu panny Pickford — ponad milion — i dniówkę statysty — pięć dolarów. Przeglądał fachowe pisma i kręcił się wokół wytwórni, wpadając do agencji i słuchając różnych rozmów. Stał się zawodowym podsłuchiwcem, obejrzał wszystkie filmy wyświetlane w mieście

i usłyszał, że jest dwóch bankierów przychylnych filmowcom: młody Kalifornijczyk nazwiskiem Motley Flint, prezes banku First National Security, oraz Amadeo Giannini, szef Banku Włoskiego.

Zev wybrał Gianniniego, ponieważ w Nowym Jorku często robił interesy z Włochami i lubił ich. A także dlatego, że podobno dzieciństwo tamtego było równie tragiczne jak jego własne — był synem imigranta i widział, jak sąsiad morduje jego ojca. Giannini zrobił karierę jako makler, ale zrezygnował z giełdy w wieku trzydziestu jeden lat, został bankierem i w 1901 roku otworzył Bank Włoski. Zev słyszał, jak ktoś z podziwem mówił, że Włoch zawsze kieruje się instynktem, stawiając przy dawaniu kredytów na konkretnych ludzi, a jego ulubionym słowem jest „charakter”.

Przyjrzeni się sobie w milczeniu w biurze Gianniniego. Zev zobaczył bystrego Włocha w średnim wieku; w Nowym Jorku znał takich kilkunastu. Tylko że ten Włoch osiągnął sukces i miał teraz zadecydować o jego życiu. Bankier zobaczył szczupłego, bladego, inteligentnego Żyda, który przez swój czarny, pogrzebowy garnitur wciąż wyglądał na obcokrajowca.

Zev szybko przedstawił swoje plany. Powiedział, że chce, by jego wytwórnia była czynna przez osiemnaście godzin na dobę, aktorzy, reżyserzy i operatorzy pracowaliby na zmiany. Produkowałyby tanie i wesołe filmy, żeby ludzie przez pięć czy dziesięć minut mogli oderwać się od szarej codzienności. Dałoby to środki na stworzenie własnej sieci dystrybucyjnej i łańcucha kin. Wtedy zaczęłyby robić prawdziwe filmy.

— Co pan nazywa prawdziwymi filmami, panie Abramski? — zapytał bankier z uśmiechem.

— Widowisko, przepych, historia. Pokazywanie ludziom rzeczy, których nigdy nie zobaczyliby w normalnym życiu... — Spojrzał na Gianniniego i powiedział: — Magia.

Bankier roześmiał się.

— A ile ma mnie kosztować sfinansowanie tej „magii”?

Zev odparł śmiało:

— Mam dziesięć tysięcy dolarów i proszę pana o pięćdziesiąt.

Giannini obracał w palcach ołówki, wpatrując się w Zeva bez słowa.

— Na czym opiera pan przekonanie, że powiedzie się panu w dziedzinie, w której tyłu innym się nie powiodło? — zapytał w końcu.

Zev spojrzął na niego ze zdziwieniem.

— Ja to po prostu wiem.

Giannini zaśmiał się i powiedział:

— W porządku, Abramski, ma pan pięćdziesiąt tysięcy.

Zaskoczony Zev wpatrywał się w bankiera.

— Właściwie dlaczego pożyczają mi pan pieniądze?

— Po pierwsze, ma pan w Cahuendze nieruchomość, która niedługo może okazać się bardzo cenna. Po drugie, podobają mi się ludzie, którzy wierzą w siebie tak jak pan, panie Abramski.

Zev wrócił do hotelu mając sześćdziesiąt tysięcy dolarów na rachunku w Banku Włoskim, bardziej jednak uradowany faktem, że bankier uwierzył mu na słowo, niż tym, że dostał pieniądze.

W ciągu kilku tygodni wyremontowano walące się stodoły, dobudowano parę szop, które miały służyć za biura, zakupiono kamery i filmy. Z pomocą agencji Zev wybrał operatorów, którzy awansowali u niego na reżyserów, oraz walczących o przetrwanie aktorów, w których dostrzegł coś interesującego — ich pensje od razu skoczyły z trzydziestu do trzystu dolarów tygodniowo. Do tego miał wciąż zmieniający się zespół statystów i asystentów. Spędzał całe dni za biurkiem w gorącej drewnianej budzie, skrętnie zapisując nowe pomysły i rozbudowując wątki oparte na starych, popularnych schematach. Kamery tymczasem pracowały dzień i noc.

Kierownictwo było jednoosobowe. Zev sam kontrolował wszystko: żaden szczegół nie mógł umknąć jego nerwowym, sokolim oczom. Dało to pożądaną efekt — jego produkcje były zabawne i dobrej jakości, szybko więc zostały zauważone przez dystrybutorów. Kiedy nie był zajęty w wytwórni, rozglądał się za okazją do wprowadzenia na rynek swojego przedsiębiorstwa rozpowszechniania filmów.

W Hollywood działało wielu młodych producentów, konkurencja była więc duża. Zev — znany jako C.Z. — pamiętał, żeby regularnie odwiedzać sale kinowe, i kiedy usłyszał, że w „Woodley” ma się odbyć premierowa projekcja „Podróży życia” młodego reżysera Francisca Pearsona, nie omieszkął się tam zjawić. Pearson nie był znany, ale film był zrobiony z rozmachem, choć niewielkim kosztem, co dawało się poznać po kiepskiej jakości taśmy. Jednak grube ziarno filmu dodawało tylko realizmu sadze o imigrantach ruszających wozami na Zachód w poszukiwaniu nowego życia. Był w niej humor, patos, tragizm i nadzieja.

Kiedy film się skończył i zapalono światła, do głębi wzruszony Zev otarł łzy. Jako imigrant rozumiał istotę walki o przetrwanie i instynktownie czuł, że reszta Ameryki też ją zrozumie.

Film nie cieszył się zbyt dużym zainteresowaniem — kino było w trzech czwartych puste. Zev poczekał w korytarzu na producenta i reżysera, którzy wyszli ze smętnymi minami. Przedstawił się i zaproponował im czterdzieści tysięcy dolarów za prawo do dystrybucji. Popatrzyli na niego jak na wariata i bez namysłu przyjęli jego ofertę.

Następnego dnia Zev zjawił się w biurze Gianniniego z prośbą o nową pożyczkę na sfinansowanie pierwszego przedsięwzięcia firmy „Magic Distribution”. Bankier przejrzał rachunki z pierwszych sześciu miesięcy i uśmiechnął się.

— W porządku — powiedział. — Załatwione. Ale tym razem to wóz albo przewóz, C.Z. Lepiej, żebyś wiedział, co robisz.

— Wiem — zapewnił go Zev z przekonaniem.

Niełatwo było sprzedać „Podróż”, ale w końcu wepchnął ją do największego kina w Nowym Jorku. Począt pantoflową rozeszła się dobra opinia o filmie i wkrótce przed kasami zaczęły ustawiać się kolejki, a na Zeva spadła lawina zamówień. Zarobił na „Podróży” ponad milion i natychmiast wykupił kilka małych, niezależnych sieci dystrybucyjnych. Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów „Magic” stało się rzeczywistością, a on milionerem.

Francis Pearson dołączył do jego zespołu reżyserów i zrobił następny film, tym razem z większym budżetem, ze wspaniałymi dekoracjami i efektami. Wytwórnia „Magie Movies” dołączyła do hollywoodzkiej czołówki. Produkowano kolejne filmy, zarabiano pieniądze; kupiono nową ziemię, powiększono studia, zbudowano nowe biura. C.Z. Abrams miał wielki dom i służbę, pracował bez wytchnienia, nie udzielał się towarzysko, a jego życie prywatne otoczone było tajemnicą.

Czekając na Dicka Neverna, który miał przyjść ze zrobionymi dziś filmami, Zev przebiegł palcami po klawiaturze pięknego fortepianu Bechsteina. Wspominał samotne wieczory w ciemnym pokoju na tyłach lombardu. Rzadko śnił o przeszłości, chociaż srebrny lichtarz jego matki wciąż stał na kredensie w jadalni. Żył terazniejszością, z dnia na dzień, ale rozglądając się po swoim wspaniałym domu i patrząc na kosztowne sprzęty, gotów był oddać wszystko za to, by znów poczuć się tak, jak w dniu, kiedy poznał Missie, i później, kiedy serce zatrzymywało mu się na jej widok, gdy w piątki otwierała drzwi lombardu i z uśmiechem dawała mu swoje dwa dolary. Oddałby dziesięć lat życia, żeby ponownie usiąść naprzeciwko niej w ukraińskiej restauracji i zobaczyć uśmiech w fiołkowych oczach.

— Cześć, C.Z.! — zawołał Dick, wrywając go z zamyślenia. Poklepał szpulki taśm trzymane pod pachą. — To, co zwykle. Ale potem pokażę ci coś naprawdę wyjątkowego.

C.Z. z ożywieniem kiwnął głową.

— Chodźmy — powiedział, prowadząc Dicka do urzędzonej w piwnicy sali projekcyjnej.

Obok wygodnych foteli stał nakryty stół z brandy, piwem i kanapkami. Dick poczęstował się, kiedy C.Z. zakładał pierwszy film. Najpierw obejrzeni kawałki krótkometrażówek. Robiąc notatki, komentowali grę aktorów i kął ustawienia kamery. Potem zrobili to samo z fragmentami dwóch kręconych właśnie filmów pełnometrażowych.

— Niezłe — stwierdził C.Z. Mówił teraz bez akcentu. — Raoul zrobił kawał dobrej roboty w „Niedobrej parze”, a ty jak zwykle trafiłeś w samo sedno w tych scenach z „Broadwayu”.

Dick przewinał taśmy i powiedział żywo:

— C.Z., według mnie te filmy muszą być bardziej realistyczne, skoro są mówione. Trzeba im nadać nowy wyraz, nowe brzmienie, świeższe, lżejsze, wprowadzić inny styl gry. Będziemy potrzebować nowych twarzy. Myślę, że właśnie znalazłem dla nas nową gwiazdę.

Zev uśmiechnął się. Entuzjazm Dicka stanowił jedną z jego największych zalet. Mógł człowieka porwać, jeśli się nie było ostrożnym. Dlatego stanowili tak zgrany zespół: zwariowany artysta i rozsądny pragmatyk.

— Tak? No to ją pokaż — odparł nalewając sobie brandy.

Dick założył film, zgasił światło i włączył projektor. Wziął sobie następną kanapkę i stanął z tyłu żując kurczaka.

Zobaczyli pustą scenę, na której stała jasnowłosa dziewczynka z pochyloną głową i rękoma złożonymi wdzięcznie na szyfonowej spódniczce. Powoli uniosła głowę i zaczęła tańczyć, płynąc po ekranie, robiąc piruety i wyginając się miękko do wtóru nokturnu Debussy'ego. Kiedy muzyka ucichła, dziewczynka podeszła tanecznym krokiem do kamery. Dzięki ręcznie ustawionym reflektorom platynowe włosy utworzyły aureolę wokół jej głowy, a na policzkach pojawiły się delikatne cienie. Najbardziej jednak zwracały uwagę jej jasne, senne oczy. Uśmiechnęła się nerwowo i powiedziała:

— Nazywam się Azaylee O'Bryan. Mam piętnaście lat i chodzę do szkoły średniej w Hollywood. Przez całe życie pragnęłam tańczyć, od dawna chcę grać w filmie. Dziękuję, że zrobił mi pan zdjęcia próbne, panie Nevern.

Kiedy film się skończył, C.Z. drżącą ręką odstawił kieliszek. Serce biło mu tak mocno, że przyłożył rękę do piersi, jakby chciał je przytrzymać.

— To nie koniec — powiedział Dick przewijając taśmę. — Zrobię z nią małą scenkę.

— Zaangażuj ją — rzucił C.Z. gwałtownie. — Tysiąc tygodniowo. Jutro podpiszemy umowę.

Dick patrzył zdumiony, jak C.Z. wstaje i idzie do drzwi. Twarz miał szarą, chwiały się na nogach.

— C.Z., jesteś pewien, że nic ci nie jest? — zapytał podchodząc szybko do niego. — Nie wyglądasz za dobrze...

— Jestem pewien. Mówiłem poważnie. Tysiąc tygodniowo, jutro podpisujemy kontrakt. — Byli już w holu, Abrams stanął u stóp schodów przytrzymując się poręczy. — Jest niepełnoletnia. Umowę musi podpisać rodzic albo opiekun. Znasz jej rodzinę?

— Jasne — odparł Nevern z zapałem. — Przyjaźnię się z jej matką od lat. Jutro je przyprowadzę.

Patrząc jak przesuwały się wskazówki zegara, Zev do rana chodził po domu niczym zwierzę w klatce czekające na uwolnienie. O świcie wziął prysznic, włożył lekki, pięknie skrojony garnitur, jasną koszulę z najcieńszej bawełny i starannie zawiązał przed lustrem jedwabny francuski krawat. Całości dopełniały włoskie buty i platynowy zegarek szwajcarskiej produkcji. Krytycznie przyjrzał się swojemu odbiciu, poprawił krawat i włożył do kieszeni na piersi jedwabną chustkę w kwiatki, zastanawiając się, co sobie Missie o nim pomyśli. Następnie zadzwonił po samochód i pojechał do wytwórni.

Dick Nevern zatelefonował o ósmej trzydzieści. Będą w „Magic” w południe.

C.Z. zamknął się w biurze i chodził w kółko po gabinecie do dziesiątej, a potem wezwał samochód i wrócił do domu. Wziął jeszcze jeden prysznic, przebrał się w niemal identyczny garnitur, koszulę i krawat, ponownie sprawdził w lustrze swój wygląd i pojechał z powrotem do wytwórni. Dochodziła jedenasta trzydzieści, ze zdenerwowania zrobiło mu się zimno. Co będzie, jeśli Missie o nim zapomni? Jeżeli potraktuje go chłodno, jak kogoś obcego, jak osobę z przeszłości, o której nie warto pamiętać? Ciekaw był, co się stało z jej mężem i czy miała dzieci. I czy wciąż wyglądała tak, jak ją zapamiętał.

Punktualnie o dwunastej sekretarka oznajmiła mu przez interkom, że przyszedł pan Nevern z Azaylee O'Bryan i jej matką. Powiedziała, że mają wejść.

Wstał opierając się jedną ręką o biurko i utkwiał wzrok w drzwiach.

Wyglądała dokładnie tak samo jak w jego wspomnieniach i na jego widok otworzyła szeroko fiołkowe oczy. Dick przystanął niepewnie z boku, kiedy zawołała:

— Mój Boże, przecież to Zev! To ty jesteś C.Z. Abrams? Wytwórnia „Magic” to ty?!

Dawne uczucie zalało mu serce. Nic się nie zmieniło. Otworzył szeroko ramiona, nie odrywając od niej wzroku.

— Zrobiłem to dla ciebie, Missie — powiedział cicho.

Rozdział 39

Azaylee wiedziała, co mówią na jej temat: że nie zostałyby gwiazdą w pierwszym mówionym filmie „Magic”, gdyby C.Z. nie był znajomym Missie. Próbowwała się tym nie przejmować, koncentrowała się na codziennej pracy przy „Marietcie” i trzymała blisko swojego mentora Dicka. Gra nie sprawiała jej żadnych trudności, a kamery rzeczywiście ją uwielbiały, tak jak Dick zapowiadał. Czasami wieczorem nie mogła uwierzyć, że dziewczyna na ekranie to naprawdę ona, a ponieważ występowała pod pseudonimem, wszystko stawało się jeszcze bardziej nierzeczywiste. Rosa i Missie pilnowały, żeby nie przewróciło się jej w głowie: nie pozwalały rozmawiać w domu o tym, że jest gwiazdą, i wciąż przypominały, że Ava Adair to po prostu Azaylee O'Bryan, piętnastolatka, która musi skończyć szkołę.

Azaylee lubiła wracać do domu ze studia i stawać się znów dzieckiem, które dostaje szklankę mleka, dopytuje się, co jest na kolację, i chodzi z psem na spacer. Ale nie mogła się doczekać następnego ranka, kiedy znów szła do wytwórni i zmieniała się w Avę Adair.

Wiedziała, że ludzie jej zazdroszczą, bo dobrze zarabia. Trochę się tym martwiła, ponieważ pieniądze wcale nie były dla niej ważne. Z radością grałaby w filmie za darmo, tak wielką przyjemność jej to sprawiało. Dick dał też małą rolę Rachel, więc codziennie o szóstej trzydzieści rano dwie dziewczyny jechały do studia wielką limuzyną C.Z. i chichocząc rozmawiały o osiemnastoletnim partnerze Azaylee, który wyznał, że jest w niej do szaleństwa zakochany.

— Też coś — prychała rozbawiona Azaylee. — Nawet Dick jest od niego przystojniejszy.

— No nie wiem — mówiła Rachel z namysłem. — Ma ładniejsze zęby niż Dick. — I znów wybuchwały śmiechem.

Rachel wyrosła na ładną osiemnastoletnią panienkę, miała drobną

figurkę, delikatne rysy matki i wesołe ciemne oczy. Była najlepszą przyjaciółką Azaylee. Obie zamierzały zostać gwiazdami i znały wszystkie swoje sekrety: że Rachel durzy się w wytwornym gwiazdorzce Ralfie Lance i rumieni się za każdym razem, kiedy go widzi, a Azaylee szaleje za chłopcem z Santa Monica, który w soboty i niedziele pracuje w cukierni.

Druga córka Rosy, Hannah, dorównywała siostrze urodą, ale w wieku dwudziestu lat zrezygnowała z kariery aktorskiej na rzecz pracy w agencji. Ciągłe wpadała w tarapaty, ponieważ zbyt często kierowała się uczuciami i raz za razem wysyłała na plan osoby zupełnie nie pasujące do danej roli. Najstarsza Sonia miała dwadzieścia dwa lata, pracowała jako nauczycielka w San Francisco i zaręczona była z młodym człowiekiem z miłej żydowskiej rodziny. Rosa natomiast od trzech lat umawiała się regularnie — czyli raz na miesiąc — z przemysłowcem z Pittsburgha, Samem Brockmanem, ale nie chciała wyjść za niego.

— Kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha — mówiła. — Skąd mam wiedzieć, czy to nie następny Meyer Perelman?

W głębi duszy wiedziała oczywiście, że Sam jest inny, ale lubiła swoje życie takim, jakie było. Pensjonaty prosperowały znakomicie, raz w miesiącu miała randkę, kwiaty i kolację przy świecach, od czasu do czasu wycieczkę na wyspę Catalina. A przy tym była panią siebie. Postanowiła, że żaden mężczyzna nie będzie już nigdy nią rządził.

Tymczasem Hollywood trzęsło się od plotek o romansie Missie z C.Z. Życie osobiste tego odludka omawiano teraz we wszystkich studiach, w każdej restauracji w mieście. W rozmaitych pismach pojawiły się nawet jego zdjęcia, z notatkami w rodzaju: *C.Z. Abrams z towarzyszącą mu stale Missie O'Hara na premierze ostatniego filmu wytwórni „Magic”, albo Piękna Missie O'Hara w roli pani domu na przyjęciu z okazji ukończenia filmu „Nieszczęsne dzieciaki”*.

Dick Nevern zauważył ze zdziwieniem, że Abramsowi wcale to nie przeszkadza. Co więcej, pewnego ranka przyłapał go na oglądaniu swojego zdjęcia z Missie opublikowanego w jakimś magazynie. „Stała towarzyszka — powiedział wtedy C.Z. z uśmiechem. — Połowa Ameryki zastanawia się, co to oznacza”.

Dick nie chciał pytać, co Abrams ma na myśli, ale stwierdził, że po raz pierwszy szef jest zadowolony z zainteresowania prasy. Niektórzy twierdzili cynicznie, że pozowanie na mężczyznę zdobywającego serca kobiecie dobrze wpływa na interesy, Dick jednak uważał, że to nieprawda. Widział, że Abrams jest szczęśliwy. Rosa zauważyła, że Missie też się zmieniła.

— Jak ty to robisz? — zapytała pewnego wieczoru, kiedy Missie ubierała się na spotkanie z C.Z. — Cała promienna i podniecona, bo masz z nim randkę? Wyglądasz zupełnie inaczej. Przy O'Harze byłaś łagodna, uśmiechnięta, zadowolona. Przy Zevie Abramskim stałaś się znowu młodą dziewczyną. Z daleka widać, że jesteś zakochana.

— O'Harę kochałam inaczej — odparła Missie cicho. — On był silny, ja słaba i bezbronna. Kiedy brał mnie w ramiona, czułam się bezpieczna. Był wyjątkowym mężczyzną, miał w sobie radość, dzięki której życie stawało się pogodne. Nadal go kocham i nigdy go nie zapomnę. Moje uczucia dla Zeva nie mają nic wspólnego z tym, co czułam do O'Hary. — Spojrzała na Rosę wzrokiem winowajcy. — Czy to źle, że kocham Zeva w inny sposób?

Rosa potrząsnęła głową.

— Tylko ty wiesz, jak go kochasz, i tak powinno być. Po tym wszystkim, co przeszłaś w życiu, masz prawo chwycić każdą chwilę szczęścia, jaka ci się nadarzy.

Missie jechała do Zeva nowym ciemnoniebieskim sportowym autem, które od niego dostała, i rozmyślała o ich spotkaniu. Zdumiała się widząc go za eleganckim biurkiem tamtego ranka, kiedy poszła do wytwórni porozmawiać o kontrakcie Azaylee. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją, jak się zmienił — zamiast wychudzonego, bladego, nieśmiałego właściciela lombardu zobaczyła szczupłego, przystojnego, dobrze ubranego mężczyznę. Tylko jego oczy pozostały te same, wciąż wyzierała z nich samotność i tęsknota, którą zapamiętała. Kiedy otworzył szeroko ramiona i powiedział: „Zrobiłem to dla ciebie, Missie” — osiem burzliwych lat, które upłynęły od ich ostatniego spotkania, przestało istnieć. Znalazła się z powrotem w małym lombardzie na Orchard Street, gdzie Zev przez wyslizgane zagłębienie pod mosięzną kratą podawał jej pięćdziesiąt dolarów na pogrzeb Sofii.

— Minęło dużo czasu — powiedziała miękko, ściskając jego dłoń, bo przecież nie mogła podbiec i ucałować C.Z. Abramsa, szefa wytwórni „Magic”. — Ale nigdy o tobie nie zapomniałam, Zev. Ani o twojej dobroci. Tym razem jesteś dobry dla Azaylee.

Czuła drżenie jego ręki, kiedy ujął jej dłoń i odparł cicho:

— Minęło zbyt dużo czasu, Missie.

Wtedy Azaylee zawołała:

— Zev Abramski! Pamiętam, jak pan przychodził w niedzielę na Rivington Street, żeby zabrać Missie do ukraińskiej restauracji! — Przerwała i przyjrzała mu się z sympatią. — Ale jako C.Z. Abrams wygląda pan inaczej.

— Ty też się zmieniłaś. Prawdziwa młoda dama. — Obrzucił ją

spojrzeniem smutnych ciemnych oczu i również się uśmiechnął. — Kamera nie skłamała, jesteś naprawdę uroczą młodą damą.

Azaylee zarumieniła się i spuściła wzrok.

— Bardzo bym chciała zostać aktorką — oświadczyła z zapamiętaniem. — Marzę o filmie, w którym mogłabym tańczyć.

Usiadła na kanapie obok Dicka. Słuchając rozmowy Zeva z Missie położyła ręce na kolanach i skromnie skrzyżowała nogi — dobrze wychowana panienka w każdym calu.

— Dick pokazał mi zdjęcia próbne — zaczął Zev bez żadnych wstępów. — Azaylee błyszczała na ekranie jak perła. Ma też drugą, bardzo teraz istotną zaletę — niski, ładny głos o słodkim brzmieniu, Uważam, że ma zadatki. Chcielibyśmy, żeby zagrała w filmie pod tytułem „Marietta”. Oczywiście za twoim pozwoleniem.

— Ma zaledwie piętnaście lat — rzekła Missie z wahaniem. — Powinna skończyć szkołę, może pójść na studia...

Kiwnął głową.

— Naturalnie. Jest jeszcze dzieckiem i nie będzie pracować tyle co dorośli. Zatrudnimy nauczycieli i dopilujemy, żeby odpoczywała w ciągu dnia. Nie martw się, Missie — dodał łagodnie. — Będę się nią opiekował.

— Wiem o tym...

— Och Missie, proszę, proszę, proszę! — Azaylee rzuciła się przed nią na kolana. — Błagam, zgódź się.

Missie zaśmiała się, ale w głębi duszy nadal nie była pewna, czy postępuje właściwie. Lekarz ostrzegał, że każdy stres czy uraz może zaprowadzić Azaylee z powrotem do świata „niby-nigdy”, wydawało się więc, że nie powinni narażać wrażliwej piętnastolatki na problemy związane z pracą aktorki. Ale tak bardzo tego chciała. Od czasu śmierci O'Hary nigdy jeszcze nie była tak radosna i ożywiona...

— Przyszłam tu, żeby ci odmówić — odezwała się Missie w końcu. — Miałam zamiar poprosić cię, żebyś obejrzał Azaylee za jakiś czas, kiedy dorośnie, ale skoro ty tego chcesz, Zev, to jak mam powiedzieć „nie”?

— Dziękuję, dziękuję! — Uszczęśliwiona Azaylee w ekstazie wirowała po pokoju. Zatrzymała się przy biurku C.Z. i oświadczyła poważnie:

— Obiecuję, że będę ciężko pracować. Będę robić wszystko, co pan każe. Nie zawiodę pana.

— Oczywiście, że nie — zgodził się ze śmiechem.

Dick Nevern ze zdziwieniem uświadomił sobie, że C.Z. prawie nigdy dotąd się nie śmiał, nawet na własnych komediach. Uśmiech również rzadko gościł na jego twarzy.

Abrams zaproponował, żeby Dick oprowadził Azaylee po wytwórnię a potem odwiózł ją do domu, on zaś weźmie Missie na obiad i omówią sprawę kontraktu.

Jadąc teraz do Zeva, Missie wspominała tamten pierwszy lunch.

C.Z. wezwał samochód i zawiózł ją do siebie, jakby nie mógł się doczekać, by jej pokazać, że nie jest już biednym właścicielem lombardu, lecz kulturalnym człowiekiem o dobrym guście. Ale jego wielki dom z miękkimi dywanami i wspaniałymi obrazami wydawał się martwy jak muzeum.

Lokaj podał im wyśmienity posiłek, w trakcie którego siedzieli sztywno przy pięknym zabytkowym stole z orzecha i rozmawiali o pogodzie i pięknych ogrodach. Nagle Zev ujął nad stołem jej dłoń i powiedział:

— Opowiedz mi, czemu jesteś taka smutna.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie sądziłam, że to wciąż widać.

— O, tak — odparł cicho. — W wyrazie twarzy, w oczach, w twoim milczeniu.

Opowiedziała mu wszystko tak jak kiedyś, nawet to, jak się czuła w noc poślubną i jak znalazła broszkę Iwanowów. Opowiedziała mu o Azaylee i o swojej miłości do O'Hary. Rozpłakała się mówiąc o jego zamordowaniu, ale Zev nie próbował Missie pocieszać, podał jej tylko chusteczkę i pozwolił się wypłakać.

— I co teraz? — zapytał na koniec. — Poskładałaś Azaylee, ale co z tobą? Może też powinnaś poradzić się doktora Junga?

Potrząsnęła głową.

— Ja jestem ta silna — zmusiła się do uśmiechu. — Poza tym mam Rosę, mogłam z nią rozmawiać, nie dusiłam wszystkiego w sobie jak Azaylee. Dlatego wahałam się, czy pozwolić, żeby została aktorką. A jeśli jej się nie uda? Wiem, jak druzgocące mogą być recenzje krytyków i nie jestem pewna, czy zniosłaby coś takiego.

— A w jaki sposób sprawdzi, czy jest dobra, jeśli nie spróbuje? Możliwe, że odniesie wielki sukces. Nie możesz wciąż chronić jej przed życiem. Musisz pozwolić jej żyć na własny rachunek.

— Chyba masz rację — westchnęła. Nadal jednak pełna obaw, uparła się, żeby Azaylee występowała pod pseudonimem. Po długim namyśle wytwórnia zdecydowała się na „Avę Adair”.

Przeszli do dużego salonu z widokiem na aleję palm prowadzącą do niebieskiego basenu. Zev przebiegł palcami po klawiszach białego fortepianu.

— Zawsze kiedy cię widziałem, grałem ten utwór — wyznał, gdy

łagodne, czyste dźwięki etiudy Chopina wypełniły pokój. — Wracalem do domu po kolacji w tamtej ukraińskiej restauracji i marzyłem o tobie. Całe moje życie zmieniło się w chwili, gdy cię poznałem, Missie. — Spuścił wzrok na klawiaturę. — Mówiłem szczerze, że zrobiłem to dla ciebie. Byłem w tobie zakochany, ale zapytywałem sam siebie, co mogę zaoferować takiej damie? Dwa pokoje przy lombardzie i męża, który pożyczka miedziaki pod zastaw niedzielnych koszul innych mężczyzn? Kiedy sprzedałem interes i przyjechałem do Hollywood, byłem zdecydowany zrobić karierę, stać się kimś ważnym, kimś szanowanym. Wtedy miałem wrócić i prosić cię o rękę. Gdy przeczytałem o twoim małżeństwie z Arnhaltem, chciałem go zabić. — Zaśmiał się ironicznie. — Zamiast tego wyładowałem złość na facecie, który myślał, że trafił na frajera i próbował mnie naciągnąć. Oczywiście wygrałem z nim, i to był początek wytwórni „Magic”.

— A teraz jesteś C.Z. Abramsem, jednym z najważniejszych ludzi w Hollywood. — Stanęła obok niego. — Ale dla mnie nie ma to znaczenia. Zawsze cię szanowałam, Zev. Zawsze uważałam cię za równego sobie.

Została wtedy długo, popołudnie przeszło w wieczór, wieczór w zmierzch, podczas gdy oni sęcili szampana i otwierali przed sobą serca niczym starzy, dobrzy przyjaciele, tak samo jak kiedyś przy butelce cierpkiego wina w ukraińskiej knajpce.

Wszystko to miało miejsce osiem miesięcy temu. Ich romans rozwijał się powoli wraz z postępem prac nad „Marietą”. Teraz film był skończony i dziś wieczór Zev urządził dla niej prywatny pokaz. Nie zaprosił nawet Dicka.

Dom pachniał woskiem i różami. Dawne sztywne bukiety zastąpiły stojące w wielkich srebrnych wazach pęki ogrodowych kwiatów, które gubiły płatki na wypolerowane blaty w ostatnim tchnieniu gasnącego piękna. Juliet, charcica Zeva, leżała wyciągnięta na kozetce w holu; otwarte na oścież drzwi i okna łąpały wieczorne promienie słońca. Zniknęły ciężkie brokatowe kotary, a na ich miejscu wisiały proste zasłony z kremowego jedwabiu; zamiast zimnych, ciemnych mebli ustawiono wygodne sofy i fotele, które czyniły z pokoi przytulne zakątki. Wszędzie porozrzucane były książki i czasopisma, a pod stołem leżał nie zauważony, przeżuty przez psa skórzany kapeć. Pod wpływem Missie dom zmienił swój charakter, Zev także wyglądał teraz inaczej: był rozluźniony, uśmiechnięty, swobodny.

— Wszystko przygotowane — oznajmił z podnieceniem — i chyba mogę obiecać ci niespodziankę.

— Przyjemną czy nie?

Uśmiechnął się.

— Sama ocenisz.

Zaprowadził ją na taras, gdzie pod niebieską markizą stal nakryty do kolacji biały stół.

Nie istniało nic, czego by o niej nie wiedział; nic, czego ona nie wiedziałaby o nim, ich losy były teraz połączone. Kiedy siedzieli przy stole rozmawiając o winie, truskawkach i filmie, łączyła ich zażyłość pary będącej od lat małżeństwem. A przecież nie byli nawet kochankami.

Missie uznała, że Zev tego wieczoru wygląda wyjątkowo korzystnie. Po kolacji wziął ją za rękę i powiedział:

— Nadeszła chwila prawdy. Jesteś gotowa?

Włączył projektor, zgasił światło i usiadł obok niej. Historia Marietty była prosta — opowieść o sierotce czyniącej dobro. Zawierała w sobie patos i humor, wyreżyserował ją mistrz w osobie Dicka Neverna. Na ekranie mignęła czołówka, przeleciały napisy, po czym nagle pojawiła się Azaylee patrząca na Missie wielkimi, przerażonymi oczyma i pytająca, gdzie są jej rodzice. W jej niskim głosie wyczuwało się napięcie, które natychmiast chwyciło za serce i sprawiało, że przez resztę filmu nie można już było oderwać od niej oczu.

Missie milczała, kiedy Zev zmieniał szpulki, i obejrzała film do końca bez jednego słowa, po czym wybuchnęła płaczem.

— Nie wiedziałam, że ona może być taka, Zev. — Pociągnęła nosem. — Nie wiedziałam, że może tak wzruszać.

— Ale ja wiedziałem — odparł łagodnie. — Zrozumiałem to w chwili, gdy ją zobaczyłem.

Miesiąc później „Marietta” weszła na ekrany równocześnie w Nowym Jorku, Filadelfii i San Francisco, otrzymując wszędzie świetne recenzje. Krytycy obsypali młodą Avę Adair pochwałami, obwołali ją „odkryciem”, „rozkwitającą gwiazdą” i „utalentowaną młodą aktorką”. Azaylee miała niecałe szesnaście lat i posyłanie jej na studia wydawało się głupotą, skoro otwierała się przed nią taka wspaniała kariera. Wobec tego Missie zabrała ją razem z Rachel na wakacje.

— Jedźcie do Meksyku, do Agua Caliente — podsunął Zev. — „Magic” pokryje rachunki.

W przeciwieństwie do taniej, hałaśliwej Tijuany Agua Caliente była luksusowym kurortem oferującym gorące źródła i kąpiele błotne, tereny golfowe, korty tenisowe i olbrzymi marmurowy basen, który podobno kosztował siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Hotel mógł się pochwalić pięćdziesięcioma wytworami bungalowami z różo-

wymi łaźniakami i szylkretową armaturą oraz jadalnią, w której na złożonych półmiskach serwowano europejskie dania i podawano najlepsze francuskie wina. Dla swojej przyszłej gwiazdy i przyszłej żony Zev chciał wszystkiego co najlepsze, chociaż nie poprosił jeszcze Missie o rękę, bo postanowił dać jej czas, żeby zapomniała o tragedii z O'Hara.

Agua Caliente słynęła również z wyścigów konnych i gonitw psów, toteż hotel był pełen rozmaitych hazardzistów, gwiazd filmowych i ludzi z wyższych sfer. Rachel i Azaylee spędzały większość czasu w olbrzymim basenie, popijały lemoniadę z wysokich szklanek traktując jak powietrze każdego chłopca, który próbował z nimi poflirtować, i chichotały, kiedy wycofywał się, zbity z tropu rozbawionym spojrzeniem dwóch par pięknych, wzywających oczu. Kręcił się tam jeden mężczyzna, który się dziewczętom dosyć podobał, Meksykanin o wyglądzie playboya, niejaki Carlos del Villaloso. Był od nich starszy, miał chyba ze trzydzieści lat, ale ku ich zmartwieniu zwracał uwagę na wszystkie kobiety w hotelu oprócz nich.

Missie przechadzała się w chłodny wieczór po ogrodzie, kiedy zdała sobie sprawę, że ktoś dotrzymuje jej kroku. Podniósłszy wzrok, zobaczyła obok siebie Carlosa del Villaloso.

— Piękny wieczór, *señora* — powiedział z czarującym uśmiechem. — Widzę, że pani tak jak ja jest miłośniczką przyrody. Piękne ogrody są jedną z największych radości świata. Francja, Włochy i Anglia oczywiście doszły w tej dziedzinie do perfekcji, dzięki klimatom. Dziś jednak myślę, że mój ojczysty kraj wcale nie wypada źle w porównaniu z nimi. Zawsze uważam mój własny ogród za najpiękniejszy, dopóki nie zobaczę innego.

Przystanęła pod drzewem obrośniętym barwnym pnączem.

— Sądzę, że najlepiej jest zachwycać się tym ogrodem, w którym się właśnie stoi — odparła z chłodnym uśmiechem.

Stuknął obcasami i skłonił się grzecznie.

— *Con su permcsso, señora.* Carlos del Villaloso.

Był wysoki, szczupły i elegancki, a jego oliwkowa skóra była tak gładka, że wyglądała na wypolerowaną. Miał ciemnobrązowe oczy, cienkie wąsiki i bardzo białe, równe zęby. Był ubrany w białą marynarkę, czarne włosy wypomadował na gładko, na małym palcu lewej ręki nosił sygnet z dużym brylantem.

— O'Hara — przedstawiła się.

— O'Hara? — Villaloso zmarszczył brwi z namysłem. — Chyba znam to nazwisko...

Odwróciła się pospiesznie.

— Obawiam się, że muszę wracać. Moja córka na pewno chce już iść na kolację.

Roześmiał się i powiedział:

— Ach, młode dziewczyny zawsze są głodne. Czasem się im przyglądam i zastanawiam, gdzie one to wszystko mieszczą. — Szedł obok niej. — Miło mi było panią poznać, *senora* — rzekł z uprzejmym ukłonem, gdy Missie szybkim krokiem wchodziła do hotelu.

Później w jadalni, idąc do swojego stolika, ukłonił się jej z uśmiechem. Zdziwione dziewczęta odprowadziły go wzrokiem.

— Naprawdę go poznałaś? — zawołały podniecone.

Missie przytaknęła.

— Rozmawialiśmy o ogrodach.

— Pomyśl, rozmawiać o ogrodach z takim mężczyzną — Rachel przewróciła oczami. — W życiu nie widziałam nikogo o tak łotrowskim wyglądzie.

Gapiły się na niego, aż odwzajemnił ich spojrzenie. Wtedy dopiero zarumienione opuściły wzrok.

— Jest interesujący — szepnęła Azaylee. — Zupełnie inny niż ci głupkowaci chłopcy, którzy nas zaczepiali przez cały tydzień.

— Interesujący łotr — dodała Rachel i Missie westchnęła, kiedy obie zaczęły chichotać.

Zasięgnęła dyskretnie języka i dowiedziała się, że *senor* Carlos należy do stałych bywalców hotelu, grywa wysoko na wyścigach i ma opinię podrywacza. Rzadko odwiedzał hotel w ciągu dnia, ale Missie i tak starała się nie chodzić sama do ogrodu, a widząc pana del Villaloso witała go tylko z daleka grzecznym skinieniem głowy.

— Wiesz co — powiedziała Azaylee do Rachel pewnego wieczoru po kolacji — nudzi mi się. — Leżała wyciągnięta na kanapie z nogami przerzuconymi przez oparcie. — Jeśli ktoś nie ma bzika na punkcie wyścigów i nie lubi pić, to nie ma tu co robić. Nawet o seksie można zapomnieć.

— A co ty wiesz o seksie? — zadrwiła Rachel.

Azaylee opuściła szczupłe nogi i usiadła.

— Niewiele — przyznała. — Ale chętnie się dowiem. Tijuana jest niedaleko stąd, Rachel. Co byś powiedziała na małą wycieczkę?

W jej oczach pojawił się błysk emocji i Rachel popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

— Co masz na myśli?

— Ubierzmy się po dorosłemu i chodźmy zobaczyć, jak tam jest. Przejdziemy się, zajrzemy tu i ówdzie... coś się wreszcie będzie działo. — Zachichotała. — Przyznaj się, Rachel, nie jesteś ani trochę ciekawa?

— Nie tak jak ty — stwierdziła Rachel z uśmiechem. — Ale idę z tobą.

Azaylee podbiegła do szafy.

— Włożymy nasze najbardziej nieprzyzwoite sukienki. Ty masz dobrze, nosisz kok, ja będę musiała upiąć włosy i nałożyć kapelusz.

Ubrane w najbardziej wyzywające stroje, które i tak były raczej tradycyjne, wymknęły się z hotelu i zatrzymały taksówkę. Kiedy kazały się zawieźć do Tijuany, kierowca spojrzął na nie ze zdumieniem i zażądał podwójnej ceny.

— *A dónde ahora?* — zapytał, kiedy jechali powoli zatłoczoną ulicą pełną barów i tanich lokali.

— Może być tutaj — Azaylee wyskoczyła z samochodu i podała taksówkarzowi połowę należności. — Proszę na nas poczekać. Wrócimy za godzinę.

Wzruszył obojętnie ramionami. Dziewczęta ruszyły ulicą trzymając się nerwowo jedna drugiej, jakby bały się, że ktoś na nie wyskoczy z bocznej uliczki, porwie i sprzeda w niewolę. Z setek barów płynęła głośna muzyka, przy drzwiach kręcili się naganiacze, alfonsi, dziwki i pijacy.

Azaylee zatrzymała się, żeby obejrzeć fotosy przed klubem z wizerunkiem słynnej Wenus i napisem „Wszystko jest dozwolone”. Zerknąwszy z ciekawością na żaluzjowe drzwi, cofnęła się z lekkim okrzykiem, kiedy wychodził następny pijak. Otworzyła szeroko oczy na widok nagiej kobiety z dwoma mężczyznami na scenie.

Z trudem łapiąc powietrze złapała Rachel za rękę i pociągnęła za sobą.

— Widziałaś? — zapytała półgłosem. — Rachel, widziałaś, co oni robili?

— Nie. — Rachel spojrzała w przestraszone oczy Azaylee i zawołała: — Co, Azaylee? No powiedz!

Azaylee wyszeptała:

— Byli nadzy... we troje... i...

Wzdrygnęła się. Zdenerwowana Rachel jęknęła.

— Wiedziałam, że nie powinnyśmy tu przychodzić.

— Och, Rachel, oczywiście, że powinnyśmy. — Azaylee ogarnęło dziwne nerwowe podniecenie. Nigdy nie powie nikomu, co naprawdę zobaczyła, nawet Rachel. Przeszła na drugą stronę ulicy i zatrzymała się przed „The Comerciale”.

— Może jednak chodźmy do domu — powiedziała Rachel, idąc za nią niechętnie.

Carlos del Villaloso wracał z Klubu Cudzoziemców, gdzie przegrał właśnie pięć tysięcy. W kieszeni miał dokładnie trzysta dolarów, za mało nawet na opłacenie rachunku hotelowego, nie mówiąc już o pofolgowaniu namiętności do hazardu. Dwie dziewczyny kręcące się

przed „The Commerciale” z daleka rzucały się w oczy. Uśmiechnął się widząc, jak łapią się za ręce i nawzajem zachęcają do wejścia. A więc uciekły swojej pięknej strażniczce i wyruszyły na poszukiwanie przygód. Któż lepiej od niego wprowadzi je w świat? Poprawił krawat i ruszył przez ulicę w kierunku „The Commerciale”.

— *Buenas noches, señoritas.* — Posłał im rozbijający uśmiech, kiedy odwróciły się przestraszone. — Znam was z hotelu i zastanawiam się, czy wiecie, że dobrze wychowane panienki raczej nie powinny włączyć się po Tijuanie?

Zarumieniły się i z zakłopotaniem spuściły wzrok.

— Lepiej będzie, jeśli dotrzymam wam towarzystwa. „The Commerciale” nie jest odpowiednim miejscem dla pań bez eskorty.

Przytrzymał im drzwi; weszły do środka uśmiechając się nieśmiało i mamrocząc podziękowania. Znalazł miejsca przy długim, niemal stumetrowym barze, złapał jednego z piętnastu barmanów i zapytał je, czego się napiją. Skrzywił się, kiedy poprosiły o lemoniadę. Mrugnął do barmana i dodał cicho:

— Z odrobiną dżinu.

Azaylee z łokciami opartymi o bar sączyła „lemoniadę” i rozglądała się szeroko otwartymi oczyma po hałaśliwym tłumie pijaków, alfonsów i prostytutek, którzy przekradali się nocą przez granicę w poszukiwaniu przyjemności zakazanych w ich rodzinnej Ameryce. Śliczne ciemnookie dziewczęta pokazywały swoje wdzięki, na które znajdowało się wielu amatorów; alkohol lał się strumieniami przy wtórze ogłuszającej muzyki. Azaylee czuła dreszcze na plecach: nigdy jeszcze nie była w tak ekscytującym miejscu.

Carlos stwierdził, że brunetka jest wyraźnie przestraszona, ale blondynka wydała mu się interesująca. Burza jasnych włosów i te dziwne, fascynujące oczy błyszczące podnieceniem. Nie mogła usiedzieć na miejscu. Kręciła się na stołku i nerwowo popijała „lemoniadę”, jakby spodziewała się, że lada chwila ktoś ją zaaresztuje. Rzecz jasna obie były za młode i zbyt niewinne, by mógł się nimi zająć. Potrzebował kogoś takiego jak ich matka, dojrzałej kobiety z porządnie wypchaną sakiewką, a nie podfruwajek szukających rozrywki. Z drugiej strony niewinność też miała swój urok — udzielenie blondynce pierwszej lekcji zepsucia mogłoby się okazać całkiem zabawne. Puścił oko do barmana i zamówił jeszcze dwie „lemoniady”.

— Jesteście pewnie studentkami na wakacjach? — zapytał, kiedy barman postawił przed nimi nowe drinki.

Twarz Azaylee zarumieniła się od dżinu, oczy jej błyszczały, kiedy mówiła:

— Och, nie. Gramy w filmach.

— W filmach? — Pomyślał o pani O'Hara. Nie wyglądała na „aktorską mamusię”, była zbyt elegancka i wyniosła. Uznał ją za wykształconą damę z dobrej, bogatej rodziny. Zbyła go tak jednoznacznie, że nawet mu się nie chciało jej sprawdzać, teraz jednak poczuł się zaintrygowany.

— A twój ojciec? — zapytał przysuwając się do Azaylee. — Gdzie jest?

Czknęła głośno i zakryła dłonią usta.

— Tatuś... tatuś nie żyje — dokończyła. Usta jej drżały, szybko więc ujął jej dłoń i ścisnął.

— Rozumiem — powiedziała łagodnie. — Przepraszam, że zadałem tak osobiste pytanie.

Rachel wpatrywała się w lemoniadę. Oczy jej się zamykały, powiedziała z ziewnięciem:-

— Nic nie szkodzi. Missie wyjdzie teraz za C.Z.

— Za C.Z. Abramsa? — Uniósł ze zdziwieniem brwi. Teraz mu się przypomniało, nieraz widział ich oboje w gazetach. Była wdową po Królu O'Harze, a ta blondynka musiała być jego córką.

Azaylee spojrzała na rękę wciąż ściskającą jej dłoń. Podniosła na niego wzrok, rozchyliła usta i oblizała wargi. Poczuł nagły przypływ pożądania, choć zazwyczaj nie zadawał się z dziewczycami. Wolał kobiety nie tylko bogate, ale i doświadczone, takie, które lubiły się kochać tak samo jak on. Ale ta mała była naprawdę niezła...

— Dziwnie smakuje ta lemoniada — rzekła Rachel sennym głosem. Zbladła i dodała: — Chyba niezbyt mi służy.

Carlos jęknął. Jeszcze tego brakowało, żeby mu tu zaczęła wymiotować.

— Chodźcie — zgarnął je szybko. — O tej porze wszystkie grzeczne dziewczynki idą do łóżka.

Azaylee posłała mu uwodzicielskie spojrzenie spod rzęs i mruknęła:

— Myślałam, że do łóżka idą raczej te niegrzeczne.

Zaśmiał się i wyprowadził je z baru obejmując niedbale ramieniem.

— Grzecznym też się zdarza — szepnął blondynce do ucha.

Usiadł między nimi w taksówce i otworzył okno dla Rachel na wypadek, gdyby się rozchorowała, ale natychmiast zasnęła. Azaylee oparła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

— Taka jestem śpiąca. — Przytuliła się do niego.

Pogładził ją po twarzy, przesuwając palcem po powiekach, policzkach i wargach, które zdrząły pod jego dotknięciem. Miała zamknięte oczy, ale wiedział, że nie śpi. Jego palce powędrowały

w dół, aż dotarły do małej, delikatnej piersi. Czuł łomot jej serca, słyszał przyspieszony oddech, gdy przesuwał palcami po miękkim ciele odsłoniętym przez głęboki dekolt różowej jedwabnej sukienki. Wstrzymała oddech, kiedy wsunął dłoń głębiej. Poczul bijące od niej ciepło, obrócił ku sobie jej twarz i przyłgnął wargami do ust w namiętym pocałunku.

Przywarła do niego oszołomiona. Chwycił jej dłoń i przyłożył do nabrzmiałego krocza. Spróbowała ją wyrwać, ale Carlos nie puszczał.

— Zobacz — szepnął. — Widzisz, co dziewczyny takie jak ty robia z mężczyzną? Rozpalają go i doprowadzają do szaleństwa, a potem zostawiają. Nie masz pojęcia, jaki to ból. — Przycisnął jej rękę mocniej do pulsującego członka. — Chciałem ci tylko pokazać, jak to jest, żebyś pamiętała, co mi zrobiłaś, ty okrutne, nieczułe niewiniątko.

Azaylee wyrwała mu się i usiadła prosto, czerwona na twarzy. Zaczęła płakać. Łzy spływały jej po policzkach i spadały na różową sukienkę.

— Ja nie chciałam. Nie miałam zamiaru sprawić ci bólu. Nie wiedziałam... — Czknęła ponownie i Carlos z westchnieniem podał jej chusteczkę.

— Teraz już wiesz — powiedział szorstko, kiedy taksówka zatrzymała się przed hotelem. — Mała przestroga, panno O'Hara. Igra pani z ogniem.

Taksówkarz uśmiechnął się znacząco, gdy jego pasażer pomógł dziewczętom wysiąść i kazał im czym prędzej wracać do hotelu. Carlos patrzył, jak mijają obrotowe drzwi i idą niepewnym krokiem przez hol. To dopiero początek, pomyślał. Poczekał, panno Azaylee. Zapalił wąskie cygaro i poszedł na spacer, rozmyślając o Missie O'Hara.

Następnego ranka w trakcie spożywanego w milczeniu śniadania zaskoczona Azaylee zobaczyła idącego w ich stronę Carlosa. Kopnęła Rachel pod stołem, wbiła wzrok w talerz i zaczerwieniła się jak burak. Rachel rzuciła niespokojne spojrzenie na Missie, potem na Carlosa, który z uśmiechem kiwnął do nich głową.

Azaylee czuła, że roztapia się w środku, kiedy usłyszała jego głos.

— *Buenos dias, señora O'Hara, señoritas* — powiedział. — Przepraszam, że przerywam paniom śniadanie, ale dzień jest taki piękny — zawahał się — że postanowiłem spytać, czy uczynią mi panie zaszczyt i zjedzą ze mną lunch. Pomyślałem, że moglibyśmy się wybrać na piknik, może wpaść na wyścigi. W gruncie rzeczy młodzi ludzie czasem się tu nudzą.

— Bardzo to uprzejme z pana strony, *senor del Villaloso* — odparła Missie żywo — ale mamy na dziś inne plany.

Azaylee podniosła głowę.

— Och, Missie — zaczęła prosząco i Missie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Rozumiem — odparł Villaloso chłodno. — Może innym razem?

Azaylee patrzyła jak odchodzi, nie obdarzywszy jej ani jednym spojrzeniem. Po tym wszystkim, co zaszło między nimi w nocy...

— Co się z tobą dzieje? — skarciła ją Missie. — Myślałby kto, że nie pozwoliłam ci być królową majowej parady. Pozbyłam się tego okropnego człowieka, bo to hazardziasta i podrywacz. Z pewnością nie pojedę z nim na żaden piknik, nie mówiąc już o wyścigach.

— Jak możesz tak mówić? — mruknęła Azaylee ze złością. — Wcale go nie znasz.

Missie uniosła pytająco brwi.

— Ty za to znasz go lepiej? Dosyć tego, skończmy śniadanie. Załatwiłam dla was obu lekcje tenisa z instruktorem. Przyda się wam trochę ruchu na korcie, może się ożywiecie. — Przyjrzała się im uważnie. — Na miłość boską, przyjechaliśmy tu na wakacje, a wy wyglądacie jak widma.

Rachel westchnęła na wspomnienie nocy spędzonej na wymiotowaniu i powiedziała z przekonaniem:

— To chyba ta lemoniada... — zakryła dłonią usta. — Chodzi mi o to, że chyba pijemy za dużo lemoniady.

— Za dużo jedzenia, a za mało ruchu — zgodziła się Missie i wyprowadziła je szybko z jadalni, żeby Villaloso nie mógł już z nimi rozmawiać.

Przez następne dwa dni organizowała im czas: opłaciła lekcje tenisa rano i po południu, zachęcała do intensywnego pływania, nie tylko pluskania się w wodzie — dwadzieścia basenów bez odpoczynku, zabierała na długie spacery i posyłała wcześniej do łóżka. Ale kiedy wakacje dobiegły końca i trzy turystki wracały do Los Angeles, Missie zastanawiała się z obawą, czy przypadkiem nie przesadziła. Azaylee była blada i zmęczona, Rachel milcząca. Obserwowała je nic nie rozumiejąc, bowiem za każdym razem, gdy napotykała wzrok Azaylee, dziewczyna wyglądała na przestraszoną. Ale niby czego miałyby się bać? Przecież właśnie wracała ze wspaniałych wakacji.

Rozdział 40

Podczas pobytu w Agua Caliente Missie dużo myślała o C.Z. i na koniec podjęła decyzję. Jeśli Zev Abramski nie poprosi jej o rękę, sama mu się oświadczy.

Kiedy wróciły, ubrała się w prostą niebieską spódnicę i białą bluzkę. Wyszczotkowała lekko wijące się, krótkie włosy, żałując, że je obcięła — Zewowi tak bardzo podobały się jej długie loki. Spryskała się ulubionymi perfumami od Elise i obejrzała krytycznie swoje odbicie. Ciekawa była, jak bardzo dwukrotnie zamężna i dwukrotnie owdowiała dwudziestodziewięcioletnia kobieta różni się w oczach Zeva od naiwnej osiemnastolatki, którą poznał dawno temu. Rosa utrzymywała, że Missie wciąż porusza się jak łania i mimo wszystkich cierpień i kłopotów jej twarz nadal wygląda tak samo, tylko oczy ma bardziej zmęczone.

Wiedziona impulsem wyciągnęła spod łóżka starą walizkę i wysypała jej zawartość na różową narzutę. Zabłyśły brylanty z tiary, wielki szmaragd zazielenił się w blasku słońca jak morze w Konstantynopolu. Rosja i przeszłość nigdy nie wydawały się bardziej odległe — Missie uświadomiła sobie, że odkąd jest z Zevem, prawie nie myśli o czekistach czy Arnhaldcie, czasem tylko o nich śni. Zostali pogrzebani w przeszłości wraz ze skarbem Iwanowów.

Podniosła fotografię księcia Iwanowa i spojrzała na nią czule, potem wzięła z szafki nocnej zdjęcie Azaylee. Nie było żadnego podobieństwa, dziewczynka była wykapaną matką. Przytuliła do piersi fotografię Miszy, zastanawiając się, czy po tylu latach powinna pokazać ją Azaylee i powiedzieć jej prawdę. Lekarz jednak ostrzegął ją, że Azaylee nie jest wystarczająco silna psychicznie.

— Nidy o tobie nie zapomnę, Misza — znów przycisnęła zdjęcie do serca. — Ale sam rozumiesz, spotkałam mężczyznę, którego naprawdę kocham i który kocha mnie.

Odłożywszy fotografię do walizki, wzięła do ręki broszkę Iwanów i zaczęła obracać ją w słońcu we wszystkie strony, żeby załśniła tysiącem refleksów. Zawahała się przez chwilę, po czym przypięła ją przy kołnierzyku bluzki. Broszka wyglądała zbyt wytwornie w porównaniu z jej prostym strojem, ale mając ją na sobie czuła, że Misza aprobeje to, co zamierzała zrobić.

Schowała walizkę i zbiegła na dół do kuchni, gdzie Rosa i jej absztyfikant z Pittsburga siedzieli przy herbacie z cytryną. Rosa otworzyła szeroko oczy na widok broszki.

— Wyglądasz, jakby pół ciebie chciało iść na bal, a drugie pół wolało zostać w domu — powiedziały.

Missie porwała ciastko z blachy stygnącej przy otwartym oknie i roześmiała się na widok groźnego spojrzenia Beulah.

— Podwójne pułdo. Idę oświadczyć się mężczyźnie, którego kocham.

— Chciałbym, żeby moja pani też miała tyle oleju w głowie — stwierdził smętnie Sam Brockman.

— Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? — zapytała Rosa.

Missie skinęła głową.

— Najzupełniej. — Ściągnawszy kolejne ciasteczko, pobiegła radośnie do drzwi. — W końcu jak dziewczyna ma dostać, czego chce, jeśli o to nie poprosi?

— Popełniasz błąd! — zawołała za nią Rosa. — To mężczyzna powinien się oświadczać...

Missie wetknęła głowę przez drzwi i powiedziała:

— Więc jeśli dostanę kosza, przyjdę wypłakać się na twoim ramieniu i będziesz mogła powiedzieć: „a nie mówiłam?”

— Wariatka — mruknęła Rosa, kiedy Missie zniknęła.

— Też powinnaś być taką wariatką — oznajmił Sam. — Gdybyś mnie poprosiła o rękę, natychmiast powiedziałbym „tak”.

— Ale nie proszę. — odparła Rosa z pogardliwym prychnięciem. — I sama zgodzę się dopiero wtedy, jak będę gotowa.

— Może kiedyś się zdecydujesz — powiedział Sam i uśmiechnęli się do siebie.

Zev czekał na tę chwilę cały dzień. Pospieszył powitać Missie, otwierając szeroko ramiona.

— Boże, jak ja za tobą tęskniłem! — Zanurzył twarz w jej pachnących włosach.

Wyszli na taras i oparli się o kamienną balustradę, zasłuchani w brzęczenie cykad, ptasie nawoływanie i szmer małego wodospadu

opadającego do basenu. Pociągła, przystojna twarz Zeva była poważna i napięta.

— Nie zostawiaj mnie już nigdy, Missie — powiedział przez zaciśnięte zęby, wpatrzony w dal. — Zostań tu. Wyjdź za mnie.

Zaskoczona odwróciła się do niego, ale on nadal opierał się o balustradę i patrzył przed siebie. Roześmiała się.

— Zevie Abramski, myślałam, że już nigdy mnie o to nie poprosisz. Zwrócił się ku niej z nadzieją w oczach.

— Więc się zgadzasz?

Skinęła głową.

— Tak, wyjdę za ciebie. Ze wszystkich mężczyzn, jakich spotkałam w życiu, ciebie kocham najbardziej. — Dotknęła broszki Miszy i dodała: — Ale w inny sposób...

— Nie obchodzą mnie żadne sposoby. Ważne, że mnie kochasz. — Uradowany wziął ją w ramiona. — Chcę tylko wiedzieć, kiedy?

— Daj mi miesiąc. — Pomyślała o O'Harze i ich krótkim małżeństwie. — Chciałabym jednak, żeby ślub był skromny, Zev. Tylko rodzina.

Zev przetrwał następne cztery tygodnie w stanie nerwowego podniecenia i lęku, że Missie może zmienić zdanie. Zakopał się w pracy, nie pozwalając sobie na żadne rozmyślenia, ale żył jedynie dla bezcennych godzin wieczornych, które spędzali razem.

Tylko Rosa, Rachel, Hannah i Sonia zostały zaproszone na ślub, a Azaylee miała być druhną. Dick Nevern, jako najbliższy przyjaciel i współpracownik C.Z., miał odprowadzić pannę młodą do ołtarza. Zaplanowali, że ceremonia odbędzie się w ratuszu Beverly Hills, a przyjęcie w domu Zeva.

„Magic” była w środku zdjęć do „Marietty w górach” z Azaylee w roli głównej, drugiej części „Marietty”. Zev nie zgadzał się, żeby ktoś inny zatwierdzał ostateczną wersję, wobec czego podróż poślubną odłożono do czasu ukończenia filmu. W tym czasie Azaylee miała mieszkać u Rosy.

Missie zorientowała się od razu, że coś jest nie tak. Azaylee co rano wychodziła do wytwórni roześmiana i rozszczębiotana, a wieczorem wracała osłabiona i wyczerpana. W milczeniu jadła kolację, po czym oznajmiała, że jest zmęczona, i natychmiast szła do łóżka.

Na tydzień przed ślubem Missie uznała, że dłużej tego nie wytrzyma, i poszła za nią na górę. Azaylee leżała w ubraniu na łóżku ściskając swoją ulubioną francuską lalkę, którą dawno temu dał jej O'Hara

podczas wycieczki do New Jersey. Więc o to chodzi, pomyślała Missie z poczuciem winy. Azaylee kochała O'Harę. Był dla niej ojcem.

— Nie chcesz, żebym wyszła za Zeva? — zapytała. Usiadła obok Azaylee i odgarnęła włosy z jej rozpalonego czoła. — Myślałam, że go lubisz.

— Ależ lubię i chcę, żebyś za niego wyszła. Chcę, żebyś była szczęśliwa, Missie, naprawdę.

Missie widziała, że Azaylee mówi szczerze, ale dostrzegła w jej oczach znajome dalekie spojrzenie, które ją zaalarmowało.

— Powiedz mi, o co chodzi, *miłoczek* — powiedziała łagodnie. — Wiesz, że zrozumiem.

— Nic takiego... tylko... — Azaylee usiadła na łożku. — Wszyscy tu mają pozmienniane imiona. Każdy jest kimś innym niż w rzeczywistości. Nawet C.Z. to tak naprawdę Zev. A ja jestem Marietta, Ava Adair i Azaylee, a przedtem byłam jeszcze inną dziewczynką...

— Tak to już jest w Hollywood — odparła Missie szybko. — Aktorzy wybierają sobie nazwiska ładniejsze od tych, z którymi się urodzili, a imigranci tacy jak Zev zmieniają je na bardziej amerykańskie. Tak jest prościej, i tyle.

— Nie to miałam na myśli — powiedziała Azaylee z rozpaczą. Opadła na poduszki ściskając lalkę. — Po prostu czasami zastanawiam się, kim jestem, i czuję się, jakby były we mnie dwie dziewczynki — dobra i zła...

— Zła? — powtórzyła Missie wstrząśnięta. — Ależ Azaylee, zawsze byłaś jak aniołek. Nigdy nie sprawiałaś nikomu najmniejszego kłopotu.

Azaylee spojrzała w okno nie widzącym wzrokiem.

— Pamiętam papę... — rzekła głucho. — Miał szorstką brodę, kiedy mnie całował. Pamiętam też brata... był dużo większy ode mnie... ale wtedy byłam kimś innym, prawda, Missie?

Missie zawahała się, po czym ujęła jej dłoń i odparła:

— Zmieniliśmy ci nazwisko, żeby cię uratować. Miałaś na imię Ksenia.

— Ksenia Iwanow — powiedziała wolno Azaylee. — Teraz sobie przypominam. Dziewczynka z baśniowej krainy, w której wszyscy ją kochali, zwłaszcza tatuś. On żyje — popatrzyła na Missie. — Naprawdę. Wiem, bo go widziałam.

— W marzeniach, Azaylee. Tylko w marzeniach — szepnęła zmartwiona Missie. — Twój tata jest w niebie razem z mamą i babcią Sofią.

Azaylee uśmiechnęła się z zadumą.

— Chyba po prostu jestem zmęczona — rzekła.

— Przydadzą ci się następne wakacje po „Marietcie w górach” — powiedziała Missie, chcąc sprawić jej przyjemność. — Może znów wybierzemy się razem do Agua Caliente? Podobało ci się tam.

— Nie! — Azaylee w panice zerwała się z łóżka. — Nigdy tam nie wrócę! — wykrzyknęła z pasją.

— Dobrze — zgodziła się Missie ze zdziwieniem. — A teraz może weź kąpiel, a ja przyniosę ci kubek gorącego mleka z cynamonem, takiego, jakie robiła babcia Sofia. Zawsze je lubiłaś.

Azaylee wykapała się i posłusznie wypita mleko. Kiedy Missie otuliła ją kołdrą i pocałowała na dobranoc, pomyślała, że w białej koszuli nocnej i z włosami splecionymi w warkocz dziewczynka wygląda jak małe, niewinne dziecko.

Dzień ślubu był pochmurny, zanosilo się na deszcz, nie wpłynęło to jednak na radosny nastrój młodej pary stojącej przed urzędnikiem stanu cywilnego i przysięgającej sobie miłość do końca życia. Missie wyglądała uroczym i eleganckim, kosztownej sukni z granatowego jedwabiu, z małym kapelusikiem i wiązanką lillii, a Zev Abramski w jasnoszarym garniturze robił wrażenie światowca. Po ceremonii uśmiechnięta służba podała przepyszny lunch suto zakrapiany szampanem, przy którym towarzyszył im kwartet smyczkowy grający Mozarta.

Kiedy goście w końcu wyszli, Missie ucałowała Azaylee na pożegnanie, ale w oczach miała niepokój.

— Chciałabyś, żeby została z nami? — zapytał Zev.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się ze skruchą.

— Och, nie. Chcę cię mieć tylko dla siebie.

Przez chwilę grał dla niej na fortepianie; słyszała w jego grze uczucia, które zazwyczaj chował pod maską chłodu i rezerwy. Potem zaczęła się szykować do łóżka: uperfumowała się i wyszczotkowała miękkie, brązowe włosy, aż zaczęły lśnić jak jedwab. Podeszła do lustra i popatrzyła na swoje szczupłe, nagie ciało tak, jak patrzyłby na nie Zev: zobaczyła małe, kształtne piersi, delikatnie zaokrąglone biodra, długie, zgrabne nogi i pożałowała, że nie jest niedoświadczoną osiemnastolatką, którą mógłby nauczyć miłości.

Wciągnęła przez głowę koszulę nocną wykończoną koronką, wygładziła delikatną satynę i zgasiwszy światło podeszła boso do drzwi po puszystym dywanie. Kiedy odwróciła się, żeby po raz ostatni zerknąć na swoje odbicie, dostrzegła jedynie jasną plamę postaci. W półmroku mogła wydawać się młodą dziewczyną, oblubienicą idącą po raz pierwszy do małżeńskiego łóżka.

W sypialni paliła się tylko jedna lampa, Zev stał przy oknie

wpatrzony w noc. Miał na sobie bordowy jedwabny szlafrok. Gdy odwracał się do niej z uśmiechem, pomyślała, że jest bardzo przystojny.

— Missie — wyciągnął do niej ręce. — Czy ty wiesz, jaka jesteś piękna?

Zarumieniona ze szczęścia położyła się obok niego na łóżku.

— Chciałbym ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham, jak bardzo zawsze cię kochałem, ale tak trudno wyrazić to słowami — szepnął.

Ukląkł, żeby ucałować jej stopy, powiedział, że nigdy nie czuł się godny niczego więcej. Wzięła go w ramiona mówiąc, że zasługuje na kogoś lepszego niż ona. Złączyli się w namiętym uścisku.

Nic już ich nie dzieliło. Byli parą zakochanych, którzy pragnęli dotykać, czuć, poznawać, pieścić swoje ciała. A kiedy Zev Abramski w końcu w nią wszedł i zespolili się w jedno, w pamięci Missie zatarły się wszystkie wspomnienia o Arnhaldcie i O'Harze, nawet Misza stał się tylko snem. Tej nocy Zev uczynił z niej swoją kobietę — jakby jej poprzednie miłości nigdy nie istniały. A kiedy później zasnęła w jego ramionach, czuła się tak, jakby znalazła się w tym jedynym na świecie, przeznaczonym sobie miejscu.

Maryland

Pierwsze nieśmiałe oznaki świtu rozjaśniły niebo. Missie ciągnęła swoją opowieść:

— Nigdy sobie nie wybaczę tego, co zdarzyło się potem, to wyłącznie moja wina. Ale widzi pan, sama byłem młoda, zakochana, samolubna i chciałam być tylko z Zevem. „Magic” to była nie tylko nazwa wytwórni — Zev naprawdę potrafił czarować. Miał trzydzieści pięć lat i z niewykształconego imigranta przeobraził się w legendę Hollywood. Z wytwórni krótkometrażówek zrobił potężne przedsiębiorstwo zatrudniające gwiazdy i słynnych reżyserów, a udało mu się to dlatego, że instynktownie wiedział, czego pragnie publiczność.

Ale nie tylko na tym opierała się jego legenda. Uważano go za tajemniczo odludka, który unikał rozwiązanego hollywoodzkiego stylu życia. Było w nim coś takiego, co sprawiało, że szefowie hoteli i kierownicy restauracji na wyścigi proponowali mu najwspanialsze apartamenty czy najlepsze stoliki. Był królem Hollywood, a ja zostałam jego królową, i tak zajęliśmy się sobą, że z trudem znajdowaliśmy czas dla innych...

Staruszka westchnęła i popatrzyła na Cala.

— Kiedy zakończyły się zdjęcia do „Marietty w górach”, Zev zaplanował trzecią część pt. „Marietta na Malibu”. Produkcja miała się rozpocząć miesiąc później, postanowiliśmy więc wykorzystać tę przerwę na spóźniony miesiąc miodowy. Nie pojechaliśmy daleko, zaledwie na wyspę Catalina. Hotel „Święta Katarzyna” był spokojnym miejscem i chętnie przyjeżdżali tu ludzie kina pragnący uciec na trochę od własnej sławy. Nam również o to chodziło.

Zachowywaliśmy się jak nastolatki, korzystaliśmy ze wszystkich atrakcji turystycznych takich jak rejs statkiem ze szklanym dnem, tańczyliśmy w kasynie przy muzyce znanych zespołów, chodziliśmy na spacer wokół zatoki Avalon. Pamiętam ścieżkę z księżycowej poświaty na wodzie, w której odbijały się sylwetki palm, muzykę płynącą przez zatokę z kasyna z białymi kolumnami. Było tak pięknie i romantycznie. Spędziliśmy tam tydzień i nie umiem wyrazić, jak bardzo byliśmy szczęśliwi. A potem zadzwoniła Rosa. Powiedziała, że Azaylee zniknęła i nie wiadomo, gdzie jest.

Zev wynajął mały samolot i natychmiast wróciliśmy do domu. Rosa była roztrzęsiona, Rachel zalewała się łzami. Podobno Azaylee spakowała trochę swoich rzeczy i wyjechała w środku nocy. Kiedy nie zeszła na śniadanie. Rosa uznała, że Azaylee śpi i dopiero w kilka godzin później zorientowała się, że jej nie ma.

Zev domyślił się, że Rachel coś wie, zabrał ją więc na dwór i zapytał, co się dzieje.

Missie zawahała się i Cal dostrzegł, jak mocno zaciska dłonie, wiedział jednak, że jest zdecydowana opowiedzieć mu wszystko, więc jej nie przerywał.

— Rachel powiedziała, że Carlos del Villaloso zgwałcił Azaylee. która zaszła w ciążę i pojechała do Agua Caliente, żeby go znaleźć i wziąć z nim ślub. Oczywiście nie chciałam w to uwierzyć. Biegałam w kółko krzycząc, że to nie może być prawda, że Azaylee jest niewinnym dzieckiem...

Zev wiedział, że nie może wezwać policji. Sprawa na pewno dostałaby się do prasy, a to zabiłoby Azaylee. Wynajął następną awionetkę, ale tym razem nie pozwolił mi jechać z sobą. Zabrał za to dwóch goryli zatrudnianych w wytwórni do odpędzania wariatów i pomyleńców, którzy zawsze pętali się wokół gwiazd.

Spędziłyśmy z Rosą i Rachel bezsenłą noc. Bezustannie pytałam sama siebie, jak to się mogło stać po wszystkim, co przeszłam, żeby ją ochronić? Co zrobiłam, że Azaylee okazała się słaba i bezbronna wobec takiego łajdaka jak Carlos del Villaloso?

Zev znalazł go na wyścigach. Nie chciał robić sceny przy ludziach, więc poprosił o rozmowę na osobności. Po minie Villaloso widać było,

iż wie, że wpadł w kłopoty, ale na początku wyparł się wszystkiego. Powiedział, że prawie nie zna Azaylee i nigdy nie spotkał się z nią sam na sam. Ale kiedy do akcji wkroczyli goryle Zeva, po kilku minutach drań zaśpiewał inaczej. Przyznał, że Azaylee przyszła do niego z idiotyczną historyjką, że niby to on jest ojcem dziecka, i zażądała ślubu. Oświadczył, że sama rzuciła mu się w objęcia, że pojechała za nim do Tijuany i że jest małą dziwką.

Wtedy Zev zabrał się do roboty i wybił Villaloso kilka jego cennych białych zębów.

— Gdzie ona jest? — pytał. Był tak wściekły, że nie czuł nawet bólu potłuczonych pięści.

— Mów, co się z nią stało, albo zabiję cię gołymi rękami.

Twarz Meksykanina była częścią jego kapitału. Niewiele z niej zostało i Villaloso doszedł wniosku, że powinien przynajmniej ocalić życie.

— Dałem jej pieniądze — powiedział łapiąc powietrze i wypluwając wraz z krwią kilka następnych zębów.

— Pojechała do Tijuany...

Zev wiedział, co to oznacza. W Tijuanie na każdej ulicy można tanim kosztem załatwić skrobankę. Jęknął i zakrył dłońmi twarz na myśl o Azaylee w rękach jakiegoś rzeźnika. Musiał się pospieszyć, żeby zdążyć, zanim ktoś jej dotknie. Zostawił Villaloso pod opieką jednego z goryli i pojechał razem z drugim do Tijuany.

Zaczęli od „klinik”, ale tam jej nie było. Villaloso dał jej na to za mało pieniędzy. Ktoś zasugerował, żeby sprawdzić u doktora Millera, znanego jako „Doc Loco”, ponieważ zawsze był *loco* od teąqili. Miller był Amerykaninem, który wyemigrował do Meksyku. W Stanach skreślono go z rejestru lekarzy za to, że omal nie zabił pacjenta, podając mu po pijanemu zbyt dużą dawkę leku.

Bez problemu natrafili na niego w obskurnym barze, oczywiście zalanego w trupa. W kieszeni miał pieniądze — te, które Villaloso dał Azaylee. Zev zostawił go i poszedł jej szukać.

Znalazł Azaylee w brudnym pokoju, gdzie biegały karaluchy wielkości srebrnego dolara, a powietrze wypełniał odór nieczystości z otwartego rynsztoka za małym oknem, które wpuszczało odrobinę światła — wystarczająco dużo, by Zev dostrzegł dziewczynę. Leżała na zapadającym się żelaznym łóżku, przykryta brudnym, poplamionym krwią prześcieradłem. Miała zamknięte oczy, oddychała płytko, na jej czole perlił się pot.

Zev jęknął, dotknąwszy poszarzałej twarzy: była cała rozpalona. Uniósł prześcieradło, spojrzął na zakrwawione ciało, po czym zamknął

oczy i odrzuciwszy głowę do tyłu zaczął się głośno modlić, nie miał bowiem wątpliwości, że Azaylee jest śmiertelnie chora.

Niespodziewanie otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

— Zev? — wyszeptła. — Ja żyję?

Dławiło go w gardle, prawie nie mógł mówić. „Tak, *miłoczka* — odparł. — Żyjesz”.

Zabrał ją do szpitala, gdzie ją oporzadzili, zrobili transfuzję i oświadczyli, że nie ma żadnej nadziei. Siedział przy niej przez całą noc, trzymał za rękę, modlił się za nią i rozmyślał, jak mi to powie. O świcie — lekarze powiedzieli, że to pora kryzysu i ludzie albo wtedy umierają, albo następuje poprawa — jej twarz nabrała trochę koloru. Zaczęła oddychać swobodniej, a o dziewiątej spała już zupełnie spokojnie i zrozumieli, że wyjdzie z tego. Wtedy Zev wyruszył na poszukiwanie Doca Loco.

Kiedy tamtego znalazła potem policja, twarz miał kompletnie zmasakrowaną. Wsadzili go do więzienia i więcej nikt o nim nie słyszał. Aresztowano też Villaloso pod zarzutem oszustw na wyścigach i tego samego dnia w południe wysłano go do Mexico City, gdzie miał czekać na proces. Po kilku miesiącach zwłoki dostał w końcu dziesięć lat, ale miał szczęście, że uszedł z życiem, o ile meksykańskie więzienie można nazwać „szczęściem”. C.Z. Abrams był wpływowym człowiekiem i wykorzystał swoje wpływy w sposób, który uznał za najlepszy.

Azaylee była jak potłuczona lalka, kompletnie oszołomiona tym, co się jej przytrafiło. Upierała się, że nic nie zrobiła, a my baliśmy się z nią spierać, żeby jej nie denerwować.

Była słaba i zgaszona, ale kiedy odzyskała trochę sił, spróbowałam z nią porozmawiać. Zareagowała dziwnie i od razu wiedziałam, że jest źle. Zev wezwał znanego lekarza z Nowego Jorku, który powiedział, że Azaylee zagubiła się pod kolejnymi warstwami tożsamości i cierpi na rozszczepienie osobowości. W normalnej sytuacji zachowywała się „normalnie”, w innych okolicznościach jak inna osoba i postępowała tak, jak tego oczekiwano od tej osoby. Doktor uznał, że terapia potrwa co najmniej trzy lata, a może i dłużej.

Tak więc Azaylee zaczęła nowe leczenie i życie wróciło do normy, choć oczywiście teraz nie wiedzieliśmy już, co jest „normalne”.

Zev odłożył na półkę „*Mariettę w górach*” i odwołał zdjęcia do następnej części. Skoncentrowaliśmy się na zapewnieniu Azaylee spokojnego życia w domu i przywróceniu jej zdrowia. Ostatecznie dobiła nas wiadomość, że na skutek wewnętrznych uszkodzeń spowodowanych zabiegiem Azaylee nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Potem jednak uznałam, że ma to swoje plusy. Widzisz, to był dopiero pierwszy z jej wielu kłopotów z mężczyznami.

Missie westchnęła i rzuciła Calowi smutne spojrzenie.

— Mijały lata, zatrudnialiśmy prywatnych nauczycieli, Azaylee skończyła szkołę średnią, ale baliśmy się posłać ją na studia. Skoncentrowała się na tańcu. Według psychiatry w końcu zrozumiała, iż przyczyną jej problemów był los matki i jej własne pogmatwane dzieciństwo. Ostrzegł nas jednak, że nie może zagwarantować jej równowagi psychicznej i jedyne, co możemy zrobić, to kontynuować terapię i mieć nadzieję, iż kiedyś stanie się wystarczająco silna, by poradzić sobie z normalnym życiem.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, wyprawiliśmy dla niej małe przyjęcie urodzinowe, na które zaprosiliśmy tylko Rose, Sama, Rachel, Dicka i Hannah. Poszliśmy do „Coconut Grove”, gdzie czekał na nią tort urodzinowy, a orkiestra odegrała „Sto lat”. Azaylee była wtedy najśodsza, najniewinniejszą dziewczyną, jaką można sobie wyobrazić. Wyglądała czarująco w bladozielonej sukience i naszyjniku z rubinowym sercem, który dał jej O'Hara z okazji naszego ślubu. Na stole leżała góra drobnych upominków od wszystkich, a najwięcej od Zeva, który uważał, że prezenty należy dawać co najmniej tuzinami. Ale największym z nich była wiadomość, że zlecił napisanie specjalnie dla niej musicalu zatytułowanego „Wznieść się wysoko”.

— Pamiętam go! — zawołał Cal z ożywieniem. — Szedł w nocnym programie, a ja nie spałem, żeby go obejrzeć. Ava była w nim cudowna.

— Prawda? I sprawiło jej to tyle radości. Doktor się zgodził, a my wszyscy strzegliśmy jej jak oka w głowie, kontrolując wszystkich, od jej partnera począwszy, a na ostatnim statyście skończywszy. Zev był producentem, Dick reżyserował i wydobył z niej wszystko co najlepsze.

A potem nadszedł rok tysiąc dziewięćset trzydziesty drugi, „Magic” jednak, jak większość dużych wytwórni hollywoodzkich, przetrwała kryzys. Zev włożył mnóstwo pieniędzy w promocję filmu, lecz liczbę wywiadów ograniczył do minimum, tylko dla najważniejszych dziennikarzy z Hollywood i Nowego Jorku. Ale zdjęcia Azaylee i tak ukazały się we wszystkich czasopismach. Nagle Ava Adair została gwiazdą.

Na szczęście nie przewróciło jej to w głowie. Żyła tak samo jak dawniej, przyprawdzając co dzień do wytwórni Rexa i szczeniaka Baby. Bo Rex zainteresował się suką Zeva, Juliet, i mieliśmy już w domu sześć chartów. Azaylee kochała je, więc zatrzymaliśmy wszystkie. Była zajęta ćwiczeniem układów tanecznych do nowego filmu i wreszcie robiła wrażenie szczęśliwej. Oczywiście nadal ją chroniliśmy. Rachel była jej jedyną przyjaciółką. Mieszkała z nami, także grała w filmach i chodziła już wtedy z Dickiem Nevernem.

Pierwsze chmury pojawiły się na horyzoncie, gdy Azaylee skończyła dwadzieścia jeden lat. Oznajmiła, że wynajęła mieszkanie w Hollywood i natychmiast się wyprowadza. Niedługo potem spotkała mężczyznę, który został jej partnerem. Nazywał się Milos Zoran, był synem imigranta z Polski i wyglądał jak młody grecki bóg. Poznała go na lekcjach tańca. Gdy ze sobą tańczyli, wyglądali bosko, oboje piękni i jasnowłosi, on w białym fraku, ona w delikatnych, powiewnych szyfonowych sukienkach.

Ich pierwszy film odniósł ogromny sukces, stali się „tematem” w plotkarskich pismach. Rzecz jasna uświadamialiśmy sobie, co się dzieje, i próbowaliśmy położyć temu kres, ale na Azaylee nie było sposobu: kiedy Zev zagroził, że wyrzuci Zorana, odparła, że też odejdzie. Była już samodzielna i żyła tak, jak chciała. Ale czy na pewno? — Missie bezradnie potrząsnęła głową. — Tak naprawdę nigdy tego nie wiedzieliśmy.

Zoran miał na nią coraz większy wpływ. Sam zajął się choreografią, oczywiście wysuwając siebie na pierwszy plan, i Azaylee zażądała, żeby C.Z. zmienił nagłówek na „Zoran i Adair”, a w następnym filmie umieścił nazwisko Milosa przed tytułem. Zev powiedział, że nie ma sprawy, ale tego nie zrobił i kiedy Zoran przyszedł z pretensjami, chwycił go za kłapy marynarki i oświadczył, że wsadził już za kratki jednego faceta, który chciał wykorzystać Azaylee, i nie zawaha się postać tam następnego. Zoran stulił uszy, a potem nagle odszedł w połowie następnego filmu. Azaylee załamała się, zaczęliśmy więc wszystko od początku: terapia, życie pod kloszem — i żadnych filmów, dopóki jej się nie polepszyło.

I tak już było zawsze. Jak zapewne wiesz, tańczyła z różnymi partnerami, ale najsłynniejszym z nich był Teddy Adams. „Adair i Adams” przejdzie do historii. Była ucieleśnieniem ideału lat trzydziestych — śpiewała, tańczyła, była piękna i młoda, a fakt, że jej burzliwe życie osobiste często trafiało na pierwsze strony gazet, sprawiał, że stawała się jeszcze bardziej fascynująca. Zev mówił potem, że wszystkie kobiety urodzone w tym czasie i noszące imię Ava zostały tak nazwane na cześć Avy Adair.

Przez długie okresy robiła wrażenie całkiem normalnej i zadowolonej, po czym przychodził kolejny kryzys. Zev kierował jej karierą i zrobił z niej supergwiazdę, za jego czasów nie nakręciła ani jednego niedobrego filmu. Ale wkrótce nadeszła ostateczna katastrofa — spotkała Jakeya Jerome i Grigorija Sołowskiego...

Rozdział 41

Na ekranie Azaylee była otwartą, promienną dziewczyną, którą wszyscy uwielbiali, natomiast w życiu prywatnym miała skłonności do łajdaków — przystojnych rajfurów, którzy ją wykorzystywali. Ale Jakey Jerome wydawał się inny.

Był niski i brzydki, miał jednak w sobie pewien urok. Chętnie się uśmiechał, był rozmowny i pracował w „Magic” jako scenarzysta. Nic wielkiego, ot, zwykły redaktor przerabiający cudze pomysły, ale dobrze mu szło. Ciężko pracował i w przeciwieństwie do innych nie pił zbyt dużo. Zev dosyć go lubił. Przedstawił ich sobie i więcej o tym nie myślał, aż kiedyś usłyszał, że widziano ich razem w pobliskiej knajpcie. Ale nadal się zbytnio nie martwił. Wiedział, że Jakey nie jest w typie Azaylee.

Ich przyjaźń jednak nabierała rumieńców, Azaylee zaczęła zapraszać Jakeya do nas do domu. Widzieliśmy, że jest wobec niej delikatny, nie dyryguje nią, jak inni. Wydawało się, że nie zamierza jej wykorzystywać. Nie wprowadził się do niej, jak wszyscy jej poprzedni przyjaciele. W owym czasie Rachel była już żoną Dicka Neverna i mieli dwójkę dzieci — chłopców. Nieraz widziałam, jak Azaylee patrzy na nich tęsknym spojrzeniem i było mi jej żal, ponieważ wiedziała, że zawsze pozostanie bezdzietna. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy sprawa jest poważna, czy tym razem Azaylee naprawdę się zakochała.

Tymczasem Zev awansował Jakeya na głównego scenarzystę i dał mu podwyżkę, a on natychmiast wydał całą miesięczną pensję na parę zabytkowych weneckich luster, które Azaylee podziwiała w sklepie. Była tak zachwycona wspaniałym prezentem, że postanowiła odpowiednio zmienić wystrój całego salonu. Kiedy dekoratorzy skończyli pracę, zaprosiła nas na obiad w rodzinnym gronie — tylko ona, Jakey, Zev i ja.

Jakey zachowywał się swobodnie, ona także. Pomyślałam, że nigdy nie widziałam jej w tak znakomitej formie i byłam mu wdzięczna, że jest dla niej dobry i jej pomaga. Nastał rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, Azaylee miała raptem dwadzieścia cztery lata, ale była gwiazdą, odkąd skończyła szesnaście. Jakey miał dwadzieścia dziewięć i nikt go nie znał. Nigdy nie mówił o swojej rodzinie, dowiedzieliśmy się jedynie, że jest Żydem, pochodzi z Filadelfii, a większość jego krewnych mieszka w Polsce.

Podziwialiśmy nowy salon, cały w bieli i kryształach, oraz piękne lustro, kiedy Azaylee oznajmiła, że Jakey chce coś powiedzieć. Jerome wstał, odkaslnął, po czym oficjalnie poprosił Zeva o rękę Azaylee — to znaczy Avy, bo pod tym imieniem ją znał. Zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen, był pełen szacunku, nawet trochę nieśmiały, choć ktoś, kto znał Jakeya Jerome, nigdy by w to nie uwierzył. Azaylee spojrzała na mnie błagalnie i powiedziała: „Och, proszę, proszę, zgódź się...” — tak samo jak wtedy, kiedy chciała zostać aktorką. Oczywiście zaczęliśmy się śmiać, powiedzieliśmy „tak” i otworzyliśmy szampana. Ślub i wielkie wesele z odpowiednią oprawą zaplanowaliśmy na październik. Azaylee wydawała się szczęśliwa i zupełnie zdrowa, uznaliśmy więc, że skoro to zasługa Jakeya, będzie dla niej dobrym mężem.

Po kolacji Jakey powiedział, że wpadł mu w ręce pewien scenariusz — sztuka, z której według niego można zrobić wspaniały musical.

„Może najpierw pozwolimy Avie zagrać na Broadwayu? — zapytał Zeva. — A dopiero potem film. W ten sposób sukces będzie podwójny. Poza tym Ava mówi, że dla odmiany chętnie zagrałaby w teatrze”.

Zev zdziwił się, ale wziął sztukę do przeczytania. Nie była wcale wspaniała, umożliwiła jedynie Azaylee wykonanie paru numerów tanecznych i kilku ładnych piosenek — Jakey chciał, by muzykę skomponował Irving Berlin lub Cole Porter, ci najlepsi. Kupił skrypt za kilka tysięcy dolarów i powiedział, że to prezent zaręczynowy dla Azaylee. Jak więc Zev miał mu odmówić?

Jakey zrobił adaptację i zajął się produkcją, Azaylee poprosiła Dicka, żeby reżyserował — dla niego, tak samo jak dla niej, miał to być teatralny debiut, miała jednak do niego zaufanie. Znalaziono teatr, Jakey otworzył biuro na Broadwayu i zaangażował dla niej partnera, Willa Huntera, przystojnego i utalentowanego akurat na tyle, by stanowić korzystne tło i nie przyćmić Azaylee. Zawsze była stuprocentową profesjonalistką, ale tym razem całą duszą oddała się pracy. Muszę przyznać, że Jakey jej nie zawiodł. Po sześciu wyczerpujących tygodniach w mroźny marcowy wieczór odbyła się premiera

„Dziewczyny z Hollywood”. Widzom zimno nie przeszkadzało. Oklaskiwali każdy numer, a na koniec zgotowali Avie owację na stojąco. Przypomniał mi się mój własny skromny sukces w rewii, choć biedny Ziegfeld dawno już nie żył. Wiedziałam, jak Azaylee się czuje. Siedziałam w łoży i łyzy ciekły mi ciurkiem po twarzy. Byłam dumna ze swojej małej dziewczynki, która zaszła tak daleko, nie tylko w karierze, ale i w walce o własną osobowość. Tamtego wieczoru Azaylee była jedną osobą — Avą Adair, piękną gwiazdą.

Po przedstawieniu poszliśmy do Sardiego na przyjęcie i nerwowo czekaliśmy na pierwsze wydanie gazet. Kiedy nadeszły, zaczęliśmy wznosić okrzyki radości — wszyscy krytycy jednogłośnie chwalili sztukę, to znaczy Avę, Dicka i muzykę. Treść nie zyskała specjalnego uznania. Ale nie miało to znaczenia. Do teatru waliły tłumy i „Dziewczyna z Hollywood” przyniosła olbrzymi dochód. Zev miał sześćdziesiąt procent udziałów, a Jakey dwadzieścia. Po raz pierwszy w życiu Jerome był bogaty i beztrasko szastał pieniędzmi, zapraszając wszystkich na obiady do „Twenty One” i co wieczór po przedstawieniu przydując przy własnym stoliku w klubie „Stork”. Dał Azaylee pierścionek zaręczynowy z wielkim brylantem w miejsce skromnej obrączki, która była wszystkim, na co mógł sobie wcześniej pozwolić. Przeprowadził się z mieszkanką nad biurem przy Broadwayu do apartamentu w „Płazie”, naprzeciwko hotelu „Sherry Netherland”, w którym mieszkała Azaylee.

Nie sypiali ze sobą, więc uznaliśmy, że Jakey pod tym względem jest po prostu staromodny. Azaylee nastawiała się na wielkie wesele w domu przy Lexington Drive, z namiotami na trawnikach, całą rodziną i tłumem gości, ale ponieważ „Dziewczyna z Hollywood” okazała się przebojem, ślub przełożono na kwiecień, żeby dać teatrowi czas na znalezienie dublerki Avy.

Często ją odwiedzałam w Nowym Jorku. Jeździłam pociągami, bo nigdy nie miałam zaufania do samolotów. Mieszkałam razem z nią w „Sherry Netherland”, ale dni spędzałam według własnego uznania, bo Azaylee noc w noc chodziła na przyjęcia i przesyiała większą część dnia. Jakey zjawiał się około czwartej i zamawiał dla niej posiłek: kontrolował jej dietę i pilnował, żeby się właściwie odżywiała. Skakał koło niej, a jej się to podobało. Jak mała dziewczynka i ojciec, tylko że on był od niej niewiele starszy.

Azaylee nie mogła wyjść na ulicę, żeby zaraz nie otoczył jej tłum. Jeździła wszędzie limuzyną, ale działało jej to na nerwy, więc w niedziele Jakey zabierał ją do przyjaciół na Long Island, żeby mogła popływać i pograć w tenisa.

W Nowym Jorku miały się odbyć Targi Światowe i w mieście kłębił się tłum zagranicznych gości. Ava nieustannie przyjmowała za kulisami ważne delegacje. Zawsze była czarująca, promienna, roześmiana, jak na gwiazdę przystało. Wszyscy ją uwielbiali. Minęły już prawie dwa lata, odkąd poznała Jakeya, i przez ten czas ani razu nie „chorowała”. Wydawało się, że wszystko to już odeszło w przeszłość: lekarze w białych fartuchach, sanatoria i długie, ciężkie dni, kiedy chciała tylko spać. bo życie na jawie było zbyt bolesne.

Pewnego wieczoru po przedstawieniu — chyba w październiku — kierownik teatru powiedział, że na sali są ważni goście z Rosji, którzy bardzo by chcieli poznać pannę Adair. Poczulałam, że blednę, i drżącym głosem zapytałam, co to za jedni. Bardzo ważni politycy, odparł, przyjechali na konferencję. Przewodniczącym delegacji jest generał Grigorij Sołowski.

W ułamku sekundy znalazłam się z powrotem w zatłoczonym pociągu wlokącym się przez zamrożone pola, gdy kapitan Sołowski pytał Azaylee o imię. Wstrzymałam oddech, tak samo jak wtedy, czekając na jej odpowiedź. „Azaylee — odparła ze śmiechem. — Azaylee O'Bryan...” Potem jeszcze bardziej cofnęłam się w czasie, do nocy w puszczy, kiedy Sołowski na zawsze zabrał Aleksieja. Wciąż mi się to śniło. A teraz stało się to, czego się obawiałam. Sołowski nas znalazł.

Usłyszałam, jak Azaylee mówi: „Oczywiście, że ich przyjmę. Nadzwyczajne, Missie, to Rosjanie”.

„Może nie powinnaś...” — zaczęłam, ale on stał już w drzwiach. Ten sam ciemnowłosy krępy wieśniak co przed dwudziestu laty. Tylko że wtedy był młody i na tyle mało pewny siebie, iż zaakceptował moją historyjkę, chociaż w nią nie wierzył. Teraz jednak był u władzy, od jego obwieszonych orderami generalskiego munduru biła łuna. Serce podeszło mi do gardła, kiedy spoglądałam na jego towarzyszy, spodziewając się, że zobaczę Aleksieja.

Stałam w cieniu za toaletką, ale oni i tak wpatrywali się tylko w Avę Adair. Patrzyłam z drżeniem, jak Sołowski kłaniając się ujmuje dłoń Azaylee. „Przedstawienie tak bardzo nam się podobało — rzekł po angielsku z silnym obcym akcentem — że postanowiliśmy powiedzieć to pani osobiście. Rzadko kiedy nam, Rosjanom, trafia się taka frajda. Wyrazy uznania, panno Adair, dla pani niezwykłego talentu”.

Gawędzili przez parę minut, po czym generał oświadczył: „Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że kiedyś już się widzieliśmy, panno Adair. Pani twarz wydaje mi się znajoma”.

Odparła z ożywieniem. — Myśli pan, że to możliwe?

Wiedziałałam, co chce powiedzieć, więc czym prędzej jej przerwałam.

— Nie chciałam być niegrzeczna — rzekłam — ale Jakey prosił, żebyś jak najszybciej przyszła do klubu. Są tam Cole i Dick...

Sołowski spojrział mi w oczy i wiedziałam, że mnie poznał. „To moja matka, pani Abrams — przedstawiła mnie Azaylee. — Przepraszam, generale, ale naprawdę muszę się pośpieszyć. Może porozmawiamy o tym kiedy indziej...”

Uklonił się i odparł, że z największą przyjemnością, ale patrzył na mnie. Podszedł do mnie, uściśnął mi dłoń i powiedział półgłosem, tak żeby inni nie słyszeli: „My się znamy, czyż nie, pani O'Bryan?”

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam tak przerażona, że serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. „Musimy porozmawiać” — mruknął.

Zastanawiałam się, czy za drzwiami czekają na nas czekał; Sołowski bez trudu to odgadł i i uśmiechnął się. „Tylko pani i ja” — rzucił cicho. Kiwnęłam głową i zgodziłam się, żeby za pół godziny przyszedł do mnie do hotelu.

Nowy Jork

Grigorij poznałby twarz Missie wśród tysiąca innych twarzy, nigdy bowiem nie zapomniał tamtego dnia w pociągu. Była to jedna z nielicznych chwil, kiedy pozwolił, by wrodzona chłopska pokora wzięła górę: pozwolił Missie na opowiedzenie historii, w której prawdziwość wątpił, ale której nie zakwestionował z obawy, że wyjdzie na głupca. Wspomnienie to nie dawało mu spokoju, ale dopiero w Petersburgu dowiedział się szczegółów o śmierci Iwanowów i dodał dwa do dwóch. Wtedy jednak było już za późno. Kobiety zniknęły i rozpaczliwe poszukiwania prowadzone przez czekistów nie przyniosły żadnego rezultatu. Miłość do Aleksieja-Siergieja zwyciężyła nad poczuciem obowiązku i chociaż Rosja desperacko potrzebowała milionów Iwanowów, Grigorij nigdy się nie zdradził. Lenin miałby mu to za złe, ale dla Sołowskiego przybrany syn był ważniejszy.

Twarz Avy Adair wydawała mu się znajoma, lecz dopiero kiedy ujrzał Missie, zrozumiał, że aktorka jest siostrą Aleksieja. Ksenia Iwanow żyła, miała się dobrze i była równie piękna jak jej sławna matka.

Wszedł do windy i powoli unosząc się w górę rozmyślał o tym, iż

Missie jest jedyną osobą na świecie, która wie, że to on zabrał Aleksieja tamtej nocy. Jeśli okaże się sprytny, w końcu znajdzie sposób na zdobycie dla Rosji pieniędzy Iwanowów.

Missie czekała na niego przy stoliku ze srebrnym dzbankiem i filiżankami. Choć wyglądała na tak opanowaną, jakby miała właśnie podejmować herbatką koleżanki, wystarczyło mu jedno spojrzenie, by dostrzec, że bardzo się bała.

— A więc znów się spotykamy — odezwał się po rosyjsku.

Potrząsnęła głową.

— Minęło zbyt dużo czasu, odkąd używałam tego języka, kapitanie... generale Sołowski.

Usiadł naprzeciwko niej w różowozłotym pokoiku z kosztownymi, wymyślnymi draperiami i rzeźbionymi lustrami.

— Za to mój angielski znacznie się poprawił. Niełatwo będzie oszukać mnie powtórnie.

— Panu również się to nie uda.

Spojrzeni sobie w oczy.

— A więc remis — powiedział. — Pani ma jedno dziecko Iwanowów, ja mam drugie.

Nic nie mówiąc, pewną ręką nalała herbatę i Sołowski się uśmiechnął. Była gotowa walczyć, i szanował ją za to.

Postawiła przed nim filiżankę, zaproponowała cytrynę i cukier.

— Proszę, niech mi pan opowie o Aleksieju.

— Wtedy wydawało się, że mam tylko dwa wyjścia — zaczął bez dalszych wstępów — mogłem go zabić i zostawić wilkom na pożarcie razem z resztą ciał albo zabrać ze sobą jako więźnia nowej Rosji. Znalazłem jednak trzecie rozwiązanie... prywatnie: odwrócić role i wychować księcia jak zwykłego człowieka.

Opowiedział jej o własnym dzieciństwie na Syberii, o spotkaniu z Leninem, o nauczycielce i szkołach, o tym, jak o własnych siłach przeszedł drogę od chłopskich łapci — przez wojsko — do wysokiego stanowiska, jakie zajmował teraz w Związku Radzieckim.

— Miałem już jednego syna — jego niski głos wypełniał cały pokój — teraz było ich dwóch. Siergiej, jak go nazwałem, chodził za mną jak pies. Był mi ogromnie wdzięczny, nie za uratowanie życia, lecz za pomszczenie matki. Nigdy nie mówił o swojej rodzinie i z całych sił starał się dopasować do naszego prostego życia. Wszystko szło zgodnie z planem. Dobrze sobie radził z nauką i sportem. Zdobył stypendium i wyjechał z naszego domu na Białorusi, żeby zamieszkać ze mną w Moskwie. Dopiero po wielu latach pozwoliłem mu pojechać do Leningradu — dawnego Petersburga.

Przedtem bałem się, że obudzi to w nim wspomnienia i zepsuje nasze wzajemne stosunki.

Siergiej studiował na Uniwersytecie Moskiewskim, potem odbył służbę w wojsku. Okazał się zdolnym oficerem i w wieku dwudziestu dziewięciu lat stał się oddanym członkiem partii. Stanął na pierwszym szczeblu drabiny prowadzącej do wysokich stanowisk państwowych. Nigdy nie rozmawia ze mną o przeszłości. Została zapomniana.

Jestem dumny z powodzenia mojego eksperymentu — oświadczył. — I z Siergieja. Może pani sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy spotkałem dziś panią i uświadomiłem sobie, że znalazłem to, czego Rosja szuka od lat. Oczywiście nigdy nie było dowodu, że ktoś z Iwanowów uciekł. Wie o tym tylko pani i ja. Prowadzono poszukiwania na całym świecie i jeszcze z nich nie zrezygnowano. Jeśli ktoś z Iwanowów żyje, Rosja musi go znaleźć. I pani wie, dlaczego.

Zaciskając mocno dłonie, żeby opanować ich drzenie, Missie zapytała:

— Powie im pan?

Miał świadomość, że to pytanie nie dawało jej spokoju od chwili, gdy go spotkała. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

— Mogę prosić o drugą filiżankę herbaty? Bardzo tu przytulnie przy kominku. Prawie jak w rosyjskiej dacy za dawnych czasów.

Obserwował ją uważnie, kiedy nalewała herbatę. Patrzyła w dół i nie widział wyrazu jej oczu, wiedział jednak, że doprowadził ją do takiego stanu, o jaki mu chodziło.

— Oboje wywiązaliśmy się ze zobowiązań wobec swoich „dzieci” — odezwał się. — Nasza rola skończona. Ava i Siergiej osiągnęli sukcesy, o jakich nie mogliby marzyć jako dzieci księcia i księżnej Iwanow. Siergiej sam sobie wszystko zawdzięcza. Może być dumny ze swoich osiągnięć, bo nikt mu ich nie kupił. Chyba nie powie pani, że mój eksperyment był czymś złym. Przecież pani również wychowywała Ksenię jako własną córkę.

Podparł brodę splecionymi rękami i spojrzał na Missie przenikliwie.

— Jest pani mądrą kobietą — powiedział łagodnie. — Nie muszę pani tłumaczyć, co by się stało, gdybym w tej chwili wziął do ręki telefon i zadzwonił po czekistów. Zawsze mi towarzyszą, nawet tu, w Nowym Jorku... zawsze są w pobliżu.

Zbladłaby jeszcze bardziej, gdyby to było możliwe. Uśmiechnął się z satysfakcją. Zamierzał postawić twarde warunki.

— Mógłbym pani zabrać Avę — stwierdził — i oddać ją w ręce moich zwierzchników, ponieważ w jej rękach leży majątek tak bardzo potrzebny Rosji. — Przerwał na chwilę, obserwując ją jak jastrząb

krańcy nad wróblem i szykujący się do ataku. — Ale widzę, że kocha ją pani jak własne dziecko. Jestem uczuciowym człowiekiem i proponuję pani umowę. Chciałbym ofiarować coś Siergiejowi w zamian za szczęście, które mi dał. Najwspanialszym prezentem byłoby spotkanie z siostrą. Sprawa Iwanowów pozostanie naszym sekretem, jeśli zgodzi się pani na wyjazd Awy do Rosji na kilka tygodni. Zorganizuję "wizytę kulturalną", kilka koncertów. Będę się nią opiekował i dopilnuję, żeby nie stało się jej nic złego.

Missie wyczuła niebezpieczeństwo. Mimo obezwładniającego strachu przejrzała jego plan. Chciał zabrać Azaylee do Rosji i oddać ją w ręce czekistów, żeby dobrać się do majątku Iwanowów. Aleksiej nigdy jej nie zobaczy ani się o niej nie dowie. A Sołowski nadal będzie miał syna. Nie zamierzała jednak zrezygnować z walki.

— Doskonale rozumiem pana „uczuciowe” motywy — odparła — ale pańska propozycja jest nie do przyjęcia. Nie spełni pan również swojej groźby i nie wezwie czekistów.

— A to dlaczego? — Wstał i zaczął krząć po pokoju z rękoma założonymi z tyłu.

— Ponieważ Ameryka jest krajem demokratycznym, w którym nikt nie da się zastraszyć. Ava Adair jest sławna. Dojdzie do incydentu, do międzynarodowego skandalu.

Wzruszył ramionami.

— Rosja ma mocne plecy. Wytrzymała już wiele skandali.

— Po drugie — mówiła dalej, siedząc sztywno na różowej sofie i patrząc mu w oczy — wiem, co się stało z Aleksiejem Iwanowem i zamierzam w obecności świadków złożyć oświadczenie, w którym wszystko wyjawię. Kopie tego oświadczenia zostaną umieszczone przez moich prawników w sejfie w banku. Jeśli spróbuje pan tknąć Avę Adair, generale Sołowski, wyda pan na siebie wyrok. I na swojego „syna”.

Wpatrywał się w nią ze złością. Zrozumiał, że przegrał. Westchnął i z powrotem usiadł naprzeciwko niej.

— Oboje cierpimy na nieuleczalną chorobę — miłość. Wie pani, że wolałbym umrzeć niż sprawić ból Siergiejowi. W porządku. Brat i siostra nigdy się nie spotkają. Aleksiej Iwanow będzie żył swoim życiem, Ksenia Iwanow swoim. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— A co z pieniędzmi tak bardzo potrzebnymi Rosji? — zapytała, nie mogąc pozbyć się dawnego lęku.

— Musi pani nadal milczeć i zachować anonimowość. Niczego nie mogę obiecać, — Wstał i spojrział na nią ze słabym uśmiechem. —

Kiedy spotkałem panią w pociągu, od razu wiedziałem, że twarda z pani przeciwniczka.

— Tylko w miłości — odparła cicho. — Nie na wojnie.

Zostało jeszcze jedno pytanie, które musiała zadać; coś, co musiała wiedzieć.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało z księciem — poprosiła po chwili milczenia.

— Misza Iwanow zginął od kul rebeliantów w Wariszni. Jego ciało spłonęło wraz z wysadzonym w powietrze domem.

Odwrócili się gwałtownie, gdy drzwi salonu uderzyły z hukiem o ścianę. Na progu stanęła Azaylee, wyglądała jak jasnowłose widmo. Wyłamywała palce.

— Przepraszam, jeśli przeszkadzam — powiedziała drżącym głosem. — Wróciłam wcześniej... rozbolała mnie głowa.

— Wobec tego zostawiam panie, — Sołowski ukłonił się Azaylee i Missie. — Będę o pani pamiętał — dodał idąc do drzwi. Co do tego Missie nie miała wątpliwości.

Odwróciła się do Azaylee wciąż stojącej na progu i wyłamującej palce i zrozumiała, że dziewczyna wszystko słyszała. Zobaczyła w jej oczach takie samo spojrzenie jak wówczas, gdy O'Hara padł od kul karabinu maszynowego, a ona krzyczała, krzyczała i krzyczała, jakby już nigdy nie miała przestać. Tylko że tym razem krzyk nie wydobywał się na zewnątrz, krzyczała w środku, zamknięta w swoim świecie, i Missie nie miała pojęcia, czy uda im się wydobyć ją z tego stanu.

Rozdział 42

Hollywood

Starannie wypielęgnowane ogrody rezydencji przy Lexington Drive wyglądały w złotych promieniach letniego słońca jak oaza spokoju: śpiewały ptaki, brzęczały cykady, a basen migotał zapraszająco, nikt jednak nie miał jakoś ochoty skorzystać z tego zaproszenia.

Ze swego punktu obserwacyjnego na końcu tarasu Zev w towarzystwie psów leżących obok nieco w cieniu przyglądał się Missie, która podawała mrożoną herbatę. Żałował, że nie może cofnąć zegara o rok i zapobiec wizycie Sołowskiego w Nowym Jorku. Wrócili właśnie z kliniki Rancho Velo, gdzie przebywała Azaylee. Po raz pierwszy od miesiąca lekarz pozwolił im na odwiedziny. Azaylee podeszła do nich wolno, trzymając się kurczowo pielęgniarki. Patrzyli na nią z przerażeniem.

Jej piękne włosy obcięto na krótko, żeby łatwiej było przyłożyć do głowy elektrody stosowane w propagowanej przez klinikę nowej metodzie leczenia. Twarz miała tak ściągniętą, że zostały z niej tylko oczy, aksamitnie złote i nieczłowiecze jak bratki, do których zawsze je porównywano. Cienkie jak patyki nogi robiły wrażenie zbyt słabych, by utrzymać wychudzone ciało.

— Nie chce jeść — powiedział lekarz do Missie. — Nie wiadomo dlaczego. Fizycznie jest zdrowa. Po prostu odmawia przyjmowania pokarmu.

— Chce umrzeć — odparła Missie głucho. — Pragnie być razem z ojcem.

— Oczywiście karmimy ją przez kroplówkę — dodał lekarz. — Utrzymamy ją przy życiu, ale jeśli niedługo nie zacznie jeść... — wzruszył wymownie ramionami i wszyscy zrozumieli, co miał na myśli.

Azaylee obrzuciła ich dalekim spojrzeniem i od razu zorientowali się, że nikogo nie poznaje. Nagle złapała Missie za rękę i zapytała:

— Przywiozłaś go, tak jak cię prosiłam? Przyprowadziłaś do mnie

Aleksieja? — W jej pięknych oczach pojawiły się łzy. — *Miłoczka* — wyszeptła — powiedz, że papa jest bezpieczny. Powiedz, że niedługo po mnie przyjedzie.

Potem znów wycofała się do swojego smutnego świata i odgrodziła od nich nie widzącym spojrzeniem.

Zmartwiony Zev wbił wzrok w taras, kiedy Missie zakryła twarz dłońmi i zaczęła szlochać. Nie przychodziło mu do głowy nic, czym mógłby ją pocieszyć. Nie po raz pierwszy pożałował, że nie mają własnych dzieci, chyba jednak nie było im to pisane. Rosa, która przyjechała wraz z nimi, z gniewem zerwała się na równe nogi.

— Dłużej tego nie wytrzymam! — zawołała. — Przecież z nią jest coraz gorzej. Zabijają ją tymi wymyślnymi metodami leczenia. Zabierz ją do domu, Missie. Jeśli ma umrzeć jako wariatka, niech to się przynajmniej stanie tam, gdzie ją kochamy.

Oczywiście, pomyślał Zev z bladym uśmiechem, Rosa ze swoim praktycznym podejściem do życia trafiła w samo sedno. Poleciał szoferowi podjechać za pięć minut.

— Ale dokąd jedziemy? — zapytała Missie przez łzy.

Pocałował ją i powiedział:

— Zabieramy Azaylee do domu.

Nie zważając na protesty lekarza, owinął dziewczynę szalem i wyprowadził. Przez całą drogę powrotną trzymał ją w ramionach. W domu przygotowano dla niej pokój, ale nie pozwolił jej tam zamknąć.

— Niech zostanie z nami — oświadczył. — Niech czuje, że dokoła niej toczy się normalne życie. Będzie siadała z nami do stołu, nawet jeśli nie będzie jadła. Niech odpoczywa na tarasie, spaceruje po ogrodzie. Rosa ma rację, ona musi być z rodziną.

Charty Azaylee, Reks i Baby, obskoczyły ją z radosnym szczełaniem. Pogłaskała je z roztargnieniem po głowach. Popiskując radośnie, Reks przewrócił się na plecy u jej stóp; Azaylee westchnęła i niespodziewanie powiedziała:

— Cześć, Reks. — A potem spojrzała na Rosę i zapytała: — Mam iść do łóżka?

— Niby dlaczego miałybyś iść do łóżka? — oburzyła się Rosa. — Wcale nie jesteś chora.

— Nie jestem? — popatrzyła na nich ze zdziwieniem.

— Usiądź obok mnie — zachęciła ją Missie, a Zev pomógł jej usadowić się w wygodnym fotelu. Psy ułożyły się obok i Missie wyciągnęła rękę ze szklanką cynamonowego mleka. — Specjalność babci Sofii — powiedziała z uśmiechem. — Zawsze je lubiłaś.

— Dziękuję — Azaylee rozejrzała się po pięknym, pełnym

kwiatów tarasie i ogrodzie pod bezchmurnym niebem, po czym westchnęła. — Jak tu ładnie — powiedziała zamykając oczy.

Skupili się wokół niej w milczeniu. Jedyne Jakey trzymał się na uboczu, stał oparty o balustradę i popijał szkodką. Zev zwrócił się do niego ze współczuciem:

— Wiem, że to dla ciebie trudne, Jakey. Chcę, byś wiedział, że nie będziemy mieli ci za złe, jeśli teraz odejdziesz i nigdy nie wrócisz. Nikt nie wymaga od ciebie, żebyś ożenił się z dziewczyną tak... nierównoważoną jak Ava.

Jakey wzruszył ramionami i opróżnił szklanekę.

— Zrobię, co będę mógł, żeby jej pomóc, C.Z., ale trochę mi ciężko, kiedy ona nawet mnie nie dostrzega. Gdybym mógł przez chwilę o tym zapomnieć, gdybym na przykład miał w wytwórni zajęcie, które by mnie wciągnęło, coś naprawdę porządnego, co zajęłoby cały mój czas. Tak sobie myślałem, że po sukcesie „Dziewczyny z Hollywood” może spróbowałbym zrobić film... — Zerknął z ukosa na Zeva i dołał sobie whisky. — Wpadł mi w ręce scenariusz, który mógłby cię zainteresować. Może chciałbyś na niego rzucić okiem?

— Przyślij mi tekst do biura w poniedziałek rano. — Zev przyjaźnie otoczył Jakeya ramieniem. — Zobaczę, co się da zrobić.

Następnego dnia zaczęli wciągać Azaylee w normalne życie. Wstała rano wraz ze wszystkimi i siadła z nimi do śniadania. Jej nie widzące spojrzenie odbierało im odwagę, starali się jednak normalnie rozmawiać i jeść, chociaż ona nie wzięła do ust ani kęsa. Po śniadaniu Missie i Rosa zaczęły spacerować z Azaylee po tarasie podtrzymując ją z obu stron, ale szybko się zmęczyła, więc musiały przestać. Podano lunch i znów Azaylee przesiedziała cały posiłek wpatrując się w dal. Jeszcze jeden spacer, takie samo milczenie przy kolacji. Nawet Reks wydawał się przygnębiony i leżał nieruchomo u jej stóp.

Po trzech dniach mieli wrażenie, że sami zwariują, a przy kolejnym milczącym obiedzie Rosa nie wytrzymała.

— No i co?! — wykrzyknęła z gniewnym parsknięciem. — Będiesz tak siedziała bez jedzenia? Już zapomniałaś, jak Missie urabiała sobie ręce po łokcie, żeby ci kupić coś na obiad? Taka z ciebie teraz wielka gwiazda?

Dziewczyna spojrzała na nią wstrząśnięta i Rosa przestraszyła się, że przeholowała w gniewie.

— Przepraszam — powiedziała Azaylee słabym głosem. Wzięła do ręki łyżkę i spróbowała zupy. — Wiem, jak Missie ciężko pracuje. — Poklepała Reksa po głowie i dodała: — Zawsze dba o to, żeby Wiktor też miał co jeść. — Uśmiechnęła się do Missie i rzekła: — Dziękuję, *miłoczka*.

Uświadomili sobie, że znów uważa się za dziecko, ale przynajmniej mieli z nią jakiś kontakt. Zaczęła mówić i jeść.

Zev zatwierdził scenariusz Jakeya i zrobił z niego szefa produkcji filmu z dużym budżetem, dał mu wysoką pensję oraz wolną rękę w doborze obsady i reżysera, co zdarzało się rzadko. Wytwórnia prosperowała znakomicie, Zev jednak prawie się nią nie zajmował. Przez ostatnich kilka lat pomagał uchodźcom z faszystowskich Niemiec, Węgier, Polski i Czechosłowacji, przesyłając przez różne organizacje spore sumy pieniędzy.

Z przerażeniem śledził rozwój wypadków w Europie. Kiedy pierwszego września 1939 roku Niemcy napadły na Polskę, a w dwa dni później Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom, Zev pograżył się w rozpacz.

Missie była zaabsorbowana pomaganiem Azaylee w powrocie do rzeczywistości, i Zev poczuł się zupełnie opuszczony. Żeby o tym nie myśleć, rzucił się w wir pracy. W ciągu następných osiemnastu miesięcy produkcja „Magic” wzrosła o trzydzieści procent, a zyski o pięćdziesiąt. Film Jakeya odniósł skromny sukces kasowy, wystarczający, by zapewnić mu następną produkcję, zaś z oczu Azaylee zniknęło przerażające tępe spojrzenie i wyglądała znów tak, jak dawniej. Uśmiechała się, gawędziła z Rachel i jej synkami, i rozpromieniała się za każdym razem, kiedy przychodził Jakey.

Siódmego grudnia czterdziestego pierwszego, gdy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor wciągając Stany Zjednoczone w wojnę, Dick Nevern jako jeden z pierwszych zaciągnął się do wojska.

— Mówili, że jestem za stary, bo mam czterdzieści jeden lat, ale przekonałem ich — oświadczył dumnie.

— Będziesz ich też musiał przekonać, żeby nie dali ci jakiegó papierkowej roboty — zaśmiał się Jakey.

Sam jednak nie poszedł za jego przykładem, choć miał zaledwie trzydzieści trzy lata. Uzyskał zwolnienie ze względu na wykonywanie ważnej pracy przy kręceniu filmów propagandowych o wysiłku wojennym, po czym ponownie oświadczył się Azaylee.

Było tak, jakby ktoś nagle zapalił reflektory, dzięki którym Azaylee znów zmieniła się w Avę Adair. Piękniała w oczach, zrobiła się rozmowna, śmiała się, błyszczała. Zachowywała się jak zakochana kobieta — czy raczej jak zakochana Ava Adair. Missie i Zev spojrzeli po sobie z niepokojem, kiedy po raz kolejny powiedziała: „Och, proszę, proszę, Missie, zgódź się...” Była przecież dorosła. Jak mogli jej zabraniać ślubu, mimo całego niepokoju o nią?

Wesele odbyło się z wielką pompą, tak jak Azaylee tego pragnęła.

Panna młoda wyglądała olśniewająco w sukni z ciężkiej srebrzystobiałej satyny. Na trawniku ustawiono duży namiot, gdzie goście — wielu w mundurach — pili szampana z prywatnych zapasów Zeva i pożerali homary oraz kawior, jakby nie mieli już przed sobą jutra. Kiedy młodzi wyjechali w podróż poślubną, Zev uświadomił sobie, jak bardzo są różni: przysadzisty Jakey, prawie równie gruby co wysoki, z uśmiechem na brzydkiej twarzy — i jego szczupła, zwiewna, jasnowłosa i piękna oblubienica.

— Nie martwcie się, nie stracie mnie — Azaylee uściskała Missie i Zeva na pożegnanie. — Niedługo będę miała dziecko i zostaniecie szczęśliwymi dziadkami.

Popatrzyli po sobie bezradnie, wiedzieli bowiem, że to niemożliwe.

— Pozwólmy jej marzyć — powiedział potem Zev. — Skoro jest dzięki temu szczęśliwa...

Po powrocie z podróży poślubnej Jakey oznajmił, że zamierza obsadzić żonę w nowym filmie zatytułowanym „Ukochana armii”, pełnym śpiewu i tańca, z wielką orkiestrą oraz okrętami wojennymi i samolotami w tle. Film odniósł sukces, więc Azaylee natychmiast zabrała się do następnego. Pracowała całymi dniami w wytwórni, wieczorami pomagała w kantynie, znajdowała też jeszcze czas na sprzedaż obligacji wojennych i pomoc w zbiórce złomu. W miarę jak Jakey szedł od sukcesu do sukcesu, Zev dawał mu coraz więcej swobody.

Dick wygrał batalię z przepisami dotyczącymi wieku i został wysłany do Anglii jako specjalny korespondent filmowy. Miał dołączyć do armii Montgomery'ego na pustyni w Alamein i siedział w Londynie, czekając niecierpliwie na wiadomość o samolocie, który miał go tam zabrać. Był w barze z kilkoma amerykańskimi korespondentami, kiedy spadła bomba — wszyscy zginęli na miejscu.

Azaylee zapomniała o swoich problemach, starając się pocieszyć Rachel, trzydziestodwuletnią wdowę z trzema synami w wieku od pięciu do dziesięciu lat. Niedługo potem zmarł nagle na atak serca Sam Brockman i Zev uparł się, żeby Rosa, Rachel i dzieci zamieszkały razem z nimi na tak długo, jak tylko będą chciały.

— Zapełnicie ten pusty dom — powiedział ze słabym uśmiechem. Czuł się zdruzgotany śmiercią Dicka. Dick był jego przyjacielem i najbliższym współpracownikiem, miał przejąć po nim wytwórnię, do której sukcesu tak bardzo się przyczynił. Wydawało się, że bez niego „Magic” nie ma sensu i Zev uświadomił sobie, że straci serce do filmu równie szybko, jak się w nim zakochał. Miał już pięćdziesiąt lat i czuł się zmęczony filmami, wojnami i kłopotami. Chciał już tylko być z Missie.

Rozdział 43

Maryland

I tak mieszkaliśmy w wielkim domu przy Lexington razem z Rosą, Rachel i dziećmi — ciągnęła Missie. — Zamiast kontrolować wytwórnę, Zev zajmował się chłopcami, zastępując Dicka w roli ojca. Chodził na zebrania do szkoły, sprawdzał dzienniczki, wynajął im nauczycieli pływania i tenisa, zabierał ich na mecze baseballowe. I pozwalał, żeby Jakey Jerome powoli przejmował „Magic”. Na początku Jakey ostentacyjnie się z nim konsultował, wkrótce jednak stało się jasne, że zdanie Zeva nie ma znaczenia: Jakey kierował wytwórnią po swojemu. Zev chodził tam dwa, trzy razy w tygodniu, żeby sprawdzić produkcję i posiedzieć na zebraniach, o których go powiadomiono, nie wiedział jednak nic o innych spotkaniach — tych tajnych.

Azaylee, odkąd opuściła klinikę po incydencie z Sołowskim, nie reagowała już na stare imię. Naprawdę stała się Avą Adair i wydawało się, że dawne problemy zostawiła za sobą wraz z tamtym imieniem. Kręciła film za filmem, aż Zev zwrócił Jakeyowi uwagę, że ją eksploatuje przerabiając wciąż to samo: zmieniały się tylko tytuły i partnerzy.

„Potrzebny jej nowy styl — powiedział po obejrzeniu kolejnych materiałów. — Ava ma do zaoferowania widzom coś więcej niż tylko urodę”.

Ale Jakey wzruszył ramionami.

- — Tego chce publiczność — odparł.

Kiedy Zev napomknął o tym Azaylee, posłała mu ten swój nieodgadniony uśmiech i powiedziała, że Jakey na pewno wie, co robi, po czym pobiegła na kolejny koncert dobroczynny, w którym przyrzekła wziąć udział.

Po wojnie kino się zmieniło, nawet musicale były inne, stały się

mniej sentymentalne. Ostatni film Azaylee zrobił klapę i wytwórnia straciła bardzo dużo pieniędzy. Zev się wściekł, wezwał Jakeya do biura na dywanik, ale Jakey całą winę zwał na Avę. Stwierdził, że to ona nie chciała się zmienić i upierała się, żeby grać wszystko po swojemu.

Mieli śliczny dom przy Crescent Drive, a Jakey uwielbiał wydawać przyjęcia. Czasami wpadaliśmy tam na późne niedzielne śniadanie i trudno było nie zauważyć, jak bardzo zmieniły się ich stosunki. Kiedy się poznali, Azaylee wydawała się nieosiągalna dla mężczyzny takiego jak Jakey. Była piękną gwiazdą i pasierbicą C.Z. Abramsa, a on nieatrakcyjnym, mało utalentowanym, biednym scenarzystą na najniższym szczeblu hollywoodzkiej drabiny. Teraz stał się potentatem kina, grubym i hałaśliwym, noszącym krzykliwe włoskie garnitury i palącym wielkie cygara, a ona była aktorką znaną jako osoba niezrównoważona, którą przyćmiewała nowa generacja ślicznych gwiazdeczek gotowych na wszystko, żeby tylko osiągnąć sukces. Na przyjęciach Jakeya było ich zawsze pełno.

Traktował Azaylee bardziej obcesowo, przerywał jej w środku zdania, odwracał się do niej plecami. Albo ignorował ją przez całe popołudnie, rozmawiając ze wszystkimi innymi — wesoły, jowialny gospodarz. Zev słyszał, że Jakey większość nocy spędza poza domem „grając w pokera”, przynajmniej tak mówił Azaylee.

Minęło kilka następnych lat. Zev i ja byliśmy wciąż tak samo szczęśliwi jak w dniu ślubu. Uznałam, że w związku z wojną czekiści wreszcie przestali mi grozić; że na pewno już zapomnieli o Iwanowach.

Wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego postanowiliśmy z Zevem wybrać się do Europy. Zrobiliśmy sobie wakacje życia: Londyn, Paryż, Rzym. Moje wspomnienia z Oksfordu zderzyły się z rzeczywistością lat pięćdziesiątych i prawie nie poznałam rodzinnego miasta. Tylko uniwersytet był taki sam. Znalazłam nasz dawny dom, a mieszkający w nim profesor uprzejmie pozwolił mi go zwiedzić. Tu przynajmniej niewiele się zmieniło — nawet wytarty fotel papy jeszcze tam stał. Kiedy powiedziałam, że pamiętam, jak wdrapywałam się na kolana ojcu siedzącemu na tym fotelu, profesor dał mi go w prezencie. Posłałam fotel statkiem do Kalifornii. Ojciec został pochowany w Rosji, więc w Oksfordzie nie było ani jego grobu, ani żadnych innych mogących mnie zatrzymać wspomnień.

Wróciliśmy do Kalifornii we wspaniałych nastrojach. Zev wypoczął i odzyskał siły. Zaraz po wojnie, kiedy wyszły na jaw straszliwe zbrodnie popełniane w obozach koncentracyjnych, Zev przekazywał znaczne sumy międzynarodowym organizacjom charytatywnym i poświęcał im

większość czasu. Teraz stwierdził, że wraca do wytwórni. Chciał odzyskać kontrolę nad „Magic” i pokierować nią na swój sposób.

Gdy tylko weszliśmy do domu, zadzwonił telefon, więc podniosłam słuchawkę i powiedziałam: „Halo”.

— *Matuszka* — usłyszałam — mówi Azaylee”. Po raz pierwszy od dwunastu lat użyła tego imienia i wiedziałam, że oznacza to kłopoty.

Natychmiast pojechaliśmy się z nią zobaczyć. Siedziała na kanapie z podkurczonymi nogami mnąc w dłoniach chusteczkę, twarz miała bladą, ściągniętą i przestraszoną.

Spojrzała na Zeva jak na ducha.

— Nie wyglądasz na chorego! — wykrzyknęła.

— Oczywiście, że nie jestem chory — odparł ze śmiechem. — W życiu nie czułem się lepiej.

— Dzięki Bogu! — Napięcie na jej twarzy ustąpiło miejsca uldze. Uśmiechnęła się.

— Po tym, co Jakey opowiadał, myślałam, że jesteś umierający...

Zev usiadł obok niej, ujął jej dłoń i zapytał: — A co mówił Jakey?

— Że się starzejesz, że minął już twój czas, że »Magic« potrzebuje świeżej krwi. Powiedział, że zwolniłeś obroty, że cierpisz na jakąś tajemniczą chorobę, o której nikt nie chce rozmawiać. Podśledzałam go w czasie pokera, w którego grali tu kilka tygodni temu. To nie była zwykła gra. Jakey zaprosił ważne osobistości, ludzi z pieniędzmi... — Spojrzała na Zeva i dodała: — O Boże, Zev, teraz rozumiem, o co mu chodzi, dlaczego to wszystko opowiada... Chce przejść »Magic«!

Po Hollywood rozniosła się wieść, że C.Z. Abrams jest chory. Zev nie doszedłby do swojego stanowiska nie robiąc sobie wrogów, którzy teraz rzucili się na niego jak wilki walczące o to, by wydrzeć zdobycz rywalom. Jakey uknuł wstrętą intrygę. Wytwórnia „Magic” była korporacją z milionami w aktywach, głównie w nieruchomościach w Čahuendze, ale w miarę jak filmy nabierały rozmachu, rosły też pożyczki. Od kilku lat firmą kierował Jakey i stopniowo przynosił cały interes do nowych banków, które obiecały mu — jak powiedział Zevowi — sfinansowanie planowanych przez niego wielkich produkcji. Szczególnie zaprzyjaźnił się z młodym bankierem Alanem Rackmanem, który zawsze był pod ręką ze sporym kredytem.

Oświadczył, że „Magie” ma kłopoty. Roczne zyski spadły o sześćdziesiąt procent, a co więcej, księgowi stwierdzili, że znaczne sumy pieniędzy są nie rozliczone. Podobno „zginęły”. Powiedział, że dobrze, iż Zev wrócił, bo muszą natychmiast porozmawiać. Kiedy Zev zapytał go o plotki na temat swojej „choroby”, Jakey odparł, że powtarza tylko to, co słyszał w mieście — zresztą czytał o tym nawet w „Daily

Variety". I rzeczywiście, w gazecie napisano, że *C.Z. Abrams wyjechał do Europy, by poddać się leczeniu tajemniczej choroby, która miała podobno wpływ na jego decyzje zawodowe. Mówi się o raku mózgu.*

Dalej opisano, jak to sytuacja „Magic” pogarszała się z powodu długiej nieobecności prezesa i śmierci Dicka Neverna, ale stwierdzano jednocześnie, że mimo poważnych kłopotów finansowych dyrektor Jakey Jerome zamierza zgodnie z planem kontynuować zdjęcia do trzech filmów fabularnych w tym sezonie.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Bankier Rackman, przyjaciel Jakeya, oskarżył Zeva o przekazanie dużych kwot z firmy organizacjom charytatywnym, insynuując przy tym, że tak naprawdę pieniądze te znalazły się na prywatnych kontach Zeva w zagranicznych bankach. Jako dowód przedstawił sfałszowane чеки, wystawione rzekomo przez wytwórnię. Jak to się mówi w filmach sensacyjnych, „wrobili” go: gromadzili przeciw niemu dowody rozgłaszając równocześnie, że przestał być kompetentny, i obarczając go odpowiedzialnością za katastrofę finansową, choć przecież przez ostatnich kilka lat wytwórnią kierował Jakey.

— Wybuchnie wielki skandal, C.Z. — powiedział Jakey. — Same tytuły w gazetach wystarczą, żeby cię wykończyć, choćbyś spędził dziesięć lat próbując udowodnić, że to nieprawda. Wytwórnia również będzie skończona. Może więc wycofasz się z godnością i pozwolisz nam przejąć firmę? Miałeś swoje wielkie dni, teraz czas na mnie.

Zev spojrział na jego uśmiechniętą gębę i miał ochotę wtłoczyć mu zęby pięścią do gardła, wiedział jednak, że nie warto. Nagle uświadomił sobie, że Jakey nigdy nie kochał Azaylee, że przez cały czas grał. „Od samego początku chodziło ci tylko o to, prawda?” — spytał.

Jakey popatrzył na Zeva z pyszałkowatym uśmiechem. — Zgadłeś — odparł.

Następnego dnia Zev zrezygnował z funkcji prezesa „Magic”. Przemysł filmowy nie był już tym, co kiedyś; teraz liczyły się tylko wielkie korporacje, telewizja, spółki i ludzie z pieniędzmi. Zev nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Jakiś czas temu kupił winnicę i postanowił teraz się nią zająć.

Nie słyszano więcej o „brakujących” wielkich sumach pieniędzy. Alan Rackman został nowym dyrektorem, a Jakey Jerome prezesem wytwórni. Nagle „Magic” miała tyle pieniędzy ile trzeba, a Jakey dokładnie to, czego pragnął.

Missie uśmiechnęła się smutno do Cala i powiedziała:

— Dlatego C.Z. Abrams umarł w zapomnieniu, a Jakey Jerome wspiął się na sam szczyt...

Azaylee odeszła od niego i zamieszkała w domu przy Lexington Drive. Jakey zakazał jej wstępu do wytwórni i wystąpił o rozwód pod zarzutem, że jest niezrównoważona psychicznie. Była to najokrutniejsza rzecz, jaką mógł zrobić, i dobrze o tym wiedział, chciał jednak uniknąć roszczeń i mieć pewność, że wygra.

Rozwód przeprowadzono bardzo szybko, ale oczywiście nie dało się uniknąć rozgłosu w prasie. Ukazały się wtedy te okropne zdjęcia Azaylee w ciemnych okularach i ogromnym kapeluszu, na których wyglądała, jakby odgrywała rolę z kiepskiego filmu. Oczywiście załamała się i znów wylądowała w klinice, a my po raz kolejny staraliśmy się ją z powrotem poskładać. Kiedy w końcu pozwolono jej wrócić do domu, zamieszkała z Rachel i jej chłopcami w ich nowym domu w Beverly Hills. Rosa wyszła po raz drugi za męża za szefa firmy budowlanej i przeprowadziła się do San Diego. A my zamieszkaliśmy przy winnicy w północnej Kalifornii.

Zev kupił ją już dawno temu w charakterze „inwestycji”, nigdy jednak nie przyniosła ani centa dochodu. Straciwszy wytwórnię, postanowił zająć się uprawą winogron. Zamierzał zrobić to porządnie, tak samo, jak robił filmy. Pragnął nauczyć się wszystkiego o produkcji wina, co naturalnie oznaczało powtórny wyjazd do Francji, żeby zobaczyć, jak to robią Francuzi.

Odwiedziliśmy wszystkie wielkie *chateaux*. Byłam zadowolona widząc, jak szybko Zev przestał myśleć o Hollywood i skoncentrował się na nowym przedsięwzięciu. Bez „Magic” i olbrzymich dochodów Zeva nie byliśmy już tak bogaci jak przedtem, postanowiliśmy więc sprzedać rezydencję przy Lexington Drive i zbudować sobie nowy dom na wzgórzu, z widokiem na nasze pięćset akrów winnic. W trakcie budowy mieszkaliśmy na małej farmie i Zev co dzień razem z nadzorcą chodził doglądać sadzenia nowych francuskich winorośli. Przygotował sobie plan na dziesięć lat i powiedział, że potem świat naprawdę usłyszy o winach kalifornijskich, zwłaszcza tych z „Winnic C.Z.”

Lubił objeżdżać je wieczorami i pokazywać mi, jak dojrzewają winogrona. Był z nich taki dumny... mogłabym przysiąc, że znał każde grono. W północnej Kalifornii jest ostrzejszy klimat, w dolinach wieje chłodny wiatr z północnego wschodu, podobny do francuskiego mistralu. A Zev zachowywał się tak, jakby nadal mieszkał na południu, rzadko kiedy wkładał sweter czy kurtkę. Pewnego wieczoru, kiedy jak zwykle spacerowaliśmy po winnicy rozmawiając o zbiorach i gatunku wina, który Zev zamierzał produkować, zobaczyłam, jak drży na wietrze. Był październik, naprawdę zrobiło się zimno i chciałam już wracać do domu. Ale on musiał pokazać mi jeszcze jedną rzecz, potem

jeszcze jedną, i jeszcze. Następnego dnia położył się do łóżka z katarem, kaszlem i dreszczami, a wieczorem skoczyła mu temperatura. Wezwałam lekarza, stwierdził zapalenie oskrzeli, które przeszło potem w zapalenie płuc.

Zabrali go do szpitala i naszprycowali cudownym nowym lekiem — penicyliną — nic to już jednak nie pomogło. Siedziałam przy nim trzymając go za rękę i wiedziałam, że umiera. Znaliliśmy się od trzydziestu czterech lat, od dwudziestu trzech byliśmy małżeństwem. Były to najszcześniejsze lata mojego życia, mimo wszystkich naszych ówczesnych problemów.

Włożyli mu do gardła rurki, żeby mógł oddychać, ale nie potrafili go wyleczyć. Był przez to jeszcze bardziej przygnębiony, ponieważ nie mógł mówić. Wiedziałam, co chciał powiedzieć, i powiedziałam to za niego: „Ja też cię kocham, Zev. Zawsze będziemy się kochali”.

Zabrałam jego ciało do Hollywood i tam go pochowałam, w tym mieście bowiem odkrył w sobie prawdziwego mężczyznę i tam było jego miejsce. Wiadomość o śmierci C.Z. Abramsa znalazła się na pierwszej stronie „Variety”, wraz z poświęconym mu artykułem, w którym wyliczono wszystkie jego osiągnięcia. Autorzy okazali się łaskawi i napisali, że zrezygnował z prezesury „Magic” ze względów „zdrowotnych”, nie wspominając o Jakeyu. Ale Zev był człowiekiem, który zawsze unikał rozgłosu, więc w prasie międzynarodowej zaledwie wspomniano o jego śmierci. Myślałam, że pogrzeb będzie cichy i byłam zdumiona, ile osób przyszło. Zev był ogólnie szanowany i lubiany, miał w branży więcej przyjaciół, niż myślał. Nadal uważam, że gdyby stawił czoło Jakeyowi, przyjaciele poparliby go i mogłby wygrać. Niestety Jakey Jerome walczył jak ulicznik i dobrze wiedział, jak najdotkliwiej uderzyć człowieka.

Zostałam dosyć zamożną wdową, sprzedawałam winnicę i kupiłam mały domek na przedmieściach Encino w dolinie San Fernando. Hodowałam charty, grałam w brydża i zajmowałam się dobroczynnością. A także pilnowałam, żeby Azaylee nie wpakowała się w nowe kłopoty.

Zawsze była profesjonalistką, tymczasem krążyły o niej okrutne plotki, że bez C.Z. i „Magie” jest do niczego, że pije, co nie było prawdą. Po prostu stała się znów Azaylee. Poruszała się między swoimi dwiema osobowościami i wytwórnice nigdy nie wiedziały, czego się po niej spodziewać. Jednego dnia była w dobrej formie, a następnego nie pamiętała nawet, co ma robić. Ale nadal była bardzo piękna i zawsze kręcili się koło niej mężczyźni. A w gorszych chwilach łądowała w klinice.

Pewnego dnia w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym pojechałam odwiedzić ją w klinice Valley Loma. Nie pracowała już od kilku lat i pokrywałam za nią wszystkie rachunki za leczenie. Nie chciałam, żeby Azaylee musiała martwić się jeszcze o pieniądze. Tamtego roku przebywała w klinice prawie co miesiąc, na przemian szalejąc i popadając w głęboką depresję.

Siedziała w wiklinowym fotelu na werandzie, usiadłam więc obok niej. Kiedy wręczyłam jej przyniesione róże, uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

— Witaj, *matuszka*. Wiesz co? Jestem w ciąży.

Pomyślałam — o Boże, teraz już naprawdę zwariowała... ma już przecież czterdzieści cztery lata i wie, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci.

— Na pewno nie jesteś w ciąży — odparłam najspokojniej, jak umiałam. — Wiesz przecież, że według lekarzy to jest niemożliwe.

Uśmiechnęła się do mnie łobuzersko. — Lekarze się mylili — powiedziała tryumfalnie. — Dostałam dziś wyniki testu. Będziesz wreszcie babcią, *matuszka*.

Doktor z kliniki potwierdził to i powiedział, że musi mieć ją na oku; powinna albo zostać u nich, albo zamieszkać ze mną. Natychmiast zabrałam ją do domu. Azaylee była szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Zamierzała robić wszystko tak, jak należy: jadła właściwie, odpowiednio przytyła, łykała witaminy, gimnastykowała się, spacerowała, pływała. Jej dziecko miało być najwspanialszym dzieckiem na świecie. Ale nawet jeśli znała tożsamość ojca, nie zdradziła mi jej. Wzruszyła tylko ramionami i stwierdziła, że może to być jeden z kilku, mam się jednak nie martwić, bo wszyscy byli mili, przystojni i młodzi. „Młodszy ode mnie. Może dlatego właśnie zaszłam w ciążę” — powiedziała. Ale ja wiedziałam, że wiek partnera raczej nie miał tu nic do rzeczy. Po prostu miała szczęście.

Fizycznie była w dobrej formie, więc poród nie nastęczył trudności. Nigdy nie zapomnę miłości malującej się na jej twarzy, kiedy pokazała mi dziecko. „Zobacz, *matuszka* — powiedziała z dumą. — Jest tak piękna jak Annuszka”.

Naturalnie nie podzielałam jej zachwytu. Dziewczynka była pocieszna, prawie łysa, z noskiem za dużym w porównaniu z małą twarzyczką, ale dla Azaylee była skończoną pięknnością. Dała jej rosyjskie imiona i swoje sceniczne nazwisko, Adair. Anna Adair.

Wraz z narodzinami córeczki Azaylee ożyła. Sześć miesięcy później zaczęła się rozglądać za pracą, zostawiając mi dziecko. Żałowałam tylko dwóch rzeczy: że Misza nie może zobaczyć swojej wnuczki i że nie mogę podzielić się swoją radością z Zevem.

Azaylee czasami pracowała, czasami nie, zawsze jednak miała jakiegoś towarzysza, najczęściej nieciekawego, i co jakiś czas wracała do sanatorium. A kiedy Anna skończyła sześć lat, Azaylee wylądowała w klinice na dobre. Nigdy już z niej nie wyszła. Jej umysł w końcu odmówił posłuszeństwa, powalony depresją tak głęboką, że stała się żywym trupem; nie poznawała nikogo i straciła kontakt ze światem. Początkowo zabierałam Annę w odwiedziny, ale źle to na nią działało, więc przestałam. Wtedy właśnie spotkałam w Paryżu Tarią Kazana i życie Anny się zmieniło. Wreszcie miała prawdziwą rodzinę.

W owym czasie odkryłam także, że większą część pieniędzy Azaylee rozdrapali jej kochankowie, zostawiając ją praktycznie bez grosza. Moje własne zasoby poszły na rachunki za jej leczenie. Powiedzieli mi, że mogę ją oddać do zakładu państwowego, bo ona i tak nie wie, gdzie jest, ale nigdy bym tego nie zrobiła.

Zginęła w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim podczas pożaru w klinice. Mimo smutku odczuwałam zadowolenie na myśl, że uniknęła dalszych lat cierpień i że Anna nie będzie musiała żyć ze świadomością, że ma umysłowo chorą matkę. Nagle cała prasa zaczęła się rozpisywać, jaka Ava Adair była piękna i utalentowana. Mówiono, że nigdy nie będzie drugiej takiej aktorki, że ludzie zawsze będą pamiętać ją i jej filmy. A ja zostałam sama z dwunastoletnią Anną.

Z pieniędzmi też nie było najlepiej. — Dużo poszło na Azaylee, po jej śmierci miałam mnóstwo długów. Musiałam żyć oszczędnie, jeśli chciałam, żeby Anna skończyła studia i mogła zacząć samodzielne życie. Miałam jedynie nadzieję, że tego dożyję. — Missie uśmiechnęła się. — Nie sądziłam, że będę żyła tak długo. Bo widzisz, Cal, gdybym umarła wcześniej, nie doszłoby do tego wszystkiego. Anna zna tylko część tej historii i sprzedała klejnoty w dobrej wierze, bym nadal mogła mieszkać tu w komfortowych warunkach. Chciała w ten sposób podziękować mi za wszystko, co zrobiłam dla jej matki...

Była siódma rano i słońce świeciło już jasno, kiedy siostra Milgrim wkroczyła do pokoju szeleszcząc fartuchem.

— Trzeba będzie kilku dni, żeby to odrobić — powiedziała gniewnie do Missie. — Cała noc przepadła.

— Och, siostrzo, ta rozmowa dała mi więcej niż sen, była jak *catharsis*, przyniosła mi ulgę. Teraz Cal może przejąć moją rolę. — Spojrzała na niego prosto.

— Jeszcze tylko dwa pytania — rzucił szybko. — Czy wie pani, dokąd Anna pojechała?

— Ależ do Stambułu, do Kazanów — odparła, jakby było to oczywiste.

Skinał głową.

— Czy ma jakieś papiery, dokumenty...?

— Chodzi ci o umowę o dzierżawie kopalń? Tak, Anna ma wszystko. Zabrała cały majdan, gdy się tu sprowadziłam. — Roześmiała się. — Trudno by było trzymać tu pod łóżkiem walizkę pełną klejnotów. Zostałaby wymieciona razem z pajęczynami. — Popatrzyła na niego i dodała: — Muszę ci jeszcze coś wyjaśnić. Kiedy zobaczyłam w telewizji tego młodego rosyjskiego dyplomatę, Valentina Sołowskiego, natychmiast go poznałam. To syn Aleksieja, kuzyn Anny.

Wręczyła Calowi niewielką fotografię ładnej blondynki i powiedziała:

— Proszę cię, znajdź Annę. Pomóż jej.

Cal wpatrywał się w milczeniu w tajemniczą dziewczynę, której wszyscy szukali, dziedziczkę Iwanowów.

Miał przed sobą zdjęcie Genie Reese.

Rozdział 44

Sambuł

Sambuł trzeszczał i sypał się od gorącego wiosennego słońca, pękały nabrzmiałe bąble farby, budynki pokrywała warstwa kurzu i brudu, na ulicach pełno było samochodów, czekających taksówek, sprzedawców dywanów i kotów. Błyszczały kopuły zaśnieżonych klejnotów miasta, Topkapi, Ayasofii i Błękitnego Meczetu, słynne minarety dźgały niebieskie niebo, gdzieś tam, niczym oazy spokoju w nieustającym miejskim warkocie, leżały szerokie skwery, na których ludzie przy kawiarnianych stolikach pod drzewami raczyli się *cat*. Poniżej wiał się Bosfor — droga do Rosji, na jednym brzegu Azja, na drugim Europa — rozbręczany od kutrów, promów i wielkich szarych statków, obwarowany po obu stronach zielonymi wzgórzami, na których przycupnęły nowe rezydencje i drewniane letnie domy z dziewiętnastego wieku.

Borys Sołowski ledwie zauważył, że wiosenne popołudnie jest słoneczne i bezchmurne i że znajduje się w mieście pełnym wspaniałych zabytków. Nic go nie obchodzili spokojni, uśmiechnięci ludzie tłoczący się na chodnikach ani ciemnowłose kobiety o czerwonych ustach, ubrane w szykowne kostiumy, wożone luksusowymi limuzynami do eleganckich restauracji. Żołnierzom przed pałacem Dolmabahçe rzucił zaledwie przelotne spojrzenie.

Wczoraj przybył z Moskwy do Ankary z oficjalną misją dyplomatyczną i późną nocą prywatnym odrzutowcem przyleciał do Sambułu. Genie Reese uciekła jego ludziom w Waszyngtonie — znalazła się w samolocie do Londynu w chwili, gdy tamci załatwiali obstawę w jej domu. Na Heathrow przesiadła się na samolot do Sambułu, jednak tym razem agenci KGB czekali na nią. Otoczyli ją, gdy wychodziła z lotniska i wpełnęli do samochodu tak szybko, że nie zdążyła nawet krzyknąć. Natychmiast dostała zastrzyk i opadła na

siedzenie, niezdolna do żadnego protestu. Genie Reese alias Anna Iwanow.

Borys pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiech. Miał przed sobą chwilę największej rozkoszy w życiu spędzonym na folgowaniu najniższym instynktom. Dziewczyna była kluczem do ostatecznego zniszczenia Aleksieja i Valentina Iwanowów.

Valentin poprawił ostrość w potężnej lornetce, przez którą obserwował okoliczne budynki z pokoju w małym, podupadającym hotelu w Emigran, na przedmieściach Sztambułu. Nic nie zauważył, żadnych snajperów na dachach czy w oknach. Na ulicy był ruch, autobusy wypluwały czarne spaliny, hałasowały dziurawe tłumiki wiekowych chevroletów. Stary sprzedawca herbaty ze srebrnym samowarem na plecach sunął po chodniku w tureckich ciżmach z zadartymi nosami; uliczny handlarz zbijał majątek na obranych i posolonych ogórkach łagodzących spieczone i wyschnięte od miejskiego kurzu gardła przechodniów; w kawiarni na tarasie leciwi rybacy palili nargile, pili kawę gęstą od fusów oraz cukru i plotkowali o dawnych czasach.

Był to normalny obrazek z życia Sztambułu — nic nie sygnalizowało niebezpieczeństwa zagrażającego Valentinowi. Stwierdził, że ma jeszcze przynajmniej kilka godzin, zanim KGB dowie się o jego przybyciu. Ojciec zadzwonił wczoraj do Waszyngtonu i podejmując ogromne ryzyko powiedział: „Valentin, zgarnęli Genie Reese z lotniska w Sztambule. Ponieważ pracowałeś nad tą sprawą, jestem pewien, że będziesz chciał pomóc Borysowi”.

Ogarnęło go przynębenie, kiedy pomyślał o Genie i jej telewizyjnym wystąpieniu. Wiedział, że było ono równoznaczne z podpisaniem wyroku śmierci. Pojechał prosto do jej mieszkania klnąc na korki uliczne, które zabrały mu dziesięć cennych minut, ale znalazł tylko związanych, zakneblowanych, nieprzytomnych strażników i ani śladu Genie. Ludzie z KGB wyprzedzili go. Był pewien, że jej nie zabili, ponieważ posiadała potrzebne im informacje. Dowiedział się dyskretnie na lotnisku, że poleciała przez Londyn do Sztambułu. Znajdowała się gdzieś tutaj i Valentin zamierzał ją znaleźć. Wiedział, że Borys będzie próbował przewieźć ją do Rosji, a najłatwiej i najwygodniej można było to zrobić jednym z wielu rosyjskich statków codziennie pokonujących Bosfor. Genie mogła być na pokładzie którejkolwiek z kilkunastu jednostek stojących w porcie. Postanowił się im przyjrzeć, wypatrując oznak odbiegającego od normy zachowania.

Godzinę później zatrzymał taksówkę i zniechęcony wrócił do

Emigranu. Na rosyjskich frachtowcach wszystko odbywało się tak samo jak co dzień: nie zauważył nigdzie dodatkowej ochrony ani specjalnych zabezpieczeń.

Z westchnieniem minął restaurację i uświadomił sobie, że nie jadł od dwudziestu czterech godzin. Poleciwszy taksówkarzowi jechać wzdłuż wybrzeża, zaczął rozglądać się za jakąś knajpką. Kiedy wyjechali zza zakrętu w Istinye, wyrósł przed nimi wielki, czerwony od rdzy kadłub frachtowca „Leonid Breżniew”. Na szczycie trapu stali dwaj uzbrojeni po zęby żołnierze Specnazu.

Valentin spoglądał przez szybę na olbrzymi, cichy statek. Przypadkowo natknął się na to, czego szukał. Był pewien, że żołnierze mieli za zadanie pilnować więźnia — Genie na pewno znajdowała się na pokładzie „Breżniewa”, a jeśli Borysa jeszcze tam nie ma, to wkrótce się zjawi. Musi ją jakoś stamtąd wydostać. Potem dowie się od niej, kim jest „Dama”, i zrobi to, co do niego należy.

Ferdie Arnhaltd siedział przy stoliku obok dużej kamiennej fontanny na dziedzińcu hotelu „Yesil Ev”. Popijał wytrawne białe wino i czekał na swojego informatora. Niepunktualność tamtego działała mu na nerwy; drgającą stopą wybijał nie kończący się nerwowy rytm i co chwila spoglądał na zwieńczone łukiem wejście.

Stojący na schodach kelner z niepokojem patrzył na jego wykrzywioną wściekłością twarz. Ferdie opróżnił kieliszek, więc pospieszył dolać mu wina, mężczyzna jednak potrząsnął głową i machnął ręką, oganiając się jak od uprzykrzonej muchy. Chłopak wzruszył ramionami, po czym wrócił na swoje stanowisko przy kuchni. Klient siedział tu od trzech kwadransów wpatrując się w wejście na dziedziniec, jakby oczekiwał cudu. Pewnie czeka na kobietę, pomyślał kelner, musi być naprawdę niezła, skoro facet jest tak zdenerwowany.

Ale dziesięć minut później gość klienta w końcu się pojawił. Nie była to wcale kobieta, lecz niski, gruby Turek z wielkimi wąsami i papierosem zwisającym z kącika ust. Spojrzał chłodno na kelnera i zażądał *raki*.

— No i...? — zapytał Arnhaltd z gniewną miną.

Turek wzruszył ramionami.

— W Stambule zawsze są piekielne korki. Nigdzie nie można zdażyć.

Dwoma łykami rozprawił się z *raki*, potem ruchem ręki zamówił następny kieliszek.

— Ta gimnastyka będzie kosztować pana majątek — dodał zaczepnie. — Dwunastu moich ludzi obserwuje lotnisko, wille Kazanów i *yali*. Dzień i noc.

— Dalej — syknął Arnhaldt. — Skoro mam wydać na to majątek, to lepiej, żebyś miał jakieś wyniki.

— Może być ich pan pewien. — Turek zapalił następnego papierosa, rozkoszując się chwilą przewagi nad tym bogatym, ważnym mężczyzną, który przedstawił się jako „pan Steel”. Nazwisko z pewnością fałszywe, ale on nie był aż tak ciekawy, żeby je sprawdzić. Płacono mu dobrze i tylko to go interesowało. Zamierzał wyciągnąć z Niemca jak najwięcej marek, zwłaszcza że teraz miał dla niego towar.

Arnhaldt znów zaczął wybijać stopą nerwowy rytm. Turek pociągnął łyk *raki* i powiedział:

— Kilkunastu agentów KGB było wczoraj na lotnisku Ataturk... sporo, jak na taką małą operację.

Pięść Arnhaltda opadła na stół, przewracając kieliszek.

— Jaką operację?!

— No, zgarnęli jedną dziewczynę. Ładna blondynka, Amerykanka.

Arnhaldt nachmurzył się. Przyjechał do Sztambułu otrzymawszy informację o Kazanach, ale wyglądało na to, że KGB go uprzedziło.

— Było też kilku ludzi z CIA — Turek wydmuchiwał kółka dymu — ale się spóźnili. Ruscy wepchnęli ją do samochodu, zanim tamci zdążyli się odwrócić. Pojechali za nią. A my za nimi.

— Dokąd?

— Przystań w Istinye, a raczej to, co z niej zostało. Stoi tam radziecki frachtowiec „Leonid Breżniew”. Wielkie bydło. Dziewczyna nie dojechała do Kazanów, więc daję głowę, że oni też zaczną jej niedługo szukać.

— Jest na statku?

Turek skinął głową i odparł z uśmiechem:

— Na pokładzie są żołnierze, pilnują trapów. Trzeba by przypuścić prawdziwy szturm, żeby ją stamtąd wyciągnąć, panie Steel. Według mnie kapitan poczeka, aż zapadnie noc. i wymknie się pod osłoną ciemności. Popłyną do Rosji. Prosta droga.

Zerknął z ciekawością na swojego mocodawcę, który w milczeniu patrzył przed siebie nerwowo ruszając nogą.

— Wygląda na to, że pana załatwili — stwierdził po chwili. Wychylił trzecią porcję *raki*, ale Niemiec nadal wpatrywał się w dal. — Mam jeszcze jedną wiadomość, która pana zainteresuje — dodał. — Coś ważnego. Należy mi się dopłata.

Arnhaldt spojrział na niego wściekłym wzrokiem i Turek poczuł.

jak ze strachu cierpnie mu skóra. Niemiec wsunął rękę za marynarkę, jakby sięgał po broń, wyjął jednak tylko garść marek. Rzucił je na stół.

— To powinno zaspokoić chciwość każdego człowieka — powiedział zimno. — Ale ostrzegam cię: lepiej, żeby to było tyle warte.

Zgarnawszy banknoty do kieszeni, Turek pochylił się i wyszeptał:

— Sprawdziłem informację o Kazanach. W rodzinie jest tylko jedna młoda dziewczyna, córka Ahmeta Kazana, Leyla. Wszystkie kuzynki są starsze, powychodziły za mąż i mieszkają w Turcji. Ale była jeszcze jedna panna, którą Tariq Kazan nazywał córką — młoda Amerykanka mieszkająca na stałe w Los Angeles i spędzająca z Kazanami wszystkie wakacje. Nazywała się Anna Adair.

Nazwisko nic Arnhaldtowi nie mówiło, spojrzął więc niecierpliwie na Turka.

— Zadzwoiłem do mojego człowieka w Los Angeles i kazałem mu trochę poszperać. Oddzwonił godzinę temu. Anna Adair jest przybraną wnuczką nieżyjącego już potentata filmowego C.Z. Abramsa. Jej matką była aktorka Ava Adair. Dziewczyna pracuje teraz w telewizji w Waszyngtonie. Dostałem faksem jej zdjęcie, razem ze zdjęciem matki. — Położył na obrusie dwie kartki. — Zmieniła nazwisko — dokończył. — Teraz się nazywa...

— Genie Reese.

— Trafiony, zatopiony, jak to mówią Amerykanie — wyszczerzył zęby Turek. — Co dalej, panie Steel?

W umyśle Arnhaltda wszystko zazębiło się tak gładko, jak zapadki elektronicznego zamka do sejfu. Jego jedyną nadzieją byli teraz Kazanowie. Stanowili dumną, lojalną rodzinę — kiedy dotrze do nich wiadomość, że Anna znalazła się w niebezpieczeństwie, zaczną działać.

— Nie spuszczać oka ze statku — przykazał Turkowi. — I postaw dwa razy tyle ludzi przy Kazanach. Zawiadom mnie natychmiast, jeśli coś się zacznie dziać. N a t y c h m i a s t — nie w godzinę po fakcie.

— Tak jest — Turek wstał. — Ale będzie to pana kosztowało — oświadczył zuchwale.

Arnhaldt obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

— Ciebie też. I to dużo, jeśli mnie zawiedziesz.

Przy wyjściu Turek niespokojnie obejrzał się na Niemca. Było w nim coś niepokojącego, tłumiona gwałtowność, która mogła w każdej chwili wybuchnąć.

Arnhaldt odprowadził Turka wzrokiem, po czym poszedł do swojego pokoju, gdzie sprawdził numer telefonu Michaela Kazana. Zapisał go na kartce i udał się na pobliski plac, naprzeciwko Błękitnego Meczetu.

Jak zawsze kłębił się tam tłum handlarzy, zachwalających turystom

dywany i skórzane kurtki, pełno też było czarnookich urwisów, usiłujących szybko zarobić na sprzedaży kart pocztowych, których nikt nie chciał. Zamówiwszy *cai*, Arnhaltd zaczął się rozglądać, aż zatrzymał wzrok na chłopcu może ośmioletnim, ze sznurkiem widokówek w ręku. Przywołał go podniesieniem dłoni i kupił kartki za sześćset lirów, choć wiedział, że chłopiec zgodziłby się na mniej.

— Pan chce skórzana kurtka? — zapytał smyk usłużnie. — Znam najlepsze miejsce.

Arnhaltd potrząsnął głową.

— Mówisz po angielsku?

— Jasne. Wszyscy chłopcy w Turcji mówią po angielsku, po francusku, po włosku. — Wyszczrzył zęby i dodał: — Niektóre słowa mówię...

Oczy mu zabłyśły, kiedy Arnhaltd położył na stole dziesięciotysięczny banknot. Zrobił krok czy dwa do tyłu, nie wiedząc, czego chce mężczyzna, lecz nie spuszczał wzroku z pieniędzy.

— Muszę zatelefonować — powiedział Arnhaltd powoli — ale nie znam tureckiego. Chcę, żebyś zadzwonił za mnie. Pod ten numer. — Pokazał chłopcu kartkę. — Poprosisz pana Michaela Kazana. Powiesz tylko: „Anna jest na »Leonidzie Breżniewie« w Istinye”. Powtórzysz to dwa razy i odłożysz słuchawkę. — Niepokojnie spojrzał na małego. — Zrozumiałeś?

— Jasne. — Dzieciak kiwał głową jak pełen zapału szczeniak, nie odrywając oczu od banknotu. Nie zarobiłby tyle przez pół roku, nawet gdyby pracował w fabryce dywanów.

— Powtórz — zażądał Arnhaltd.

— Proszę pana Michaela Kazana i mówię, że Anna jest na „Leonidzie Breżniewie” w Istinye. — Wyciągnął rękę po pieniądze.

Arnhaltd był szybszy.

— Najpierw zadzwonisz — powiedział.

Pierwszy automat okazał się zepsuty, drugi też.

— Znam sklep — powiedział chłopak i ruszył w kierunku małego warzywniaka. Buty Arnhaltda zaczął skubać mały koziołek. Dzieciak wbiegł do środka, wręczył sprzedawcy żeton i poprosił o telefon. Kopnąwszy koziołka, Arnhaltd patrzył, jak chłopak wykręca numer i prosi Michaela Kazana. Mały czekał przez chwilę, po czym w podnieceniu przekazał wiadomość po turecku, powtórzył ją i cisnął słuchawkę. Wyszedł ze sklepu z wyciągniętą ręką, Arnhaltd wsunął banknot w lepką dłoń.

— Dziękuję panu, dziękuję. Pan bardzo dobry — zawołał chłopiec za odchodzącym szybko Niemcem.

Refika Kazan zauważyła, że mężowi drżała dłoń, kiedy odkładał słuchawkę. Podszedł do okna nowoczesnej, położonej na wzgórzu willi, żeby spojrzeć w dół, na Bosfor pełen promów i kursujących co dzień europejskich oraz rosyjskich transportowców.

Z niepokojem obserwowała męża. Rozpoznawała wszystkie jego nastroje: wcześniej był rozgniewany i podniecony, zdenerwowany, ale pełen energii; teraz jednak, po otrzymanym telefonie, wyglądał na człowieka poważnie zmartwionego. Gorzej — wyglądał jak człowiek stary. Michael nigdy nie zwracał uwagi na swój wiek, lecz przecież nie należał już do najmłodszych. Zestarzeli się razem, a ich długie małżeństwo było związkiem dwóch silnych indywidualności zespolonych prawdziwą miłością i wzajemnym szacunkiem. Przez te wszystkie lata Refika ani razu nie wspomniała o jego chorej nodze; on sam zawsze ignorował swoje kalectwo, więc ona także. Nie miało znaczenia. Michael był dynamiczny, jak Tariq, a dziwaczny, kołyszający krok podkreślał tylko jego gwałtowny charakter. Ze współczuciem patrzyła, jak szuka laski i kuśtyka przez pokój, by usiąść obok.

Powiedział cicho:

— Dzwonił jakiś chłopiec. Powiedział, że Anna jest na „Leonidzie Breżniewie” w Istinye. Najwyraźniej ktoś mu zapłacił za przekazanie wiadomości.

Refika spojrzała nań niespokojnie.

— Ale kto? I dlaczego?

— Sam chciałbym wiedzieć. Musieli ją zgarnąć z lotniska, kiedy przyleciała. — Jęknął. — Dlaczego nie zawiadomiła nas, że przyjeżdża? Jak, u diabła, mam ją teraz z tego wyciągnąć?

— Sam nie dasz rady — rzekła Refika pośpiesznie. — Potrzebna ci pomoc. Zadzwoń do ministra spraw wewnętrznych. Zadzwoń na policję. Zadzwoń do Amerykanów. Zabierz ją z tego statku, Michaelu, bo na pewno wywożą ją w nocy do Rosji.

Michael utkwiał wzrok w portrecie ojca i matki na przeciwległej ścianie. Tariq wyglądał bojowo i dumnie w marynarskim mundurze, a maleńka Han-Su w *cheongsam* przypominała delikatnego wróbelka.

— Co ty byś zrobił, ojcze? — zapytał. Potem roześmiał się. — Posłuchałbyś swojej żony Han-Su — odpowiedział sam sobie. — Zawsze tak robiłeś. — Uśmiechnął się do Refiki. — Tak jak ja zawsze powinienem słuchać mojej.

Zadzwoił do Ahmeta, pokrótce wyjaśnił, co się stało, i kazał mu natychmiast przyjeżdżać. Potem szybko zatelefonował w trzy inne miejsca. W ciągu pół godziny do willi Kazanów zjechali cztery

mężczyźni: minister spraw zagranicznych Malik Gulsen, szef policji Mehmet Kelic, konsul amerykański Jim Herbert oraz Ahmet Kazan.

Refika siedziała w milczeniu przy oknie wychodzącym na Bosfor i przysłuchiwała się ich rozmowie. Twarz miała spokojną, w środku jednak cała się trzęsła. Traktowała Annę jak własne dziecko i umarłaby, jeśliby jej się cokolwiek stało. Gdyby ta niemądra dziewczyna zwróciła się do nich, z radością daliby jej pieniądze dla Missie i nie doszłoby do tego wszystkiego. Ale Anna zawsze była uparta, dumna ze swojej niezależności i kariery, na którą sama pracowała. Refika niespokojnie spoglądała na Micheala i dostrzegła w nim zmianę. Przestał być załamany starcem sprzed godziny. Wyprostował się, naładowany dawną energią, która pomogła mu przetrwać życiowe kryzysy. Jeśli ktokolwiek może uratować Annę, to tylko Michael.

Głos zabrał Gulsen, minister spraw zagranicznych.

— To prawda, że rosyjski statek znajduje się na wodach tureckich i podlega tureckiemu prawu morskemu, ale jeśli mamy domagać się rewizji, tak jak tego żąda Michael, musimy mieć pewność, że dziewczyna jest na pokładzie. Jeśli się pomylimy, może dojść do międzynarodowego incydentu... a tego Turcji nie potrzeba.

— Sprawdziłem ten statek. Przy obu trapach stoją uzbrojeni strażnicy w mundurach armii radzieckiej. W mundurach Specnazu. — Michael mówił to z przekonaniem. — Jestem pewien.

Amykański konsul Jim Herbert westchnął.

— Dziewczyna jest obywatelką Stanów Zjednoczonych. Trzeba coś zrobić, żeby ją znaleźć. Ale, jak zauważył Gulsen, nikomu z nas nie zależy na międzynarodowym incydencie. Jeśli są to żołnierze Specnazu, z pewnością pilnują czegoś — albo kogoś — bardzo ważnego. Tak czy owak uważam, że Turcja ma prawo zadać kilka pytań. Zadzwoń do Waszyngtonu po instrukcje.

Michael wskazał mu telefon.

— Niech pan dzwoni stąd. Nie ma czasu do stracenia.

— Anna przyleciała samolotem British Airways z Londynu — powiedział Ahmet. — Przeszła przez kontrolę paszportową i rozmawiała z celnikiem, który ją zna. Patrzył, jak wychodziła, ale stracił ją z oczu w tłumie mężczyzn. Wydawało mu się, że ją popychali. Ruszył za nią, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale zanim doszedł do drzwi, już jej nie było. Uznał więc, że wzięła taksówkę i odjechała. — Po chwili dodał cicho: — Nie ma wątpliwości, że Rosjanie złapali Annę na lotnisku. Znacnie już przyczynę. Następnym logicznym posunięciem będzie wywiezienie jej do Rosji. Czy jest prostszy sposób? Po Bosforze codziennie płyną rosyjskie statki. Nikt na nie nie

zwraca uwagi. To oczywiste, że poczekają do nocy, po czym spróbują się niepostrzeżenie wymknąć.

Spojrzeni na Jima Herberta, który wrócił przygaszony po rozmowie z Waszyngtonem. Konsul zrelacjonował im ostatnie wydarzenia i oświadczył, że Cal Warrender z Departamentu Stanu jest w drodze do Stambułu i powinien dotrzeć w nocy, po czym powiedział:

— Waszyngton zgadza się, że dziewczyna musi być na pokładzie „Bieżniewa”. Mamy ich pełne poparcie, niezależnie od tego, na jakie działania zdecyduje się Turcja.

— Wydaje mi się, że jeśli mamy uniknąć międzynarodowego skandalu, sprawą powinna się zająć policja — oznajmił zwięźle Kelic.

Gulsen z namysłem skinął głową.

— Może zostawimy Rosjanom furtkę? Powiemy, że według nas jeden z marynarzy przemycił na pokład dziewczynę. Jeśli przekażą ją w nasze ręce, zapomnimy o wszystkim.

— A jeśli się nie zgodzą? — spytał Michael.

Minister wzruszył ramionami.

— Wtedy zażądamy rewizji. — Westchnął. — Ale najpierw spróbujemy podejść do nich w sposób cywilizowany i będziemy się modlić, żeby to wystarczyło.

— Ostrzegam was — rzucił Michael. — Jeśli wam się nie uda, wezmę sprawę we własne ręce. Trzeba znaleźć Annę, zanim będzie za późno

Czterej mężczyźni popatrzyli na niego w milczeniu. Wiedzieli, że tak naprawdę chciał powiedzieć: "zanim ją zabiją".

Gulsen spojrzał pytająco na szefa policji. Kelic kiwnął głową i odparł cicho:

— Ma pan moje pozwolenie. Proszę robić to, co trzeba.

Michael i Refika patrzyli na wychodzących z pokoju mężczyzn, po czym spojrzeli na siebie.

— No i...? — zapytał Michael.

Refika skinęła głową.

— Będzie, jak mówisz. Jeśli ich plan się nie powiedzie, musisz wziąć sprawę w swoje ręce.

Genie otworzyła oczy. Przynajmniej wydawało się jej, że to zrobiła, nadal jednak było ciemno. Zamrugała, ale nic nie pomogło. Przekręciła głowę z boku na bok, nadaremnie szukając światła. Ból przeszył jej głowę, jęknęła usiłując przedrzeć się przez grube warstwy mgły zalegające jej umysł i zrozumieć, dlaczego nie może podnieść rąk, żeby dotknąć czoła. Nic z tego, najwyraźniej mózg nie działał jak należy.

Było gorąco i duszno, ciemność napierała na jej gałki oczne. Poczwała dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa, przypominając sobie dawne opowieści o zakonnicach grzebanych żywcem za murami klasztorów i o ludziach cierpiących na dziwny paraliż, który nie pozwalał im krzyżeć, kiedy kładzono ich do trumien i przybijano wieka...

Jej piskliwe z przerażenia wołanie słabo zabrzmiało w ciemności — nikt nie przybiegł z pomocą. Nikt jej nie słyszał. Szlochając ze strachu spróbowała usiąść, ale ręce miała uwięzione z tyłu, a kostki złączone w przedziwny sposób... Wtedy doznała olśnienia: była związana!

Wyczerpana położyła się z powrotem, próbując wychwycić odrobinę świeżego powietrza w cuchnącej ciemności, przypominało to jednak wdychanie waty. Oczy piekły ją od łez; usiłowała przypomnieć sobie, co się stało. Początkowo pamiętała tylko, że przyleciała samolotem z Londynu; potem, w miarę jak dochodziła do siebie, powoli zrekonstruowała przebieg wypadków.

Podjęła decyzję, że przedstawi w telewizji prawdę o „Damie”, ponieważ zrozumiwała, iż sprawy zaszły za daleko. Ginęli ludzie i zaczęła obawiać się nie tylko o własne życie, ale i o Missie. Ponadto desperacko pragnęła dotrzymać słowa danego Calowi — obiecała, że pomoże Ameryce. Zanim jednak zaczęła cokolwiek robić, musiała osobiście spotkać się z Kazanami, żeby ich ostrzec i żeby poprosić Michaela o radę w kwestii miliardów leżących w szwajcarskich bankach. Dużo myślała o tych pieniądzech, odkąd dowiedziała się o ich istnieniu. Wiedziała, co chce z nimi zrobić, a Michael będzie wiedział, jak się do tego zabrać. Poza tym miała pewność, że z Kazanami będzie bezpieczna. Rodzina by się nią zaopiekowała. Niestety cały plan wziął w łeb, a ona stała się czymś więźniem.

Nadal nie rozumiała, jak do tego doszło. Myślała, że zmyliła wszystkich nie wracając do domu, jakoś jednak ją wysłędzili. Pamiętała tylko mężczyzn w ciemnych okularach pchających się na nią na lotnisku, a potem obudziła się tutaj. Gdziekolwiek to jest.

Zdezorientowana zmarszczyła brwi. Z podłogą działo się coś dziwnego — kołysała się lekko. Znajomy ruch przywodził na myśl wakacje spędzane z Kazanami na ich jachcie albo żaglówki wokół Rhode Island... No jasne, wcale nie pogrzebano jej żywcem — znajdowała się na pokładzie statku! Nastawiła uszy nasłuchując dźwięku silników, ale wokół panowała cisza, nie było nawet słychać chlupotu fal rozbijających się o kadłub, uznała więc, że statek jest zakotwiczony. Ale gdzie? W Stambule? W Rosji?

Zwróciła uwagę na najbliższe otoczenie: pomacała dłonią podłogę, wyczuwając nagie deski. Przeturlała się w bok zagryzając wargi, kiedy sznury boleśnie wpiły się jej w ciało, aż zatrzymała się przy ścianie. Była zimna w dotyku, jak metal... stal...

Niemal podskoczyła na dźwięk zbliżających się kroków. Ktoś schodził po drabinie. Zmartwiła z przerażenia wpatrywała się w doskonale czarną ciemność.

W zamku zazgrzytał klucz i nagle pomieszczenie wypełniło się oślepiającym światłem. Zaciśnęła mocno nozy, poczuła w głowie zygarki bólu.

— No więc — powiedział po angielsku ochrypły głos z silnym akcentem — wreszcie się obudziłaś, Anno Adair.

Anna Adair... Nie używała tego nazwiska od wielu lat. Nie chciała, żeby sława matki dalej rzucała cień na jej młodość. Miała osiemnaście lat, zaczynała studia i pragnęła wejść w dorosłe życie samodzielnie, a nie jako córka znanej ze skandali aktorki. Poza tym zawsze tkwił w niej przyczajony lęk, że pójdzie w ślady matki. Missie mówiła jej, że gada głupstwa, że ani trochę nie przypomina Avy Adair, ale lęk pozostał. Zmiana nazwiska jakby odsunęła go trochę dalej. Wybrała nazwisko „Reese” z pierwszego podręcznika, jaki kupiła. Stała się Genie Reese. Miała własne nazwisko i nie była niczyją dziedziczką — zwłaszcza jeśli chodzi o choroby umysłowe. Nikt z jej przyjaciół w szkole nie wiedział, że jest córką Avy Adair, zaś Anną pozostała tylko dla Missie i Kazanów.

Mężczyzna o ochrypłym głosie posadził ją na krześle i przytknął do ust szklankę.

— Pij — powiedział zimno.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczyma.

— To tylko woda — rzekł pogardliwie. — Pij, żebyś mogła mówić.

Przechylił szklankę, chłodna woda spłynęła jej po twarzy. Z nagłym strasliwym pragnieniem zaczęła pić, ale mężczyzna po kilku łykach zabrał szklankę, śmiejąc się złośliwie.

— Siedz prosto — rozkazał. — Niech spojrzę w twarz wnuczce księcia Miszy Iwanowa. — Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, a potem roześmiał się niespodziewanie. — Szkoda, że nie odziedziczyłaś urody po babce ani po matce. Ale mówiono mi, że jesteś inteligentna i bystra, więc chyba jest to jakaś rekompensata.

Obcasy jego butów zastukały o drewnianą podłogę, kiedy zaczął chodzić w kółko po małym pomieszczeniu. Genie zamrugała oczyma, próbując przyzwyczaić się do światła.

— Kim pan jest? — zapytała chrapliwym szeptem. — Dlaczego się tu znalazłam?

— Nie wiesz?

Przysiadł na brzegu małego stołu naprzeciwko niej, dostrzegła zarys jego postaci, łysą głowę, arogancką postawę, założone ręce. Po chwili, jakby nagle wynurzyła się z wody, wzrok jej się wyostrizył i zobaczyła płaską twarz, małe oczy pod opadającym czołem, kwadratową szczękę i okrutne usta wykrzywione uśmiechem.

— Z pewnością teraz już wiesz, kim jestem — rzucił. — I kogo reprezentuję.

Skinęła głową.

— Rosję.

Zaśmiał się krótko, ironicznie.

— Jestem marszałek Borys Sołowski, szef KGB.

— Sołowski? — Wpatrywała się w niego zaskoczona.

— A, moje nazwisko coś ci mówi! Tak... Jestem stryjem przystojnego Valentina, znanego dyplomaty.

Zadrżała, kiedy pochylił się i chwycił ją za ramię. Przysunął twarz do jej twarzy, aż poczuła jego nieświeży oddech, zobaczyła rozszerzone pory, bliźnę obok ust i błysk szaleństwa w oczach. Nagle wyciągnął rękę, złapał ją za prawą pierś i ścisnął. Krzyknęła, ale on tylko ścisnął mocniej.

— Dobrze — powiedział z zadowoleniem. — Teraz możemy zaczynać.

Valentin zaparkował czarnego forda scorpio na małym placu przy parku Yildiz i przeszedł do punktu widokowego nad Bosforem. Rzędy jaskrawych wiosennych tulipanów przecinały trawę kolorowymi pasami, a rozżarzona, pomarańczowa bania słońca zanurzała się w wodzie. Rosjanin patrzył i myślał o Genie.

Słońce zniknęło szybko, zostawiając na niebie szarawy blask. Valentin odwrócił się i ruszył z powrotem do samochodu. Od Istinye dzieliło go zaledwie kilka minut jazdy, ale kiedy dotarł na miejsce, było już prawie ciemno. Zaparkował za dźwigiem przy końcu niewielkiego doku i sprawdził lugera w kaburze pod pachą. Następnie wyjął z teczki pistolet maszynowy Mini-Uzi i również go sprawdził. Był lekki i mały; ze złożoną kolbą miał tylko 25 centymetrów długości i mieścił się w kieszeni kurtki. W ciągu minuty wyrzucił z siebie 1000 dziewięćmilimetrowych nabo. Kieszonkowa śmierć. Zostawiwszy otwarty samochód, Valentin przeszedł 150 metrów dzielących go od „Leonida Breżniewa”.

Statek miał dwa trapy: jeden w środkowej części, prowadzący do ładowni, i drugi bliżej rufy, prowadzący na mostek i do kajut załogi. Przy każdym stali dwaj wartownicy. Kiedy Valentin zbliżył się do rufy, żołnierze zrobili krok do przodu i wycelowali w niego karabiny.

Zasalutował i powiedział po rosyjsku:

— Major Specnazu Valentin Sołowski do kapitana. — Mężczyźni zdjęli palce ze spustów, żeby oddać mu honory, ale popatrzyli po sobie niepewnie. Valentin zrozumiał, że mają rozkaz nikogo nie wpuszczać. Postanowił zaryzykować i krzyknął, że na pokładzie znajduje się jego stryj, major-generał Sołowski. Jeden z żołnierzy zszedł po trapie i poprosił go o dokumenty. Obejrzał je dokładnie, po czym pospiesznie zasalutował. Valentin patrzył na niego zimno. Wiedział, że rozkazujący sposób bycia i wyższa ranga zrobiły swoje. Wpuszczą go na pokład.

— Zaprowadzę pana majora do kapitana — odezwał się żołnierz z szacunkiem.

Valentin powiedział mu, żeby się nie trudził, powinien stać na warcie. Sam trafi.

Idąc czuł na sobie ich wzrok i modlił się, żeby nie zmienili zdania. Ale gdyby był ich dowódcą, postawiłby ich przed sądem wojskowym. Za niewykonanie rozkazu żołnierz Specnazu płacił życiem.

Valentin znalazł kapitana w jego kajucie, jedzącego samotnie kolację i popijającego z butelki tureckie piwo. Był to potężnie zbudowany mężczyzna o tępych spojrzeniu, którego normalne zajęcie — kursowanie pomiędzy Rosją a Libią — nie wymagało wielkiej inteligencji. Mając na pokładzie ważnego gościa, majora-generała Sołowskiego z KGB, czuł się niepewnie. Spojrzał na Valentina otwierając ze zdumienia usta.

— Coś ty za jeden, u diabła? — zawołał, z hukiem stawiając piwo na stole.

Valentin skrzywił się pogardliwie.

— Baczność! — rzucił. — Major Specnazu Valentin Sołowski.

Kapitan szybko zerwał się na równe nogi, wycierając usta ręką.

— Przepraszam, panie majorze — wymamrotał. — Nie spodziewałem się nikogo... Rozkaz był nikogo nie wpuszczać...

— Oprócz mnie — przerwał mu Valentin gniewnie. — Kiedy wreszcie przestaniecie popełniać błędy? Mam spotkanie ze stryjem, majorem-generałem Sołowskim.

Kapitan utworzył szeroko oczy, kiedy skojarzył sobie nazwiska.

— Tak jest, panie majorze, oczywiście — powiedział słuźalczo. — Osobiście pana zaprowadzę.

— Nie trzeba. — Valentin spojrzał na olbrzymi talerz parującego

brązowego gulaszu. — Skończcie posiłek. Wystarczy, że wskażecie mi drogę.

Idąc szybko przez statek, słyszał głosy marynarzy i domyślił się, że zabroniono im opuszczać kajuty, by przypadkiem nie zobaczyli ważnego Rosjanina, który znajdował się na pokładzie. Nie było jednak żadnych agentów KGB ani dodatkowej straży. Najwyraźniej Borys doszedł do wniosku, że im mniej ludzi będzie wiedziało o jego wycieczce, tym lepiej. Chciał ją zachować w ścisłej tajemnicy.

Valentin zszedł po kręconych schodach do brzucha statku. „Leonid Breżniew” miał małe zanurzenie, kołysał się miękko pod stopami. Pojedyncza żarówka oświetlała puste ładownie. Po lewej stronie schodów znajdowało się pomieszczenie, którego, zgodnie z przewidywaniami, nikt nie pilnował. Ze środka dobiegał głos Borysa.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Valentin wszedł i znalazł się twarzą w twarz ze stryjem. Za nim na drewnianym krześle, ze związanymi rękami i nogami, siedziała Genie.

— Valentin! — Na twarzy Borysa odmalowało się zdumienie i wściekłość, a zaraz potem satysfakcja. — Nie będę pytał, jak się tu dostałeś, ale chyba można to nazwać rodzinnym spotkaniem, więc wejdź. — Zaśmiał się ochryple. — Czekałem na tę chwilę. Chwila godna upamiętnienia.

Valentin zamknął za sobą drzwi. Genie spojrzała na niego zrozpaczonym wzrokiem, ale nic nie powiedziała. Zignorował ją, oparł się o ścianę, założył ręce i powiedział:

— No, strytku, wygląda na to, że mnie uprzedziłeś.

— A czegoś się spodziewałeś? — odparł Borys, krzywiąc się pogardliwie. — Myślałeś, że przechytrzysz KGB? I mnie? Zapominasz, Valentin, z kim masz do czynienia. Zapominasz o mojej potędze. Zapominasz, że wiem wszystko.

Postąpił krok do przodu. W jego świńskich oczkach pojawił się morderczy błysk i Valentin poczuł dreszcz strachu — taki sam, jaki musieli odczuwać więźniowie, na których Borys Sołowski wypróbował swoje wymyślne tortury. Wzruszył jednak lekceważąco ramionami i wyminawszy Borysa podszedł do Genie. Miała na sobie dżinsy i bawełnianą koszulkę, była bardzo blada, tylko na policzku pozostał czerwony ślad po uderzeniu Borysa. W milczeniu popatrzyła na Valentina.

— Boisz się, że ci ucieknie? — zapytał Borysa.

— Niech ci się nie zdaje, że możesz mnie wyprowadzić z równowagi — odpowiedział Borys zimno. — Dziewczyna została związana, ponieważ jest moim więźniem.

— Jeszcze tylko przez chwilę. — Valentin rozsiadł się wygodnie na krześle Borysa i położył nogi na stole. — Zawiadomiłem władze, oczywiście anonimowo. Myślę, że turecka policja lada moment złoży ci wizytę. Ale to dopiero początek. Następny jest rząd amerykański, potem rząd turecki, FBI, Interpol, CIA... — Spojrzał drwiąco na Borysa, który stał z kamienną twarzą. — Ta twoja mała eskapada może doprowadzić do międzynarodowego incydentu, stryju. Ciekaw jestem, jak się będziesz czuł, gdy wszyscy się dowiedzą, że szef KGB znajduje się na pokładzie radzieckiego frachtowca zakotwiczonego na wodach terytorialnych Turcji. Razem z zaginioną Amerykanką, którą uwięził... Trafisz na pierwsze strony wszystkich gazet! „Hańba radzieckiego KGB: major-generał Sołowski przyłapany na próbie porwania cudzoziemki!” Pomijając kłopoty, jakie spadną na naszą rodzinę, zastanawiam się, jak na to zareaguje nasz przywódca. Jak myślisz, stryju? Przebaczy ci, że przyniosłeś Rosji wstyd?

— Kłamiesz. Nikt nie wie, że tu jestem.

— Oczywiście, że wiedzą. Masz ich za głupców? Myślisz, że na to nie wpadli, iż najłatwiej przemycić tę Amerykankę na pokład jakiegoś statku i wrócić z nią do Rosji? A więc...? Jaki jest twój następny krok?

Genie spojrzała na Valentina, a potem nerwowo przeniosła wzrok na Borysa stojącego przy drzwiach. Jego łysa czaszka błyszczała w świetle nagiej żarówki, pochmurna twarz zastygła w gniewnym grymasie.

— Odpływamy natychmiast — zdecydował.

Valentin potrząsnął głową.

— Wyjdź na pokład, stryju. Rozejrzyj się. Już w tej chwili statek otoczony jest kordonem.

— Naprawdę sądzisz, że w to uwierzę? — zaśmiał się Borys z pogardą.

— Powinieneś. To prawda. Ale mam dla ciebie propozycję... Możemy zejść ze statku razem, a potem odleciś prywatnym samolotem do Ankary. Jeśli chcesz, możesz się wydostać z tego zamieszania w niecałą godzinę.

— A dziewczyna zostanie z tobą? — Borys roześmiał się ironicznie. — Jak możesz uważać mnie za takiego głupca? — Krążył po maleńkiej kajucie z rękami splecionymi z tyłu. — Cały kłopot z tobą polega na tym, że jesteś idealistą, a idealisci zawsze chcą zjeść ciastko i mieć je nadal. — Spojrzał chytrze na Valentina. — Ale nie jesteś aż takim idealistą, żeby w pierwszym rzędzie myśleć o Rosji. Tak naprawdę chcesz tylko ocalić własną skórę... i ojca.

— A ty czego chcesz, stryju?

— Ja? — Borys podszedł do Genie i stanął przed nią, kołysząc się w górę i w dół na podwyższonych obcasach swoich wysokich butów. — Ja chcę osiągnąć wreszcie mój życiowy cel. Zniszczyć was obu, Siergieja i ciebie. — Odrzuciwszy głowę, zaczął się śmiać jak szalony. Z oczu popłynęły mu łzy, zakrzuszył się i spururowiał na twarzy.

Genie z przerażeniem zobaczyła, że Valentin wyjmuje z kabury lugera i przykręca tłumik. Oczy jej się zaokrągliły, lecz Valentin potrząsnął głową, przykładając palec do ust.

Borys usłyszał znajomy dźwięk odbezpieczanej broni i odwrócił się. Spojrzał na lugera z pogardą.

— Nie uszłoby ci to płazem — powiedział śmiejąc się wyzywająco. — Na radzieckim statku? Jeśli mnie zabijesz, nie wyjdiesz stąd żywy, ani ty, ani ona. — Złapał Genie i postawił przed sobą. — Najpierw będziesz musiał zabić ją — dodał z tryumfującym uśmiechem.

Valentin obojętnie wzruszył ramionami i wycelował.

— Prawdopodobnie uprościłoby to całą sprawę — odparł. — Mógłbym was oboje załatwić jednym strzałem.

Genie osunęła się, prawie mdlejąc ze strachu, i Borys ze złością postawił ją z powrotem. Z przerażeniem wpatrywała się w Valentina. Myślała, że przyszedł ją uratować, a on chciał ją zabić.

— Jest jedno wyjście z tej sytuacji — powiedział cicho Valentin. — Proponowałem ci to już zresztą wcześniej. Możesz zaraz zejść ze statku. Weźmiemy ze sobą dziewczynę. Gwarantuję, że zabiorę cię na lotnisko i wsadzę do prywatnego samolotu, którym odleciś do Ankary. Wydostaniesz się z opresji i nikt nie będzie wiedział, co się stało. Ale jeśli się nie zdecydujesz... — Zacisnął palec na spuście i Genie zaczęła krzyżeć.

Borys rzucił ją z powrotem na krzesło. Z czoła spływał mu pot. Nerwowo oblizał wargi, rozglądając się po kajucie małymi, zdradzieczkimi oczkami w poszukiwaniu drogi ucieczki.

— Masz pięć sekund — oznajmił chłodno Valentin. — Raz... dwa... trzy...

— Dobrze, zgadzam się — głos Borysa był piskliwy ze strachu. Uniósł w górę dłoń, żeby przerwać śmiertelne odliczanie. — Zrobię, jak mówisz. Ale jaką mam gwarancję, że dotrzymasz słowa?

Valentin wzruszył ramionami.

— Zaufaj mi — odparł zimno. — Rozwiąż dziewczynę.

Borys wsunął rękę do kieszeni i Valentin dźgnął go pistoletem w żebra.

— Potrzebny mi nóż! — wrzasnął Borys. W ostrym świetle żarówki błysnęło ostrze scyzoryka. Valentin przyłożył Borysowi lugera do skroni i powiedział:

— Tylko sznur, stryjkę...

Borys z westchnieniem przeciął cienki sznurek na przegubach i kostkach Genie. Jęknęła z bólu, kiedy krew znów zaczęła krążyć w jej dłoniach i stopach.

— Oddaj mi teraz nóż i podnieś ręce do góry — polecił stryjowi Valentin. Borys zrobił, co mu kazano. Yalentin go obszukał i zabrał stryjowi ciężkiego colta, jego ulubioną broń.

— Rozetrzyj stopy — rozkazał dziewczynie. — Musisz szybko przywrócić w nich krążenie krwi. Będziesz szła sama.

Genie rozmasowała bosa stopy, rozglądając się za swoimi tenisówkami. Wreszcie je znalazła i wcisnęła na spuchnięte nogi. Yalentin cały czas trzymał na muszce Borysa, który wpatrywał się w broń niczym kobra w mangustę.

— Pójdiesz z Genie przodem — powiedział Yalentin. — Powiesz wartownikom, że odjeżdżamy. Razem zejdziemy po trapie, potem skęcimy w lewo i pójdziemy sto pięćdziesiąt metrów w stronę żurawia. Nie zrób żadnego błędu, będę szedł zaraz za tobą. Nie spuszczać z ciebie oka. Z odległości pół metra nie mogę chybić.

Borys zacisnął wargi, ale nie odezwał się. Rzucił nerwowe spojrzenia na boki, kiedy szli przez ładownię, klnąc w duchu, że rozkazał załodze nie wychodzić z kajut, dopóki nie wypłyną. Wspinając się po stalowych schodach obejrzał się za siebie i napotkał wzrok Valentina. Rozgorzała w nim nienawiść. Yalentin był taki sam jak jego ojciec. Wreszcie miał przy sobie oboje Iwanowów i prędzej zobaczy ich w piekle, niż pozwoli im odejść. Nie będzie się spieszył, będzie czujny, poczeka na okazję...

Żołnierze przy trapie stanęli na ich widok na baczność. Borys powiedział coś do nich szybko, zasalutowali i odsunęli się na bok. Kiedy schodzili po trapie, Valentin szedł dwa kroki z tyłu, trzymając dłoń na pistolecie w kieszeni. Nabrzeże było pogrążone w ciemności. Borys cały czas czuł na żebrach nacisk lufy i słyszał jęki kuśtykającej obok dziewczyny.

Valentin kazał mu usiąść na tylnym siedzeniu samochodu i dał Genie pistolet.

— Siadaj obok niego. Jeśli się ruszy, pociągnij za spust. Nie możesz spudłować.

Borys uśmiechnął się widząc, jak Genie drży ręka. Zrozumiał, że to jego szansa.

— Nie wiedziałem, że się znacie — powiedział. — Kolejny dowód na to, jaki ten świat jest mały.

Kiedy Yalentin włączył silnik, Borys zapytał:

— Nie wydaje ci się to dziwne? — Napotkał wzrok Valentina w lusterku i parsknął śmiechem, uświadamiając sobie, że tamten nie wie, o czym on mówi. — Nie wiedziałeś! — zawołał. — N a d a l nie wiesz, wciąż nie rozumiesz...

Luger wbił mu się w żebra i dziewczyna powiedziała:

— Zamknij się, draniu, albo cię zbiję.

— Wszystko w porządku, Genie? — zapytał Valentin.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i w tym samym ułamku sekundy Borys uderzył ją w dłoń. Rozległo się głucho klapnięcie, kiedy palec Genie zacisnął się na spuście, ale kula przeszła przez podłogę nie robiąc nikomu krzywdy, a luger znalazł się w rękach Borysa. Przyłożył go Valentinowi do karku pilnując jednym okiem dziewczyny, która skuliła się w kącie, gotów ją zabić, jeśli się ruszy. Pot spływał mu z tysej głowy za kołnierz.

— Wsiadaj — rozkazał Genie. — Zaczynj iść w kierunku statku. Jeśli spróbujesz uciekać, zastrzelę cię.

Zawahała się. Wiedziała, że gdyby zaczęła biec, Borysowi wystarczy sekunda, żeby zwrócić pistolet w jej stronę. Miała więc tylko sekundę, żeby uratować Valentina i siebie.

— Szybciej! — wrzasnął. — Ruszaj!

Odwróciła się bokiem, jakby chciała otworzyć drzwi, po czym rzuciła się szaleńczo na rękę trzymającą broń. Luger ponownie upadł na podłogę. Klnąc głośno, Borys odepchnął Genie i schylił się po pistolet. Już zaciskał palce na kolbie, kiedy nadepnęła na nie z całej siły.

Valentin wyskoczył z samochodu i wyciągnął Borysa za kołnierz na zewnątrz. Przygwoździł go do drzwi i kantem dłoni zadał silny cios w arterię z lewej strony szyi. Oczy Borysa przez chwilę jeszcze zionęły nienawiścią, po czym zamgliły się i szef KGB bezwładnie osunął się na ziemię.

Genie kulejąc obeszła samochód i spojrzała w dół. Nerwowo oblizła wargi.

— Czy on... — zapytała cichym, przestraszonym głosem.

Valentin skinął głową.

— To było jedyne wyjście — odparł ze znużeniem. — Albo ja, albo on. Zawsze tak było. Ale już po wszystkim.

Wyglądała, jakby miała zemdleć, więc objął ją opiekuńczo.

— Przykro mi.

— W porządku. Chyba przeżyłam szok. I noga mnie boli. Myślałam, że mi odpadnie, kiedy go nadepnęłam.

— Wsiadaj do samochodu — powiedział cicho. — Muszę się nim zająć.

Usiadła z przodu patrząc, jak przerzuca sobie Borysa przez ramię i znika w ciemności. Po chwili usłyszała słaby plusk, a potem pospieszne kroki wracającego Valentina.

Silnik forda wciąż pracował. Ruszyli i skręcili w kierunku miasta. Kiedy włączyli się do ruchu, minęły ich cztery radiowozy pędzące na sygnale w stronę Istinye. Genie obejrzała się za nimi.

— Naprawdę jadą do statku? — zapytała.

Uśmiechnął się cierpko.

— Wymyśliłem to dla Borysa, ale okazało się prawdą.

Jechali między wzgórzami, minęli eleganckie hotele i plac Taskim. Genie cała się trzęsała. Gdyby nie Valentin, nadal byłaby na statku na łasce i niełasce tamtego potwora...

Valentin przedarł się przez zatłoczony most Galata, skręcił na Eminonu, wjechał w uliczki za targiem przypraw i zatrzymał się przed podrzędnym hotelem z zielonym neonem „Hotel Tourist”, w którym brakowało wszystkich liter „t”. Była to tania noclegownia, w której recepcję zamykano o siódmej, a goście wchodzili i wychodzili sami. Ale bardziej odpowiadała Valentinowi niż hotel w Emigran.

Podtrzymał Genie, kiedy kuśtykała przez chodnik.

— Drugie piętro po schodach — powiedział podnosząc ją. — Nie dasz rady.

Wczepiła się w niego jak przerażone dziecko, przytulając twarz do jego szyi. Uratował jej życie. Kochał ją. Zadzwoni do Michaela i zawiezie ją do domu, a ona nigdy więcej nie zrobi już żadnego głupstwa. Żałowała tylko, że nie ma tu Cala. Chciała mu wyznać, jaką była idiotką, i prosić, by jej wybaczył, że sprawiła tyle kłopotów.

Rozdział 45

C21A, sześćoosobowy samolot Amerykańskich Sił Powietrznych z dwoma silnikami odrzutowymi, opadł z wysokości 41000 stóp, przebił chmury i wylądował na małym trawiastym lotnisku na północ od Stambułu. Lot z bazy Andrews w Waszyngtonie trwał długo, zatrzymali się na pół godziny w Gander, w Nowej Fundlandii, żeby zatankować, a potem jeszcze raz w Upper Heyford w Anglii. Pilot odwrócił się i wyszczerzył do Cala zęby.

— Lepiej panu?

— Jasne. Jesteśmy na ziemi. — Warrender odetchnął z ulgą, kiedy zjeżdżali z pasa startowego na łatę betonu. — Czuję się, jakbym zaledwie parę godzin temu wstał od śniadania w Waszyngtonie.

— Zażęskni pan za nim, kiedy spróbuje pan tureckiego żarcia — zauważył pilot. — Na przykład flaczków. Faj. Można się natknąć na gałki oczne.

— Myślałem, że takie potrawy serwują tylko Arabowie — roześmiał się Cal, kiedy ściskali sobie dłonie.

— Nigdy nic nie wiadomo. — Pilot uśmiechnął się i uniósł na pożegnanie pięść z kciukiem skierowanym ku górze.

— Dzięki za przejażdżkę — zawołał Cal.

W jego stronę biegli mężczyźni w zielonych mundurach. Machali karabinami, więc uznał, że lepiej nie ruszać się z miejsca.

— Dokumenty? — Oficer dowodzący wyciągnął rękę, podczas gdy jego towarzysz stał z bronią gotową do strzału.

Wręczywszy mu swój paszport dyplomatyczny i kopię specjalnego pisma z Białego Domu, Cal czekał spokojnie, aż tamten wszystko przeczyta.

— W porządku, panie Warrender — odezwał się turecki oficer doskonałą angielszczyzną. — Helikopter zabierze pana do Stambułu.

Cał jęknął na widok śmigłowca — była to mała zielona maszyna z otwartymi bokami. Szybka podróż powietrzna wojskowym odrzutowcem wystarczyła aż nadto jego biednej głowie. Ktoś im powinien powiedzieć, że on ma lęk wysokości.

W helikopterze przywitał go pilot o twarzy dziecka; Cał jęknął ponownie i zamknął oczy, kiedy silnik zawył. Boże, Turcy pozwalają dzieciom pilotować takie maszyny...

Nie otworzył oczu, dopóki po piętnastu minutach nie usłyszał głosu pilota: „Podchodzimy do lądowania”. Poniżej leżał Stambuł, oświetlony przez księżyc w pełni i milion migocących lamp. Cał odetchnął z ulgą — zmagania z KGB będą niczym w porównaniu z tą podróżą.

Długi czarny mercedes czekał na polu startowym, w środku siedzieli konsul amerykański, turecki minister spraw zagranicznych oraz Ahmet Kazan.

— Nie wygląda to zbyt dobrze, Cał — powiedział Jim Herbert, kiedy zakończono wzajemną prezentację. — Naczelnik policji przeszkukał statek i znalazł tylko sześciu radzieckich żołnierzy. Oczywiście to poważne wykroczenie — żołnierze obcego państwa na statku handlowym w Turcji — ale nasz problem nadal pozostaje nie rozwiązany.

Cał zaszepił się. Był przekonany, że Genie jest na statku.

— Przecież wiemy, że tam była — rzucił ze złością.

Minister spraw zagranicznych kiwnął głową.

— Chyba tak. Ale kapitan twierdzi, że o niczym nie miał pojęcia, powiedziano mu tylko, że ma się spodziewać ważnego gościa, może admirała, i stąd żołnierze. — Westchnął. — Radziecki admirał odwiedzający stare, zardzewiałe pudło... Jak to wytłumaczyć? A policja rzeczywiście znalazła kawałki sznurka w małej kabine przy ładowni. Najwyraźniej użyto go do związania kogoś, a potem przecięto.

— W jaki sposób zabrali ją ze statku?

Gulsen wzruszył ramionami.

— Wokół Istinye mieliśmy flotyllę szybkich ścigaczy, nie mogli więc uprowadzić jej morzem. Policjantów zatrzymał po drodze autobus, który próbując wykręcić utknął w miejscu i zablokował jedyną drogę. Musieli się spóźnić dosłownie kilka minut.

Zabrzącał telefon, minister podniósł słuchawkę.

— Gulsen — powiedział. Słuchając kiwał głową. — Jesteście pewni? — zapytał po turecku. — Zidentyfikowano ciało? Rozumiem. Dziękuję.

Odwrócił się do pozostałych i powiedział cicho:

— Policja wyłowiła z wody przy Istinye ciało mężczyzny. Miał na sobie ciemny garnitur, a wszystkie drobiazgi osobiste — portfel, zegarek, itd. — zabrano mu przed wrzuceniem do wody. Ale zidentyfikowano go ze zdjęć jako majora-generała Borysa Sołowskiego.

— Jezu Chryste! — jęknął Herbert.

— Możecie sobie wyobrazić, jaki Turcja będzie miała z tym problem — powiedział Gulsen z gniewem. — Szef KGB zamordowany w Stambule...

— Wydaje mi się — wtrącił szybko Ahmet Kazan — że najważniejszą sprawą jest teraz odnalezienie Anny. Ktoś zabił Sołowskiego i pomógł jej uciec. To musi być ktoś, komu ona ufa.

Kiedy mercedes wjeżdżał na dziedziniec willi Kazanów, Cal powiedział cicho:

— Wiem, z kim ona jest. Z Valentinem Sołowskim.

Michael Kazan z przygnębieniem słuchał wyjaśnień Cala spoglądając na grupę mężczyzn, którzy pili whisky i napełniali pokój dymem papierosowym. Siedział obok Refiki na długiej otomanie przy oknie; żona ścisnęła mocniej jego dłoń, kiedy Cal powiedział, że według nich Anna — czy Genie, bo tak ją nazywali — jest z Valentinem Sołowskim.

— Missie O'Bryan nigdy nie opowiedziała Genie całej historii — mówił Cal. — Genie nie miała pojęcia o klejnotach, dopóki staruszka nie została zmuszona do oddania ich przy przeprowadzce do „Fairlawns”. I nadal nic nie wie o kopalniach. Missie nie akcentowała rosyjskiego pochodzenia Genie. Nie pokazała jej starych fotografii i w ogóle niewiele o tym mówiła. Chciała, by wszystko zostało zapomniane, by wraz z jej śmiercią skończyła się cała historia i zniknęło zagrożenie. Do końca dotrzymywała słowa danego Miszy. A Valentin jest równie niebezpieczny jak jego stryj Borys — zakończył cicho. — Zamierza zrobić karierę i zająć najwyższe stanowisko w Związku Radzieckim. Jak na razie nie pozwolił, by cokolwiek stanęło mu na przeszkodzie. Nie sądzę, żeby teraz postąpił inaczej. W żadnym wypadku nie może dopuścić do tego, by Genie powiedziała prawdę przed kamerami. Chce zabić „Dagę”, a wierzy, że Genie go do niej zaprowadzi. W tej chwili możemy tylko się modlić, żeby w jakiejś chwili nie wyznała mu wszystkiego w przekonaniu, że jest jej wybawcą. Bo taki scenariusz może mieć tylko jedno zakończenie.

— Więc co według ciebie powinniśmy teraz zrobić? — zapytał Michael, podchodząc do naczelnika policji. — Spartaczyłeś wizytę na statku i zgubiłeś Annę. Mamy tu siedzieć i czekać, aż twoi ludzie znów

utkną gdzieś po drodze? A może masz w zanadru jakiś mistrzowski plan, o którym nam nie powiedziałeś?

— To nie nasza wina — wybuchnął czerwony na twarzy Kelic. — W Stambule są straszne korki. Nawet kolumna wozów premiera ma problemy z przejazdem.

Michael pokuśtykał do Cala, oparł się ciężko o hebanową łaskę i popatrzył na niego.

— Pan ją zna — powiedział. — Jak pan uważa, co ona teraz zrobi?

Cal się zawahał. Pomyślał o spotkaniu Genie z Valentinem w Genewie i jej dziwnym zachowaniu. Musiał w końcu przyjąć do wiadomości bolesną prawdę.

— Valentin jest przystojnym, pełnym uroku mężczyzną — odezwał się cicho. — Genie... jest nim zainteresowana... On nią chyba też, ale i tak ją zabije, kiedy się dowie, kim naprawdę jest. Myślę, że jedyne, co możemy teraz zrobić, to czekać, aż policja ich znajdzie. I musimy się modlić, żeby Genie do pana zadzwoniła.

Refika przyjrzała się mężowi. Wiedziała, co go trapi. Myślał o przysiędze lojalności złożonej przez Tariqa Iwanowom i o tym, że zawiódł swojego ojca.

Na twarzy Ferdiego Arnhalda malowała się wściekłość, gdy w pokoju hotelu „Yesil Ev” ciskał słuchawkę na widełki. Genie Reese uciekła, Turek zgubił ją w korku na moście Galata. Gdyby ten drań tu teraz był, udusiłby go. Z przyjemnością by patrzył, jak z głupkowatej twarzy wyłazą oczy...

Drżącymi rękoma rozsunał welwetowe zasłony i wyjrzał na tętniącą nocnym życiem ulicę. Genie mogła się teraz znajdować gdziekolwiek, wraz z mężczyzną, który ją uratował. „Młody człowiek — powiedział Turek. — Obcokrajowiec. Może Amerykanin”.

Przemierzał pokój w tę i z powrotem, zirytowany jego niewielkimi rozmiarami i wiktoriańskim wystrojem. Żeby opanować atak furii, potrzebna mu była przestrzeń rezydencji Haus Arnhaldt. Chciał się wydostać z hotelu, przemierzać ulice w poszukiwaniu ofiary — tak namierzył Markheima i Abyssa — ale nieudolność Turka popsukała mu szyki.

Znów zaterkotał telefon, Arnhaldt skoczył do słuchawki.

— *Ja* — rzucił szybko.

— Dziesięć minut temu do willi Kazanów przyjechała limuzyna — powiedział Turek. — Zidentyfikowaliśmy trzech mężczyzn: Ahmet Kazan, turecki minister spraw zagranicznych i amerykański konsul.

Czwartego nie znamy, ale chyba też jest Amerykaninem. Przyleciał wojskowym helikopterem. Naczelnik policji zjawił się pięć minut wcześniej.

— Obserwujcie dom — rzekł Arnhaldt sucho. — I następnym razem nie czekaj z wiadomością dziesięć minut. Zawiadom mnie natychmiast, jak tylko opuszczą willę. Chcę wiedzieć, dokąd jada. Jeśli znów się poślizgniesz, durniu, nie zobaczysz więcej ani grosza.

Rzucił słuchawkę i znów zaczął krążyć po pokoju. Zastanawiał się, z kim jest Genie, skoro nie z Borysem Sołowskim. Po dziesięciu minutach nie mógł już dłużej wytrzymać. Wyszedł z hotelu i szybkim krokiem ruszył w stronę wynajętego samochodu, który stał zaparkowany przecnicę dalej. Nie będzie więcej ryzykował: sam zajmie się obserwacją Kazanów.

Rozdział 46

Genie leżała na łożku i patrzyła, jak Valentin zdejmuje kurtkę, żeby umyć ręce w małej umywalce w rogu pokoju.

— „Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą?” * — zacytowała półgłosem.

Skrzywił się.

— Lady Makbet zmywająca z dłoni krew po dokonaniu morderstwa...? — Spojrzał jej w oczy i dodał: — Nietrudno jest zabijać, Genie. Szkolono mnie w tym kierunku, ale nie sprawia mi to przyjemności. Jeśli chodzi o Borysa, nie miałem wyboru. Mój ojciec jest prawym, szlachetnym człowiekiem, a Borys chciał go zniszczyć i jeszcze wyjść przy tym na bohatera. Kocham moją ojczyznę i jej ideały, ale kocham też ojca.

Nie odpowiedziała, wodziła tylko za nim wzrokiem, kiedy brał do ręki kurtkę, wyjmował pistolet z kieszeni i kładł go na stole. Broń załśniła w świetle niczym małe, groźne stworzenie; Genie poczuła dreszcz biegnący po plecach.

Odłożywszy kurtkę, Valentin usiadł obok Genie.

— Lepiej się czujesz? — Wziął ją pod brodę i zwrócił jej twarz ku sobie. — Boli cię jeszcze?

Spojrzał na jej opuchnięte stopy i krwawiące rany na kostkach.

— Biedna mała — mruknął z czułością. — Nie wiedziałaś, w co się pakujesz, prawda?

Podszedł do umywalki, napełnił miskę wodą i klękawszy przed Genie zaczął obmywać jej nogi.

— Muszę iść do apteki — stwierdził zaniepokojony. — Potrzebne będą środki dezynfekujące i przeciwbólowe. — Usiadł na łożku

* William Shakespeare, „Makbet”, przekł. Józefa Paszkowskiego

i otoczył ją ramionami. — Nikt nigdy nie wzbudził we mnie takiego uczucia — powiedział miękko.

Potrząsnęła głową.

— We mnie też nie. Co bym bez ciebie zrobiła?

Całował jej oczy, uszy, włosy, usta. Przepęłniała ją tkliwość. Valentin był jej wybawcą, partnerem, kochankiem.

Nie miała pojęcia, ile minęło czasu, zanim się obudziła: godzina, może dwie, może więcej. Valentin siedział przy stole i czyścił broń. Światło padało na jego jasne włosy; wyglądał jak śliczne dziecko zajęte zabawką. Zabójczą zabawką.

Podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Musisz być głodna. — Złożył pistolet i zostawił go na stole.

Potrząsnęła głową.

— Przystałam odczuwać głód. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłam, chyba w samolocie... Nie wiem nawet, jak dawno temu. — Miała pustkę w głowie, czuła się zdezorientowana. — Valentin, co teraz zrobimy?

Przysunął sobie drewniane krzesło i usiadł naprzeciwko, patrząc jej w oczy.

— Tym razem ja będę potrzebował twojej pomocy, Genie — powiedział cicho. — Muszę znaleźć „Dame”, zanim dopadnie ją KGB albo CIA.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Myślałam, że już wiesz.

— Ty jesteś jedyną osobą, która wie.

Nagle doznała olśnienia. Valentin nie wiedział, kim ona jest. Nadal brał ją za Genie Reese, szaloną dziennikarkę, która zabrnęła za daleko w poszukiwaniu materiału na reportaż. Ogarnęło ją przygnębienie.

— Czy dlatego uratowałeś mnie z rąk Borysa? Żebym zaprowadziła cię do „Damy”? — spytała głucho.

— Przyznaję, że była to jedna z przyczyn — odparł ostrożnie — ale sama wiesz, że nie jedyna.

Genie spojrzała na lśniący pistolet, który leżał obok i czekał, by stać się narzędziem śmierci. Ze strachu zaschło jej w ustach. Zrozumiała nagle, że Valentin ją zabije, jeśli dowie się prawdy.

— Nie mam już czasu — mówił cicho. — Pamiętasz, Genie, takie powiedzenie: „życie za życie”? Uratowałem cię — a teraz proszę, byś ty uratowała mnie. Muszę wiedzieć.

Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na złowrogi kształt pistoletu, ale nadal widziała go w ciemności pod powiekami.

— Nie wiem... nie wiem, kim ona naprawdę jest — powiedziała szybko. — Miałam... zadzwonić pod pewien numer po przyjeździe do Stambułu. Do kogoś, kto ją zna...

— Kto? — zapytał pospiesznie. Przysunął się bliżej i ścisnął mocno jej ręce. — Kto ją zna?

Wzięła głęboki oddech, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

— Michael Kazan — odparła drżącym głosem.

Kiwnął głową.

— To się trzyma kupy. Szmaragd został sprzedany przez jedną z firm Kazana. Sprawdziłem powiązania rodziny: pochodzą z Rosji i pracowali dla Iwanowów.

— Chronili ją przez te wszystkie lata — zaczęła naprędce ubarwiać swoją opowieść. — Michael Kazan skontaktował się ze mną, ponieważ uznał, że sprawy zaszły za daleko. Chciał położyć kres międzynarodowym spekulacjom. Powiedział, że bezpieczniej będzie, jeśli ujawni się jej tożsamość... zanim ktoś ją znajdzie i... — zagryzła wargi, modląc się, żeby jej uwierzył. — Ona jest teraz z nimi.

Uniósł jej dłonie do ust.

— Dziękuję, Genie.

Miał pełne czułości spojrzenie; pomyślała, że nie wygląda na mordercę. Wyglądał na Valentina, na mężczyznę, którego kochała... ale wciąż dźwięczały jej w uszach słowa Cala Warrendera: „Valentin jest przede wszystkim Rosjaninem, dopiero potem mężczyzną. Nigdy o tym nie zapominaj”.

Pochyliła głowę, po policzkach spływały jej łzy.

— Przykro mi, Genie, naprawdę — powiedział Valentin.

Poprawił poduszki, pocałował ją delikatnie, po czym podszedł do stołu i wziął do ręki pistolet. Wpatrywała się w niego oczyma pociemniałymi z przerażenia. Nie chciała krzyżeć, nie chciała nawet uciekać. Więc jednak zamierzał ją zabić. Było to nieuniknione.

Valentin wsunął broń do kieszeni i włożył kurtkę.

— Prześpij się — rzekł cicho. — Wrócę, jak tylko będę mógł. — Uśmiech rozjaśnił jego przystojną chłopięcą twarz. — A potem życie wróci do normy. — Podszedł beztrudnie do drzwi, jakby wybierał się na niedzielne polowanie. — Tylko ty i ja.

Drzwi zamknęły się za nim, Genie usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza i kroki zamierające na korytarzu. Schowała twarz w poduszce i zaczęła szlochać. Ale nie był to płacz przynoszący ulgę: płakała, ponieważ zakochała się w człowieku, który chciał ją zabić.

Po chwili usiadła na łóżku i wytarła oczy starym prześcieradłem. Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Świtało. Czarny

ford odjechał, hotelowy neon mrugał nad pustą ulicą. Genie zaczęła rozmyślać o przestroгах Missie i o tym, że lekceważąc je doprowadziła do katastrofy. Miała bowiem absolutną pewność, że kiedy Valentin pozna prawdę, zabije również Missie. Musi wydostać się z hotelu! Musi sprowadzić pomoc!

Przypomniała sobie wszystkie sztuczki z otwieraniem zamków, o których słyszała, ale jej torebka gdzieś się zawieruszyła, kiedy napadli ją na lotnisku. Nie miała nic, nawet spinki do włosów. Obeszła cały pokój w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia, po czym w rozpaczycy chwyciła za klamkę i szarpnęła ją wściekle. Rozległ się trzask przypominający strzał karabinowy i klamka została jej w rękę, a drzwi stanęły otworem.

Przez chwilę Genie była zbyt zaskoczona, żeby się ruszyć. Wreszcie wzięła się w garść i ostrożnie wyrzała na korytarz. Pusto i cicho, jakby była jedynym gościem w hotelu. Pobiegła do schodów i przystanąła nasłuchując. Wszędzie panowała cisza. Zbiegła piętro niżej i ponownie się zatrzymała słuchając, czy nie rozlegną się jakieś kroki, by w końcu zbiec na sam dół i wypaść na ulicę.

Po fordzie scorpio nie było śladu. Odetchnęła z ulgą i pokuśtykała w kierunku Hippodromu rozglądając się za taksówką. Ale wielki plac, zazwyczaj pełen turystów, o tej porze świecił pustkami. Genie rzucała niepewne spojrzenia na czarne cienie. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się najbliższy posterunek policji. Zatęskniła za Calem; pomógłby jej, gdyby tu był. Dlaczego, dlaczego nie powiedziała mu prawdy? Zawsze wiedziała, że może mu ufać. Ciekawe, czy Cal jeszcze kiedyś zaufa jej, jeśli będzie miała szczęście i ujdzie z życiem. Teraz musi zadzwonić po Michaela. Michael po nią przyjedzie. Uratuje ją.

Valentin obserwował Genie z przeciwległej strony placu. Usiłował dostać się do willi Kazanów, ale drogę dojazdową zablokowały samochody policji i zmuszony był zawrócić, żeby go nie zatrzymali. Wracął boczną uliczką do hotelu, kiedy zauważył Genie w lusterku. Nie spodziewał się, że będzie próbowała uciec. Sądził, że mu ufała. Ze smutkiem zastanawiał się, czy dogonić ją od razu, czy zobaczyć, dokąd go zaprowadzi. Patrzył, jak raz po raz naciska widełki telefonu w budce, lecz automat najwyraźniej nie działał. Pokuśtykała do następnego, ale również był zepsuty. Ukryła twarz w dłoniach, z całej jej postaci biło poczucie przegranej. Biedna Genie. Biedna, lekkomyślna, uroczą dziewczyna.

Genie z rozpaczą rozglądała się dokoła, ale nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Ruszyła przez plac Sultanhamet wypatrując otwartej kawiarni, z której mogłaby zadzwonić; modliła się w duchu o taksów-

kę... o cokolwiek... kogokolwiek... Minęła starą wieżę ciśnień przy końcu opuszczonej ulicy Yerebatan i przystanęła przed Zatopionym Pałacem. Przez szklane drzwi zobaczyła biuro i telefon. Podniosła z rynsztoka pustą butelkę po piwie i cisnęła nią w szybę. Patrzyła zmartwiała, jak szkło rozpryskuje się tysiącem kawałków u jej stóp, po czym szybko dała nurka do środka, złapała telefon i wykręciła numer Michaela. „Odbierz, Michael, proszę cię, odbierz” — błagała szlochając ze strachu. Nogi się pod nią ugięły z ulgi, kiedy po czwartym sygnale rozległ się jego głos.

— Michael — zawołała — tu Anna!

Przerwał jej szybko:

— Nie próbuj teraz nic tłumaczyć. Powiedz tylko, gdzie jesteś.

— Yerebatan Sarayi. Stłukłam szklane drzwi, żeby się dostać do telefonu...

— Czekaj tam. Przyjadę po ciebie. Nic ci nie jest? Śledził cię ktoś?

— Tak... nie... — odparła w popłochu. — Och, Michael, tak się boję...

— Już jadę. Schowaj się w cysternach, żeby nikt cię nie widział. Zaraz tam będę.

Stuknęła odkładana słuchawka. Oglądając się nerwowo przez ramię, Genie zrobiła, co jej kazano. Ale kiedy schodziła po schodach do Zatopionego Pałacu, czuła się, jakby własnoręcznie odcięła linę, na której zawieszona było jej życie.

Valentin stał na zewnątrz z założonymi rękoma i wyrazem cierpienia na twarzy. Genie rozmawiała z Michaelem po angielsku; słyszał każde jej słowo. Genie była Anną. Była jego kuzynką. Była „Dama”, której szukał.

Rozdział 47

To była ona — odezwał się Michael do Refiki. — Uciekła. Czeka na mnie w Yerebatan Sarayi.

Na twarzy Refiki odmalowała się ulga, zaraz jednak powiedziała z niepokojem:

— Musisz zadzwonić na policję. Nie ma czasu do stracenia.

Potrząsnął głową.

— Koniec z policją. Tym razem dowodzenie obejmie Michael Kazan.

Pokuśtykał przez pokój do szklanej gablotki pod portretem Tariqa, otworzył ją i wyjął zabytkowy tatarski miecz.

Refika patrzyła na niego zaskoczona.

— Co ty wyprawiasz? — zapytała. — Masz do czynienia z mordercami uzbrojonymi w karabiny, a przypinasz do pasa staroświecki miecz, jakbyś szedł na wojnę z Dżyngis-chanem.

— Jestem człowiekiem miłującym pokój — odparł Michael cicho. — W moim domu nie ma nowoczesnej broni. Ten miecz ratował życie mojemu ojcu podczas walk z Rosjanami i tak samo przysłuży się mnie. — Podniósłszy laskę podszedł do drzwi. Zatrzymał się na progu i ostatni raz spojrzął na żonę.

— Wróć — powiedziała. — Z Anną.

Refika usłyszała trzask zamykanych drzwi i odgłos uruchamianego silnika. Podbiegła do okna i patrzyła, jak tylne światła samochodu znikają w dali, po czym z cichym jękiem ukryła twarz w dłoniach. Po chwili rzuciła się do telefonu, zadzwoniła do Ahmeta i powiedziała mu, co się stało.

— Już jadę — rzekł spokojnie. — Będę tam razem z policją. Mamo, chcę, żebyś zadzwoniła do Cala Warrendera oraz Malika Gulsena i wszystko im opowiedziała. Znasz ich numery?

Kiwnęła głową.

— Tak — szepnęła. Po jej twarzy ciurkiem płynęły łzy. — Proszę cię, Ahmet, pospiesz się.

Michael niecierpliwie machnął ręką na policyjną blokadę.

— Z drogi! — ryknął. — Mam ważne sprawy do załatwienia.

Rozstąpili się z szacunkiem; srebrny bentley turbo ruszył w dół zbrocza, a oficer dowodzący popędził do swojego radiowozu, by zameldować przełożonym, że Kazan Pasza w pośpiechu wyjechał ze swojej rezydencji.

Ferdie przez potężną lornetkę dostrzegł zjeżdżającego ze wzgórza bentleya. Stał na podjeździe pustej stacji benzynowej naprzeciwko głównej drogi. W oczekiwaniu na Kazana przekreślił kluczyk w stacyjce i rozgrzał silnik. Uśmiechnął się z zadowoleniem, kiedy bentley zwolnił na skrzyżowaniu, by szybko skrócić w prawo w kierunku Stambułu. Mógł się założyć, że zna przyczynę pośpiechu Michaela. Wyjeżdżając za nim na biegnącą wzdłuż wybrzeża szosę pomyślał, że warto było tak długo czekać.

Nad schodami prowadzącymi do starych cystern wisiała pojedyncza żarówka, wszystko poniżej tonęło w atramentowej czerni. Genie zamknęła za sobą drzwi i powoli zeszła po kamiennych stopniach. Stopy pulsowały jej boleśnie, rany na kostkach znów zaczęły krwawić. Zawahała się na skraju małego kręgu światła wpatrując się w ciemność, zanim zrobiła ostrożny krok naprzód. Czuła się niemal tak samo okropnie jak w kajucie na statku, tylko tutaj powietrze było wilgotne, a wokół rozlegało się kapanie wody.

Stambuł pełen jest podziemnych cystern. Cysterna obok bazyliki należy do najstarszych, zbudował ją cesarz Konstantyn, żeby magazynować wodę doprowadzaną akweduktem z belgradzkich lasów na wypadek obłączenia czy suszy. Monolityczne bizantyjskie i korynckie kolumny podtrzymują ceglane sklepienie, a sam zbiornik jest tak wspaniały, że stał się znany jako Yerebatan Sarayı, Zatopiony Pałac. W dawnych czasach ludzie docierali tam na łodziach, teraz jednak stale sącząca się woda utrzymuje się na poziomie poniżej metra, a drewniane pomosty ułatwiają turystom zwiedzanie.

Genie przypomniała sobie, że kiedy była tu poprzednio, reflektory podświetlały niesamowite, kolumnowe groty, a uroczysta muzyka Bacha nadawana przez głośniki sprawiała, że dawne legendy o ludziach zagubionych w nie kończących się tunelach i porwanych przez tajemnicze prądy pozostawały tylko legendami. Teraz jednak, kiedy stała na betonowym podeście prowadzącym na pomosty, była skłonna w nie uwierzyć. Pomyślała o Calu, oddalonym o tysiące mil, i nagle ogarnęła ją tęsknota za jego krzepiącą obecnością. Dużo by dała, żeby zobaczyć uśmiechnięte oczy setera i usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, że nic jej nie grozi. Uwierzyłaby mu, ponieważ nie on był winien, tylko ona. Sama przystąpiła do niebezpiecznej gry, sama ponosiła odpowiedzialność za swój los.

Ostrożnie postąpiła naprzód, wyciągniętymi rękoma szukała ściany, nogą sprawdzała przed sobą grunt, żeby nie wpaść do czarnej wody znajdującej się metr niżej. Trafiła palcami na poręcz, pod stopami poczuła deski pomostu. Trzymając się jedną ręką poręczy, ruszyła odważnie w ciemność i powoli przesuwała się wzdłuż kładki nad wodą, aż dotarła do końca ślepego korytarza. Z westchnieniem ulgi osunęła się na podłogę i usiadła po turecku skulona z zimna. Czuła na powiekach napierającą ciemność, cisza dudniła jej w uszach, kiedy zaczęła odliczać sekundy w oczekiwaniu na Michaela.

Doliczyła prawie do trzech minut, gdy usłyszała jakiś dźwięk. Zesztywniała, wpatrując się z natężeniem w mrok. Do Michaela dzwoniła niecałe dziesięć minut temu, nie zdążyłby jeszcze dostać się z willi do centrum Stambułu. Ze swojego miejsca nie widziała plamy światła przy schodach, jedynie ciemność. Ponownie wyteżyła słuch, ale doleciał ją tylko nieustanny szmer kapiącej wody, więc się trochę rozluźniła. Musiała się pomylić. Znowu zaczęła liczyć — dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści — i wtedy usłyszała to po raz drugi. Tym razem wiedziała, że słyszy kroki. I nie były to kroki Michaela, ponieważ on na pewno by ją zawołał.

Wpadła w panikę. Przycisnęła dłonie do ust, żeby powstrzymać się od krzyku.

— Genie? — rozległ się męski głos. — Wiem, że tu jesteś. Odezwij się. Muszę z tobą porozmawiać.

To był Valentin. Schowała głowę w ramionach przypominając sobie, jak splatały się ich ciała, kiedy się kochali zaledwie kilka godzin temu, jaka była z nim szczęśliwa, jak bezpiecznie się czuła, po czym z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Valentin ją znalazł i zamierzał zabić. Teraz nawet Michael Kazan nie będzie mógł mu przeszkodzić.

— Genie, odpowiedz mi — prosił Valentin. — Musimy poroz-

mawiać, zanim ta cała impreza zmieni się w międzynarodową katastrofę. Odpowiedz mi, Genie, proszę cię. Błagam.

W jego głosie dźwięczała taka troska, taka desperacja i taka czułość, że niemal mu uwierzyła, szybko jednak przypomniała sobie, z kim ma do czynienia. To był Valentin Sołowski, Rosjanin, bratanek szefa KGB, którego dopiero co zamordował na jej oczach. Wyszkolony zabójca, któremu zabijanie „nie sprawia przyjemności”, ale robi to, kiedy musi.

Zakryła twarz dłońmi i cicho zapłakała. Za kilka minut ją znajdzie, potem będzie po wszystkim.

Valentin posuwał się naprzód, oświetlając sobie drogę małą latarką. Był zły na siebie, że nie wziął mocniejszej. W ten sposób będzie jej długo szukał, a czas był w tej chwili jedyną rzeczą, której mu brakowało. Uznał, że Kazan i policja pojawią się tu w ciągu pięciu minut.

Przesunął snop światła dokoła, wydobywając z mroku fragmenty ociekających ścian i masywne, na wpół zatopione kolumny.

— Genie — zawołał, a jego głos odbił się niesamowitym echem, po grotach — proszę cię, odezwij się. Jest coś, o czym musisz wiedzieć. — Odczekał chwilę, po czym powiedział: — W porządku, w takim razie posłuchaj. Wiem już, że to ciebie szukałem. Ty jednak nie wiesz, dla czego.

Genie objęła mocno kolana i przycisnęła do nich twarz. Znow zapadła cisza.

— Genie, mój ojciec nazywał się kiedyś Aleksiej Iwanow. Jest bratem twojej matki. Jestem twoim kuzynem, w naszych żyłach płynie ta sama krew...

Zarzuciła ręce na głowę. Nie chciała słuchać jego kłamstw, chciała krzyczeć, żeby przestał.

— Grigorij Sołowski uratował mojego ojca z lasu w Wariszni. Wychował go razem z własnym synem, Borysem. Borys go nienawdził. Wiedział, kim naprawdę jest jego przybrany brat i pragnął go zniszczyć, ale żeby zrealizować swój plan, musiał zdobyć dowód tożsamości Aleksieja. Ty miałaś być tym dowodem. Dlatego musiałem zabić Borysa Sołowskiego. Mówię prawdę, Genie. Zrobiłem to dla ciebie. — Czekał przez chwilę, po czym dodał z westchnieniem: — Nawet nie wiesz, jak mi przykro. Żałuję, że doszło do tego wszystkiego.

Genie podskoczyła-, kiedy drzwi na szczycie schodów otworzyły się z hukiem i rozległ się głos Michaela:

— Anno, jesteś tam?

Usłyszała jego nierówny krok na schodach i pomyślała o Valentinie czekającym w ciemności, żeby go zabić.

— Michael! — krzyknęła. — On tu jest, czeka na ciebie. Zabije nas oboje!

Valentin westchnął, wyjął z kieszeni uzi i rozłożył kolbę. Kazan stanął w kręgu światła i pogardliwie spoglądał w czarną pustkę przed sobą. Valentin ze smutkiem potrząsnął głową. Michael był tylko siwym staruszkiem. Życie jest takie niesprawiedliwe. Kiedy wkładał na miejsce magazynek, dostrzegł cień. Ktoś jeszcze szedł po schodach, mężczyzna z automatycznym pistoletem w ręku. Valentin zmrugał oczy i rozpoznał Ferdiego Arnhaltda.

Ferdie zatrzymał się z bronią wycelowaną w Kazana. Nie miał żadnych skrupułów. Zabił już Markheima i Abyssa i gotów był usunąć każdego, kto stanie mu na drodze. Postanowił, że jego firma zdobędzie kontrolę nad światowymi zbrojeniami. Wszyscy będą się go bali. On, Ferdie Arnhaltd, będzie najważniejszy.

Michael obrócił się na pięcie, kiedy Ferdie zawołał go po imieniu.

— Powiedz Annie, żeby wyszła — rzekł Niemiec. Powiedz jej, że ma dokładnie minutę na ujawnienie swojej kryjówki, albo cię zabiję.

— Ty durniu — ryknął Michael, wyciągając miecz z pochwy. — Myślisz, że będę tu stał i pozwolę ci ją zabić? Na zewnątrz jest policja. Jesteś już martwy.

Arnhaltd zaczął odliczać.

— Dostyć! Niech pan przestanie! — krzyknęła Genie i ruszyła chwiejnym krokiem po pomoście.

Ferdie odwrócił głowę w jej kierunku, a Michael rzucił się ku niemu z bojowym okrzykiem.

Uzi plunął ogniem, rozrywając ciszę. Z wyrazem zdziwienia na twarzy Ferdie Arnhaltd odwrócił się, żeby zobaczyć napastnika, po czym padł martwy u stóp Michaela.

Valentin pobiegł w ich stronę nie wypuszczając pistoletu z ręki w tym samym momencie, kiedy zza rogu wyszła Genie.

— To Sołowski! — krzyknęła ostrzegawczo do Kazana. — Zabije cię!

W jednej chwili Michael uniósł miecz i ciął Valentina tak, jak to robili jego przodkowie podczas bitwy.

Valentin osunął się na ziemię. Genie podbiegła i uklękła obok niego. Odgarnęła mu jasne włosy z czoła i przycisnęła dłoń do otwartej rany na szyi, próbując zatamować krew, wraz z którą uciekało z niego życie.

— Dlaczego, Valentin, dlaczego? — wyszeptała z bólem, zraszając łzami jego zimne ręce.

Spojrzał na nią szarymi oczyma, w których malował się spokój.

— Mówiłem prawdę — wymamrotał. — Nie mógłbym cię zabić, Genie. — Usta wykrzywił mu słaby uśmiech, zachłysnął się powietrzem. Po chwili światło zniknęło z jego oczu.

Cal znalazł się na schodach przed policją. Kolumnowy zbiornik skąpany był teraz w białym świetle reflektorów. Jakiś idiota przycisnął niewłaściwy guzik i nad czarną wodą rozległy się dźwięki kantaty Bacha. Cal spojrzał na ciało Arnhalda, potem na Kazana z mieczem w ręku i martwego Valentina u jego stóp. Wyglądało to jak krwawa scena z Biblii. Przeniósł wzrok na Genie szlochającą nad ciałem Sołowskiego i potrząsnął głową. W czarno-białym świecie postacie pozytywne zostawały przy życiu, a czarne charaktery ginęły. I tak powinno być. Objął Genie opiekuńczo i wyprowadził ją na zewnątrz, w bezpieczny już świat.

Rozdział 48

Maryland

Tydzień później Cal pojechał zobaczyć się z Missie. Znała już całą historię, ale miał jej jeszcze coś do powiedzenia. Poza tym chciał być przy niej podczas telewizyjnego wystąpienia Genie.

Missie ubrana była w fioletową suknię pasującą kolorem do jej oczu. Piękne, srebrnosiwe włosy starannie upięła w kok, a na stoliku obok postawiła fotografię Miszy Iwanowa.

Na powitanie musnął wargami jej wyciągniętą dłoń. Po chwili do pokoju wsunęła się siostra Milgrim z herbatą.

— Mam nadzieję, że nie będzie pan już jej denerwował — odezwała się i zatrzymała przy krześle Missie, gotowa stanąć w jej obronie, gdyby powiedział choć jedno niewłaściwe słowo.

— Wszystko już zostało powiedziane, Milgrim — ucięła Missie.

— Jeszcze jedno — rzekł Cal. — Odebraliśmy komunikat rosyjskiej agencji prasowej, TASS. Na wybrzeżu krymskim odnaleziono wrak małego odrzutowca. Moskwa podaje, że zidentyfikowano ciała dwóch osób znajdujących się na pokładzie. Byli to major-generał Borys Sołowski i jego bratanek Valentin. Ich samolot zaginął podczas lotu z Ankary, gdzie przebywali z misją dyplomatyczną.

Missie ze smutkiem pokiwała głową.

— Dlaczego muszą kłamać?

— Uznano, że będzie to najbardziej właściwe zakończenie całego incydentu. Związek Radziecki wystosował do rządu tureckiego notę przeproszącą.

— Biedny Aleksiej — powiedziała Missie ze łzami w oczach. — Stracił jedynego syna.

— TASS podała także, że Siergiej Sołowski zrezygnował ze stanowiska w Politbiurze i razem z żoną przeprowadził się do domu na wsi. — Cal zawahał się, po czym dodał: — Podobno są kochającym

się małżeństwem. Możemy mieć tylko nadzieję, że znajdą w sobie pociechę.

— Powinnaś była powiedzieć Annie — rzekła Missie zmęczonym głosem. — Może nie doszłoby do tego wszystkiego. Valentin nadal by żył, a Annie zaoszczędziłoby to przykrych przeżyć. — Powoli pokręciła głową. — Myślałam, że tak będzie dla niej najlepiej. Nie chciałam jej obciążać lękami starej baby.

— Gdyby nie pani, Missie, Ameryka znalazłaby się na przegranej pozycji, jeśli chodzi o stosunek sił na świecie.

— Dziwne, jak w końcu spełniła się przepowiednia Cyganki — odezwała się Missie na wpół do siebie. — Powiedziała, że spocznie na mnie wielka odpowiedzialność, ale dopiero teraz przekonałam się, jak wielka. — Westchnęła. — A co z Arnhaltdem?

— To był megaloman, jego rodzina miała obsesję na punkcie własnej potęgi. Najpierw Eddie Arnhaltd chciał zdobyć kopalnię, ponieważ miał dosyć płacenia Rosji okupu za prawo do ich eksploatacji. Według mnie zamierzał ożenić swojego syna z Azaylee, czekał tylko, żeby dorosła. Wtedy nikt nie mógłby podważyć roszczeń Arnhaltdów. Ferdie posunął się jeszcze dalej. Gotów był zabić każdego, kto stanął mu na drodze. Z Genie włącznie.

— Michael Kazan ją uratował — powiedziała. — Szalony, odważny mężczyzna. Jak jego ojciec.

— Genie mówiła mi, że Kazanowie zapraszają panią do Turcji na stałe.

Przytaknęła.

— Michael chce przysłać po mnie samolot. Przygotował mi apartament w willi, ale mogłabym też zamieszkać w *yali*, przesiadywać na tarasie nad Bosforem i marzyć. Mogłabym nawet zabrać ze sobą siostrę Milgrim.

— No i...?

Roześmiała się.

— Jestem już za stara na takie zmiany. Dobrze mi tu. Za oknem mam trawniki, drzewa i kaczki krzyżówki. Mam też Annę.

Siostra Milgrim wetknęła głowę przez drzwi i oznajmiła:

— Już prawie szósta. Czas na program.

Missie sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Usłyszeli zapowiedź, po czym na ekranie pojawiła się Genie. Była blada, ale prezentowała się dobrze w czarnej sukni, z perłami na szyi i włosami zebranymi w puszysty kok. Cał stwierdził, że nadal wygląda na dziewczynę, która pachnie perfumami Chanel No 5, ale nie była to ta sama osoba, którą poprzednio widział przed kamerami. Zniknęła beztrioska reporterka

pnąca się w górę na szczyty kariery, zaś to, co mówiła teraz, nie przypominało jej wcześniejszych prędkich relacji. W niebieskich oczach błyszczał smutek, a kiedy się odezwała, w głosie dało się słyszeć lekkie drżenie. Widać było, że przywiązuje wielką wagę do każdego wypowiedzianego słowa.

— Historia ta zaczęła się dawno temu — mówiła cicho — w bajkowym domu zwanym Warisznia, w którym mieszkała bajkowa rodzina. Przystojny książę, najpiękniejsza na świecie księżna oraz dwoje ubóstwianych dzieci, Aleksiej i Ksenia. Wraz z nimi mieszkała ich przyjaciółka, młoda Angielka...

Oczarowana Ameryka słuchała, jak Genie rozwija swoją opowieść, i oglądała zdjęcia pięknych Iwanowów, zamordowanych w lesie w Wariszni. Z życiem uszły jedynie Ksenia, Sofia i ich angielska przyjaciółka.

Missie miała łzy w oczach, kiedy „wnuczka” opowiadała o jej długim, burzliwym życiu i staraniach, żeby zachować w tajemnicy ich tożsamość.

— Wszystko szło dobrze — mówiła Genie — dopóki jeden nie przemyślany krok nie skierował uwagi całego świata na Iwanowów. Nagle wszyscy zainteresowali się tajemniczą „Dama” sprzedającą szmaragd, wszyscy chcieli ją znaleźć. Okazało się bowiem, że plotki o miliardach czekających w szwajcarskim banku na prawowitego właściciela są prawdziwe. Poza tym mocarstwom chodziło o jeszcze jedno — o prawa do kopalń w Radżastanie, które zawierają cenne złoża ważnych strategicznie minerałów.

Przerwała na chwilę, złożyła kartki z notatkami, po czym spojrzała prosto w obiektyw kamery i oznajmiła:

— Ja jestem tą „Dama”, której wszyscy szukali. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Anna Sofia Eugenia Adair. Moją matką była Ksenia Iwanow, która przed laty uratowała się z pogromu w lesie.

Cał rzucił Missie niespokojne spojrzenie. Siedziała pochylona, podparła brodę rękami i słuchała z uwagą, jak Genie opowiada historię życia Avy Adair. Na koniec Genie oświadczyła, że prawa do kopalń przekazała rządowi amerykańskiemu, a odziedziczone pieniądze wykorzystywała na założenie fundacji, która będzie prowadzić działalność oświatową oraz pomagać potrzebującym — uchodźcom, bezdomnym, głodującym dzieciom. Ona sama rezygnuje z kariery w telewizji, żeby poświęcić się pracy w fundacji.

Missie wstrzymała oddech, kiedy Genie pokazała jej zdjęcie i powiedziała:

— Ale to nie wobec mnie Ameryka ma dług wdzięczności, lecz

wobec Missie O'Bryan, bo gdyby nie ona, nasz kraj nie uzyskałby nic. Missie O'Bryan Abrams jest prawdziwą Damą, którą Ameryka winna uhonorować.

Obraz się zmienił, prezenter podziękował Genie i zapowiedział dyskusję w dalszej części programu.

— Tak... — Cal wyłączył telewizor. — Wszystko dobre, co się dobrze kończy. — Missie jednak nadal wpatrywała się w milczeniu w czarny ekran, zatopiona w marzeniach. Dodał wesoło: — Genie niedługo tu będzie. Może poprosimy siostrę Milgrim o herbatę?

Nacisnął dzwonek i po kilku minutach pojawiła się pielęgniarka z tacą. Popatrzyła niepewnie na Missie, potem na Calą.

— Nie złość się na pana Warrendera, nie ma powodu — powiedziała Missie cicho. — Po prostu myślę o przeszłości...

Patrzył na nią bez słowa. Zrozumiał teraz, skąd się wziął hart ducha Genie. Missie O'Bryan, tylekroć zwycięska w pojedynku z życiem, nauczyła ją stawiać czoło światu i kierować się głosem tak serca, jak i rozsądku.

Otworzyły się drzwi, podniósł więc oczy i napotkał wzrok Genie. Uśmiechnęła się do niego zuchwale i uniosła brodę w dawny zadziorny sposób.

— W porządku? — zapytała cicho.

— Byłaś wspaniała — odparł krótko.

Genie podeszła do Missie, opadła na kolana i ujęła jej dłonie. Popatrzyły na siebie w milczeniu i choć żadna się nie odezwała, przez chwilę Cal czuł się tak, jakby podsłuchiwał ich rozmowę. Wiedział, że nie potrzebują słów.

Dziewczyna westchnęła i położyła głowę na kolanach „babci”, która czule pogłaskała blond włosy.

Spojrzała na Genie, na Calą, a potem wzięła do ręki fotografię Miszy i długo się w nią wpatrywała.

— Wiesz, Misza — odezwała się w końcu półgłosem — czasami zastanawiam się, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Czy rzeczywiście cię kochałam? Czy rzeczywiście ty mnie kochałeś? — Z westchnieniem odstawiła zdjęcie. — Czasami pytam sama siebie, czy nie zbudowałam całego życia na romantycznych marzeniach podlotka.

Poprawiła się w fotelu i zamknęła oczy. Genie delikatnie pogłaskała jej dłonie. Zrozumiała, co Missie chce jej przekazać. Przeszłość jest przeszłością, a życie jest po to, by żyć. Spojrzała Calowi w oczy — ciepłe oczy setera — i uśmiechnęła się.